

SIDNEY SHELDON

Gdy nadejdzie jutro

(Przełożył Grzegorz Żyliński)

Dla Barry'ego z miłością

KSIEGA PIERWSZA

Nowy Orlean

Czwartek, 20 lutego - 23.00

Rozbierała się powoli, sennie. Potem wybrała jasnoczerwony szlafrok, żeby nie było widać krwi. Doris Whitney rzuciła ostatnie spojrzenie na swoją sypialnię, aby upewnić się, że pokój, który stał się jej tak drogi przez ostatnie trzydzieści lat, jest schludny i czysty. Otworzyła szufladę stolika i ostrożnie wyjęła pistolet. Był czarny, błyszczący i przerażająco zimny w dotyku.

Położyła go obok telefonu i wykręciła numer córki w Filadelfii.

Nasłuchiwała odległego brzęczenia w słuchawce. A potem rozległo się miękkie:
- Halo?

- Tracy... Zdaje mi się, że słyszę twój głos, córeczko.

- Wspaniała niespodzianka, mammo.

- Chyba cię nie obudziłam?

- Nie. Czytałam. Właśnie kładłam się spać. Chcieliśmy z Charlesem wyjść gdzieś na obiad, ale pogoda jest okropna. Wciąż śnieg z deszczem. A co u ciebie?

„Boże, rozmawiamy sobie o pogodzie - pomyślała Doris Whitney - kiedy jest tyle spraw, o których chcę jej powiedzieć. I nie mogę...”

- Mammo, jesteś tam jeszcze?

Doris Whitney wyjrzała przez okno. Pada. Pomyślała: „Jak to się dziwnie składa. Niczym u Hitchcocka”.

- Co to za hałas? - zapytała Tracy.

„Piorun”. Pograżona w rozmyślaniach, Doris nie słyszała grzmotu. W Nowym Orleanie była burza. „Opady ciągłe - mówił spiker w TV - w Nowym Orleanie będzie 18 stopni. Wieczorem deszcz przechodzący w lokalne burze. Nie zapomnijcie parasoli”. Lecz ona nie potrzebuje parasola.

- To piorun, Tracy. - Zdobyła się na odrobinę wesołości w głosie. - Powiedz, co nowego w Filadelfii.

- Czuję się jak księżniczka z bajki, mammo - odpowiedziała Tracy. - Nie miałam nigdy pojęcia, że można być tak szczęśliwą. Jutro wieczorem spotykam rodziców Charlesa. - Zniżyła głos, jakby składała publiczne oświadczenie. - Rodzina Stanhope z

Chestnut Hill - westchnęła - to prawie instytucja. Mam straszną treść przed spotkaniem z nimi.

- Nie martw się, kochanie. Polubią cię.

- Charles mówi, że to nie ma znaczenia. On mnie kocha. A ja go uwielbiam. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznasz. Jest fantastyczny.

- Na pewno. - Nigdy nie spotka się z Charlesem. Nigdy nie przytuli wnuka. „Nie. Nie wolno mi o tym myśleć”.

- Czy on wie, jaki jest szczęśliwy, że ma ciebie, córeczko?

- Powtarzam mu to - zaśmiała się Tracy. - Ale już dosyć o mnie. Powiedz mi, co słychać u ciebie. Jak się czujesz?

„Ma pani końskie zdrowie, Doris - mówił doktor Rush. - Dożyje pani setki z okładem”. Drobną ironią losu. - Czyje się wspaniale. „Gdy z tobą rozmawiam”.

- Czy masz już chłopca? - dopytywała się Tracy.

Od chwili śmierci ojca Tracy, co stało się pięć lat temu, Doris Whitney, mimo zachęty ze strony córki, nawet nie pomyślała o innym mężczyźnie.

- Żadnych chłopców. - Zmieniła temat. - Jak tam twoja praca? Ciągle najlepsza na świecie?

- Uwielbiam ją. Charles zgodził się, żebym pracowała po ślubie.

- To wspaniale, moje dziecko. Ten Charles wygląda na całkiem przyzwoitego gościa.

- I jest nim, mamó. Sama zobaczysz.

Rozległ się trzask pioruna, niczym podpowiedź zza sceny. Już czas. Teraz nie można powiedzieć, oprócz ostatniego „Do widzenia”.

- Do widzenia, moje dziecko. - Głos Doris brzmiał spokojnie.

- Zobaczymy się na ślubie, mamó. Zadzwoń do ciebie, jak tylko ustalimy datę.

- Tak. - Jeszcze coś trzeba było powiedzieć, mimo wszystko. - Kocham cię bardzo, bardzo, córeczko.

Doris Whitney powoli odłożyła słuchawkę.

Wzięła pistolet. Tylko w jeden sposób można to zrobić. Szybko. Uniosła pistolet do skroni i pociągnęła spust.

Filadelfia

Piątek, 21 lutego - 8.00

Tracy Whitney wyszła z korytarza swojego budynku na szarą, zalaną deszczem ulicę. Deszcz ze śniegiem padał na eleganckie limuzyny prowadzone po Market Street przez szoferów w uniformach i na opuszczone domy o oknach zabitych deskami, stłoczone jeden przy drugim w slumsach północnej Filadelfii. Omywał karoserie samochodów i zlepiał w mokrą papkę śmieci piętrzące się wysoko przed rzędami zaniedbanych domów.

Tracy Whitney szła do pracy. Kroczyła żwawo przez Chestnut Street w kierunku banku, ze wszystkich sił powstrzymując się od śpiewania na całe gardło. Była ubrana w jasnożółty płaszcz przeciwdeszczowy, botki i żółty nieprzemakalny kapelusz, pod którym z trudem mieściły się jej lśniąco, kasztanowe włosy. Miała około dwudziestu pięciu lat, żywą, inteligentną twarz, pełne, zmysłowe usta, błyszczące oczy, których odcień wahał się pomiędzy soczystą, leśną zielenią a ciemnozielonym nefrytem, i szczupłą, wysportowaną sylwetkę. Odcień jej skóry zmieniał się od przejrzystej bieli do ciemnej różowości, zależnie od tego, czy Tracy była gniewna, zmęczona, czy podniecona. Jej matka kiedyś powiedziała: „Naprawdę, dziecko, czasami cię nie poznaję. Masz w sobie wszystkie kolory tęczy”.

Teraz, gdy szła ulicą, przechodnie mimo woli uśmiechali się zazdroszcząc dziewczynie szczęścia, które promieniowało z jej twarzy. Tracy także odpowiadała im uśmiechem.

„Czy może być ktoś równie szczęśliwy? - myślała. - Wychodzę za mąż za człowieka, którego kocham i będę miała z nim dziecko. Czego można chcieć więcej?”

Zbliżając się do banku, spojrzała na zegarek. Ósma dwadzieścia. Do otwarcia drzwi filadelfijskiego Banku Pewności i Zaufania pozostawało jeszcze dziesięć minut, ale Clarence Desmond - wiceprezes do spraw transakcji zagranicznych - już teraz wyłączał zewnętrzny alarm i otwierał zamki. Tracy lubiła przyglądać się porannemu rytuałowi. Stała w deszczu, patrząc, jak Desmond wchodził do banku, zamykając drzwi na klucz.

Banki na całym świecie stosują tajne procedury bezpieczeństwa, a Bank Pewności i Zaufania nie był wyjątkiem. Procedura była niezmienna, oprócz sygnału

niebezpieczeństwa, który zmieniano co tydzień. W tym tygodniu sygnałem była na wpół opuszczona wenecka żaluzja, oznaczająca dla pracowników patrzących z zewnątrz, że Desmond sprawdza, czy przypadkiem w pomieszczeniach banku nie ukryli się terroryści, czyhający na zakładników. Clarence Desmond sprawdzał toalety, magazyn przedmiotów wartościowych, skarbiec i rejon przechowalni depozytów. Dopiero gdy nabrał pewności, że nie było nikogo, żaluzja wenecka podnosiła się na znak, że wszystko jest w porządku.

Główna księgowka wchodziła zawsze pierwsza. Stała koło centralnego urządzenia alarmowego dopóki wszyscy pracownicy nie weszli, a potem zamykała za nimi drzwi.

Dokładnie o ósmej trzydzieści Tracy Whitney razem ze wszystkimi pracownikami weszła do bogato ozdobionego holu. Zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy, kapelusz i botki, nasłuchując ze skrywaną wesołością narzekań na okropną pogodę.

- Przeklęty wiatr porwał mi parasolkę - skarżył się ktoś. - Przemokłem do suchej nitki.

- Widziałem dwie kaczki pływające po Market Street - żartował naczelnny kasjer.

- W radio mówili, że czeka nas jeszcze jeden taki dzień. Wolę Florydę.

Tracy, śmiejąc się, zaczęła pracować. Jej zajęcie polegało na nadzorowaniu przyjmowania i nadawania telegraficznych przekazów międzynarodowych. Do niedawna obsługa gotówkowych przekazów telegraficznych między państwami była powolnym, pracochłonnym procesem, wymagającym wypełniania wielu formularzy i zależnym od wielu krajowych i międzynarodowych służb pocztowych. Komputery radykalnie zmieniły sytuację i ogromne sumy pieniędzy można było teraz przekazywać błyskawicznie, za pomocą kilku klawiszy. Zadanie Tracy polegało na przyjmowaniu przekazów, które nadeszły w nocy i bieżących, a także przyjmowaniu nowych, do innych banków. Wszystkie transakcje oznaczone były specjalnym kodem, który regularnie zmieniano. Miało to na celu uniemożliwienie dostępu do danych osobom postronnym. Codziennie miliony elektronicznych dolarów przechodziły przez ręce Tracy. Było to ze wszech miar fascynujące: czuwać nad arteriami odżywiającymi przedsiębiorstwa przemysłowe na całym świecie, i do chwili, gdy wkroczył w jej życie Charles, nie istniało dla niej nic poza pracą bankową. Filadelfijski Bank Pewności i Zaufania był dużym ośrodkiem obrotów międzynarodowych. Podczas lunchu Tracy dowiadywała się o transakcjach dokonywanych każdego ranka przez swoich kolegów. Były to pasjonujące rozmowy.

Deborah, główna księgowa, oświadczyła: - Właśnie udzieliliśmy Turcji sto milionów dolarów pożyczki syndykatowej.

Mae Trenton, sekretarka wiceprezesa banku, informowała konfidencjonalnie: - Dziś rano na zebraniu zarządu uchwalono nowe ułatwienia kredytowe dla Peru. Będzie tego ponad pięć milionów dolarów.

John Creighton, stary bankowy bigot, dodawał: - Chyba w końcu zaakceptują pięćdziesiąt milionów na pomoc dla Meksyku. Ci śmierdziele nie są warci złamanego centa.

- Ciekawe - mówiła Tracy w zamyśleniu - że kraje, które atakują Amerykę za nadmierny komercjalizm, zawsze pierwsze wyciągają rękę do pożyczki.

To właśnie było powodem jej pierwszej sprzeczki z Charlesem.

Po raz pierwszy spotkali się na sympozjum finansistów, gdzie Charles Stanhope był zaproszonym gościem. Kierował przedsiębiorstwem kredytującym inwestycje, założonym jeszcze przez jego dziadka, a jego firma prowadziła wspólne przedsięwzięcia z bankiem Tracy. Po wysłuchaniu przemówienia Charlesa Tracy żywo zaprotestowała przeciwko jego analizie zdolności krajów Trzeciego Świata do spłacenia miliardowych pożyczek udzielonych im przez światowe banki komercyjne i rządy zachodnie. Charlesa z początku rozbawiły, a potem zaintrygowały pełne pasji argumenty młodej, pięknej dziewczyny. Dyskusja przeciągnęła się do obiadu, na który poszli do starej restauracji intrologatorów.

W pierwszej chwili słynny Charles Stanhope III nie wywarł na Tracy olśniewającego wrażenia, mimo iż większość jej koleżanek uważała go za najbardziej pożądaną zdobycz w Filadelfii. Miał trzydzieści pięć lat, był bogatym, zadowolonym z życia członkiem jednego z najstarszych filadelfijskich rodów. Metr osiemdziesiąt wzrostu, rzędzące, jasnożółte włosy, piwne oczy i maniery pedanta czyniły go w jej oczach typem nudnego milionera.

Jakby czytając w jej myślach, Charles przechylił się przez stół i szepnął:

- Mój ojciec jest pewny, że oddali mu w szpitalu niewłaściwe dziecko.

- Co takiego?

- Jestem reliktem z dawnej epoki. Nie wierzę, że pieniądze są jedynym i niezastąpionym celem życia. Ale pamiętaj: nigdy nie powtarzaj tego mojemu ojcu.

Był tak ujmująco bezpretensjonalny, że Tracy od razu poczuła do niego sympatię. „Ciekawe, co by się stało, gdybym wyszła za kogoś takiego jak on - człowieka z towarzystwa”.

Jej ojciec poświęcił większość życia na stworzenie przedsiębiorstwa, które dla Stanhope'ów byłoby nic nie znaczącym warsztacikiem. „Stanhope'owie nie mają nic wspólnego z Whitneyami - myślała. - Nigdy się nie połączą. Są jak woda i oliwa. Stanhope'owie to oliwa. Właściwie za kim ja tak szaleję, jak wariatka? Trzeba zachować godność. Mężczyzna zaprasza mnie na obiad, a ja od razu marzę o małżeństwie. Prawdopodobnie już nigdy się nie zobaczymy”.

Na pożegnanie Charles rzekł mimochodem: - Mam nadzieję, że spotkamy się jutro na obiedzie...?

Filadelfia jest olśniewającym nagromadzeniem rozrywek i zabaw. W sobotnie wieczory Tracy chodziła z Charlesem na przedstawienia baletowe lub do filharmonii na koncerty sławnego Riccardo Muti i orkiestry filadelfijskiej. W dni powszednie włączyli się po Nowym Rynku albo zwiedzali unikatowy zespół sklepów na Society Hill. Jedli steki serowe przy stoliku pod gołym niebem w „Geno”, obiady w „Cafe Royal” - jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji w Filadelfii. Zakupy robili na placu Head House, a potem wędrowali po salach Filadelfijskiego Muzeum Sztuki i Muzeum Rodina.

Tracy przystanąła przed statuą „Myśliciela”. Spojrzała ukradkiem na Charlesa i roześmiała się: - *To ty!*

Charles nie interesował się sportem, ale Tracy uwielbiała ćwiczenia, więc każdego niedzielnego poranka uprawiała jogging wzdłuż West River Drive lub na promenadzie okalającej wybrzeże Schuylkill. Zapisła się na sobotnie popołudniowe kursy *t'ai chi ch'uan*, a po godzinnym treningu, wyczerpana ale szczęśliwa, odwiedzała Charlesa w jego mieszkaniu. Był wytrawnym kucharzem i słynął ze swoich wyszukanych gustów. Uwielbiał przygotowywać dla Tracy i dla siebie tak egzotyczne dania, jak marokańska *bistilla* i *guo bu li*, knedle rodem z północnych Chin, a czasami *tahine de poulet au citron*.

Charles był najbardziej pedantycznym człowiekiem, jakiego Tracy kiedykolwiek spotkała. Pewnego razu gdy spóźniła się piętnaście minut na obiadową randkę, miała z tego powodu zepsuty cały wieczór. Po tym incydencie uroczyście poprzysięgła sobie punktualność.

Nie miała wcześniej wielu doświadczeń seksualnych, ale od razu spostrzegła, że Charles zachowywał się w tych sprawach podobnie jak we wszystkich innych: skrupulatnie i bardzo pedantycznie. Kiedyś postanowiła odejść od ustalonych rytuałów łóżkowych; zachowała się śmiało i niekonwencjonalnie, przyprawiając Charlesa o taki wstrząs, że w tajemnicy posądziła go o pewien rodzaj dewiacji seksualnej.

Ciąża przyszła niespodziewanie i, gdy już nie było co do niej wątpliwości, Tracy poczuła lekki niepokój. Charles dotychczas nie poruszał kwestii małżeństwa, a perspektywa wymuszonego ślubu nie była zbyt zachęcająca. Nie wiedziała, czy powinna brać pod uwagę możliwość zabiegu - myśl o takim rozwiązaniu sprawy także sprawiała jej ból. Lecz czy potrafi wychowywać dziecko bez pomocy ojca i czy będzie to w porządku wobec samego dziecka? Pewnego wieczoru, po obiedzie, postanowiła podzielić się z Charlesem swoimi obawami. Przygotowała mu w swoim mieszkaniu *cassoulet*, ale była tak przejęta, że przypaliła danie. Gdy stawiała przed nim przypalone mięso z fasolą, cała starannie ułożona przemowa wyleciała jej z głowy. Ledwo zdołała wyjąkać:

- Tak mi przykro, Charles. Jestem w ciąży. - Zapadła nieznośnie długa cisza i gdy już chciała coś dodać, Charles odpowiedział:

- Naturalnie weźmiemy ślub. - Poczowała nieopisaną ulgę.

- Nie chcę, żebyś myślał, że ja... Nie musisz się ze mną żenić, wiesz... - Podniósł rękę i przerwał:

- Chcę się z tobą ożenić, Tracy. Będziesz wspaniałą żoną. - Po namyśle dodał powoli: - Cóż, mój ojciec i matka będą oczywiście trochę zaskoczeni.

Roześmiał się i pocałował ją. Tracy nieśmiało zapytała:

- Będą zaskoczeni? Charles westchnął:

- Kochanie, wydaje mi się, że niezupełnie zdajesz sobie sprawę z tego, w co się pakujesz. Stanhope'owie zawsze łączą się - wybacz, że użyję cudzysłowu - w obrębie ich własnej sfery. Filadelfijskiej śmietanki towarzyskiej.

- Poza tym już ci wybrali żonę - odgadyła Tracy. Charles wziął ją w ramiona.

- To nie ma znaczenia, Tracy. Liczy się tylko to, kogo ja wybieram. Pójdziemy na obiad z mamą i tatą w przyszły piątek. Czas, żebyś ich poznała.

Za pięć dni. Tracy uświadomiła sobie różnicę w natężeniu hałasu w banku. Pracownicy zachowywali się głośniejszy, poruszali się trochę szybciej. Dokładnie

za pięć minut drzwi banku otworzą się, do tego czasu wszyscy musieli być gotowi. Przez szybę frontową obserwowała klientów czekających w długiej kolejce na chodniku, w deszczu.

Strażnik bankowy kończył rozdzielanie czystych formularzy depozytowych; układał je na metalowych tackach na sześciu stołach ustawionych wzdłuż centralnego korytarza banku. Stali klienci otrzymywali kwity depozytowe znaczone na odwrocie indywidualnym kodem magnetycznym. Dzięki temu za każdym razem, gdy oddawali coś do depozytu, komputer automatycznie przydzielał kwit do odpowiedniego konta. Ale najczęściej przychodzili bez swoich kwitów depozytowych i musieli wypełniać czyste formularze.

Strażnik spoglądał na zegar ścienny; gdy wskazówka godzinowa stanęła na dziewiątce - podszedł do drzwi i ceremonialnie je otworzył.

Rozpoczął się nowy dzień pracy.

Przez kilka następnych godzin Tracy była tak pochłonięta pracą przy komputerze, że nie potrafiła myśleć o niczym innym. Każdą przesyłkę musiała dwukrotnie sprawdzić, by upewnić się, czy była prawidłowo zakodowana. Gdy konto miało zostać obciążone rachunkiem, wprowadzała do komputera jego numer, wysokość kwoty i kod banku, dla którego pieniądze były przeznaczone. Każdy bank miał swój indywidualny numer kodowy; numery te znajdowały się w specjalnym poufnym katalogu, zawierającym kody wszystkich ważniejszych banków na świecie.

Ranek upłynął szybko. W przerwie na lunch Tracy zamierzała pójść do fryzjera, wizytę tę zamówiła znacznie wcześniej u Larry'ego Stella Botte. Było to kosztowne, ale konieczne; chciała żeby rodzice Charlesa ocenili ją jak najlepiej. „Muszę się starać, żeby mnie polubili. To nieważne, kogo dla niego wybrali - myślała Tracy - skoro żadna kobieta nie uszczęśliwi Charlesa tak jak ja”.

O pierwszej, gdy ubierała się do wyjścia, Clarence Desmond wezwał ją do swojego biura. Wyglądał jak posąg wysokiego urzędnika. Gdyby bank wykorzystywał reklamy telewizyjne - mógłby sam wystarczyć za całą kampanię. Ubrany trochę staromodnie, roztaczał wokół siebie atmosferę konserwatywnego, solidnego zaufania. Wyglądał na człowieka, któremu można wierzyć.

- Usiądź, Tracy - powiedział. Zawsze chwalił się, że zna imiona wszystkich pracowników. - Leje jak z cebra, prawda?

- Tak.

- No właśnie. Ale ludzie muszą chodzić do banków. – Zużył już chyba cały swój repertuar. Przechylił się nad biurkiem. - Podobno jesteś zaręczona z Charlesem Stanhope i wkrótce się pobieracie. Tracy była zaskoczona.

- Przecież nikomu o tym nie mówiliśmy. W jaki sposób...? - Desmond uśmiechnął się.

- Wszystko co robią Stanhope'owie jest bardzo tajemnicze. Cieszę się ogromnie. Myślę, że kiedyś, mimo wszystko, powrócisz do nas. Oczywiście po miodowym miesiącu. Nie możemy pozwolić sobie na stratę najwartościowszej pracownicy.

- Rozmawialiśmy o tym z Charlesem i zgodziliśmy się, że będzie lepiej, jeśli nie zrezygnuję z pracy.

Desmond roześmiał się, zadowolony. Stanhope and Sons był jednym z najpoważniejszych banków kredytowych w Filadelfii. Współpraca z nim miała być dla niego niezłą gratką. Pochylił się na krzesło.

- Gdy wrócisz z podróży poślubnej, będzie czekać na ciebie awans i podwyżka.

- Och jak cudownie. Dziękuję! - Dobrze wiedziała, że było to zasłużone wyróżnienie i poczuła się dumna. Pragnęła natychmiast podzielić się tą nowiną z Charlesem. Miała wrażenie, że wszyscy bogowie greccy zmówili się, żeby obdarzyć ją szczęściem.

Rezydencja Stanhope'ów była imponującym starym domem przy placu Rittenhouse. Tracy często go mijała. Dom ten był jednym z najważniejszych budynków miasta. „Teraz - myślała - stanie się częścią mojego życia”.

Czuła się niewyraźnie. Jej wspaniałe uczesanie było trochę zdeformowane przez wilgoć i mżawkę. Cztery razy zmieniała sukienkę. Czy ubrać się zwyczajnie, czy odświętnie? Miała sukienkę Yves Saint Laurenta, którą kiedyś, po długim oszczędzaniu, kupiła w salonie Wanamakera. „Jeśli ją włożę, powiedzą, że jestem ekstrawagancka. Z drugiej strony, jeśli ubiorę się w zwykłe ciuchy z Post Hornu, pomyślą, że żenię syna z przybłądą. Właściwie i tak to pomyślą, bez względu na to, co na siebie włożę”.

W końcu podjęła decyzję. Ubrała się w prostą, szarą, wełnianą spódnicę i białą jedwabną bluzkę. Na szyi zawiesiła cienki złoty łańcuszek, który matka przysłała jej na ostatnią Gwiazdkę.

Drzwi otworzył lokaj w liberii.

- Dobry wieczór, panno Whitney. - „Lokaj zna moje nazwisko. Czy to dobry znak? A może zły?” - Pozwoli pani, że wezmę płaszcz? - Z płaszcza spływały strumienie wody na drogi perski dywan.

Prowadził ją marmurowym korytarzem, chyba dwa razy dłuższym od bankowego. Tracy pomyślała w panice: „Mój Boże! Wyglądam jak przekupka. Dlaczego nie włożyłam Yves Saint Laurenta?!”

Gdy skręciła do biblioteki, poczuła, że w rajstopach, gdzieś w okolicach kostki, poleciało jej oczko. I w tej samej chwili znalazła się oko w oko z rodzicami Charlesa.

Charles Stanhope senior był poważnie wyglądającym mężczyzną około sześćdziesiątki. Wyglądał tak, jak wyglądają ludzie sukcesu i jak wyglądać będzie Charles za trzydzieści lat. Oczy, podobnie jak u syna, piwne, kanciasty podbródek, pasmo siwych włosów na skroni. Tracy polubiła go od pierwszego wejrzenia. Będzie doskonałym dziadkiem dla ich dzieci.

Matka Charlesa imponowała powagą. Była raczej niskiego wzrostu, mocno zbudowana, ale mimo to roztaczała wokół siebie jakiś prawie królewski majestat. „Wygląda na przyzwoitą osobę - pomyślała Tracy. - Będzie na pewno świetną babcia”.

Pani Stanhope wyciągnęła rękę.

- Moja droga, miło nam, że nas odwiedzasz. Prosiłmy Charlesa o kilka minut rozmowy z tobą na osobności. Czy masz coś przeciwko temu?

- Oczywiście, że się zgadza - zadeklarował ojciec. - Proszę, usiądź... Tracy. Czy nie przekręciłem imienia?

- Nie, proszę pana.

Oboje usiedli na tapczanie, naprzeciwko niej. „Dlaczego czuję się jakbym była na przesłuchaniu?” Tracy usłyszała głos matki: „Dziecko, Bóg nigdy nie ukarze cię ponad miarę, nie każe ci robić czegoś niemożliwego. Próbuje cierpliwie, krok po kroku, i ze wszystkim sobie poradzisz.

Pierwszy krok... Odważyła się na nieśmiały uśmiezek, który wypadł jak grymas, bo w tej chwili poczuła, że oczko w jej rajstopach zbliża się do kolana. Położyła rękę na kolanie.

- Tak więc - głos pana Stanhope był jowialny - Charles i ty chcecie się pobrać.

Słowo „chcecie” niezupełnie odpowiadało Tracy. Przecież Charles na pewno powiedział im, że postanowili się pobrać.

- Tak - odrzekła.

- Ale poznaliście się stosunkowo niedawno, prawda? - wtrąciła pani Stanhope.

Tracy opanowała wzburzenie. „Miałam rację. To będzie przesłuchanie”.

- Wystarczająco dawno, by wiedzieć, że się kochamy, pani Stanhope.

- Kochamy? - szepnął pan Stanhope. Jego żona ciągnęła dalej:

- Mówiąc zupełnie otwarcie, panno Whitney, decyzja Charlesa była swego rodzaju szokiem dla jego ojca i dla mnie. - Uśmiechnęła się wyrozumiale. - Charles, naturalnie, wspominał ci o Charlotte? - Dostrzegła przelotny grymas na twarzy Tracy. - No tak. Oni z Charlotte znają się od dzieciństwa. Zawsze bardzo się lubili i, właściwie, wszyscy spodziewali się, że ogłoszą swoje zaręczyny w tym roku.

Nie musiała opisywać Charlotte. Tracy mogła nakreślić jej portret: mieszkała naprzeciwno. Bogata, z tego samego środowiska co Charles. Najlepsze wykształcenie. Uwielbia konie i jest zdobywczynią pucharów.

- Opowiedz nam o swojej rodzinie - indagował pan Stanhope. „Rany boskie, to już prawie scena z nocnego melodramatu - pomyślała Tracy. - Ja jestem Ritą Hayworth i spotykam po raz pierwszy rodziców Cary Granta. Brakuje drinka. W starych filmach zawsze ratował sytuację lokaj z tacą pełną kieliszków”.

- Gdzie się urodziłaś, kochanie? - zapytała pani Stanhope.

- W Luizjanie. Mój ojciec był mechanikiem samochodowym - Tracy nie musiała tego dodawać, ale nie potrafiła się oprzeć. Do diabła z nimi. Była dumna ze swego ojca.

- *Mechanikiem?*

- Tak. Zaczynał od małego warsztatu w Nowym Orleanie i zrobił z niego dość dużą firmę samochodową. Po śmierci ojca, pięć lat temu, interes przejęła matka.

- Co ta... hm... firma produkuje?

- Rury wydechowe i części zamienne do samochodów. Państwo Stanhope wymienili znaczące spojrzenia i odpowiedzieli jednocześnie: Rozumiem.

Ich ton doprowadzał Tracy do furii. „Ciekawa jestem, ile czasu upłynie, zanim ich polubię” - zastanawiała się. Spojrzała na dwie niezbyt sympatyczne twarze i ku swojemu przerażeniu zaczęła paplać bez sensu:

- Na pewno państwo polubicie moją matkę. To piękna, inteligentna kobieta, po prostu urocza. Pochodzi z południa. Jest niewysoka, mniej więcej pani wzrostu. - Potok słów płynął szybko, z drugiej strony stołu odpowiadała mu ponura cisza. W końcu roześmiała się i śmiech ten zamarł pod surowym spojrzeniem pani Stanhope.

Milczenie przerwał poważny głos ojca:

- Charles wspominał nam, że jesteś w ciąży.

Och, jak bardzo chciała, żeby była to nieprawda! Cała ich postawa była tak jawnie wroga. Zupełnie jakby ich syn nie miał nic wspólnego z tym, co się stało. Była to tylko jej sprawa, jej wstyd. „Teraz już wiem, co powinnam nosić - pomyślała. - Szkarłatną literę¹”.

- Zupełnie nie rozumiem w jaki sposób... - zaczęła pani Stanhope, ale nie dokończyła zdania, bo w tej chwili do pokoju wszedł Charles. Nigdy przedtem jego zjawienie się nie sprawiło Tracy takiej ulgi.

- No więc... - Charles promieniował radością - jak się wam rozmawia? - Tracy wstała i rzuciła mu się w ramiona. - Wspaniale, kochanie. - Tulila się do niego, myśląc: „Dzięki Bogu, Charles nie jest taki, jak jego rodzice. Nigdy nie będzie taki. Oni są ograniczeni, snobistyczni, nienaturalni...”

Usłyszała dyskretne kasznięcie za plecami, stał tam lokaj z tacą pełną kieliszków. „Wszystko będzie dobrze - pomyślała sobie. - Ten film kończy się happy endem”.

Obiad był doskonały, ale Tracy nie miała ochoty na jedzenie. Dyskutowano o sprawach bankowych, polityce, niepewnej sytuacji na świecie, ale rozmowa była bardzo formalna i ugrzeczniona. „Wciągnęłaś naszego syna w małżeństwo”. Nikt nie powiedział tego otwarcie. Właściwie - pomyślała Tracy - oni mają pełne prawo wiedzieć, z kim żenią swojego syna. Pewnego dnia Charles przejmie firmę i powinien mieć odpowiednią żonę. Wtedy - obiecywała sobie - nie zawiodą się na mnie”.

Charles łagodnie ujął jej rękę, którą pod stołem zwijała w trąbkę koniec obrusa, roześmiał się i mrugnął do niej. Serce dziewczyny забиło silniej.

- My z Tracy wolimy małe przyjęcia weselne - powiedział - a potem...

- Nonsens - przerwała pani Stanhope. - W naszej rodzinie nie ma małych przyjęć, Charles. Dziesiątki znajomych będą chciały oglądać twój ślub. - Spojrzała na Tracy, jakby oceniając jej figurę. - Już teraz trzeba dopilnować, żeby rozesłano zaproszenia. - I po chwili namysłu: - Oczywiście, jeżeli wam to odpowiada.

- Tak. Oczywiście, że tak. - „Musi być wesele. Nie powinnam była w to wątpić”.

- Niektórzy goście przyjadą z zagranicy. Poczynimy przygotowania, żeby mogli zamieszkać tu, w tym domu - ciągnęła pani Stanhope.

¹ Szkarłatna litera - w wiktoriańskiej Anglii cudzołożnice i prostytutki musiały nosić szkarłatną literę „A” (adulterous - cudzołożnica) na ubraniu. (Przypis tłum.)

- Czy już zdecydowaliście się, gdzie spędzicie miesiąc miodowy? - zapytał pan Stanhope. Charles zaśmiał się:

- Ta informacja jest zastrzeżona, ojcze. - Uścisnął rękę Tracy.

- Jak długo ma trwać ten miesiąc? - zapytała pani Stanhope.

- Około pięćdziesięciu lat - odciął się Charles. Tracy uwielbiała go za to.

Po obiedzie przeszli do biblioteki na szklaneczkę brandy. Tracy ujrzała piękny pokój, obity dębową boazerią, z mnóstwem tomów oprawionych w skórę, poustawianych na półkach, dwa obrazy Corota, mały Copley i Reynolds wiszące na ścianach. Właściwie mogłaby wybaczyć Charlesowi, gdyby był biedakiem, ale ta sytuacja była znacznie przyjemniejsza.

Zbliżała się już północ, gdy Charles odwiózł ją do jej małego mieszkania obok parku Fairmount.

- Mam nadzieję, że ten wieczór nie był dla ciebie zbyt przykry, Tracy. Mama i tata są czasem trochę sztywni.

- Och, nie, byli wspaniali! - skłamała.

Była trochę wyczerpana wrażeniami tego wieczora, ale gdy znaleźli się przed drzwiami jej mieszkania, zapytała:

- Czy chcesz wejść, Charles? - Miała nieśmiałą nadzieję, że obejmie ją i powie: „Kocham cię, Tracy. Nikt na tym świecie nie może nas rozdzielić”. Ale usłyszała tylko:

- Może nie dziś, Tracy. Jutro czeka mnie ciężki dzień. - Nie okazała rozczarowania.

- Oczywiście. Rozumiem, kochanie. Jutro się spotkamy. Pocałował ją i odszedł korytarzem.

Mieszkanie stało w płomieniach i przeraźliwy dźwięk dzwonek alarmowych rozdzierał ciszę. Tracy wyprostowała się w łóżku, oszołomiona snem, starając się wyczuć dym w ciemnym pokoju. Dzwonek nie przestawał dzwonić. Powoli uświadamiała sobie, że to dzwonił telefon. Zegarek przy łóżku wskazywał drugą trzydzieści. W pierwszej chwili pomyślała z przerażeniem, że coś stało się Charlesowi. Chwyciła słuchawkę:

- Halo!

- Tracy Whitney? - zapytał daleki głos mężczyzny. Zawahała się. „Jeśli to jakiś kawał...”

- Kto mówi?

- Porucznik Miller z policji nowoorleańskiej. Czy mówię z Tracy Whitney?

- Tak. - Serce zabiło jej mocniej.

- Mam dla pani bardzo złe wiadomości. - Tracy ścisnęła kurczowo słuchawkę. -
Chodzi o pani matkę.

- Czy... czy matce coś się stało? Jakiś wypadek?

- Ona nie żyje, panno Whitney.

- Nie! - wyrwał jej się krzyk. To naprawdę jakiś paskudny kawał. Jakiś szczeniak próbuje ją przestraszyć. Co mogło się stać jej matce? Przecież żyła. „Kocham cię bardzo, bardzo, córeczko”.

- Przykro mi informować panią w ten sposób, ale to prawda - powiedział głos.

To było naprawdę. To nie był koszmar senny, to był autentyczny koszmar. Nie mogła wymówić słowa. Język zdrętwiał, mózg przestał pracować. Porucznik powtarzał kilka razy:

- Halo! Halo! Pani Whitney? Halo!

- Przylecę pierwszym samolotem.

Siedziała w miniaturowej kuchence swojego mieszkania, rozmyślając o matce. To niemożliwe, żeby umarła. Zawsze była taka energiczna, pełna życia. Jakże doskonale rozumiały się ze sobą. Od najmłodszych lat, gdy jeszcze była małą dziewczynką, przychodziła do matki ze swoimi problemami, rozmawiała z nią o szkole, o chłopcach, a potem - mężczyznach. Kiedy zmarł jej ojciec, wiele osób czyniło starania, żeby wykupić firmę. Proponowali pieniądze, które mogłyby zapewnić Doris Whitney dostatek przez resztę życia, ale ona uparcie odmawiała. „Twój ojciec zbudował tę firmę. Nie mogę zaprzepaścić całej jego pracy”. Dzięki niej przedsiębiorstwo kwitło, osiągając coraz większe zyski.

„Och, mamó! - pomyślała. - Moja ukochana matko, już nigdy nie zobaczysz Charlesa, nigdy nie zobaczysz swoich wnuków”.

Zrobiła sobie filiżankę kawy, ale nie wypila jej. Siedziała w ciemności. W pierwszej chwili desperacko sięgnęła po słuchawkę, chciała zadzwonić do Charlesa, opowiedzieć mu co się stało, mieć go przy sobie. Spojrzała na zegar kuchenny: 3.30 w nocy. Nie chciała go budzić, zadzwoni później, z Nowego Orleanu. Przez głowę przemknęła jej myśl, że to co się stało musi naruszyć ich plany, lecz natychmiast odepchnęła ją od siebie. Jak można w takiej chwili myśleć o tym. „Zaraz po przylocie proszę złapać taksówkę i przyjechać do głównego komisariatu” - powiedział porucznik Miller. „Na policję? Dlaczego? Co się stało?”

Stojąc w zatłoczonej hali nowoorleańskiego lotniska i czekając na swoją walizkę, otoczona przez rozpychających się, niecierpliwych podróżnych, Tracy nie mogła złapać oddechu. Próbowwała docisnąć się do taśmy z bagażami, ale tłum nie ustępował. Ogarniała ją coraz większa panika; na myśl o tym, co wydarzy się wkrótce robiło jej się słabo. Powtarzała w kółko, że to nieprawda, musiała zajść jakaś pomyłka, ale słowa porucznika zapadły głęboko w jej pamięć: „Mam dla pani bardzo złe wiadomości, panno Whitney... Ona nie żyje, panno Whitney... Przykro mi informować panią w ten sposób...” W końcu odzyskała swoją walizkę, znalazła taksówkę i powtórzyła adres podany przez porucznika:

- South Broad Street 715, proszę.

- Gliny, co? - Kierowca rozdziawił gębę w uśmiechu. Nie odpowiedziała. Nie teraz.

Taksówka skręciła na wschód, w kierunku mostu nad jeziorem Ponchartrain. Kierowca kontynuował rozmowę:

- Na wielkie widowisko, co? - Nie miała pojęcia, co sobie ubzdurał, ale pomyślała: „Nie. Przyjechałam tu z powodu śmierci”.

Słyszała monotonne buczenie jego głosu, ale nie rozróżniała słów. Siedziała sztywno, nie dostrzegając znajomych miejsc, które mijali. Dopiero gdy zbliżyli się do francuskiej dzielnicy, uświadomiła sobie narastający hałas. Był to zgiełk tłumy, oszalałego kłębowiska ludzi, powtarzających jakąś pogańską, zwariowaną litanię.

- Dowiozę panią tak blisko, jak się da - oświadczył kierowca. Podniosła głowę i zobaczyła ich. Niewiarygodne. Setki, tysiące rozwrzeszczanych ludzi, w maskach na twarzach, poprzebieranych za smoki, gigantyczne aligatory, pogańskie bożki, wypełniających ulice i chodniki, wykrzykujących dziko. Jakaś zwariowana eksplozja muzyki, tańca, podrygujących ciał.

- Niech pani lepiej wyjdzie, zanim przewrócą taksówkę do góry kołami - powiedział kierowca. - Przeklęte Mardi Gras².

Oczywiście. To był luty i całe miasto obchodziło początek Wielkiego Postu. Wysiadła z taksówki i stanęła przy krawężniku z walizką w ręku. Tłum porwał ją natychmiast, wciągnął w rozkrzyczany, tańczący korowód. Ohydny sabat czarownic,

² Mardi Gras - wtorek przed Środą Popielcową, ostatni dzień karnawału. Nazwa przyjęta we francuskim kręgu kulturowym. Tradycyjnie obchodzone święto na ulicach Nowego Orleanu. (Przypis tłum.)

jakby milion furii świętowało śmierć jej matki. Walizka wyslizgnęła się Tracy z ręki i znikła. Dziewczynę objął i pocałował jakiś mężczyzna w masce diabła. Inny rogaty stwór ścisnął jej piersi, a gigantyczna panda podchwyciła ją pod pachę i podniosła. Walczyła wściekle próbując się wyrwać, ale bez skutku. Była unieruchomiona, uwięziona, była częścią tego rozwrzeszczanego, roztańczonego widowiska. Tłum potrząsnął nią jak lalką i tkwiła tam, ze łzami w oczach zaciekle walcząc. Nie było ucieczki. Gdy w końcu znalazła się jakimś cudem na spokojniejszej ulicy, była bliska hysterii. Długi czas stała nieruchomo, oparta o latarnię, oddychając głęboko i powoli odzyskując panowanie nad sobą. Potem poszła w kierunku komisariatu.

Porucznik Miller był trochę zmęczonym mężczyzną w średnim wieku, z twarzą poorly zmarszczkami. Czuł się dosyć niezręcznie w swej roli.

- Przepraszam, że nie czekałem na panią na lotnisku - powiedział - ale ostatnio całe miasto szaleje. Przeszukaliśmy rzeczy pani matki i okazało się, że jest pani jedyną osobą, którą mogliśmy zawiadomić.

- Panie poruczniku, proszę powiedzieć mi, co... co się stało z moją matką?

- Popełniła samobójstwo. - Tracy poczuła skurcz w żołądku i wstrzymała oddech.

- To... to niemożliwe. Po co miałyby to robić? Miała wszystko, co było jej potrzebne do życia, nic jej nie brakowało. - Mówiła urywanymi zdaniami.

- Zostawiła dla pani list.

Kostnica była chłodna, obojętna, przerażająca. Prowadzono ją długim, białym korytarzem do pustej, sterylnej sali i nagle zauważyła, że sala nie była pusta. Była wypełniona śmiercią. Jej śmiercią.

Ubrany na biało urzędnik podszedł do ściany, chwycił coś podobnego do klamry i wysunął wielką szufladę.

- Chce pani zobaczyć?

„Nie! Nie chcę widzieć tego chłodnego, bezwładnego ciała leżącego w skrzyni!” Zapragnęła stąd odejść. Chciała cofnąć się w czasie o kilka godzin, do chwili gdy zabrzmiał dzwonek. „Niechby to był raczej prawdziwy alarm pożarowy, a nie telefon, nie śmierć mojej matki!” Zrobiła kilka kroków do przodu, każdy z nich sprawiał jej ból. Utkwiła wzrok w nieruchomych, zimnych zwłokach kobiety, która ją urodziła,

kochała, karmiła, śmiała się do niej. Pochyliła się i pocałowała matkę w policzek. Policzek był chłodny i miękki.

- Och, mamó! - wyszeptała. - Dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś?

- Zostanie przeprowadzona sekcja - powiedział urzędnik. - W przypadku samobójstwa jest to konieczne.

W liście, który pozostawiła Doris Whitney, nie było odpowiedzi.

Kochana Tracy.

Proszę cię, wybac. Przegrałam i nie mogę być dla ciebie ciężarem. Musiałam to zrobić. Kocham cię. Mama

List był zimny i pozbawiony treści, tak jak ciało, które spoczywało w skrzyni.

Jeszcze tego popołudnia rozpoczęła przygotowania do pogrzebu. Potem pojechała taksówką do rodzinnego domu. Z oddali dobiegał harmider świętujących Mardi Gras, jakby jakaś dziwaczna muzyka.

Dom rodziny Whitney pochodził z czasów wiktoriańskich i znajdował się w osiedlu nazywanym często Przedmieście. Jak większość domów w Nowym Orleanie był drewniany i nie miał piwnicy, ponieważ dzielnica leżała poniżej poziomu morza.

Tracy wychowała się w tym domu, wypełnionym miłymi, ciepłymi wspomnieniami dzieciństwa. W ciągu ostatniego roku ani razu nie zajrzała tutaj, dlatego przeżyła szok, gdy tuż przed wejściem ujrzała wielką tablicę: NA SPRZEDAŻ. NOWOORLEAŃSKI ZARZĄD NIERUCHOMOŚCI I GRUNTÓW. To było niemożliwe. „Nigdy nie sprzedam tego starego domu” - często powtarzała matka. „Byliśmy w nim tacy szczęśliwi”.

Pełna jakiegoś nieuchwytnego niepokoju przeszła obok wielkiej magnolii rosnącej przy wejściu i podeszła do drzwi frontowych. Miała klucz, który dostała jeszcze w dzieciństwie od matki i nosiła zawsze przy sobie - jak talizman. Przypominał jej o bezpiecznym schronieniu, na które zawsze mogła liczyć. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Przez chwilę stała jak wryta. Pokoje były zupełnie puste, ogołoczone z mebli. Wszystkie piękne, stare przedmioty zniknęły. Dom wyglądał jak pusta skorupa, cichy, opuszczony przez ludzi, którzy kiedyś napełniali go gwarem. Tracy biegała od pokoju do pokoju, coraz bardziej zdziwiona. Dom wyglądał tak jakby jakaś zaraza

wymiotła z niego wszystko, co przypominało przeszłość. Pobiegła na górę i stanęła w drzwiach sypialni, którą zajmowała przez większość życia. Pokój zionął chłodem i pustką. „Boże, co się stało?” Usłyszała dźwięk dzwonka na dole i na wpół przytomna zeszła, żeby otworzyć.

W drzwiach stał Otto Schmidt. Majster z warsztatu części samochodowych Whitneya był niemłodym już mężczyzną o pomarszczonej twarzy, okropnie chudym, poza wystającym brzuchem, który zdradzał skłonności do piwa. Łysą głowę okalał wianuszek rozczochranych włosów.

- Tracy - powiedział z silnym niemieckim akcentem. - Słyszałem już wszystko. Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro. - Chwyliła go za rękę.

- Och, Otto. Cieszę się, że cię widzę. Wejź, proszę. - Wprowadziła go do pustego salonu. - Szkoda, że nie ma tu na czym usiąść - powiedziała przepaszającym głosem. - Czy możesz usiąść na podłodze?

- W porządku.

Usiedli naprzeciw siebie z oczami utkwionymi w podłogę. Otto Schmidt pracował w warsztacie, odkąd tylko Tracy sięgała pamięcią. Wiedziała, jak bardzo ufał mu ojciec. Gdy matka przejęła firmę, Schmidt pozostał i pomagał jej.

- Otto, nie rozumiem, co się stało. Na policji mówią, że matka popełniła samobójstwo, ale wiesz przecież, że nie miała powodu zabijać się. - Nagła myśl przyszła jej do głowy. - Przecież nie była chora, prawda? Nie miała jakiejś strasznej...

- Nie, to nie było tak. Nie tak. - Unikał jej wzroku, w głosie pobrzmiwała nuta niedopowiedzenia.

- Ty wiesz, co to było, prawda? - zapytała powoli Tracy. Spojrzał na nią wilgotnymi, niebieskimi oczami.

- Matka nie informowała pani o tym, co się ostatnio działo w firmie. Nie chciała pani martwić. - Tracy zmarszczyła czoło.

- Martwić? Czym? Proszę, mów dalej.

Otto z zażenowaniem zaciskał i rozwierał dłonie.

- Czy słyszała pani o człowieku nazwiskiem Romano? Joe Romano?

- Joe Romano? Nie. Dlaczego? - zamruwała nerwowo.

- Pół roku temu Romano skontaktował się z pani matką i oświadczył, że chce wykupić firmę. Gdy odpowiedziała, że nie jest zainteresowana sprzedażą, zaproponował jej dziesięć razy tyle, ile firma była warta. Nie mogła odmówić. Bardzo się cieszyła. Chciała zainwestować wszystkie pieniądze w obligacje, mające przynieść

taki dochód, że obie mogłybyście z tego żyć do końca w dostatku. To miała być niespodzianka dla pani. Wszyscy tak się cieszyli. Od trzech lat mogłem być już na emeryturze, ale nie chciałem opuścić pani Doris, prawda? Ten Romano - Otto z trudem i nienawiścią wykrztusił to nazwisko - ten Romano wypłacił niewielką zaliczkę. Duże pieniądze, jak zapewniał, miały przyjść w zeszłym miesiącu.

- Szybciej, Otto. Co się stało? - Tracy przerwała mu niecierpliwie.

- Gdy Romano przejął interes, zwolnił wszystkich i zastąpił swoimi ludźmi. Potem zniszczył tę firmę. Wyprzedał cały majątek i zamówił mnóstwo sprzętu, za nic nie płacąc. Dostawcy nie niepokoili się, bo sądzili, że mają do czynienia z panią Doris. Kiedy w końcu zaczęli dopominać się o pieniądze, pani matka postanowiła rozmówić się z Romano. Oświadczył, że rozmyślił się i zwraca jej firmę. A przedsiębiorstwo było wówczas nie tylko nie warte złamanego centa, ale jeszcze zadłużone na pół miliona dolarów, których matka nie mogła spłacić. Nie mogliśmy z żoną patrzeć, jak ona walczyła o ocalenie tej firmy. Ale nie było rady. Zmusili ją do bankructwa. Zabrali wszystko - warsztaty, ten dom, nawet jej samochód.

- Mój Boże!

- To jeszcze nie wszystko. Prokurator okręgowy wręczył pani matce oskarżenie o defraudację, groził jej więzieniem. Myślę, że to właśnie wtedy naprawdę umarła.

W Tracy wszystko gotowało się z bezsilnego gniewu. Lecz jedno, co mogła zrobić, to ogłosić prawdę - powiedzieć głośno, co ten człowiek zrobił jej matce.

Stary majster pokiwał głową.

Joe Romano pracuje dla niejakiego Anthony'ego Orsatti. Orsatti rządzi Nowym Orleanem. Dowiedziałem się potem, że Romano postąpił podobnie z innymi firmami. Nawet gdyby pani matka zaskarżyła go w sądzie, mogły upłynąć lata, zanim wszystko by się wyjaśniło. Poza tym nie miała pieniędzy, żeby z nim walczyć.

- Dlaczego nic nie powiedziała? - Był to okrzyk wezbranego, bezsilnego bólu.

- Pani matka była dumną kobietą. A zresztą, cóż mogłaby pani zrobić? Na to, co się stało, nie można już nic poradzić.

„Mylisz się” - pomyślała ze złością.

- Chcę się spotkać z tym Joe Romano. Gdzie on mieszka?

- Niech pani o nim zapomni. Nie ma pani pojęcia, jaki jest potężny - odpowiedział Schmidt obojętnie, z rezygnacją.

- Gdzie on mieszka, Otto?

- Ma dom przy Jackson Square, ale to na nic się nie zda, Tracy. Naprawdę nie ma sensu z nim rozmawiać.

Nie odpowiedziała. Ogarniało ją uczucie dotąd zupełnie nieznane: nienawiść. „Joe Romano zapłaci za śmierć mojej matki” przyrzekła sobie.

3

Potrzebowała czasu. Czasu na zastanowienie się, na zaplanowanie następnego ruchu. Nie mogła wrócić do splądrowanego domu, więc zamieszkała w małym hoteliku na Magazine Street, daleko od francuskiej dzielnicy, gdzie trwały jeszcze zwariowane parady. Nie miała bagażu i podejrzliwy urzędnik hotelowy powiedział: - Musi pani zapłacić z góry, 40 dolarów za noc.

Z pokoju zatelefonowała do Clarence'a Desmond, by usprawiedliwić swą kilkudniową nieobecność w pracy. Szef nie dał po sobie poznać, że go to zirykowało.

- Nie martw się tym, Tracy - powiedział. - Znajdę ci jakieś zastępstwo, dopóki nie wrócisz. - Miał nadzieję, że nie zapomni wspomnieć Charlesowi Stanhope o jego wyrozumiałości.

Potem zadzwoniła do Charlesa.

- Charles, kochanie...

- Gdzie, do diabła, jesteś, Tracy? Mama szuka cię od samego rana. Chciała koniecznie spotkać się z tobą na lunchu. Macie mnóstwo spraw do omówienia.

- Przepraszam cię, kochanie. Jestem w Nowym Orleanie.

- Gdzie? Co ty robisz w Nowym Orleanie?

- Moja matka... umarła. - Słowa uwięzły jej w krtani.

- Och. - Ton głosu Charlesa zmienił się natychmiast. - Przykro mi, Tracy. To musiało stać się nagle. Była dość młoda, prawda?

„Była bardzo młoda” - pomyślała. Głośno odpowiedziała:

- Tak. Tak, była młoda.

- Ale co się stało? Z tobą wszystko w porządku?

Jakoś nie potrafiła przemóc się i powiedzieć Charlesowi o samobójstwie. Pragnęła desperacko wykrzyczeć całą tę straszliwą historię o krzywdzie wyrządzonej jej matce i o swoim nieszczęściu, ale ugryzła się w język. „To mój problem - pomyślała. - Nie mogę zrzucić na kogoś tego ciężaru”.

- Wszystko w porządku. Nie martw się kochanie - powiedziała.

- Czy chcesz, żebym przyjechał do ciebie, Tracy?

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie sama. Jutro pochowam mamę. W poniedziałek będę z powrotem w Filadelfii.

Odłożyła słuchawkę i położyła się na łóżku hotelowym, na próżno usiłując skupić myśli. Policzyła kolorowe płytki dźwiękochłonne na suficie. „Raz... dwa... trzy...

Romano... cztery... pięć... Joe Romano... sześć... siedem... On zapłaci za wszystko”. Nie miała planu. Wiedziała tylko, że nie puści płazem Joemu Romano tego, co jej zrobił, że znajdzie jakiś sposób, by pomścić swoją matkę.

Wyszła z hotelu późnym popołudniem i ruszyła przed siebie po Canal Street. Przystanęła przed drzwiami lombardu. Trupio blade mężczyzna o oczach podmalowanych staromodnym zielonym tuszem siedział w małym okienku za ladą.

- Pani sobie życzył

- Chcę... chcę kupić pistolet.

- Jaki rodzaj pistoletu? - Pan wie... rewolwer.

- Trzydziestkadwójka, czterdziestkapiątka, czy inny?

- Trzydziesiątkadwójka wystarczy. - Tracy nigdy nie widziała pistoletu.

- Mam tu małe cacko, Smith and Wesson kaliber trzydzieści dwa za dwieście dwadzieścia pięć dolarów lub Charter Arms za sto pięćdziesiąt dziewięć, też trzydziestkadwójka.

- Nie ma pan czegoś tańszego? - Nie miała ze sobą wiele gotówki.

- *Tańsze* są proce. - Wzruszył ramionami. - Coś pani powiem: dam trzydziestkadwójkę za sto pięćdziesiąt i dołożę jeszcze paczkę naboju.

Tracy patrzyła za nim, gdy podszedł do arsenału rozłożonego na stojącym w głębi sklepu stole i wybrał pistolet. Położył go na ladzie.

- Umie pani się tym posługiwać?

- Naciska się spust i... - Chrząknął.

- Chce pani zobaczyć jak się go ładuje?

Chciała powiedzieć, że nie, że nie ma zamiaru używać broni, że chce tylko kogoś postraszyć, ale zrozumiała, jak głupio by to zabrzmiało.

- Tak, proszę. - Przyglądała się, gdy ładował kule do magazynka. - Dziękuję. - Sięgnęła do portmonetki i przeliczyła pieniądze.

- Potrzebuję pani nazwisko i adres do kartoteki policyjnej. - Tego nie przewidziała. Groźenie Joemu Romano bronią było aktem kryminalnym. „Ale to on jest kryminalistą, nie ja”.

Zielony tusz dodawał oczom patrzącego na nią człowieka zgniłozółtego koloru.

- Pani nazwisko?

- Smith. Joan Smith. - Zanotował coś na kartce.

- Adres?

- Dowman Road. 3020 Dowman Road. Nie podnosząc głowy, odmruknął:

- Nie ma adresu 3020 Dowman Road. To by wypadło gdzieś na środku rzeki. Przerobimy to na 5020. - Podsunął jej kwit. Podpisała: Joan Smith.

- Czy to już wszystko?

- Tak. - Ostrożnie podsunął pistolet przez okienko. Tracy obejrzała go, szybko wsunęła do torebki, odwróciła się i opuściła sklep prawie biegiem.

- Halo, panienko! - krzyknął za nią sprzedawca. - Pistolet jest nabity!

Jackson Square jest sporym placem usytuowanym w centrum Dzielnicy Francuskiej ze wspaniałą Katedrą Świętego Ludwika, górującą nad nim jak ręką Opatrzności. Piękne stare domy i posiadłości przy placu odgradzone są od gwaru miasta wysokim żywopłotem i wdzięcznymi drzewami magnolii. W jednym z tych domów mieszkał Joe Romano.

Tracy poczekała do zmroku, zanim wyszła. Wrzaskliwe parady przeniosły się już na Chartres Street, ale w oddali słyszała jeszcze echa pandemonium, które niedawno wciągnęło ją w swój wir.

Stała w cieniu, obserwując dom, czując w torebce ciężar naładowanej broni. Plan, który opracowała, był prosty. Zamierzała porozmawiać z Joe Romano, zażądać od niego oczyszczenia jej matki z hańby. Jeśli odmówi - zagrozi mu pistoletem i zmusi do napisania zeznania. Zaniesie je do porucznika Millera, a ten aresztuje Romano i jej matka będzie pomszczona. Pragnęła desperacko mieć przy sobie Charlesa, ale lepiej było zrobić to samej. Charles musi być trzymany z dala od tego. Opowie mu wszystko, gdy sprawa będzie skończona, a Joe Romano znajdzie się za kratkami, czyli tam, gdzie było jego miejsce. Zbliżał się jakiś przechodzień. Poczekała aż przeszedł i ulica opustoszała.

Podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Nie było odpowiedzi. „Siedzi pewnie gdzieś na jakimś prywatnym balu wydanym z okazji Mardi Gras. Ale ja poczekam - pomyślała Tracy. - Poczekam aż wróci do domu”.

Nagle na ganku rozbłysło światło, drzwi domu otworzyły się i stanął w nich jakiś mężczyzna. Jego wygląd zadziwił Tracy. Spodziewała się złowroziej, napiętnowanej nienawiścią twarzy bandyty i zbrodniarza. Tymczasem znalazła się naprzeciw mężczyzny o ujmującym wyglądzie, którego łatwo było wziąć za profesora jakiegoś uniwersytetu. Miał niski, przyjemny głos.

- Witam panią. Czym mogę służyć?

- Czy pan Joseph Romano? - Jej głos drżał.

- Tak. Czego pani sobie życzy? - Miał swobodny, przyjacielski sposób bycia. „Nic dziwnego, że moja matka dała się oszukać temu człowiekowi” - pomyślała.

- Ja... chciałabym z panem porozmawiać, panie Romano. Przyglądał się jej przez chwilę.

- Oczywiście. Proszę wejść.

Tracy weszła do salonu wypełnionego pięknymi, wypolerowanymi stylowymi meblami. Josephowi Romano dobrze się powodziło. „Dzięki pieniądzom mojej matki” - pomyślała z goryczą.

- Właśnie chciałem przygotować sobie drinka. Co pani lubi?

- Nic.

- Co panią do mnie sprowadza, pani... - Spojrzał na nią z zacięciem.

- Tracy Whitney. Jestem córką Doris Whitney. - Wpatrywał się w nią tępo przez chwilę, potem błysk zrozumienia pojawił się w jego oczach.

- Aha. Tak. Słyszałem o pani matce. Przykra historia. „Przykra historia!” Doprowadził matkę do samobójstwa, a teraz kwituje to uwagą: „Przykra historia!”

- Panie Romano, prokurator okręgowy twierdzi, że moja matka winna jest defraudacji. Pan wie, że to nieprawda. Chcę, żeby pan pomógł mi przywrócić jej dobre imię.

- Nigdy nie rozmawiam o biznesie w czasie Mardi Gras. To jest sprzeczne z moją religią. - Wzruszył ramionami. Podszedł do barku i zaczął mieszać napoje. - Myślę, że dobrze pani zrobi, jeśli wypije pani drinka.

Nie pozostawiał jej wyboru. Otworzyła torebkę i wyjęła pistolet. Wycelowała w niego.

- Powiem panu, co mi dobrze zrobi, panie Romano. Jeśli pan wyjawi publicznie, co zrobił mojej matce. - Joseph Romano odwrócił się i zobaczył rewolwer.

- Niech pani to lepiej odłoży, panno Whitney. Może wystrzelić.

- Wystrzeli, jeśli nie zrobi pan dokładnie tego, co mówię. Usiądzie pan i napisze, jak ograbił pan i zniszczył firmę, doprowadził ją do bankructwa i zmusił moją matkę do samobójstwa.

Obserwował ją uważnie, w jego ciemnych oczach była czujność i skupienie.

- Rozumiem. A jeżeli odmówię?

- Wtedy zabiję pana. - Czuła jak pistolet drżał jej w dłoni.

- Nie wygląda pani na morderczynię, panno Whitney. - Szedł ku niej, trzymając kieliszek w ręku. Jego głos brzmiał dobrodusznie i szczerze. - Nie miałem nic

wspólnego ze śmiercią pani matki i, proszę mi wierzyć, ja... - Chlusnął jej alkoholem w twarz. Tracy poczuła żrący alkohol w oczach, w chwilę później pistolet wypadł jej z ręki. - Twoja mamuśka ukryła coś przede mną. Nie mówiła, że ma taką rogatą córeczkę.

Trzymał ją, unieruchomiwszy ręce. Była oślepiona i przerażona. Próbowła wykręcić ręce z uchwytu, ale przycisnął ją i przygwoździł do ściany.

- Masz charakter, dziewczuszko. Podobasz mi się. To mnie rajcuje. - Jego głos był ochryply. Czują jego ciało na sobie, chciała wyrwać się, ale była bezradna. - Chciałaś się troszkę zabawić, co? Joe nie będzie ci niczego żałował.

Nie mogła krzyczeć, miała ściśnięte gardło, zdołała tylko wyszeptać przez zaciśnięte zęby:

- Proszę mnie puścić! Rozerwał jej bluzkę.

- Hej, jakie małe, śliczne cycuszki! - szeptał. Uchwycił palcami jej sutki. - Walcz ze mną, dziewczuszko! Uwielbiam to!

- Puszczaj mnie!

Przyciskał ją coraz silniej, do bólu. Poczuła, że osuwa się na podłogę. - Założę się, że nigdy nie wydymał cię prawdziwy mężczyzna - powiedział. Okraczył ją, przygważdzając ciężarem do podłogi, przesuwał ręką po jej udach. Tracy odpychała go, kopiąc wściekle. W pewnej chwili dłoń natrafiła na pistolet. Złapała go i nagle rozległa się głucha eksplozja.

- O Jezus! - krzyknął Romano. Jego uchwyt natychmiast zelżał. Jak przez mgłę patrzyła w przerażeniu jak nagle zsunął się z niej i upadł na podłogę, trzymając się za bok.

Zabiłaś mnie... ty dziwko... Zabiłaś mnie...

Tracy leżała jak sparalizowana, niezdolna do żadnego ruchu. Było jej słabo, oślepiał ją ból w oczach. Z wielkim wysiłkiem wstała, odwróciła się i powlokła do drzwi znajdujących się daleko w końcu pokoju. Otworzyła je. To była łazienka. Zataczając się, podeszła do umywalki, napełniła ją zimną wodą i przemyła oczy. Ból powoli osłabł i stopniowo odzyskiwała wzrok. Spojrzała w lustro. Miała przekrwione oczy i wyglądała okropnie. „O Boże, przed chwilą zabiłam człowieka”. Pobiegnęła z powrotem do pokoju.

Joe Romano leżał na podłodze, brocząc obficie krwią na biały, nieskazitelny dywan. Tracy stała nad nim przeraźliwie blada.

- Przepraszam - powiedziała głupio. - Nie chciałam wcale...

- Karetkę! - wyrzucił.

Tracy pobiegła do telefonu na biurku i wykręciła numer pogotowia. Mówiła z wielkim trudem, zduszonym, rwącym głosem.

- Proszę przysłać karetkę, szybko! Adres: Jackson Square 421. Postrzelono człowieka!

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Joego Romano. „Dobry Boże! - modliła się. - Błagam cię, nie pozwól mu umrzeć. Przecież nie chciałam go zabić”. Uklękła przy nim na podłodze, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyje. Oczy miał zamknięte, ale oddychał.

- Karetka zaraz przyjedzie - oznajmiła głośno. Uciekła.

Nie mogła biec, gdyż zwróciłoby to uwagę przechodniów. Ściągnęła kurtkę ciasno, żeby ukryć rozerwaną bluzkę. Cztery przecznice dalej próbowała zatrzymać taksówkę. Chyba sześć ich przejechało obok, wypełnionych wesołymi, roześmianymi pasażerami. Gdzieś daleko usłyszała syrenę zbliżającej się karetki, kilka sekund później karetka przejechała obok niej, w kierunku domu Joe Romano. „Muszę się stąd wydostać” - pomyślała. Gdzieś przed nią zatrzymała się taksówka, wysiedli z niej pasażerowie. Tracy pobiegła w tę stronę, bojąc się, że nie zdąży.

- Jest pan wolny?

- To zależy. Dokąd pani jedzie?

- Na lotnisko. - Wstrzymała oddech.

- Proszę wsiadać.

W drodze na lotnisko Tracy pomyślała o karetkce. Co będzie, jeśli przyjadą za późno i Joe Romano umrze? Oskarżą ją o morderstwo. Zostawiła w jego domu pistolet, na którym były jej odciski palców. Może powiedzieć na policji, że Romano próbował ją zgwałcić i że pistolet wystrzelił przypadkowo, ale nigdy jej nie uwierzą. Kupiła przecież ten pistolet, który leżał teraz na podłodze obok Joego Romano. Ile czasu upłynęło od tej chwili? Pół godziny? Godzina? Musiała uciekać z Nowego Orleanu jak najszybciej.

- Podobał się karnawał? - zapytał kierowca. Tracy przełknęła ślinę.

- Ja... Tak. - Wyjęła lusterko i próbowała poprawić makijaż. To było głupie, ta próba zmuszenia Joego Romano do zeznań.

Wszystko poszło nie tak. „Jak mam wytłumaczyć Charlesowi to, co się stało?” Wiedziała, że będzie wstrząśnięty, ale gdy mu wszystko wyjaśni - zrozumie. On będzie wiedział, co należy zrobić.

Gdy taksówka dojechała do Międzynarodowego Portu Lotniczego w Nowym Orleanie, Tracy zdziwiła się: „Czy byłam tu tylko jeden dzień? Czy to wszystko stało się jednego dnia?” Samobójstwo jej matki... Przerazająca zabawa karnawałowa... Jęki tego człowieka: „Zabiłaś mnie... ty dziwko... Zabiłaś mnie...”

Weszła do poczekalni i wydało jej się, że wszyscy patrzą na nią z potępieniem. „Tak to jest, kiedy się ma nieczyste sumienie” pomyślała. Chciała w jakiś sposób dowiedzieć się czegoś o stanie Romano, ale nie miała pojęcia do jakiego szpitala go zabrali, ani kogo powinna zapytać. „Na pewno wyzdrowieje. Charles i ja wrócimy na pogrzeb matki, a Joe Romano wyzdrowieje”. Chciała za wszelką cenę odepchnąć od siebie obraz człowieka leżącego na białym zakrwawionym dywanie, jak najprędzej znaleźć się w domu, u boku Charlesa.

Tracy podeszła do okienka Delta Airlines.

- Proszę bilet w jedną stronę na najbliższy lot do Filadelfii. Bilet turystyczny. - Kasjer wystukał coś na komputerze.

- To będzie lot 304. Ma pani szczęście. Mamy jeszcze jedno wolne miejsce.

- O której godzinie odlatuje samolot?

- Za dwadzieścia minut. Proszę się pospieszyć.

Gdy sięgnęła do torebki, wyczuła raczej niż zobaczyła dwóch umundurowanych policjantów, zbliżających się do niej z obu stron. Jeden z nich zapytał:

- Tracy Whitney?

Serce na chwilę zamarło jej w piersi. „Głupio byłoby teraz wypierać się swojej tożsamości”.

- Tak...

- Jest pani aresztowana.

Poczuła jak chłodne, stalowe kajdanki zatraskują się na jej nadgarstkach.

Dla kogoś patrzącego z boku wszystko toczyło się sennie, jak na zwolnionym filmie. Tracy widziała siebie samą, prowadzoną przez lotnisko, przykutą kajdankami do jednego z policjantów, ludzi, którzy odwracali się i przyglądali. Popchnięto ją na tylne siedzenie czarno-białego radiowozu, przedzielonego w środku kratą. Wóz policyjny ruszył z zapalonymi czerwonymi światłami i włączoną syreną. Skuliła się na tylnym siedzeniu, pragnęła zniknąć, stać się niewidzialna. Była morderczynią. Joseph Romano umarł. Ale przecież to był wypadek. Wy tłumaczy im, co się stało. Uwierzą jej. *Muszą* jej uwierzyć.

Budynek komisariatu policji, do którego ją zawieziono, znajdował się w okręgu Algiers, na zachodnim przedmieściu Nowego Orleanu. Wyglądał ponuro i wywoływał najgorsze przeczucia, miał w sobie jakąś beznadziejność. Salę przyjęć zaludniały wynędzniałe, podejrzone typy - prostytutki, alfonsi, rzezimieszki uliczne i ich ofiary. Tracy znalazła się przed stolikiem dyżurnego sierżanta. Policjant, który ją aresztował, rzekł:

- To jest ta Whitney, sierżancie. Nakryliśmy ją na lotnisku, gdy chciała uciec.

- Ja nie...

- Zdejmijcie kajdanki. - Odpięto je. Tracy odzyskała głos.

- To był wypadek. Ja nie chciałam go zabić. On próbował mnie zgwałcić i... -

Nie mogła opanować hysterii.

- Nazywasz się Tracy Whitney? - zapytał krótko dyżurny sierżant.

- Tak. Ja...

- Zamknijcie ją.

- Nie! Chwileczkę! - błagała. - Muszę zadzwonić do kogoś. Jestem... mam prawo do jednego telefonu.

- Znasz przepisy, co? - chrząknął sierżant. - Który to już raz w pudle, kochanie?

- Nigdy. To jest...

- Możesz raz zadzwonić. Trzy minuty. Jaki numer ci wykręcić? Ze zdenerwowania zapomniała numeru Charlesa. Nie mogła nawet przypomnieć sobie kierunkowego do Filadelfii. „Czy to 2-5-1? Nie. Jakoś inaczej”. Zaczęła się trząść.

- Szybciej, mała. Nie mamy całej nocy. „Dwa-jeden-pięć. Właśnie tak”.

- Dwa-jeden-pięć-pięć-pięć-pięć-dziewięć-trzy-zero-jeden. Sierżant wykręcił numer i podał Tracy słuchawkę. Słyszała jak telefon dzwonił. I dzwonił. Ale nikt nie odpowiadał. „Przecież Charles musi być w domu”.

- Czas się skończył - powiedział sierżant i odebrał jej słuchawkę.

- Proszę, niech pan poczeka! - krzyknęła. Lecz w tej samej chwili przypomniawszy sobie, że Charles zazwyczaj wyłączał w nocy telefon, żeby mu nie przeszkadzał. Wsluchiwała się w długie brzęczenie i zrozumiała, że nie było sposobu, żeby się z nim połączyć.

- Skończone gadanie? - wtrącił się sierżant. Tracy spojrzała na niego i odpowiedziała:

- Skończone.

Jakiś policjant ubrany tylko w koszulę i spodnie zabrał ją do pokoju, gdzie spisano jej personalia i pobrano odciski palców. Potem poprowadził ją korytarzem do pojedynczej celi.

- Będziesz miała rozprawę rano - powiedział. Odszedł, zostawiając ją samą. „To wszystko nie dzieje się naprawdę - myślała. - To tylko okropny sen. Proszę Cię Boże, niech to będzie sen”.

Ale śmierdząca prycza w celi była naprawdę, toaleta bez siedzenia była naprawdę, kraty też były naprawdę.

Nocne godziny wlokły się bez końca. „Żeby mi się tylko udało połączyć z Charlesem”. Potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek w życiu. „Powinnam mu była zaufać od razu. Gdybym zaufała, nie wydarzyłoby się to wszystko”.

O szóstej znudzony strażnik przyniósł Tracy śniadanie składające się z zimnej kawy i wystygłej owsianki. Nie tknęła jedzenia. Jej żołądek był sparaliżowany. O dziewiątej przyszła po nią strażniczka.

- Czas już iść, mała. - Otworzyła drzwi celi.

- Muszę zatelefonować - odpowiedziała. - To jest bardzo...

- Później - odburknęła matrona. - Sędzia nie lubi czekać na oskarżonych. To kawał sukinsyna.

Poprowadziła Tracy przez korytarz i drzwi prowadzące do sali rozpraw. Podstarzały sędzia siedział w ławie, jego głowa i ręce podrygiwały w szybkich, krótkich gestach. Przed nim stał prokurator stanowy, Ed Topper, cherlawy mężczyzna około czterdziestki, z rozczochranymi włosami koloru pieprzu z solą, obciętymi *en brosse*, i zimnymi oczyma.

Doprowadzono Tracy na jej miejsce naprzeciwko sędziego i w chwilę później urzędnik sądowy oznajmił:

- Obywatele przeciwko Tracy Whitney! - Popchnięto ją w kierunku ławy oskarżonych. Sędzia czytał uważnie jakiś arkusz, kiwając głową w górę i w dół.

„Teraz”. Teraz wreszcie miała okazję wyjaśnić komuś poważnemu prawdę o tym, co się stało. Ścisnęła ręce razem, żeby nie drżały.

- Wysoki Sądzie, to nie było morderstwo. Postrzeliłam go, ale to nie było morderstwo. Chciałam tylko go przestraszyć. On próbował mnie zgwałcić i...

- Wysoki Sądzie - przerwał prokurator stanowy - po co marnować czas na próżno? Ta kobieta włamała się do domu pana Romano, uzbrojona w rewolwer

kalibru 32, ukradła obraz Renoira wart pół miliona dolarów, a gdy pan Romano przyłapał ją na gorącym uczynku, strzeliła do niego z zimną krwią i zostawiła go w przekonaniu, że nie żyje.

Tracy poczuła jak krew odpływa jej z twarzy.

- Co? Co pan wygaduje? - Nic tutaj nie pasowało, nie miało sensu.

Prokurator stanowy mówił dalej:

- Mamy pistolet, z którego zraniła pana Romano. Są na nim jej odciski palców.

- „Zraniła!” Więc Joseph Romano żyje! Nikogo nie zabiła. - Zbiegła z obrazem, Wysoki Sądzie. Jest on już prawdopodobnie u jakiegoś pasera. Z tej przyczyny prokuratura stanowa domaga się procesu o usiłowanie zabójstwa i grabież z bronią w ręku, jak również ustanowienia kaucji w wysokości pół miliona dolarów.

Sędzia zwrócił się do oszołomionej Tracy:

- Czy jest pani reprezentowana przez adwokata? - Nawet go nie dosłyszała. - Czy ma pani obrońcę? - Potrząsnęła głową.

- Nie. Ja... to, co ten człowiek mówi, to kłamstwo. Ja nigdy...

- Czy ma pani pieniądze na adwokata?

W banku istniał fundusz pracowniczy. Był jeszcze Charles.

- Ja... Nie, Wysoki Sądzie, ale nie rozumiem...

- Sąd przydzielił pani adwokata. Pozostanie pani w areszcie. Kaucja wynosi 500 tysięcy dolarów. Następna sprawa.

- Zaraz! To wszystko jest pomyłka! Ja nie jestem...

Nie zdawała sobie sprawy, jak znalazła się poza salą rozpraw.

Adwokat, przydzielony jej przez sąd, nazywał się Perry Pope. Miał około czterdziestki, twarz poraną bruzdami, ale inteligentną i budzącą zaufanie, niebieskie oczy. Tracy polubiła go od razu.

Przez chwilę chodził po celi, potem siadł na skraju pryczy i powiedział:

- No tak! Wywołałaś tu niezłą sensację jak na dziewczynę, która była w mieście tylko dwadzieścia cztery godziny. - Roześmiał się. - Ale masz szczęście. Kiepski z ciebie kowboj. To tylko powierzchowna rana. Romano będzie żył. - Wyciągnął fajkę. - Pozwolisz?

- Tak. - Nabił fajkę tytoniem, zapalił ją i przyjrzał się Tracy.

- Nie *wygląda* pani na przeciętną zdesperowaną kryminalistkę, panno Whitney.

- Nie jestem nią. *Przysięgam*, że nie jestem.

- Przekonaj mnie. Opowiedz, co się tam zdarzyło. Od początku. Nie musisz się spieszyć.

Tracy opowiedziała mu wszystko. Perry Pope siedział słuchając, i nie przerywając jej, dopóki nie skończyła. Potem oparł się o ścianę celi z ponurym wyrazem twarzy.

- To łobuz - wycedził powoli.

- Nie rozumiem, o czym oni mówili. - Patrzyła na niego w osłupieniu. - Nie rozumiem, co oni opowiadali o tym obrazie.

- To naprawdę dziecinnie proste. Joe Romano zrobił z ciebie kozła ofiarnego, podobnie jak z twojej matki. Wpadłaś prosto w pułapkę, którą dla ciebie przygotował.

- Nadal nic nie rozumiem.

- Więc pozwól, że ci wyjaśnię. Romano zażąda od Towarzystwa Ubezpieczeniowego pięciuset tysięcy dolarów za Renoira, którego sam gdzieś schował, i dostanie je. Towarzystwo będzie ścigać *ciebie*, nie jego. Gdy sprawa trochę przycichnie, sprzeda obraz jakiemuś prywatnemu kolekcjonerowi i zarobi następne pół miliona, dzięki twojej podjętej na własną rękę akcji. Czyżbyś nie wiedziała, że zeznanie uzyskane pod lufą pistoletu jest bezwartościowe?

- Teraz wiem. Ale myślałam, że kiedy wydobędę z niego prawdę, ktoś rozpocznie śledztwo.

Fajka adwokata zgasła. Zapalił ją znowu.

- Jak dostałaś się do domu?

- Nacisnęłam dzwonek przy drzwiach i pan Romano mnie wpuścił.

- On twierdzi, że było inaczej. Z tyłu domu jest wybite okno, przez które podobno weszłaś. Powiedział policji, że zobaczył cię, rozglądającą się za łupem, z Renoirem w ręku, a kiedy próbował cię zatrzymać, postrzelił go i uciekłaś.

- To kłamstwo! Ja...

- Ale to jego kłamstwo i jego dom, a twój pistolet. Jeszcze nie zrozumiałaś, z kim masz do czynienia?

Pokręciła głową w milczeniu.

- Więc pozwól, że wyjaśnię ci pewne fakty, panno Whitney. To miasto trzyma w ręku niejaki Orsatti i jego rodzina. Nic tu nawet nie drgnie, dopóki Anthony nie powie „okay”. Gdy chcesz postawić dom, wyrównać drogę, dać popracować dziewczynkom, zagrać w numerki, poniuchać prochy - idziesz do Orsattiego. Joe Romano zaczynał

jako jego kowboj. Teraz jest wielkim szefem w jego organizacji. - Przyglądał się jej ze zdziwieniem. - A ty weszłaś do domu Romano i wyjechałaś spluwę.

Tracy siedziała odrętwiała i wyczerpana.

- Czy pan wierzy w moją historię? Zaśmiał się.

- Cholera, masz chyba rację. To takie głupie, że chyba prawdziwe.

- Pomoże mi pan?

- Postaram się - odpowiedział powoli. - Dałbym wiele, żeby posadzić ich wszystkich za kratkami. To miasto i większość jego świątłych sędziów stanowi ich własność. Jeśli staniesz przed sądem, zrobią cię tak, że już nigdy nie zobaczysz słońca. - Tracy przyglądała mu się zagubiona.

- Jeśli stanę przed sądem?

Pope wstał i przechadzał się po małej celi.

- Nie chcę stawiać cię przed sądem, bo - uwierz mi - będzie to *jego* sąd. Jest tylko jeden sędzia, którego Orsatti nigdy nie zdołał kupić. Nazywa się Henry Lawrence. Jeśli uda mi się załatwić, żeby to on prowadził rozprawę, jestem całkowicie pewny, że dogadamy się. Nie jest to zupełnie w porządku, ale spróbuję porozmawiać z nim prywatnie. Nienawidzi Orsattiego i Romano tak samo jak ja. Teraz musimy tylko dostać się do sędziego Lawrence'a.

Perry Pope umożliwił Tracy zadzwonienie do Charlesa. Usłyszała znajomy głos jego sekretarki:

- Biuro pana Stanhope. Słucham?

- Harriet. Mówi Tracy Whitney. Czy jest...?

- Och, poszukiwał pani na wszystkie sposoby, panno Whitney, ale nie znaleźliśmy pani telefonu. Pani Stanhope jest bardzo niespokojna, chciałyby omówić z panią sprawy związane z weselem. Gdyby mogła pani skontaktować się z nią jak najszybciej...

- Harriet, czy mogę rozmawiać z panem Stanhope?

- Przykro mi, panno Whitney, ale go nie ma. Wyjechał do Houston na zebranie. Jeśli poda mi pani swój numer, jestem pewna, że zadzwoni natychmiast po powrocie.

- Ja... - Nie mogła dopuścić, żeby zadzwonił do niej tu, do więzienia. To ona pierwsza musi wyjaśnić mu wszystko. - Niestety, będę musiała zadzwonić później. - Powoli odłożyła słuchawkę. „Jutro - obiecała sobie nieśmiało. - Jutro wszystko wytłumaczę Charlesowi”.

Tego popołudnia przeniesiono ją do większej celi. Smakowity gorący obiad przysłano jej z „Galatoire”, a wkrótce potem pojawiły się świeże kwiaty. Na jednym z nich wisiała mała koperta. Tracy otworzyła ją i wyjęła karteczkę:

Głowa do góry, pokonamy sukinsynów. Perry Pope.

Adwokat złożył jej niespodziewaną wizytę następnego ranka. Już w chwili, gdy zobaczyła jego promienny uśmiech, wiedziała, że przynosi dobre nowiny.

- Szczęście sprzyja śmiałym - oznajmił. - Właśnie wyszedłem od sędziego Henry Lawrence'a i Toppera, prokuratora stanowego. Topper ryczał jak indiański szaman, ale poszliśmy na ugodę.

- Na ugodę?

- Opowiedziałem sędziemu Lawrence'owi całą historię. Zgodził się przyjąć twoje przyznanie się do winy. - Spojrzała na niego zaskoczona.

- Przyznanie się? Do czego? Jestem niewinna.

- Posłuchaj do końca. - Podniósł rękę. - Przyznając się do winy, zaoszczędzisz stanowi kosztów procesowych. Przekonałem sędziego, że nie ukradłaś tego obrazu. On zna Joego Romano i wierzy mi.

- Ale... jeśli przyznam się do winy - wybelkotała - to co oni mi zrobią?

- Sędzia Lawrence skaze cię na trzy miesiące więzienia z...

- Więzienia!

- Poczekaj chwilę. Wyrok będzie z zawieszeniem, a nadzór sądowy odbędziesz poza stanem.

- Ale wtedy będę miała kryminalną przeszłość. Perry Pope westchnął.

- Jeśli postawią cię przed sądem za rabunek z bronią w ręku i usiłowanie morderstwa, grozi ci co najmniej dziesięć lat.

„Dziesięć lat więzienia!”

Perry Pope cierpliwie czekał na decyzję.

- Wybór należy do ciebie! Ja mogę tylko doradzić ci, jak umiem najlepiej. To naprawdę cud, że zdołałem aż tyle załatwić. Oni teraz czekają na odpowiedź. Nie musisz się zgodzić. Możesz wziąć innego adwokata i...

- Nie. - Nie wątpiła w jego uczciwość. W tych okolicznościach, biorąc pod uwagę jej głupotę, zrobił dla niej wszystko co było możliwe. Gdyby tylko mogła porozmawiać z Charlesem. Ale decyzję musiała podjąć natychmiast. Prawdopodobnie

miała szczęście, że wszystko skończy się na trzech miesiącach z zawieszeniem. - Ja... ja się zgadzam - powiedziała. Otwieranie ust sprawiło jej ogromny wysiłek.

- Mądra dziewczynka! - skinął głową.

Nie zezwolono jej na żadne rozmowy telefoniczne przed drugą rozprawą. Ed Topper stał po jednej stronie oskarżonej, a Perry Pope po drugiej. W ławie sędziowskiej zasiadał elegancki, poważnie wyglądający mężczyzna około pięćdziesięciu lat, o gładkiej, niepomarszczonej twarzy i gęstych, starannie uczesanych włosach.

Sędzia Henry Lawrence zwrócił się do Tracy:

- Sąd otrzymał informację, że obrońca zmienia linię obrony. Oskarżona przyznaje się do winy. Czy to prawda?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Czy żadna ze stron nie wyraża sprzeciwu?

- Nie, Wysoki Sądzie. - Perry Pope skinął głową.

- Prokuratura stanowa wyraża zgodę, Wysoki Sądzie - zawtórował Ed Topper.

Sędzia Lawrence milczał przez dłuższą chwilę. Potem pochylił się do przodu i spojrzał Tracy prosto w oczy.

- Jedną z przyczyn, dla których ten piękny, bogaty kraj pogrąża się w bezprawiu i chaosie, jest to, iż jego ulice zamieszkują łotrzykowie, wyobrażający sobie, że każda zbrodnia ujdzie im płazem. Ludzie, którzy śmieją się z prawa. Niektóre systemy sądownicze w tym kraju rozpieszczają przestępców. Ale my w Luizjanie nie mamy tego zwyczaju. Gdy osoba przyłapana na grabieży usiłuje zabić kogoś z zimną krwią, chcemy wierzyć, że zostanie ona sprawiedliwie ukarana.

Tracy poczuła pierwsze objawy paniki. Spojrzała na Perry'ego Pope. Jego oczy utkwione były w twarzy sędziego.

- Obrona przyznaje, że oskarżona podjęła próbę zamordowania jednego z najwybitniejszych członków naszej społeczności - obywatela o nieposzlakowanej opinii, znanego z filantropii i dobrych uczynków. Oskarżona strzeliła do niego w chwili, gdy rabowała dzieło sztuki warte pół miliona dolarów. - Głos sędziego stał się surowszy. - Tak więc sąd dopilnuje, by nie mogła się pani cieszyć owocami owego przestępstwa, przynajmniej przez najbliższe piętnaście lat, albowiem właśnie piętnaście lat spędzi pani w Zakładzie Penitencjarnym dla Kobiet w Luizjanie Południowej.

Tracy wydało się, że sala sądowa zaczyna wirować. To musiał być jakiś potworny żart. Sędzia był aktorem wybranym do tej roli, ale czytał niewłaściwy tekst. Nikt nie oczekiwał takiego obrotu sprawy. Odwróciła się, żeby wyjaśnić to Perry'emu Pope, ale jego oczy były zwrócone gdzie indziej. Przewracał jakieś papiery w swojej teczce i Tracy po raz pierwszy zauważyła, że jego paznokcie były obgryzione do skóry. Sędzia Lawrence podniósł się i zebrał notatki. Tracy stała, skamieniała, obojętna, nie rozumiejąca co się tu właściwie stało. Urzędnik sądowy podszedł do niej z boku i chwycił ją za ramię.

- Proszę za mną - powiedział

- Nie! - Wyszarpnęła się mu. - Nie, proszę! - Spojrzała na sędziego. - To jakaś nieprawdopodobna pomyłka, Wysoki Sądzie. Ja...

Ale gdy poczuła rękę urzędnika zaciskającą się na jej ramieniu, zrozumiała, że nie było pomyłki. Została oszukana. Oni chcieli ją zniszczyć.

Dokładnie w ten sam sposób, w jaki zniszczyli jej matkę.

Wiadomość o zbrodni i procesie Tracy Whitney pojawiła się na pierwszej stronie „New Orleans Courier” wraz z jej fotografią policyjną. Główne sieci telegraficzne podchwyciły historię i przekazały ją redakcjom w całym kraju. Gdy Tracy eskortowano z sali sądowej do celi, gdzie miała oczekiwać na przewiezienie do więzienia, towarzyszył jej tłum telewizyjnych reporterów i dziennikarzy. Jak tylko mogła ukrywała twarz, ale przed kamerami nie było ucieczki. Joe Romano to ważna figura, a zamach na jego życie, dokonany przez piękną, młodą włamywaczkę, był dużą sensacją. Tracy wydawało się, że jest otoczona przez wrogów. „Charles mnie wydostanie - powtarzała w kółko. - Boże, błagam Cię, niech Charles mnie wydostanie. Nie mogę urodzić dziecka w więzieniu”. Dopiero następnego popołudnia sierżant w więzieniu pozwolił Tracy skorzystać z telefonu. Odpowiedziała Harriet:

- Biuro pana Stanhope.

- Harriet, mówi Tracy Whitney. Chciałabym rozmawiać z panem Stanhope.

- Jedną chwileczkę, panno Whitney. - Wyczuła moment wahania w głosie sekretarki. - Zobaczę, czy pan Stanhope jest obecny.

Po długim, dręczącym oczekiwaniu wreszcie usłyszała głos Charlesa. Poczowała ogromną ulgę, łzy napłynęły jej do oczu.

- Charles...

- Tracy? Czy to ty, Tracy?

- Tak, kochanie. Och, Charles, tyle razy próbowałam się połączyć...

- Ja tu po prostu wariuję, Tracy! Gazety wypisują o tobie obłądne historie. Nie mogę uwierzyć, w to, co piszą.

- Nic z tego nie jest prawdą, kochanie. Nic. Ja...

- Gdzie jesteś teraz?

- Jestem w areszcie w Nowym Orleanie. Charles, oni chcą zamknąć mnie w więzieniu za to, czego nie zrobiłam. - Ku swojemu przerażeniu zaczęła płakać.

- Poczekaj. Słuchaj uważnie. W gazetach piszą, że strzeliłaś do człowieka. To jest kłamstwo, prawda?

- Strzeliłam do niego, ale...

- W takim razie to prawda.

- To nie jest tak, jak piszą, kochanie. To jest zupełnie inaczej. Wyjaśnię ci wszystko. Ja...

- Tracy, czy przyznałaś się do próby morderstwa i kradzieży obrazu?

- Tak, Charles, ale tylko po to, żeby...

- Mój Boże, jeśli tak bardzo potrzebowałaś pieniędzy, mogłaś zwrócić się do mnie... Do tego próba morderstwa... Nie mogę w to uwierzyć. Moi rodzice także. Poświęcono ci cały artykuł wstępny w dzisiejszej filadelfijskiej „Daily News”. Po raz pierwszy cień skandalu padł na rodzinę Stanhope.

Jakaś dziwna pewność siebie brzmiąca w głosie Charlesa wymownie świadczyła o jego uczuciach. Liczyła na niego, a on był po *ich* stronie. Zmusiła się, żeby nie płakać.

- Kochanie, potrzebuję ciebie. Proszę cię, przyjedź. Tylko ty możesz jeszcze wszystko naprawić. - Zapadła długa cisza.

- Nie wydaje mi się, żeby było tu jeszcze coś do naprawiania, Tracy. Zwłaszcza po twoim przyznaniu się do wszystkiego. Rodzina nie może być zamieszana w tego rodzaju historie. Na pewno dobrze mnie rozumiesz. To był okropny szok dla nas wszystkich. No tak, właściwie nigdy nie znałem cię naprawdę.

Każde słowo było uderzeniem młota. Świat walił się na nią. Nigdy w swoim życiu nie czuła się tak samotna. Nie pozostał jej już nikt. Nikt.

- Co... co będzie z dzieckiem?

- Ze swoim dzieckiem zrobisz to, co uznasz za stosowne - powiedział. - Przykro mi, Tracy. - Połączenie zostało przerwane.

Stała wciąż, oniemiała, ze słuchawką w ręku. Jakiś więzień za nią odezwał się:

- Jeśli skończyłaś gadanie, skarbie, to może ja sobie teraz podzwonię. Mój adwokat na mnie czeka.

Gdy wróciła do celi, przełożona poinstruowała ją:

- Przygotuj się do wyjazdu. Zabiorę cię jutro o piątej rano.

Miała gościa. Otto Schmidt wyglądał, jakby przybyło mu sporo lat podczas tych niewielu godzin, które upłynęły od ich ostatniego spotkania. Sprawiał wrażenie chorego.

- Przyszedłem, żeby powiedzieć pani, jak bardzo nam przykro. My z żoną wiemy, że to nie była pani wina.

„Gdyby tak Charles to powiedział”.

- Jutro będziemy z żoną na pogrzebie pani Doris.

- Dziękuję ci, Otto.

„Jutro chyba pochowają nas obie” - pomyślała z rozpaczą Tracy.

Przez całą noc nie zmrużyła oka, leżąc na wąskim więziennym łóżku i gapiąc się w sufit. W myślach wciąż od nowa powtarzała rozmowę z Charlesem. Nawet nie dał jej szansy wytłumaczyć się. Musiała pomyśleć o dziecku. Czytała kiedyś historię o kobietach rodzących w więzieniach, ale były one od niej tak odległe, że przypominały raczej opowieść o ludziach z innych planet. Teraz to samo przydarzyło się jej. „Zrobisz to, co uważasz za stosowne ze swoim dzieckiem” - powiedział Charles. Chciała urodzić to dziecko. „Ale - pomyślała - nie pozwolą mi zatrzymać go przy sobie. Zabiorą je, bo ja sama zostanę w więzieniu przez najbliższe piętnaście lat. To chyba lepiej, że nigdy nie będzie znało swojej matki”.

Rozpłakała się.

O piątej rano strażnik więzienny w towarzystwie matrony wkroczył do celi.

- Tracy Whitney? - Tak. - Zdziwiła się, jak obco zabrzmiał jej własny głos.

- Na mocy wyroku Sądu Kryminalnego stanu Luizjana, okręg nowoorleański, zostaniesz teraz przewieziona do Zakładu Penitencjarnego dla Kobiet w Luizjanie Południowej. Ruszaj się, skarbie.

Prowadzono ją długim korytarzem, obok cel wypełnionych więźniami. Słyszała okrzyki:

- Dobrej podróży, dziecko.

- Gdzie masz ten obraz, Tracy, kochanie? Powiedz mi, a forszę podzielimy po połowie.

- Jak będziesz w Dużym Domu, Tracy, zapytaj o Ernestynę Littlechap. Ona się tobą zajmie...

Przechodziła obok telefonu, z którego rozmawiała z Charlesem. „Do widzenia, Charles”.

Była już na zewnątrz, na dziedzińcu. Stał tam duży autobus więzienny z zakratowanymi oknami. Silnik pracował cicho. W autobusie siedziało już pół tuzina kobiet, pilnowanych przez dwóch uzbrojonych strażników. Tracy spoglądała na twarze swoich towarzyszek. Jedna z nich miała wyraz wyzywający, druga znudzony, jeszcze inne były pełne rozpacz. Ich dotychczasowe życie skończyło się. Były odpadkami, wieziono je do klatek, gdzie będą trzymane w zamknięciu, jak zwierzęta.

Tracy zastanawiała się, jakie popełniły zbrodnie i czy któraś z nich była niewinna tak samo jak ona, próbowała się też domyślić, co one widziały w jej twarzy.

Podróż wlokła się bez końca, autobus był rozgrzany, powietrze stęchłe, ale Tracy nie myślała o tym. Pogrzeżyła się w myślach, nie zwracając uwagi na inne pasażerki, ani zielone tereny, przez które przejeżdżali. Przenosiła się w inne czasy, w inne miejsce.

Była wtedy małą dziewczynką na plaży, razem z matką i ojcem, jej ojciec zaniósł ją na rękach do oceanu, a gdy krzyczała - powiedział: „Nie bądź dzieciakiem, Tracy” - i wrzucił ją do zimnej wody. Kiedy woda zamknęła się jej nad głową - wpadła w panikę i zaczęła się dusić. Wtedy ojciec podniósł ją i zrobił to samo jeszcze raz. Od tego czasu panicznie bała się wody...

Sala college'u była wypełniona studentami, ich rodzicami i krewnymi. Tracy miała wygłosić przemówienie pożegnalne. Mówiła przez piętnaście minut, jej słowa pełne były szlachetnego idealizmu, odniesień do przeszłości i wzniosłych marzeń o przyszłości. Dziekan wręczył jej symboliczny klucz do towarzystwa Phi Beta Kappa³. „Chcę, żebyś go zatrzymała” - powiedziała Tracy swojej matce, której twarz poczerwieniała z dumy...

„Jadę do Filadelfii, mamó. Załatwiłam tam sobie pracę w banku...”

Anna Mahler, jej najlepsza przyjaciółka, zachwalała Filadelfię. „Będziesz oczarowana Filadelfią, Tracy. Pełno jest tam imprez kulturalnych i rozrywek. Piękne otoczenie i bardzo mało kobiet. Mężczyźni są strasznie wyposzczeni, sama się przekonasz. Załatwię ci pracę w banku, będziemy pracować razem...”

Kochała się z Charlesem. Obserwowała cienie poruszające się na suficie i myślała: „Ile dziewcząt mi teraz zazdrości?” Charles był nie lada gratką. I zaraz zawstydzila się własnej myśli. Kochała go. Czula go w sobie, prętego coraz silniej i silniej, na krawędzi eksplozji, i wtedy zdyszonym głosem zapytał: „Czy jesteś gotowa?” A ona skłamała i odpowiedziała, że tak. „To było cudowne, prawda, Tracy? Tak, Charles”. Pomyślała: „Czy to już wszystko?” I znowu poczucie winy...

Ty! Do ciebie mówię! Ogłuchłaś, czy co, do cholery?! Idziemy!

³ Phi Beta Kappa - towarzystwo honorowe założone w USA. Jego członkami są absolwenci szkół średnich, którzy zdobyli nominacje akademickie. (Przypis tłum.)

Tracy spojrzała w górę i uświadomiła sobie, że siedzi w autobusie. Zatrzymał się na jakimś placu otoczonym zewsząd ponurymi, ciemnymi budynkami. Dziewięć linii ogrodzenia z drutem kolczastym otaczało pięćset akrów ziemi położonej wśród lasów i pastwisk - teren Zakładu Penitencjarnego dla Kobiet w Luizjanie Południowej.

- Wyłączyć! - krzyknął strażnik. - Jesteśmy na miejscu.

- *Na miejscu* było piekło...

Krepa kobieta o kamiennej twarzy i kruczoczarnych, farbowanych włosach przemawiała do nowo przybyłych:

- Niektóre z was będą tutaj przebywać przez długi, długi czas. Jest tylko jeden sposób, żebyście to wytrzymały: musicie zapomnieć o całym zewnętrznym świecie. Wasze życie może tu być przykre lub dość łatwe. Mamy tu własne reguły i będziecie ich przestrzegać. Powiemy wam, kiedy się wstaje, kiedy pracuje, kiedy się je, kiedy się idzie do wychodka. Nie lubimy kłopotów i wiemy, jak postępować z tymi, którzy je sprawiają. - Jej oczy zatrzymały się na Tracy. - Zabierzemy was teraz na badania. Potem pójdziecie do łaźni i do swoich cel. Rano poznacie swoje nowe obowiązki. To wszystko. - Odwróciła się.

Błada, młoda dziewczyna stojąca obok Tracy odezwała się:

- Przepraszam, czy może pani...

Matrona drgnęła gwałtownie i poczerwieniała z gniewu.

- Zamknij swoją parszywą jadaczkę. Możecie mówić tylko wtedy, kiedy was pytają, rozumiesz? To dotyczy każdej z was, dziwki. - Ten ton i słowa wstrząsnęły Tracy. Matrona skinęła na dwie strażniczki stojące w głębi sali. - Zabierzcie stąd te kurwy.

Wypędzono ją razem z innymi i poprowadzono długim, ciemnym korytarzem. Więźniarki pomaszerowały do wielkiej sali wyłożonej białymi kafelkami. Stał tam przy stole gruby mężczyzna w średnim wieku, ubrany w poplamiony płaszcz lekarski.

- Do szeregu - zakomenderowała jedna z matron i ustawiła kobiety w długi szereg. Człowiek w lekarskim płaszczu powiedział:

- Jestem doktor Glasco, panienki. Rozbierajcie się! Kobiety niespokojnie spoglądały na siebie. Któraś z nich zapytała:

- Do jakiego stopnia mamy się...

- Nie wiecie co to znaczy *rozbierać się*? Zdejmijcie ubrania, wszystko.

Powoli zaczęły się rozbierać. Niektóre były półprzytomne, inne - urażone, jeszcze inne - obojętne. Z lewej strony Tracy stała drżąc konwulsyjnie kobieta około czterdziestki, a z prawej przeraźliwie chuda dziewczyna, wyglądająca najwyżej na siedemnaście lat. Jej skóra pokryta była luszczącymi się plamami.

- Połóż się na tym stole i włóż nogi w strzemiona. - Lekarz wskazał na pierwszą w szeregu.

Zawahała się.

- Pospiesz się. Zatrzymujesz resztę.

Kobieta wykonała polecenie. Lekarz wsunął wziernik w jej pochwę. Podczas badania zapytał:

- Czy masz chorobę weneryczną?

- Nie.

- Szybko się o tym przekonamy.

Następna kobieta zajęła jej miejsce na stole. Gdy doktor rozpoczął badanie tym samym wziernikiem, Tracy nie wytrzymała.

- Proszę przerwać!

- Co?! - Doktor przerwał i spojrzał na nią zdziwiony.

- Pan nie... wysterylizował tego instrumentu - mówiła dalej, zmieszana.

Doktor Glasco posłał Tracy lekki, chłodny uśmiezek.

- Aha! Więc mamy tu i ginekologa! Boisz się zarazków, co? Przejdź na koniec szeregu.

- Co?

- Nie rozumiesz po angielsku? Przechodź!

Tracy, nic nie rozumiejąc, zajęła miejsce na końcu szeregu.

- Teraz, jeżeli pani doktor pozwoli - odezwał się - będziemy kontynuowali.

Rozpoczął badanie kobiety, która leżała na stole i dopiero wtedy Tracy zrozumiała, dlaczego znalazła się na końcu szeregu. Miał zamiar zbadać je wszystkie tym samym niesterylizowanym instrumentem, a ona będzie ostatnia. Ogarnął ją wściekły, bezsilny gniew. Mógł przecież badać je oddzielnie, zamiast rozmyślnie poniewierać ich godność. A one pozwalały mu na to. „Gdyby wszystkie zaprotestowały, razem”... Nadeszła jej kolej.

- Na stół, *pani doktor*.

Tracy zawahała się, ale nie miała wyboru. Weszła na stół i zamknęła oczy. Poczula, jak rozwierał jej nogi, a potem chłodny przyrząd zagłębił się w jej wnętrzu, badając, popychając, zadając ból. Rozmyślnie zadając ból. Zacisnęła zęby.

- Masz syfilis albo rzeżączkę? - zapytał doktor.

- Nie. - Nie miała zamiaru informować go o dziecku. Nie tego potwora. Powie to naczelnikowi więzienia.

Poczula jak wziernik został brutalnie wyjęty. Doktor Glasco zakładał gumowe rękawice.

- W porządku - powiedział. - Do szeregu i pochylić się. Teraz sprawdzimy wasze małe, ładne dupki.

Kierując się pierwszym odruchem, Tracy zapytała: - Dlaczego pan to robi? Doktor Glasco spojrzał na nią:

- Powiem ci dlaczego, doktoru. Bo otwory w odbytnicach są doskonałą przechowalnią. Mam całą kolekcję marihuany i kokainy, zebraną z takich panienek, jak ty. Teraz - wypnij tyłek.

I pomaszerował wzdłuż szeregu, zanurzając palce w odbytnicach. Tracy z ogromnym wysiłkiem powstrzymywała się od wymiotów. Czowała falę mdłości, narastającą w jej gardle i zaczynała się dławić.

- Spróbuj tylko zwymiotować, a wpakuję ci to z powrotem do gardła. - Zwrócił się do strażników: - Zabierzcie je pod prysznice. Śmierdzą.

Niosąc swoje ubrania, nagie więźniarki pomaszerowały innym korytarzem do wielkiego, betonowego pomieszczenia, wyposażonego w tuzin natrysków.

- Rzućcie ubrania do kąta - rozkazała matrona - i włączcie pod prysznice. Używajcie mydła dezynfekcyjnego. Myjcie dokładnie każdy kawałek ciała od głowy do pięt, włosy umyjcie szamponem.

Tracy zeszła z chropowatej, cementowej podłogi pod prysznic. Struga wody była zimna. Tarła ciało szorstkim mydłem, myśląc: „Nigdy już nie będę czysta. Co to za obrzydliwi ludzie? Jak mogą traktować kogokolwiek w ten sposób? Nie wytrzymam tego przez piętnaście lat!”

- Hej ty! Czas się skończył! Wychodź! - zawołał do niej strażnik.

Tracy wyszła spod prysznic i jej miejsce zajęła następna kobieta. Podali jej cienki, sprany ręcznik, którym się wytarła. Gdy ostatnia więźniarka wykąpała się, przeszły do magazynu, gdzie stały półki z ubraniami, pilnowane przez kobietę o latynoskich rysach, która mierzyła każdą z osobna i rozdzielala szare uniformy. Tracy i każda z nowo przybyłych otrzymały po dwie mundurowe sukienki, dwie pary krótkich spodni, dwa biustonosze, dwie pary butów, dwie koszule nocne, pas sanitarny, szczotkę do włosów i torbę na brudną bieliznę. Matrony stały, przyglądając się wkładającym ubrania więźniarkom. Gdy skończyły - zaprowadzono je do pokoju, gdzie inna zaufana więźniarka obsługiwała duży aparat fotograficzny ustawiony na trójnogu.

- Stań tam, pod ścianą. - Tracy podeszła do ściany.

- Patrz prosto. - Wlepiała wzrok w obiektyw. Klik!

- Obróć twarz w prawo. - Posłuchała. Klik! -. Lewy profil - klik! - podejdz do stołu.

Na stole znajdowały się urządzenia do pobierania odcisków palców. Tracy kładła palce na poduszce nasączonych tuszem i potem przyciskała je do białej kartki.

- Lewa ręka. Prawa ręka. Wytrzymaj ręce tą ścierką. Skończone. „Ma rację - pomyślała Tracy - skończone. Jestem numerem.

Bez imienia, bez twarzy”. Strażnik zwrócił się do niej:

- Whitney? Wzywa cię naczelnik więzienia. Chodź za mną. Serce podeszło Tracy do gardła. Jednak Charles coś zrobił, mimo wszystko! *Oczywiście*, że nie opuścił jej, ona także nie opuściłaby jego. To tylko nagły szok kazał mu zachować się tak, jak się wtedy zachował. Miał czas, przemyślał wszystko spokojnie i zrozumiał, że wciąż ją kocha. Porozmawiał z naczelnikiem i wyjaśnił tę straszną pomyłkę. Teraz ją uwolnią.

Pomaszerowała jeszcze innym korytarzem przez dwie przegrody potężnych drzwi zamykanych na ciężkie sztaby, strzeżonych przez męską i żeńską straż. Przechodząc przez drugie drzwi, Tracy omal nie przewróciła się, wpadając na jakąś olbrzymkę idącą w przeciwnym kierunku. Była to chyba najwyższa kobieta, jaką kiedykolwiek widziała - miała dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, musiała ważyć grubo powyżej stu kilogramów. Miała płaską twarz, poznaczoną ospą, ogromne, żółtawe oczy. Złapała Tracy za ramię i przytrzymała, dotykając ręką jej piersi.

- Hej! - krzyknęła do strażnika. - Mamy tu nową rybkę! Może by ją tak wpakować do mnie, co? Pasuje wam?

Miała wyraźny szwedzki akcent.

- Niestety. Już jest przydzielona, Berto.

Amazonka klepnęła ją po głowie. Tracy cofnęła się, a olbrzymka wybuchnęła śmiechem.

- OK, *littbarn*⁴. Duża Berta obejrzy cię później, mamy sporo czasu. Nigdzie nie wyjeżdżamy.

Znaleźli się przed biurem naczelnika. Tracy gubiła się w domysłach. Czy będzie tu Charles? A może przysłał swojego adwokata? Sekretarka naczelnika skinęła głową strażnikowi.

⁴ Littbarn - nieco zniekształcone szkockie „little bairn” - dzieciątko. (Przypis tłum.)

- Już jest, czeka na nią. Zostań tutaj.

Naczelnik więzienia George Brannigan siedział nad porysowanym blatem biurka, studiując uważnie leżące przed nim dokumenty. Był już po czterdzieście - szczupły, zniszczony człowiek o delikatnych rysach i głęboko osadzonych, zielonych oczach.

Naczelnik Brannigan już od pięciu lat nadzorował południowo-luizjański zakład penitencjarny. Przyjechał tu jako młody, nowoczesny kryminolog, gorliwy idealista, przekonany o konieczności gruntownych reform w zakładach penitencjarnych. Ale rzeczywistość urobiła go, tak jak przed nim urobiła innych.

Cele, przewidziane pierwotnie jako dwuosobowe, mieściły od czterech do sześciu więźniarek. Naczelnik wiedział, że taka sama sytuacja panuje wszędzie. We wszystkich więzieniach było zbyt mało personelu w stosunku do rosnącej liczby więźniów. Tysiące ich trzymano w tych komórkach dniami i nocami, nie dając im żadnego zajęcia, oprócz podsycania wzajemnej nienawiści i snucia marzeń o zemście. Był to głupi, brutalny system, ale nie było innego.

Zadzwoił do sekretarki: - W porządku. Proszę ją wprowadzić.

Strażnik otworzył drzwi biura i Tracy weszła.

Brannigan przyjrzał się jej uważnie, w zamyśleniu. Ubrana w kostium więzienny z szarego płótna, z twarzą, na której niedawne przeżycia pozostawiły głęboki ślad, Tracy Whitney nie straciła wiele ze swojej urody. Miała szczere, piękne rysy. Brannigan zastanawiał się, ile czasu trzeba będzie, żeby odmienić tę twarz. Interesował go specjalnie ten przypadek, ponieważ znał historię Tracy z gazet i przeglądał jej akta. Nie była recydywistką, nie zamordowała nikogo - piętnaście lat wydawało mu się wyrokiem niewspółmiernie surowym. Nazwisko oskarżyciela - Joe Romano, nasuwało mu także pewne wątpliwości. Mimo wszystko - nie powinien się niepokoić, nie wchodziło to w zakres jego obowiązków. Nie miał prawa podważać systemu, którego sam był częścią.

- Proszę, usiądź - wskazał jej krzesło.

Tracy usiadła z ulgą. Drżały jej kolana: teraz powie o Charlesie, powie jej, kiedy zostanie zwolniona.

- Przeglądałem właśnie twoje akta - zaczął. „Charles go o to prosił”.

- Wynika z tego, że pozostaniesz z nami bardzo długo. Jesteś skazana na piętnaście lat. - Jego słowa docierały do Tracy z opóźnieniem. Coś się tu nie zgadzało.

- Czy-czy pan n-nie rozmawiał z Charlesem? - Ze zdenerwowania jąkała się.

- Charlesem? - Spojrzał na nią zdumiony.

Teraz zrozumiała. Poczula, że żołądek odmawia jej posłuszeństwa.

- Proszę - powiedziała - proszę, niech pan mnie wysłucha. Ja nic nie zrobiłam. Jestem niewinna. Nie powinnam się tu znaleźć.

Który to już raz słyszał te słowa? Setny? Tysięczny? „Jestem niewinna”.

- Sąd uznał cię za winną - odpowiedział. - Radzę ci uczynić wszystko, aby ten czas upłynął możliwie szybko. Kiedy zaakceptujesz warunki, które tu panują, przyjdzie ci to znacznie łatwiej. W więzieniu nie istnieją zegary - istnieją tylko kalendarze.

„Nie mogę być tu przez piętnaście lat - pomyślała z rozpaczą. - Chcę umrzeć. Boże, pozwól mi umrzeć. Ale przecież nie mogę umrzeć, prawda? Zabiłabym moje dziecko. To jest też twoje dziecko, Charles. Dlaczego nie jesteś tu ze mną, nie pomagasz mi?” Od tej chwili zaczęła go nienawidzić.

- Gdybyś miała jakieś szczególne problemy - ciągnął Brannigan - to znaczy, takie w których mógłbym ci jakoś pomóc - to przyjdź i opowiedz mi o nich. - Już mówiąc to, zdawał sobie sprawę, jak puste i nic nie znaczące były jego słowa. Tracy była młoda, piękna i świeża. Więzienne szakale opadną ją od razu jak sfora dzikich bestii. Nie było nawet bezpiecznej celi, w której mógłby ją zamknąć. Prawie w każdej celi była „królowa”, spragniona świeżej krwi. Naczelnik Brannigan słyszał pogłoski o gwałtach pod prysznicami, w toaletach, nawet w korytarzach. Były to tylko pogłoski, gdyż ofiary nigdy się nie skarżyły. Milczały lub umierały.

- Za dobre sprawowanie możesz być uwolniona już po dwunastu albo... - powiedział łagodnie naczelnik Brannigan.

- Nie!!! - Była w tym krzyku rozpacz, nieopisana desperacja granicząca z obłędem. Ściany pokoju zawirowały i zdawały się walić na nią ze straszliwym trzaskiem. Wstała, zatoczyła się i byłaby upadła, gdyby nie strażnik, który wpadł do pokoju i podtrzymał ją w ostatniej chwili.

- Spokojnie! Uciszyć ją - polecił mu naczelnik Brannigan. Siedział odrętwiały, bezradny, patrząc na oddalającą się Tracy.

Prowadzili ją przez kilka korytarzy, obok cel pełnych kobiet najróżniejszej maści: czarnych, białych, brązowych i żółtych. Wlepiły w nią zimne, obojętne spojrzenia, wykrzykiwały w dziesiątkach języków, z dziwaczными akcentami. Brzmiało

to jak jakaś zwariowana pieśń, powtarzana w stałym rytmie, ale bełkotliwa, niezrozumiała, bezsensowna:

- Śnieży miękko...

- Ścieżka mętna...

- Świetna mięta...

- Śmieszna męka...

Dopiero gdy doszli do jej bloku, zrozumiała co kobiety wyśpiewywały:

- Świeże mięso.

6

W bloku C mieszkało sześćdziesiąt kobiet, po cztery w celi. Tracy maszerowała długim, cuchnącym korytarzem, odprowadzana spojrzeciami, których wyraz oscylował od obojętności do żądy i nienawiści. Powoli pogrążała się pod wodę, jak istota z zaświatów w wolno rozwijającym się śnie. Gardło bolało ją od krzyku, który rodził się gdzieś wewnątrz jej ciała i nie znajdował ujścia. Spotkanie z naczelnikiem było jej ostatnią nadzieją. Teraz nie pozostało już nic. Nic, oprócz odrętwiającej perspektywy tkwienia w tej klatce, jak w czyścicu, przez następnych piętnaście lat. Przełożona otworzyła drzwi: - Wchodź! Tracy zamrugała i rozejrzała się: trzy kobiety patrzyły na nią w milczeniu, obojętnie.

- No ruszaj się! - ponagliła matrona.

Tracy zawahała się, potem weszła do celi. Drzwi trzasnęły za jej plecami.

Była w domu.

W ciasnej celi z trudem mieściły się cztery prycze, mały stół z wiszącym, pękniętym lustrem, cztery miniaturowe szafki i ubikacja. Kobiety przyglądały się jej w skupieniu. Ciszę przerwała Portorykanka:

- Patrzcie, mamy nową kumpelkę.

Miała szorstki, zachrypnięty głos. Byłaby piękna, gdyby nie czerwona blizna od noża, biegnąca od skroni do gardła. Można było przysiąc, że ma czternaście lat, dopóki nie zajrzało się w jej oczy.

- *Que suerte verte!* Witamy uprzejmie! Za co cię zamknęli, *querida?* - powiedziała przysadzista Meksykanka w średnim wieku.

Tracy była zbyt odrętwiała, by odpowiedzieć.

Trzecia kobieta była czarna. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, wąskie, badawcze oczy i chłodną, surową maskę na twarzy. Jej głowa była wygolona do samej skóry, czaszka przeświecała ciemnoniebiesko w słabym świetle.

- Tam jest twoja koja, w tym kącie.

Tracy podeszła do pryczy. Materac był brudny, zbrązowiały od ekskrementów Bóg wie ilu poprzednich właścicieli. Nie potrafiła przemóc wstrętu i dotknąć go. Mimo woli dała wyraz swemu obrzydzeniu:

- Ja... nie mogę spać na tym materacu.

- Nie musisz, kochanie. - Gruba Meksykanka roześmiała się - *Hay tiempo*. Możesz na moim.

Nagle Tracy uświadomiła sobie sytuację, w jakiej się znalazła, i było to jak uderzenie młota. Trzy kobiety patrzyły na nią, ich oczy pałały, obnażały ją. „Świeże mięso”. Poczowała przerażenie. „To nieprawda - pomyślała. - o Boże, niech to będzie nieprawda...” Usłyszała swój głos:

- Z kim mam rozmawiać, żeby dostać czysty materac?

- Z Bogiem - mruknęła Murzynka. - Ale dawno tu nie zaglądał.

Tracy znowu spojrzała na materac. Spacerowało po nim kilka wielkich, czarnych karaluchów. Pomyślała: „Nie mogę tu zostać, to niemożliwe. Zwariuję”.

Jakby czytając w jej myślach, Murzynka odezwała się znowu:

- Popłyniesz z prądem, dziecino. Przyzwyczaisz się.

Tracy przypomniała sobie słowa naczelnika: „Radzę ci uczynić wszystko, aby ten czas upłynął ci możliwie szybko...”

- Jestem Ernestyna Littlechap - mówiła dalej czarna kobieta. Skinęła w kierunku kobiety z blizną: - To Lola. Ona jest z Puerto Rico, a tamta to Paulita, z Meksyku. A ty?

- Ja... Ja jestem Tracy Whitney.

Zabrzmiało to prawie jak „*byłam* Tracy Whitney”. Miała jakieś koszmarne wrażenie, że jej tożsamość odpływa gdzieś, bez śladu. Znowu chwyciły ją mdłości, przytrzymała się poręczą łóżka, żeby nie upaść.

- Skąd do nas przyfrunęłaś, ptaszyno? - zapytała gruba.

- Ja... przepraszam, nie mogę mówić...

Czuła się zbyt słabo, żeby wstać. Opadła na krawędź brudnej pryczy i spódnicą otarła krople potu. Pomyślała o dziecku. „Dlaczego nie powiedziałam naczelnikowi o dziecku? Przeniósłby mnie do czystej celi. Może nawet daliby mi pojedynek...”

Usłyszała kroki w korytarzu. Obok celi przechodziła matrona. Tracy skoczyła do drzwi.

- Przepraszam - powiedziała. - Muszę zobaczyć się z naczelnikiem więzienia. Jestem...

- Zaraz go przyślę - mruknęła matrona przez ramię.

- Pani nie rozumie. Ja jestem... Odeszła.

Tracy wpakowała rękę w usta, żeby stłumić krzyk.

- Źle się czujesz kotku, czy co? - zapytała Portorykanka. Tracy pokręciła głową, nie mogąc mówić. Powróciła na swoją pryczę. Popatrzyła na nią przez chwilę i powoli położyła się. Było to jak poddanie się, akt kapitulacji. Przymknęła oczy.

Dziesiąte urodziny Tracy były najpiękniejszym dniem w jej życiu. „Obiad zjemy u Antoine’a” - oznajmił ojciec.

Antoine! To słowo wyczarowało inny świat, świat piękna, szyku, bogactwa. Tracy wiedziała, że ojciec nie jest zbyt bogaty, często słyszała: W tym roku nie stać nas jeszcze na wakacje. A teraz mieli pójść do Antoine’a! Matka ubrała Tracy w nową zieloną suknię.

„Spójrzcie na siebie! - przechwalał się ojciec. - Jestem w towarzystwie dwu najpiękniejszych kobiet w Nowym Orleanie. Wszyscy będą mi zazdrościć”.

Antoine był dla Tracy czymś więcej niż tylko przedmiotem marzeń. Był światem z bajki, eleganckim i gustownie urządzone, ze śnieżnobiałymi nakryciami i błyszczącymi, złotosrebrnymi monogramami na talerzach. „To pałac! - myślała Tracy. - Na pewno przychodzą tu królowie i książęta”. Zapomniała o jedzeniu, patrząc na wspaniale ubranych mężczyzn i kobiety. „Gdy dorosnę - obiecywała sobie - będę przychodzić do Antoine’a co wieczór i zabiorę ze sobą mamę i tatę”.

„Nie jesz, Tracy?” - pytała matka.

Żeby nie psuć jej humoru, zmusiła się do przełknięcia kilku kęsów. Specjalnie dla niej przyniesiono tort z dziesięcioma małymi świeczkami, kelnerzy śpiewali „Sto lat!”, a inni goście odwracali się i bili brawo, a Tracy czuła się jak księżniczka. Z ulicy słuchać było dzwonek jakiegoś tramwaju.

Dzwonek był głośny i natarczywy.

- Obiad! - ogłosiła Ernestyna Littlechap.

Tracy otworzyła oczy. W całym bloku słychać było trzaskanie drzwiami. Tracy leżała na pryczy, próbując desperacko zatrzymać resztki snu.

- Hej! Koryto - powiedziała młoda Portorykanka.

- Nie jestem głodna. - Myśl o jedzeniu wywołała obrzydzenie.

- *Es llano*. To jest proste. Ich nie obchodzi, czy jesteś głodna, czy nie. Wszyscy idą do koryta - wytłumaczyła Paulita, gruba Meksykanka.

Ustawiały się w szeregu na korytarzu.

- Rusz się lepiej, bo ci dołożą! - ostrzegła ją Ernestyna. „Nie mogę - pomyślała Tracy - zostanę tutaj”. Wszystkie kobiety opuściły cele i ustawiły się w dwuszeregu.

Niska, przysadzista matrona z tlenionymi włosami zobaczyła Tracy leżącą na pryczy.

- Ty! - krzyknęła. - Nie słyszysz dzwonka?! Wylaż stamtąd! - Przepraszam bardzo, nie jestem głodna - odpowiedziała

Tracy. - Proszę mi wybaczyć.

Oczy matrony otworzyły się szeroko ze zdziwienia. Jednym skokiem znalazła się przy łóżku Tracy.

- Kim ty, do cholery, jesteś, pieprzona księżniczko?! Czekasz na pokojówkę? Mam złożyć na ciebie raport? Marsz do szeregu! Jeśli się to powtórzy, pójdziesz do karceru, zrozumiałaś?!

Nie zrozumiała. Nie rozumiała niczego, co się z nią działo. Ale zesza z pryczy i ustawiła się w szeregu kobiet, obok Murzynki.

- Dlaczego...?

- Zamknij się - szepnęła stojąca obok Ernestyna. - Nie wolno rozmawiać w szeregu!

Kobiety maszerowały wąskim, ponurym korytarzem przez dwa zabezpieczone przejścia do ogromnej jadalni zastawionej drewnianymi stołami i krzesłami. Było tam coś w rodzaju bufetu, stoły z podgrzewaczami parowymi, do których więźniarki ustawiały się w kolejce po jedzenie.

Menu składało się z wodnistej potrawy z tuńczyka i odrobiny rozgotowanej fasoli w bladym sosie musztardowym. Do tego słaba kawa lub - do wyboru - syntetyczny napój owocowy. Chochle rzucały nieapetyczne jedzenie na cynowe talerze przesuających się więźniarek, a ich pracujące za ladą towarzyski pokrzykiwały miarowo: - Przechodzić! Następna! Przechodzić! Następna!

Wreszcie nadeszła jej kolej. Tracy stała rozglądając się, niepewna dokąd pójść. Szukała wzrokiem Ernestyny Littlechap, ale Murzynka zniknęła. Podeszła do stołu, przy którym siedziała Lola z grubą Meksykanką - Paulita. Dwadzieścia kobiet żarłocznie pochłaniało jedzenie. Tracy spojrzała na zawartość swojego talerza i odsunęła go. Poczła mdłości. Paulita sięgnęła po jej talerz.

- Jeśli nie chcesz tego jeść, kotku, to ja spróbuję.

- Hej, musisz jeść, bo nie przeżyjesz tutaj! - dodała Lola. „Nie chcę przeżyć - pomyślała Tracy. - Chcę umrzeć. Jak one mogą to wytrzymać? Jak długo tu są? Miesiące? Lata?” Pomyślała o śmierdzącej celi i jej zapluskwionym materacu i zachciało jej się krzyczeć. Zacisnęła zęby.

- Jeśli złapią cię na głodówce, pójdziesz do ciupy - pouczała ją Meksykanka. Spostrzegła w oczach Tracy pytanie i dodała: - Ciupa, dziura. Izolatka. Nie spodoba ci się tam. - Nachyliła się do niej. - Pierwszy raz w mamrze, co? Dobra, dam ci radę, *querida*. Tu rządzi Ernestyna Littlechap. Bądź dla niej miła i masz co chcesz, OK?

W pół godziny od chwili, gdy kobiety weszły do sali, rozległ się dzwonek i wszystkie poderwały się z krzesel. Paulita porwała ostatnią zieloną fasolę z talerza obok. Tracy dołączyła do szeregu i kobiety pomaszerowały z powrotem do cel. Skończył się obiad. Była czwarta po południu. Trzeba było wytrzymać pięć długich godzin do zgaszenia świateł.

Gdy Tracy wróciła do celi, zastała tam już Ernestynę Littlechap. Zastanawiała się, gdzie Murzynka była w czasie obiadu. Spojrzała na ustęp w rogu celi; bardzo chciała z niego skorzystać, ale nie mogła zdobyć się na to przy wszystkich kobietach. Poczeka aż zgaszą światła. Usiadła na swojej pryczy.

- Nie jadłaś obiadu. Głupio zrobiłaś - rozległ się głos Ernestyny. „Skąd ona o tym wie? I co ją to obchodzi?”

- W jaki sposób mogę się zobaczyć z naczelnikiem?

- Złóż prośbę na piśmie. Strażnik się tym podetrze. Oni uważają, że każda kurwa, która chce rozmawiać z naczelnikiem, może im zaszkodzić. Tutaj obrywasz za wszystko. Potrzebujesz kogoś, kto cię *obroni*. - Roześmiała się, pokazując złoty ząb. Miała niski głos. - Kogoś, kto wie jak się chodzi po tym zoo.

Tracy spojrzała na roześmianą twarz Murzynki. Wydawało jej się, że twarz ta unosi się gdzieś pod sufit.

To było najpiękniejsze zwierzę, jakie zobaczyła w życiu.

- Żyrafa - powiedział jej ojciec.

Byli w Zoo w Audubon Park. Było tam pięknie. W niedziele chodzili na koncerty, a potem rodzice zabierali ją do akwarium albo do Zoo. Spacerowali powoli, przyglądając się zwierzętom w klatkach.

- Czy nie żał im wolności, tato? Ojciec uśmiechnął się.

- Nie, Tracy. Świetnie im się powodzi, ludzie o nie dbają, karmią je. Nie ma tu żadnych drapieżników...

Nie wyglądały na szczęśliwe. Tracy miała ochotę otworzyć klatki i wypuścić je. „Nigdy nie chciałabym żyć w zamknięciu, tak jak one” - pomyślała z przekonaniem.

O ósmej czterdzieści pięć rozległy się dzwonki, towarzyszki Tracy zaczęły się rozbierać. Tracy nie drgnęła. Lola powiedziała: - Masz piętnaście minut na przygotowanie się do spania.

Kobiety rozebrały się i włożyły koszule nocne. Matrona z tlenionymi włosami przeszła obok celi. Zobaczywszy Tracy leżącą na łóżku, przystanęła.

- Rozbieraj się! - rozkazała. Odwróciła się do Ernestyny. - Nie mówiłaś jej?

- Tak, mówiłyśmy.

- Umiemy tu sobie radzić z cwaniaczkami - matrona zwróciła się do Tracy. - Zrobisz co ci mówię albo dostaniesz tak w dupę, że się nie pozbierasz. Jasne? - Odeszła.

- Lepiej rób co ci każe, dziecko. Żelazne Majtki to kawał suki - wtrąciła się Paulita.

Tracy powoli wstała i rozebrała się, stojąc tyłem do innych. Zdjęła całe ubranie, zostając tylko w majtkach, z płócienną koszulą przewieszoną przez ramię. Czowała na sobie spojrzenia kobiet.

- Masz całkiem przyzwoite ciało - zauważyła Paulita.

- Tak, niezłe - jak echo odpowiedziała jej Lola. Dreszcz przebiegł Tracy od stóp do głów. Ernestyna przysunęła się i przyjrzała się jej uważnie.

- Jesteśmy przyjaciółkami. Chcemy się tobą zaopiekować. - Jej głos drżał z podniecenia.

Tracy w panice rozejrzała się wokół.

- Zostawcie mnie. Ja... ja nie jestem taka jak... Murzynka roześmiała się.

- Będziesz taka jak nam się spodoba, dziecko.

- *Hay tiempo*. Mamy mnóstwo czasu. Światła pogasły.

Ciemność była wrogiem Tracy. Siedziała wciąż na krawędzi łóżka, w napięciu. Czowała spojrzenia wszystkich kobiet, wyczekujące, gotowe do skoku. Może to tylko jej wyobraźnia? Była tak sponiewierana, że wszystko wydawało się jej zagrożeniem. Czy one straszyły ją? Chyba nie. Może po prostu próbowały się zaprzyjaźnić, a ona sama podłożyła pod te słowa złowieszcze znaczenie. Słyszała o przypadkach homoseksualizmu w więzieniach, ale stanowiły one chyba wyjątek, a nie regułę. W więzieniach nie pozwala się na takie rzeczy. Jednak ciągle nękały ją wątpliwości. Postanowiła przeleżeć bezsennie przez całą noc. Jeśli choć jedna z nich podniesie się - zacznie krzyżeć. Do obowiązków strażników należało pilnowanie bezpieczeństwa więźniów. Uspokoila się, nie było żadnego zagrożenia. Wystarczy, jeśli będzie ostrożna.

Siedziała na skraju pryczy w ciemności, czujna, wsłuchana w dźwięki dochodzące z korytarza. Słyszała jak, jedna po drugiej, trzy kobiety podeszły do ubikacji, załatwiły potrzebę i wróciły na prycze. Gdy nie mogła już wytrzymać, poszła tam również. Spróbowała spuścić wodę, ale spłuczka nie działała. Smród był trudny do wytrzymania. Pobiegła z powrotem do łóżka i usiadła na nim. „Wkrótce będzie świt - pomyślała. - Rano zażądam rozmowy z naczelnikiem. Powiem mu o dziecku. Będzie musiał przenieść mnie do innej celi”.

Wciąż była napięta i niespokojna. Położyła się na pryczy i natychmiast poczuła, że coś chodzi po jej szyi. „Muszę jakoś wytrzymać do rana - pomyślała. - Za kilka godzin wszystko będzie w porządku”.

Czas mijał powoli. O trzeciej nie mogła już dłużej wytrzymać z otwartymi oczami. Zasnęła.

Obudziła ją jakaś ręka zaciskająca się na jej ustach i dwie inne, tarmoszące jej piersi. Próbowała podnieść się i krzyżeć, poczuła jak rwą się jej koszula i majtki. Ręce wciskały się między uda, rozwierając nogi. Tracy walczyła dziko, na oślep, usiłując się unieść.

- Nie bój się - szepnął jakiś głos w ciemności. - Nic ci się nie stanie.

Tracy rzuciła się w kierunku głosu, kopiąc w coś twardego.

- *Carajo!* Nie żałujcie jej! - odezwał się głos. - Zrzućcie ją na podłogę!

Twarda pięść grzmotnęła w twarz Tracy, zaraz po tym dostała cios w żołądek. Ktoś leżał na niej, przygważdżając ją do ziemi, nie pozwalając na żaden ruch, podczas gdy lubieżne ręce gwałciły ją.

Tracy udało się na chwilę wyrwać, ale jedna z kobiet pchnęła ją z całej siły. Uderzając głową o kratę, poczuła krew płynącą z nosa. Ściągnięto ją na betonową podłogę, jej ręce i nogi zostały unieruchomione. Tracy bronila się zajadle, ale nie mogła dać rady wszystkim trzem. Czowała zimne dłonie i gorące języki, przesuwające się po jej ciele, jak robactwo. Nogi były szeroko rozstawione, a jakiś twardy, zimny przedmiot tkwił głęboko w jej wnętrzu. Wiła się jak szalona, usiłując desperacko wydać krzyk. Jakaś ręka zaciskała jej usta, ale Tracy zagłębiła w niej zęby, gryząc najsilniej jak mogła.

- Ty kurwo! - rozległ się przytłumiony okrzyk.

Pięści tłukły w jej twarz. Pogrążyła się w dzikim, obłąkanym bólu, aż w końcu przestała czuć cokolwiek.

Obudził ją znowu dzwonek. Leżała na zimnej podłodze celi, naga. Jej trzy współtowarzyszki znajdowały się w łózkach. W korytarzu Żelazne Majtki wykrzykiwała „Rise and Shine”. Gdy przechodziła obok celi, zobaczyła Tracy leżącą na podłodze w małym jezioru krwi, z porzbijaną twarzą i jednym okiem kompletnie zapuchniętym.

- Co tu się dzieje, do diabła? - otworzyła drzwi i weszła do celi.

- Chyba wypadła z łóżka podczas snu - odparła Ernestyna Littlechap z przekonaniem.

Matrona podeszła do Tracy z boku i szturchnęła ją nogą.

- Ty! Wstawaj!

Tracy usłyszała głos jakby z wielkiej odległości. „Tak - pomyślała. - Muszę wstać, muszę stąd wyjść”. Ale nie mogła się poruszyć. Ciało odmawiało posłuszeństwa, odrętwiała z bólu. Matrona złapała Tracy za łokcie i posadziła ją, mdlejącą, na łóżku.

- Co się stało?

Jednym okiem Tracy zobaczyła zamglone zarysy jej towarzyszek, czekających w milczeniu na odpowiedź.

- Ja... - spróbowała odpowiedzieć, ale słowa nie chciały wydostać się z zaciśniętych ust. Spróbowała znów i jakiś głęboko zakorzeniony, atawistyczny instynkt kazał jej powiedzieć: - Wypadłam z łóżka.

- Nie cierpię sprytnych gówniarek. Weźmiemy ją do karceru, może tam się czegoś nauczy - prychnęła matrona.

Było to jak zapomnienie, powrót do początków życia. Była sama w kompletnej ciemności. Nie było tam mebli; w ciasnej, piwnicznej celi leżała tylko cienka, wytarta mata, rzucona na zimną cementową podłogę. Odrażająca dziura spełniała rolę toalety. Tracy leżała tam w ciemności, pogwizdując sobie piosenki ludowe, których kiedyś nauczył ją ojciec. Nie zdawała sobie sprawy jak mało dzieliło ją od utraty zmysłów.

Nie wiedziała gdzie się znajduje, ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko cierpienie jej sponiewieranego ciała. „Musiałam chyba poślizgnąć się i upaść, ale jest mama, pomoże mi”. Zaskórniak złamanym głosem: mamó! i nie doczekawszy się odpowiedzi, zasnęła znowu.

Spała czterdzieści osiem godzin i w końcu stan na pograniczu życia i śmierci ustąpił miejsca bólowi, a ból stopniowo słabnął opuszczając obolałe, posiniaczone ciało. Tracy otworzyła oczy. Otaczała ją nicość. Było tak ciemno, że nie mogła zobaczyć nawet zarysów celi. Znowu opadły ją wspomnienia: nieśli ją do doktora. Usłyszała głos: - Złamane żebro i pęknięty nad garstek. Złożymy to. Rany i szramy są brzydkie, ale wylize się. Straciła dziecko...

- Och, moje dziecko! - szepnęła Tracy. - Zabili moje

Płakała. Płakała nad dzieckiem. Płakała nad sobą. Płakała nad całym zwariowanym światem.

Leżąc na cienkim materacu, w zimnie i ciemnościach, nagromadziła w sobie tyle wszechogarniającej nienawiści, że dosłownie się trzęsła. Jej myśli płonęły i przetapiały się, aż po chwili jej umysł stał się czysty, pozbawiony wszelkich pragnień, prócz jednego: zemsty. Nie chodziło o zemstę na jej towarzyszkach: one były ofiarami, takimi jak ona. Nie - chodziło jej o ludzi, którzy ją wtręci do tego lochu, którzy zniszczyli jej życie.

Joe Romano: - Twoja mamuśka ukryła cos przede mną. Nie powiedziała, że ma taką rogatą córeczkę...

Otto Schmidt: - Joe Romano pracuje dla faceta o nazwisku Anthony Orsatti. Orsatti rządzi Nowym Orleanem...

Perry Pope: - Przyznając się do winy zaoszczędzisz stanowi kosztów procesowych...

Sędzia Lawrence: - Najbliższe piętnaście lat spędzi pani w Zakładzie Penitencjarnym dla Kobiet w Luizjanie Południowej...

To byli jej wrogowie. Następnym był Charles, który me chciał jej wysłuchać: - Jeśli tak bardzo potrzebowałaś pieniędzy, dlaczego nie porozmawiałaś o tym ze mną? No tak, właściwie nigdy nie znałem cię naprawdę. Ze swoim dzieckiem zrobisz to, co uznasz za stosowne...

Zapłacą jej za to. Każdy z nich. Nie wiedziała jeszcze, jak to się stanie. Ale wiedziała, że się zemści. „Jutro - pomyślała. - Jeśli zobaczę jutro...”

Czas zatrzymał się w miejscu. W celi panowała kompletna ciemność, nie było więc różnicy między dniem a nocą i Tracy nie mogła wiedzieć, jak długo przebywała w karcerze. Od czasu do czasu przez szparę w dolnej krawędzi drzwi wsuwano zimne posiłki. Tracy nie czuła głodu, ale zmuszała się do przełknięcia ostatniej drobiny pożywienia. „Musisz to zjeść, bo nie przeżyjesz tutaj”. Teraz dopiero zrozumiała znaczenie tych słów. Musi się zmobilizować, potrzebuje całej energii, siły charakteru, żeby zrealizować to, co zamierzała. Ogromna większość ludzi nie wytrzymałaby w takiej sytuacji, była przecież skazana na piętnaście lat, bez pieniędzy, sprzymierzeńców, żadnych dodatkowych środków do życia, otoczona bandą czyhającą na jej najmniejsze potknięcie. A jednak gdzieś głęboko, na samym dnie jej istoty było źródło, z którego czerpała siłę. „Przeżyję to - powtarzała tępo - bezbronna wyjdę naprzeciw moim wrogom, moja odwaga będzie moją tarczą”. Jej przodkowie nigdy nie ulegali przemocy. Płynęła w niej mieszana krew Anglików, Irlandczyków i Szkotów, odziedziczyła najlepsze ich cechy: inteligencję, odwagę, upór. „Moi przodkowie przetrwali głód, epidemie, powodzie i pożary, a ja przetrzymam coś gorszego: piekło”. Byli tam z nią w tym piekielnym przedsionku: pasterze i traperzy, rolnicy orzący ziemię, sprzedawcy, lekarze i nauczyciele. Duchy przeszłości, z którymi rozmawiała. Jest częścią każdego z nich i okaże się ich godna. „Nie zawiedziecie się na mnie” - powtarzała w ciemnościach. Zaczęła planować ucieczkę.

Zdawała sobie sprawę, że jej pierwszym zadaniem jest odzyskanie sił. Cella była zbyt ciasna na jakikolwiek trening, ale wystarczyło w niej miejsca na ćwiczenia *t'ai chi ch'uan*, liczącej wieki starożytnej sztuki obronnej, przygotowującej wojowników do walki na śmierć i życie. W ćwiczeniach tych, nie wymagających wiele miejsca, pracował każdy mięsień jej ciała. Tracy wstała i przećwiczyła ceremoniał otwarcia. Każdy ruch miał swoją nazwę i swoje znaczenie. Zaczęła od bojowego Chłostania Demonów, potem przeszła do miękkiego tańca - Gromadzenia Światła. Ruchy były płynne i pełne gracji, chociaż bardzo powolne. Każdy gest czerpał swą energię z Tan Tien - mitycznego centrum ciała, wszystkie ruchy miały charakter obrotowy. Przypomniła sobie słowa nauczycieli: „Skoncentruj chi - swoją witalną energię. Na początku jest ciężka, jakbyś poruszała górę, później staje się łagodna i lekka jak pióro ptaka”. Tracy czuła tę energię przepływającą przez palce, koncentrowała się, dopóki

cała jej istota nie spłynęła nagle z jakichś zapomnianych, bezkresnych przestrzeni do wnętrza jej ciała.

„Chwyć ogon ptaka w locie, zamień się w białego bociana, odrzuć ociążałość małpy, zmierz się z tygrysem, niech twoje ręce staną się obłokami i rozprowadzą wodę życia. Niech białe węże wpełzną do swoich nor, dosiądź tygrysa. Zabij go swoimi rękami, jeszcze raz skoncentruj swoją chi i powróć do środka, do Tan Tien”.

Pełny cykl tych ćwiczeń trwał godzinę i gdy go zakończyła, była zupełnie wyczerpana. Każdego ranka powtarzała ten rytuał, aż wreszcie jej ciało nabrało odporności i siły.

Czas pomiędzy ćwiczeniami ciała poświęcała na trening umysłu. Leżała w ciemnościach, przeprowadzając w myśli skomplikowane operacje matematyczne, wykonując zadania, jakie często zadawała komputerowi w banku, recytując wiersze, przywołując w pamięci strofy dramatów scenicznych, które recytowała w college’u. Kiedyś robiła to doskonale, zwłaszcza gdy rola wymagała opanowania obcojęzycznych akcentów - ćwiczyła je całymi tygodniami przed próbą generalną, aż widzowie przypisywali jej cudzoziemskie pochodzenie. Jakiś poszukiwacz talentów zaproponował jej kiedyś próbne zdjęcia w Hollywood. „Nie, dziękuję, nie pragnę rozgłosu. To nie dla mnie” - odpowiedziała mu. Słowa Charlesa: „Cały artykuł wstępny w dzisiejszej «Daily News» jest ci poświęcony”.

Tracy odepchnęła od siebie wspomnienie Charlesa. Są takie drzwi w pamięci, które trzeba na razie zatrzasać, otworzą się później, gdy przyjdzie czas.

Przypomniała sobie nauczycielską zgadywanke: - Wymień trzy rzeczy niemożliwe do wykonania.

Wy tłumaczyć mrówce różnicę między katolikami a protestantami.

Przekonać pszczołę, że to Ziemia kręci się wokół Słońca, a nie odwrotnie.

Wyjaśnić kotu różnicę między komunizmem a demokracją.

Najwięcej wysiłku poświęcała jednak rozmyślaniom o tym, w jaki sposób zniszczy swoich wrogów. Będzie ich likwidować kolejno, jednego po drugim. Przypomniała sobie niewinną zabawę z dzieciństwa: podniesioną do góry ręką można było zakryć słońce. Taką właśnie krzywdę jej wyrządzili: zakryli słońce.

Tracy nie wiedziała ilu więźniów opuszczało karcer w stanie obłąkania, nawet nie myślała o tym.

Siódmego dnia, gdy otworzyły się drzwi celi, oślepiła ją nagła błyskawica światła, która wdarła się do środka. Stał tam strażnik.

- Wracasz teraz na górę. Wstawaj!

Nachylił się, żeby podać jej rękę, ale zdziwił się, gdy wstała z łatwością na równe nogi i wyszła z celi o własnych siłach. Kobiety, które dotychczas wyprowadzał z izolatki, albo wychodziły w stanie kompletnego załamania, albo zachowywały się buntowniczo. Ta była inna. Roztaczała jakąś nieuchwytną aurę godności i samoopanowania, która w tym miejscu była czymś niewiarygodnym. Stała w świetle, stopniowo oswajając się z jego blaskiem. „Jaka śliczna mała kurewka - pomyślał. - Wystarczy ją trochę obmyć, ubrać w czyste szmatki i można z nią iść choćby do parlamentu. Założę się, że zrobi co trzeba za drobną przysługę”.

- Taka piękna dziewczyna jak ty nie powinna przeżywać takich okropności. Gdybyśmy zostali przyjaciółmi, może mógłbym coś zrobić, żeby to się nie powtórzyło - powiedział głośno.

Tracy odwróciła się ku niemu. Zobaczywszy wyraz jego twarzy, postanowiła jednak odłożyć swoje plany na później.

Poprowadził ją po schodach na górę i przekazał matronie.

Matrona pociągnęła nosem: - Jezu Chryste, jak ty śmierdzisz. Idź weź prysznic. Spalimy to ubranie.

Zimny prysznic zrobił jej doskonale. Tracy umyła głowę i namydliła całe ciało szorstkim, ługowym mydłem. Gdy wytarła się i włożyła ubranie, czekała już na nią matrona.

- Naczelnik chce się z tobą zobaczyć.

Ostatnim razem wzięła te słowa za zapowiedź uwolnienia. Już nigdy nie będzie taka naiwna.

Naczelnik więzienia Brannigan stał przy oknie, gdy Tracy weszła do jego biura. Odwrócił się i powiedział: - Siadaj, proszę. Tracy usiadła.

- Musiałem ostatnio wyjechać do Waszyngtonu na konferencję. Wróciłem dziś rano i przeczytałem raport o tym, co się stało. Niesłusznie zostałaś zamknięta w izolatce.

Siedziała obserwując go z obojętną, kamienną twarzą.

- Według tego raportu, zostałaś wykorzystana seksualnie przez swoje towarzyski z celi. - Naczelnik spojrzał na arkusz papieru leżący na biurku.

- Nie, proszę pana. - Brannigan skinął ze zrozumieniem.

- Zdaję sobie sprawę z twoich obaw, ale nie mogę pozwolić, żeby więźniowie rządili tym więzieniem. Zamierzam ukarać każdą, która popełniła tę zbrodnię, ale do tego potrzebne mi są twoje zeznania. Zapewnię ci absolutne bezpieczeństwo. Teraz chcę, żebyś opowiedziała dokładnie, co się stało i kto za to odpowiada.

- Ja odpowiadam za wszystko. Wypadłam z łóżka. - Tracy spojrzała mu prosto w oczy.

Brannigan przez cały czas nie spuszczał z niej oka. Uchwyciła grymas rozczarowania na jego twarzy.

- Czy jesteś pewna?

- Tak, panie naczelniku.

- Nie zmienisz zdania?

- Nie, panie naczelniku.

- Dobrze - westchnął Brannigan. - To jest twoja decyzja.

Teraz przeniosę cię do innej celi, gdzie...

- Nie chcę być przeniesiona do innej celi.

- To znaczy, że chcesz powrócić do tej samej celi? - zdziwił się.

- Tak, panie naczelniku.

Chyba jednak popełnił wielki błąd w ocenie tej kobiety. Prawdopodobnie sama sprowokowała to, co się z nią stało. Bóg jeden wie, co te przeklęte baby potrafią wymyślić. Wolał już po stokroć więzienia dla normalnych, psychicznie zdrowych mężczyzn, ale jego żona i mała córeczka Amy lubiły to miejsce. Mieszkali w uroczym, otoczonym piękną zielenią małym domku na farmie. Dla nich był to wspaniały, zielony zakątek na prerii, ale on użerał się z tymi zwariowanymi babami dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Spojrzał na młodą dziewczynę siedzącą przed nim i powiedział z rezerwą:

- Dobrze więc. Uważaj na siebie w przyszłości i staraj się unikać kłopotów.

- Tak, panie naczelniku.

Powrót do celi był dla niej takim samym przeżyciem, jak wyprowadzenie. Gdy tylko znalazła się w środku, stanęły jej przed oczami sceny, które tu przeżywała. Cella była pusta, jej towarzyszkę gdzieś pracowały. Położyła się na prycy i gapiąc się w sufit, rozmyślała. Potem sięgnęła ręką pod materac i, manipulując zawzięcie,

odkręciła sporej wielkości pręt. Ukryła go głęboko pod materacem. Gdy o jedenastej rozległy się dzwonki na lunch, Tracy pierwsza zajęła miejsce w korytarzu.

W jadalni, przy stole niedaleko wejścia, siedziały Paulita z Lolą. Nigdzie nie było Ernestyny Littlechap. Tracy wybrała stół, przy którym siedziały obce kobiety, usiadła i zjadła cały swój posiłek, do ostatniej okruszyny. Popołudnie spędziła samotnie w celi. O 2.45 jej trzy współmieszkanki powróciły.

- No, nareszcie jesteś z nami, śliczna dupeczko. Spodobało ci się, co? - Paulita rozdziawiła gębę w uśmiechu.

- Dobra, będzie jeszcze więcej, nie bój się. Już niedługo - zawtórowała jej Lola.

Tracy nie dała po sobie poznać, że usłyszała cokolwiek. Interesowała ją wyłącznie Murzynka. Ernestyna Littlechap była jedyną przyczyną, dla której powróciła do celi. Tracy nie dowierzała jej. Ani przez chwilę. Ale Murzynka była jej potrzebna. „Coś ci poradzę, *querida*. Tu rządzi Ernestyna Littlechap...”

Tego wieczoru, zaraz po dzwonekach na zgaszenie świateł, Tracy wstała z pryczy i rozebrała się. Tym razem bez fałszywej skromności. Meksykanka nie ukrywała podziwu na widok pełnych, jędrnych piersi i smukłych, kremowych ud. Pogwizdywała przeciągle, a Lola wzdychała ciężko. Tracy wciągnęła nocną koszulę i położyła się. Światła zgasły. Cella pogrążyła się w ciemności.

Minęło trzydzieści minut. Tracy leżała w mroku, nasłuchując wzdychania dochodzącego z łóżek.

Gdzieś, z daleka, dobiegł ją szept Paulity:

- Mama pokaże ci dzisiaj prawdziwą miłość. Ściągaj koszulę, skarbie.

- Pokażemy ci, jak się zjada cipkę i przeciwczysz to, dopóki się nie nauczysz - zachichotała Lola.

Od strony łóżka Murzynki nie dobiegał żaden szmer. Tracy poczuła podmuch powietrza, gdy Lola i Paulita wstały z łóżek, ale już zdążyła się przygotować. Uniosła pręt, który schowała pod materacem i trzasnęła z całej siły, trafiając jedną z napastniczek w twarz. Rozległ się przytłumiony krzyk bólu, w tej samej chwili jej noga uderzyła drugą kobietę w żołądek. Przewróciła się na podłogę.

- Podejdz jeszcze raz, a zabiję cię - powiedziała.

- Ty kurwo!

Zobaczyła, że się podnoszą i przygotowują do następnego ataku. Zebrała się w sobie i mocniej ścisnęła pręt.

- Wystarczy. Zostawcie ją w spokoju. - Głos Ernestyny zabrzmiał tubalnie w ciemnościach.

- Ernie, ja krwawię. Zaraz ją wykończę, tę dziwkę, tę...

- Kurwa mać, słyszysz co ci mówię, czy nie?!

Zapadła długa cisza. Tracy słyszała, jak wracają do swoich łóżek, dysząc ciężko. Leżała wciąż napięta, gotowa do obrony.

Ernestyna Littlechap mruknęła z uznaniem:

- Masz, skarbie, nerwy. - Tracy milczała. - Nie puściłaś farby u naczelnika - zaśmiała się cicho w ciemnościach. - Jakbyś puściła, już byś zdechła. - Tracy uwierzyła jej. - Dlaczego nie chciałaś, żeby cię przeniósł do innej celi?

Wiedziała więc nawet o tym.

- Chciałam tu wrócić.

- Tak? Po co? - W głosie Ernestyny zabrzmiało zdziwienie. Na tę właśnie chwilę czekała Tracy.

- Do ciebie. Pomożesz mi w ucieczce.

Matrona weszła do celi i oznajmiła: - Whitney, masz gościa.

- Gościa? - Tracy drgnęła, zdumiona. Kto to mógł być? Nagle zrozumiała: Charles. Mimo wszystko przyjechał. Ale niestety, za późno. Nie było go, gdy tak desperacko go potrzebowała. „Właściwie już go nie potrzebuje. Ani nikogo innego”.

Matrona zaprowadziła ją korytarzem do pokoju widzeń. Tracy weszła do środka.

Siedział tam przy małym drewnianym stoliku człowiek zupełnie jej nie znany, jeden z najbrzydszych, z jakimi miała kiedykolwiek do czynienia. Był niski, tęgi, o trudnej do ustalenia płci, długim, cienkim nosie i wąskich, wygiętych w dół ustach. Miał wysokie, wystające czoło, jego piwne, powiększone szklami okularów oczy spoglądały przenikliwie.

Nie zadał sobie trudu, by wstać na jej przywitanie.

- Jestem Daniel Cooper. Naczelnik pozwolił mi na chwilę rozmowy z panią.

- O czym? - zapytała nieufnie.

- Prowadzę dochodzenie na rzecz IIPA - Międzynarodowego Towarzystwa Ubezpieczeniowego. Jeden z naszych klientów ubezpieczył obraz Renoira, który został skradziony panu Josephowi Romano.

Tracy odetchnęła głęboko.

- Obawiam się, że nie będę mogła panu pomóc. Nie ukradłam obrazu. - Podeszła w kierunku drzwi, ale zatrzymały ją słowa Coopera.

- Wiem o tym. - Odwróciła się i spojrzała na niego uważnie, coraz bardziej zaintrygowana. - Nikt go nie ukradł. Wrobiono panią, panno Whitney.

Powoli usiadła naprzeciw niego.

Daniel Cooper zainteresował się sprawą Tracy przed trzema tygodniami, gdy został wezwany do biura swojego przełożonego, J.J. Reynoldsa. Mieściło się ono w kwaterze głównej IIPA na Manhattanie.

- Mam dla ciebie robotę, Dan - powiedział Reynolds. Daniel Cooper nie cierpiał, gdy mówiono mu Dan.

- Powiem krótko. - Reynolds nie chciał się rozwodzić, ponieważ Cooper działał mu trochę na nerwy. Właściwie denerwował wszystkich w organizacji. Nazywano go powszechnie Dziwakiem i ten przydomek świetnie do niego pasował. Daniel Cooper był zdeklarowanym samotnikiem. Nikt nie wiedział, gdzie mieszkał, czy był żonaty i

miał dzieci. Z nikim nie utrzymywał kontaktów, nigdy nie uczestniczył w okolicznościowych przyjęciach ani żadnych spotkaniach w biurze. Jedynym powodem, dla którego Reynolds go tolerował, były jego niepospolite zdolności. Działął jak buldożer wyposażony w komputer, bez pudła dokopywał się do samego sedna najbardziej zawikłanych spraw. Działając w pojedynkę, odzyskał więcej skradzionych towarów i wyświetlił więcej oszustw ubezpieczeniowych niż wszyscy pozostali urzędnicy towarzystwa razem wzięci. Reynolds wiele dałby za wyjaśnienie jak Cooper to robi. Siedzenie naprzeciwko tego człowieka o fanatycznych, ciemnych oczach wprawiało go w zakłopotanie.

- Jedna z naszych stowarzyszonych kompanii ubezpieczyła obraz na pół miliona dolarów i... - wyjaśnił Reynolds.

- Renoir. Nowy Orlean. Joe Romano. Kobieta o nazwisku Tracy Whitney została oskarżona i skazana na piętnaście lat więzienia. Obrazu nie odzyskano.

„A to sukinsyn! - pomyślał Reynolds. - Gdyby chodziło o kogoś innego, powiedziałbym, że się popisuje, ale ten...”

- Rzeczywiście - przyznał Reynolds niechętnie. - Ta Whitney musiała gdzieś ukryć obraz, a my chcemy go odzyskać. Niech pan się tym zajmie.

Cooper odwrócił się i bez słowa wyszedł z biura. Patrząc za nim, J.J. Reynolds pomyślał już nie pierwszy raz: „Muszę się kiedyś dowiedzieć, co ten drań ma na sumieniu”.

Cooper przeszedł przez pomieszczenie biurowe, gdzie pięćdziesięciu ściśniętych jeden przy drugim urzędników pracowało, programując komputery, pisząc raporty, odpowiadając na telefony. Był to dom wariatów. Przechodząc koło jednego z biurek, usłyszał uwagę kolegi:

- Podobno dostałeś sprawę Romano. Masz szczęście. Nowy Orlean to...

Cooper minął go bez słowa. Dlaczego ciągle się wtrącają? Dlaczego nie zostawia go w spokoju? Tylko tego jednego sobie życzył, ale oni wciąż musieli wtykać nos w nie swoje sprawy.

W biurze stało się to pewnego rodzaju zwyczajem. Za wszelką cenę chcieli rozszyfrować jego tajemniczy dystans i dowiedzieć się, kim był naprawdę.

- Co jadasz na obiad w piątki, Dan?

- Jeśli jesteś wciąż wolny, Dan - Sara i ja znamy fantastyczną dziewczynkę...

Czy nie mogli zrozumieć, że on ich po prostu nie potrzebował, nie chciał z nimi rozmawiać?

- Chodź z nami, napijemy się czegoś...

Ale Daniel Cooper wiedział, do czego to prowadzi. Niewinny drink może pociągnąć za sobą obiad, obiad może wywołać znajomość, znajomość zaś prowadzi do zażyłości. To zbyt niebezpieczne.

Daniel Cooper żył w śmiertelnym strachu, że pewnego dnia ktoś rozszyfruje jego zagadkę, dokopie się do jego przeszłości. „Przeszłość nie zostawia śladów” - to było kłamstwo. Przeszłość nigdy nie znika całkowicie. Za jakieś dwa albo trzy lata jedna z tych brukowych gazet dogrzebie się do starego skandalu i Daniel Cooper będzie musiał zniknąć na jakiś czas. Myśląc o tym, upijał się do nieprzytomności.

Gdyby Daniel Cooper zechciał ujawnić swoje emocje - dałby zatrudnienie kilku psychiatrom przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jediną namacalną pamiątką, jaką sobie pozostawił po tym fatalnym dniu, był wyblakły wycinek z gazety, starannie ukryty w jego pokoju, gdzie nikt nie mógł go znaleźć. Od czasu do czasu oglądał go, jakby pragnąc się ukarać, chociaż każde słowo tej notatki głęboko wryło się w jego pamięć.

Przynajmniej trzy razy dziennie kąpał się pod prysznicem, ale nigdy nie czuł się czysty. Wierzył niezachwianie w piekło i jego ogień, wierzył, że jedynym dla niego ratunkiem tu na ziemi była pokuta, zadośćuczynienie. Starał się o zatrudnienie w nowojorskiej policji, ale odpadł już na początku egzaminów, ponieważ zabrakło mu jakichś dziesięciu centymetrów do regulaminowego wzrostu. Potem został prywatnym detektywem. Uważał się za mściciela prawa, za rękę sprawiedliwości, był posłańcem słusznej zemsty, ściągającym gniew Boży na głowy złoczyńców. Nie można było w inny sposób zadośćuczynić przeszłości i zapewnić sobie wieczny odpoczynek.

Miał wątpliwości, czy zdąży jeszcze wziąć prysznic przed odlotem samolotu.

Najpierw poleciał do Nowego Orleanu. Spędził tam tylko pięć dni, ale dowiedział się wszystkiego o Josephie Romano, Anthonym Orsatti, Perrym Pope i sędzi Henry Lawrensie. Przeczytał stenogramy z przesłuchania i procesu Tracy Whitney. Złożył wizytę porucznikowi Millerowi i dowiedział się o samobójstwie jej matki. Rozmawiał z Otto Schmidtem i szybko zorientował się, w jaki sposób zniszczono zakład. Chociaż nie prowadził notatek, mógł odtworzyć z pamięci każde zdanie, które usłyszał. Miał już dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że Tracy Whitney padła ofiarą spisku, ale to mu nie wystarczało. Poleciał do Filadelfii i

rozmawiał tam z Clarence Desmondem, wiceprezesem banku. Charles Stanhope nie zechciał się z nim spotkać.

Teraz, siedząc naprzeciwko tej kobiety, mógł już z absolutną pewnością stwierdzić, że nie miała ona nic wspólnego z kradzieżą obrazu. Właściwie znał już wszystkie fakty potrzebne do napisania raportu.

- Romano nabrał panią, panno Whitney. Zrobiłby to zresztą prędzej czy później. Pani po prostu zjawiała się w najlepszym momencie i ułatwiła mu sprawę.

Tracy pocila się z podniecenia. Ten człowiek wiedział o jej niewinności. Prawdopodobnie miał wystarczającą ilość dowodów, by ją uniewinnić. Może pójść do naczelnika albo gubernatora i porozmawiać z nimi. Może ją wyciągnąć z tego koszmaru. Oddychała z trudem.

- Więc... pomoże mi pan? Daniel Cooper zdziwił się.

- Ja mam pani pomóc?

- Tak. W uniewinnieniu, albo...

- Nie. - Słowo padło jak wyrok.

- Nie? Dlaczego nie? Jeśli pan wie, że jestem niewinna? „Jak ludzie mogą być tacy głupi?”

- Moje zadanie jest skończone.

Po powrocie do hotelu natychmiast rozebrał się i wszedł pod prysznic. Wyszorował się dokładnie od stóp do głów, pławiąc się w gorącej wodzie przez pół godziny. Potem wytarł się, ubrał i zasiadł do pisania raportu.

DO: J.J. Reynoldsa Akta nr Y-72-83/M12

OD: Daniela Coopera

SPRAWA: *Deux Femmes dans le Café Rouge*, Renoir - olej na płótnie

Uważam, że Tracy Whitney w najmniejszym stopniu nie jest zamieszana w kradzież powyższego obrazu. Bez wątplenia Romano wykupił polisę ubezpieczeniową z zamiarem sfingowania rabunku, wyłudzenia odszkodowania, a następnie odsprzedania obrazu prywatnemu kolekcjonerowi. Obecnie dzieło sztuki znajduje się już prawdopodobnie poza granicami kraju. Ponieważ obraz jest dość znany, przypuszczam, że zostanie sprzedany w Szwajcarii, znanej z dość liberalnych

przepisów handlowych. Jeżeli kupujący dzieło sztuki oświadcza, że zakupu dokonał w dobrej wierze, rząd szwajcarski pozwala mu je zatrzymać, nawet wtedy gdy pochodzi ono z kradzieży. Wniosek końcowy. Ponieważ brak jakichkolwiek konkretnych dowodów przestępstwa Romano, nasz klient powinien wypłacić należność wynikającą z polisy. Natomiast dochodzenie wynagrodzenia szkody od Tracy Whitney jest bezcelowe, ponieważ, o ile wiem, nie posiada ona żadnych informacji dotyczących obrazu, ani też zasobów materialnych, które mogłyby zrekompensować stratę. Co więcej, pozostanie ona w więzieniu kobiecym w Luizjanie przez najbliższe piętnaście lat.

Daniel Cooper pomyślał przez chwilę o Tracy Whitney. Chyba wielu mężczyzn określiłoby ją jako piękną. Zastanawiał się, zupełnie obojętnie, jak będzie wyglądać po tych piętnastu latach więzienia. Właściwie nic go to nie obchodziło.

Daniel Cooper podpisał raport i zastanowił się, czy ma jeszcze czas na następny prysznic.

Matrona przezywana Żelazne Majtki przydzieliła Tracy do pracy w pralni. Ze wszystkich trzydziestu pięciu zajęć wykonywanych przez więźniarki to było najgorsze. Ogromna, gorąca hala zastawiona rzędami mechanicznych pralek i desek do prasowania, a nad nimi piętrzące się stosy brudnej bielizny. Wkładanie i wyjmowanie jej z pralek, przenoszenie ciężkich koszy było koszmarną, bezmyślną harówką.

Praca zaczynała się o szóstej rano. Co dwie godziny więźniarki miały dziesięć minut przerwy na rozprostowanie karku, po czym wszystko zaczynało się od nowa. Pod koniec dziewięciogodzinnego dnia pracy większość z nich była już bliska omdlenia. Tracy poruszała się jak maszyna, nie rozmawiając z nikim, zatopiona we własnych myślach. Gdy Ernestyna Littlechap usłyszała o jej przydziale - zauważyła cierpko:

- Stara Żelazne Majtki ma cię już dosyć.

- Ona mnie nie obchodzi - odpowiedziała Tracy. Ernestyna Littlechap była trochę zdziwiona. To już nie jest ta sama, przerażona dziewczynka, którą przywieziono do więzienia trzy tygodnie temu. Coś ją odmieniło. Ernestyna bardzo chciałaby wiedzieć co.

Ósmego dnia pracy w pralni zaraz po południu przyszedł po nią strażnik.

- Przenosisz się teraz gdzie indziej. Jesteś przydzielona do kuchni. - „Najbardziej pożądana praca w całym więzieniu”.

W zakładzie podawano dwa rodzaje jedzenia: dla więźniów - drobno posiekane mięso, hot-dogi, fasolę lub prawie niejadalne, rozgotowane ryby, przyrządzane przez ich towarzyszek, zaś dla strażników i urzędników - steki, świeże ryby, żeberka, kurczaki, sałatki warzywne i owoce, wspaniałe desery - które przygotowywali zawodowi kucharze. Kobiety pracujące w kuchni miały wszystkie wspaniałości w zasięgu ręki i potrafiły z tego korzystać.

Znalazszy się w kuchni, Tracy nie zdziwiła się zbyt, widząc tam Ernestynę Littlechap. Podeszła do niej.

- Dziękuję ci. - Przyjazne brzmienie głosu kosztowało ją wiele wysiłku. Ernestyna chrząknęła i nic nie odpowiedziała. - Jak ci się udało przekonać Żelazne Majtki?

- Jej tu już nie ma. Odeszła.

- Co się z nią stało?

- Mamy tu taki system. Jeżeli matrona jest bardzo brzydka i daje nam w dupę, można ją usunąć.

- To znaczy idziecie na skargę do naczelnika?

- Cholera! Co ma do tego naczelnik?

- Więc jak możecie...

- To proste. Kiedy matrona, którą chcesz usunąć, ma służbę - zaczynają się kłopoty. Mnożą się skargi. Jakaś więźniarka opowiada, że Żelazne Majtki klepie ją po dupie. Potem inna oskarża ją o brutalność. Potem następuje kradzież - powiedzmy radia. Ktoś skarży się, że zginęło mu radio z celi, a potem znajduje się je - w jej pokoju. Spławiłyśmy Żelazne Majtki. To nie naczelnicy rządzą w tym więzieniu, tylko my.

- Za co właściwie siedzisz? - spytała Tracy. Wcale jej to nie interesowało. Ważne było tylko utrzymanie przyjaźni z tą kobietą.

- Ernestyna Littlechap nie ma z tym nic wspólnego, wierz mi. Miałam całe stadko dziewczyn, które dla mnie pracowały. - Tracy spojrzała na nią.

- To znaczy jako... - Zawahała się.

- Dziwki? Nie! - zaśmiała się Murzynka. - Były służącymi w porządnym domach. Założyłam sobie agencję pomocy domowych. Przynajmniej dwadzieścia dziewczynek. Nadziani klienci mają masę kłopotów ze znalezieniem służących. Zamieszczałam mnóstwo ślicznych ogłoszeń w najlepszych gazetach, a gdy odpowiadali - wysyłałam tam swoje dziewczynki. Rozglądały się, wyceniały co się dało, a potem, gdy gospodarze wyjeżdżali, albo szli do pracy - moje dziewczynki zgarniały srebro, biżuterię, futra, co się dało i smyk! - ulatniały się. - Ernestyna westchnęła. - Jakbym ci powiedziała, ile ślicznych, nieopodatkowanych pieniążków zgarnialiśmy, nigdy byś nie uwierzyła. - Ale w końcu cię złapali.

- Złośliwość losu, kochanie, nic innego. Któraś z moich dziewczynek podawała obiad u burmistrza, a jednym z gości była jakaś stara jędza, którą poprzednio oczyściła. Jak ją gliniarze przycisnęli - zaczęła śpiewać, wyśpiewała całą operę i masz tu swoją biedną Ernestynę.

Stały przy piecu i nikt im nie przeszkadzał.

- Nie mogę zostać w tym miejscu na zawsze - szepnęła Tracy. - Mam coś do załatwienia na zewnątrz. Czy ty... możesz mi ułatwić ucieczkę? Ja...

- Weź się za tę cebulę, skarbie. Mamy dzisiaj gulasz po irlandzku.

Oddaliła się.

Więzienny obieg informacji był czymś niewiarygodnym. Więźniarki wiedziały o tym, co miało się wydarzyć, na długo przed strażnikami „Szczury śmietnikowe” szperały w porzuconych notatkach, podsłuchiwały rozmowy telefoniczne, czytały listy do naczelnika, a wszystko to było uważnie selekcyjonowane i przekazywane komu trzeba. Ernestyna Littlechap należała do najlepiej poinformowanych osób w więzieniu. Tracy widziała, jak strażnicy i więźniarki ulegali jej woli. Ją samą zostawiano w spokoju tylko dlatego, że Murzynka wzięła ją pod opiekę. Spodziewała się jakichś zalotów ze strony Ernestyny, ale ta zachowywała dystans. „Dlaczego?” - zastanawiała się Tracy.

Paragraf 7 oficjalnego, dziesięciostronicowego regulaminu, którego egzemplarze otrzymywały w pierwszym dniu pobytu w więzieniu, stwierdzał: „Uprawianie seksu w dowolnej postaci na terenie zakładu penitencjarnego jest zakazane i podlega karze. W celi mają prawo przebywać jednocześnie nie więcej niż cztery więźniarki. W łóżku może znajdować się tylko jedna osoba”.

Rzeczywistość tak bardzo różniła się od regulaminu, że ten ostatni czytano wyłącznie dla rozrywki. Stale coraz to nowy „narybek” napływał do więzienia, ale rytuał nie zmieniał się w najdrobniejszym szczególe. Nie-recydywistki, bez odchyłeń seksualnych, nie miały szans. Przybywały wystraszone, sponiewierane, a hieny więzienne już na nie czekały. Dramat rozgrywał się zawsze w ten sam, zaplanowany sposób: w straszliwym, wrogim środowisku hiena wydawała się przyjazna i sympatyczna. Zapraszała swoją ofiarę do świetlicy, gdzie razem oglądały telewizję, a gdy lekko przytrzymała ją za rękę - ofiara pozwalała jej na to, bojąc się obrazić jedyną przyjaciółkę. Nowa „rybka” szybko zauważała, że wszystkie inne zostawiały ją w spokoju i w miarę jak jej zależność od hieny wzrastała, pozwalała na coraz większe zażyłości, aż wreszcie sama zgadzała się na wszystko, byleby zatrzymać swojego ostatniego sprzymierzeńca.

Te, które odmawiały - były gwałcone. Dziewięćdziesiąt procent więzionych kobiet miało stosunki homoseksualne - dobrowolne lub wymuszone - w ciągu pierwszych trzydziestu dni swojego pobytu w więzieniu. Tracy była wstrząśnięta.

- Jak więzienie może na to pozwalać? - zapytała Ernestynę.

- Taki jest system - wyjaśniła - i tak samo jest we wszystkich więzieniach, skarbie. Nie ma sposobu, żeby odłączyć tysiąc dwieście zdrowych kobiet od swoich

chłopów i wymagać od nich, żeby się nie pieprzyły. To jest przeciwne naturze. Gwałt wiąże się nie tylko z seksem. Gwałci się dla pokazania władzy, żeby udowodnić kto jest szefem. Nowe „rybki”, które tu przyjeżdżają, to łatwy cel dla każdego, kto chce sobie pociupciać, nie tylko dla nas. Jedynie stara hiena może je obronić, nikt więcej. Wtedy żadna nie włązi im w drogę.

Tracy wiedziała, że słucha nie lada eksperta.

- W grę wchodzi nie tylko więźniarki - ciągnęła Ernestyna. - Gorsze są strażniczki. Przychodzi, powiedzmy, jakaś świeża dupcia i potrzebuje prochów. Jest na głodzie i musi dostać działkę. Poci się i trzęsie jak w febrze. Matrona znajdzie dla niej trochę heroiny, ale matrona chce mieć coś za to, no nie? Więc „rybka” puka do drzwi matrony i dostaje działkę. Faceci-strażnicy są jeszcze gorsi. Mają klucze do cel, więc wchodzi do nich w nocy i obsługują się jak w burdelu. Mogą ci zrobić dziecko, ale mogą czasem ułatwić życie. Jeśli zachciało ci się, na przykład, czekolady, albo masz widzenie ze swoim chłopakiem - idziesz do strażnika. To się nazywa „handel wymienny” i odbywa się wszędzie, w każdym więzieniu w tym kraju.

- To potworne!

- W szkole nazywali to walką o byt, czy jakoś tam. - Światło lampy sufitowej padło na łysą głowę Ernestyny. - Wiesz dlaczego zabroniono żucia gumy?

- Nie.

- Bo dziewczyny używały jej do zapychania dziurek od klucza tak, że nie zamykały się do końca i w nocy mogły do siebie przechodzić. Przestrzegamy reguł, których chcemy przestrzegać. Dziewczyny tutaj mogą być głupie, ale przynajmniej są cwane.

Romanse w więzieniu kwitły, ale przyjęty rytuał zalotów był nieco bardziej sztuczny i wymuszony niż na zewnątrz. W tym wynaturzonym świecie te same kobiety grały wynaturzone role mężów i żon. „Mężowie” odgrywali mężczyzn w świecie kobiet. Przybierały sobie imiona. Ernestynę nazywano „Ernie”, Tessie była Texem, Barbara zamieniała się w Boba, a Katarzyna stawiała się Kellym. „Mąż” obcinał krótko włosy albo wygalał do zera i nie miał żadnych obowiązków. „Marysia”, jego żona, wyręczała go we wszystkim: prała, szyła i prasowała. Lola i Paulita walczyły zaciekle o względy Ernestyny, prześcigając się w usługiwaniu jej.

Zazdrość byk gwałtowna i często prowadziła do wybuchów; gdy „żonę” przyłapano na zdradzie albo zalotach do innego „męża”, szło na noże. Listy miłosne

krążyły po więzieniu, roznoszone przez „szczury śmietnikowe”. Składano je w małe trójkąty, nazywane „latawcami”, dzięki temu łatwo było je ukryć w staniku albo w bucie. Tracy widziała sceny przekazywania „latawców” gdy kobiety mijały się w drodze do stołówki lub do pracy.

Coraz więcej było zakochanych strażników i więźniarek - dziwna to byk miłość, zrodzona z beznadziejności, rozpacz i niewolniczego poddaństwa. Od strażników zależało wszystko – ich jedzenie, dobre samopoczucie, czasami też życie. Tracy starała się nie okazywać swych uczuć.

Seks był wszechwładny w dzień i w nocy. Stosunki odbywały się w łaźni, w toaletach, w celach, a nocą całowano się przez kraty, „Marysie”, które oddawały się strażnikom, miały otwarte drzwi celi; wychodziły w nocy i odwiedzały swoich kochanków w ich pokojach.

Po zgaszeniu świateł Tracy kładła się do łóżka zatykając rękami uszy, żeby nie słyszeć krzyków.

Pewnej nocy Ernestyna wyciągnęła spod pryczy torebkę prażonego ryżu i rozsypała go po korytarzu koło drzwi. Tracy usłyszała, że inne robią to samo.

- Co się dzieje? - spytała.

- Nie twoja sprawa - odwróciła się i odburknęła Ernestyna. - Leż w łóżku i nie wychodź. O nic nie pytaj. Parę minut później rozległ się okrzyk przerażenia z sąsiedniej celi, gdzie właśnie przybyła nowa „rybka”:

- Boże, niee! Proszę! Zostawcie mnie!

Tracy wiedziała już, co się działo, i czuła się okropnie. Krzyki nie milkły, aż w końcu przerodziły się w krótkie, urywane jęki. Tracy zacisnęła powieki do bólu, ogarnięta gniewem. Jak kobiety mogą się tak nawzajem traktować? Sądziła, że więzienie ją uodporniło, ale gdy obudziła się rano, oczy miała pełne łez. Nie chciała zdradzać się z tym przed Ernestyną. Zapytała obojętnie:

- Po co był ten prażony ryż?

- To nasz system wczesnego ostrzegania. Jeśli strażnik podchodzi z nienacką, można go usłyszeć.

Niektórzy nazywali wyrok więzienny „semestrem w college’u” i po jakimś czasie Tracy zrozumiała sens tego powiedzenia. Więzienie było „szkołą” dosyć szczególnego rodzaju. Przebywali w nim eksperci od wszystkich rodzajów przestępstw. Wymieniano doświadczenia dotyczące szulerki, rabowania sklepów,

opróżniania kieszeni pijaczków. Uzupełniano wiadomości na temat wszystkich rodzajów przestępstw, obrony przed policjantami, „sypania” współników i wykrywania tajniaków.

Któregoś dnia na podwórku spacerowym Tracy przyłączyła się do słuchaczy seminarium na temat kradzieży kieszonkowych. Jakaś stara więźniarka przemawiała do zafascynowanej młodzieży.

- Prawdziwi zawodowcy są z Kolumbii. Mają tam szkołę w Bogocie, nazywają ją Szkołą Dziesięciu Dzwonów, gdzie za dwa i pół patyka zostajesz superkieszonkowcem. Wisi tam u sufitu manekin ubrany w garnitur z dziesięcioma kieszeniami, w każdej kieszeni forsa i biżuteria.

- I na czym to polega?

- Na tym, że przy każdej kieszeni jest mały dzwoneczek: jak go trącisz zbyt gwałtownie - dzwoni. Nie wypuszczą cię ze szkoły, dopóki nie opróżnisz kieszeni bez dotyknięcia dzwonka.

- Chodziłam kiedyś z facetem - westchnęła Lola - który spacerował sobie w tłumie, mając obie ręce na widoku, a jednocześnie czyścił kieszenie jak maszyna.

- Jak mógł to robić?

- Prawa ręka była sztuczna. Przekładał swoją prawdziwą rękę przez szparę w płaszczu i wyciągał ludziom portfele, forszę, pierścionki.

Przeszły do świetlicy i rozmawiały dalej.

- Najlepszy jest numer z szafką w przechowalni - odezwała się któraś. - Siedzisz sobie na dworcu w przechowalni bagaży, dopóki nie zobaczysz jakiejś staruszki, próbującej włożyć walizkę do górnej skrytki. Pomagasz jej i oddajesz klucz. Tylko że to jest klucz do jakiejś pustej szafki. Kiedy sobie pójdzie, wyjmujesz bagaże ze schowka i spływasz.

Następnego popołudnia na podwórku dwie kobiety skazane za prostytutkę i posiadanie kokainy rozmawiały z jakąś nową „rybką”, ładną, młodą dziewczyną, wyglądającą najwyżej na siedemnaście lat.

- Nic dziwnego, że cię zrobili w jajo - pouczała starsza kobieta. - Zanim uzgodnisz cenę z jakimś „Johnem”, musisz go trochę obmacać, żeby wiedzieć, czy nie ma jakiegoś „gnata” w kieszeni. Tak samo, nie możesz mu *nigdy* opowiadać, jakie sztuczki możesz z nim wyprawiać, niech *on* sam powie, czego chce. Wtedy, jeżeli się okaże glina, możesz się tłumaczyć, że to on leciał na ciebie, a nie odwrotnie.

- Tak. I zawsze uważaj na jego ręce - dodała druga prostytutka. - Jeżeli wygląda na robotnika, to sprawdź, czy ma szorstkie, popękane łapska, czy też gładkie. Mnóstwo tajniaków przebiera się za robotników, ale zapominają o rękach. Dłonie ich zdradzają.

Czas płynął jednostajnie, bez pośpiechu. Jak to czas. Tracy przypomniał się stary aforyzm świętego Augustyna: „Co to jest czas? Jeśli nikt mnie nie pyta - wiem. Ale jeśli muszę to wyjaśnić - nie potrafię”.

Wszystkie dni były do siebie podobne:

- 4.40 - pobudka,
- 4.45 - ślanie łóżek i ubieranie się,
- 5.00 - śniadanie,
- 5.30 - powrót do celi,
- 5.55 - przygotowanie do pracy: dzwonek na zbiórkę,
- 6.00 - apel i początek pracy,
- 10.00 - ćwiczenia fizyczne i spacer,
- 10.30 - drugie śniadanie,
- 11.00 - dalszy ciąg pracy,
- 15.30 - obiad połączony z kolacją,
- 16.00 - powrót do celi,
- 17.00 - zajęcia w świetlicy,
- 18.00 - powrót do celi,
- 20.45 - przygotowanie do spania,
- 21.00 - zgaszenie świateł.

Reguły były żelazne. Wszystkie więźniarki musiały chodzić na posiłki, nie wolno było rozmawiać w szeregu. W małych szafeczkach obok łóżka można było przechowywać najwyżej pięć przedmiotów służących kosmetyce i higienie osobistej. Łóżka musiały być zasłane przed śniadaniem i przez cały dzień nie mogło być na nich jednej zmarszczki. W więzieniu brzmiała nieustannie swoista muzyka: brzęk dzwonek, tupot nóg po cementowej podłodze, trzaskanie żelaznych drzwi, dzienne szepty i nocne krzyki... trzaski w przenośnych radiotelefonach strażników, grzechot tac podczas posiłków. Nie dało się choć na chwilę zapomnieć o drutach kolczastych,

samotności, wszechogarniającej nienawiści, oddaleniu od bliskich i całego świata spoza drutów.

Tracy stała się wzorem więźniarki. Podporządkowana całkowicie więziennej rutynie, reagowała jak automat na wszystkie odgłosy: szczęk metalowej zasuwki, gdy strażnik wchodził żeby policzyć więźniów, i taki sam szczęk gdy ogłoszono pobudkę, dzwonek na zbiórkę do pracy i cichy brzęczyk ogłaszający fajrant.

Ciało znalazło się w niewoli, ale umysł zachował niezależność i obmyślał ucieczkę.

Więźniarkom nie wolno było korzystać z telefonu, ale dwa razy w miesiącu, gdy ktoś z nich zadzwonił, miały prawo do rozmów. Tracy rozmawiała z Otto Schmitdem.

- Muszę pani powiedzieć - mówił Otto - że to był naprawdę ładny pogrzeb. Ja zapłaciłem za wszystko, Tracy.

- Dziękuję, Otto... dziękuję. - Nie wiedziała co mówić. Milczeli. Potem już nikt do niej nie dzwonił.

- Dziewczyno, zapomnij lepiej o całym świecie na zewnątrz - radziła jej Ernestyna. - Nie masz tam nikogo.

„Mylisz się!” - myślała ponuro Tracy.

Joe Romano

Perry Pope

Sędzia Henry Lawrence

Anthony Orsatti

Charles Stanhope III

Do następnego spotkania z Dużą Bertą doszło na podwórku spacerowym. Podwórko było szerokim prostokątem, pod gołym niebem, ograniczonym z jednej strony murem więziennym, a z drugiej - budynkami. Każdego ranka miały prawo przechadzać się tam przez trzydzieści minut. Było to jedno z nielicznych miejsc, gdzie można było swobodnie rozmawiać, i grupy więźniarek gromadziły się razem, by dzielić się plotkami lub ostatnimi nowinami, tuż przed drugim śniadaniem. Gdy Tracy znalazła się na podwórku po raz pierwszy, poczuła się jak na wolności, chyba z powodu świeżego powietrza. Wysoko w górze świeciło słońce, płynęło parę kłębiastych obłoczków, a gdzieś, nieprawdopodobnie daleko rozbrzmiewał warkot lecącego samolotu.

- Hej, ty! Szukałam cię! - wykrzyknął jakiś głos.

Tracy obejrzała się i zobaczyła olbrzymią Szwedkę, która wpadła na nią pierwszego dnia.

- Podobno chodzisz z jakąś czarną krową, prawda?

Tracy próbowała się wymknąć, ale Berta ujęła jej ramię w żelazny uścisk.

- Nikt przede mną nie ucieknie - dyszała. - Bądź miła, *littbarn*, - Przypierała Tracy do ściany, rozgniatując ją całym swoim ciężarem.

- Odwal się!

- Przyda ci się przyzwoite ciupcianie, *littbarn*. Wiesz, o co mi chodzi? Ja ci nie będę żałować, niedługo będziesz cała moja, *älskade*.

- Zabierz od niej swoje śmierdzące łapy, ty dziwko! - zabrzmiał nagle gdzieś z tyłu znajomy głos.

Stała tam Ernestyna Littlechap z zaciśniętymi pięściami: słońce lśniło na jej gładko wygolonej głowie. Złowrogim spojrzeniem świdrowała Szwedkę.

- Co z ciebie za chłop, Ernie? Nie wystarczasz jej!

- Wystarczy, żeby załatwić ciebie - wybuchnęła Murzynka. - Spróbuj jej dotknąć i wydrapię ci te twoje świńskie gały. Zjeżdżaj!

Pomiędzy więźniarkami przelatywały iskry. Dwie Amazonki przyglądały się sobie z narastającą nienawiścią. „Chyba pobiją się o mnie na śmierć i życie...” - pomyślała Tracy. Ale potem zrozumiała, że chodziło nie tylko o nią. Przypomniała sobie coś, co usłyszała od Murzynki: „Tutaj można tylko walczyć, pieprzyć albo gryźć ziemię. Jeśli gadasz za dużo - zdychasz”.

Duża Berta wycofała się. Łypnęła pogardliwie na Ernestynę.

- OK, nie spiesz mi się. - Popatrzyła pożądliwie na Tracy. - Posiedzisz tu sobie jeszcze, kurczaczku. Tak jak ja... Zobaczymy się wkrótce.

Odwróciła się i poszła. Ernestyna patrzyła za nią.

- To nie jest dobra mama, Tracy. Pamiętasz tę pielęgniarkę z Chicago, która wytruła pacjentów? Wpakowała w nich pełno cyjanku, a potem stała i gapiła się jak umierali. To jest właśnie ten aniołek, który cię tak ukochał, Whitney. Cholera! Nie ruszaj się nigdzie sama. Ona ci nie daruje!

- Pomożesz mi uciec?

Zadzwoił dzwonek. - Czas do koryta - odrzekła Ernestyna Littlechap.

Tej nocy, leżąc w łóżku, Tracy długo rozmyślała o Ernestynie. Nawet po ostatnich wydarzeniach nie ufała jej. To, że Murzynka zostawiła ją w spokoju, nic

jeszcze nie znaczyło. Ciągłe pamiętała o tym, co Ernestyna i jej towarzyszki zrobiły z nią pierwszej nocy. Ale nie poradzi sobie bez niej.

Każdego popołudnia, po obiedzie, wolno było przez całą godzinę siedzieć w świetlicy i oglądać telewizję, rozmawiać, albo przeglądać czasopisma. W jakimś starym magazynie ilustrowanym Tracy natrafiła na fotografię, która przyciągnęła jej uwagę. Było to ślubne zdjęcie Charlesa Stanhope i jego małżonki, wychodzących ramię w ramię z kaplicy i uśmiechniętych. Zdjęcie było dla niej jak uderzenie pioruna. Zadowolenie Charlesa, wesoły uśmiezek na jego twarzy doprowadziły ją do ataku furii. Kiedyś jej największym marzeniem było dzielenie z tym człowiekiem życia, ale on odwrócił się od niej, pozwolił jej zginąć, skazał na śmierć ich dziecko. To zdjęcie należało do innego świata, innego czasu. Było fantazją. Rzeczywistość była tutaj, z nią.

Odłożyła czasopismo.

W dniach widzeń można się było przekonać, które z więźniarek miały rodzinę i przyjaciół. Kapały się przedtem i wkładały świeże ubranie, robiły makijaż. Ernestyna wracała z pokoju odwiedzin roześmiana i zadowolona.

- Mój Al zawsze do mnie przyjeżdża - mówiła do Tracy. - Będzie na mnie czekał, dopóki stąd nie wyjdę. Wiesz dlaczego? Bo ja mu dam to, czego nikt mu nie da.

Tracy nie ukrywała zdziwienia.

- To znaczy... seksualnie?

- A jak? To, co się tu dzieje, nie ma nic wspólnego z tym na zewnątrz. Tutaj czasami trzeba przytulić jakieś ciepłe ciało, kogoś, kto cię obejmie i powie, że cię kocha. Nieważne czy naprawdę, czy sobie to wmawiasz. To jest wszystko, co masz. Ale gdy stąd wyjdę - Ernestyna roześmiała się tajemniczo - wtedy stanę się perwersyjną, starą nimfomanką, wiesz?

Lecz Tracy niepokoiło co innego. Postanowiła wyjawic Murzynce swoje obawy.

- Ernie, ty mnie ciągle ochraniasz. Dlaczego?

- To mi dobrze robi. - Wzruszyła ramionami. - Poprawia samopoczucie.

- Naprawdę chcę wiedzieć. Tracy ostrożnie dobierała słowa. - Wszystkie inne twoje... *przyjaciółki* dają ci coś. Robią wszystko co chcesz.

- Jeśli chcą chodzić z tyłkiem w jednym kawałku, tak. Zgadza się.

- Ale nie ja. Dlaczego?

- Żałujesz?

- Nie. Chcę wiedzieć.

Ernestyna zastanawiała się przez chwilę.

- No dobra, powiem ci. Ty... masz coś w sobie, czego ja potrzebuję. - Zauważyła wyraz twarzy Tracy. - Nie, nie o to mi chodzi. Dostaję wszystko co chcę, skarbie, nic mi nie brak. Ale ty masz w sobie jakąś klasę. Prawdziwą klasę. Coś w rodzaju tych panienek z „Vogue” albo „Town and Country”, ubranych w suknie i popijających herbatę ze srebrnych filiżanek. Ty do nich należysz. Więzienie to nie jest miejsce dla ciebie. Nie wiem, jakim cudem wdepnęłaś w to całe gówno w Orleanie, ale myślę, że ktoś cię nieźle wrobił. - Spojrzała na Tracy i mówiła dalej, prawie onieśmielona: - Nie spotkałam wielu porządnych ludzi na tym świecie. A ty jesteś właśnie taka. - Odwróciła się tak, że następne jej słowa ledwo było słyhać. - I żal mi trochę twojego dziecka. Naprawdę mi żal...

Tej nocy po zgaszeniu świateł Tracy szepnęła w ciemnościach:

- Ernie, ja muszę stąd uciec. Błagam cię, pomóż mi!

- Cholera jasna, nie widzisz, że śpię? Zamknij się, słyszysz?

Ernestyna wprowadziła Tracy w sekretny język więzienia. Jakież kobiety na spacerze grypsowały:

- Ta hiena upuściła sobie pasek na szaro i teraz trzeba będzie ją karmić długą łyżką.

- Miała już cienko, ale złapali ją w burzy i jakiś kamienny gliniarz przepchnął ją do rzeźnika. Wtedy przestała stawiać. Cześć, Rubydo...

Dla Tracy brzmiało to jak rozmowa Marsjan.

- O czym one gadają? - zapytała. Ernestyna wybuchnęła śmiechem.

- Nie znasz angielskiego, skarbie? Kiedy sobie „upuścisz pasek”, to znaczy, że przestajesz być mężem, a zaczynasz być Marysią. „Na szaro” - znaczy: jest od nowa młodą rybką jak ty. „Trzeba ją karmić długą łyżką” - znaczy: trzeba się trzymać od niej z daleka, bo sypie. „Miała już cienko”, czyli niewiele jej już zostało do zakończenia wyroku, ale „kamienny gliniarz”, czyli nieprzekupny strażnik złapał ją na heroinie i wysłał do „rzeźnika” więziennego lekarza.

- Co znaczy „stawianie” i Ruby-do”?

- Nic nie rozumiesz? „Ruby-do” to zwolnienie warunkowe. „Stawiasz” jak wychodzisz z więzienia.

Oba te pojęcia były dla Tracy jednakowo abstrakcyjne.

Do kolejnego starcia między Ernestyna Littlechap a Dużą Bertą doszło następnego dnia na podwórku więziennym. Więźniarki grały w softball⁵ pod nadzorem strażników. Duża Berta po odbiciu piłki, prowadząc dwoma uderzeniami, pobiegła do pierwszej bazy, bronionej przez Tracy. Skoczyła na nią, zwalając dziewczynę z nóg, a potem okraczyła ją i przygwoździła do ziemi. Szeptala przy tym, chwytając Tracy za uda:

- Nikt mi nie odmawia, ty pizdo! Dziś w nocy przyjdę do ciebie, *littbarn*, i popieszczę cię tak, że tyłek ci odpadnie.

Tracy walczyła zaciekle, nie mogąc się oswobodzić. Nagle Duża Berta uniosła się w powietrze. Ernestyna dusiła ją, zaciskając palce na jej szyi.

- Ty przeklęta stara krowo! - wrzeszczała Ernestyna - ostrzegałam cię. - Przejechała po jej twarzy paznokciami, wpychając je do oczu.

- Nie widzę! - wyła Berta. - Nic nie widzę!

Schwyciła Ernestynę za piersi i próbowała je wyrwać. Kobiety biły się i drapały, dopóki nie podbiegło czterech strażników. Rozdzielenie ich zajęło pięć minut. Obie zabrano do szpitala więziennego. Dopiero późno w nocy Ernestyna wróciła do celi. Lola i Paulita pocieszały ją jedna przez drugą.

- Czy coś ci się stało? - szepnęła Tracy.

- Prawie nic, cholera - odburknęła Ernestyna. Miała zmieniony głos i Tracy zastanawiała się, jak ciężko została zraniona.

- Mam już swoje Ruby-do od wczoraj. Wychodzę z tego przytułku. A wtedy zaczniesz mieć kłopoty. Ta mamusia nie zostawi cię w spokoju. A kiedy skończy się z tobą pieprzyć - zabije cię.

Leżały w ciemności milcząc. W końcu Ernestyna odezwała się znowu.

- Może naprawdę trzeba będzie pomyśleć, jakby cię stąd wyciągnąć.

⁵ Softball - gra bardzo podobna do baseballu, ale wymagająca większego boiska i grana miękką, gumową piłką. (Przypis tłum.)

Niedługo stracisz swoją guwernantkę - powiedział naczelnik Brannigan do swojej żony. Sue Ellen Brannigan ze zdziwieniem podniosła oczy znad stołu.

- Dlaczego? Judy jest bardzo dobra dla Amy.

- Wiem, ale jej wyrok dobiega końca. Jutro rano ją zwalniamy. Jedli śniadanie w komfortowo wyposażonym domku, stanowiącym jeden z przywilejów zawodu Brannigana. Inne przywileje obejmowały: posiadanie kucharki, służącej, szofera i guwernantki dla ich córki Amy, która właśnie kończyła pięć lat. Cała służba składała się z zaufanych więźniarek. Gdy pięć lat temu Sue Ellen znalazła się tu po raz pierwszy, obawiała się trochę tego domu na terenie więzienia, a jeszcze bardziej - służby złożonej z samych przestępców i skazańców.

- Mogą cię obrabować albo poderznąć gardło w środku nocy i nie zdążysz nawet krzyknąć - zauważyła.

- Jeśli tak zrobią - obiecywał naczelnik Brannigan - przedstawię ich do raportu.

Wyperswadował żonie obawy, ale nie przekonał jej do końca.

A jednak obawy Sue Ellen były bezpodstawne. „Zaufane” były wystraszone, za wszelką cenę chciały wyrzucić dobre wrażenie na swoim naczelniku i dlatego nawet przesadzały w ostrożności.

- Właśnie zdążyłam się oswoić z tym, że zostawiam Amy pod opieką Judy - narzekała pani Brannigan. Życzyła Judy jak najlepiej, ale jej odejście nie wróżyło nic dobrego. Kto wie, jaka okaże się nowa guwernantka Amy? Tyle przerażających historii opowiadano o tym, co obcy ludzie wyrządzali dzieciom! A to przecież kryminalistki...

- Czy masz już jakąś kandydatkę na miejsce Judy, George? Naczelnik zamyślił się głęboko. Było co najmniej tuzin odpowiednich, godnych zaufania więźniarek, mogących zastąpić Judy. Ale już od dłuższego czasu pewna myśl nie dawała mu spokoju. Chodziło o Tracy Whitney. Było coś podejrzanego w jej przypadku, coś, czego nie mógł zrozumieć. Już piętnaście lat zajmował się zawodowo kryminologią i bardzo cenił sobie swoją znajomość ludzi. Niektórzy więźniowie, z którymi miał do czynienia, byli zatwardziałymi kryminalistami, inni dostali się do więzienia z powodu przestępstwa popełnionego w gniewie czy podnieceniu, albo nie oparli się chwilowej pokusie. Tracy Whitney nie pasowała do żadnej z tych kategorii. Nie dał się nabrać jej zapewnieniom o niewinności, była to stara śpiewka wszystkich skazańców. Niepokoiły go nazwiska ludzi zamieszanych w sprawę Tracy Whitney i jej skazania. Naczelnik

zawdzięczał swoją pracę Nowoorleańskiej Komisji Spraw Obywatelskich, której przewodniczącym był gubernator stanu i chociaż uporczywie odmawiał mieszania się do polityki, obijały mu się o uszy głośne nazwiska. Joe Romano to mafia, prawa ręka Orsattiego. Perry Pope, obrońca w procesie Tracy Whitney, figurował na liście płac Orsattiego, podobnie jak sędzia Henry Lawrence. Bez wątpienia wokół sprawy Tracy Whitney czuć było jakiś nieprzyjemny zapach.

Naczelnik Brannigan podjął decyzję. Powiedział żonie:

- Tak. Mam kandydatkę.

W kuchni więziennej był pokoik z małym stolikiem, pokrytym żaroodpornym plastikiem, i czterema krzesłami, jedyne miejsce, gdzie można było spokojnie porozmawiać. Tracy spędzała tam z Ernestyną Littlechap dziesięćminutową przerwę, popijając kawę.

- Może wreszcie się dowiem, co to za sprawy masz do załatwienia na wolności i dlaczego chcesz wiać - powiedziała Ernestyną.

Tracy zawahała się. Czy mogła jej wierzyć? Właściwie nie miała wyboru.

- Są... są pewni ludzie, którzy narazili się mojej rodzinie i mnie. Muszę stąd uciec, żeby się im odwdzięczyć.

- Tak? A co takiego ci zrobili?

Tracy mówiła powoli, jakby każde słowo sprawiało jej ból.

- Zabili moją matkę.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem, czy te nazwiska coś ci powiedzą: Joe Romano, Perry Pope, sędzia Henry Lawrence, Anthony Orsatti...

Ernestyna patrzyła na nią z otwartymi ustami, całkiem osłupiała.

- Jezusie, Maryjo! Co ty mi wstawiasz, dziewczyno?

- Słyszałaś o nich? - zdziwiła się Tracy.

- *Słyszałaś...* Kto o nich nie słyszał? Piesek się nie odleje w tym pieprzonym Orleanie, jeśli Orsatti albo Romano mu na to nie pozwolą. Chcesz z nimi zadrzeć? Rozdepczą cię jak karalucha!

- Już mnie rozdeptali - beznamiętnie odrzekła Tracy. Ernestyna obejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje.

- Albo ci całkiem odbiło, albo w ogóle masz nierówno pod sufitem. Mówisz o *nietykalnych!* - Potrząsnęła głową. - Zapomnij o tym.

- Nie, nie mogę zapomnieć. Muszę stąd wiać. Pomożesz mi? - Ukryły się w najdalszym kącie.

- Dwanaście dziewczyn wiało już z tego przytułku - rzekła Ernestyna. - Dwie złapali strażnicy i zastrzelili. Pozostałe dziesięć złapali i sprowadzili z powrotem. - Tracy nic nie odpowiedziała. - Na wieży stoją strażnicy uzbrojeni w karabiny maszynowe, dwadzieścia cztery godziny na dobę. To są naprawdę skurwysyny. Jeśli komuś uda się zwać - tracą pracę, więc zabić więźnia to dla nich tyle, co splunąć. Dookoła więzienia są druty kolczaste, a jeżeli przez nie przejdziesz i nie trafia cię z karabinów, mają jeszcze psy wytresowane w tropieniu, które potrafią wyniuchać pierdniecie komara. Parę kilometrów stąd jest posterunek straży obywatelskiej, jak ktoś stąd zwieje - puszczają helikoptery wyposażone w karabiny i reflektory. Gównem ich obchodzi, czy przyprowadzą cię tutaj żywą, czy martwą. Dla nich lepsza jest martwa. Żeby innym odechciało się wiać.

- Ale jednak próbują - zauważyła z uporem Tracy.

- Te, które próbowały, miały pomoc z zewnątrz - ludzi, którzy przemycali broń, pieniądze, ubrania. Czekali na nie w samochodach, z zapalonym silnikiem. - Zatrzymała się dla efektu. - Ale mimo wszystko je złapali.

- Mnie nie złapią - przyrzekła Tracy. Zbliżała się matrona. Wywołała Tracy.

- Whitney, naczelnik cię wzywa. Na jednej nodze!

Potrzebujemy opiekunki dla naszej małej córeczki - powiedział Brannigan. - To jest praca dobrowolna. Nie musisz jej przyjmować, jeśli ci nie odpowiada.

„Opiekunka dla naszej małej córeczki... - Tracy myślała na przyspieszonych obrotach. - To może mi ułatwić ucieczkę! Pracując w domu naczelnika, mogę poznać więzienie znacznie lepiej niż tutaj!”

- Dobrze - powiedziała. - Przyjmuję tę pracę.

George Brannigan był zadowolony. Miał jakieś dziwne, nieuzasadnione przecucie, że coś powinien dla niej zrobić.

- W porządku. Płacimy ci sześćdziesiąt centów za godzinę. Pieniądze będą odkładane na twoje konto pod koniec każdego miesiąca.

Więźniom nie wolno było posiadać gotówki, wszystkie pieniądze zarobione w więzieniu były im wręczane przy zwolnieniu.

„Pod koniec tego miesiąca już mnie tu nie będzie” - pomyślała Tracy. Głośno odpowiedziała:

- To mi całkowicie odpowiada.
- Zaczynasz jutro rano. Główna przełożona poda ci dalsze szczegóły.
- Dziękuję, panie naczelniku.

Brannigan patrzył na Tracy i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie wiedział co. Zamiast tego rzekł:

- To wszystko.

Gdy powtórzyła nowinę Ernestynie, Murzynka zamyśliła się głęboko.

- To znaczy, że zrobili z ciebie zaufaną. Będziesz mogła wychodzić poza teren więzienia. To może trochę pomóc w ucieczce.

- Jak się stąd ucieka?

- Masz trzy możliwości, ale wszystkie są ryzykowne. Pierwsza jest najprostsza. Zapychasz gumą do zucia dziurki w twojej celi i w drzwiach na korytarzu. Wychodzisz na podwórko, zarzucasz na druty jakiś koc i dajesz nogę. Potem tylko bieg.

„A za mną te sympatyczne pieski i helikoptery”. Tracy poczuła jak kule strażników rozrywają jej ciało. Wzdrygnęła się.

- A te inne sposoby.

- Drugi sposób to wojna. Zdobywasz broń i bierzesz zakładnika. Jak cię złapią - dostaniesz diabełka w niklowej czapeczce. Albo przedłużenie wyroku o dwa do pięciu lat.

- A trzeci sposób?

- Wyjście. Tylko dla zaufanych pracujących na zewnątrz. Jak już znajdziesz się za drutami, bierzesz nogi za pas i wiejesz.

Tracy zastanowiła się. Bez pieniędzy, samochodu i kryjówki właściwie nie miała szans. „Odkryją moje zniknięcie przy następnym odliczaniu i zaczną szukać”.

- Nie ma genialnego planu, skarbie. Dlatego jeszcze nikomu się nie udało - westchnęła Ernestyna.

- „Mnie się uda - przyrzekła sobie Tracy. - Na pewno”.

W dniu, w którym Tracy po raz pierwszy znalazła się w domu Brannigana, upłynęło pięć miesięcy jej pobytu w więzieniu. Bała się trochę spotkania z żoną i córką naczelnika, gdyż za bardzo zależało jej na tej pracy. Chciała za wszelką cenę wkupić się jakoś w ich łaski. Nareszcie znalazła klucz do wolności.

Weszła do dużej, ładnie urządzonej kuchni i usiadła. Czuła jak pot spływa jej po plecach, wzdłuż kręgosłupa, pod pachami wyrastały mokre plamy.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich kobieta ubrana w szlafrok o łagodnym różowym odcieniu.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Dzień dobry.

Zrobiła gest jakby chciała usiąść, ale rozmyśliła się i stała. Sue Ellen Brannigan była blondynką o przyjemnej twarzy, po trzydziestce. Sprawiała wrażenie trochę zagubionej i zmieszanej. Była przewrażliwiona, nie wiedziała jak ma traktować te kobiety z więzienia: dziękować im za usługi, czy po prostu wydawać rozkazy?

Sue Ellen nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić do życia wśród narkomanek, morderczyń i złodziejek.

- Jestem panią Brannigan - zatrajkotała. - Amy ma prawie pięć lat i sama rozumiesz, jak psotne są dziewczynki w tym wieku. Obawiam się, że trzeba jej pilnować przez cały dzień. - Zerknęła na lewą rękę Tracy. Nie nosiła obrączki, ale w dzisiejszych czasach oczywiście to nic nie znaczy. „Szczególnie wśród tych z niższych warstw” - pomyślała Sue Ellen. Zapytała delikatnie: - Czy masz własne dzieci?

- Nie - Tracy pomyślała o swoim nie narodzonym dziecku.

- Rozumiem. - Sue Ellen była też odrobinę onieśmielona. Ta więźniarka nie była całkiem taka, jaką ją sobie wyobrażała. Miała w sobie coś niezwykłego, jakąś elegancję.

- Przyprowadzę Amy. - Wyszła z pokoju.

Tracy rozejrzała się. Domek był spory, przytulny i ładnie urządzone. Tracy wydawało się, że upłynęły lata od czasu, kiedy ostatnio widziała prawdziwy dom. To wszystko było jakby z innego świata - świata poza drutami.

Sue Ellen wróciła do pokoju trzymając za rękę małą dziewczynkę.

- Amy, to jest... - „Czy mam jej mówić po imieniu, czy po nazwisku?” Wybrała kompromis: - Tracy Whitney.

- Cześć - powiedziała Amy. Po matce odziedziczyła szczupłość i inteligentne spojrzenie głęboko osadzonych, ciemnozielonych oczu. Nie była może dzieckiem uroczym, ale bardzo przyjaznym i śmiałym. - Masz być moją nianią? - „Niech mnie tylko nie dotyka” - pomyślała.

- Będę się tobą opiekować razem z mamą.

- Judy zwolnili z więzienia, wiesz? A czy ciebie też chcą zwolnić? - „Nie” - pomyślała Tracy. Odpowiedziała:

- Zostanę z tobą przez długi czas, Amy.

- To dobrze - bez zastanowienia wtrąciła Sue Ellen. Zaraz potem zaczerwieniła się w zakłopotaniu i przygryzła wargę. - To znaczy...

Zaczęła krzątać się po kuchni i wyjaśniać Tracy jej obowiązki.

- Posiłki będziesz jadła razem z Amy. Codziennie przygotujesz jej śniadanie i pobawisz się z nią do lunchu. Lunchem zajmie się kucharka. Potem Amy śpi i dopiero po południu wychodzi na spacer po farmie. To chyba dobrze, gdy dziecko przebywa na powietrzu, wśród zieleni, prawda?

- Tak.

Farma położona była daleko od głównego korpusu więzienia, oddzielona od niego dwudziestoma akrami ziemi, uprawianej przez zaufane więźniarki. Było też sztuczne jezioro, nawadniające glebę, otoczone ceglany murem, który wznosił się wysoko ponad wodą.

Pięć następnych dni było dla Tracy jakby początkiem nowego życia. Gdyby nie jej plany, czułaby się prawie szczęśliwa na tej otoczonej zielenią farmie, daleko od ponurych murów więzienia. Mogła spacerować, oddychając świeżym powietrzem, mając złudzenie wolności. Kiedy nie musiała zajmować się Amy, miała obowiązek meldować się w więzieniu. Każdej nocy zamykano ją w celi, ale w ciągu dnia czuła się wolna. Po śniadaniu w więziennej kuchni przychodziła do domu naczelnika i przygotowywała śniadanie Amy. Tracy nie zapomniała lekcji gotowania, jakich udzielał jej Charles, kusila ją trochę różnorodność produktów, które znajdowała na półkach, ale Amy najchętniej jadła proste śniadania złożone z owsianki lub innych przetworów zbożowych z dodatkiem owoców. Potem Tracy wymyślała różne zabawy albo czytała Amy książkę. Uczyła ją także gier, które kiedyś pokazywała jej matka.

Amy lubiła lalki. Ze starych skarpetek naczelnika, Tracy zrobiła jej jagniątko, niestety pokracczne, przypominające skrzyżowanie lisa i kaczki.

- Jest przepiękne! - oceniła lojalnie Amy.

Tracy nauczyła lalkę mówić z różnymi akcentami: francuskim, włoskim, niemieckim, i tym, który Amy najbardziej się spodobał - śpiewnym meksykańskim akcentem Paulity. Przyglądała się roześmianemu dziecku i myślała: „Ona mnie nic nie obchodzi. Jest moją nadzieją na wydostanie się stąd, niczym więcej”.

Po popołudniowej drzemce Amy wychodziły razem na długie spacer, wybierając tereny, których Tracy dotąd nie znała. Uważnie obserwowała wszystkie wejścia i wyjścia z więzienia, notując w pamięci ich położenie. Przyglądała się strażnikom na wieżach i zapamiętywała, kiedy się zmieniali. Zrozumiała, że żadna z wersji proponowanych przez Ernestynę nie miała szans powodzenia.

- Czy ktoś już próbował ukryć się w którymś z tych samochodów dowożących zaopatrzenie do więzienia? Widziałam ciężarówki z mlekiem i żywnością...

- Do niczego. Każdy wóz, który wjeżdża albo wyjeżdża przez bramę, jest przeszukiwany.

Któregoś dnia przy śniadaniu Amy powiedziała:

- Kocham cię, Tracy. Czy chcesz zostać moją mamą? Słowa te wstrząsnęły dziewczyną.

- Jedna mama ci wystarczy. Nie potrzebujesz dwóch.

- Właśnie, że potrzebuję. Tata Sally Ann ożenił się drugi raz i Sally Ann ma dwie mamy.

- Ty nie jesteś Sally Ann - odpowiedziała sucho. - Dokończ śniadanie.

- Już nie będę jeść. Nie jestem głodna. - Amy spojrzała na nią obrażona.

- Dobrze. Więc poczytam ci.

Ale ledwie zaczęła czytać, gdy poczuła małą, ciepłą rączkę Amy na swojej.

- Mogę usiąść ci na kolanach?

- Nie. - „Masz swoją rodzinę, nie należysz do mnie. Nikt do mnie nie należy”.

Cała ta sielanka z dala od więziennej rzeczywistości tylko pogarszała sytuację. O wiele trudniej było wracać na noc do mrocznej, cuchnącej celi, w której zamykano ją na klucz, jak zwierzę w klatce. Ciemność i krzyki dochodzące z sąsiednich cel doprowadzały ją do szaleństwa. Zaciskała zęby, aż rozboleły ją dziąsła. „Powoli - powtarzała sobie - mam mnóstwo czasu, przyzwyczaję się”.

Prawie nie spała, spędzając noc na rozmyślaniach i snuciu planów. Pierwszym zadaniem była ucieczka. Drugi krok to policzenie się z Joe Romano, Perrym Pope, sędzią Lawrence i Anthonym Orsatti. Krok trzeci to Charles. Ale o tym nie trzeba myśleć, to zbyt boli. „Jakoś się z tym uporam, we właściwym czasie” - obiecywała sobie.

Nie można było bez końca unikać Dużej Berty. Tracy utwierdziła się w przekonaniu, że olbrzymia Szwedka ją szpiegowała. Jeśli przypadkiem zajrzała do

światlicy - Berta tyła tam już w kilka minut później, a gdy wychodziła na podwórko - pojawiała się natychmiast.

Któregoś dnia Berta podeszła do Tracy i zagadnęła:

- Wyglądasz dziś jak bóstwo, *littbarn*. Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy razem.

- Nie zbliżaj się do mnie! - ostrzegła ją Tracy. Amazonka roześmiała się.

- Dlaczego? Twoja czarna mamusia wkrótce wychodzi. Spróbuję załatwić ci przeprowadzkę do mojej celi. - Tracy patrzyła na nią. - Zrobię tak, kochanie. Uwierz mi.

Czasu więc było mało. Musiała uciec przed zwolnieniem Ernestyny.

Amy najbardziej lubiła spacerować po łące porośniętej dzikimi kwiatami o wszystkich kolorach tęczy. Niedaleko stąd było duże sztuczne jezioro z betonowym nabrzeżem, nisko w dole połyskiwała woda.

- Chodź, popływamy - ciągnęła ją Amy. - Chodź, Tracy, proszę...

- Tu nie można pływać - powiedziała Tracy. - To jest woda do nawadniania pola. - Na myśl o zimnej, czarnej głębi jeziora przeszedł ją dreszcz.

Jej ojciec zaniósł ją do oceanu na rękach, a gdy krzyczała - powiedział: „Nie bądź dzieciakiem, Tracy” - i wrzucił ją do zimnej wody. Kiedy woda zamknęła się jej nad głową - wpadła w panikę i zaczęła się dusić...

Gdy w końcu dowiedziała się - przeżyła szok, mimo że właściwie była na to przygotowana.

- Wychodzę stąd za tydzień od soboty - powiedziała Ernestyna.

Te słowa wstrząsnęły nią do głębi. Nie wspomniała Murzynce o swojej rozmowie z Dużą Bertą. Ernestyna już jej nie pomoże.

Duża Berta jest w stanie spowodować przeniesienie Tracy do swojej celi. Jedyne ratunek to rozmowa z naczelnikiem, ale to oznacza wyrok śmierci. Wszystkie kobiety w więzieniu zwrócą się przeciwko niej. „Musisz walczyć, pieprzyć się albo gryźć ziemię”. Chyba najbliższej jej do tego trzeciego. Jeszcze raz przedyskutowała z Ernestyną wszystkie możliwości ucieczki. Żadna z nich nie była bezpieczna.

- Nie masz ani wozu, ani żadnego pomocnika za zewnątrz. Przyskrzynią cię od razu, nawet nie piśniesz, a potem będzie jeszcze gorzej. Weź lepiej na wstrzymanie, dziewczyno, trochę cierpliwości i zwolnią cię kiedyś, może przed terminem.

Ale Tracy nie miała cierpliwości. Podobnie jak Duża Berta. Na myśl o tym, co szykowała jej olbrzymia Szwedka, dostawała mdłości.

Było to w sobotę rano, na siedem dni przed zwolnieniem Ernestyny. Sue Ellen Brannigan zabrała Amy na weekend do Nowego Orleanu i Tracy pracowała w więziennej kuchni.

- Co nowego u małej dziewczuszki? - zapytała ją Ernestyna.

- Wszystko w porządku.

- Widziałam ją kiedyś. Wygląda słodziutko.

- Jest miła - powiedziała obojętnie Tracy.

- Będzie pięknie, kiedy stąd wyjdę. Jedno ci powiem: nie mam zamiaru wracać do tej nory. Może przydamy ci się na coś z Alem...

- Przejście! - krzyknął jakiś mężczyzna.

Tracy obejrzała się. Człowiek z pralni popychał wielkich rozmiarów wózek wyładowany po brzegi brudnymi mundurami i bielizną. Tracy obserwowała go w zamyśleniu.

- Słyszysz, mówię, że coś z Alem skombinujemy - przyślemy ci jakieś rzeczy albo...

- Ernie, po co oni wywożą te ubrania? Przecież w więzieniu jest pralnia.

- To łachy strażników. - Ernestyna zaśmiała się. - Kiedyś oddawali swoje mundury do naszej pralni. Niestety, poobrywały się guziki w rozporkach, podarły się rękawy, ktoś powypisywał na nich brzydkie wierszyki, koszule się zbiegły i cała ta kupa szmat nadawała się do wyrzucenia. Prawda, jakie to przykre, królowno Śnieżko? Teraz muszą pakować swoje mundurki i wysyłać je do pralni.

Tracy już nie słuchała. Znalazła sposób ucieczki.

George, nie jestem pewna, czy powinniśmy dłużej trzymać tę Tracy.

Naczelnik Brannigan podniósł oczy znad gazety. - O co chodzi?

- Nie jestem pewna, ale mam wrażenie, że

Tracy nie jest dobra dla Amy. Może ona po prostu nie lubi dzieci.

- Jak dotąd chyba jej nie skrzywdziła, prawda? Nie uderzyła jej, nie skrzyczała...

- Nie...

- Więc co się stało?

- Wczoraj Amy podbiegła do niej z nienacka i objęła ją, a Tracy prawie odepchnęła dziecko. Trochę się zdziwiłam, bo Amy tak za nią szaleje... Jeśli mam być szczerą, to jestem trochę zazdrosna. Może właśnie o to chodzi...

Brannigan roześmiał się.

- No tak, to wyjaśnia sprawę, Sue Ellen. Wygląda na to, że Tracy Whitney radzi sobie całkiem dobrze. Ale jeśli zauważysz coś rzeczywiście zasługującego na uwagę, to powiedz mi, a ha pewno znajdziemy jakąś radę.

- Dobrze, kochanie. - Sue Ellen najwyraźniej nie była zadowolona. Podniosła swoją robótkę i wbiła igłę mocniej, niż to było konieczne. Temat nie został wyczerpany.

Dlaczego miałoby mi się nie udać?

- Przecież ci tłumaczyłam. Strażnicy przeszukują każdą ciężarówkę wyjeżdżającą przez bramę.

- Ale ciężarówka z ubraniami z pralni... Przecież nie wyrzucą całej bielizny, żeby ją przeszukać.

- Nie potrzebują. Zabierają kosz do pokoju gospodarczego, gdzie strażnik przygląda się jak go napełniają. - Tracy stała zamyślona.

- Ern timer, czy ktoś nie mógłby go odciągnąć na pięć minut?

- A co by to... - urwała nagle i szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Kiedy oni pchają ten farsz, ty wskakujesz do kosza i nakrywają cię tymi szmatami... - Skinęła głową. - Wiesz co, myślę, że to może zagrać.

- Więc pomożesz mi? Ernestyna zamyśliła się na chwilę.

- Właściwie... czemu nie? Mały prezencik dla Dużej Berty na pożegnanie...

Wkrótce potem plotka o zamierzonej ucieczce Tracy Whitney rozniosła się po całym więzieniu. Takie wydarzenia interesowały wszystkich. Więźniarki w napięciu oczekiwały na wynik każdej próby, marząc o tym, że kiedyś same zdobędą się na odwagę. Ale wieże strażnicze, psy, helikoptery, a także podziurawione kulami ciała tych, które próbowały, odstraszały je skutecznie.

Z pomocą Ernestyny plany Tracy stopniowo nabierały realnych kształtów. Murzynka zmierzyła ją, a Lola postarała się o materiał na sukienkę w zakładzie kapeluszniczym, prowadzonym na terenie więzienia. Paulita przekonała szwaczkę z sąsiedniego bloku do wyświadczenia jej przysługi, ktoś inny ukradł parę więziennych butów z magazynu, które ufarbowano na kolor sukienki. Jak spod ziemi pojawiły się: kapelusz, rękawiczki i torebka.

- Teraz trzeba załatwić ci dokumenty - oświadczyła Ernestyna. - Przydałoby się kilka kart kredytowych i prawo jazdy.

- Ale jakim cudem?

- Zaufaj starej Ernie Littlechap - roześmiała się więźniarka. Następnego wieczoru Ernestyna wręczyła jej trzy karty kredytowe, wystawione na nazwisko Jane Smith.

- Teraz pomyślimy o prawie jazdy.

Było już po północy, kiedy Tracy usłyszała szcęk otwieranych drzwi. Ktoś cicho wślizgnął się do celi i stał tam bez ruchu. Usiadła na łóżku rozglądając się bojaźliwie.

Jakiś głos szepnął:

- Whitney? Idziemy! - Tracy rozpoznała głos Lilian, wtajemniczanej w jej plany.

- Czego chcesz? - zapytała.

W ciemności zagrzmiął głos Ernestyny.

- Co za idiotkę wydała twoja mama na świat! Nie zadawaj tylu pytań. - Lilian dodała cicho:

- To ma być błyskawicznie. Jeśli nas złapią - koniec. No chodź wreszcie!

- Dokąd mam iść? - zapytała Tracy, wychodząc z ciemnego korytarza na schody.

Przeszły na korytarz wyższego piętra, minęły jakąś salę, aż w końcu znalazły się w pokoju, w którym Tracy fotografowano. Lilian pchnęła drzwi.

- Wchodź tu - szepnęła.

Tracy weszła. Jakaś więźniarka czekała już na nią przy aparacie.

- Podejź do ściany. - Ona też była przestraszona. Tracy podeszła do ściany ze ściśniętym gardłem. - Patrz prosto w obiektyw. Nie bój się. Odpręż się trochę i uśmiechnij.

„Świetny dowcip” - pomyślała. Nigdy nie była tak zdenerwowana. Trzasnęła migawka aparatu.

- Zdjęcie będzie gotowe rano - powiedziała kobieta przy aparacie. - To do twojego prawa jazdy. A teraz zmykaj stąd szybko!

Tracy wracała tą samą drogą. Lilian rzuciła mimiochodem:

- Podobno przeprowadzasz się do innej celi.

- Co takiego? - Tracy zamarła.

- Nie wiedziałaś? Przenoszą cię do Dużej Berty.

Ernestyna, Lola i Paulita czekały na Tracy.

- Jak poszło?

- Dobrze.

- Sukienka będzie gotowa na sobotę - rzekła Paulita.

„Nie wiedziałaś? Przenoszą cię do Dużej Berty”. „W sobotę wychodzi Ernestyna. To jest ostatni termin” - pomyślała Tracy.

- Wszystko jest nagrane - szepnęła Ernestyna. - Ciężarówka z pralni wyjeżdża punktualnie o drugiej. Nie potrzebujesz zwracać sobie głowy strażnikiem. Lola się nim zajmie w drugim pokoju. Paulita będzie na ciebie czekać w gospodarczym, da ci ubranie i torebkę. W torebce znajdziesz dokumenty. Piętnaście po drugiej wyjazd z więzienia.

Tracy z trudem łapała oddech. Na samą myśl o ucieczce robiło jej się słabo. „Gównu ich obchodzi, czy przyprowadzą cię tutaj żywą, czy martwą. Dla nich lepsza martwa”.

Za parę dni będzie walczyć o swoją wolność. Nie miała złudzeń: wszystko zwracało się przeciwko niej. W najlepszym razie złapią ją i przyprowadzą z powrotem. „Ale przedtem zdążę jeszcze to i owo załatwić” - przyrzekła sobie.

Historia rywalizacji Ernestyny Littlechap z Dużą Bertą o Tracy znana była w całym więzieniu. Teraz, kiedy rozeszła się plotka o zamierzonym przeniesieniu Tracy do celi Dużej Berty, postarano się, aby ta ostatnia nie dowiedziała się o planach ucieczki: Berta nie lubiła złych wiadomości. Czasami utożsamiała złą informację z

informatorką i ta, która przynosiła nowinę, mogła nieźle oberwać. Dlatego Berta dowiedziała się o ucieczce dopiero w sobotę rano, gdy wszystko było już przygotowane. Powiedziała jej o tym kobieta, która robiła Tracy zdjęcie.

Duża Berta w milczeniu przełknęła wiadomość. Tyle że w miarę słuchania robiła się jak gdyby jeszcze większa i czerwiejsza. Zadała tylko jedno pytanie:

- O której godzinie?

- Dziś o drugiej po południu. Tracy będzie ukryta w koszu z bielizną, wieszoną do pralni. Schowają ją tam przy ładowaniu kosza, w pokoju gospodarczym.

Duża Berta myślała intensywnie przez długą chwilę. Potem podniosła się i poczłapała do matrony.

- Muszę zobaczyć się z naczelnikiem Branniganem, natychmiast.

Tracy nie zmrzyła oka przez całą noc. Pobudzone nerwy nie dawały jej spokoju, myśli o tym, co ma się wydarzyć, przyprawiały ją o drżenie. Miesiące spędzone w więzieniu zdawały się wiecznością. Leżała w łóżku ze wzrokiem utkwionym w ciemność. Przed oczami przepływały obrazy z przeszłości: było to tak, jakby różne osoby znalazły się nagle w jej celi i zaczęły razem mówić.

„Czuję się jak księżniczka z bajki, mamo. Nie miałam pojęcia, że można być tak szczęśliwą”.

„Tak więc... Charles i ty chcecie się pobrać”.

„Czy już zdecydowaliście, gdzie spędzicie miodowy miesiąc”.

„Zabiłaś mnie... Ty dziwko... Zabiłaś mnie...”

„Pani matka popełniła samobójstwo...”

„No tak, właściwie nigdy nie znałem cię naprawdę...”

Zdjęcie Charlesa i jego żony, obejmujących się, zadowolonych, uśmiechniętych...

Ile przeminęło lat? Ile zdarzeń?

Dzwonek na pobudkę wstrząsnął korytarzem jak seria z karabinu i zgasł nagle, pozostawiając ciszę. Tracy otrząsnęła się ze snu i usiadła w łóżku. Ernestyna przyglądała się jej uważnie.

- Jak się czujesz, dzieciaku?

- Świetnie - skłamała. Miała wyschnięte gardło, a serce nierówno kołatało się w piersi.

- No tak, dziś obie opuszczamy ten przybytek. Tracy bezskutecznie próbowała przelknąć ślinę.

- Mhm.

- Czy dasz radę urwać się od Brannigana przed wpół do drugiej?

- Oczywiście. Amy zawsze zasypia zaraz po lunchu.

- Jak się spóźnisz, nici ze wszystkiego, kapujesz? - dodała Paulita.

- Zdążę w samą porę.

Ernestyna pogrzebała przez chwilę pod materacem i wyciągnęła stamtąd zwitek banknotów.

- Przyda ci się trochę forsy na drogę. Tu jest tylko dwieście dolarów, ale zawsze lepsze to niż nic.

- Ernie, ja nie mogę...

- Bierz i nie marudź!

Zmusiła się do zjedzenia czegoś na śniadanie. Bolała ją głowa, każdy nerw był napięty do ostateczności. „To się nie może udać w biały dzień - powtarzała sobie. - Ale muszę to zrobić właśnie w biały dzień”.

W kuchni panowała dziwna, nerwowa cisza i Tracy zrozumiała, że to ona jest jej ośrodkiem. Kobiety zerkały na nią ukradkiem, szepcząc coś między sobą, jak w fiknie przed finałową, rozstrzygającą sceną, w której ona ma zagrać główną rolę. Już za kilka godzin będzie wiadomo: wolna... czy martwa.

Wstała od stołu, odsunęła nie dokończone śniadanie i powlokła się do domu Brannigana. Przystanęła przy najbliższych drzwiach i czekała, aż strażnik je otworzy. W chwilę później stanęła twarzą w twarz z Dużą Bertą. Szeroki uśmiech rozlewał się po jej twarzy.

„Niedługo przeżyje dużą niespodziankę” - pomyślała Tracy.

„Jest już moja, cała i na wieki” - pomyślała Duża Berta.

Ranek mijał tak przeraźliwie wolno, że Tracy odchodziła od zmysłów. Minuty wlokły się w nieskończoność. Czytała coś Amy, ale nie miała pojęcia, co to było. Czasami ukradkiem zerkała w stronę okna, przy którym stała żona naczelnika, obserwując ją.

- Tracy, chodź, pobawimy się w chowanego.

Nie miała ochoty na zabawę w chowanego, ale wołała nie wzbudzać podejrzeń pani Brannigan. Spróbowała się uśmiechnąć.

- Dobrze. Schowaj się, Amy.

Stała na podwórku, przed samymi oknami. Daleko za domem widziała budynek, w którym był pokój gospodarczy. Musi tam być dokładnie o pierwszej trzydzięci, błyskawicznie przebrać się w zwykłe ubranie, które wręczy jej Paulita, i o pierwszej czterdzięci pięć powinna już leżeć na dnie wielkiego pojemnika z ubraniami, głęboko pod mundurami i bielizną. O drugiej kierowca z pralni zabierze pojemnik i umocuje go na ciężarówce. O drugiej piętnaście samochód minie bramy więzienia, kierując się do miasta, w którym była najbliższa pralnia.

„Kierowca nie może zobaczyć, co się dzieje z tyłu, kiedy siedzi za kierownicą. Jak tylko ciężarówka dojedzie do miasta i zatrzyma się na czerwonym świetle - podnosisz pokrywę kosza, wychodzisz zupełnie spokojnie i łapiesz autobus. Jedziesz tam, gdzie ci się spodoba”.

- Widzisz mnie? - wołała Amy. Jej głowa wystawała zza pnia magnolii. Tłumiła uśmiech, zasłaniając ręką usta.

„Szkoda mi jej - pomyślała. - Kiedy już stąd odejdę, brak mi będzie dwojga ludzi: czarnej, łysej „hieny” więziennej i tej małej dziewczynki”.

Zastanawiała się, co powiedziałby na to Charles Stanhope.

- Idę już, Amy, zaraz cię znajdę! - krzyknęła głośno.

Sue Ellen obserwowała każdą chwilę zabawy z narastającym zdziwieniem. Wydawało się jej, że Tracy zachowywała się jakoś dziwnie. Wciąż spoglądała na zegarek, jakby kogoś się spodziewała, i chyba wcale nie zwracała uwagi na Amy.

„Kiedy George wróci na lunch, muszę mu o tym powiedzieć - postanowiła. - Postaram się, żeby znalazł dla niej kogoś innego”.

Na podwórku Tracy i Amy grały w „państwa” podskakując na jednej nodze i zakreślając swoje terytoria. Amy podrzucała małą piłeczkę, jednocześnie podnosząc z ziemi kamienie, a jeszcze potem Tracy czytała jej książkę. Wreszcie wybiła dwunasta trzydzięci - pora lunchu. Najwyższy czas, by Tracy wykonała pierwszy ruch. Zabrała Amy do domku.

- Czas już na mnie, pani Brannigan.

- Co? Aha! Więc nie wiesz jeszcze o niczym, Tracy? Dziś mamy wizytę delegacji bardzo ważnych osób z zarządu więziennictwa. Zjedzą z nami lunch tutaj, w domu. Amy dzisiaj nie będzie spała. Zabierzesz ją ze sobą na spacer.

Tracy stała jak skamieniała, próbując powstrzymać cisnący się jej na usta krzyk.

- Ja... ja nie mogę tego zrobić, pani Brannigan. - Sue Ellen Brannigan zeszywniała nagle.

- Co to znaczy, że nie możesz tego zrobić?

Tracy dostrzegła pierwsze oznaki gniewu na jej twarzy i pomyślała: „Nie mogę jej wyprowadzić z równowagi. Zawoła męża i znajdę się znowu w celi”. Uśmiechnęła się z trudem.

- To znaczy... Amy nie jadła jeszcze lunchu. Będzie głodna.

- Mówiłam już kucharce, żeby przygotowała lunch dla was obu. Urządźcie sobie piknik na łące. Amy lubi pikniki, prawda kochanie?

- Uwielbiam pikniki. - Spojrzała na Tracy prosząco. - Możemy, Tracy? Możemy?

„Nie! Tak! Tylko spokojnie. Może się jeszcze udać. Muszę być w pokoju gospodarczym o wpół do drugiej. Nie mogę się spóźnić”.

- O której godzinie mam przyprowadzić Amy z powrotem? - Tracy spojrzała na panią Brannigan.

- Mniej więcej o trzeciej. Do tego czasu powinni odjechać. „Ciężarówka też już odjedzie”. Znowu wszystko się wali.

- Ja...

- Czy dobrze się czujesz? Jesteś okropnie blada! „Właśnie”. Uratuje ją choroba. Będzie się skarżyć i pójdzie do szpitala. Ale w szpitalu będą ją badać i nie pozwolą wyjść. W żaden sposób nie zdąży na czas, musi wymyślić coś innego.

Pani Brannigan czekała na odpowiedź.

- Czuję się świetnie.

„Coś musi z nią być nie w porządku” - pomyślała Sue Ellen. - Trzeba koniecznie przekonać George'a, żeby znalazł kogoś innego”.

- Wybiorę ci największe kanapki, Tracy. To będzie wspaniała przygoda, prawda? - Oczy Amy płonęły z podniecenia.

Tracy milczała.

Wizytacja więzienia stanowiła niespodziankę dla wszystkich. Sam gubernator William Haber oprowadzał komitet do spraw reformy więziennictwa po terenie

zakładu. Było to przykre wydarzenie, które naczelnik Brannigan przeżywał każdego roku.

- Wizytujemy wszystkie zakłady, George - wyjaśnił gubernator - bez wyjątku. Musisz wyczyścić trochę podłogi, wysprzątać cele, powiesz swoim paniąkom, żeby się uśmiechały i budżet masz podreperowany.

Sygnal na alarm dał kierownik straży z samego rana.

- Pozbyć się wszystkich noży, prochów i tym podobnych. Gubernator Haber i delegacja mieli przyjechać o dziesiątej. Najpierw zlustrową teren więzienia, potem pojedą na farmę i zjedzą lunch z naczelnikiem w jego domu.

Duża Berta była wściekła. Gdy domagała się widzenia z naczelnikiem, powiedziano jej:

- Naczelnik nie ma dziś ani chwili czasu. Jutro będzie znacznie łatwiej. On...

- Do diabła z jutrem! - wybuchnęła Duża Berta. - Muszę dzisiaj. To cholernie ważne.

Tylko nielicznym więźniarkom taki wybuch mógł ujść płazem, ale Duża Berta zaliczała się właśnie do nich. Władze więzienne dobrze o tym wiedziały. Potrafiła wzniecać i uspokajać tumulty. Nie ma na świecie więzienia, którym można by zarządzać bez współpracy ze strony więźniów, a przynajmniej ich przywódców. Duża Berta była jedną z najpotężniejszych.

Siedziała w biurze naczelnika całą godzinę, jej olbrzymie kształty zwisały po obu stronach krzesła jak pierzyna.

„Obrzydliwa poczwara - pomyślała sekretarka naczelnika - wielka jak mała”.

- Czy długo jeszcze? - spytała Berta podniesionym głosem.

- Już niedługo. Naczelnik jest dziś bardzo zajęty. Rozmawia z grupą swoich przełożonych, którzy wizytują więzienie.

- Popracuje sobie trochę dłużej - mruknęła Berta pod nosem. Zerknęła na zegarek: za piętnaście pierwsza. „Zostało mnóstwo czasu”.

Pogoda była piękna tego dnia, na niebie ani jednej chmurki, słońce przygrzewało mocno, a ciepły letni wietrzyk roznosił po całej farmie oszałamiające zapachy kwiatów. Tracy rozpostarła mały obrus na trawie niedaleko jeziora, a Amy zawzięcie pałaszowała sałatkę z jajek. Tracy co chwila spoglądała na zegarek. Już

pierwsza. Trudno było uwierzyć: minął ranek i zaczynało się popołudnie. Musiała natychmiast coś wymyślić albo ostatnia szansa przepadnie bezpowrotnie.

Dziesięć po pierwszej. W poczekalni Brannigana sekretarka odłożyła słuchawkę na widełki i rzekła do Dużej Berty:

- Przykro mi. Naczelnik nie jest w stanie przyjąć cię dzisiaj. Wyznamy inny termin, na przykład...

Berta zerwała się na równe nogi.

- On musi mnie przyjąć! To jest...

- Zobaczysz się z nim jutro.

Duża Berta w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie powiedzieć: „Jutro będzie za późno”, ale urwała w porę. Tylko naczelnikowi mogła zdradzić tajemnicę. „Sypanie” innych groziło przykrym wypadkiem. Ale nie miała zamiaru zrezygnować. Nie mogła pozwolić, aby Tracy Whitney uciekła przed nią. Udała się do więziennej biblioteki i usiadła przy jednym z długich stołów w samym końcu pokoju. Nabazgrała kilka słów na znalezionej kartce, a kiedy matrona odeszła na chwilę, nieznacznie upuściła na jej biurko i wyszła.

Wróciwszy matrona dostrzegła kartkę i przeczytała ją dwa razy.

Dobrze sprawdźcie dzisiaj ciężarówkę do pralni.

Nie było podpisu. Fałszywy alarm? Matrona nie była pewna. Sięgnęła do telefonu.

- Z naczelnikiem straży. Bardzo pilne...

Kwadran po pierwszej.

- Dlaczego nic nie jesz? - dopytywała się Amy. - Chcesz moją kanapkę?

- Nie! Daj mi spokój. - Słowa te zabrzmiały trochę ostrzej niż zamierzała. Amy przestała jeść.

- Gniewasz się na mnie, Tracy? Proszę, nie gniewaj się. Zawsze jesteś taka fajna. Ja nigdy nie gniewam się na ciebie. - Łzy zaszkliły się w jej oczach.

- Aleja się wcale nie gniewam. - „Co za piekło”.

- Ja też nie będę jeść, jeśli tobie nie smakuje. Chodź, zagramy w piłkę, Tracy. - Amy wyjęła soją gumową piłeczkę z kieszeni.

„Szesnaście po pierwszej”. Już powinna być w drodze. Do pokoju gospodarczego idzie się co najmniej piętnaście minut. Jeszcze zdąży, jeśli się

pospieszy. Ale nie może zostawić Amy samej. Tracy rozejrzała się i daleko w polu zobaczyła grupę „zaufanych” zrywających owoce. Już wiedziała, co ma zrobić.

- Nie chcesz grać w piłkę, Tracy?

- Dobrze, zagramy w piłkę. To będzie zupełnie nowa gra. Zobaczymy, kto rzuci piłkę najdalej. Ja rzucam pierwsza, a potem twoja kolej.

Tracy podniosła twardą gumową piłkę i rzuciła ją z całej siły w stronę pracujących więźniarek.

- Ale daleko! To świetny rzut, Tracy.

- Zaraz przyniosę piłkę - powiedziała Tracy. - Poczekaj tutaj. Zerwała się do biegu, biegu o swoje życie, jej stopy ledwo dotykały ziemi. Jest już pierwsza osiemnaście. Jeśli się spóźni - może na nią poczekają. A może nie... Pobiegnę jeszcze szybciej. Gdzieś za jej plecami krzyczała Amy, ale ona nie słyszała niczego. Więźniarki szły teraz w innym kierunku. Tracy krzyknęła, żeby się zatrzymały. Kiedy dobiegła do nich, nie mogła złapać oddechu.

- Co się stało?

- Nic, nic. - Dyszała ciężko. - Ta dziewczynka, obok stawu, widzicie? Niech któraś z was się nią zaopiekuje. Ja mam coś ważnego do zrobienia. Ja...

Usłyszała swoje imię wykrzyczane cienkim, przerażonym głosem i obejrzała się. Amy stała na szczycie betonowego nabrzeża otaczającego jezioro. Machała w jej stronę:

- Patrz na mnie, Tracy!

- Nie! Złaz stamtąd! - krzyknęła jak oszalała.

Zaraz potem, na oczach Tracy, Amy straciła równowagę i runęła do wody.

- Wielki Boże! - Resztki krwi odpłynęły z twarzy Tracy. Musiała wybierać, ale nie miała wyboru. „Nie mogę jej pomóc. Nie teraz. Ktoś ją przecież uratuje. Ja muszę ratować siebie. Ucieknę z tego miejsca albo zginę”. Było już dwadzieścia po pierwszej.

Tracy zawróciła i pobiegła tak szybko, jak jeszcze nigdy nie biegła w swoim życiu. Więźniarki wołały za nią, ale nie słyszała ani słowa. Pędziła przez łąkę, nieświadoma tego, że jej buty zostały gdzieś w trawie, nie czując ostrych zarośli kaleczących jej stopy. Serce łomotało jej z podniecenia, w płucach coś rzeziło, lecz biegła coraz szybciej i szybciej. Dotarła do obmurowania otaczającego jezioro i wskoczyła na nie w ułamku sekundy. Daleko w dole widziała Amy szamoczącą się w głębokiej, czarnej wodzie, walcząca o utrzymanie się na powierzchni. Bez chwili

wahania Tracy wskoczyła do basenu. Uderzając o powierzchnię wody pomyślała:
„Boże! przecież nie umiem pływać!”

KSIĘGA DRUGA

Nowy Orlean

Piątek, 25 sierpnia -10.00

Lester Torrance - kasjer w Pierwszym Banku Handlowym Nowego Orleanu posiadał dwie cechy, stanowiące dla niego źródło nieustannej satysfakcji: cenioną przez kobiety sprawność seksualną i umiejętność błyskawicznej oceny swoich klientów. Lester zbliżał się już do pięćdziesiątki, był szczupły, o bladej cerze, z wąsikami lansowanymi niegdyś przez Toma Sellecka i długimi bokobrodami. Dwa razy pomijano go przy awansach; w ramach rewanżu urządził sobie w banku prywatne biuro nawiązywania znajomości. Potrafił wyczuć prostytutkę na odległość kilometra i przekonać ją do świadczenia mu usług za darmo. Samotne wdowy były szczególnie łatwym łupem; cisnęły się do banku we wszystkich możliwych odmianach i odcieniach skóry, w różnym wieku i w różnych stadiach rozpaczki. Prędzej czy później trafiały do jego okienka. Jeśli ich konta były chwilowo zablokowane, Lester przymykał filuternie oko i realizował ich czeki. W zamian proponował skromny, dyskretny obiad we dwoje w jakiejś restauracji. Wiele jego klientek rewanżując się za usługę powierzało mu swoje najskrytsze tajemnice: Drobną pożyczka z banku bez wiedzy męża... Utajnienie pewnych czeków, które wystawiły... Klótnia z mężem i plany rozwodowe - czy Lester nie mógłby zablokować ich wspólnego konta?... Nie narzekały na brak gorliwości kasjera w wyświadczeniu przysług. I w korzystaniu z nich.

Właśnie tego piątkowego ranka samozadowolenie Lestera sięgnęło zenitu. Ta kobieta przykuła jego uwagę już w chwili, gdy pojawiła się w drzwiach banku. Dla Lestera była olśnieniem: miękkie ciemne włosy łagodnie opadające na ramiona, obcisła spódnica i sweter wspaniale podkreślające figurę, na widok której wszystkie tancerki z Las Vegas popękałyby z zazdrości.

W banku było czterech innych kasjerów i spojrzenie kobiety wędrowało od jednego do drugiego jakby w oczekiwaniu pomocy. Gdy spoczęło przez chwilę na Lesterze, ten skinął głową i obdarzył ją swoim najbardziej ośmielającym uśmiechem. Tak jak przewidywał - bez chwili namysłu ruszyła w jego stronę.

- Dzień dobry - łagodnie rozpoczął Lester. - Co mogę dla pani zrobić?

Widział jej sutki rysujące się pod cienkim kaszmirowym sweterkiem i pomyślał: „Kochanie! Czegóż bym dla ciebie nie zrobił!”

- Obawiam się, że mogą być problemy - powiedziała kobieta miękko. Był to chyba najpiękniejszy południowy akcent, jaki Lester kiedykolwiek słyszał.

- Jestem tu właśnie po to, szanowna pani, żeby rozwiązywać problemy.

- Och, mam nadzieję. Widzi pan... obawiam się, że popełniłam coś niewybaczalnego.

Lester obdarzył ją swoim najbardziej opiekuńczym uśmiechem, obiecującym nieograniczone poparcie w zamian za odrobinę zaufania.

- Nie mogę uwierzyć, żeby tak piękna kobieta mogła popełnić coś niewybaczalnego.

- Niestety, to prawda. - Jej łagodne piwne oczy rozszerzyły się w przestrachu. - Jestem sekretarką Josepha Romano. Tydzień temu polecił mi zamówić czeki in blanco do swojego bieżącego konta w tym banku, a ja po prostu zapomniałam o tym. Teraz już zużył wszystkie czeki i nie wiem co ze mną zrobi, kiedy się o tym dowie - powiedziała to łagodnym, aksamitnym głosem.

Lester znał dobrze nazwisko Josepha Romano. Był bardzo cenionym klientem banku, mimo że na swoim koncie trzymał dość niskie sumy. Wszyscy wiedzieli, że prawdziwe pieniądze ulokował gdzieś indziej.

„Ma dobry gust do sekretarek” - pomyślał Lester. Uśmiechnął się znowu.

- No, właściwie, to nie jest nic poważnego, pani... - Panna Hartford. Lureen Hartford.

A więc *panna*. To będzie jego szczęśliwy dzień. Lester czuł, że tym razem sukces był murowany.

- Zaraz zamówię dla pani te czeki. Będą do odebrania za dwa - trzy tygodnie i...

Westchnęła cicho w sposób, który Lesterowi wydawał się niezmiernie obiecujący.

- Och, to za późno. Pan Romano już jest na mnie wściekły. Po prostu nie umiem udawać, rozumie pan? - Pochyliła się i jej piersi dotykały teraz okienka. Wyszepiała bez tchu: - Gdyby pan zdołał jakoś to przyspieszyć, to z radością zapłaciłabym panu ekstra.

Lester odparł płaczliwym tonem:

- Bardzo mi przykro, Lureen, ale przyspieszenie jest właściwie niemożliwe i... - Zobaczył łzy w jej oczach.

- Jeśli mam być szczerą, może mnie to kosztować pracę. Proszę... zrobię *wszystko*, czego pan zażąda. - Słowa te zabrzmiały w uszach Lestera jak muzyka.

- Dobrze, więc zrobię inaczej. Załatwię sprawę w specjalnym trybie i dostarczę pani te чеki w poniedziałek. Co pani na to?

- Och, jesteś po prostu *cudowny!* - wprost promieniała z wdzięczności, przyjmując bardziej poufały ton.

- Przyślę je do biura pana Romano i...

- Wolałabym wziąć je sama. Nie chcę, żeby pan Romano dowiedział się o mojej głupocie.

- Nie ma co mówić o głupocie Lureen. - Uśmiech Lestera dodał jej otuchy. - Wszyscy jesteśmy trochę zapominalscy.

- Ja *ciebie* tak łatwo nie zapomnę. Zobaczymy się w poniedziałek - odparła śpiewnie.

- Będę tutaj. - Chyba tylko skręt kiszek zatrzymałby go w domu.

Uśmiechnęła się oszałamiająco i powoli wyszła z banku krokiem, który nawet niemowlak oceniłby jako podniecający. Lester z szerokim uśmiechem przeszedł do kartoteki, odszukał numer konta Josepha Romano i telefonicznie poprosił o dostarczenie nowych czeków w trybie natychmiastowym.

Hotel na Carmen Street niczym szczególnym nie wyróżniał się spośród co najmniej setki innych w Nowym Orleanie. Tracy wybrała go właśnie dlatego. Przez cały tydzień mieszkała w małym, nędznie urządzonej pokoiku. W porównaniu z całą, którą opuściła, był to pałac.

Po powrocie ze spotkania z Lesterem zdjęła czarną perukę, przeczesała ręką swoje naturalne, puszyste włosy, wyjęła z oczu miękkie szkła kontaktowe i zmyła ciemny makijaż. Usiadła na prostym, twardym krześle, oddychając głęboko. Na razie wszystko szło dobrze. Nietrudno było odgadnąć, gdzie Joe Romano założył konto. Tracy znalazła adres banku na anulowanym cheku, wypisanym kiedyś przez Romano w imieniu jej matki.

- Joe Romano? Nie waż się go tknąć! - ostrzegła Ernestyna.

Myliła się. Joe Romano będzie pierwszy. Potem pójda inni. Wszyscy, co do jednego.

Zmrużyła oczy i przypomniała sobie cud, dzięki któremu się tu znalazła.

Widziała zimne, mroczne fale jeziora zamykające się nad jej głową. Tonęła i ogarniało ją przerażenie. Zanurkowała i jakimś cudem jej ręka natrafiła na tonące dziecko. Schwyciła je i pociągnęła do góry. Walczyła na ślepo, w panice, próbując się

ratować, wykonując bezładne ruchy rękami i nogami. Dusila się. Nie była w stanie wydostać się z podwodnego grobu, który ją wciągał. Czuła zbliżający się koniec, a jednak wciąż trzymała dziecko w kurczowym uścisku. „Nie uda się - pomyślała. - Zginiemy!” Z brzegu dochodziły jakieś okrzyki, w końcu ktoś wyrwał ciało Amy z jej rąk, a ona krzyczała:

- Boże, nie!

Jakieś silne ręce objęły ciało Tracy i czyjś głos powiedział: - Już wszystko w porządku. Nie przejmuj się, już po wszystkim.

Tracy rozglądała się z przerażeniem za Amy i zobaczyła ją, bezpieczną, w ramionach mężczyzny. W chwilę później wyciągnięto obie z ciemnej, przerażającej topieli.

Całe zdarzenie zasługiwałoby może na mikroskopijną wzmiankę w porannej gazecie, gdyby nie fakt, że to nie umiejąca pływać więźniarka naraziła życie ratując dziecko naczelnika więzienia.

W ciągu jednej nocy gazety i spikerzy telewizyjni zrobili z Tracy bohaterkę. Sam gubernator Haber złożył wizytę w więziennym szpitalu, a naczelnik Brannigan udał się prosto do Tracy.

- Postąpiłaś wyjątkowo dzielnie - powiedział. - Oboje z żoną pragniemy ci podziękować. - Głos łamał mu się ze wzruszenia.

- Jak się czuje Amy? - Tracy nie otrząsnęła się jeszcze z przestרחu.

- Już dobrze.

Tracy przymknęła oczy. „Nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś się jej stało” - pomyślała. Przypomniała sobie, z jakim chłodem ją traktowała, gdy dziecko tak bardzo pragnęło jej sympatii. Wstydziła się tego. Chociaż wypadek pozbawił ją możliwości ucieczki, czuła, że teraz bez wahania postąpiłaby tak samo.

Przeprowadzono krótkie śledztwo w sprawie wypadku.

- To moja wina - wyjaśniła Amy swojemu ojcu. - Grałyśmy w piłkę, Tracy pobiegła po moją piłeczkę i powiedziała, żebym poczekała, a ja wlałam na ten mur, żeby ją lepiej widzieć i wpadłam do wody. Chybabym się utopiła, gdyby nie Tracy, tato.

Przez całą noc trzymano Tracy w szpitalu na obserwacji, ale następnego dnia zaprowadzono ją do domu Brannigana. Dziennikarze, reporterzy i operatorzy telewizyjni już na nią czekali. Zwęszyli doskonałą historię na użytek tłumów. Zjawili

się nawet korespondenci z UPI i Associated Press, a lokalna stacja telewizyjna przysłała ekipę dziennika.

Tego wieczoru historię o bohaterstwie Tracy Whitney znał już cały kraj. Po migawce w ogólnokrajowym telewizyjnym programie zainteresowanie sprawą rosło w lawinowym tempie. „Time”, „Newsweek”, „People” i setki ogólnokrajowych gazet miały w tym również niemały udział. W miarę wzrastania popularności Tracy, do więzienia zaczęły napływać setki listów domagających się jej uwłaskawienia.

Gubernator Haber odbył w tej sprawie rozmowę z naczelnikiem Branniganem.

- Tracy Whitney zasłużyła sobie na pobyt tutaj. Popęłniła poważne przestępstwo - zauważył Brannigan. Gubernator zamyślił się.

- Ale nie jest recydywistką, prawda, George?

- Rzeczywiście, nie jest.

- Nie będę ukrywał, że telefony z prośbami, żeby coś dla niej zrobić, doprowadzają mnie do obłędu.

- Mnie również, panie gubernatorze.

- Oczywiście, to nie opinia publiczna zarządza więzieniami, tylko my, prawda?

- To nie ulega wątpliwości, panie gubernatorze.

- Z drugiej strony - zauważył bystrze gubernator - ta Whitney naprawdę popisała się odwagą. Stała się bohaterką.

- Bez wątplenia - zgodził się naczelnik Brannigan.

- Jakie jest twoje zdanie, George? - Gubernator zapalił cygaro. George Brannigan uważnie dobierał słowa.

- Panie gubernatorze, na pewno zdaje sobie sprawę, że moje zdanie nie może być obiektywne. To moje dziecko uratowała Tracy. Ale, nawet pomijając tę sprawę, Tracy Whitney nie wygląda na kryminalistkę i trudno mi uwierzyć, że mogłaby być zagrożeniem dla społeczeństwa, gdy zostanie wypuszczona. Optuję stanowczo za zastosowaniem prawa łaski.

Gubernator, który rozpoczynał właśnie przygotowania do kampanii wyborczej przed następną kadencją, już od początku rozmowy był tego samego zdania.

- Nie możemy jeszcze odkrywać kart, w polityce wszystko robi się we właściwym czasie.

Po rozmowie z mężem, Sue Ellen powiedziała do Tracy:

- Naczelnik Brannigan i ja bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdybyś zamieszkała razem z nami. Z tyłu domu jest wolna sypialnia. Mogłabyś zajmować się Amy przez cały dzień.

- Dziękuję - odparła z wdzięcznością Tracy - chętnie się zgadzam.

Wszystko układało się doskonale. Tracy nie groziło już niebezpieczeństwo ze strony Dużej Berty. Jej stosunek do Amy zmienił się całkowicie. Dziewczynka uwielbiała ją, a Tracy nie pozostawała jej dłużna. Było jej dobrze w towarzystwie tego inteligentnego, kochanego dziecka. Bawiły się jak dawniej na podwórku, oglądały filmy Disneya w telewizji i czytały. Tracy czuła się jak członek rodziny.

Lecz ilekroć przy jakiejś okazji zdarzyło jej się znaleźć w pobliżu więzienia, nieuchronnie spotykała tam Dużą Bertę.

- Szczęściara z ciebie - rzekła jej kiedyś Berta - ale któregoś dnia wrócisz tutaj, do normalnych ludzi. Pracuję nad tym, *littbarn*.

Trzy tygodnie po wypadku Tracy bawiła się z Amy w berka na podwórku, gdy nagle w drzwiach pojawiła się Sue Ellen Brannigan. Przez chwilę przyglądała się grze.

- Tracy, właśnie dzwonił naczelnik. Chciałby natychmiast zobaczyć cię w swoim biurze.

Tracy złękła się. To znaczy, że chce ją odesłać do celi. Duża Berta użyła swoich wpływów i dopięła swego. A może pani Brannigan uznała, że Tracy i Amy za bardzo się zżyły?

- Już idę, proszę pani.

Naczelnik czekał na Tracy w drzwiach biura.

- Proszę, usiądź - powiedział. Tracy próbowała zgadnąć swój los z tonu jego głosu. - Mam dla ciebie pewną nowinę. - Przerwał nagle pod wpływem jakiegoś niezrozumiałego dla Tracy podniecenia. - Właśnie odebrałem - ciągnął uroczyście - decyzję gubernatora Luizjany w twojej sprawie. Zastosował on wobec ciebie prawo łaski. Zaczyna ono działać od tej chwili.

„Dobry Boże, czy on to naprawdę powiedział?” - Tracy milczała, bojąc się wymówić choćby słowo.

- Chciałbym ci powiedzieć - ciągnął naczelnik - że stało się to nie dlatego, że uratowałaś właśnie moje dziecko. Postąpiłaś instynktownie, tak jak postąpiłby każdy uczciwy obywatel. W żaden sposób nie potrafię teraz wyobrazić sobie, że mogłabyś

stanowić zagrożenie dla społeczeństwa. - Uśmiechnął się. - Amy będzie tęsknić za tobą. My także.

Tracy nie wiedziała co powiedzieć. Gdyby tak naczelnik znał prawdę, gdyby wiedział, że tylko dzięki temu wypadkowi jego ludzie nie tropią jej teraz jako uciekinierki.

- Zostaniesz zwolniona pojutrze.

Jej zwolnienie. Ale jeszcze nie całkiem to do niej docierało.

- Ja... ja nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić. Wszyscy jesteśmy bardzo dumni z ciebie. Moja żona i ja oczekujemy od ciebie równie wspaniałych czynów na wolności.

Tak więc to była prawda: była wolna. Poczula się słabo i musiała opanować drżenie, przyciskając plecy do oparcia krzesła.

Kiedy w końcu przyszła do siebie - jej głos brzmiał stanowczo. - Mam bardzo wiele do zrobienia na wolności, panie Brannigan.

Wieczorem, przed jej ostatnią nocą w więzieniu, odwiedziła Tracy koleżanka z jej bloku.

- Więc... wychodzisz stąd.

- Tak.

Betty Franciscus - tak się nazywała - niedawno skończyła czterdzieści lat, była wciąż jeszcze niebrzydka, chociaż odrobinę zarozumiała.

- Gdybyś kiedyś na zewnątrz potrzebowała pomocy, to wiedz, że jest pewien człowiek, do którego możesz się udać. Nazywa się Conrad Morgan. - Podsunęła Tracy kartkę papieru. - On jest za reformą więziennictwa. Pomaga byłym więźniom.

- Dziękuję, ale nie sądzę, bym musiała z tego skorzystać.

- Nie bądź taka pewna.

Dwie godziny później pod czujnym okiem kamer telewizyjnych Tracy opuszczała więzienie. Nie odpowiadała na pytania dziennikarzy, lecz kiedy Amy oderwała się od matki i rzuciła w jej objęcia, kamery zostały włączone.

Tracy znalazła się na wolności. Był to fakt oczywisty, namacalny, radujący i podnoszący na duchu społeczeństwo amerykańskie. Dla niej samej wolność oznaczała oddychanie świeżym powietrzem, zanurzenie się w prywatności. Nie musiała już wystawać w długich kolejkach po posiłki, nadsluchiwać dzwonek. Wolność to gorące kąpiele ze wspaniałym, pachnącym mydłem, miękkie szlafroki, piękne sukienki i buty

na wysokich obcasach. Wolność oznaczała posiadanie imienia zamiast numeru. Oznaczała uwolnienie się od Dużej Berty, od zbiorowych gwałtów i od śmiertelnej monotonii więziennego życia.

Tracy musiała przyzwyczaić się do wolności. Spacerując po ulicach, zwracała uwagę, żeby nikogo nie potrącić. W więzieniu zderzenie się z kimś było z reguły iskrą wywołującą pożar. Właśnie to ciągle poczucie zagrożenia jest czymś, od czego najtrudniej się odzwyczaić. Tu już nikt jej nie zagrażał.

Była wolna i mogła realizować swoje plany.

W Filadelfii Charles Stanhope III zobaczył w telewizji Tracy opuszczającą więzienie. „Ciągle jest piękna” - pomyślał. Patrzył na nią i wydawało mu się niemożliwe, by popełniła jakąkolwiek ze zbrodni, o które ją oskarżano. Spojrzał na swoją wzorową małżonkę, siedzącą cicho po drugiej stronie pokoju z robótką w ręku. „Może jednak popełniłem błąd...”

Daniel Cooper oglądał Tracy w telewizji w swoim nowojorskim apartamencie. Wiadomość o zwolnieniu jej przyjął z absolutną obojętnością. Wyłączył odbiornik i znowu zajął się swoimi dokumentami.

Joe Romano po obejrzeniu dziennika telewizyjnego roześmiał się głośno. Ta córka Whitneyów miała cholerne szczęście. „Założę się, że więzienie dobrze jej zrobiło. To niezła szkoła życia. Może któregoś dnia spotkamy się znowu”. Romano był w dobrym nastroju. Zdążył już odsprzedać Renoira pośrednikowi: obraz kupił jakiś prywatny kolekcjoner w Zurychu. Pięćset patyków od firmy ubezpieczeniowej i następne dwieście od pośrednika. Oczywiście, Romano podzielił się tą sumą z Anthonyem Orsatti. Był bardzo skrupulatny w rozliczeniach z szefem, ponieważ kilka razy miał okazję zobaczyć, co spotyka osoby niezbyt skrupulatne.

W poniedziałek o dwunastej w południe Tracy, wcieliwszy się w postać Lureen Hartford, ponownie odwiedziła Pierwszy Bank Handlowy Nowego Orleanu. O tej porze w banku było pełno klientów. Kilka osób stało w kolejce do okienka Lestera Torrance. Tracy stanęła tam również. Lester, zobaczywszy ją, rozpromienił się i skinął głową. Była chyba jeszcze ładniejsza niż poprzednim razem. Gdy w końcu podeszła do okienka, Lester zapiał radośnie:

- Co prawda nie było to łatwe, ale załatwiłem czeki, Lureen. Na twarzy Tracy pojawił się ciepły uśmiech. Wyrażał uznanie i bezgraniczny podziw.

- Jesteś po prostu cudowny.

- No tak, mam je tutaj. - Lester otworzył szufladę, wy dostał z niej plik czeków i wręczył go Tracy. - Proszę bardzo. Czteryście czeków in blanco. Czy to wystarczy?

- Och, to więcej niż dosyć, chyba że pan Romano wpadnie w manię wypisywania czeków. - Spojrzała Lesterowi prosto w oczy i westchnęła: - Uratowałeś mi życie.

- Ludziom należy pomagać, prawda, Lureen? - Lester poczuł przyjemne skurcze w pachwinie.

- Masz całkowitą rację, kochanie.

- Wiesz co, musisz koniecznie założyć sobie u nas konto. Zaopiekowałbym się tobą *bardzo* troskliwie, możesz mi wierzyć.

- Wierzę ci, Lester,

- Może porozmawiamy o tym przy jakimś miłym obiedzie we dwoje?

- Świetny pomysł.

- Gdzie mogę cię znaleźć, Lureen?

- Sama zadzwonię do ciebie. - Odeszła od okienka.

- Poczekaj! - Następny klient zajął już miejsce i wręczył rozczarowanemu Lesterowi woreczek monet.

W centralnej części banku znajdowały się cztery stoliki, a na nich pojemniki z czystymi formularzami przyjmowania i wydawania depozytów. Stały przy nich dziesiątki ludzi wypełniających formularze. Tracy usunęła się z pola widzenia Lestera, po czym zajęła przy stoliku miejsce przed chwilą zwolnione. W paczce, którą wręczył jej Lester, było osiem plików czystych formularzy czekowych. Ale nie czeki interesowały Tracy, tylko kwity depozytowe spoczywające na samym dnie pakietów.

Uważnie oddzieliła kwity od czeków i w trzy minuty później miała w ręku osiemdziesiąt czystych formularzy. Upewniając się czy nikt jej nie obserwuje, włożyła dwadzieścia kwitów do metalowego pojemnika.

Podeszła do następnego stolika i tam również zostawiła dwadzieścia formularzy. Wkrótce pozbyła się pozostałych. Formularze co prawda były czyste, ale każdy z nich oznaczony był kodem magnetycznym, na podstawie którego komputer przydzielał je do konta właściciela. Jako była urzędniczka bankowa, Tracy wiedziała, że w ciągu dwóch dni wszystkie kwity zostaną wypełnione i że minie przynajmniej

pięć dni, zanim pomyłka zostanie wyjaśniona. Miała więc wystarczająco dużo czasu na przeprowadzenie swojego planu.

Wracając do hotelu, Tracy wrzuciła puste formularze czekowe do kosza. Pan Joe Romano nie będzie ich potrzebował.

Następnie zatrzymała się przed drzwiami Nowoorleańskiej Agencji Turystycznej. Młoda dziewczyna za biurkiem wstała z krzesła:

- Czym mogę służyć?

- Jestem sekretarką Josepha Romano. Pan Romano chciałby zarezerwować bilet lotniczy do Rio de Janeiro. Wyjeżdża w najbliższy piątek.

- Tylko jeden bilet?

- Tak. Pierwsza klasa. Miejsce dla palących.

- Bilet powrotny?

- W jedną stronę.

Urzędniczka spojrzała na ekran komputera. Po chwili rzekła:

- Mamy jedno wolne miejsce w pierwszej klasie, na linii Pan American, odlot 18.30 w piątek, z lądowaniem w Miami.

- Doskonale - powiedziała Tracy.

- Cena wynosi 1929 dolarów. Płaci pani gotówką czy czekiem?

- Pan Romano zawsze płaci gotówką C.O.D. - gotówka przy odbiorze. Czy mogłaby pani dostarczyć bilet do jego biura we czwartek?

- Możemy nawet jutro, jeśli pani to odpowiada.

- Nie, pan Romano nie zdąży wrócić do jutra. Czy może to być we czwartek przed południem, o jedenastej?

- Tak, bardzo proszę. Pod jaki adres?

- Pan Joseph Romano, dwa-siedemnaście Poydras Street, apartament cztery-zero-osiem. - Kobieta zanotowała coś na kartce papieru.

- Doskonale. Dopilnuję, żeby bilet został dostarczony w czwartek rano.

- Punktualnie o jedenastej - przypomniała Tracy. - Dziękuję. W połowie drogi między dwiema przecznicami mieścił się sklep z galanterią firmy ACME. Tracy obejrzała wystawę i weszła do środka. Powitał ją sprzedawca:

- Dzień dobry. Czym mogę pani służyć w ten piękny poranek?

- Chciałabym zakupić kilka walizek dla mojego męża.

- Trafiała pani pod właściwy adres. Właśnie mamy wyprzedaż. Oferujemy kilka ładnych, niedrogich...

- Nie - powiedziała Tracy. - Niedrogie nie wchodzi w grę. - Podeszła do kolekcji walizek Vuitton, ustawionych pod ścianą.

- Chodzi mi właśnie o takie. Wybieramy się w małą podróż.

- Mąż pani na pewno się ucieszy. Którą pani wybierze?

- Wezmę po jednej z każdego typu.

- Och, świetnie. Gotówka czy czek?

- C.O.D. - gotówka za potwierdzeniem odbioru. Nazwisko brzmi Joseph Romano. Czy mógłby pan dostarczyć je do biura mojego męża w czwartek rano?

- Oczywiście, pani Romano.

- Punktualnie o jedenastej?

- Dopilnuję tego osobiście.

Po krótkim namyśle Tracy dodała:

- Och... Czy mógłby pan umieścić na nich jego inicjały - złotymi literami? J.R.

- Oczywiście. Z przyjemnością, pani Romano. Tracy uśmiechnęła się i podała mu adres biura.

W najbliższej placówce pocztowej Western Union nadała jeszcze płatny telegram do hotelu „Rio Othon Palace” na plaży Copacabana w Rio de Janeiro. Telegram brzmiał:

REZERWUJĘ NAJLEPSZY APARTAMENT NA OKRES DWÓCH MIESIĘCY OD NAJBLIŻSZEGO PIĄTKU. PROSZĘ O TELEGRAFICZNE POTWIERDZENIE REZERWACJI. JOSEPH ROMANO, 217 POYDRAS STREET, AP. 408, NOWY ORLEAN, LUIZJANA, USA.

Trzy dni potem Tracy zadzwoniła do banku, aby umówić się z Lesterem Torrance. Kiedy odezwał się w słuchawce, nadała swojemu głosowi melodyjne brzmienie.

- Prawdopodobnie już mnie nie pamiętasz, Lester, ale mówi Lureen Hartford, sekretarka pana Romano.

„Nie pamiętać jej...” Głos mu aż zachrypł z podniecenia.

- Oczywiście, że pamiętam cię, Lureen. Ja...

- Naprawdę? W takim razie pochlebiasz mi. Przecież spotykasz tyle pięknych dziewcząt.

- Nie takich jak ty - zapewnił ją Lester. - Chyba nie zapomniałaś o naszej obiadowej randce, prawda?

- Nie masz pojęcia, jak na nią czekam. Czy odpowiada ci przyszedł wtorek?

- Znakomicie!

- W takim razie załatwione. Och - znowu zapomniałam. Rozmowa z tobą tak mnie podnieca, że zapominam, po co dzwonię. Pan Romano prosił mnie o sprawdzenie stanu jego konta. Czy możesz mi podać tę sumę?

- Nie ma sprawy. Już się robi.

Właściwie Lester Torrance powinien był poprosić o datę urodzenia albo jakiś numer identyfikacyjny interesanta, ale w tym przypadku to nie było konieczne.

- Poczekaj chwilę, Lureen - powiedział.

Podszedł do segregatora, wyciągnął arkusz Josepha Romano i przyjrzał mu się zaskoczony. Na koncie Romano zebrała się niesłychana liczba depozytów pieniężnych i to w ciągu kilku ostatnich dni. Nigdy dotąd Romano nie przechowywał na swoim koncie takiej sumy. Lester Torrance nie miał pojęcia, jak to się mogło stać. Bez wątplenia jakaś duża operacja. Przy okazji obiadu z Lureen Hartford trzeba będzie ją wypytać. Trochę poufnych informacji nigdy nie zaszkodzi. Wrócił do telefonu.

- Twój szef nas ostatnio nie oszczędzał - podzielił się Tracy swoimi spostrzeżeniami. - Ma teraz na koncie ponad trzysta tysięcy dolarów.

- Tak, właśnie. Mniej więcej tyle powinno być.

- Czy chce to gdzieś zainwestować? Trzymanie takiej sumy na koncie nie jest zbyt korzystne, więc...

- Nie. On chce, żeby te pieniądze były na koncie - zapewniła Tracy.

- W porządku.

- Dziękuję ci, Lester. Nie masz pojęcia jak jestem ci zobowiązana.

- Poczekaj! Czy zadzwonić do ciebie przed tym spotkaniem we wtorek?

- Ja do ciebie zadzwonię, mój drogi - uspokoiła go Tracy. I odłożyła słuchawkę.

Niebotyczny, nowoczesny biurowiec, stanowiący własność Anthony'ego Orsatti, stał przy Poydras Street, pomiędzy brzegiem rzeki a gigantycznym terenem lotniska. Biura Pacific Import-Export Company zajmowały całe czwarte piętro budynku. Na jednym końcu korytarza mieściły się biura Orsattiego, a na drugim - pokoje zajmowane przez Joego Romano. Cała przestrzeń pośrodku należała do czterech młodych recepcjonistów, którzy wieczorami wprowadzali przyjaciół i

interesantów Anthony'ego Orsatti. Przed wejściem do jego apartamentu siedziało zawsze dwóch atletycznie zbudowanych młodzieńców, oddanych bezgranicznie swojemu szefowi. Spełniali oni także rolę jego szoferów, masażystów i chłopców do specjalnych poruczeń.

Tego czwartkowego poranka Orsatti siedział w swoim biurze, studiując uważnie wczorajsze raporty finansowe dotyczące jego licznych przedsięwzięć: gry w numerki, bukmacherstwa, prostytucji, i wielu innych równie lukratywnych sfer działalności kontrolowanych przez Pacific Import-Export Company.

Anthony Orsatti powoli zbliżał się do siedemdziesiątki. Był zbudowany nieproporcjonalnie: z wielkim, ciężkim torsem kontrastowały krótkie, kościste nóżki, jakby przeznaczone dla kogoś mniejszego. Gdy stał, sprawiał wrażenie siedzącej żaby. Jego twarz pokrywała siatka delikatnych blizn, niczym dzieło pijanego pajaka, usta miał także o numer za duże, a oczy - czarne i wylupiaсте. Wyłysiał kompletnie w piętnastym roku życia z powodu choroby skórnej i od tego czasu nosił perukę. Nie było mu w niej do twarzy, ale przez cały czas nikt jakoś nie odważył się zwrócić na to uwagi. Chłodne oczy Orsattiego były oczami pokerzysty, absolutnie pozbawionymi wyrazu, podobnie zresztą jak cała jego twarz, może z wyjątkiem chwil, kiedy przebywał w towarzystwie swoich pięciu córek, które uwielbiał. Jedyne głos świadczył o jego nastroju. Głos ten był szorstki i chrapliwy, z powodu kawałka drutu, którym dawno temu opasano jego szyję z okazji dwudziestych pierwszych urodzin. Dwaj ludzie, którzy to zrobili, popełnili jednakże wielką nieostrożność, zostawiając go w przekonaniu, że nie żyje. Pomyłkę tę zresztą już w następnym tygodniu przyplacili pobytem w kostnicy.

Gdy coś naprawdę zdenerwowało Orsattiego, jego głos przechodził w zaledwie słyszalny stłumiony szept, jakby jęk duszonego człowieka. Anthony Orsatti był suwerenem, rządzącym swymi poddanymi przy pomocy przekupstwa, broni palnej i szantażu. Panował nad Nowym Orleanem, który odpłacał mu się posłuszeństwem i niewysłowionym bogactwem. Szanowali go i prosili o radę przywódcy wszystkich ważniejszych Rodzin w kraju.

W tym momencie nic nie zakłócało humoru Anthony'ego Orsatti. Właśnie skończył śniadanie w towarzystwie swej przyjaciółki, którą ulokował w bloku mieszkalnym na Lake Vista, będącym jego własnością. Odwiedzał ją trzy razy w tygodniu, a ostatnia wizyta była szczególnie udana. Przyjaciółka obdarzała go pieśczętami, których istnienia inne kobiety nawet nie podejrzewały, a Orsatti wierzył

święcie, że robiła to z czystej i bezinteresownej miłości. Kierowanie organizacją nie sprawiało mu kłopotów. Sprawy toczyły się gładko, ponieważ Anthony Orsatti potrafił rozwiązywać zawikłane sytuacje, zanim jeszcze stały się problemami. Kiedyś nauczał swojej filozofii Joego Romano:

- Joe, nigdy nie pozwól, żeby z małego problemu zrobił się duży problem, bo wtedy urośnie jak pieprzona góra lodowa. Jeśli jakiś kapitan dzielnicy wyobraża sobie, że może zrobić coś lepiej niż ty - *uziemiasz* go, rozumiesz? I nie ma góry lodowej. Przyjeżdża jakiś napalony chłoptuś z Chicago i prosi o pozwolenie na otwarcie małego interesu tutaj, w Nowym Orleanie? Wiadomo, że za jakiś czas z tego małego interesu zrobi się *duży* interes i zaczniesz wchodzić ci na dochody. Więc zgadzasz się, a potem, kiedy już przyjedzie, *uziemiasz* skurwysyna. Żadnych gór lodowych. Rozumiesz już, na czym to polega?

Joe Romano doskonale rozumiał.

Anthony Orsatti kochał Romano i traktował go jak syna. Przygarnął go z ulicy, gdzie tamten jako zagubiony dzieciak obrabiał pijaczków. Sam zadbał o jego wykształcenie, a teraz Romano stepował już w takt najlepszych muzykantów w orkiestrze. Był szybki, elegancki i lojalny. Przez dziesięć lat dorobił się w organizacji Orsattiego rangi głównego porucznika, nadzorującego wszystkie przedsięwzięcia Rodziny. Raporty składał wyłącznie szefowi, któremu był bezgranicznie oddany.

Lucy, prywatna sekretarka Orsattiego, zapukała i weszła do biura. Miała dwadzieścia cztery lata oraz twarz i figurę, które zapewniły jej już niejedno zwycięstwo w lokalnych konkursach piękności. Była też absolwentką college'u. Orsatti lubił otaczać się pięknymi, młodymi kobietami.

Spojrzał na zegarek stojący na biurku. Była 10.45. A przecież zapowiedział Lucy, że nie życzy sobie żadnych interesantów przed południem.

- O co chodzi? - burknął z wymówką.

- Przykro mi, że pana niepokoję, panie Orsatti, ale dzwoni panna Gigi Dupres. Powtarza coś histerycznie, ale nie chce wyjaśnić, o co jej chodzi. Nalega na osobistą rozmowę z panem. Myślę, że to może być coś poważnego.

Orsatti siedział, szukając w pamięci nazwiska, które usłyszał. *Gigi Dupres*? Może jakaś dziwka, z którą zabawiał się ostatnio w swojej sypialni w Vegas? *Gigi Dupres*? Nie przypominał sobie, by któraś z nich tak się nazywała, a przecież szczycił się niezawodną pamięcią. Z samej ciekawości Orsatti podniósł słuchawkę i gestem ręki odprawił Lucy.

- Taak? O co chodzi?

- Czy to *monsieur* Anthony Orsatti? - miała silny francuski akcent.

- Więc?

- Och, dzięki Bogu, że dodzwoniłam się do pana!

Lucy miała rację. To była histeryczka. Anthony Orsatti powoli odkładał słuchawkę, kiedy głos odezwał się znowu.

- Pan musi go powstrzymać, *monsieur*, proszę!

- Panienko, nie wiem o kim mówisz, a poza tym jestem zajęty...

- O moim Joe. Joe Romano. Obiecał, że mnie zabierze, *comprenez-vous*?

- Jeśli masz żal do swojego Joe, to załatw to z nim. Nie jestem jego niańką.

- On mnie nakłaniał! Właśnie się dowiedziałam, że daje nogę do Brazylii beze mnie! Połowa tych trzystu patyków jest moja!

Nagle Anthony Orsatti poczuł, że sprawa ta zaczyna go jednak interesować.

- Co to za trzysta patyków, o których mówisz?

- Ta forsa, którą Joe ma na swoim koncercie. Te dolary, które - jak to wy mówicie?

- *zwinął*.

Anthony Orsatti był już poważnie zaintrygowany.

- Proszę, niech pan przekona Joego, żeby zabrał mnie do Brazylii. Błagam! Pan to zrobi, *monsieur*?

- Taak - obiecał szczerze Orsatti. - Zrobię, co będę mógł.

Biuro Joego Romano, zaprojektowane przez jednego z najmodniejszych nowoorleańskich dekoratorów wnętrz, lśniło bielą i chromem. Jedyne barwne akcenty stanowiły trzy kosztowne malowidła francuskich impresjonistów, wiszące na ścianach. Romano dumny był ze swego artystycznego smaku. Zdołał wydzwignąć się z nędzy nowoorleańskich slumsów na wyżyny towarzyskie, po drodze nie zapominając też o wykształceniu. Umiał ocenić wartościowe obrazy, miał wspaniały słuch muzyczny. Podczas obiadów w luksusowych restauracjach mnóstwo czasu spędzał na dyskusjach z kiperami na temat różnych gatunków win. Joe Romano miał więc wszelkie powody do dumy. Podczas gdy wielu innych dorabiało się majątku używając pięści, on zdobywał pieniądze za pomocą intelektu. To prawda, że Nowy Orlean należy do Anthony'ego Orsatti, ale prawdą jest także, że rządzi w nim Joe Romano.

Drzwi do jego gabinetu otworzyły się i weszła sekretarka.

- Panie Romano, przybył posłaniec z biletem lotniczym do Rio de Janeiro. Czy wypisać czek? Bilet jest płatny przy odbiorze.

- *Rio de Janeiro?* - Romano pokręcił głową. - Proszę powiedzieć, że to jakaś pomyłka.

W drzwiach stanął posłaniec w uniformie.

- Polecono mi dostarczyć to panu Josephowi Romano pod tym adresem.

- Źle ci polecono. Co to ma być, jakiś nowy trick reklamowy linii lotniczej?

- Nie, proszę pana. To jest...

- Pokaż to. - Romano wziął bilet z rąk posłańca i obejrzał go. - Piątek. Dlaczego niby miałbym lecieć do Rio w piątek?

- Słuszne pytanie - wtrącił się Anthony Orsatti. Stanął w drzwiach, za plecami posłańca. - A więc dlaczego, Joe?

- To jakaś gruba pomyłka, Tony. - Romano zwrócił bilet posłańcowi. - Odnieś to tam, skąd wzięłeś, przyjacielu.

- Chwileczkę. - Anthony Orsatti wziął bilet i przyjrzał mu się uważnie. - Tu jest napisane: jeden bilet pierwszej klasy, sektor dla palących, do Rio de Janeiro, w piątek. Bilet w jedną stronę.

- Najnormalniej w świecie ktoś musiał się rypnąć. - Joe Romano zaśmiał się i odwrócił do sekretarki: - Madge, zadzwoń do biura podróży, wyjaśnij im, że się pomylili. Jakiś palant nie dostanie swojego biletu.

Weszła Joleen, druga sekretarka Romano.

- Przepraszam bardzo, panie Romano. Przyniesiono walizki. Czy mam wypisać czek?

- Co za walizki? Ja nie zamawiałem żadnych walizek! - Joe Romano stanął jak wryty.

- Proszę przynieść je tutaj - polecił Anthony Orsatti.

- Jezu! - zakrzyknął Romano. - Czy to dom wariatów? Wszedł posłaniec z trzema walizkami firmy Vuitton.

- Co to znaczy? Ja tego nigdy nie zamawiałem! - Posłaniec sprawdził kwit.

- Mam tu napisane: pan Joseph Romano, dwa-siedemnaście Poydras Street, apartament cztery-zero-osiem.

- Nie obchodzi mnie, co masz napisane na tym zaszranym papierze. Nie zamawiałem tego! Zabieraj się stad! - Joe Romano stracił resztki cierpliwości.

- Są na nich twoje inicjały, Joe. - Orsatti przyglądał się walizkom.

- Co takiego? Poczekaj! Może to jakiś pieprzony prezent!
- Masz dzisiaj urodziny?
- Nie. Ale znasz dziwki, Tony. Zawsze wpieprzają ci jakieś prezenty.
- Prowadzisz interesy w Brazylii?
- *W Brazylii?* - roześmiał się Romano. - To jakiś głupi kawał, Tony.

Po twarzy Orsattiego przemknął cień uśmiechu. Zwrócił się do sekretarek i dwóch posłańców:

- Wyjdźcie. - Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Anthony Orsatti zapytał: - Ile masz pieniędzy na swoim koncie, Joe?

Joe Romano spojrzał na niego, zdziwiony.

- Nie wiem. Tysiąc pięćset, może ze dwa patyki. Dlaczego pytasz?
- Wiesz, zadzwoń, tak dla zabawy, do swojego banku i sprawdź to.
- Po co?
- Sprawdź to, Joe.

- Dobrze. Jeśli sprawi ci to przyjemność. - Zadzwoił do sekretarki. - Połącz mnie z głównym kasjerem w Pierwszym Handlowym.

W chwilę później zgłosiła się kasjerka.

- Cześć, kochanie. Mówi Joe Romano. Możesz mi podać stan mojego konta? Urodziłem się piętnastego października.

Anthony Orsatti podniósł słuchawkę drugiego aparatu. Po chwili kasjerka odezwała się znowu.

- Przepraszam za zwłokę, panie Romano. Stan pańskiego konta wynosi obecnie trzysta dziesięć tysięcy dziewięćset pięć dolarów i trzydzieści dwa centy.

- Ile! - Romano zbladł.

- Trzysta dziesięć tysięcy dziewięćset pięć dolarów i trzydzieści dwa centy.

- Ty wredna dziwko! - wrzasnął. - Nie mam takich pieniędzy na swoim koncie. Pomyliłaś się. Proszę mnie połączyć z... - Orsatti wyjął mu z ręki słuchawkę i odłożył na widelki.

- Skąd masz tyle pieniędzy, Joe? Twarz Romano pokryła się potem.

- Przysięgam na Boga, Tony, że nie wiem nic o tych pieniądzach!

- Nic?

- Przecież musisz mi wierzyć, do cholery! Wiesz co ci powiem? Ktoś mnie tu robi w konia.

- Ten ktoś musi cię bardzo lubić. Podarował ci trzysta dziesięć tysięcy dolarów.

Orsatti osunął się ciężko na pokryty jedwabiem hotel ze skóry aligatora i przyglądał się Joemu Romano przez dłuższą chwilę. Potem bardzo spokojnie przemówił:

- Wszystko zapięte na ostatni guziczek, co? Bilet w jedną stronę do Rio, walizki... Zaczynasz nowe życie, Joe, prawda?

- Nie! - w głosie Romano zabrzmiała panika. - Jezu, ty mnie przecież dobrze znasz, Tony. Nigdy cię nie nabrałem na złamanego centa. Przecież jesteś dla mnie jak ojciec!

Pocił się okropnie. Ktoś zapukał do drzwi, po chwili ukazała się w nich głowa sekretarki. Trzymała kopertę.

- Znowu muszę panu przeszkodzić, panie Romano. Mam dla pana depeszę, ale odbiór trzeba potwierdzić osobiście.

Jak ścigane zwierzę, które zwęszyło kolejne niebezpieczeństwo, Joe Romano odparł:

- Nie teraz. Jestem zajęty.

- Ja to odbiorę - powiedział Anthony Orsatti i poderwał się z fotela, zanim kobieta zdążyła zaniknąć drzwi. Przez jakiś czas czytał depeszę, potem spojrzał na Romano.

Głosem tak cichym, że zaledwie słyszalnym, Anthony Orsatti przemówił:

- Przeczytam ci to, Joe:

Z PRZYJEMNOŚCIĄ POTWIERDZAMY PAŃSKĄ REZERWACJĘ NASZEGO APARTAMENTU KSIĘŻNICZKI NA DWA MIESIĄCE OD NAJBLIŻSZEGO PIĄTKU, PIERWSZEGO WRZEŚNIA. S. MONTALBAND, DYREKTOR HOTELU, RIO OTHOH PALĄCE, COPACABANA BEACH, RIO DE JANEIRO.

To twoja rezerwacja, Joe. Ale chyba nie będziesz jej potrzebował, prawda?

Andre Gillian przyrządzał właśnie w swej kuchni wielki włoski przysmak - *spaghetti alla carbonara* i tort nadziewany gruszkami, gdy nagle usłyszał głośny dźwięk, przypominający wyjmowanie korka z butelki. W chwilę później przyjemne, miarowe buczenie głównego wiatraka klimatyzacji urwało się jak uciął. Andre tupnął nogą i powiedział:

- *Merde!* Tylko nie dzisiaj, nie w noc *gry!* Pobiegł do kredensu, gdzie schowana była skrzynka z przełącznikami i wciskał kolorowe guziki jeden po drugim. Odpowiadała mu cisza.

Och, pan Pope z pewnością będzie wściekły. Po prostu się wścieknie! Andre wiedział, jak niecierpliwie jego pracodawca czekał na tę cotygodniową piątkową partię pokera. Gra uświęcona była wieloletnią tradycją, zawsze w tym samym miejscu i zawsze w tym samym gronie graczy. A bez klimatyzacji nikt nie wytrzyma w domu przez pół godziny! *Po prostu nie - wytrzyma!* Nowy Orlean we wrześniu stanowczo nie należy do miejsc cywilizowanych. Nawet po zachodzie słońca nie ma ucieczki od gorącego i wilgotnego powietrza.

Andre powrócił do kuchni i spojrzął na zegar. Czwarta. Goście przybędą o ósmej. Andre pomyślał, że może powinien zadzwonić do pana Pope i podzielić się z nim swoimi obawami, ale potem przypomniał sobie, co powiedział mu wychodząc jego pracodawca. Był bardzo zajęty w sądzie przez cały dzień. „Ten kochany człowiek jest taki zajęty! Tak potrzebuje odpoczynku. A teraz jeszcze to!”

Andre sięgnął po małą czarną książkę telefoniczną na kuchennej półce, znalazł numer i wykręcił cyfry. Po trzecim sygnale odezwał się metaliczny głos:

- Drogi kliencie! Zgłasza się serwis urządzeń klimatyzacyjnych Eskimo. Co prawda nasi operatorzy znajdują się chwilowo poza terenem biura, jednak przybędą niezwłocznie, kiedy zostaną powiadomieni o awarii. Proszę o podanie nazwiska i telefonu oraz krótkiej informacji dotyczącej uszkodzenia. Proszę zacząć mówić po usłyszeniu długiego sygnału.

„*Foutre!* Tylko w Ameryce człowiek na każdym kroku musi rozmawiać z maszyną”.

Przenikliwy, świdrujący sygnał zabrzmiał w uchu Andre. Przemówił do słuchawki:

- Tu rezydencja *monsieur* Perry Pope, 42 Charles Street. Nasze urządzenie klimatyzacyjne przestało działać. Proszę przysłać ekipę jak najszybciej. *Vite!*

Rzucił słuchawkę. „Oczywiście, nikogo nie ma. Klimatyzacja wysiadła pewnie w tym całym okropnym mieście. To niemożliwe, żeby pieprzony klimatyzator nie zepsuł się w takim upale i wilgoci. Byłoby dla nich najlepiej, żeby przyjechali na czas!” Pan Pope ma nerwy, jest nerwowy. Niebezpiecznie nerwowy.

W ciągu tych trzech lat, które Andre Gillian przepracował w domu swojego pracodawcy, zdążył już zauważyć, jak wielkie były jego wpływy. „To zdumiewające. Taka błyskotliwość w tak młodym wieku”. Perry Pope znał chyba wszystkich. Ludzie tańczyli jak im zagrał.

Kucharzowi wydawało się, że temperatura w pokoju już się podniosła, „*Ça va chier dur*. Do dupy z taką robotą”.

Andre powrócił do krojenia cienkich jak papier plasterków salami i sera prowolańskiego do sałatki, ale nie mógł otrząsnąć się z okropnego przeczucia, że wieczór zakończy się nieszczęściem.

Pół godziny później zadzwonił dzwonek i Andre w ubraniu mokrym od potu pobiegł do drzwi. W kuchni było już gorąco jak w piecu. Dwóch robotników w kombinezonach stało w drzwiach, trzymając walizki z narzędziami. Jeden z nich był wysokim Murzynem. Jego towarzysz był biały, o kilka centymetrów niższy; jego twarz miała senny, znudzony wyraz. Za nimi, przed domem, stała serwisowa ciężarówka.

- Mamy kłopoty z klimatyzacją? - zapytał Murzyn.

- *Oui!* Dzięki Bogu, że już jesteście. Przybywacie w samą porę, żeby ją naprawić. Zaraz przyjdą goście.

Murzyn podszedł do pieca, wciągnął smakowity zapach tortu i powiedział:

- Co za aromat!

- Proszę! - ponaglał Gillian. - Zaczynjcie coś robić!

- Zajrzymy najpierw do kotłowni - odparł ten niższy. - Gdzie to jest?

- Tędy.

Andre pospiesznie zaprowadził ich do pomieszczenia gospodarczego, gdzie znajdowało się urządzenie klimatyzacyjne.

- To niezły wiatrak, Ralph - odezwał się Murzyn do swojego kolegi.

- Tak, Al. Teraz już takich nie robią.

- Więc na miłość Boską, dlaczego to nie działa? - zapytał porywczo Gillian.

Popatrzyli na niego.

- Dopiero co przyjechaliśmy! - poinformował Ralph z przyganą w głosie. Ukląkł i otworzył małe drzwiczki w podstawie urządzenia, wyjął punktową latarkę, położył się na brzuchu i zajrzał do środka. Po chwili wstał. - Problem tkwi gdzie indziej.

- Więc gdzie? - zapytał Andre.

- Musi być zwarcie w instalacji. Prawdopodobnie wysiadł cały system. Ile macie w domu otworów wentylacyjnych?

- Po jednym w każdym pokoju. Czyli co najmniej dziewięć.

- I o to chyba właśnie chodzi. Obciążenie transdukcji. Trzeba rzucić okiem.

Cała trójka ruszyła przed siebie. Gdy przechodzili przez living-room, Al odezwał się:

- Naprawdę piękne mieszkanie sprawił sobie ten pan Pope. Living-room urządzone był wyjątkowo elegancko, zapełniony autentycznymi antykami o wielkiej wartości. Podłogę pokrywały dywany perskie w łagodnych odcieniach. Na lewo od living-roomu mieściła się mała, nobliwie urządzona jadalnia, a na prawo - luksusowy gabinet, pośrodku którego znajdował się wielki, nakryty zielonym filcem stół do gry. W rogu pokoju stał jeszcze okrągły stolik, nakryty do kolacji. Obaj robotnicy weszli do gabinetu i Al oświetlił swoją latarką otwór wentylacyjny wysoko pod sufitem.

- Hmmmm... - mruknął. Spojrzał na sufit ponad stołem karcianym. - Co jest nad tym pokojem?

- Strych.

- Zajrzyjmy tam.

Monterzy podreptali za Andre na strych. Było to długie, niskie pomieszczenie, zakurzone i zasnute pajęczynami.

Al podszedł do skrzyni elektrycznej w ścianie. Spenetrował płataninę przewodów.

- Ha!

- Więc to tutaj? - nie wytrzymał zaniepokojony Andre.

- Coś nie tak z kondensatorem. To z powodu wilgoci. Mieliśmy już sto takich zgłoszeń tylko w tym tygodniu. Znowu zwarcie. Trzeba wymienić kondensator.

- O mój Boże! Czy to długo potrwa?

- Nie. Mamy nowy kondensator na ciężarówce.

- Proszę, pospieszcie się. Pan Pope zaraz wróci - błagał Andre.

- Proszę pozostawić to nam - powiedział Al.

Gdy wrócili do kuchni, Andre szepnął konfidencjonalnie:

- Muszę skończyć moją sałatkę. Czy traficie z powrotem na strych?

- Nie męcz się, kolego. - Al machnął ręką. - Weź się do swoich spraw, a my dopilnujemy naszych.

- Och, dziękuję. Dziękuję bardzo.

Andre patrzył jak mężczyźni wychodzili do ciężarówki i powracali, trzymając dwa wielkie płócienne worki.

- Gdybyście czegoś potrzebowali - powiedział - zwołajcie mnie.

- Nie ma sprawy!

Robotnicy ruszyli w górę po schodach, a Andre powrócił do swojej kuchni.

Po wejściu na strych Ralph z Alem otworzyli płócienne worki i wyjęli z nich: małe składane krzeselko, wiertarkę ze stalowymi wiertłami, tacę pełną kanapek, dwie puszki piwa, lornetkę Zeissa z obiektywem 12x40 do obserwacji odległych obiektów w słabym świetle, oraz dwa żywe chomiki, którym uprzednio wstrzyknięto 2 miligramy acetylopromazyny. Obaj monterzy zabrali się do pracy.

- Stara Ernestyna będzie ze mnie dumna - zarechotał Al.

Z początku Al uparcie sprzeciwiał się pomysłowi.

- Chybaś zwariowała, kobieto. Nie będę pieprzyć się z jakimś Perrym Pope. Ten fagas może przyłożyć w tyłek tak, że pociemnieje mi w oczach.

- Nie musisz się z nim pieprzyć, kochanie. On już *nikomu* nie zaszkodzi.

Leżeli nago na wodnym materacu w mieszkaniu Ernestyny.

- A co ty będziesz z tego miała, słodziutka, co?

- Ten Pope to stary fiut.

- Dziecinko, na świecie jest pełno fiutów, ale to nie znaczy, że mam latać z nożem i obcinać im jaja.

- Dobra. Robię to dla kumpelki.

- Tracy?

- Tak.

Al lubił Tracy. Tego dnia, gdy wychodziła z więzienia, byli z nią na obiedzie.

- Ona ma klasę - przyznał Al. - Ale dlaczego mamy za nią nadstawiać karku?

- Bo jeśli jej nie pomożesz, to ona wynajdzie sobie jakiegoś bubka, który nie jest nawet w połowie tak dobry jak ty, a wtedy ją złapią i zgnoją w mamrze, kapujesz?

Al usiadł na materacu i z zaciekawieniem popatrzał na Ernestynę.

- Czy to naprawdę takie ważne dla ciebie, kruszynko?

- Tak, kochanie.

Chyba nigdy tego nie zrozumie, ale Ernestyna rzeczywiście nie mogła po prostu znieść myśli o powrocie Tracy do więzienia, na łaskę Dużej Berty. A przy tym chodziło jej nawet nie tyle o Tracy, co o siebie samą. Broniła Tracy i jeśli Duża Berta położy na niej łapę - będzie to jej klęska. Dlatego odparła krótko:

- Taak. Dla mnie to cholernie ważne, chłopaczku. Spróbujesz?

- Wyobrażasz sobie, że zrobię to sam? - burknął Al. Teraz zwycięstwo było całkowite - Ernestyna nie miała co do

tego wątpliwości. Pieściła zębami jego długie, kościste ciało, jednocześnie szepcząc:

- Zdaje mi się, że stary Ralph miał być parę dni temu zwolniony.

Wybiła już dawno 18.30, kiedy dwaj robotnicy powrócili do kuchni Andre, szarzy od kurzu i potu.

- Czy już po wszystkim? - z niepokojem zapytał Andre.

- To była paskudna robota! - poinformował go Al. - Widzisz pan, to, co tu trzymam, to jest kondensator AC/DC, który...

- Dajcie już spokój - przerwał niecierpliwie Andre. - Czy urządzenie klimatyzacyjne działa?

- Tak. Wszystko gra. Za pięć minut będzie chodzić jak nowe.

- *Formidable!* Gdybyście byli tak uprzejmi i zostawili rachunek na stole w kuchni...

- Niech pana o to głowa nie boli. - Ralph skinął głową. - Firma wystawi rachunek.

- Dzięki stokrotnie. *Au' voir.*

Andre obserwował dwóch ludzi, wynoszących przez kuchenne drzwi swoje płócienne worki. Gdy zniknęli z jego pola widzenia, przeszli na drugą stronę podwórka i otworzyli skrzynkę, w której znajdował się zewnętrzny kondensator urządzenia klimatyzacyjnego. Ralph przyświecał latarką, a Al przymocował do zacisków druty, które rozłączył kilka godzin temu. Urządzenie klimatyzacyjne natychmiast zaczęło działać.

Al przepisał numer telefonu z tabliczki serwisowej na kondensatorze. Gdy kilka minut później zadzwonił pod ten numer i usłyszał znajomy głos automatycznej sekretarki Eskimo, powiedział:

- Tu rezydencja Perry'ego Pope, 42 Charles Street. Nasze urządzenie działa doskonale. Proszę nikogo nie przysyłać. Życzę miłego dnia.

Cotygodniowy poker w domu Perry'ego Pope odbywał się zawsze w piątkowy wieczór i był wydarzeniem, na które wszyscy uczestnicy niecierpliwie czekali. Gracze byli zawsze ci sami: Anthony Orsatti, Joe Romano, sędzia Henry Lawrence, pewien członek Rady Miejskiej, reprezentant stanu w senacie i, oczywiście, gospodarz. Stawki były wysokie, przekąski doskonałe, a towarzystwo świadome swojej władzy.

Perry Pope w sypialni przygotowywał się do spotkania. Wkładał białe jedwabne spodnie i sportową koszulę. Podśpiewywał przy tym wesoło, myśląc o wieczorze, który go czekał. Ostatnio dopisywało mu szczęście. „Właściwie całe moje życie to jedno wielkie pasmo sukcesów” - pomyślał.

Każdy, kto potrzebował dobrego adwokata, prędzej czy później spotykał się z nim. Potęgą Perry'ego polegała na powiązaniach, łączących go z Rodziną Orsatti. Nazywano go często czarodziejem, bo rzeczywiście potrafił poprowadzić najróżniejsze sprawy, od jazdy na gapę do handlu narkotykami albo morderstwa na tle seksualnym. I nieźle mu się żyło.

Anthony Orsatti przyprowadził ze sobą gościa.

- Joe Romano już nie będzie grywał - oświadczył. - Chyba wszyscy znają inspektora Newhouse.

Mężczyźni wymienili uściski dłoni.

- Drinki stoją na kredensie, panowie - poinformował Perry Pope. - Kolację zjemy później. A teraz zapraszam do gry.

Mężczyźni zajęli swoje stałe miejsca wokół zielonego stolika w gabinecie. Orsatti wskazał krzesło, na którym siadywał niegdyś Joe Romano i rzekł do inspektora Newhouse:

- To będzie od dzisiaj twoje krzesło, Mel.

Gdy jeden z nich rozpakowywał nowe talie, Pope rozdzielił żetony. Wyjaśnił przy tym inspektorowi:

- Czarne żetony są po pięć dolarów, czerwone - po dziesięć, niebieskie żetony - po pięćdziesiąt dolarów, a białe - po sto. Każdy gracz na początek wykupuje żetony za pięćset dolarów. Otwarcie ze stołu, trójka przebija, rozdający wybiera grę.

- Nie najgorzej - odparł inspektor. Anthony Orsatti był w złym humorze.

- Dobra. Zaczynamy. - Jego zduszony głos nie zapowiadał nic dobrego.

Perry Pope dałby wiele za informację, co przytrafiło się Joemu Romano, ale wolał nie rozpoczynać rozmowy na ten temat. Orsatti sam go poruszy we właściwej chwili.

Myśli Orsattiego były czarne: „Traktowałem Joego jak syna, ufałem mu, zrobiłem go głównym porucznikiem. A ten skurwysyn wbił mi nóż w plecy. Gdyby nie telefon tej zwariowanej francuskiej dziwki, uszłoby mu i to. Tak, ale teraz już mu nie ujdzie. Tam, gdzie jest, może najwyżej pieprzyć się z rybkami”.

- Tony, grasz czy pasujesz?

Anthony Orsatti podjął grę. Wielkie sumy pieniędzy przechodziły przy stole z rąk do rąk. Każda przegrana denerwowała Orsattiego, lecz nie miało to nic wspólnego z chciwością. Uważał się za osobę urodzoną po to, by wygrywać. Tylko zwycięzcy osiągali w życiu tak wiele. Sześć ostatnich tygodni stanowiło nieprzerwane pasmo zwycięstw Perry'ego Pope, ale dzisiaj Anthony Orsatti postanowił przerwać tę passę.

Rozdający wybierał grę, zawsze taką, w której czuł się najmocniej. Karty rozdawano do jednej zakrytej, trzech zakrytych, wyciąganego pokera, ale tego wieczoru, niezależnie od tego, w co grano, Anthony Orsatti zawsze przegrywał. Próbował zwiększać stawkę, grał lekkomyślnie, byle tylko odrobić straty, ale szczęście mu nie dopisywało. Przed północą, kiedy przerwali grę, aby zjeść danie przygotowane przez Andre, Orsatti przegrał już pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Perry Pope był niepokonany.

Jedzenie było wyśmienite. Orsatti nigdy nie sprzeciwiał się małej przekąsce o północy, ale tego wieczoru spieszyło mu się z powrotem do gry.

- Nic nie jesz, Tony - zauważył Perry Pope.

- Nie jestem głodny. - Orsatti sięgnął do srebrnego dzbanka z kawą, nalał czarnego płynu do filiżanki z chińskiej porcelany Herend, ozdobionej monogramem królowej Wiktorii i zasiadł do zielonego stolika. Patrzył jak pozostali jedli i ponaglał ich wzrokiem. Chciał się jak najprędzej odegrać. Kiedy mieszał kawę, jakiś mały kamyczek wpadł mu do filiżanki. Orsatti z niesmakiem wyłowił go łyżeczką i starannie obejrzał. Wyglądało to na kawałek tynku. Zadarł głowę do góry, spoglądając na sufit, i coś uderzyło go w czoło. Nagle uświadomił sobie jakiś dziwaczny szelest, dochodzący z góry.

- Co, do diabła, tam się dzieje? - zapytał.

Perry Pope właśnie opowiadał inspektorowi Newhouse pikantną anegdotę.

- Przepraszam, co powiedziałaś, Tony?

Teraz hałas stał się wyraźniejszy. Odłamki tynku sypały się na zielony filc stolika.

- Wygląda na to, że tu są myszy - odezwał się senator.

- Nie w tym domu. - Perry Pope był urażony.

- Jasne jak słońce, że coś tu nie gra - burknął Orsatti. Większy niż poprzednie odłamki tynku spadł na zielony filc stolika.

- Zaraz zawołam Andre, niech się tym zajmie - powiedział Perry Pope. - Cóż, jeśli skończyliśmy jeść, to może by tak jeszcze partyjkę?

Anthony Orsatti przyglądał się małej dziurce w suficie, dokładnie nad jego głową.

- Poczekaj. Chodźmy tam i zobaczymy, co się dzieje.

- Po co, Tony? Andre zaraz...

Ale Orsatti już wstał i zrobił kilka kroków w kierunku schodów. Pozostali wymienili spojrzenia, a potem udali się za nim.

- Może jakaś wiewiórka dostała się na strych - zasugerował Perry Pope. - O tej porze roku wszędzie ich pełno. Prawdopodobnie przechowuje tam swoje orzechy na zimę - zaśmiał się ze swojego dowcipu.

Gdy w końcu stanęli przed drzwiami strychu, Orsatti otworzył je, a Perry Pope włączył światło. Zauważyli dwa białe chomiki, biegające po podłodze jak oszalałe.

- Jezu! - krzyknął Perry Pope. - Tutaj są szczury! Anthony Orsatti nie słuchał go. Oglądał uważnie pokój. Pośrodku strychu stało składane biwakowe krzeselko, na którym znajdowała się taca z kanapkami i dwie otwarte puszki piwa. Na podłodze obok krzesła leżała lornetka.

Orsatti wszedł do pomieszczenia, podnosił przedmioty jeden po drugim i oglądał. Potem ukląkł na zakurzonej podłodze i dotknął cienkiego drewnianego cylindra, tkwiącego w małej dziurce wywierconej w suficie. Ostrożnie przyłożył do niego oko. Dokładnie pod sobą ujrzał zielony sufit z rozłożonymi kartami.

Perry Pope stał pośrodku strychu jak skamieniały.

- Kto, do cholery, przyniósł tutaj te graty? Urwę głowę Andre, niech go tylko złapię!

Orsatti powoli podnosił się, otrzepując kurz z nogawek spodni. Perry Pope oglądał podłogę z rosnącym zainteresowaniem.

- Patrzcie! - wykrzyknął. - Tu jest dziura w suficie. Ci dzisiejsi murarze są gównowo warci.

Przykucnął i spojrzał przez otwór. Rumieńce stopniowo znikwały z jego twarzy.

Wstał i rozejrzał się wokół, napotykać na utkwione w niego spojrzenia wszystkich mężczyzn.

- Hej! - powiedział Perry Pope. - Chyba nie myślicie, że ja... Może wreszcie przestaniecie się zgrywać, przecież mnie znacie! Widzę to po raz pierwszy w życiu. Przecież was nie nabieram! Boże! Jesteśmy *przyjaciółmi!* - Włożył rękę w usta i gryzł w rozpacz własne palce.

Orsatti poklepał go w ramieniu.

- Nie przejmuj się tym. - Jego głos był przeraźliwie cichy. Perry Pope wgryzał się desperacko w krwawą miazgę swojego prawego kciuka.

Dwa do zera, Tracy - zachichotała Ernestyna Littlechap. - Na ulicy opowiadają, że twój obrońca - Perry Pope już nie praktykuje w sądzie. Podobno przytrafił mu się przykry wypadek.

Zamówiły sobie *café au lait i beignets* w małej ulicznej kafejce na Royal Street.

- Masz głowę, dziewczyno. - Ernestyna rechotała piskliwie: - Nie chcesz się przyłączyć do mojego biznesu, co?

- Dziękuję, Ernestyno. Mam inne plany.

- Kto będzie następny? - zainteresowała się Murzynka.

- Lawrence. Sędzia Henry Lawrence.

Henry Lawrence rozpoczynał karierę jako adwokat w małym miasteczku Leesville w Luizjanie. Nie był zbyt predestynowany do pracy prawniczej, ale posiadał dwa niekwestionowane atuty: poważny, sprawiający dobre wrażenie wygląd i całkowity brak hamulców moralnych. Prawo, według jego filozofii, było elastycznym kawałkiem trzciny, który można było naginać na użytek jego klientów. Dlatego nie zdziwił nikogo fakt, że wkrótce po przyjeździe Lawrence'a do Nowego Orleanu zaroilo się wokół niego od klientów dosyć szczególnego rodzaju. Zaczynał od spraw związanych z niemoralnym prowadzeniem się i wypadków drogowych, potem stopniowo przestawił się na procesy o oszustwa i zbrodnie główne. Jeszcze zanim wciągnięto go do sędziowskiego zespołu, zaczął jako specjalista od podporządkowywania sobie sędziów, dyskredytowania świadków, przekupywania wszystkich, którzy mieli coś do powiedzenia w prowadzonej przez niego sprawie. Był on po prostu wymarzoną współpracownikiem dla Anthony'ego Orsatti, dlatego też ich ścieżki prędzej czy później musiały się spotkać. Był to mariaż pod egidą mafii. Ustami Lawrence'a przemawiała na niezliczonych rozprawach Rodzina Orsatti, więc gdy tylko nadarzyła się sposobność, Anthony postarał się dla niego o tytuł sędziego.

Nie mam pojęcia, jak można załatwić sędziego - powątpiewała Ernestyna. - Przecież on jest bogaty, potężny, nietykalny.

- Jest rzeczywiście bogaty i potężny - poprawiła ją Tracy - ale nie jest nietykalny.

Plan miała gotowy już od dawna, ale kiedy zatelefonowała do jego biura - szybko uznała, że musi go zmienić.

- Czy mogę mówić z sędzią Lawrence?

- Przykro mi, ale sędzia Lawrence jest nieobecny - odpowiedziała sekretarka.

- Kiedy można go zastać? - zapytała Tracy.

- Naprawdę, trudno mi powiedzieć.

- To bardzo ważne. Czy zastanę go jutro rano?

- Nie. Sędzia Lawrence wyjechał z miasta.

- Och, może więc spotkam się z nim gdzieś poza miastem.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Szanowny pan sędzia wyjechał z kraju.

- Rozumiem. Czy mogę wiedzieć dokąd? - Tracy bardzo starała się nie okazać rozczarowania.

- Pan sędzia jest w Europie na międzynarodowym sympozjum prawników.

- Co za pech! - wyrwało się Tracy.

- A kto mówi, jeśli można zapytać? Tracy namyślała się gorączkowo.

- Mówi Elizabeth Rowane Dastin, przewodnicząca południowego oddziału Amerykańskiego Stowarzyszenia Sędziów Procesowych. Corocznie wydajemy nasz honorowy obiad w Nowym

Orleanie, zawsze dwudziestego bieżącego miesiąca, a tegoroczny tytuł człowieka roku przypadł w udziale sędziemu Lawrence.

- To wspaniała wiadomość - odparła sekretarka - ale obawiam się, że pan sędzia nie zdąży do tego czasu powrócić.

- To bardzo przykre. Spodziewaliśmy się, że wygłosi mowę. Sędzia Henry Lawrence został wybrany jednogłośnie przez nasz komitet kwalifikacyjny.

- Będzie bardzo zawiedziony, gdy się dowie.

- Tak. Pani oczywiście zdaje sobie sprawę z doniosłości naszego wyróżnienia. W przeszłości zaszczytem tym obdarzano wyłącznie najwybitniejszych w kraju sędziów. Ale chwileczkę! Przyszedł mi do głowy pewien pomysł! Czy sędzia Lawrence nie mógłby nagrać dla nas krótkiej okolicznościowej przemowy - może tylko kilka wyrazów podziękowania?

- Cóż, trudno mi wypowiadać się na ten temat. Jego rozkład zajęć jest tak przeładowany, że...

- Obiad będzie relacjonowany przez prasę i ogólnokrajową telewizję.

Zapadła cisza. Sekretarka sędziego Lawrence wiedziała, jak bardzo zależało mu na rozgłosie. Właściwie, o ile się orientowała, jego obecna podróż podyktowana była głównie tym względem.

- Może znajdzie trochę czasu, żeby nagrać kilka słów dla pani stowarzyszenia. Mogłabym się z nim skontaktować - odparła ostrożnie.

- Och, to byłoby cudownie - rozentuzjasmowała się Tracy. - To naprawdę mogłoby uratować ten wieczór.

- Czy pan sędzia ma poruszyć w swym przemówieniu jakiś konkretny temat?

- Och, oczywiście! Chcielibyśmy żeby wyraził swoją opinię o... - zawahała się. - Obawiam się, że jest to trochę skomplikowane. Będzie jednak lepiej, jeśli wyjaśnię mu to osobiście.

Na ułamek sekundy zapadła cisza. Sekretarka stanęła przed dylematem: szef wyraźnie zabronił informowania kogokolwiek o swoich planach. Z drugiej strony, jeśli ominie go wyróżnienie tej rangi, nigdy jej tego nie wybaczy. Odrzekła więc:

- Właściwie nie jestem upoważniona do udzielania informacji, ale w tak wyjątkowej sprawie pan sędzia chyba wybaczy mi niezastosowanie się do polecenia. Sędzia przebywa w Moskwie, w hotelu „Rossija”. Będzie tam jeszcze przez pięć dni, a potem...

- Wspaniale. Skontaktuję się z nim natychmiast. Dziękuję pięknie.

- Ja również, panno Dastin.

Depesze zaadresowane były do sędziego Henry Lawrence'a, hotel „Rossija”, Moskwa. Pierwsza brzmiała:

TWOJE OSTATNIE KLUBOWE SPOTKANIE MOGŁO BYĆ WCZEŚNIEJ
UZGODNIONE, ALE NA PEWNO JAK ZWYKLE TEGO NIE CHCIAŁEŚ. BORYS

Drugi telefon, który nadszedł następnego dnia, brzmiał:

NASZE STARE WAKACYJNE PLANY SPEŁNIĄ SIĘ NIEBAWEM. DOTARŁY DO
NAS NARESZCIE SZCZĘŚLIWIE UZYSKANE ZE SPRZEDAŻY PIENIĄDZE, KTÓRE
WUJ PRZECHOWYWAŁ W BANKU. WYSOKIE, BIAŁE GÓRY W SZWAJCARII SĄ
PIĘKNE. CZEKAMY. BORYS

Ostatnia depesza była następująca:

ZARAZ PO KONGRESIE SPRÓBUJ W SZWAJCARSKIEJ AMBASADZIE UZYSKAĆ WIZĘ. PRZEKAŻEMY CI INFORMACJĘ GDZIE JESTEŚMY. TWÓJ NOWY ZNAJOMY CZEKA NA OKRĘT DO EUROPY. SAMOLOT RADZIECKI MU NIE ODPOWIADA. PILNIE PRAGNIE CIĘ WIDZIEĆ. BORYS

KGB wstrzymał się od interwencji w oczekiwaniu na następne depesze. Gdy nie nadeszły - sędzia Lawrence został aresztowany. Śledztwo trwało dziesięć dni i nocy.

- Do kogo wysyłałeś informacje?

- *Jakie* informacje? Nie rozumiem o co chodzi.

- Chodzi o plany. Skąd miałeś plany?

- Jakie plany?

- Plany radzieckiej łodzi podwodnej.

- Chyba zwariowaliście. Co ja mogę wiedzieć o radzieckich łodziach podwodnych?

- Tego właśnie chcemy się dowiedzieć. Z kim miałeś swoje tajne spotkania?

- *Jakie* spotkania? Nie mam żadnych tajemnic.

- Dobrze. W takim razie powiedz, kim jest Borys.

- Jaki Borys?

- Człowiek, który przekazywał pieniądze na twoje szwajcarskie konto.

- *Jakie* szwajcarskie konto?

- Jesteś uparty jak osioł - powiedzieli mu. Doprowadzał ich do furii. - Ukarzemy cię dla przykładu, żeby odstraszyć wszystkich amerykańskich szpiegów, którzy próbują zniszczyć naszą wielką ojczyznę.

Do dnia, kiedy pozwolono mu na rozmowę z amerykańskim ambasadorem, sędzia Lawrence stracił na wadze sześć kilogramów. Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz prześladowcy pozwolili mu zasnąć. Był już tylko roztrzęsionym wrakiem człowieka.

- Dlaczego tak mnie traktują? - dziwił się. - Jestem amerykańskim obywatelem, sędzią. Na miłość Boską, wyciągnijcie mnie stąd!

- Robię wszystko, co w mojej mocy - zapewniał go ambasador. Był wstrząśnięty wyglądem sędziego. Przed dwoma tygodniami brał udział w powitaniu Lawrence'a i innych członków Komitetu Sędziowskiego. Człowiek, którego oglądał wtedy, w niczym nie przypominał tej trzęsącej się z przerażenia istoty, która teraz błagała go o pomoc.

„O co, do cholery, chodzi tym Rosjanom? - głowił się ambasador. - Przecież z tego sędziego taki sam szpieg jak ze mnie”. Po chwili namysłu poprawił się: „No, może to nie jest najlepsze porównanie”.

Ambasador zażądał posłuchania u sekretarza generalnego, stojącego na czele Biura Politycznego Partii, a kiedy żądanie odrzucono - wybrał się do jednego z ministrów.

- Jestem zmuszony wystosować formalny protest - zadeklarował gniewnie. - Sposób traktowania sędziego Lawrence przez władze tego kraju jest niedopuszczalny. Posądzanie człowieka jego formatu o szpiegostwo jest po prostu śmieszne.

- Jeżeli pan skończył - odezwał się chłodno minister - to proszę łaskawie rzucić okiem na te oto dokumenty.

Ambasador przeczytał je i podniósł głowę. Wyglądał na zaskoczonego.

- Co tu się nie zgadza? Przecież to normalne telegramy.

- Naprawdę? Może lepiej niech pan przeczyta je powtórnie. Rozszyfrowane.

Podał ambasadorowi drugą kopię dokumentów. Co czwarte słowo było podkreślone.

TWOJE OSTATNIE KLUBOWE SPOTKANIE MOGŁO BYĆ WCZEŚNIEJ UZGODNIONE, ALE NA PEWNO JAK ZWYKLE TEGO NIE CHCIAŁEŚ. BORYS

NASZE STARE WAKACYJNE PLANY SPEŁNIĄ SIĘ NIEBAWEM. DOTARŁY DO NAS NARESZCIE SZCZĘŚLIWIE UZYSKANE ZE SPRZEDAŻY PIENIĄDZE, KTÓRE WUJ PRZECHOWYWAŁ W BANKU. BIAŁE KRAJOBRAZY SZWAJCARII SĄ PIĘKNE. CZEKAMY. BORYS

ZARAZ PO KONGRESIE SPRÓBUJ W SZWAJCARSKIEJ AMBASADZIE UZYSKAĆ WIZĘ, PRZEKAŻEMY CI INFORMACJĘ GDZIE JESTEŚMY. TWÓJ NOWY ZNAJOMY CZEKA NA OKRĘT DO EUROPY. SAMOLOT RADZIECKI MU NIE ODPOWIADA. PILNIE ODPOWIEDZ. BORYS

„Chyba zwariuję” - pomyślał ambasador.

Prasy i publiczności nie wpuszczono na salę rozpraw. Oskarżony do końca pozostał niezłomny i konsekwentnie odmawiał przyznania się do szpiegostwa.

Prokurator przyrzekł mu złagodzenie wyroku, jeżeli ujawni swoich mocodawców. Sędzia Lawrence wiele dałby za to, żeby móc to zrobić, ale niestety nie mógł.

Nazajutrz po rozprawie w „Prawdzie” ukazała się krótka notatka informująca, że notoryczny amerykański szpieg - sędzia Henry Lawrence został zdemaskowany i skazany na czternaście lat zesłania i ciężkich robót na Syberii.

Przypadek Lawrence'a zbulwersował amerykańskie środowisko wywiadowcze. W CIA, FBI, Secret Service i w Ministerstwie Skarbu wrzało od plotek.

- To nie nasz człowiek - zapewniano w CIA. - Prawdopodobnie wysłało go Ministerstwo Skarbu.

Ministerstwo zaprzeczało posiadaniu jakiegokolwiek informacji w tej sprawie.

- Nie mamy nic wspólnego z Lawrence'em. To z pewnością wredne FBI znowu wpieprza się na nasze terytorium.

- Na pewno nie - mówiono w FBI. - Sędzia musi być człowiekiem władz stanowych albo Defence Intelligence Agency.

DIA, skromnie usuwając się w cień, oznajmiała chytrze:

- Bez komentarzy.

Każda instytucja była przekonana, że sędzia Henry Lawrence został wysłany za granicę przez kogoś innego.

- Cóż, powinniśmy podziwiać jego hart - powiedział szef CIA. - Jest twardy. Nie przyznał się i nie wymienił żadnych nazwisk. Prawdę powiedziawszy, chciałbym, żeby w naszych szeregach było więcej takich jak on.

Sprawy Anthony'ego Orsatti przedstawiały się źle. Stary mafioso nie rozumiał dlaczego. Po raz pierwszy w życiu szczęście odwróciło się od niego. Najpierw zdradził go Joe Romano, potem Perry Pope, a teraz odszedł sędzia, zamieszany w jakąś zwariowaną szpiegowską aferę. Wszyscy oni stanowili ważne kółka w maszynie Orsattiego, byli ludźmi, na których polegał.

Joe Romano był najważniejszym ogniwem w rodzinnej organizacji i Orsattiemu nie udało się znaleźć na jego miejsce godnego następcy. Od tego czasu interesy zaczęły się psuć, coraz częściej rozlegały się skargi ludzi, którzy nigdy dotąd nie ośmielali się skarżyć. Rozpowszechniła się pogłoska, że Tony Orsatti po prostu się zestarzał, że nie potrafi utrzymać w ryzach swoich ludzi, a jego organizacja rozpada się.

Gwoździem do trumny okazała się rozmowa telefoniczna z New Jersey.

- Podobno masz jakieś kłopoty, Tony. Chcielibyśmy ci trochę pomóc.

- Nie mam żadnych kłopotów - żywo zaprzeczył Orsatti. - Miałem kilka niedawno, ale teraz już są załatwione.

- My mamy nieco inne informacje, Tony. Ludzie mówią, że twoje miasto się rozbrykało, że nikt go nie kontroluje.

- *Ja* je kontroluję.

- Może jesteś zmęczony. Za ciężko pracujesz i przydałby ci się mały odpoczynek.

- To jest *moje* miasto. Nikt mi go nie odbierze.

- Hej, Tony, kto mówi o odbieraniu? Chcemy ci tylko trochę ulżyć. Rodziny ze wschodu zebrały się i postanowiły podesłać ci kilku naszych ludzi. Chyba nic nie masz przeciwko przyjacielskiej pomocy, prawda?

Anthony Orsatti poczuł zimny dreszcz przenikający jego ciało od stóp do głów. Wszystko było w porządku z wyjątkiem pewnego drobiazgu: z małej pomocy po jakimś czasie zrobi się duża pomoc i urośnie jak tocząca się z góry śnieżna kula.

Ernestyna ugotowała zupę *gumbo* z owoców hibiskusa i krewetek i podgrzewała ją na kuchence, czekając z Tracy na powrót Ala. Wrześniowe upały działały na nerwy wszystkim, dlatego gdy Al w końcu wkroczył do małego mieszkanca, Ernestyna przywitała go okrzykiem:

- Gdzie, do diabła, się włóczysz? Ten zasrany obiad zaraz się spali, tak samo jak ja.

Lecz Al znajdował się w stanie zbyt wielkiej euforii, by się obrazić.

- Zbierałem nowiny, kobieto. Poczekaj, zaraz opowiem ci, co dzieje się w naszym pieprzonym mieście. - Zwrócił się do Tracy. - Ludzie wzięli się nareszcie za Anthony'ego Orsatti. Przyjeżdża Rodzina z New Jersey i przejmuje interes. - Rozdziawił gębę w szerokim uśmiechu: - Dopadłaś tego skurwysyna! - spojrzał na Tracy i przestał się śmiać. - Nie jesteś szczęśliwa?

„Co za dziwne słowo - pomyślała - szczęście”. Zapomniała już, co ono znaczy. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek będzie szczęśliwa, czy będzie zdolna do przeżywania jakichkolwiek zwyczajnych ludzkich uczuć. Przez długi czas wszystkie jej myśli koncentrowały się na jednym: jak pomścić zło, które wyrządzono jej i matce. Teraz, kiedy prawie dopięła swego, wypełniła ją pustka i zwątpienie.

Następnego dnia Tracy wybrała się do kwiaciarni.

- Poproszę o kwiaty dla Anthony'ego Orsatti. Wieniec pogrzebowy z białych goździków na stojaku, przepasany białą wstążką. Wstążka ma być z napisem: **„Spoczywaj w pokoju”**.

Zapisała to na kartce. I dopisała jeszcze: **„Od córki Doris Whitney”**.

KSIĘGA TRZECIA

Filadelfia

Wtorek, 7 października - 16.00

Przyszła kolej na Charlesa Stanhope III. Pozostali byli obcymi ludźmi. Charles był jej kochankiem, ojcem jej nie narodzonego dziecka, a przecież odwrócił się plecami do nich obojga.

Ernestyna i Al pożegnali Tracy na lotnisku w Nowym Orleanie.

- Będę za tobą tęsknić - mówiła Ernestyna. - Ty naprawdę narozrabiłaś trochę w tym mieście. Powinni cię obrać burmistrzem.

- A co masz do roboty w Philly? - zapytał Al.

- Mam swoją pracę w banku. - Powiedziała im tylko połowę prawdy.

Ernestyna z Alem wymienili spojrzenia.

- A czy oni... hm... wiedzą, że przyjeżdżasz?

- Nie. Ale wiceprezes banku mnie lubi i nie będzie sprawiał trudności. Nie tak łatwo znaleźć dobrych ekspertów komputerowych.

- No to powodzenia. Daj znać o sobie od czasu do czasu. I niech omijają cię kłopoty.

Pół godziny później leciała już do Filadelfii.

Wprowadziła się do „Hiltona” i przeprała nad parującą miską ostatnią przyzwoitą sukienkę. Następnego dnia o 11.00 była już w banku i z miejsca zwróciła się do sekretarki Clarence’a Desmonda,

- Cześć, Mae. - Dziewczyna spojrzała na nią w osłupieniu, jakby zobaczyła ducha.

- Tracy! - Nie wiedziała gdzie podziać oczy. - Ja... jak się masz?

- Świetnie. Czy pan Desmond jest w biurze?

- Hm... nie wiem. Zaraz zobaczę. Przepraszam.

Wstała z krzesła i prawie pobiegła do biura prezesa. Wyszła po chwili.

- Możesz wejść. - Odsunęła się jakoś dziwnie, gdy Tracy przechodziła przez drzwi.

„Co się z nią dzieje?” - pomyślała Tracy.

Clarence Desmond przyjął ją stojąc przy swoim biurku.

- Dzień dobry, panie Desmond. Wróciłam - przywitała go wesoło.

- Po co? - To nie było przyjazne powitanie. Raczej wrogie. Tracy milczała, zaskoczona. Po chwili odzyskała głos:

- No, przecież jestem najlepszą operatorką komputera, jaką pan kiedykolwiek spotkał, sam pan to przyznał, a teraz...

- Chciałaby pani powrócić do swojej dawnej pracy?

- Właściwie tak, sir. Nie zapomniałam jeszcze wszystkiego. Ciągle jestem...

- Panno Whitney - już nie mówił jej po imieniu - przykro mi, ale to, o co pani prosi, jest absolutnie niemożliwe. Na pewno doskonale pani rozumie, że nasi klienci nie mogą mieć do czynienia z kimś, kto wraca do pracy po odsiadce w więzieniu za rabunek z bronią w rękę i próbę morderstwa. To przecież uwłaczałoby najbardziej elementarnym zasadom etyki bankowej, z której nasz bank jest znany. Nie wydaje mi się, by mając taką przeszłość, znalazła pani *gdziekolwiek* bank, chcący panią zatrudnić. Nie mówię tego z powodu jakiejś osobistej urazy, zapewniam panią.

Tracy poczuła najpierw wstrząs, a potem uczucie narastającego gniewu. Więc traktował ją jak wyrzutka społeczeństwa, trędowatą. A przecież ciągle miała w pamięci jego słowa: „Nie możemy pozwolić sobie na stratę naszej najwartościowszej pracowniczki”.

- Czy ma mi pani jeszcze coś do powiedzenia, panno Whitney? - Była to niezbyt delikatna forma pożegnania.

Miała bardzo wiele do powiedzenia, ale rozumiała, że nic już nie zmieni jej sytuacji.

- Nie. Myślę, że pan już powiedział wszystko.

Odwróciła się i wyszła zaczerwieniona z gniewu. Chyba wszyscy pracownicy banku gapili się na nią. Mae zdążyła już rozgłosić nowinę: skazaniec powrócił z więzienia. Tracy szła w kierunku wyjścia z wysoko podniesioną głową, ale wewnątrz załamana. „To im się nie uda. Moja duma jest wszystkim co posiadam i nikt nie może mi jej odebrać”.

Cały dzień przesiedziała w domu, rozpamiętując z przygnębieniem swoją sytuację. Jak mogła być tak naiwna, by sądzić, że powitają ją z otwartymi ramionami? Jest przecież kryminalistką.

„Poświęcili ci cały artykuł w filadelfijskiej „Daily News”. Więc do diabła z Filadelfią” - powiedziała sobie. Pozostała tu wprawdzie jeszcze jedna sprawa do

załatwienia, ale potem ucieknie stąd. Wyjedzie do Nowego Jorku, gdzie nikt jej nie zna. Ta decyzja uspokoiła ją.

Wieczorem wybrała się na obiad do „Café Royal”. Po nie najprzyjemniejszych porannych przeżyciach z Clarence’em Desmondem miała ochotę na uspokajającą atmosferę łagodnych świateł, eleganckiego otoczenia, spokojnej, kojącej muzyki. Zamówiła wódkę Martini, ale gdy kelner przyniósł ją do stolika, prawie podskoczyła i serce jej na moment zamarło. W ogrodzonej części restauracji, po drugiej stronie sali, siedział Charles z żoną. Jeszcze jej nie spostrzegli. Pod wpływem pierwszego impulsu chciała poderwać się i wyjść. W tej chwili nie czuła się na siłach, żeby stawić czoło Charlesowi, nie miała jeszcze okazji wprowadzić w życie swojego planu.

- Czy zamawia pani jeszcze coś? - zapytał główny kelner.

- Nie, poczekam. Dziękuję. - Musiała szybko się zdecydować co dalej: zostać czy wyjść.

Po raz drugi spojrzała na Charlesa i odniosła dziwne wrażenie: to było tak, jakby przyglądała się komuś obcemu. Widziała bladego, udętego, łysiejącego pana w średnim wieku, o zgarbionych plecach i twarzy, na której malowała się niewysłowiona nuda i senność. Aż trudno było uwierzyć, że kiedyś kochała tego człowieka, że spała z nim, że chciała spędzić całe życie u jego boku.

Popatrzyła na jego żonę. Na jej twarzy można było odczytać to samo: nudę i senność. Oboje wydawali się przeżywać jakąś upiorną mękę, niby zasuszone mumie na wieki uwięzione w pułapce czasu. Po prostu siedzieli tam bez słowa, nieruchomo. Tracy wyobraziła sobie długie, beznadziejne lata, które ich czekały. Bez miłości. Bez radości. „To właśnie jest kara dla Charlesa” - pomyślała i poczuła przypływ jakiegoś spokoju, jakby ogromne, ciężkie okowy, które dotychczas dźwigała, spadły nagle.

Dała znak kierownikowi sali i powiedziała: - Poproszę o kartę.

Wreszcie nadszedł koniec. Przeszłość została pogrzebana;

Tego wieczoru, po powrocie do hotelu, Tracy przypomniała sobie, że należą się jej pieniądze z funduszu pracowniczego banku. Usiadła i podliczyła tę sumę. Wypadło 1375,65 dolarów.

Napisała list do Clarence’a Desmonda, a w dwa dni później otrzymała odpowiedź.

Droga panno Whitney.

W związku z pani listem pan Desmond polecił mi poinformować panią, że w wyniku procedury bankowej określonej w finansowym planie pracowniczym pani udział z powodów moralnych został włączony do generalnego funduszu rezerw. Wiceprezes pragnie zapewnić panią, że nie żywi do niej żadnej osobistej urazy.

Z poważaniem Mae Trenton

Sekretariat wiceprezesa banku

Tracy nie mogła uwierzyć: oni kradli jej pieniądze i robili to pod pretekstem ochrony moralności banku! Poczula się urażona. „Nie pozwolę im na to oszustwo! Już nikt więcej nie będzie mnie oszukiwał”.

Znowu stała przed dobrze sobie znanym wejściem do Filadelfijskiego Banku Pewności i Zaufania. Miała teraz na sobie długą, czarną perukę i gruby, ciemny makijaż ze świeżą, czerwoną blizną na policzku. Jeśli coś się nie uda - zapamiętają przede wszystkim bliznę. Mimo przebrania czuła się jak naga, przecież pracowała w tym banku przez pięć lat i pełno tu było ludzi, którzy ją dobrze znali. Musi bardzo uważać, żeby się nie zdradzić.

Wyjęła z torebki nakrętkę do butelki, włożyła ją do buta i pokuśtykała do banku. Celowo wybrała godzinę, o której w banku było pełno klientów; w ten sposób nie rzucała się w oczy. Podeszła do jednego z okienek. Kasjer przerwał na jej widok rozmowę telefoniczną i zapytał:

- Słucham?

To był John Creighton, stary kawaler. Nienawidził Żydów, Murzynów i Portorykańczyków, ale niekoniecznie w tej kolejności. Za czasów Tracy był wiecznie zirytowany i niezadowolony. Teraz nie wyglądało na to, że ją rozpoznał.

- *Buenos días, señor.* Chciałabym otworzyć sobie konto, *ahora*, w tym banku. - Mówiła z meksykańskim akcentem, którego nauczyła się od Paulity. Przez cały czas pobytu w celi rozbrzmiewał on codziennie w jej uszach.

- Nazwisko? - Twarz Creightona wykrzywiła się w pogardliwym grymasie.

- Rita Gonzales.

- A jaką sumę deponuje pani na swoim koncie?

- Dziesięć dolarów.

- Wpłaca pani czekiem czy gotówką? - W głosie Creightona brzmiała kpina.

- Płacę pieniądze.

Z namaszczeniem wyjęła z portmonetki pomięty, prawie podarty banknot dziesięciodolarowy i wręczyła go kasjerowi. Podsunął w jej stronę biały formularz.

- Proszę to wypełnić.

Tracy nie miała zamiaru niczego wypełniać - zdradziłby ją charakter pisma. Zmarszczyła brwi.

- Przepraszam, *señor*. Skaleczyłam się w rękę - *mi mano* - w wypadku. Pan taki dobry - sam pan wypisze, *si se puede*.

Creighton prychnął: „Te niepiśmienne śmierdzie!”

- Rita Gonzales?

- *Si*.

- A adres?

Podawała mu adres i numer telefonu swojego hotelu.

- Nazwisko panięńskie matki?

- Gonzales. Moja mama wyszła za wujka.

- Pani data urodzenia?

- 20 grudzień 1958.

- Miejsce urodzenia?

- Ciudad de Mexico.

- Mexico City. Proszę tutaj podpisać.

- Będę musiała lewą ręką - odrzekła. Wzięła długopis i niezdarnie nabazgrała nieczytelny podpis.

- Wydam pani tymczasową książeczkę czekową. Drukowane czeki wyślemy za trzy, do czterech tygodni.

- *Bueno. Muchas gracias, señor*.

- Tak.

Przyglądał się jak wychodziła z banku. „Zasrane śmierdzie!”.

Istnieje wiele sposobów nielegalnego podłączenia się do komputera bankowego, a Tracy знаła je wszystkie. Przecież sama pomagała w instalowaniu systemu zabezpieczenia Filadelfijskiego Banku Pewności i Zaufania. Teraz stanęła przed koniecznością złamania go.

Następny etap polegał na znalezieniu sklepu komputerowego, gdzie mogłaby, korzystając z terminalu, uzyskać połączenie z komputerem bankowym. Sklep, który znalazła niezbyt daleko od banku, był prawie pusty.

Uczynny sprzedawca pojawił się od razu.

- Czy mogę w czymś pomóc, *miss*?

- *Eso si que no, señor*. Chcę się tylko rozejrzeć.

Zauważył jakiegoś nastolatka - entuzjastę gier komputerowych. - Przepraszam - powiedział i zajął się nim.

Tracy podeszła do stojącego obok biurowego komputera, podłączonego do gniazdka telefonicznego. Samo połączenie z systemem nie jest rzeczą trudną, ale nie znając właściwego kodu autoryzacji, nie mogła przeprowadzić operacji, a kod zmieniał się codziennie. Tracy brała udział w zebraniu, na którym ustalono system zmian.

- Kod musi być zmieniany - mówił Desmond - ale jednocześnie zmiany nie mogą być zbyt skomplikowane, żebyśmy my, uprawnieni, nie mieli kłopotów.

Kod, na który się w końcu zdecydowali, wykorzystywał jedną z czterech pór roku i aktualną datę dnia.

Tracy siadła przed terminalem i wystukała numer kodowy Filadelfijskiego Banku Pewności i Zaufania. Usłyszała wysoki dźwięk i podłączyła monitor do modemu. Na małym ekranie rozjarzył się napis:

KOD AUTORYZACJI?

Był dziesiąty.

JESIEŃ 10 - wystukała Tracy.

NIEPRAWIDŁOWY KOD AUTORYZACJI

Wszystkie napisy zniknęły z ekranu komputera.

„A więc zmienili kod”. Kącikiem oka zauważyła zbliżającego się sprzedawcę. Podeszła do innego komputera, obejrzała go od niechcienia i udała się na drugi koniec sali. Sprzedawca zatrzymał się. Zaklasyfikował ją jako klientkę niewartą zachodu. „Nic nie kupi” - pomyślał. Odwrócił się do drzwi, aby przywitać elegancką parę, rokującą większe nadzieje. Tracy powróciła do komputera biurowego.

Spróbowała postawić się w roli Clarence'a Desmonda. Był tradycjonalistą i Tracy mogła przysiąc, że nie zmienił kodu zbyt znacznie. Prawdopodobnie zachował pierwotną koncepcję pór roku i dni, ale jakoś je poprzestawiał. Odwracanie kolejności liczb byłoby zbyt skomplikowane, więc prawdopodobnie pozamieniał pory roku.

Tracy spróbowała znowu.

**KOD AUTORYZACJI?
ZI MA 10
NIEPRAWIDŁOWY KOD AUTORYZACJI**

I znowu pusty ekran. „Chyba nic z tego nie wyjdzie - pomyślała zrozpaczona Tracy. - Spróbuję ostatni raz”.

**KOD AUTORYZACJI?
WIOSNA 10**

Na chwilę wszystko zniknęło z ekranu, a potem pojawił się napis:

PROSZĘ KONTYNUOWAĆ

A więc Desmond rzeczywiście pozamieniał pory roku. Tracy szybko wystukała:

KRAJOWA TRANSAKCJA GOTÓWKOWA

Natychmiast ukazało się bankowe menu, obejmujące wszystkie dostępne operacje:

CZY CHCESZ

- A ZDEPONOWAĆ PIENIĄDZE**
- B WPLACIĆ PIENIĄDZE NA KONTO**
- C WYCOFAĆ PIENIĄDZE Z KONTA OSZCZĘDNOŚCIOWEGO**
- D PRZESŁAĆ PIENIĄDZE DO INNEGO ODDZIAŁU BANKU**
- E WYCOFAĆ PIENIĄDZE Z KONTA BIEŻĄCEGO PROSZĘ
PODAĆ SWÓJ WYBÓR**

Tracy wybrała B. Na ekranie ukazała się nowa lista możliwości.

**SUMA DO PRZESŁANIA
NA JAKIE KONTO?
Z JAKIEGO KONTA?**

Tracy wystukała:

Z GENERALNEGO FUNDUSZU REZERW NA KONTO RITY GONZALES

Przy podawaniu sumy zawahała się na chwilę. „Kuszące” pomyślała. Mogła przekazać miliony. Ale nie była złodziejką, chciała tylko odzyskać to, co się jej należało.

1375,65 - wpisała i podała numer konta Rity Gonzales. Ekran odpowiedział:

**TRANSAKCJA DOKONANA, CZY BĘDZIE NASTĘPNA
TRANSAKCJA?**

NIE

KONIEC POŁĄCZENIA. DZIĘKUJĘ

Automatyczny przelew gotówki dokonał się za pośrednictwem CHIPS - Systemu Nadzorowania Rozliczeń i Transakcji Gotówkowych. Za jego pomocą codziennie 220 miliardów dolarów zmieniało właściciela.

Znowu zbliżył się sprzedawca; jego mina nie wróżyła nic dobrego. Tracy pospiesznie nacisnęła klawisz tak, że napisy zniknęły z ekranu komputera.

- Czy interesuje panią zakupienie tej maszyny?

- Nie, *gracias* - wytłumaczyła się - nie znam się na tych komputerach.

Znalazła aparat telefoniczny w drogerii i zadzwoniła do naczelnego kasjera w banku.

- *Hola*. Tu mówi Rita Gonzales. Chcę przenieść moje konto do głównego oddziału First Hanover Bank w Nowym Jorku, *por favor*.

- Pani numer konta, pani Gonzales? Tracy podała numer.

W godzinę później wyprowadziła się z „Hiltona” i wyruszyła do Nowego Jorku.

O 10.00 następnego dnia, gdy otwarto First Hanover Bank w Nowym Jorku, Rita Gonzales udała się tam, aby wycofać ze swojego konta całą sumę.

- Ile tego jest? - zapytała. Kasjer sprawdził.

- Tysiąc trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów i sześćdziesiąt pięć centów.

- *Si*, to się zgadza.

- Czy wydać pani uwierzytelniony czek na tę sumę, pani Gonzales?
- Nie, *gracias* - odparła Tracy. - Nie dowierzam tym bankom. Wezmę gotówkę.

Przy zwolnieniu z więzienia Tracy otrzymała dwieście dolarów oraz niewielką kwotę, którą zarobiła, zajmując się Amy. Wszystko to, razem z pieniędzmi odzyskami z konta bankowego, nie stanowiło wystarczającego zabezpieczenia. Koniecznie musiała jak najszybciej zdobyć pracę.

Przeniosła się do niedrogiego hotelu w Lexington Avenue i zaczęła wysyłać oferty do nowojorskich banków. Oferowała w nich swoje usługi jako ekspert komputerowy. Ale wkrótce zorientowała się, że to właśnie komputer był jej największym wrogiem. Odebrał jej anonimowość. Komputerowe banki informacji przechowywały historię Tracy i ochoczo opowiadały ją każdemu, kto nacisnął odpowiednie guziki. W momencie gdy jej kryminalna przeszłość zostawała ujawniona, podanie automatycznie odrzucano.

„Nie wydaje mi się, by z taką przeszłością znalazła pani gdziekolwiek bank, gotów panią przyjąć”. Clarence Desmond miał rację.

Tracy wysłała oferty do towarzystw ubezpieczeniowych i dziesiątków innych przedsiębiorstw korzystających z komputerów. Odpowiedź była niezmiennie ta sama: odmowa.

„Dobrze więc - pomyślała Tracy - przecież mogę robić coś innego”. Kupiła „New York Times” i zaczęła przeglądać rubryki ogłoszeniowe.

Pewna firma handlowa poszukiwała sekretarki. Lecz gdy tylko Tracy weszła do pokoju, kierownik, z którym miała rozmawiać, zauważył:

- Hej, widziałem cię w telewizji. Uratowałaś dziecko w więzieniu, prawda?
- Odwróciła się i uciekła.

Następnego dnia pracowała już jako sprzedawczyni w dziale dziecięcym supermarketu Saks Fifth Avenue. Wynagrodzenie było znacznie skromniejsze niż to, do którego była przyzwyczajona, ale przynajmniej starczało na skromne utrzymanie. W drugim dniu jej pracy jakaś klientka-histeryczka rozpoznała ją i poinformowała kierownika piętra, że nie chce być obsługiwana przez morderczynię, która utopiła dziecko. Tracy nie pozwolono na wyjaśnienia. Zwolniono ją natychmiast.

Miała wrażenie, że ludzie, na których wywarła już zemstę, pokonali ją jednak. Zrobili z niej odtrąconą przez społeczeństwo kryminalistkę. Poczucie krzywdy i niesprawiedliwości sprawiało jej ból. Nie miała pojęcia, jak dalej żyć i po raz pierwszy

ogarnęła ją rozpacz. Wieczorem zajrzała do portmonetki, aby przeliczyć resztę pieniędzy i gdzieś w zakamarku torebki odnalazła wymiętą kartkę, którą dała jej kiedyś w więzieniu Betty Franciscus.

Conrad Morgan, jubiler, 640 Fifth Avenue, New York City.

„On jest za reformą więziennictwa. Pomaga ludziom, którzy wyszli z więzienia”.

„Conrad Morgan et Cie Jewellers” był eleganckim salonem jubilerskim, przed drzwiami którego stał szwajcar w liberii, a wewnątrz pilnował porządku uzbrojony strażnik. Wnętrze sklepu urządzone było skromnie, choć gustownie, za to klejnoty były wspaniałe i bardzo cenne.

- Chciałabym się widzieć z panem Conradem Morganem - oznajmiła Tracy recepcjonistce.

- Czy jest pani umówiona?

- Nie, skierowała mnie do niego nasza wspólna znajoma.

- Jak się pani nazywa?

- Tracy Whitney.

- Proszę chwileczkę poczekać.

Recepcjonistka podniosła słuchawkę telefonu i cichym głosem powiedziała coś, czego Tracy nie zrozumiała. Odłożyła słuchawkę.

- Pan Morgan jest teraz bardzo zajęty. Gdyby pani była łaskawa przyjść o szóstej...

- Dobrze, dziękuję - odparła Tracy.

Wyszła ze sklepu i przystanęła, pełna wahania, na chodniku. Chyba popełniła błąd przyjeżdżając do Nowego Jorku. Conrad Morgan prawdopodobnie nic dla niej nie zrobi. Niby dlaczego miałby jej pomagać? Była mu przecież zupełnie obca.

„Wciśnie mi umoralniającą pogadankę i może jakąś niewielką zapomogę. Nie potrzebuję ani jednego, ani drugiego. Od nikogo. Przecież przeżyłam coś okropnego. Jakoś sobie poradzę. Do diabła z Conradem Morganem. Już tam nie wrócę”.

Tracy wędrowała po ulicach bez celu, obok migających neonów na Fifth Avenue, strzeżonych apartamentów Park Avenue, tętniących życiem sklepów na Lexington i Third. Bezmyślnie włóczyła się ulicami Nowego Jorku, wbijając w chodnik niewidzące oczy, przepełnione goryczą beznadziei.

O szóstej znalazła się z powrotem na Fifth Avenue, przed wystawą sklepu „Conrad Morgan et Cie Jewellers”. Odźwierny już sobie poszedł, a drzwi były zamknięte. Tracy załomotała do nich, po czym odwróciła się, aby odejść. Ku jej zdziwieniu drzwi otworzyły się. Stał w nich człowiek o powierzchowności dobrego wujaszka i przyglądał się jej uważnie. Był łyсы, tylko nad uszami zwisały mu postrzępione resztki siwych włosów, miał uśmiechniętą, okrągłą twarz i błyszczące, niebieskie oczy. Wyglądał jak wesoły, mały gnom.

- Panna Whitney zapewne?

- Tak...

- Jestem Conrad Morgan. Proszę, niech pani wejdzie. Tracy wkroczyła do pustego sklepu.

- Czekałem na panią - zauważył Conrad Morgan. - Chodźmy do mojego biura, tam porozmawiamy.

Poprowadził ją przez sklep do zamkniętych drzwi, które otworzył kluczem. Jego biuro było elegancko urządzone i przypominało raczej pokój mieszkalny niż miejsce pracy. Nie było tam biurka, tylko tapczany, krzesła i stoły, rozmieszczone w sposób świadczący o dużym poczuciu estetyki. Ściany zdobiły stare obrazy.

- Zrobić pani drinka? - spytał Conrad Morgan. - Whisky, koniak, może sherry?

- Nie, dziękuję, nic.

Tracy była zdenerwowana. Już prawie pogodziła się z myślą, że ten człowiek w niczym jej nie pomoże, ale jednak jakaś desperacka nadzieja kazała jej wierzyć, że będzie inaczej.

- Betty Franciscus doradziła mi spotkanie z panem, panie Morgan. Powiedziała, że... że pan udziela pomocy ludziom, którzy byli w... kłopotach. - Słowo *więzienie* jakoś nie chciało przejść przez jej gardło.

Conrad Morgan klasnął w ręce, a Tracy ujrzała pięknie zadbane paznokcie.

- Biedna Betty. Taka cudowna dziewczyna. Ale miała pecha, wie pani?

- Pecha?

- Tak. Złapano ją.

- Nie... rozumiem.

- To bardzo proste, panno Whitney, Betty pracowała dla mnie. Miała dobrą ochronę. Ale potem biedna, mała Betty zakochała się w szoferze z Nowego Orleanu i opuściła mnie. Wtedy właśnie ją złapali.

Tracy niezupełnie zrozumiała.

- Czy ona... pracowała tutaj jako sprzedawczyni?

Conrad Morgan usiadł i wybuchnął śmiechem, aż oczy zaszyły mu łzami.

- Nie, moja droga - wykrztusił śmiejąc się i jednocześnie ocierając łzy. - Bez wątpienia Betty nie wyjaśniła pani wszystkiego. - Pochylił się w krzesło i złożył ręce jak do modlitwy. - Prowadzę tutaj bardzo intratny interes, panno Whitney, i z wielką przyjemnością dzielę się zyskami z przyjaciółmi. Bardzo wiele korzyści przyniosło mi zatrudnianie ludzi takich jak pani, którzy - proszę o wybaczenie - odsiedzieli swoje w więzieniu.

Tracy przyglądała mu się, coraz bardziej zaintrygowana.

- Widzi pani, znajduję się w dosyć szczególnym położeniu. Mam niezwykle zamożnych klientów, którzy przyjaźnią się ze mną i obdarzają mnie zaufaniem. - Delikatnie bębnił palcami po stole. - Wiem, kiedy moi klienci wyjeżdżają z domów. W dzisiejszych niebezpiecznych czasach bardzo niewielu ludzi zabiera w podróż swą biżuterię, więc można na ogół założyć, że trzymają ją w domu. Zalecam im środki ostrożności, które powinni podjąć dla jej ochrony. Wiem dokładnie, jakie klejnoty posiadają, bo zakupili je u mnie. Oni...

Tracy zerwała się na równe nogi.

- Przepraszam za stracony czas, panie Morgan.

- Już pani mnie opuszcza?

- Jeśli myśli pan o tym, o czym ja myślę...

- Tak. Rzeczywiście o to właśnie chodzi. Policzki Tracy płonęły.

- Nie jestem kryminalistką. Przyszłam tutaj w poszukiwaniu pracy.

- A ja ją pani oferuję, moja droga. Zabierze to pani godzinę, może dwie, a w zamian obiecuję dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. - Roześmiał się arogancko. - Wolne od podatku, ma się rozumieć.

Tracy ciężko zmagala się z ogarniającym ją gniewem.

- Tego rodzaju oferta mnie nie interesuje. Czy mógłby mnie pan wyprowadzić?

- Oczywiście, jeśli pani sobie tego życzy... Poderwała się z krzesła i odprowadził ją do drzwi.

- Proszę zrozumieć, panno Whitney, że gdyby istniało najmniejsze niebezpieczeństwo wpadki, nigdy nie zawracałbym sobie tym głowy. To sprawa mojej reputacji.

- Obiecuję panu, że nikomu nie powtórzę naszej rozmowy - odpowiedziała Tracy chłodno.

- Naprawdę nie ma pani wiele do powtarzania, moja droga. - Znowu się roześmiał. - Przecież nikt by pani nie uwierzył. Ja jestem Conrad Morgan.

Przy drzwiach wejściowych Morgan przystanął.

- Gdyby pani zmieniła zdanie, proszę mnie powiadomić, dobrze? Najłatwiej jest mnie zastać w domu wieczorem, po szóstej. Będę czekał na telefon.

- Lepiej nie - rzuciła Tracy oschle i wyszła w mrok ulicy. Drżenie nie opuszczało jej nawet, gdy znalazła się w hotelu.

Wysłała chłopca hotelowego po kanapkę i kawę. Nie miała już ochoty z nikim rozmawiać. Spotkanie z Conradem Morganem napełniło ją uczuciem wstydu. Uważała ją za część tego brudnego, ponurego, przegranego świata kryminalistów, który otaczał ją w Zakładzie Penitencjarnym dla Kobiet. A ona do niego nie należy. Jest przyzwoitą, przestrzegającą prawa obywatelką, ekspertem komputerowym.

„Którego nikt nie zatrudni...”

Noc spędziła bezsennie, rozmyślając o swojej przyszłości. Nie miała pracy, a pieniędzy zostało bardzo niewiele. Podjęła dwie decyzje: rano przeprowadzi się do tańszego hotelu i poszuka pracy. Wszystko jedno jakiej.

Tańszy hotel okazał się przerażającą, obskurną, jednopokojową norą na czwartym piętrze, bez windy, przy Lower East Side. Gdy siedziała w pokoju, przez cienkie ściany dobiegały ją obcojęzyczne wrzaski sąsiadów. Okna i drzwi małych okolicznych sklepików były dobrze zamknięte i zabezpieczone, nietrudno zgadnąć dlaczego. Wyglądało na to, że w sąsiedztwie mieszkali wyłącznie pijacy, prostytutki i podejrzane typy. W drodze po zakupy była trzykrotnie zaczepiana - dwa razy przez mężczyzn i raz przez kobietę.

„Jakoś wytrzymam. Nie zostanę tu przecież długo” - powtarzała sobie Tracy.

Odwiedziła małe biuro pośrednictwa pracy położone w pobliżu hotelu. Prowadziła je niejaka pani Murphy - potężnie zbudowana dama o wyglądzie więziennej matrony. Przeczytała wypełniony przez Tracy kwestionariusz i przyjrzała się jej uważnie.

- Nie rozumiem, dlaczego pani do mnie przyszła. Co najmniej tuzin firm bije się codziennie o kogoś takiego jak pani.

Tracy westchnęła.

- A ja jednak mam trudności - powiedziała. Zreferowała dokładnie swoją sytuację. Pani Murphy wysłuchiwała cierpliwie. Gdy Tracy skończyła, oświadczyła prosto z mostu:

- Nie ma co liczyć na pracę przy komputerze.

- Ale pani powiedziała...

- W obecnych czasach nie zatrudni pani żadna firma. Boją się oszustw komputerowych. Nie przyjmą nikogo z kryminalną przeszłością.

- Ale ja *muszę* pracować. Ja...

- Są inne zawody. Czy myślała pani o pracy sprzedawczyni? Tracy przypomniała sobie scenę w supermarkecie. Wolała nie narażać się ponownie na takie upokorzenie.

- Może znalazłaby pani coś innego?

Kobieta zawahała się. Praca, którą miała na myśli, na pewno nie nadawała się dla Tracy Whitney.

- Właściwie - powiedziała - choć wiem, że nie będzie to pani odpowiadać, ale jest wolne miejsce dla kelnerki w „Jackson Hole”. To bar hamburgerowy na Upper East Side.

- Praca kelnerki?

- Tak. Jeśli pani to odpowiada, to nie będę od pani brać żadnej opłaty. Po prostu słyszałam o tym.

Tracy siedziała namyślając się. Była już kelnerką w college’u. Wtedy traktowała to jako zabawę. Teraz była to sprawa życia i śmierci.

- Spróbuję - zdecydowała się.

„Jackson Hole”, pełen krzykliwych, niecierpliwych klientów i sfrustrowanych, nerwowych kucharzy, przypominał dom wariatów. Posiłki były smaczne, ceny przystępne i lokal nie narzekał na brak powodzenia. Kelnerki uwijały się jak w ukropie, nie mając chwili wytchnienia. Już pod koniec pierwszego dnia Tracy ledwo trzymała się na nogach. Ale zarabiała pieniądze.

Na drugi dzień, koło południa, gdy obsługiwała stolik jakichś handlowców, jeden z mężczyzn wsunął jej rękę pod spódnicę, a Tracy upuściła wazę z chili na jego głowę. Została natychmiast zwolniona.

Wróciła do pani Murphy i opowiedziała jej o wszystkim.

- Może da się coś wykombinować - powiedziała pani Murphy. - „Wellington Arms” potrzebuje kogoś do obsługi gości. Niech pani do nich zajrzy.

„Wellington Arms” był małym, eleganckim hotelem na Park Avenue, schronieniem bogatych i sławnych ludzi. Po rozmowie z szefem personelu Tracy została przyjęta. Praca nie była uciążliwa, personel raczej uprzejmy, a godziny urzędowania dość przyzwoite.

Po tygodniu wezwano ją do biura kierownika personelu. Siedział tam także zastępca dyrektora.

- Czy sprawdzała pani dzisiaj apartament osiemset dwadzieścia siedem? - spytał Tracy kierownik personelu. Apartament ten zajmowała Jennifer Marlowe, aktorka z Hollywood. Do obowiązków Tracy należało sprawdzenie, czy pokojówki utrzymują wszystkie apartamenty w należytej czystości.

- Tak, oczywiście - odparła. - O której godzinie?

- O drugiej. Czy coś się stało?

- O trzeciej panna Marlowe wróciła do pokoju i zauważyła zniknięcie pierścionka z diamentem wielkiej wartości - odezwał się zastępca dyrektora hotelu.

Tracy poczuła pierwsze oznaki zdenerwowania.

- Czy zaglądała pani do sypialni, Tracy?

- Tak. Sprawdzałam wszystkie pokoje.

- Czy zauważyła pani w sypialni jakieś klejnoty?

- Chyba nie. Nie sądzę.

Jej odpowiedź nie zadowoliła zastępcy dyrektora.

- Nie sądzi pani? Czy to znaczy, że nie jest pani pewna?

- Nie szukałam klejnotów - odparła z wahaniem. - Sprawdzałam łóżka i ręczniki.

- Panna Marlowe twierdzi, że jej pierścionek leżał na nocnym stoliku w chwili, gdy opuszczała pokój.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Nikt więcej nie ma dostępu do tego pokoju. Pokojówki pracują tutaj od wielu lat.

- Ja nie zabrałam pierścionka.

- Będziemy musieli wezwać policję, żeby przeprowadziła śledztwo - westchnął zastępca dyrektora.

- To musiał być ktoś inny - krzyknęła Tracy. - Albo może panna Marlowe położyła pierścionek gdzieś indziej.

- Biorąc pod uwagę pani przeszłość... I znowu to samo. „Pani przeszłość...”

- Poproszę panią o pozostanie w swoim biurze do czasu przybycia policji.

- Dobrze, proszę pana. - Tracy zaczerwieniła się po same uszy. Jeden ze strażników odprowadził ją do pokoju i znowu poczuła się jak w więzieniu. Czytała kiedyś o ludziach zwolnionych z więzienia i prześladowanych z powodu swojej przeszłości, ale nigdy nie sądziła, że może się to przytrafić właśnie jej. Przykleili jej etykietkę i sądzili, że się do niej przyzwyczajai. „Raczej umrę” - pomyślała gorzko Tracy.

Pół godziny później zastępca dyrektora wkroczył do biura z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Wszystko w porządku - powiedział - panna Marlowe odnalazła swój pierścionek. Położyła go w innym miejscu. To była tylko drobna pomyłka.

- Doskonale - odparła Tracy.

Wyszła z biura i pospieszyła na Fifth Avenue, w kierunku „Conrad Morgan et Cie Jewellers”.

- To śmiesznie łatwe - mówił Conrad Morgan. - Jedna z moich klientek, Lois Bellamy, wyjechała do Europy. Ma dom przy Sea Cliff, na Long Island. W czasie weekendów służba idzie do domów, więc nikogo tam nie ma. Prywatny patrol robi obchód co cztery godziny. Można wejść i wyjść z domu w ciągu kilku minut.

Siedzieli w biurze Conrada Morgana.

- Znam system alarmowy i szyfr otwierający sejf. Pozostaje ci tylko, moja droga, wejść, pozbierać klejnoty i wyjść. Zawiezie je pani do mnie, a ja wyjmę je z oprawy, większe trochę przeszlifuję i sprzedam po raz drugi.

Jeśli to takie proste, dlaczego pan sam tego nie zrobi? - zapytała otwarcie Tracy.

Niebieskie oczy Morganą rozblęły.

- Dlatego, że zamierzam wyjechać z miasta w interesach. Zawsze w takich wypadkach wyjeżdżam w interesach.

- Rozumiem.

- Jeśli ma pani jakieś skrupuły, rabując panią Bellamy, to są one bezpodstawne. To niesamowita kobieta, niesłychanie bogata, posiadająca na całym świecie domy, pełne kosztowności. Poza tym jest ubezpieczona na podwójną wartość tych klejnotów. Sprawdziłem to bardzo dokładnie.

Tracy zamyśliła się. „Chyba postradałam zmysły. Siedzę tu i spokojnie dyskutuję z tym człowiekiem o rabunku klejnotów”.

- Nie chcę wrócić do więzienia, panie Morgan.

- To nie wchodzi w rachubę. Jeszcze nikt z moich ludzi nie został złapany. Przynajmniej wówczas, gdy dla mnie pracowali. No więc... co pani na to?

To było oczywiste. Trzeba powiedzieć „nie”. Cała ta impreza nie na najmniejszego sensu.

- Mówi pan, dwadzieścia pięć tysięcy dolarów?

- Gotówką przy odbiorze.

To była fortuna wystarczająca na utrzymanie przez długi czas, póki nie postanowi, jak dalej żyć. Pomyślała o przerażającej norze, w której mieszkała, o hałaśliwych lokatorach, o klientach wrzeszczących: „Nie chcę być obsługiwana przez morderczynię” i zastępcach dyrektorów mówiących: „Proszę panią o pozostanie w biurze do czasu przybycia policji”. Ale jakoś nie mogła przełamać się i powiedzieć „tak”.

- Proponowałbym tę sobotnią noc - powiedział Conrad Morgan. - W soboty służba wychodzi o dwunastej w południe. Załatwię pani prawo jazdy i kartę kredytową wystawioną na fikcyjne nazwisko. Wypożyczy pani samochód tutaj, na Manhattanie, i pojedzie na Long Island. Dojedzie pani tam o jedenastej.

Zabierze pani klejnoty, powróci do Nowego Jorku i zwróci samochód. Umie pani prowadzić, prawda?

- Tak.

- Wspaniale. Pociąg do St. Louis odjeżdża o 7.45. Zarezerwuję dla pani przedział. Spotkamy się na dworcu w St. Louis, pani zwróci mi klejnoty, a ja wręczę pani dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

W jego ustach brzmiało to dziecinnie prosto.

To jest właściwy moment, żeby powiedzieć „nie”, wstać i wyjść. „Wyjść? Dokąd?”

- Będę potrzebowała peruki blond - powoli wyszeptała Tracy.

Conrad Morgan długo siedział samotnie w swoim biurze, rozmyślając o Tracy. Piękna kobieta. Naprawdę piękna. To wstyd. Może powinien był ostrzec ją, że właśnie ten system alarmowy nie był do końca rozpracowany.

Mając tysiąc dolarów zaliczki Conrada Morgana, Tracy kupiła dwie peruki: jedną blond, a drugą czarną, z mnóstwem cieniutkich warkoczyków. Kupiła także ciemnoniebieski kombinezon - koszulę i spodnie, czarny płaszcz i dużą walizkę, dość dobrą imitację walizek firmy Gucci - od ulicznego sprzedawcy na Lexington Avenue. Do tej pory wszystko przebiegało zgodnie z planem. Conrad Morgan zgodnie z umową wręczył jej kopertę zawierającą prawo jazdy na nazwisko Ellen Branch, schemat systemu alarmowego w domu Bellamy, karteczkę z szyfrem otwierającym sejf i bilet Amtrak na pociąg do St. Louis, z rezerwacją przedziału. Tracy zapakowała swój skromny dobytek i wyjechała. „Już nigdy nie będę szukała takiej pracy” - obiecywała sobie. Wypożyczyła samochód i wyruszyła na Long Island. Jechała obrabować dom.

To co robiła, wydawało się nierealne jak sen. Była przerażona. Co się stanie, jeśli ją złapią? Czy naprawdę pieniądze warte są takiego ryzyka?

„To śmiesznie proste” - powtarzał Conrad Morgan.

„Przecież nie zajmowałby się czymś takim, gdyby nie był pewny. Musi dbać o swoją opinię. Ja też mam opinię” - pomyślała Tracy gorzko - tylko że moja jest gorsza. Każdy człowiek, który zgubi pierścionek, może bezkarnie mnie oskarżać, a ja muszę udowodniać swoją niewinność”.

Tracy wiedziała co robi - starała się wzbudzić w sobie gniew, zahipnotyzować się nim tak, żeby popełnić przestępstwo bez skrępowań. Ale to się nie udało. Do Sea Cliff przybyła w stanie kompletnego rozstroju nerwowego, dwa razy chciała już zjechać samochodem z drogi. „Może policja zatrzyma mnie za niebezpieczną jazdę - pomyślała z nadzieją - wtedy wrócę i powiem Morganowi, że się nie udało”.

Ale w pobliżu nie było policji. „Jak zawsze - myślała dalej - nigdy nie ma ich tam, gdzie są potrzebni”.

Jechała w kierunku Long Island South, zgodnie ze wskazówkami Conrada Morgana. „Dom stoi tuż nad wodą. Willa nazywa się „Popielisko”, to stary wiktoriański dworek. Nie można go przegapić”.

„Boże, pozwól mi go przegapić” - modliła się Tracy.

Ale stał tam, widniejąc w ciemności, jak upiorny zamek w koszmarnym śnie. Wydawał się opuszczony. „Jakim prawem służba opuszcza pracę w weekendy” - myślała gniewnie Tracy. - Przecież Bellamy powinna ich wyrzucić”.

Wjechała samochodem za rząd wielkich wierzb, które zasłaniały go od strony drogi i wyłączyła silnik, nasłuchując nocnego cykania owadów. Nic więcej nie zakłócało ciszy. Dom położony był z dala od głównej drogi, a o tej porze nocy nikt tędy nie przejeżdżał.

„Posiadłość jest osłonięta drzewami, moja droga, a najbliższy sąsiad mieszka w odległości kilku kilometrów, więc nie musi pani martwić się tym, że ktoś panią zobaczy. Patrol policyjny ma obchód o dziesiątej wieczorem, a potem o drugiej w nocy. Do tej pory dawno już pani stamtąd wyjedzie”.

Tracy spojrzała na zegarek, była jedenasta. Pierwszy patrol dawno już odjechał. Zostały trzy godziny do jego powrotu na następny obchód. Albo trzy sekundy na zawrócenie samochodem w przeciwną stronę, powrót do Nowego Jorku i zapomnienie o całej tej zwariowanej historii. Ale do *czego* ma wracać? Przed oczyma ujrzała znajome obrazy. Zastępca kierownika w Saks Fifth Avenue. „Ogromnie mi przykro, panno Whitney, ale życzenia klientów są dla mnie rozkazem...”

„Niech pani zapomni o pracy przy komputerze. Oni nigdy nie przyjmą kogoś z kryminalną przeszłością”.

„Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów wolnych od podatku za godzinę lub dwie. I proszę nie mieć skrupułów - ta Bellamy to bardzo bogata i arogancka kobieta.

„Co ja robię? - Tracy po raz setny zadawała to pytanie. - Przecież nie jestem złodziejką. To nie mój zawód. Jestem nędzną amatorką, która przeżywa właśnie rozstrój nerwowy.

Gdybym miała za grosz rozsądku, wiałabym stąd, póki jest to jeszcze możliwe. Zanim oddział policjantów otoczy mnie, rozpocznie się strzelanina i moje podziurawione kulami ciało zostanie odwiezione do kostnicy. Już widzę te nagłówki: NIEBEZPIECZNA KRYMINALISTKA ZASTRZELONA PODCZAS NIEUDOLNEJ PRÓBY NA RABUNKU KLEJNOTÓW”.

Kto zapłaci na jej pogrzebie? Ernestyna i Amy. Tracy znowu spojrzała na zegarek: „Och, mój Boże.” Siedziała tutaj, rozmyślając, przez dwadzieścia minut. „Jeśli ma się udać, to muszę się ruszać”.

Nie mogła się poruszać, sparaliżował ją strach. „Przecież nie mogę siedzieć tu całą wieczność” - powiedziała sobie. - Dlaczego nie miałabym wysiąść i obejrzeć sobie tego domu? Tylko obejrzeć”.

Tracy zrobiła głęboki wdech i wyszła z samochodu. Miała na sobie czarny płaszcz. Kolana drżały pod nią, a wraz z nimi całe ciało. Powoli zbliżyła się do domu pogrążonego w absolutnej ciemności.

„Trzeba koniecznie włożyć rękawiczki”.

Tracy sięgnęła do kieszeni i wyjęła rękawiczki, potem powoli włożyła je. „Boże, jednak to robię - pomyślała. - Naprawdę zabieram się do obrabowania domu”. Wszystkie dobiegające z zewnątrz dźwięki zagłuszało łomotanie jej serca.

„Alarm jest na lewo od drzwi wejściowych. Zobacz tam pani pięć guzików. Czerwone światło będzie zapalone, co oznacza, że alarm jest włączony. Można go wyłączyć, stosując kod cyfrowy trzy-dwa-cztery-jeden-jeden. Kiedy czerwona lampka zgaśnie, będzie to znaczyło, że system alarmowy został wyłączony. Ma pani tutaj klucz do drzwi wejściowych. Gdy już pani wejdzie, proszę dobrze zamknąć za sobą drzwi. Niech pani przyświeca sobie tą latarką. Nie wolno włączać żadnych świateł w domu, aby ktoś przejeżdżający nie zwrócił na to uwagi. Główna sypialnia jest na górze, po lewej stronie, jej okna wychodzą na zatokę. Sejf znajdzie pani za portretem Lois Bellamy. To bardzo prosty sejf. Wystarczy tylko wykręcić tę kombinację”.

Tracy stała jak wmurowana, roztrzęsiona, gotowa do ucieczki przy najslabszym szmerze. Cisza. Powoli wyciągnęła rękę i zaczęła wciskać guziki alarmowe, modląc się gorączkowo, aby sekwencja okazała się błędna. Czerwona lampka zgasła. Za chwilę nie będzie już odwrotu. Przypomniała sobie, że piloci samolotów mieli na to określenie: „punkt bez powrotu”.

Przekręciła klucz w zamku i drzwi otworzyły się. Odczekała pełną minutę, zanim weszła do środka. Każdy nerw jej ciała drżał z napięcia, gdy tak stała w drzwiach, nasłuchując i bojąc się poruszyć. Dom był uśpiony, jakby właściciele dawno go opuścili. Tracy wyjęła latarkę, zapaliła ją i zobaczył schody. Weszła na nie. Ze wszystkich sił pragnęła zakończyć tę sprawę jak najszybciej i uciekać.

Korytarz górnego piętra w blasku jej latarki wyglądał niesamowicie; poruszające się światło wywoływało wrażenie, jakby ściany przesuwwały się rytmicznie w przód i w tył. Tracy zaglądała do każdego pokoju, który mijiała. Wszystkie były puste.

Główna sypialnia znajdowała się na końcu korytarza, jej okna wychodziły na zatokę, dokładnie tak, jak to opisywał Morgan. Sypialnia była piękna, utrzymana w kolorze ciemnego różu. Znajdowało się w niej łóżko z baldachimem i komodą, ozdobioną ornamentem z róż. Były tam także dwie małe kanapki, kominek i stolik na

posiłki przed kominkiem. „Kiedyś niewiele brakowało, żebym zamieszkała w takim samym domu z Charlesem i moim dzieckiem” - pomyślała Tracy.

Podeszła do wielkiego okna i w oddali ujrzała łodzie zacumowane w zatoce. „Boże, powiedz mi, dlaczego wolą Twoją jest żeby Lois Bellamy mieszkała w tym pięknym domu i żebym ja przyjeżdżała tutaj, aby go obrabować? Już dobrze, dzieciaku - powiedziała sobie - przestań filozofować. To jest zadanie na jeden raz. Za parę minut będzie po wszystkim, chyba że będziesz stać tutaj i dalej mędrkować”.

Odwróciła się od okna i podeszła do portretu, który opisał jej Morgan. Lois Bellamy miała ostre, aroganckie spojrzenie. „To prawda. Wygląda na okropną kobietę”. Odchyliła obraz i znalazła za nim mały sejf. Znała na pamięć kombinację. „Trzy obroty w prawo, zatrzymać na czterdziestcedwójce. Dwa obroty w lewo, zatrzymać na dziesiątce. Jeden obrót w prawo, zatrzymać na trzydziestce”. Drżące ręce odmówiły jej posłuszeństwa i musiała zaczynać od nowa. Wreszcie usłyszała szcęk. Drzwi były otwarte.

Sejf pełen był grubych kopert i papierów, ale Tracy zignorowała je. Z tyłu, na małej półce leżała irchowa torba z biżuterią. Tracy sięgnęła po nią i zgarnęła z półki. W tej samej chwili rozległ się alarm; był to chyba najgłośniejszy dźwięk, jaki Tracy słyszała w życiu, wydawał się wydobywać z każdego kąta pokoju, zwielokrotniany przez ściany. Tracy stała jak sparaliżowana, niezdolna do żadnego ruchu.

„Jaki błąd popełniłam? Czy Conrad Morgan nie wiedział o dodatkowym alarmie wewnątrz sejfu, włączającym się przy poruszeniu klejnotów?”

Musiała natychmiast uciekać. Wepchnęła torbę z irchy do kieszeni i zaczęła zbiegać po schodach. Wtedy właśnie ponad dzwonkiem alarmowym usłyszała inny dźwięk, odgłos zbliżającej się syreny. Zatrzymała się na szczycie schodów przerażona, z łomoczącym sercem, suchością w gardle. Dopadła okna, uchyliła zasłonkę i wyjrzała. Czarno-biały wóz patrolowy zbliżał się do domu od strony głównego wejścia. Zobaczyła jak umundurowany policjant pobiegł na tyły domu, podczas gdy inny zbliżał się do drzwi frontowych. Nie było ucieczki. Dzwonki alarmowe rozbrzmiewały w jej uszach zupełnie tak samo jak kiedyś, na korytarzach Zakładu Penitencjarnego dla Kobiet w Luizjanie Południowej.

„Nie! - pomyślała Tracy. - Już nigdy tam nie wrócę”. Ktoś zadzwonił do drzwi.

Porucznik Melvin Durkin od dziesięciu lat pracował na posterunku policji przy Sea Cliff. Było to spokojne miasteczko, w którym najwięcej kłopotów sprawiał policji

wandalizm, czasami zdarzały się kradzieże samochodów albo pijackie awantury w sobotnie wieczory. Alarm w domu Bellamy nie pasował do żadnej z tych kategorii. Właśnie z myślą o takich sytuacjach porucznik Durkin wybrał pracę w policji. Znał dobrze Lois Bellamy i wiedział jak drogocenna kolekcja obrazów i biżuterii znajdowała się w tym domu. Kiedy wyjechała - uznał za ogromnie ważne zadanie sprawdzenie od czasu do czasu jej domu, stanowiącego wymarzony obiekt dla każdego rabusia. „A teraz - snuł swoje marzenia Durkin - wygląda na to, że rabuś wpadł w pułapkę”. Był całkiem blisko, kiedy odebrał przez radio wezwanie z posterunku. „To będzie ładnie wyglądać na liście moich sukcesów, cholernie ładnie”.

Porucznik Durkin powtórnie nacisnął dzwonek. Chciał koniecznie napisać w swoim raporcie, że zadzwonił trzy razy, zanim wyważył drzwi. Jego partner krył tyły domu, więc włamywacz nie miał szans ucieczki. Może będzie próbował ukryć się gdzieś wewnątrz, ale czeka go niespodzianka - nikt nie ukryje się przed Melvinem Durkinem.

W chwili gdy porucznik sięgnął do dzwonka po raz trzeci, drzwi frontowe nagle otworzyły się. Porucznik nie dowierzał własnym oczom. W drzwiach stała kobieta ubrana w przezroczystą koszulę nocną, która nie pozostawiała wiele dla wyobraźni. Jej twarz pokrywała maseczka kosmetyczna, a włosy pozwijane były w lokówki i schowane pod siateczką.

Kobieta aroganckim tonem spytała Durkina:

- Co tu się dzieje, do cholery? Porucznik Durkin przełknął ślinę:

- Ja... kim pani jest?

- Jestem Ellen Branch. Przyjechałam w gości do Lois Bellamy, która wyjechała do Europy.

- Wiem o tym - rzekł z zakłopotaniem porucznik. - Nie powiedziała nam, że spodziewa się gościa. - Kobieta w drzwiach pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Tak właśnie robi Lois Bellamy. Przepraszam, nie mogę wytrzymać tego hałasu.

Na oczach porucznika Durkina przyjaciółka Lois Bellamy sięgnęła do guzików alarmowych, wcisnęła odpowiednią kombinację i dzwonki umilkły.

- Tak jest lepiej - westchnęła. - Nie macie pojęcia jak się cieszę, że przyjechaliście. - Zaśmiała się hałaśliwie. - Właśnie miałam zamiar pójść spać, kiedy te przekłete syreny zaczęły wyć. Byłam pewna, że wdarli się jacyś włamywacze, a ja tu jestem sama, bez pomocy. Służba wyszła w południe.

- Czy pozwoli pani, że się rozejrzemy?

- Właśnie chciałam o to prosić!

W ciągu kilku minut porucznik i jego partner upewnili się, że wewnątrz domu nikt się nie ukrywa.

- Wszystko w porządku - powiedział porucznik Durkin. - To był fałszywy alarm. Coś musiało go spowodować. Nie zawsze można polegać na tych elektronicznych cudeńkach. Na pani miejscu zadzwoniłbym do firmy, która go zakładała i poprosiłbym, żeby sprawdzili system.

- Na pewno to zrobię.

- No dobrze, czas już na nas - powiedział porucznik.

- Dziękuję bardzo, żeście wpadli. Teraz czuję się bezpieczniejsza.

„Ona ma naprawdę fantastyczne ciało” - pomyślał na odchodnym porucznik Durkin. Zastanowił się, jak wyglądałaby jej twarz bez tej maseczki i siatki na włosach.

- Czy zatrzyma się pani tutaj na długo, panno Branch?

- Jakiś tydzień, może dwa, aż powróci Lois.

- Gdybym mógł w czymkolwiek pomóc, proszę mi powiedzieć.

- Dziękuję, nie zapomnę.

Tracy odprowadziła spojrzeniem wóz policyjny, który stopniowo pogrążał się w ciemności. Gwałtowna ulga spowodowała, że poczuła się słabo. Gdy samochód zniknął z pola widzenia, popędziła na górę, zmyła maseczkę, którą wcześniej znalazła w łazience, zerwała lokówki Lois Bellamy i koszulę nocną, przebrała się w swoje czarne ubranie i wyszła frontowymi drzwiami, włączając alarm.

Dopiero po przejechaniu połowy drogi powrotnej w kierunku Manhattanu zdała sobie sprawę z zuchwałości swojego czynu. Zachichotała słabo, nerwowo, a po chwili chichot przeszedł w paroksyzm dzikiego, nie kontrolowanego śmiechu. Do tego stopnia nie potrafiła się opanować, że zjechała na pobocze, przystanęła i tak długo zanosila się spazmatycznym śmiechem, aż jej policzki spłynęły łzami. Po raz pierwszy od roku śmiała się szczerze. Było to wspaniałe.

Gdy pociąg Amtrak drgnął i ruszył z miejsca, pozostawiając za sobą Pennsylvania Station, Tracy rozluźniła się zupełnie. Do tej pory w każdej sekundzie spodziewała się, że nagle jakaś ciężka ręka spocznie na jej ramieniu, a czyjś głos powie: - Jest pani aresztowana.

Uważnie obserwowała pasażerów wsiadających do pociągu, ale nie zauważyła niczego podejrzanego. Mimo to wciąż czuła mrówki spacerujące wzdłuż jej kręgosłupa i od czasu do czasu wstrząsały nią dreszcze. Pocieszała się, że jest przecież rzeczą niemożliwą, aby włamanie zostało tak szybko wykryte. Zresztą, nawet gdyby tak się stało, nie było podstawy, żeby przestępstwo łączyć z jej osobą. Conrad Morgan będzie na nią czekał w St. Louis z 25 tysiącami dolarów. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, z którymi zrobi co zechce! W banku musiałaby pracować rok, by zarobić taką sumę. „Pojadę do Europy - pomyślała - do Paryża. Nie. Nie do Paryża, przecież z Charlesem planowaliśmy miesiąc miodowy właśnie w Paryżu. Pojadę do Londynu. Tam nie będę czuła się jak więźniarka”. Ostatnie doświadczenia odmieniły ją w jakiś dziwny sposób. Jakby narodziła się na nowo. Zamknęła na klucz drzwi do swojego przedziału, wyjęła irchową torebkę i otworzyła ją. Kaskada drogich kamieni, błyszczących wszystkimi kolorami tęczy, spłynęła na jej dłoń. Były tam trzy ogromne diamentowe pierścienie, szpilka do włosów ze szmaragdem, bransoletka z szafirów, trzy pary kolczyków i dwa naszyjniki: rubinowy i perłowy.

„Te wszystkie klejnoty muszą być warte ponad milion dolarów” - oceniła Tracy. Podczas gdy pociąg toczył się wśród malowniczych, wiejskich okolic, przechyliła się w fotelu i jeszcze raz przeżyła wydarzenia tego wieczoru. Wynajęcie samochodu... jazda do Sea Cliff... zupełna cisza i ciemność... wyłączenie alarmu i wejście do domu... otwieranie sejfu... wstrząs, jakiego doznała, gdy nagle włączył się alarm i gdy pojawili się policjanci. Nie przyszło im do głowy, że ta kobieta z maseczką na twarzy i w siateczce na głowie była właśnie włamywaczką, którą chcieli ująć.

Teraz, siedząc w swoim przedziale, w pociągu zdążającym do St. Louis, miała prawo odczuwać satysfakcję. Cieszył ją fakt, że przechytryła policję. W tym balansowaniu na krawędzi ryzyka było coś upojnie radosnego. Odnalazła w sobie odwagę, spryt, poczuła, że jest niezwyciężona. Czuła się wspaniale.

Usłyszała pukanie do drzwi przedziału. Pospiesznie schowała klejnoty do irchowej torby i włożyła ją do walizki. Wyjęła bilet kolejowy i otworzyła drzwi, spodziewając się konduktora.

W korytarzu stali dwaj ubrani na szaro mężczyźni. Jeden z nich wyglądał na jakieś trzydzieści lat, drugi był może o dziesięć lat starszy. Młodszy mężczyzna był przystojny, o atletycznej posturze. Miał mocno zarysowany podbródek, mały, starannie przystrzyżony wąsik i nosił okulary w rogowej oprawie, za którymi błyszczały jego inteligentne, niebieskie oczy. Starszy miał dużą głowę o ciemnych włosach i posturę boksera. Jego oczy były piwne i chłodne.

- Czym mogę panom służyć? - zapytała Tracy.

- Zaraz to pani wyjaśnię - odparł ten starszy. Wyjął portfel i pokazał kartę identyfikacyjną:

FEDERALNE BIURO ŚLEDICZE
MINISTERSTWA SPRAWIEDLIWOŚCI USA

- Jestem agentem specjalnym. Nazywam się Dennis Trevor. A to jest agent specjalny Thomas Bowers.

Gardło Tracy nagle stało się suche. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Obawiam się, że nie rozumiem, o co chodzi? Czy coś się stało?

- Chyba tak, proszę pani - odparł ten młodszy. Miał łagodny, południowy akcent. - Kilka minut temu pociąg przekroczył granicę

New Jersey. Przewożenie kradzionych towarów przez granicę stanu jest przestępstwem federalnym.

Tracy poczuła się słabo. Przed jej oczami pojawiła się czerwona plamka, zaciemniająca pole widzenia.

Starszy mężczyzna, Dennis Trevor, mówił dalej:

- Proszę otworzyć walizkę. - To nie była prośba, ale rozkaz. Jediną nadzieją był bluff:

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Jakim prawem wdzieracie się do mojego przedziału?! - w jej głosie zabrzmiało oburzenie. - Czy wasza praca polega na napadaniu na niewinnych obywateli? Zaraz zawiadomię konduktora.

- Rozmawialiśmy już z konduktorem - powiedział Trevor. Bluff nie podziałał.

- Czy... czy macie nakaz rewizji?

- Nie potrzebujemy nakazu rewizji, panno Whitney. Przyłapaliśmy panią podczas popełniania przestępstwa - odpowiedział uprzejmie młodszy.

Wiedzieli nawet jak się nazywa. Była w pułapce. Nie miała żadnych szans. *Żadnych.*

Trevor sięgnął po jej walizkę i otworzył ją. Powstrzymywanie go nie miało sensu. Tracy widziała, jak włożył do środka rękę i wziął irchową torebkę. Otworzył ją, popatrzył na swego partnera i skinął głową. Tracy osunęła się na siedzenie: opuściły ją siły.

Trevor wyjął z kieszeni listę i zerkając do niej sprawdził zawartość torby. Potem włożył rękę do kieszeni.

- Jest tu wszystko, Tom.

- Skąd... skąd wiedzieliście? - wyszeptała bezdźwięcznie Tracy.

- Nie jesteśmy upoważnieni do udzielania żadnych informacji - odrzekł Trevor.

- Jest pani aresztowana. Ma pani prawo nic nie mówić i zeznawać dopiero w obecności swojego adwokata. Wszystko, co teraz pani powie, może być wykorzystane przeciwko pani, czy pani zrozumiała?

- Tak - odpowiedziała szeptem.

- Przykro mi. To znaczy: znam pani przeszłość i przykro mi - dodał Tom Bowers.

- Rany Boskie - powiedział starszy. - To nie jest wizyta towarzyska.

- Wiem, ale...

- Proszę wyciągnąć rękę. - Starszy z mężczyzn wysunął w kierunku Tracy parę kajdanek.

Tracy skręcała się z przerażenia. Przypomniała sobie lotnisko w Nowym Orleanie, moment, kiedy zakładano jej kajdanki, przyglądających się ludzi...

- Proszę! Czy... czy naprawdę musicie to robić?

- Tak, proszę pani.

- Pozwól na chwilę na korytarz, Dennis - szepnął młodszy z nich. - Mam ci coś do powiedzenia.

- No dobra - Dennis Trevor wzruszył ramionami.

Wyszli na korytarz. Tracy została w przedziale, oszołomiona i zrozpaczona. Z korytarza dobiegały ją urywki rozmowy.

- Na miłość boską, Dennis, nie musimy zakładać jej kajdanek! Przecież nigdzie nie ucieknie.

- Kiedy wreszcie przestaniesz być takim harcerzykiem, Tom? Jak popracujesz w Biurze tyle lat, co ja...

- Daj spokój. Niech złapie oddech. I tak jest prawie wykończona, a ty...

- To nie ma nic wspólnego z jej...

Dalej już nic nie słyszała. Nie chciała słyszeć. W chwilę później obaj mężczyźni wrócili do przedziału. Starszy wyglądał na zdenerwowanego.

- OK. Nie będziemy zakładać pani kajdanek. Zabieramy panią na następnej stacji. Musimy teraz wezwać przez radio samochód Biura. Pani nie ma prawa opuszczać tego przedziału. Czy wszystko jasne?

Tracy skinęła głową, zbyt słaba żeby odpowiedzieć. Młodszy mężczyzna, Tom Bowers, zrobił sympatyczny grymas; jakby chciał powiedzieć: „Chciałbym w czymś pani pomóc, ale nie mogę”.

Już nikt nie mógł jej pomóc. Nie teraz. Było za późno. Złapali ją na gorącym uczynku. W jakiś tajemniczy sposób policja musiała ją wyśledzić i poinformowała FBI.

Agenci stali na korytarzu, rozmawiając z konduktorem. Bowers wskazywał na Tracy i mówił coś, czego nie mogła dosłyszeć. Konduktor kiwał głową. Bowers zatrzasnął drzwi przedziału, a Tracy poczuła, jakby zatrzaskiwały się drzwi celi. Za oknem przesuwaly się krajobrazy, piękne widoki wiejskich okolic, ale

Tracy nie widziała niczego. Siedziała nieruchomo, sparaliżowana strachem.

W jej uszach rozlegał się szum, który nie miał nic wspólnego z turkotem pociągu. Tym razem nikt nie da jej szansy. Popelniła przestępstwo i zostanie ukarana. Teraz będzie to wysoki wyrok i nie pomoże jej już żadna córka naczelnika, nie czeka jej nic oprócz wlokących się w nieskończoność więziennych lat. A także Dużej Bertie i jej podobnych. „Ale w jaki sposób ją złapali? Jedyńa osobą, która wiedziała o rabunku był Conrad Morgan, lecz po cóż miałby on wydawać ją i klejnoty w ręce FBI? Może jakiś sprzedawca albo pomocnik w jego sklepie dowiedział się o ich planie i zawiadomił policję? Właściwie, wszystko jedno, jak to się stało. Została złapana. Teraz czeka ją proces i więzienie. Najpierw wstępne przesłuchanie, potem rozprawa, a potem...”

Tracy z całej siły zacisnęła powieki, nie myśląc już o niczym. Gorące łzy spływały po jej policzkach.

Pociąg powoli zwalniał. Tracy oddychała z trudem, brakowało jej powietrza. Dwaj agenci FBI zjawiają się lada chwila. Wkrótce ukazała się stacja, a kilka sekund potem pociąg zazgrzytał i zatrzymał się. Czas na nią. Tracy zamknęła walizkę, włożyła

płaszcz i usiadła. Utkwiła wzrok w drzwiach przedziału, czekając kiedy się otworzą. Upływały minuty, ale dwaj agenci nie pojawiali się. Dokąd mogli pójść? Przypomniała sobie ich słowa: „Musimy teraz wezwać przez radio samochód Biura. Nie ma pani prawa opuszczać tego przedziału”. Usłyszała wołanie konduktora: - Proszę wsiadać!

Nagle wpadła w panikę. Może czekali na nią już na peronie? „Tak, na pewno tak”. Jeśli nadal zostanie w pociągu, oskarżą ją o próbę ucieczki, a to może jeszcze pogorszyć sytuację. Tracy złapała walizkę, otworzyła drzwi przedziału i popędziła na korytarz.

Podszedł do niej konduktor.

- Czy pani tu wysiada? - zapytał. - Proszę się pospieszyć. Pomogę pani. Kobieta w tym stanie nie powinna dźwigać nic ciężkiego.

- W tym stanie? - Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Proszę się nie martwić. Pani bracia powiedzieli, że jest pani w ciąży i że bym na panią uważał.

- Moi bracia?

- Bardzo mili ludzie. Naprawdę dbają o panią. Świat stanął na głowie. Wszystko się pomieszało. Konduktor pomógł jej przenieść walizkę na koniec wagonu i sprowadził ją po schodach. Pociąg ruszał dalej.

- Czy wie pan, dokąd udali się moi bracia? - zapytała Tracy.

- Nie, proszę pani. Wskoczyli do pierwszej taksówki, gdy tylko pociąg się zatrzymał.

Z klejnotami wartymi milion dolarów.

Tracy pojechała na lotnisko. Było to pierwsze miejsce, o którym pomyślała. Skoro mężczyźni wzięli taksówkę, znaczy to, że nie mieli własnego pojazdu i na pewno chcieli opuścić miasto jak najprędzej. Usiadła na tylnym siedzeniu, opanowana gniewem i wstydem, że tak łatwo dała się nabrać. Obaj tak doskonale odegrali swoją rolę, byli tak przekonujący... Spłonęła rumieńcem na wspomnienie, jak łatwo uwierzyła w tę starą jak świat bajeczkę o dobrym i złym glinie:

„Na miłość boską, Dennis, nie musimy zakładać jej kajdanek! Przecież nigdzie nie ucieknie...”

Kiedy wreszcie przestaniesz być takim harcerzykiem? Jak popracujesz w Biurze tyle lat co ja...”

W Biurze? Prawdopodobnie obaj są na bakier z prawem. Tak więc teraz trzeba odzyskać klejnoty. Za dużo przeżyła, żeby dać się przechytrzyć dwóm przebiegłym oszustom. Musiała dostać się na lotnisko, zanim odleca.

Nachyliła się do kierowcy i powiedziała:

- Czy może pan trochę przyspieszyć?

Stali w kolejce pasażerów przy stanowisku odpraw, ale rozpoznała ich od razu. Młodszy, który nazwał się Thomas Bowers, już nie nosił okularów, jego oczy z niebieskich stały się ciemnoszare, a wąsik zniknął. Drugi mężczyzna, Dennis Trevor, o gęstych, ciemnych włosach, był teraz kompletnie łyśy. Ale przecież nie mogła się pomylić. Nie mieli czasu zmienić ubrań. Gdy Tracy podeszła do nich, stali już przy stanowisku odpraw.

- Panowie czegoś zapomnieli - powiedziała do nich. Zwrócili się w jej stronę, zaskoczeni. Młodszy zmarszczył brwi.

- Co pani tu robi? Przecież samochód z Biura miał panią odebrać ze stacji. - Pozbył się już swojego ulubionego akcentu.

- Więc może wrócimy i poszukamy go - zasugerowała Tracy.

- Nie możemy. Jesteśmy na tropie następnego przestępcy - wyjaśnił Trevor. - Musimy złapać ten samolot.

- Najpierw oddacie mi moje klejnoty - zażądała Tracy.

- Obawiam się, że to niemożliwe, proszę pani - odparł Thomas Bowers. - Stanowią one dowód rzeczowy. Wyślemy pani pokwitowanie na tę biżuterię.

- Nie. Nie chcę żadnego kwitu. Żądam klejnotów.

- Przykro mi - powiedział Trevor. - Nie mamy prawa pozbywać się ich.

Byli już przy stanowisku. Trevor podał urzędnikowi linii wejściówkę. Tracy rozejrzała się i ujrzała w pobliżu policjanta. Wykrzyknęła:

- *Panie oficerze! Panie oficerze!*

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie zaniepokojeni.

- Co pani sobie ubzdurzyła? - syknął Trevor. - Czy mają nas wszystkich aresztować?

Podszedł do nich policjant.

- Tak, słucham panią. Jakież kłopoty?

- Och, żadnych kłopotów - zapewniła go Tracy. - Ci dwaj wspaniali ludzie odnaleźli właśnie bardzo cenną biżuterię, którą zgubiłam, a teraz chcą mi ją zwrócić.

Już miałam stracha, że będę zmuszona załatwiać to w FBI. - Dwaj mężczyźni wymienili przerażone spojrzenia. - Wpadli na pomysł, że może mógłby pan odprowadzić mnie do taksówki.

- Oczywiście. Z wielką przyjemnością.

- Teraz już możecie oddać mi klejnoty - zwróciła się do nich Tracy. - Ten miły oficer dopilnuje, żeby nic mi się nie stało.

- Nie, dlaczego? Będzie znacznie lepiej, jeśli my...

- Och nie, nalegam na to - przekonywała ich Tracy. - Zdaję sobie sprawę, jakie do dla was ważne, żeby odlecieć tym samolotem.

Obaj bezradnie spojrzeli na siebie, a potem na policjanta. Właściwie nic nie mogli poradzić. Tom Bowers niechętnie wyjął z kieszeni irchową torbę.

- Właśnie o to mi chodzi! - zakrzyknęła wesoło Tracy. Wzięła torbę z jego rąk, otworzyła ją i zajrzała do środka.

- Dzięki Bogu! Są wszystkie.

- Przecież możemy zatrzymać je dla pani dotąd, aż... - Tom Bowers podjął jeszcze jedną desperacką próbę.

- Dziękuję, ale to nie jest konieczne - zapewniła go radośnie Tracy. Otworzyła swoją torebkę, umieściła w niej klejnoty i wyjęła dwa pięciodolarowe banknoty. Wręczyła każdemu z nich po jednym. - Proszę, tu jest drobny dowód mego uznania za to, coście zrobili.

Wszyscy pasażerowie byli już dawno na pokładzie samolotu. Urzędnik odprowadzający pasażerów ponaglił ich:

- To był ostatni dzwonek. Proszę się pospieszyć.

- Jeszcze raz dziękuję - Tracy promieniała radością, maszerując z policjantem u boku. - Tak trudno teraz spotkać naprawdę uczciwych ludzi.

Podczas gdy samolot kołował w kierunku pasa startowego, Thomas Bowers - alias Jeff Stevens - siedział przy oknie i wyglądał przez nie. Przyłożył chusteczkę do oczu, a jego tułów kołysał się w rytm poruszeń samolotu. Dennis Trevor, na co dzień zwany Brandonem Higginsem, zajmujący miejsce obok niego, przyglądał mu się ze zdziwieniem. - Hej! - powiedział - to tylko forsa, kolego. Nie ma co płakać. Jeff Stevens zwrócił ku niemu twarz, po której spływały łzy, i Higgins ku swojemu zdziwieniu ujrzał, że Jeff uległ paroksyzmowi śmiechu.

- Co, do cholery, się z tobą dzieje? - zapytał Higgins. - Ta historia wcale nie jest śmieszna.

Ale dla Jeffa była. Sposób, w jaki Tracy Whitney przechytryła ich na lotnisku, był niewątpliwie najgenialniejszym oszustwem, jakie kiedykolwiek widział, a widział już niejedno. Było to oszustwo do kwadratu. Conrad Morgan zapewniał ich, że ta kobieta jest amatorką. „Mój Boże - myślał Jeff Stevens - jakby to wyglądało, gdyby była zawodowcem?”

Jeff Stevens nie spotkał jeszcze w swym życiu tak pięknej kobiety jak Tracy. Do tego ten spryt... Jeff uważał się za mistrza w sztuce oszukiwania ludzi, a ona go pokonała. „Wujaszek Willie mógłby się w niej zakochać” - pomyślał Jeff.

To właśnie wujaszкови Willie zawdzięczał Jeff swoją edukację. Matka Jeffa była prostoduszną, naiwną kobietą - dziedziczką fortuny, którą jej rodzina zbiła na narzędziach rolniczych, żoną rozrutnego kombinatora, sypiącego jak z rękawa pomysłami mającymi na celu szybkie zdobycie majątku, z których zresztą żaden nie został urzeczywistniony.

Ojciec Jeffa był pięknoduchem, niebezpiecznie uprzejmym, o urzekającej aparycji i nieodpartej sile przekonywania, która w połączeniu z jego pomysłami pozwoliła mu roztrwonić doszczętnie wiano żony w ciągu pięciu lat małżeństwa. Ilekroć Jeff wracał wspomnieniami do swego dzieciństwa, stawały mu przed oczami kłótnie i awantury rodziców o pieniądze albo pozamałżeńskie romanse ojca. Nie było to zgodne małżeństwo i dlatego Jeff już w dzieciństwie powziął mocne postanowienie: „Nigdy się nie ożenię. Nigdy nie popełnię tego głupstwa”.

Brat jego ojca, wuj Willie, był właścicielem „Karnawału” - wędrownego cyrku dającego uliczne przedstawienia na użytek gapiów. Za każdym razem, gdy znajdował się w pobliżu Marion w stanie Ohio, gdzie mieszkała rodzina Stevensów, przychodził

do nich w odwiedzin. Był to niewątpliwie najweselszy człowiek, jakiego Jeff spotkał, pełen nieodpartego optymizmu i olśniewających wizji przyszłości. Zawsze przynosił chłopcu prezenty, nauczył go też cudownych, magicznych sztuczek, których Jeff nigdy nie zapomniał. Wujaszek Willie rozpoczął karierę w „Karnawale” jako magik i w dogodnej chwili, gdy przedsiębiorstwo doszczętnie wypłukało się z pieniędzy - przejął interes.

Jeffa w wieku czternastu lat osierociła matka, która zginęła w wypadku samochodowym, a dwa miesiące później ojciec poślubił dziewiętnastoletnią kelnerkę z cocktail-baru. „Mężczyzna nie powinien żyć sam, to jest przeciw naturze” - tłumaczył synowi, ale nigdy nie zdołał przełamać jego głębokiej urazy.

Ojciec Jeffa znalazł sobie pracę jako objazdowy sprzedawca i co tydzień spędzał trzy dni poza domem. Pewnej nocy, gdy w domu oprócz Jeffa znajdowała się tylko jego macocha, chłopca obudziło delikatne trzaśnięcie drzwiami, a po chwili poczuł na sobie dotyk ciepłego, miękkiego ciała. Aż usiadł z przerażenia.

- Obejmij mnie Jeffie - szepnęła macocha. - Boję się tych grzmotów.

- Przecież wcale nie grzmi! - wyjąkał Jeff.

- Ale *może* zagrzmieć. W gazetach pisali, że będzie deszcz. - Przyłgnęła do niego całym ciałem. - Kochaj mnie, skarbie.

Chłopca ogarnęła panika.

- Dobra. Możemy to zrobić w łóżku taty?

- Dobrze! - zachichotała. - Ależ ty jesteś zboczony!

- Zaraz tam przyjdę! - obiecał Jeff.

Wyśliznęła się z łóżka i przeszła do drugiej sypialni. Chyba nigdy w życiu Jeff nie ubierał się tak szybko. Wskoczył oknem i podążył do Cimarron w Kansas, gdzie właśnie zatrzymał się cyrk wujaszka Willie. Nawet nie obejrzał się za siebie.

Na pytanie wujka, dotyczące ucieczki z domu, odpowiedział krótko:

- Nie mogłem się dogadać z macochą.

Wujek Willie zadzwonił do ojca Jeffa i po dłuższej dyskusji postanowiono, że chłopiec pozostanie w „Karnawale”.

- Żadna szkoła nie nauczy go tyle co „Karnawał” - zapewniał wujaszek.

„Karnawał” był małym, zamkniętym światem.

- To nie jest żadna szkółka niedzielna - wyjaśniał wuj Willie. - Jesteśmy mistrzami artystycznego robienia w jajo. Ale zapamiętaj sobie, synku, że nie wykiwasz

człowieka, który sam nie chce być wykiwany. W.C. Fields powiedział kiedyś mądrze: „Nie można oszukać uczciwego człowieka”.

Wszyscy artyści stali się wkrótce kumplami Jeffa. Dzielili się oni na „ludzi z frontu”, mających koncesje na wykonywanie sztuczek, i „ludzi z tyłów”, uczestniczących w przedstawieniach w rolach „Grubej Pani”, czy „Damy z tatuażem”. Osobną grupę stanowili operatorzy, którzy zza kulis decydowali o wynikach gier. W „Karnawale” było też sporo ponętnych dziewcząt, lgnących do młodego chłopca, jak do miodu. Jeff po matce odziedziczył wielką wrażliwość, a po ojcu - łagodne spojrzenie ciemnych oczu, z tego też powodu między dziewczętami trwała ostra i zażarta walka o przywilej pozbawienia go dziewictwa. Pierwszych seksualnych doznań dostarczyła Jeffowi piękna, zwinna akrobatka, która na długie lata ustaliła jego wymagania na poziomie, do którego wszystkie następne partnerki musiały się dopasować.

Wujek Willie wtajemniczał Jeffa we wszystkie sztuczki związane z prowadzeniem „Karnawału”.

- Pewnego dnia cały ten interes będzie twój - oświadczył mu kiedyś - ale jest tylko jeden sposób, żebyś się w nim utrzymał: musisz wiedzieć o nim więcej niż ktokolwiek inny.

Jeff zaczął od zabawy w sześć kotków, tricku w stylu „hokus-pokus”, w którym gracze za opłatą rzucali kulami w wizerunki sześciu kotów, namalowane na płótnie, usztywnionym od spodu drewnem. Ich celem było strącenie kotów do podwieszanej z tyłu siatki. Operator kierujący grą demonstrował z przekonującą łatwością strącanie kotków, ale kiedy klient spróbował go naśladować, facet nazywany „artylerzystą” i ukryty z tyłu, podnosił specjalny pręt, w wyniku czego kotki stały jak wmurowane, odporne nawet na uderzenie młota. Sam Sandy Koufax nie potrafiłby ich poruszyć.

- Hej, rzucacie za nisko! - pouczał rozczarowanych klientów operator. - Trzeba dobrze wycelować i rzucić miękko, dokładnie.

Miękko i dokładnie - to było hasło, na które ukryty „artylerzysta” zwalniał dźwignię, i operator siał wśród kotków spustoszenie. Potem pouczał klientów jeszcze raz:

- Widzicie o co chodzi? - Na ten sygnał artylerzystą z powrotem unosił pręt. Zawsze znalazł się jakiś wiejski mądrala, płonący żądzą popisania się celnym rzutem przed stojącą obok rozanieloną dziewczyną.

Jeff obsługiwał też grę w „oczko”. Wielkie „szpilki” ustawione były rzędem, a klient zarzucał na nie gumowe pierścienie. „Szpilki” były ponumerowane i jeżeli suma „trafionych” wyniosła dwadzieścia jeden - wtedy klient wygrywał kosztowną zabawkę. Sztuka polegała na tym, że szpilki były oznaczone na obu końcach różnymi numerami i w ten sposób operator prowadzący imprezę mógł zawsze ukryć numer brakujący do 21, dzięki czemu szansę grających spadały do zera.

Któregoś dnia wujaszek rzekł do Jeffa:

- Robisz postępy, chłoptasiu, i jestem z ciebie dumny. Czas żebyś wreszcie zabrał się do skillo.

Operatorzy skillo stanowili śmietankę całego karnawałowego towarzystwa - wszyscy inni spoglądali na nich z wielkim respektem. Zarabiali najwięcej, mieszkali w najlepszych hotelach, rozbijali się najlepszymi samochodami. Do gry w skillo używano płaskiego koła ze strzałką, wyważoną bardzo dokładnie na szklanej podstawie, z cienkim kawałkiem papieru umieszczonym w środku. Kółko podzielone było na ponumerowane sektory; gdy „klient” rozkręcał je i strzałka zatrzymała się na jakimś numerze, numer ten zostawał wyłączony z gry. Klient płacił znowu większą już stawkę, rozkręcał koło i eliminował kolejny numer. Operator skillo informował, że w przypadku wyeliminowania wszystkich numerów klient wygrywa ogromną sumę pieniędzy. Kiedy ilość wolnych numerów zmniejszała się, operator zachęcał rozanielonego „jelenia” do kontynuowania gry. Patrzył na niego z przerażeniem i szeptał:

- Słuchaj pan, ja nie mam tej gry na własność, ale nie lubię przegrywać. Zakładam się o dziesięć dolarów, że pan wygra. Teraz już nic nie odbierze panu nagrody. - Mówiąc to wsuwał klientowi pięć lub dziesięć dolarów, umacniając jego wiarę w zwycięstwo. - Stawiam na ciebie. Nie możesz przegrać.

Grający wierzył, że ma w nim potężnego sprzymierzeńca. Jeff doił w ten sposób klientów z prawdziwie mistrzowską zręcznością. Gdy na planszy pozostawało coraz mniej segmentów do „trafienia”, a stawki za wygraną klienta wzrastały, napięcie rosło.

- Główna wygrana jest twoja! - wykrzykiwał Jeff, na co gracz wysupływał z kieszeni ostatnie grosze.

W końcu, gdy na planszy pozostała już tylko jedna nie trafiona sekcja - napięcie sięgało szczytu. Ofiara ochoczo rozstawała się ze swoim majątkiem, czasami biegła do domu po większą ilość gotówki. Oczywiście, klient nigdy nie wygrywał, ponieważ

operator lub jego pomocnik lekko popychali planszę i strzałka nieuchronnie zatrzymywała się na „spalonej” pozycji.

Jeff szybko wyuczył się języka „Karnawału”. „Teatrzyk” zaczynał się wtedy, gdy gra była „ustawiona” i wygrana niemożliwa. Facetów, stojących przed boczną sceną i nawołujących klientów do wejścia, ludzie spoza „Karnawału” nazywali „szczekaczami”, ale artyści określali ich mianem „gadul”. „Gaduła” dostawał dziesięć procent zysku z biletów za naganianie publiczności. Nagrodę wypłacaną klientowi, mimo wysiłków ludzi zza kulis, nazywano „gafą”. „Listonoszem” zaś - przekupionego policjanta.

Jeff wkrótce stał się mistrzem „Karnawału”. Klientów, którzy gromadzili się wokół imprez „towarzyszących”, witał przemową:

- Panie i panowie, wszystko co tu widzicie na zewnątrz na zdjęciach, plakatach i obrazach - możecie zobaczyć wewnątrz tego namiotu za cenę biletu wstępu. *Jednakże* natychmiast, gdy młoda dziewczyna na krześle elektrycznym wyda swoje ostatnie tchnienie, a jej ciało, porażone pięćdziesięcioma tysiącami watów elektryczności, osunie się na podłogę - chcę państwu polecić dodatkową atrakcję, która nie ma nic wspólnego z głównym przedstawieniem i nie była zapowiadana. Za tym parawanem zobaczycie państwo coś tak godnego uwagi, do tego stopnia wstrząsającego i jeżącego włosy na głowach, że nie ośmielilibyśmy się pokazywać tego na zewnątrz, z uwagi na niewinne dzieci i wrażliwe kobiety.

Kiedy naiwniacy zapłacili dodatkowego dolara, Jeff wprowadzał ich do środka, pokazując kobietę bez tułowia albo dziecko o dwóch głowach, wszystko oczywiście sfabrykowane za pomocą luster.

Jedną z najbardziej intratnych gier „Karnawału” była „biegająca myszka”. Żywą mysz umieszczano pośrodku stołu i przykrywano miską. W blacie stołu, na jego obrzeżu było dziesięć dziurek; do każdej z nich myszka mogła wejść po podniesieniu miski. Każdy zawodnik „stawiał” na określony numer. Wygrywał ten, kto wybrał numer dziury, w którą mysz weszła.

- Jak można zrobić „teatrzyk” z takiego widowiska? - zapytał Jeff wujka Willie.
- Czy te myszy są tresowane?

Wujaszek zachichotał tak, że aż podskakiwał.

- Komu chciałoby się tresować myszy! Nie, skąd. To proste. Operator wybiera dziurę, której nikt nie obstawiał, macza palec w occie i dotyka jej skraju. Myszka wlezie tam za każdym razem.

Karen, bardzo atrakcyjna tancerka demonstrująca taniec brzucha, wprowadziła Jeffa w arkana gry w „kluczyk”.

- Kiedy już wygłosisz swoją przemowę w sobotę wieczorem - wyjaśniała - wybierz sobie kilku facetów z widowni i każdemu z osobna po cichu sprzedaj kluczyk do mojej przyczepy kempingowej.

Kluczyk kosztował pięć dolarów. Około północy ponad tuzin mężczyzn kręciło się wokół przyczepy tancerki. Karen tymczasem spędzała w hotelu noc z Jeffem. Następnego ranka, kiedy niefortunni klienci przybyli do „Karnawału”, szukając sprawiedliwej zemsty, cyrk dawno już odjechał.

W ciągu czterech lat takiej pracy Jeff nauczył się wiele o ludzkiej naturze. Wiedział, jak łatwo było wzbudzić w ludziach chciwość i jak łatwowierni stawali się wobec perspektywy wygranej. Wierzyli w wierutne bzdury, ponieważ chciwość kazała im w nie uwierzyć. Mając osiemnaście lat Jeff był niezwykle przystojny. Nawet przypadkowe obserwatorki z podziwem zwracały uwagę na jego szare oczy w ładnej oprawie, szczupłość i wysokość sylwetki, kręcące się ciemne włosy. Mężczyzn zjednywał sobie sprytem i doskonałym humorem. Nawet dzieci, jakby przeczuwając w nim dziecinną naturę, obdarzały go zaufaniem od pierwszego wejrzenia. Klientki flirtowały z Jeffem, ale wujek Willie ostrzegał:

- Trzymaj się z dala od tych panius z miasta, chłopcze. Ich tatusiowie są zawsze szeryfami.

Jeff opuścił „Karnawał” z powodu żony maestro rzucającego nożami. Zespół zjechał właśnie do Milledgeville w Georgii i rozstawiono namioty. Na listę płac wpisano nowego artystę - Sycylijczyka zwanego Wielkim Zorbini, który przyłączył się do trupy wraz ze swoją żoną, atrakcyjną blondynką. Podczas gdy Wielki Zorbini przygotowywał akcesoria do przedstawienia, jego żona zaprosiła Jeffa do swego pokoju hotelowego w mieście.

- Zorbini będzie zajęty przez cały dzień - poinformowała Jeffa. - Zabawimy się troszeczkę.

Brzmiało to zachęcająco.

- Daj mi godzinę na przygotowanie, a potem przyjdź do pokoju - powiedziała.

- Dlaczego aż godzinę? - zapytał Jeff. Uśmiechnęła się odparła:

- Tyle czasu zajmie mi przygotowanie wszystkiego.

Jeff czekał z coraz większą ciekawością, a kiedy w końcu wszedł do pokoju, powitała go w drzwiach na wpół rozebrana. Sięgnął do jej wdzięków, ale złapała go za rękę i powiedziała:

- Chodź no tutaj.

Wszedł do łazienki i osłupiał, nie dowierzając własnym oczom. Wanna wypełniona była sześcioma gatunkami galaretki Jell-O, zmieszanej z ciepłą wodą.

- Co to takiego? - zapytał.

- To na deser. Rozbieraj się, chłopczyku. - Jeff rozebrał się. - A teraz wskakuj do wanny.

Wszedł do wanny i usiadł w niej, doznając chyba najbardziej niezwykłego wrażenia w swoim życiu. Miękka, śliska galareta wypełniała każdą wklęsłość jego ciała, masując delikatnie ze wszystkich stron.

Blondynka weszła do wanny w ślad za nim.

- Teraz - zapowiedziała - pora na lunch. - Zaczęła od jego piersi i przesuwała się dół ciała, zlizując po drodze galaretkę. - Mm, słodziutki jesteś. Najlepiej smakuje ta truskawkowa.

Jej szybki, zwinny język w połączeniu z ciepłą, lepką Jell-O dostarczał Jeffowi nieopisanych wrażeń erotycznych. Wtem, wśród mlaskań i pojękiwań, drzwi do łazienki otworzyły się z trzaskiem i ukazał się w nich Wielki Zorbini w całej okazałości. Sycylijszyk rzucił krótkie spojrzenie na żonę, potem na przerażonego Jeffa i jęknął:

- *Tu sei ima puttana! Vi ammazzo tutti e due! Dove sono i miei coltelli?*

Jeff nie zastanawiał się nad sensem tych słów, ale właściwie zrozumiał intencję. Podczas gdy Wielki Zorbini wybiegł z łazienki po swoje noże, Jeff wyskoczył z wanny jak oparzony, mieniąc się wszystkimi kolorami tęczy od różnokolorowej galaretki, i porwał swoje ubranie. Wyskoczył przez okno nagi i popędził aleją. Ktoś krzyknął za jego plecami, a w chwilę później usłyszał świst noża przelatującego koło jego głowy. W ślad za nim świsnął następny, ale chłopak już był poza jego zasięgiem. Ubrał się w jakimś rowie, wciągając spodnie i koszulę na kleistą galaretkę, którą wyciskał spod ubrania po drodze do przystanku. Tam złapał pierwszy autobus wyjeżdżający z miasta.

W pół roku później był w Wietnamie.

Każdy żołnierz walczy na innej wojnie. Jeff wyniósł ze swoich wietnamskich doświadczeń pogardę dla biurokracji i głęboką niechęć do autorytetów. Dwa lata zmarnował na wojnie, która nie mogła być wygrana. Przeraziło go to, jak wiele

pieniędzy, sprzętu, istnień ludzkich zmarnowało się w dżunglach Wietnamu, nabrał obrzydzenia do zdrad i podstępów generałów i polityków, realizujących swoje drańskie plany kosztem żołnierzy. „Wrobiono nas w wojnę, której nikt nie chce - myślał - to właśnie jest robienie w jajo. Na kolosalną skalę”.

Na tydzień przed zwolnieniem z wojska dotarła do Jeffa wiadomość o śmierci wujka Willie. „Karnawał” rozpadł się. Przeszłość przestała istnieć. Teraz należało pomyśleć o przyszłości.

Następne lata obfitowały w przygody, Jeff cały świat traktował jak „Karnawał”, a ludzi - jak swoich klientów. Sam wymyślał gry. W gazetowych anonsach oferował kolorowe wizerunki prezydenta USA za jednego dolara. Gdy otrzymywał dolara - wysyłał swojej ofierze znaczek pocztowy z podobizną prezydenta.

W kolorowych magazynach zamieszczał ogłoszenia uprzedzające czytelników, że mają tylko sześćdziesiąt dni na wysłanie mu pięciu dolarów, bo potem będzie już za późno. Ogłoszenia nie zawierały informacji, co w zamian za owe pięć dolarów otrzyma klient, ale pieniądze napływały.

Przez trzy miesiące Jeff zabawiał się w maklera giełdowego, sprzedając przez telefon fałszywe akcje spółek naftowych.

Zawsze przepadał za żeglarstwem, więc kiedy pewien znajomy zaproponował mu zaokrętowanie na żaglowcu, udającym się właśnie w rejs na Tahiti, Jeff z miejsca zaciągnął się jako marynarz.

Statek był piękny - pięćdziesięciometrowy biały szkuner, lśniący w promieniach słońca pod pełnymi żaglami. Pokład wyłożony był drewnem tekowym, kadłub - zbudowany z długich, jasnych pni oregońskiej jodły. Na statku znajdował się wielki salon na dwanaście osób i kuchnia z elektrycznymi piecami. Kajuty marynarskie mieściły się w forpiku. Oprócz kapitana, stewarda i kucharza, na statku pracowało jeszcze pięciu majtków. Jeff pomagał w stawianiu żagli, czyszczeniu mosiężnych opraw świetlików, czasami, kiedy trzeba było zwinąć żagiel wspinał się po drabinkach linowych. Pasażerów było na szkunerze pięcioro.

- Właścicielka nazywa się Hollander - poinformował Jeffa jego znajomy.

Była to dosyć znana Louise Hollander - dwudziestopięcioletnia, złotowłosa piękność, której ojciec posiadał na własność połowę Ameryki Środkowej. Pozostali pasażerowie byli jej przyjaciółmi, a kumple Jeffa nazywali ich „serwatką towarzyską Ameryki”.

Pierwszego dnia po wyruszeniu Jeff prażył się w upalnym słońcu, polerując mosiężne okucia na pokładzie. Nagle obok niego stanęła Louise Hollander.

- Jesteś nowy, prawda? Podniósł głowę: - Tak.

- Nazywasz się jakoś?

- Jeff Stevens.

- Ładne imię. - Nie odpowiedział. - A wiesz, kim jestem? - Nie.

- Jestem Louise Hollander. Ten statek należy do mnie.

- Aha, więc pracuję u pani.

- Na to wygląda. - Uśmiechnęła się.

- W takim razie, jeśli nie chce pani wyrzucać pieniędzy w błoto, proszę mi pozwolić trochę popracować. - I Jeff przeszedł do następnego wspornika.

Siedząc w swoich kajutach, członkowie załogi często używali sobie na pasażerach i kpili z nich. Ale Jeff nie ukrywał, że zazdrości im środowiska, wykształcenia, dobrych manier. Wszyscy pochodzili z zamożnych rodzin i ukończyli najlepsze szkoły. Jego szkołą był wujek Willie i „Karnawał”.

Jednym ze znajomych Jeffa w „Karnawale” był profesor archeologii, którego kiedyś wyrzucono z college’u za to, że kradł i upłynniał wartościowe zabytki. Profesor prowadził z Jeffem długie rozmowy i przy okazji zaszczerpił mu entuzjazm do archeologii.

- Historia poucza nas o przeszłości. Pomyśl tylko, chłopcze: tysiące lat temu istnieli ludzie, tacy jak ty i ja, którzy śnili, opowiadali bajki, żyli i rodzili naszych przodków. - Zapatrzył się w dal i mówił jakby w natchnieniu: - Kartagina - tam właśnie chciałbym pojechać na wykopaliska. Na długo przed narodzeniem Chrystusa było tam wielkie miasto - Paryż starożytnej Afryki. Ludzie zażywali kąpieli, grali, ścigali się na rydwanach. Circus Maximus był tak wielki jak pięć boisk piłkarskich. - Dostrzegł zainteresowanie w oczach chłopca. - Wiesz, co Katon Starszy mawiał na zakończenie swych przemówień o rzymskim Senacie? Mówił tak: *Delenda est Carthago* - Kartagina musi być zburzona. Jego życzenie w końcu się spełniło. Rzymianie obrócili Kartaginę w kupę gruzu, a dwadzieścia pięć lat później wrócili tam i na jej popiołach zbudowali wielkie miasto. Chciałbym zabrać cię tam na wykopaliska, chłopcze.

Po roku profesor zapisał się na śmierć, ale Jeff obiecywał sobie, że któregoś dnia wybierze się na wielką wyprawę archeologiczną. Najpierw do Kartaginy, tak jak chciał profesor.

Ostatniej nocy przed zawinięciem do portu na Tahiti Jeff został wezwany do osobistej kajuty Louise Hollander. Przyjęła go w sukni z czystego jedwabiu.

- Chciała mnie pani widzieć, madam?

- Czy jesteś homoseksualistą, Jeff?

- Nie wydaje mi się, żeby to była pani sprawa, panno Hollander, ale moja odpowiedź brzmi: nie. Po prostu jestem wybredny.

Louise Hollander spoważniała nagle.

- Jaki rodzaj kobiet ci odpowiada? Dziwki, jak sędzę.

- Czasami - odparł Jeff pojednawczym tonem. - Czy ma mi pani jeszcze coś do powiedzenia?

- Tak. Jutro wieczorem jest przyjęcie. Czy chciałbyś przyjść? Jeff patrzył na nią przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział:

- Dlaczego nie? Tak się to zaczęło.

Louise Hollander, zanim ukończyła dwadzieścia jeden lat, była już po dwóch rozwodach. Jej adwokat właśnie prowadził negocjacje z trzecim mężem, kiedy pojawił się Jeff. Następnego nocy zcumowali w porcie Papeete i gdy pasażerowie wraz z załogą zeszli na brzeg, Jeff otrzymał powtórne wezwanie do kajuty Louise Hollander. Został ją ubraną w zwiewną indiańską spódniczkę *pareu*, rozciętą na całej długości uda.

- Próbuję to zdjąć - powiedziała. - Mam problem z suwakiem.

Jeff podszedł i przyjrzał się spódniczce.

- Nie ma tu żadnego suwaka. - Spojrzała mu prosto w twarz:

- Wiem. To jest właśnie ten problem.

Kochali się na pokładzie pod łagodnym, tropikalnym słońcem, które pieściło ich ciała. Potem leżeli na boku, przyglądając się sobie. Jeff oparł się na łokciu i spoglądał z góry na Louise.

- Twój tatuś nie jest szeryfem, prawda? - zapytał.

- Co? - Usiadła ze zdziwienia.

- Jesteś pierwszą dziewczyną z miasta, z którą się kochałem. Wujek Willie zawsze ostrzegał mnie, że ich tatusiowie są szeryfami.

Potem każdą noc spędzali razem. Z początku bawiło to przyjaciół Louise. Myśleli: „Louise znalazła sobie następną zabawkę”. Ale kiedy pewnego dnia zwierzyła się im, że zamierza poślubić Jeffa, przerazili się nie na żarty.

- Na miłość Boską, Louise, on jest nikim. To tylko cyrkowiec. Mój Boże, równie dobrze mogłabyś wyjść za stajennego. Jest przystojny - zgoda. Ma boskie ciało. Ale poza seksem nie macie ze sobą nic wspólnego, kochanie.

- Louise! Jeff jest na śniadanie, nie na *obiad!*

- Musisz brać pod uwagę swoją pozycję społeczną.

- Aniołku, przecież on raczej nie pasuje do naszej sfery.

Ale uwagi te nie były w stanie wpłynąć na decyzję Louise.

Jeff był najfantastyczniejszą mężczyzną jakiego spotkała. Zauważyła, że mężczyźni odznaczający się wyjątkową urodą okazywali się albo monstrualnie głupi, albo pozbawieni poczucia humoru. Jeff był inteligentny i zabawny, a tej kombinacji nie potrafiła się oprzeć.

On sam przyjął propozycję małżeństwa z nie mniejszym zdumieniem niż jej przyjaciółki.

- Po co nam małżeństwo? Oddałem ci już moje ciało. Poza tym nie mogę dać ci niczego, czego byś już nie miała.

- To bardzo proste, Jeff. Zakochałam się w tobie. Chcę resztę życia spędzić u twego boku.

Małżeństwo, stanowiące dotąd jakąś niesłychanie odległą możliwość, stało się nagle zdumiewająco bliskie. Pod maską światowej, eleganckiej Louise Hollander kryła się wrażliwa, trochę zagubiona dziewczynka. „Ona mnie potrzebuje” - myślał Jeff. Wizja ustabilizowanego, rodzinnego życia w domu i w otoczeniu dzieci, stała się nagle niezmiernie pociągająca. Wydawało mu się, że zawsze, pokaż się pamięcią, żył w jakimś pośpiechu. Nadszedł czas, żeby z tym skończyć.

Ślub wzięli w Urzędzie Miejskim na Tahiti, trzy dni później.

Po powrocie do Nowego Jorku poproszono Jeffa, aby spotkał się ze Scottem Fogarty - adwokatem Louise Hollander - małym człowieczkiem o chłodnym usposobieniu, wąskich wargach i, jak domyślał się Jeff, równie wąskich horyzontach.

- Chciałbym, żeby pan podpisał pewien dokument - oświadczył adwokat.

- Jakiego rodzaju?

- Chodzi o oświadczenie, że w wypadku rozwiązania pańskiego małżeństwa z Louise Hollander...

- Louise Stevens.

- ...Louise Stevens, zrzeka się pan wszystkich korzyści majątkowych wynikających z...

Jeff kurczowo zacisnął szczęki.

- Gdzie mam podpisać?

- Nie poczeka pan, aż skończę czytać?

- Nie. Jest pan w błędzie. Nie ożeniłem się z nią dla jej pieprzonych pieniędzy.

- Wierzę panu, panie Stevens! To jest tylko...

- Chce pan żebym to podpisał, czy nie?

Prawnik podsunął Jeffowi dokument. Podpisał i wyszedł z biura, trzasnąwszy drzwiami. Limuzyna i kierowca Louise czekali na niego obok budynku. Jeff wszedł i uśmiechnął się do siebie.

„Po jakie licho strugam takiego ważniaka? Całe życie robię z siebie wariata, pieprzonego artystę, a kiedy wreszcie mogę z tym skończyć, a ktoś posądza mnie, że mam zamiar go nabrać, zachowuję się jak zaszary nauczyciel z niedzielnej szkółki”.

Louise zabrała Jeffa do najlepszego krawca na Manhattanie.

- Będziesz wyglądał fantastycznie w stroju wieczorowym - powiedziała.

Miała rację. Jeszcze nie wkroczyli w drugi rok małżeństwa, a już pięć najwierniejszych przyjaciółek Louise próbowało poderwać jej atrakcyjnego męża. Jeff zignorował je. Postanowił, że jego małżeństwo będzie udane.

Budge Hollander, brat Louise, wciągnął Jeffa na listę członków ekskluzywnego New York Pilgrim Club. Budge był pucołowatym mężczyzną w średnim wieku. Swój przydomek zawdzięczał grze w harwardzkiej drużynie piłkarskiej, gdzie cieszył się reputacją zawodnika nie do ruszenia z zajmowanej pozycji. Był właścicielem linii oceanicznej, plantacji bananów, kilku rancz hodowlanych, zakładów mięsnych i wielu innych przedsiębiorstw, których Jeff nie potrafił spamiętać. Nawet nie starał się ukryć swej pogardy dla Jeffa.

- Sam wiesz, stary, że raczej nie pasujesz do naszej paczki. Ale dopóki Louise ma z ciebie pożytek w łóżku, możesz się nie obawiać. Lubię moją siostrę.

Jeff z wielkim trudem zachowywał spokój. „Przecież nie ożeniłem się z tym fiutem tylko z Louise”.

Pozostali członkowie Pilgrim Club byli równie uprzejmi. Uważali Jeffa za maskotkę. Wszyscy codziennie w południe spotykali się na obiadach klubowych i prowokowali Jeffa do snucia opowieści z jego, jak to określali, karnawałowych czasów. Z satysfakcją wybierał zawsze najbardziej nieprzyzwoite historie.

Mieszkali w dwudziestopokojowym, miejskim domu we wschodniej części Manhattanu. Louise miała posiadłości na Long Island i na Bahamach, willę na Sardynii i wielki apartament przy Avenue Foch w Paryżu. Oprócz jachtu posiadała jeszcze maserati, rollsa corniche, lamborghini i daimlera.

„To fantastyczne!” - myślał Jeff.

„To wspaniałe!” - powtarzał sobie.

„To nudne - myślał jeszcze częściej - i ogłupiające”.

Pewnego ranka wstał ze swego dziewiętnastowiecznego łóżka z baldachimem, wciągnął jedwabny szlafrok i udał się na poszukiwanie Louise. Znalazł ją w pokoiku śniadaniowym.

- Muszę znaleźć sobie jakąś pracę - powiedział.

- Rany Boskie, kochanie, po co? - Nie potrzebujemy pieniędzy.

- To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Czy myślisz, że mogę tak w nieskończoność jeść z łyżeczki i siusiać w twoje prześcieradła? Muszę iść do pracy.

Louise namyślała się przez chwilę.

- Dobrze, aniołku. Porozmawiam z bratem. On ma firmę maklerską. Chcesz być maklerem, kochanie?

- Chcę po prostu stanąć na własnych nogach. Tyłek mnie boli od siedzenia - wyjąkał Jeff.

Zgodził się na pracę u Budge'a. Nigdy przedtem nie miał zajęcia o stałych godzinach urzędowania. „To musi być fascynujące” przewidywał Jeff.

Nienawidził tej pracy. Nie rzucał jej tylko dlatego, że denerwowało go branie pieniędzy od żony.

- Kiedy wreszcie zajdziesz w ciążę? - zapytał Louise którejś niedzieli po drugim śniadaniu.

- Niedługo, kochanie. Robię co mogę.

- Chodź do łóżka. Zrobimy to jeszcze raz.

Jeff siedział przy stoliku zarezerwowanym dla swego szwagra i sześciu innych rekinów przemysłowych w Pilgrim Club.

- Właśnie ogłosiliśmy coroczne sprawozdanie z działalności zakładów mięsnych. Nasze zyski poszły w górę o czterdzieści procent - oznajmił Budge.

- Jakżeby nie? - roześmiał się jeden z kompanów przy stole. - Przekupiłeś wszystkich pieprzonych inspektorów kontroli jakości. - Zwrócił się do pozostałych. - Stary cwany Budge znowu kupił jakieś ochłapy, postawił na nich stempelek i zgarnia za to cholerne krocie.

Jeff był wstrząśnięty.

- Do diabła, przecież *ludzie jedzą* to mięso. Dają je dzieciom. On żartuje, prawda, Budge?

Budge roześmiał się głośno.

- Patrzcie, jaki z niego świętoszek!

W ciągu następnych trzech miesięcy Jeff poznał wszystkich kompanów Budge'a, dosiadających się do jego stolika. Ed Zeller wydał milion dolarów na łapówki, żeby kupić fabrykę w Libii. Mike Quincy, szef korporacji, był gangsterem, który skupował przedsiębiorstwa i udzielał swoim kompanom nielegalnych informacji, dotyczących kupna i sprzedaży akcji. Alan Thompson, najbogatszy z całego grona, przechwalał się polityką swej firmy.

- Zanim zmienili te cholerne przepisy pracownicze, zwalnialiśmy staruchów na rok przed ich terminem emerytury. Zaoszczędziliśmy fortunę.

Wszyscy oni dokonywali kantów podatkowych, dopuszczali się oszustw ubezpieczeniowych, fałszowali rachunki wydatków i zysków i wciągali swoje aktualne kochanki na listę płac jako sekretarki albo asystentki.

„Chryste! - myślał Jeff to są po prostu przebrani artyści wujka Willie! Wszyscy czerpią zyski ze swych przedstawień”.

Ich żony nie były lepsze. Zagarniały pazernie wszystko, na czym zdołały położyć swoje łapy i nawet kantowały własnych mężów. „Po prostu grają w kluczyk” - konstatował Jeff.

Lecz gdy spróbował podzielić się ze swymi spostrzeżeniami z Louise, ta roześmiała się.

- Nie bądź naiwny, Jeff. Przecież nieźle ci się żyje, nieprawdaż? Choć właściwie nie było to prawdą. Ożenił się z Louise, bo wierzył, że go potrzebowała. Teraz tylko nadzieja na dzieci podtrzymywała go na duchu.

- Dlaczego ciągle nie mamy dzieci? Musi być chłopiec i dziewczynka. Przecież jesteśmy małżeństwem już od roku.

- Aniołku, cierpliwości! Byłam u lekarza i powiedział, że wszystko gra. Może to ty powinieneś się sprawdzić? Zobaczyć czy jesteś w porządku.

Jeff poszedł.

- Nie widzę żadnych przeszkód, aby miał pan zdrowe dzieci - zapewnił go doktor.

Louise wciąż nie mogła zajść w ciążę.

W pewien czarny poniedziałek świat Jeffa rozleciał się na kawałki. Zaczęło się to rankiem, kiedy szukając aspiryny, zajrzał do szafki, w której Louise trzymała lekarstwa. Znalazł tam całą półkę zastawioną pigułkami antykoncepcyjnymi; jedna przegródka była prawie pusta. Leżała w niej tylko flaszeczka białego proszku i mała złota łyżeczka. Ale to był dopiero początek.

W południe, kiedy Jeff siedział w głębokim fotelu w Pilgrim Club, czekając na zjawienie się Budge'a, od stolika za jego plecami dobiegła go rozmowa dwóch mężczyzn.

- Ona przysięga, że kutas tego włoskiego śpiewaka ma ponad dziesięć cali.

Rozległ się przytłumiony śmiech.

- No tak, Louise zawsze lubiła długie. „Oni mówią o innej Louise” - pomyślał Jeff.

- Pewnie dlatego wyszła za tego cyrkowca z „Karnawału”. Ale ona opowiada o nim niestworzone historie. Nie uwierzysz, co on wyczyniał pewnego dnia...

Jeff wstał i po omacku ruszył w kierunku wyjścia.

Ogarnął go straszny, nieprzytomny gniew. Po raz pierwszy w życiu chciał zabić. Chciał zabić nieznanego Włocha. Chciał zabić Louise. Z iloma jeszcze facetami sypiała w ciągu ostatniego roku? A oni przez cały ten czas nabijali się z niego. Budge i Ed Zeller, i Mike Quincy, i Alan Thompson, razem ze swoimi żonami, doskonale bawili się jego kosztem. No i sama Louise, kobieta, którą pragnął się opiekować. W pierwszym odruchu Jeff chciał spakować się i odjechać. Ale poczuł, że to mu nie wystarczy. Nie oni, te dranie, będą śmiać się ostatni.

Gdy Jeff po południu wrócił do domu, Louise tam nie było.

- Madame wyszła rano - powiedział lokaj Pickens. - Wydaje mi się, że miała kilka spraw do załatwienia.

„Na pewno miała - pomyślał Jeff. - Poszła pieprzyć się z tym Włochem o dziesięciocalowym fiucie. Jezu Chryste!”

Gdy Louise wróciła, starał się nie okazywać wzburzenia.

- Jak upłynął dzień? - zapytał.

- Och, cóż to było za nudziarstwo, Jeff. Kosmetyczka, fryzjer, zakupy... A co u ciebie, aniołku?

- Dosyć ciekawie - wyznał Jeff szczerze. - Wiele się nauczyłem.

- Budge mówi, że uczysz się szybko i dobrze się spisujesz.

- Tak, rzeczywiście - przytaknął Jeff. - Ale wkrótce spiszę się jeszcze lepiej.

- Mój zdolny mąż. Może dziś wcześniej pójdziemy do łóżka? - Louise poklepała go po ramieniu.

- Dziś raczej nie - odparł Jeff. - Strasznie boli mnie głowa.

Przez cały następny tydzień układał swój plan. Zaczął go realizować w klubie, podczas lunchu.

- Czy ktoś z was zna się na oszustwach komputerowych? - zapytał nieśmiało.

- Po co ci to? - zainteresował się Ed Zeller. - Masz zamiar jakiegoś popełnić?

Odpowiedział mu ogólny wybuch śmiechu.

- Nie, mówię całkiem serio - zapewniał Jeff. - To poważny problem. Ludzie pukają w klawisze i czyszczą banki, przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe i inne na miliardy dolarów. Jest coraz gorzej, z dnia na dzień.

- Widzę, że cię to ogromnie interesuje - szepnął Budge.

- Pewien człowiek skonstruował komputer, którego, jak powiada, nie można oszukać.

- A ty chcesz mu udowodnić, że można - zakpił Mike Quincy.

- Właściwie to szukam dla niego sponsorów. Dlatego pytam, czy ktoś z was wie coś o komputerach.

- Nie - zaśmiał się Budge. - Ale znamy się dobrze na sponsorowaniu wynalazców, prawda, przyjaciele?

Nowy wybuch śmiechu.

Dwa dni później Jeff podszedł do zwyczajowego stolika w klubie i przeprosił Budge'a.

- Przykro mi, ale nie mogę dziś zostać z wami. Jem lunch z gościem.

Usiadł przy innym stole i usłyszał jak Alan Thompson śmieje się.

- Pewnie umówiłeś się dziś na lunch z jakąś brodatą znajomą z cyrku.

Zgarbiony, rudowłosy pan wkroczył do jadalni, a kelner doprowadził go do stolika Jeffa.

- Jezu! - powiedział Mike Quincy - czy to nie profesor Ackerman?

- A kto to jest profesor Ackerman?

- Ty nic nie czytasz oprócz raportów finansowych, Budge? Veraon Ackerman był w zeszłym roku na okładce „Time”. Jest przewodniczącym Prezydenckiego Narodowego Towarzystwa Naukowego. To jeden z naszych najwybitniejszych uczonych.

- Co on, do cholery, może mieć wspólnego z moim kochanym szwagrem?

Jeff i profesor wdali się w zażartą dyskusję. Trwała ona przez cały lunch. Budge i jego przyjaciele byli coraz bardziej zaintrygowani. Gdy profesor wyszedł, Budge zaprosił Jeffa do stołu.

- Hej, Jeff. Kto to był?

- Och, masz na myśli Vernona? - Jeff zrobił niewinną minę.

- Tak. O czym rozmawialiście?

- My... ach... - Mężczyźni przy stoliku śledzili każdy ruch jego warg, jakby starając się odczytać z nich jeszcze nie wypowiedziane słowa. - Ja... och... może napiszę o nim książkę. To bardzo interesujący typ.

- Nie wiedzieliśmy, że jesteś pisarzem.

- Każdy musi kiedyś zacząć, no nie?

Po trzech dniach przy stoliku Jeffa pojawił się następny gość. Tym razem rozpoznał go Budge.

- Hej! To Seymour Jarrett, przewodniczący konsorcjum Jarrett International Computer. Co, do cholery, sprowadza go tutaj?

I tym razem Jeff wdał się ze swym gościem w długą, ożywioną dyskusję, której towarzyszyła gwałtowna gestykulacja. Po lunchu Budge zaczął wypytывать Jeffa:

- Co ty, chłopcze, masz wspólnego z Seymourem Jarrettem?

- Nic - odparł Jeff pospiesznie. - Po prostu gawędziliśmy. - Skierował się do wyjścia. Budge zatrzymał go.

- Nie tak szybko, stary przyjacielu. Seymour Jarrett to strasznie pracowity gość. Nie lubi siedzieć i gadać o niczym.

- Więc dobrze. - Jeff zdenerwował się - Chodzi o to, Budge, że Seymour zbiera znaczki, a ja opowiedziałem mu o znaczku, który próbuję dla niego zdobyć.

„Gówna prawda” - pomyślał Budge.

W następnym tygodniu rozmówcą Jeffa był Charles Bartlett, prezes Bartlett & Bartlett, jeden z największych na świecie prywatnych przedsiębiorców, obracających ogromnym kapitałem. Budge, Ed Zeller, Alan Thompson i Mike Quincy gapili się ze zdumieniem, podczas gdy ci dwaj, pochyleni ku sobie, rozprawiali o czymś szeptem.

- Nie ma wątpliwości, że twój szwagierek znalazł sobie niezłe zajęcie - zauważył Zeller. - Co on tam knuje, Budge?

- Nie wiem, ale dowiem się, kolego, jak Bóg w niebie. Skoro Jarrett i Bartlett wchodzi do gry, musi być nieelicha forsa - odparł z przekonaniem Budge.

Doczekali się wreszcie chwili, gdy Bartlett wstał, entuzjastycznie pożegnał się z Jeffem i wyszedł. Kiedy Jeff przechodził obok ich stolika, Budge złapał go za rękę.

- Siadaj, Jeff. Chcemy zamienić z tobą dwa słowa.

- Muszę wracać do biura - zaprotestował Jeff. - Ja...

- Pracujesz u mnie, pamiętaj. Usiądź. - Jeff usiadł. - Z kim rozmawiałeś przy lunchu?

- Z nikim szczególnym. - Jeff zawahał się. - Ze starym znajomym.

- Charlie Bartlett jest twoim starym znajomym? - Coś w tym rodzaju.

- A o czym rozmawialiście z nim, Jeff?

- Uch... głównie o samochodach. Stary Charlie lubi zabytkowe wozy, a ja słyszałem o tym packardzie rocznik 37, czterodrzwiowym, z odsuwającym dachem...

- Wypchaj się! - wygarnął Budge. - Nie zbierasz żadnych pieprzonych znaczków, ani nie piszesz żadnej zaszranego książki. Co czego naprawdę zmierzasz, Jeff?

- Do niczego. Ja...

- Zbierasz na coś pieniądze, prawda? - wtrącił się Ed Zeller.

- Nie! - Wykrzyknął to odrobinę za szybko. Budge otoczył Jeffa tłustym ramieniem.

- Hej, chłopcze, przecież to ja, twój szwagier! Jesteśmy rodziną, nie? - Chwycił go w niedźwiedzie łapska. - Czy to przypadkiem nie chodzi o ten odporny na oszustwa komputer, o którym wspomniałeś w zeszłym tygodniu, co?

Po minie Jeffa odgadli, że go rozgryźli.

- No dobrze, tak.

Byli gotowi go zagryźć, gdyby tylko mogli w ten sposób wydusić więcej informacji.

- Dlaczego nie powiedziałaś nam, że profesor Ackerman jest w to wmieszany?

- Nie myślałam, że was to interesuje.

- Myliłeś się. Jeśli potrzebujesz kapitału, to pogadaj najpierw z przyjaciółmi.

- Profesor i ja nie potrzebujemy żadnego kapitału - odparł Jeff. - Jarrett i Bartlett...

- Jarrett i Bartlett to cholerne rekiny! Oni cię pożrą żywcem! - wykrzyknął Alan Thompson.

Ed Zeller był tego samego zdania.

- Jeff, kiedy masz do czynienia z przyjaciółmi, możesz im zaufać. Nie skrzywdzą cię.

- Wszystko jest już załatwione - oświadczył Jeff. - Charlie Bartlett...

- Podpisywałaś już coś?

- Nie, ale dałem słowo.

- A więc *nie* dobiliście interesu, Jeff, chłopcze, w tych sprawach ludzie zmieniają zdanie co godzinę...

- Nawet nie powinienem z wami rozmawiać - zaprotestował Jeff. - Zwłaszcza o profesorze. On ma kontrakt z agencją rządową.

- Wiemy o tym - uspokoił go Thompson. - Czy zdaniem profesora wynalazek wart jest inwestowania?

- Och, on *jest* o tym przekonany.

- Skoro ten interes odpowiada Ackermanowi, to i my się możemy dołączyć, prawda, chłopcy?

Odpowiedział mu pomruk aprobaty.

- Ale ja nie jestem naukowcem - powiedział Jeff. - Nie mogę niczego zagwarantować. Z tego co wiem, to urządzenie może być w ogóle nic niewarte.

- Jeff. Rozumiemy. Ale założmy, że ono *jest* coś warte, Jeff. Jaka suma może wchodzić w grę?

- Budge, rynek na to jest na całym świecie. Sumy nie mogę wymieniać nawet w przybliżeniu. Każdy może tego potrzebować.

- Ile ci na to potrzeba, na początek?

- Dwóch milionów dolarów, ale na razie tylko dwustu pięćdziesięciu tysięcy na wstępne koszty. Bartlett obiecał...

- Zapomnij o tym. Niech już to zostanie w rodzinie. Sami zrobimy składkę, prawda, przyjaciele?

- Jasne.

Budge rozejrzał się i strzelił palcami; po chwili podbiegł kelner.

- Dominiku, przynieś panu Stevensowi papier i pióro. - Papier i pióro pojawiły się natychmiast. - Możemy załatwić ten drobiazg od ręki - wyjaśnił Budge Jeffowi. - Napisz na tym papierku, że przekazujesz nam prawa, a my podpiszemy. Rankiem dostaniesz uwierzytelniony czek na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jak ci się to podoba?

- Budge, ja obiecałem panu Bartlettowi... - Jeff przygryzł dolną wargę.

- Chrzań Bartletta - warknął Budge. - Z jego siostrą się ożeniłeś czy z moją? Bierz pióro i *pisz*.

- Nawet patentu na to nie mamy i...

- *Pisz do cholery!* - Budge wepchnął Jeffowi pióro do ręki. Jeff z widoczną niechęcią zaczął pisać:

Niniejszym zrzekam się wszelkich praw własności oraz prawa do produkcji i sprzedaży komputera matematycznego o nazwie SUCABA i aktualnej wartości rynkowej dwa miliony dolarów, na rzecz kupujących: Donaldą „Budge” Hollandera, Eda Zellera, Alana Thompsona oraz Mike’a Quincy, za sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. SUCABA przeszła pomyślne wstępne testy, jest niedroga, niezawodna w użytkowaniu oraz wyjątkowo oszczędna w poborze mocy, w czym przewyższa wszystkie znajdujące się aktualnie na rynku urządzenia. SUCABA nie wymaga obsługi serwisowej ani części zamiennych przez okres co najmniej dziesięciu lat.

Cała czwórka zaglądała mu przez ramię, gdy pisał.

- Jezu! - zdziwił się Ed Zeller. - Dziesięć lat? Nie ma na rynku komputera, który by to wytrzymał! Jeff pisał dalej:

Kupujący zostali poinformowani, iż ani profesor Vernon Ackerman, ani ja nie posiadamy patentu na SUCABA.

- Załatwimy to - przerwał niecierpliwie Alan Thompson - znam pewnego urzędnika w biurze patentowym. Jeff kontynuował:

Wyjaśniłem nabywcom, iż SUCABA może okazać się wynalazkiem bez wartości, i że ani profesor Ackerman, ani ja nie gwarantujemy żadnych dodatkowych zalet urządzenia oprócz wymienionych powyżej.

Podpisał dokument i podał Budge'owi.

- Czy to cię zadowala?

- Pewny jesteś tych dziesięciu lat? - zapytał Budge.

- Gwarantowane. Teraz zrobię kopię - powiedział Jeff. Przyglądali się, jak przepisywał dokument.

Budge wyrwał mu go z rąk i podpisał. Zeller, Quincy i Thompson zaraz po nim. Budge promieniał:

- Jeden egzemplarz dla nas, a drugi dla ciebie. Stary Seymour Jarrett i Charlie Bartlett zdenerwują się troszeczkę, co, chłopcy?! Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszą, że wykolegowaliśmy ich z tej imprezy.

Następnego dnia Budge wręczył Jeffowi czek na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Gdzie komputer? - zapytał.

- Kazałem go dostarczyć do klubu w południe. Myślę, że wszyscy zainteresowani powinni go od razu obejrzeć.

- Wiesz, Jeff? Jesteś porządny chłop. Zobaczymy się na lunchu. - Budge poklepał go po ramieniu.

Punktualnie w południe do jadalni Pilgrim Club wkroczył posłaniec, trzymając spore pudełko. Doprowadzono go do stołu Budge'a, gdzie siedzieli już Zeller, Thompson i Quincy.

- Jest! - wrzasnął podniecony Budge. - Jezu! Ta przeklęta maszyna jest nawet przenośna.

- Poczekamy na Jeffa? - zapytał Thompson.

- Cholera z nim. Teraz to należy do nas. - Budge zerwał papier z pudła. Wnętrze wymoszczone było słomą. Ostrożnie, prawie z szacunkiem, podniósł spoczywający w nim przedmiot.

Mężczyźni siedzieli, przyglądając mu się. Była to kwadratowa rama, około trzydziestu centymetrów długości, z szeregiem drutów, na które nanizane były koraliki. Zapadła kamienna cisza.

- Co to jest? - przerwał w końcu ciszę Quincy.

- To jest liczydło - odpowiedział mu Alan Thompson. - Jedna z tych rzeczy, których używają do liczenia na wschodzie. - Nagle, w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia - Jezu! SUCABA to *abacus* czytane od końca! - Popatrzył na Budge'a. - Czy to jakiś kawał?

- Niedrogie, niezawodne, pobór mocy mniejszy niż w każdym innym komputerze na rynku... Wstrzymajcie ten przeklęty czek! - zasyczał gniewnie Zeller.

Rzucili się razem do telefonu.

- Czek na 250 tysięcy dolarów - upewnił się naczelny kasjer. - Nie ma powodu do obaw, pan Stevens zrealizował go dziś rano.

Lokajowi Pickensowi było bardzo przykro, ale pan Stevens spakował się i wyjechał. Wspomnił coś o pilnej podróży, która może się przedłużyć.

Jeszcze tego samego popołudnia zdenerwowany Budge zdołał skontaktować się z profesorem Vernonem Ackermanem.

- Oczywiście. Jeff Stevens. Uroczy człowiek. Więc to pański szwagier?

- Panie profesorze, o czym pan dyskutował z Jeffem?

- Sądzę, że to żadna tajemnica. Jeff bardzo chciałby napisać o mnie książkę. Przekonywał mnie, że publiczność pragnie poznać ludzkie oblicze pracownika naukowego.

Seymour Jarrett nie był skłonny do rozmowy.

- Co to pana obchodzi, o czym rozmawialiśmy z Jeffem? Czy pan również jest filatelistą?

- Nie, jestem...

- Węszanie w tej sprawie nic panu nie da. Jest tylko jeden taki znaczek na świecie, a pan Stevens obiecał, że mi go sprzeda, gdy tylko go zdobędzie.

Po czym odłożył słuchawkę.

Budge jeszcze przed rozmową z Bartlettem domyślał się, co usłyszy.

- Jeff Steven? Och, tak. Kolekcjonuję stare samochody. Jeff obiecał mi tego packarda rocznik 37, czterodrzwiowego, w doskonałym stanie...

Tym razem Budge odłożył słuchawkę.

- Nie martwcie się - powiedział do swoich kompanów. - Odzyskamy nasze pieniądze i wsadzimy tego sukinsyna za kratki na resztę życia. Jest jeszcze prawo na oszustów.

Następnie kompani Jeffa udali się do Scotta Fogarty.

- Nabrał nas na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów - oznajmił Budge mecenasowi. - Chcę go wpakować do mamra na resztę życia. Załatw nam nakaz aresztowania albo...

- Masz ze sobą umowę?

- Jest tutaj - Budge podał Fogarty'emu kartkę ze spisaną przez Jeffa umową.

Prawnik przeczytał ją szybko, potem drugi raz - powoli i uważnie.

- Czy on sfalszował wasze podpisy?

- Nie, skąd? - odpowiedział Mike Quincy - my to podpisaliśmy.

- Czy przeczytaliście przed podpisaniem?

- Pewnie że przeczytaliśmy - obruszył się Ed Zeller. - Myślisz, że jesteśmy głupi, czy co?

- W takim razie osądźcie sami. Podpisaliście kontrakt stwierdzający, że jesteście poinformowani, iż to co zakupujecie za zaliczkę 250 tysięcy dolarów jest przedmiotem, który nie został opatentowany i może okazać się kompletnie bezwartościowy. Jak powiedziałby pewien mój stary profesor: „Zostaliście udupieni w majestacie prawa”.

Jeff uzyskał rozwód w Reno. Właśnie urządzając się w tym mieście, poznał przypadkowo Conrada Morgana. Morgan swego czasu pracował u wujka Willie.

- Może wyświadczysz mi drobną przysługę, Jeff? - zapytał Morgan. - Pewna młoda dama jedzie pociągiem z Nowego Jorku do St. Louis z biżuterią...

Jeff spojrział w okno samolotu i pomyślał o Tracy. Uśmiechnął się do siebie.

Od razu po powrocie do Nowego Jorku Tracy udała się do „Conrad Morgan et Cie Jewellers”. Conrad Morgan wprowadził ją do biura i zamknął za sobą drzwi. Zatarł ręce i zagaił rozmowę:

- Już się zaczynałem niepokoić, moja droga. Czekałem na ciebie w St. Louis i...

- Nie było pana w St. Louis.

- Co? Co takiego? - Jego niebieskie źrenice rozszerzyły się ze zdumienia.

- Mówię, że nie pojechał pan do St. Louis. Nigdy nie zamierzał pan tam pojechać.

- Ależ oczywiście, że pojechałem! Pojechałem, aby odebrać klejnoty i...

- Wysłał pan dwóch ludzi, aby mi je odebrali. Powoli zdziwienie ustępowało miejsca osłupieniu. - Nic nie rozumiem.

- Początkowo sądziłam, że chodzi o jakiś przeciek w pana organizacji, ale nie było żadnego, prawda? To pańska robota. Pan osobiście kupował dla mnie bilet kolejowy, więc jest pan jedyną osobą, która знаła numer mojego przedziału. Jechałam pod fałszywym nazwiskiem i w przebraniu, a jednak pańscy ludzie wiedzieli dokładnie, gdzie mnie szukać.

Na jego twarzy cherubina odmalowało się zaskoczenie.

- Czyli twierdzi pani, że jacyś ludzie zrabowali klejnoty? - Tracy uśmiechnęła się.

- Chcę panu powiedzieć, że im się to *nie* udało. - Tym razem zaskoczenie na twarzy Morganą było autentyczne.

- *Ma* pani klejnoty?

- Tak. Pańscy przyjaciele tak bardzo spieszyli się na samolot, że zostawili mi je. Morgan przyglądał się Tracy przez długą chwilę.

- Przepraszam.

Wyszedł do przyległego pokoju, a Tracy usiadła na kanapie, odprężona i zadowolona z siebie.

Conrad Morgan powrócił po piętnastu minutach z miną dość markotną.

- Obawiam się, że zaszła pomyłka. *Gruba* pomyłka. Pani jest bardzo sprytną młodą damą, panno Whitney. Zapracowała pani na swoje dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. - Uśmiechnął się z uznaniem. - Odda mi pani klejnoty, a ja...

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- Słucham?

- Byłam zmuszona kraść je dwukrotnie. Należy mi się za to pięćdziesiąt tysięcy dolarów, panie Morgan.

- Nie - odparł bezdźwięcznie. Jego oczy przygasły. - Niestety, nie mogę zapłacić pani za nie aż tyle.

Tracy wstała.

- Doskonale, panie Morgan. W takim razie znajdę kogoś w Las Vegas, kto uważa, że są one warte tych pieniędzy. - Ruszyła w stronę drzwi.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów? - upewnił się Conrad Morgan. Tracy skinęła głową. - Gdzie są te klejnoty?

- W prywatnym schowku bagażowym na Penn Station. Natychmiast po otrzymaniu gotówki, gdy odprowadzi mnie pan do taksówki, dam panu klucz do skrytki.

- Niech już tak będzie - Conrad Morgan westchnął z rezygnacją.

- Dziękuję - wesoło odparła Tracy. - Lubię prowadzić z panem interesy, panie Morgan.

Daniel Cooper otrzymał zaproszenie na zebranie u J.J. Reynoldsa. Domyślał się, o czym będzie mowa, ponieważ już poprzedniego dnia do wszystkich detektywów firmy wysłano notatkę służbową w związku z włamaniem do domu Lois

Bellamy w zeszłym tygodniu. Konferencje takie uważał za nudne i bezsensowne, nie miał po prostu cierpliwości słuchać głupiego gadania.

Spóźnił się czterdzieści pięć minut i wszedł do biura Reynoldsa w trakcie przemówienia swojego szefa.

- To miło, że wpadłeś - zauważył Reynolds z lekkim sarkazmem. Nie doczekał się odpowiedzi. „To nie ma sensu” - pomyślał Reynolds. Jak można było się spodziewać, Cooper nie wyczuł w jego głosie ironii. Wiedział tylko jak łapać przestępców, ale na tym polu - i tu Reynolds oddawał mu sprawiedliwość - nie miał sobie równych.

W biurze znajdowało się poza nim trzech głównych detektywów firmy: David Swift, Robert Schiffer i Jerry Davis.

- Czytaliście wszyscy raport o rabunku w willi Bellamy - stwierdził Reynolds - ale ostatnio pojawił się nowy szkopuł: okazało się, że Lois Bellamy jest kuzynką komisarza policji. Komisarz szaleje.

- A co robi policja? - zapytał Davis.

- Przede wszystkim stara się unikać dziennikarzy. Nie dziwię się temu. Funkcjonariusze poczynali sobie jak gliniarz z Beverly Hills. *Rozmawiali* z włamywaczką, którą zaskoczyli w domu i pozwolili jej uciec.

- Więc powinni przynajmniej dobrze zapamiętać jej rysopis - zasugerował Swift.

- Zapamiętali jej rysopis od szyi w dół - odrzekł ze złością Reynolds. - Tak bardzo byli zafascynowani jej figurą, że zapomnieli, po co tam przyjechali. Nie znają nawet koloru jej włosów. Na głowie miała siatkę do włosów, a na twarzy - maseczkę kosmetyczną. Mówią, że była to kobieta około dwudziestki, z fantastyczną dupą i biustem. Nie pozostawiła najmniejszego śladu. Żadnej informacji na początek. Nic.

Niespodziewanie zabrał głos Daniel Cooper.

- Owszem, mamy ślad.

- O czym ty mówisz?

- Wiem, kto to zrobił.

Poprzedniego dnia, po przeczytaniu notatki służbowej, Cooper postanowił obejrzeć najpierw dom Bellamy. Wydawało mu się to jedynym logicznym sposobem postępowania. Logika dla niego była naturalnym porządkiem świata, przynosiła rozwiązanie każdego problemu, ale stosując jej zasady - należało zawsze zaczynać od początku. Cooper zatrzymał samochód na szosie obok posiadłości Bellamy na Long Island, przyjrzał się domowi i nie wysiadając z samochodu, zawrócił z powrotem w kierunku Manhattanu. Dowiedział się wszystkiego, co chciał wiedzieć. Dom stał na uboczu, w pobliżu nie jeździł żaden autobus, a to znaczyło, że włamywaczką mogła dojechać tylko samochodem.

Wyjaśnił to wszystkim mężczyznom siedzącym w biurze Reynoldsa.

- Ponieważ prawdopodobnie nie skorzystała z własnego samochodu, który można łatwo odszukać, wóz zapewne został skradziony albo wypożyczony. Postanowiłem sprawdzić najpierw agencje „Rent a Car”. Założyłem, że złodziejka wynajęła samochód na Manhattanie, gdzie najłatwiej zatrzeć za sobą ślady.

Na Jerrym Davisie nie zrobiło to wrażenia.

- Chyba żartujesz, Cooper. Na Manhattanie wypożycza się tysiące samochodów dziennie.

Cooper zignorował tę uwagę.

- Wszystkie wypożyczenia wozów są rejestrowane przez komputery. Stosunkowo mało samochodów wypożyczają kobiety. Sprawdziłem wszystkie. Pani, którą mam na myśli, skorzystała z usług „Budget Rent a Car” na moło sześćdziesiąt jeden przy West 23 Street. Wynajęła chevy caprice o godzinie dwudziestej dnia, w którym popełniono przestępstwo, i zwróciła go do agencji nazajutrz o czternastej.

- Skąd wiesz, że był to samochód złodziejka? - zapytał sceptycznie Reynolds. Cooper nie lubił odpowiadać na głupie pytania.

- Sprawdziłem ilość przejechanych kilometrów. Do domu Lois Bellamy są stamtąd czterdzieści dwa kilometry i drugie tyle z powrotem. Zgadza się to dokładnie z danymi na liczniku chevy caprice. Samochód wynajęła pod nazwiskiem Ellen Branch.

- Zmyślonym - zauważył David Swift.

- Słusznie. Naprawdę nazywa się Tracy Whitney. Wszyscy spojrzeli na niego.

- Skąd to wiesz, do diabła? - Schiffer pierwszy odzyskał głos. - Podała fałszywe nazwisko i adres, ale musiała podpisać umowę najmu. Zaniósłem jej oryginał na

posterunek One Police Plaza i poprosiłem o zbadanie odcisków palców. Były identyczne z odciskami Tracy Whitney. Ona siedziała w więzieniu w południowej Luizjanie. Jeśli pamiętacie, rozmawiałem z nią jakiś rok temu w sprawie skradzionego Renoira.

- Pamiętam - skinął Reynolds. - Twierdziłeś wtedy, że jest niewinna.

- Wtedy była. Teraz już nie. Wyczyściła willę Bellamy. „Temu gnojkwowi znowu się udało! I jeszcze twierdzi, że to takie proste!” Reynolds starał się nie okazywać niechęci.

- To... świetna robota, Cooper, gratuluje. Naprawdę świetna, teraz ją mamy. Wystąpimy do policji o nakaz aresztowania i...

- Pod jakim zarzutem? - spytał Cooper łagodnie. - Wynajęcia samochodu? Policja nie potrafi jej zidentyfikować, a nie ma nawet cienia dowodu przeciwko niej.

- Więc co mamy zrobić? - zabrał głos Schiffer. - Pobłogosławić ją na nową drogę życia?

- Tym razem, tak - odparł Cooper. - Ale teraz wiem, kim jest. Na pewno jeszcze kiedyś spróbuje jakiejś sztuczki, a wtedy ją złapię.

Zebranie było skończone. Cooper rozpaczliwie potrzebował kąpieli. Wyjął małą, czarną książeczkę i zapisał w niej bardzo starannie: TRACY WHITNEY.

„Teraz mogę rozpocząć życie od nowa - postanowiła Tracy. - Ale jakie życie? Przedtem byłam niewinną, naiwną ofiarą, lecz kim jestem teraz? No tak - złodziejką”. Pomyślała o Joe Romano, Anthonym Orsatti, Perrym Pope, sędzi Lawrensie. „Nie, nie złodziejką. Zostałam mścicielką, właśnie tak. I może troszeczkę miłośniczką przygód”. Przechytrzyła policję, dwóch zawodowych oszustów, obłudnego jubilera. Na wspomnienie Ernestyny i Amy ogarnął ją gniew. Pod wpływem impulsu pojechała do sklepu F.A.O. Schwartza, kupiła teatrzyk lalkowy, kompletny, ze sceną i sześcioma lalkami, i wysłała go do Amy. Na kartce napisała:

Posyłam ci nowych przyjaciół. Tęsknię za tobą, Tracy.

Potem, w salonie futrzarskim na Madison Avenue kupiła niebieską etolę z lisów. Dołączyła do niej przekaz pocztowy na dwieście dolarów i wszystko to wysłała Ernestynie. Na kartce napisała po prostu:

Dziękuję, Ernie. Tracy.

„Nareszcie spłaciłam wszystkie długi” - pomyślała. Było to przyjemne uczucie. Była wolna, mogła pojechać gdziekolwiek zapragnie, robić wszystko, co jej się spodoba.

Uczciła swoją niezależność, wprowadzając się do apartamentu Tower w hotelu „Helmsley Palace”. Z okna salonu na czterdziestym siódmym piętrze widziała daleko katedrę św. Patryka i jeszcze dalej zarys mostu George’a Washingtona. Zaledwie kilka kilometrów dzieliło ją od przerażającej nory, w której ostatnio mieszkała. „Nigdy więcej!” - przyrzekła sobie.

Otworzyła butelkę szampana - prezent od kierownictwa hotelu - i siedziała sącząc go i obserwując słońce, zachodzące powoli za ogromnymi drapaczami chmur na Manhattanie. Zanim ukazał się księżyc - podjęła decyzję. Pojedzie do Londynu. Trzeba trochę zasmakować tych wszystkich wspaniałości, które oferuje życie. „Spłaciłam już wszystkie długi - pomyślała. - Zasłużyłam sobie na trochę szczęścia”.

Leżąc w łóżku, włączyła telewizor, by obejrzeć nocne wydanie dziennika. Przeprowadzano wywiad z dwiema osobami. Borys Mielnikow był niskim, krępy Rosjaninem, ubranym w źle dopasowany, brązowy garnitur, a Piotr Negulesco - jego przeciwieństwem: szczupłym i wysokim, elegancko ubranym mężczyzną. Tracy zastanawiała się, co ich łączyło.

- Gdzie ma się odbyć turniej szachowy? - zapytał prowadzący program.

- W Soczi, na pięknym wybrzeżu Morza Czarnego - odpowiedział Mielnikow.

- Obaj panowie jesteście posiadaczami tytułów międzynarodowych arcymistrzów szachowych. W poprzednich spotkaniach na przemian odbieraliście sobie mistrzostwo świata, a ostatni turniej zakończył się remisem. Obecnie mistrzem jest pan Mielnikow. Panie Negulesco, czy ma pan nadzieję ponownie odzyskać ten tytuł?

- Mam co do tego pewność - stwierdził z przekonaniem Rumun.

- Negulesco nie ma szans - odpowiedział natychmiast Rosjanin.

Tracy nie znała się na szachach, ale arogancja tych ludzi wydawała jej się niestosowna. Wyłączyła przy pomocy zdalnego sterowania telewizor i poszła spać.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, Tracy, wstąpiwszy do biura podróży, zarezerwowała sobie kajutę pierwszej klasy na pokładzie „Queen Elizabeth II”. Cieszyła się jak dziecko na tę pierwszą w życiu zagraniczną podróż; całe trzy dni spędziła na szykowaniu bagaży i ubrań.

W dniu wyjazdu, rankiem, Tracy wynajęła samochód i udała się na nabrzeże. Dojechała do miejsca zacumowania statku. Roilo się fotografów i reporterów telewizyjnych. Na chwilę ogarnęło ją przerażenie. Potem zauważyła, że reporterzy przeprowadzali wywiad z dwoma mężczyznami stojącymi obok trapu - Mielnikowem i Negulesco, międzynarodowymi arcymistrzami szachów. Tracy przedarła się przez tłum, pokazała swój paszport oficerowi stojącemu przy trapie i weszła na pokład. Cekał tam steward, który, spojrzawszy na bilet Tracy, skierował ją do kajuty. Był to właściwie wspaiały apartament, z własnym tarasem, bardzo drogi, ale, jak stwierdziła Tracy, wart swojej ceny.

Po rozpakowaniu walizek przeszła się korytarzem. Prawie w każdej kabynie trwały przyjęcia pożegnalne, dobiegały ją stamtąd przerywane śmiechem rozmowy, strzelały korki szampana. Opanowało ją uczucie osamotnienia. Nikt jej nie odprowadzał, nikt nie troszczył się o nią, a ona także za nikim nie tęskniła. „Nie, to

nieprawda - pomyślała sobie Tracy. - Duża Berta za mną tęskni”. Roześmiała się głośno.

Poszła dalej w kierunku pokładu szalupowego, nie dostrzegając przyglądających się jej z podziwem mężczyzn i zazdrosnych, ukradkowych spojrzeń kobiet.

Usłyszała niski, basowy dźwięk syreny i powtarzany przez megafon komunikat: „Wszyscy zegnający proszeni są o opuszczenie pokładu”. Opanowało ją podniecenie. Za chwilę odpłynie w zupełnie nieznaną przyszłość. Poczwała, jak wielki kadłub okręgu drgnął nagle, gdy holowniki rozpoczęły wyprowadzanie go z portu. Stała na pełnym pasażerów pokładzie, patrząc na znikającą Statuę Wolności. Potem poszła na spacer.

„Queen Elizabeth II” była prawdziwym oceanicznym miastem długości około trzystu metrów i wysokim na trzynaście pięter. Na statku były cztery restauracje, sześć barów, dwie sale balowe, dwa nocne kluby, uzdrowisko oceaniczne „Złote Drzwi”, mnóstwo sklepów, cztery baseny pływackie, sala gimnastyczna, pole golfowe i ścieżka do uprawiania joggingu... „Na takim okręcie można spędzić całe życie” - pomyślała Tracy.

Zarezerwowała sobie stół w grill-barze „Księżniczka”, znacznie przytulniejszym i bardziej elegancko urządzonej niż główna jadalnia. Ledwo zdążyła usiąść, gdy usłyszała znajomy głos:

- Cóż za spotkanie!

Zadarła głowę: stał tam Tom Bowers, rzekomy agent FBI. „Och, nie! Tylko nie on!” - pomyślała z przerażeniem.

- Wspaniała niespodzianka! Czy mogę się przysiąść?

- W żadnym wypadku! - Usadowił się na krześle naprzeciw niej i uśmiechnął się promiennie.

- Przecież możemy zostać przyjaciółmi. Mimo wszystko, przybyliśmy tutaj, w tym samym celu, czyż nie? - Tracy nie miała pojęcia, czego dotyczyła ta uwaga.

- Panie Bowers...

- Stevens - sprostował. - Jeff Stevens.

- Wszystko jedno. - Tracy zbierała się do odejścia.

- Poczekaj. Chciałbym ci coś wyjaśnić w związku z naszym ostatnim spotkaniem.

- Nie ma tu nic do wyjaśniania. Nawet upośledzone dziecko mogłoby cię rozszyfrować.

- Miałem dług wobec Conrada Morgana. - Przybrał żalną minę. - Obawiam się, że nie był ze mnie zbyt zadowolony.

Miał w sobie ten sam chłopięcy urok, który oczarował ją poprzednio. „Na miłość boską, Dennis, nie musimy zakładać jej kajdanek. Nigdzie nie ucieknie...”

- Twoja obecność nie budzi we mnie zachwytu - odparła gniewnie. - Skąd wzięłeś się na tym okręcie? Czy nie powinieneś raczej podróżować łódką po rzece?

- Jeśli *tym* okrętem podróżuje Maksymilian Pierpont - roześmiał się - możemy go nazywać łódką.

- Kto?

- Nie udawaj. Naprawdę to nazwisko nic ci nie mówi? - spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- A co ma mi mówić?

- Maks Pierpont to najbogatszy człowiek na świecie. Jego ulubionym zajęciem jest wykończanie konkurencyjnych spółek. Lubi spokojne konie i energiczne kobiety, a jednych i drugich ma pod dostatkiem. To ostatni wielki leniuch tego świata.

- A ty masz zamiar uwolnić go od nadmiaru bogactwa?

- Właściwie to nawet od sporej jego części - mówiąc to przyglądał się Tracy z zainteresowaniem. - Czy wiesz, co powinniśmy zrobić razem?

- Pewnie że wiem, panie Stevens. Powinniśmy powiedzieć sobie do widzenia.

Odprowadzał ją wzrokiem, gdy wstawała i wychodziła z jadalni.

Zamówiła obiad w kabinie. Jedząc zastanawiała się, jakie to fatalne zrządzenie losu sprowadziło na jej drogę Jeffa Stevensa. Nigdy chyba nie zapomni tych strasznych chwil w pociągu, kiedy sądziła, że została aresztowana. „Nie, Jeff Stevens nie jest w stanie zepsuć tej wspaniałej podróży. Po prostu zignoruję go”.

Po obiedzie Tracy długo spacerowała po pokładzie. Noc była cudowna, z miliardami gwiazd, rozsianych po aksamitnym niebie. Stała przy burcie w świetle księżycy, zapatrzona w łagodną fosforescencję fal, wsłuchana w szum nocnego wiatru. Pojawił się zupełnie nieoczekiwanie.

- Nie masz pojęcia jak wspaniale pasujesz do otoczenia. Czy wierzysz w morskie romanse?

- Oczywiście. Ale bez *twojego* udziału. - Odeszła parę kroków.

- Poczekaj. Coś ci powiem. Właśnie dowiedziałem się, że Maksa Pierponta nie ma jednak na statku. Zrezygnował w ostatniej chwili.

- Bardzo żałuję. Zmarnowałeś swój bilet.

- Niekoniecznie. - Przyglądał jej się uważnie. - Co myślisz o zbiciu na tym okręcie małej fortunki?

„Ten człowiek jest nieprawdopodobny”.

- Jeśli nie masz pod ręką łodzi podwodnej albo helikoptera, nie wydaje mi się, byś mógł ujść stąd cało po ograbieniu kogokolwiek.

- Kto mówi o ograbianiu? Słyszałaś kiedyś o Borysie Mielnikowie i Piotrze Negulesco?

- Powiedzmy.

- Mierników i Negulesco jadą do Rosji na turniej szachowy.

Mają grać ze sobą o mistrzostwo świata. Jeśli zorganizuję ci grę z każdym z nich... - mówił Jeff z pasją - możemy wygrać masę pieniędzy. To doskonały interes. - Tracy patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Jeśli ty zorganizujesz mi grę... z nimi? I to ma być ten twój wspaniały interes?

- Mhm. Jak ci się to podoba?

- Ogromnie. Ale jest drobna przeszkoda.

- Jaka?

- Nie umiem grać w szachy.

- Drobiazg. - Uśmiechnął się pobłaźliwie. - Nauczę cię.

- Chyba zwariowałeś - powiedziała Tracy. - Jeśli chcesz posłuchać dobrej rady, to poszukaj jakiegoś psychiatry. Dobranoc.

Nazajutrz Tracy dosłownie zderzyła się z Borysem Mielnikowem. Uprawiał jogging przy szalupach ratunkowych i gdy skręcała za róg, wpadł na nią, zwalając dziewczynę z nóg.

- Uważaj, gdzie łazisz! - krzyknął i pobiegł dalej.

Tracy usiadła na pokładzie i popatrzyła za nim. „Straszliwy cham!” - Wstała i otrzepała się. Podszedł steward.

- Czy coś się pani stało? Widziałem go.

- Nie, wszystko w porządku, dziękuję. Nikt nie był w stanie zepsuć jej tej podróży.

Po powrocie do kabiny Tracy odebrała sześć listów, w których Jeff Stevens nalegał na spotkanie. Zignorowała je. Po południu pływała w basenie, trochę czytała, poszła na masaż i do chwili, gdy wieczorem wstąpiła do baru na koktajl, czuła się doskonale. Jej euforia trwała krótko. Przy barze siedział Rumun, Piotr Negulesco. Zobaczywszy Tracy wstał i podszedł do niej.

- Czy mogę zamówić drinka dla pięknej pani?

- Oczywiście, czemu nie? - Tracy uśmiechnęła się. - Dziękuję.

- Co pani pije?

- Poproszę wódkę i tonik. - Negulesco wydał polecenie barmanowi.

- Jestem Piotr Negulesco - zwrócił się do Tracy.

- Wiem.

- Oczywiście. Wszyscy mnie znają. Jestem najlepszym szachistą na świecie. W moim kraju uważają mnie za bohatera narodowego. - Nachylił się do ucha Tracy, położył jej rękę na kolanie i rzekł półgłosem: - Jestem też niezrównany w łóżku.

- Co takiego? - Tracy pomyślała, że musiała się przesłyszeć.

- Jestem niezrównany w łóżku.

Pod wpływem pierwszego impulsu chciała chlusnąć wódką w jego twarz, ale pohamowała się. Wpadła na lepszy pomysł.

- Przepraszam - powiedziała - muszę spotkać się ze znajomym.

Poszła szukać Jeffa Stevensa. Znalazła go w grill-barze „Księżniczka”, lecz gdy podchodziła do jego stolika, dostrzegła, że był w towarzystwie wspaniale wyglądającej blondynki o zachwycającej figurze, ubranej w suknię wieczorową, która wyglądała jakby była ręcznie malowana. „Mogłam się spodziewać” - pomyślała. Odwróciła się i odeszła korytarzem. W chwilę później Jeff był przy niej.

- Tracy... Czy chciałaś się ze mną zobaczyć?

- Nie chcę cię odciągać od twojego... obiadu.

- Ona jest na deser - odparł Jeff chłodno. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Mówiłeś poważnie o Mielnikowie i Negulesco?

- Pewnie. Bo co?

- Myślę, że obaj zasługują na lekcję dobrych manier.

- Ja też tak myślę. A przy okazji moglibyśmy nieźle zarobić.

- Dobrze. Jaki masz plan?

- Prosty. Pokonasz ich w turnieju szachowym.

- Ja mówię poważnie.

- Ja również.

- Powiedziała ci, że nie gram w szachy. Nie odróżniam pionka od królowej.

Ja...

- Nie przejmuj się. Po kilku lekcjach ze mną, rozgromisz ich obu.

- *Obu?*

- Och, nie powiedziałem ci? Będziesz grała z oboma jednocześnie.

Jeff siedział z Borysem Mielnikowem w barze „Dwa Głębsze”.

- Ta kobieta to fantastyczna szachistka - zwierzał się Jeff - ale podróżuje incognito.

- Kobiety nie potrafią grać w szachy. - Rosjanin chrząknął. - Nie potrafią myśleć.

- Ale ona jest wyjątkiem. Powiedziała, że pokona pana bez trudu.

- *Nikt* mnie nie pokona, ani bez trudu, ani z trudem. - Borys Miernikow roześmiał się hałaśliwie.

- Chciałaby założyć się z panem o dziesięć tysięcy dolarów. Ona proponuje panu i Piotrowi Negulesco rozgrywkę symultaniczną. Jeśli przynajmniej jedna partia zakończy się remisem - wygrywa zakład.

- Co?! - To... to śmieszne! - Borys Mielnikow zakrztusił się swoim drinkiem. - Chce grać z nami oboma jednocześnie? Ta... ta kobieta, amatorka?

- Właśnie ona. Po dziesięć tysięcy dolarów od partii.

- Powinienem się zgodzić choćby po to, żeby nauczyć ją rozumu.

- Jeśli pan wygra, pieniądze zostaną zdeponowane w dowolnym wybranym przez pana kraju.

Wyraz chciwości pojawił się przez chwilę na twarzy Rosjanina.

- Nigdy nie słyszałem o tej kobiecie. Chce grać z nami oboma jednocześnie? Mój Boże, to chyba jakaś wariatka.

- Oferuje dwadzieścia tysięcy gotówką.

- Jakiej jest narodowości?

- Jest Amerykanką.

- Aha, teraz rozumiem. Wszyscy bogaci Amerykanie są stuknięci, a ich żony jeszcze bardziej.

- Cóż, w takim razie będzie musiała zadowolić się partią z panem Piotrem Negulesco. - Jeff wstał.

- Negulesco przyjął tę propozycję?

- Tak, nie wspominałem panu? Chciała zagrać z oboma arcymistrzami, ale jeżeli pan się boi...

- *Boi się?* Borys Mielnikow miałby się bać? - ryknął chrapliwie Rosjanin. - Ja ją po prostu zmiażdżę. Kiedy ma się odbyć ten śmieszny mecz?

- Ona proponuje piątkowy wieczór. Ostatni wieczór przed zawinięciem do portu. - Borys Mielnikow zamyślił się głęboko.

- Turniej złożony z trzech partii i decydują dwie wygrane?

- Nie. Tylko jedna partia.

- Za dziesięć tysięcy dolarów?

- Właśnie tak.

- Nie mam ze sobą takiej sumy - westchnął Rosjanin.

- To żaden problem - zapewnił go Jeff. - Wszystko, czego naprawdę pragnie panna Whitney, to dostąpić zaszczytu gry z wielkim Borysem Mielnikowem. Jeśli wygra zakład - zadowolony się pańskim zdjęciem i autografem. Jeśli przegra - otrzyma pan dziesięć tysięcy dolarów.

- Kto przyjmuje zakłady? - W głosie Mielnikowa zabrzmiała nieufność.

- Skarbnik okrętowy.

- Więc dobrze - podjął decyzję Mielnikow - w piątek wieczorem. Zaczniemy punktualnie o dziesiątej.

- Panna Whitney będzie uszczęśliwiona - zapewnił go Jeff. Następnego ranka Jeff rozmawiał z Piotrem Negulesco w sali gimnastycznej, gdzie spotkali się podczas treningu.

- Jest Amerykanką? - spytał Negulesco. - Właściwie powinienem się domyślić. Wszyscy Amerykanie to nadęci durnie.

- Ona doskonale gra w szachy.

- Doskonale to jeszcze za mało. - Piotr Negulesco odpowiedział pogardliwym gestem. - Liczą się tylko najlepsi. A ja jestem najlepszy.

- Właśnie dlatego panna Whitney marzy o grze z panem. Jeśli pan przegra - ofiaruje jej pan swoje zdjęcie z autografem. W przypadku wygranej - otrzyma pan dziesięć tysięcy dolarów gotówką...

- Negulesco nie grywa z amatorami.

- ...do odebrania w dowolnym wskazanym przez pana kraju.

- Wykluczone.

- Cóż, w takim razie panna Whitney zagra tylko z Borysem Mielnikowem.

- Co? Powiada pan, że Borys Mielnikow zgodził się grać z tą kobietą?

- Oczywiście. Ale ona ma nadzieję wygrać z wami oboma jednocześnie.

- Nigdy nie słyszałem o czymś tak... tak... – Negulesco zająknął się, zabrakło mu słów. - To bezczelność! Kim ona jest, jeśli uważa, że może pokonać dwóch największych na świecie szachistów? Pewnie uciekła z jakiegoś domu dla obłąkanych.

- Jest może trochę postrzelona - przyznał Jeff - ale jej pieniądze są prawdziwe. Płaci gotówką.

- Mówi pan: dziesięć tysięcy dolarów za zwycięstwo?

- Dokładnie tak.

- A Borys Mielnikow dostanie tyle samo?

- Jeśli ją pokona.

- Och, pokona ją, zapewniam pana. Tak samo jak ja. - Piotr Negulesco roześmiał się szczerze.

- Jeśli mam być szczerzy, nie zdziwiłbym się ani trochę.

- Kto przyjmuje zakłady?

- Skarbnik okrętowy.

„Dlaczego tylko Mierników miałby na niej zarobić?” - pomyślał Piotr Negulesco.

- Dobrze, przyjacielu, umowa stoi. Gdzie i kiedy?

- W piątek wieczorem. O dziesiątej. W Sali Królowej. Szeroki uśmiech rozjaśnił oblicze Piotra Negulesco.

- Będę tam.

Mówisz, że się zgodzili? - wykrzyknęła Tracy.

- Jak najbardziej.

- Chyba się rozchoruję.

- Przyniosę ci zimny ręcznik.

Jeff poszedł do łazienki w apartamencie Tracy, zmoczył ręcznik w zimnej wodzie i przyniósł go z powrotem. Tracy leżała na szezlongu. Przyłożył jej ręcznik do czoła.

- Jak się czujesz?

- Okropnie. Chyba mam migrenę.

- Czy już kiedyś miałaś migrenę?

- Nie.

- Więc i teraz to nie jest migrena. Posłuchaj mnie, Tracy, to zupełnie normalne, że się denerwujesz w takiej chwili.

- *W takiej chwili?* - Tracy zerwała ręcznik z czoła. - Nic podobnego nie zdarzyło się od początku świata! Mam grać z dwoma arcymistrzami szachów po *jednej* lekcji udzielonej przez ciebie i...

- Dwóch - poprawił ją Jeff. - Poza tym, wykazujesz wrodzony talent do szachów.

- Boże, dlaczego dałam się tak łatwo przekonać?

- Bo chcesz zarobić bez wysiłku mnóstwo pieniędzy.

- Nie chce zarobić mnóstwa pieniędzy - łkała Tracy. - Chcę żeby ta łajba zatonała. Dlaczego to nie jest „Titanic”?

- Nie denerwuj się - uspokajał ją Jeff - to będzie z pewnością...

- To będzie z pewnością kłapa. Cały okręt będzie się na mnie gapił.

- Przecież właśnie o to chodzi, prawda - zauważył z uśmiechem Jeff.

Jeff uzgodnił ze skarbnikiem okrętowym wszystkie szczegóły. Wręczył mu sumę przeznaczoną na wygrane - dwadzieścia tysięcy dolarów w czekach podróżnych i poprosił go o przygotowanie dwóch stolików szachowych na piątkowy wieczór. Wiadomość błyskawicznie obiegła okręt, a pasażerowie zasypywali Jeffa pytaniami, upewniając się, czy mecze naprawdę się odbędą.

- Ależ oczywiście - zapewniał Jeff pytających. - To wprost niewiarygodne. Biedna panna Whitney wierzy w swoją wygraną. To właśnie ona się zakłada.

- Proszę mi powiedzieć - dopytywał się jeden z pasażerów - czy mógłbym postawić niewielką sumę?

- Naturalnie. Taką, jaką pan sobie życzy. Panna Whitney proponuje stawki zaledwie dziesięć do jednego dla arcymistrzów.

Milion do jednego brzmiałoby bardziej sensownie. Od chwili przyjęcia pierwszego zakładu, następne posypały się jak lawina. Wyglądało na to, że wszyscy ludzie na pokładzie, nie wyłączając załogi: marynarzy i oficerów, chcieli się zakładać. Sumy wahały się od pięciu do tysiący dolarów, ale wszyscy bez wyjątku obstawiali Rosjanina i Rumuna.

- Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego - zwierzał się kapitanowi statku podejrzliwy skarbnik. - To jest jak epidemia. W zakładach wzięli udział prawie

wszyscy pasażerowie. Wpłacili już w sumie około dwustu tysięcy dolarów. - Kapitan obserwował go uważnie.

- Mówi pan, że panna Whitney ma grać z Mielnikowem i Negulesco jednocześnie?

- Tak, panie kapitanie.

- A sprawdził pan, czy ci dwaj ludzie to naprawdę Piotr Negulesco i Borys Mielnikow?

- Ależ tak, sir. Nie ma cienia wątpliwości.

- Czy istnieje możliwość, że arcymistrzowie poddadzą się rozmyślnie albo porzucą grę?

- To nie wchodzi w rachubę, sir. Woleliby chyba umrzeć. I tego właśnie mogą oczekiwać po powrocie do domu, jeśli przegrają. - Kapitan drapał się w głowę i zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- Czy wiadomo panu cokolwiek o tej pannie Whitney albo panu Stevensie?

- Zupełnie nic, sir. O ile zdołałem się zorientować, podróżują osobno.

- Ta cała historia pachnie jakimś grubym oszustwem, nie powinienem do niej dopuścić. Ale sam jestem szachistą i jeśli jestem czegokolwiek pewien, to tego, że w szachach *nie można* oszukiwać. Niech ten mecz się odbędzie. - Kapitan podjął decyzję. Podeszedł do biurka i wyjął z niego czarny skórzany portfel. - Proszę przyjąć pięćdziesiąt funtów. Na arcymistrzów.

W piątkowym wieczór przed dziewiątą Salę Królowej wypełniali po brzegi pasażerowie pierwszej klasy, ci, którym udało się przedostać z klasy drugiej i trzeciej oraz oficerowie okrętu i ta część załogi, która akurat nie miała służby. Na żądanie Jeffa Stevensa przygotowano dwa stoły. Jeden z nich ustawiono pośrodku sali, a drugi w przyległym pokoju. Zaciągnięto kotary, aby rozgraniczyć oba pomieszczenia.

- Gracze nie mogą kontaktować się ze sobą - wyjaśnił Jeff. - Oczywiście, widzowie mogą przebywać tam, gdzie im się podoba.

Wokół stołów rozciągnięto welwetowe liny, aby nie dopuścili obserwatorów zbyt blisko graczy. Widzowie mieli zobaczyć coś wyjątkowego, niepowtarzalnego. Nie wiedzieli nic o pięknej Amerykance, prócz tego, że nie miała żadnych szans - podobnie jak ktokolwiek inny - na remis chociażby z jednym ze swoich przeciwników.

Jeff przedstawił Tracy obu arcymistrzom tuż przed rozpoczęciem gry. Tracy wyglądała jak starogreckie malowidło - w przezroczystej, odkrywającej jedno ramię

sukni, o łagodnej, zielonej barwie. Jej oczy wydawały się olbrzymie przy białej twarzy.

Piotr Negulesco przyglądał się jej uważnie.

- Czy wygrałaś wszystkie krajowe turnieje, w których brałaś udział?

- Tak - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Nigdy o tobie nie słyszałem. - Wzruszył ramionami. Borys Mielnikow również nie był zbyt uprzejmy.

- Wy, Amerykanie, nie wiecie, co robić z pieniędzmi - powiedział. - Chciałbym ci z góry podziękować. To zwycięstwo bardzo ucieszy moją rodzinę.

- Jeszcze pan nie wygrał, panie Mielnikow. - Oczy Tracy nabrały koloru zielonego jaspisu.

- Droga pani, nie wiem, kim pani jest, ale wiem, kim *ja* jestem. Wielkim Borysem Mielnikowem.

Wybiła dziesiąta. Jeff rozejrzał się i zobaczył, że obie sale wypełnione były widzami.

- Czas zaczynać.

Tracy, usiadłszy naprzeciw Mielnikowa, po raz setny zadawała sobie pytanie, jakim cudem dała się namówić na coś takiego.

- Nie łam sobie głowy - przekonywał ją Jeff - po prostu uwierz mi.

I, jak ogłupiała, uwierzyła mu. „Musiałam postradać zmysły” - myślała. Miała grać z dwoma najlepszymi graczami świata, nie mając zielonego pojęcia o szachach, poza tym, czego nauczył ją Jeff podczas czterech godzin lekcji.

Wielka chwila nadeszła. Tracy drżała. Mielnikow z szerokim uśmiechem popatrzył na wyczekujący tłum.

- Przynies mi butelkę brandy - syknął na stewarda. - Napoleona.

- Żeby być w porządku wobec wszystkich - zwrócił się Jeff do Mielnikowa - proponuję, aby pan grał białymi. W ten sposób będzie pan miał pierwszy ruch, a w partii z panem Negulesco panna Whitney rozpocznie również białymi.

Obaj arcymistrzowie wyrazili zgodę.

Gdy audytorium uspokoiło się, Borys Mielnikow sięgnął do szachownicy i zagrał klasyczne otwarcie hetmańskie przez gambit, przesuwając obok królowej pionek o dwa pola. „Nie zadowolę się pokonaniem tej kobiety. Muszę ją zmiażdżyć”.

Obrzucił Tracy spojrzeniem. Przyjrzała się uważnie szachownicy, skinęła głową i wstała, nie dotykając żadnej figury. Steward utorował jej drogę przez tłum do drugiej

sali, gdzie czekał na nią Negulesco. Co najmniej setka ludzi otaczała stolik, kiedy Tracy usiadła naprzeciw arcymistrza.

- Ach, moja miła gołąbeczka! Czy pokonałaś już Borysa? - roześmiał się z własnego dowcipu.

- Pracuję nad tym, panie Negulesco - odparła cicho Tracy. Wyciągnęła rękę i przesunęła swego pionka sprzed królowej o dwa pola. Negulesco przyglądał się jej rozpromieniony. Zamówił sobie za godzinę masaż, więc chciał skończyć do tej pory grę. Przesunął pionek sprzed swojej czarnej królowej o dwa pola. Tracy przez chwilę przyglądała się szachownicy, po czym wstała. Steward doprowadził ją z powrotem do Borysa Mielnikowa.

Usiadłszy przy stole, popchnęła swój czarny pionek sprzed królowej o dwa pola do przodu. Kątem oka dostrzegła nieznaczną, aprobujący ruch głowy Jeffa. Dobrze!

Borys Mielnikow bez wahania przesunął pionek, kryjący białego gońca, stojącego obok królowej, również o dwa pola.

Dwie minuty później, przy stole Negulesco, Tracy wykonała ten sam ruch. Negulesco przesunął się pionkiem królewskim o jedno pole.

Tracy wstała i powróciła do pokoju, gdzie czekał Mielnikow. Przesunęła królewski pionek o jeden kwadrat.

„Aha! Więc nie jest zupełną amatorką - pomyślał zaskoczony arcymistrz. - Zobaczymy, co zrobi teraz”. Przesunął skoczka ze strony królowej w kierunku gońca.

Tracy zapamiętała ten ruch, skinęła głową i powróciwszy do Negulesco, powtórzyła go.

Rumun przesunął pionek sprzed gońca królowej o dwa pola, a Tracy wróciła do Mielnikowa i odtworzyła ten ruch.

Obaj arcymistrzowie z coraz większym zdumieniem zaczęli zdawać sobie sprawę, że mają do czynienia z nie lada przeciwnikiem. Mimo iż angażowali w grę całą swoją inteligencję, nieznana amatorka nie ustępowała im ani o krok.

A ponieważ byli od siebie oddzieleni, żaden z nich nie miał pojęcia, że właściwie rozgrywali tę partię między sobą. Każdy ruch Mielnikowa Tracy powtarzała na szachownicy Negulesco. A gdy Negulesco odpowiadał sprytnym posunięciem, Tracy wykorzystywała je w grze z Mielnikowem. Wkrótce arcymistrzów opuściła arogancka pewność siebie. Grali teraz o swoją reputację. Namysławiając się nad kolejnymi ruchami, tupali w podłogę i nerwowo zaciągali się papierosami. Tylko Tracy zachowywała spokój.

Aby szybko zakończyć grę, Mielnikow postanowił poświęcić skoczka, dzięki czemu jego biały goniec zagroził czarnemu królowi. Tracy przekazała ten ruch Negulesco. Rumun przemyślał to gruntownie, po czym udaremnił atak, osłaniając swoje skrzydło.

Nic nie mogło powstrzymać Tracy. Choć gra trwała już cztery godziny, żaden z widzów nie opuścił sali.

Każdy arcymistrz przechowuje w swojej głowie setki partii, rozegranych kiedyś przez innych arcymistrzów. Gdy mecz zbliżał się do końca, Mielnikow i Negulesco poznali swoje charakterystyczne posunięcia.

„Ta suka - myślał Mielnikow - studiowała u Negulesco. On ją przygotowywał”.

A Negulesco skonstratował: „To protegowana Mielnikowa. Ten drań wyuczył ją swoich sztuczek”.

Im zażarciej walczyli z Tracy, tym mocniej upewniali się, że była po prostu nie do pokonania. Wszystko wskazywało na to, że gra zakończy się remisem.

O czwartej rano, gdy gra zbliżała się do końca, na szachownicach pozostały trzy pionki, jedna wieża i król. Żadna ze stron nie mogła już wygrać. Mielnikow długo wpatrywał się w szachownice, potem wciągnął głęboko powietrze i powiedział:

- Proponuję remis.

Ponad zgłębkiem publiczności, rozległ się głos Tracy:

- Przyjmuję. Tłum oszalał.

Tracy wstała i przycisnęła się do następnego pokoju. Gdy siadała, Negulesco zduszonym głosem oświadczył:

- Proponuję remis.

Znowu rozległy się okrzyki. Ludzie nie mogli uwierzyć w to, co widzieli. Jakaś kobieta, która pojawiła się nie wiadomo skąd, zremisowała jednocześnie z dwoma największymi szachistami świata.

Obok Tracy pojawił się Jeff.

- Chodźmy! - roześmiał się. - Oboje potrzebujemy drinka.

Gdy wychodzili, Borys Mielnikow i Piotr Negulesco wciąż siedzieli na swoich krzesłach, bezmyślnie wpatrując się w szachownice.

Tracy i Jeff siedzieli przy dwuosobowym stoliku w barze na górnym pokładzie.

- Byłaś wspaniała - przyznał Jeff z uśmiechem. - Czy zwróciłaś uwagę na wzrok Mielnikowa? Wyglądał, jakby miał za chwilę dostać ataku serca.

- *Mnie* też niewiele do tego brakowało. Ile wygraliśmy?
- Około dwustu tysięcy dolarów. Otrzymamy je od skarbnika jutro rano, po zawinięciu do Southampton. Spotkamy się w jadalni na śniadaniu.
- Świetnie.
- Chyba już pójde spać. Ale przedtem odprowadzę cię do kajuty.
- Ja jeszcze nie pójde spać, Jeff. Jestem za bardzo przejęta. Idź sam.
- Byłaś mistrzynią szachów - powiedział jej Jeff. Nachylił się i pocałował ją w policzek. - Dobranoc, Tracy.
- Dobranoc, Jeff.

Odprowadzała go wzrokiem. Iść do łóżka? Nie, to niemożliwe. Przeżyła właśnie najfantastyczniejszy wieczór w swoim życiu. Rosjanin i Rumun byli tacy pewni siebie, tacy arogancy. Jeff powtarzał jej: „Uwierz mi” - i miał rację. Uwierzyła mu, chociaż wiedziała, kim był. Był artystą - oszustem. Był inteligentny, czarujący, sprytny, zawsze rozluźniony. Ale tak na serio, to oczywiście nigdy się nim nie zainteresuje.

Jeff zbliżał się do swej kajuty, gdy dostrzegł go jeden z oficerów.

- Cóż to było za przedstawienie, panie Stevens! Nigdy go nie zapomnę. Wiadomość o meczu przesłaliśmy już na ląd. Przypuszczam, że dziennikarze tłumnie powitają was w Southampton. Czy pan jest impresariem panny Whitney?

- Nie, spotkaliśmy się na okręcie przypadkowo - wyjaśnił Jeff spokojnie, ale jego umysł gorączkowo pracował. Gdyby połączono go z Tracy w parę, zaaranżowanie gry mogłoby wyglądać na spisek. Może nawet przeprowadzą śledztwo. Postanowił na wszelki wypadek odebrać pieniądze, zanim zrodzą się pierwsze podejrzenia.

Napisał krótki list do Tracy:

Odebrałem naszą wygraną. Spotkamy się na uroczystym śniadaniu w hotelu „Savoy”. Byłaś wspaniała. Jeff

Włożył list do koperty i oddał go stewardowi.

- Proszę wręczyć to panie Whitney z samego rana. - Oczywiście, sir.

Jeff udał się do skarbnika.

- Przepraszam, że pana niepokoję - usprawiedliwił się - ale za parę godzin wpłyniemy do portu i wyobrażam sobie, jak będzie pan zajęty. Pomyślałem więc, że może odbiorę pieniądze teraz.

- Ależ oczywiście - uśmiechnął się skarbnik. - Musi pan przyznać, że ta młoda dama jest prawdziwą czarodziejką.

- Bez wątplenia.

- Panie Stevens, czy można zapytać, gdzie też ona mogła nauczyć się grać w szachy?

- Podobno studiowała u Bobby Fischera - szepnął Jeff, nachylając się do jego ucha.

Skarbnik wyjął z sejfów dwie wypchane koperty z grubego papieru.

- Trudno nosić z sobą takie mnóstwo pieniędzy. Może wystawić panu czek na tę sumę?

- Nie, proszę się nie trudzić. Gotówka zupełnie mi odpowiada - zapewnił go Jeff. - Może mógłby pan wyświadczyć mi przysługę? Motorówka pocztowa podpływa do okrętu jeszcze przed zawinięciem do portu, prawda?

- Tak, sir. Spodziewamy się jej o szóstej.

- Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby umożliwił mi pan odpłynięcie tą motorówką. Moja matka jest poważnie chora i chciałbym dotrzeć do niej, zanim... - zniżył głos - zanim będzie za późno.

- Och, to bardzo smutne, panie Stevens. Oczywiście, postaram się panu pomóc. Porozmawiam z celnikami.

O 6.15 Jeff Stevens, z dwoma kopertami ukrytymi w walizce, zszedł po drabince do motorówki. Odwrócił się i po raz ostatni spojrzął na olbrzymi kadłub statku, wznoszący się nad nim jak potężna góra lodowa. Pasażerowie liniowca spali. Jeff dotrze do portu na długo przedtem, zanim wpłynie tam „Queen Elizabeth II”.

- To była piękna podróż - odezwał się Jeff do jednego z członków załogi motorówki.

- Co tam piękna, wręcz cudowna! - odpowiedział mu jakiś głos.

Jeff odwrócił się. Tracy siedziała na zwoju lin, a wiatr rozwiewał jej włosy.

- Tracy! Co ty tu robisz?

- A jak myślisz? Co mogę tutaj robić? Zdenerwował go trochę wyraz jej twarzy.

- Zaraz, zaraz. Chyba nie sądzisz, że próbuję przed tobą uciec.

- Dlaczego miałabym tak sądzić? - odparła cierpko.

- Tracy, zostawiłem ci list. Zamierzałem spotkać się z tobą w „Savoyu” i...

- Oczywiście, że zamierzałeś - odparła z wyrzutem. - Ty nigdy się nie poddajesz, prawda?

Jeff spojrzał na nią i nie miał już nic do powiedzenia.

W swoim apartamencie w „Savoyu” Tracy uważnie obserwowała Jeffa liczącego pieniądze.

- Twój udział wynosi sto jeden tysięcy dolarów.

- Dziękuję - jej głos brzmiał chłodno i obojętnie.

- Wiesz, Tracy, chyba bardzo niesprawiedliwie mnie oceniasz. Daj mi chociaż szansę i pozwól sobie coś wyjaśnić. Czy zjesz ze mną kolację dziś po południu?

Zawahała się, ale powiedziała:

- Dobrze.

- W porządku. Przyjdę po ciebie o ósmej wieczorem.

Gdy Jeff Stevens przybył wieczorem do hotelu i zapytał o Tracy, recepcjonistka poinformowała go:

- Przykro mi, sir. Panna Whitney wyprowadziła się dziś po południu. Nie zostawiła żadnej informacji.

Właśnie to odręcznie napisane zaproszenie - jak później stwierdziła Tracy - odmieniło jej życie.

Po odebraniu swojej części pieniędzy od Jeffa Stevensa Tracy przeprowadziła się z „Savoyu” na Park Street 47 - do spokojnego hoteliku przypominającego willę, z dużymi, przyjemnymi pokojami i doskonałą obsługą.

Zaproszenie doręczył portier w drugim dniu jej pobytu w Londynie. Wypisane było pięknym, kaligraficznym pismem:

Nasz wspólny znajomy zasugerował, że zawarcie znajomości mogłoby przynieść nam obopólną korzyść. Czy zechciałaby pani wstąpić na filiżankę herbaty do „Ritza”, dziś po południu, o czwartej? Może to trochę banalne, ale będę w marynarce, z czerwonym goździkiem w klapie. Gunther Hartog

Tracy nigdy nie słyszała o tym człowieku. Najpierw postanowiła zignorować zaproszenie, ale ciekawość przemogła i o 16.15 znalazła się przed wejściem do eleganckiej sali jadalnej hotelu „Ritz”. Dostrzegła go natychmiast. Był dosyć interesującym, mniej więcej sześćdziesięcioletnim mężczyzną, o pociągłej twarzy intelektualisty. Miał gładką, jasną cerę i bladą, prawie przezroczystą skórę. Ubrany był w kosztowny, modnie skrojony szary garnitur, w którego klapie tkwił czerwony goździk.

Gdy Tracy podeszła do stolika, powstał i lekko się uklonił.

- Dziękuję za przyjęcie mego zaproszenia.

Podsunał jej krzesło gestem pełnym staromodnej galanterii, która wydała się Tracy niezwykle urzekająca. Przypominał przybysza z innego, od dawna nie istniejącego świata. Tracy gubiła się w domysłach, czemu właściwie zawdzięcza to zaproszenie.

- Przyszłam tu z ciekawości - przyznała - ale czy aby na pewno nie pomylił mnie pan z jakąś inną Tracy Whitney?

- O ile dobrze wiem - uśmiechnął się Gunther Hartog - istnieje tylko jedna Tracy Whitney.

- A co pan właściwie wie?

- Może porozmawiamy o tym przy herbacie?

„Herbata” składała się z małych kanapeczek pokrytych siekanym jajkiem, lososiem, ogórkiem, zieleniną i kawałkiem kurczaka. Potem pojawiły się gorące ciasteczka z kremem i marmoladą oraz świeże ciasto, a do tego herbata „Twinings”.

Rozmawiali jedząc.

- W zaproszeniu wspomniał pan o jakimś wspólnym znajomym - zaczęła Tracy.

- Jest nim Conrad Morgan. Czasami prowadzę z nim interesy. „Ja też prowadziłam z nim interesy - pomyślała Tracy z goryczą - i próbował mnie oszukać”.

- To jeden z pani wielbicieli - mówił Gunther Hartog. Tracy dokładniej przyjrzała się swemu rozmówcy. Robił wrażenie arystokraty i to niezmiernie bogatego.

„Czego on ode mnie oczekuje?” - dziwiła się. Postanowiła poczekać, aż sam to wyjaśni. Hartog nie wspomniał już o Conradzie Morganie. Nie wyjaśnił także, jaka to wzajemna korzyść mogłaby wymknąć z ich współpracy.

Rozmowa zaintrygowała Tracy. Gunther opowiadał jej o swojej przeszłości.

- Urodziłem się w Monachium. Mój ojciec był bankierem. Był bardzo zamożny i wydaje mi się, że właśnie to bogactwo mnie zdemoralizowało. W rodzinnym domu otaczały mnie piękne malowidła i antyki. Moja matka była Żydówką, więc kiedy Hitler doszedł do władzy, a ojciec nie zgodził się na rozwód - skonfiskowano mu cały majątek. Oboje rodzice zginęli podczas bombardowania. Przyjaciele przesmuglowali mnie z Niemiec do Szwajcarii, a po zakończeniu wojny postanowiłem nie wracać do ojczyzny. Zamieszkałem w Londynie i otworzyłem mały sklep z antykami na Mount Street. Mam nadzieję, że pewnego dnia zajrzy pani do niego.

„Aha, więc o to chodzi - pomyślała Tracy - chce mi coś sprzedać”.

Jak się okazało, była w błędzie.

Przy płaceniu rachunku Gunther Hartog powiedział niedbale:

- Mam niewielki dom na wsi, w Hampshire. Kilkoro przyjaciół odwiedzi mnie podczas weekendu i byłbym zachwycony, gdyby pani przyłączyła się do nas.

Tracy wahała się. Nie знаła zupełnie tego człowieka i wciąż nie miała pojęcia, o co mu właściwie chodziło. „Ale ostatecznie - pomyślała - nie mam nic do stracenia”.

Weekend był cudowny. „Niewielki dom na wsi” Gunthera Hartoga okazał się w rzeczywistości pięknym, siedemnastowiecznym dworem, do którego przylegał trzydziestoakrowy majątek ziemski. Gunther był wdowcem i poza służącymi w domu

nie było nikogo. Gospodarz oprowadził Tracy po swojej posiadłości. Pokazał jej stajnię z sześcioma końmi i zagrodą, w której hodował kury i świnię.

- Są tu po to, byśmy nigdy nie byli głodni - stwierdził poważnie. - Teraz pokażę ci moje prawdziwe hobby.

Prawie niezauważalnie zaczęli zwracać się do siebie w poufaly sposób.

Zaprowadził Tracy do gołębnika, wypełnionego mnóstwem gołębi.

- To są gołębie pocztowe - oświadczył z dumą. - Proszę, przyjrzyj się tym małym pięknym ptakom. Widzisz tę ciemnoszarą gołębicę? To Margo. - Schwycił ją i pogłaskał. - Jesteś nieznośną dziewczynką, wiesz? Ona buntuje wszystkie inne, ale jest najmądrzejsza.

Łagodnie pogładził pióra na małej główce gołębiczy i ostrożnie wypuścił ją.

Ubarwienie ptaków było dość osobliwe. Przeważały niebiesko-czarne, niebiesko-szare, pstrokate i srebrne.

- Nie widzę żadnego białego - zauważyła Tracy.

- Gołębie pocztowe nie mogą być białe - wyjaśnił Gunther - białe gołębie bardzo łatwo gubią upierzenie, a te, doręczające wiadomość, lecą ze średnią szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Tracy patrzyła, jak Gunther podawał gołębiom specjalną witaminizowaną odżywkę.

- Zdumiewający gatunek - powiedział. - Czy wiesz, że potrafią odnaleźć drogę do domu odległego o ponad osiemset kilometrów.

- To fantastyczne.

Goście Gunthera byli, jak się okazało, równie fantastyczni. Znalazł się wśród nich minister z żoną, angielski lord, generał ze swoją sympatyczną przyjaciółką oraz Maharani of Morvi - bardzo atrakcyjna i uprzejma młoda Hinduska.

- Proszę mnie nazywać V.J. - powiedziała czystą angielszczyzną, bez obcego akcentu. Ubrana była w jaskrawoczerwone sari, przetykane złotymi nićmi; nosiła też najpiękniejsze klejnoty, jakie Tracy kiedykolwiek widziała. - Większość klejnotów przechowuję w skarbcu - wyjaśniła V.J. - Tyle jest teraz kradzieży i napadów...

W sobotnie popołudnie, gdy Tracy zbierała się już do powrotu, Gunther zaprosił ją do swojego gabinetu. Siedzieli naprzeciw siebie, rozdzieleni tacą z filiżankami. Nalewając herbatę do cienkich jak papier filiżanek Belleek, Tracy powiedziała:

- Nie wiem, Gunther, czemu zawdzięczam zaproszenie, ale to nieważne, bo bawiłam się doskonale.

- Miło to słyszeć, Tracy. - Przerwał na chwilę. - Przyglądałem ci się.

- Aha.

- Jakie masz plany na przyszłość?

- Nie wiem. - Zawahała się. - Nie podjęłam jeszcze decyzji.

- Moglibyśmy pracować razem.

- Masz na myśli twój sklep z antykami?

- Nie, moja droga. - Roześmiał się. - To wstyd marnować taki niezwykły talent.

Widzisz, słyszałem o twoich perypetiach z Conradem Morganem. Poradziłaś sobie znakomicie.

- Gunther... To wszystko mam już za sobą, to przeszłość.

- A co masz przed sobą? Mówisz, że nie masz planów, ale musisz przecież pomyśleć o swojej przyszłości. Nieważne, ile masz pieniędzy, pewnego dnia wydasz je wszystkie. Proponuję ci współpracę. Obracam się wśród bardzo zamożnych ludzi z różnych krajów. Uczestniczę w przyjęciach na cele dobroczynne, w polowaniach i podróżach jachtem. Znam upodobania i kaprysy milionerów.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

- Mogę cię wprowadzić do tego złotego kręgu. Naprawdę złotego, Tracy. Mogę dostarczać ci informacji o bajecznych skarbach, klejnotach, obrazach i o tym, jak bezpiecznie je zdobyć. Mogę je zyskownie sprzedawać. Zobaczysz ludzi, którzy doszli do swoich milionów za cenę krzywd wyrządzonych innym. Zyski podzielimy sprawiedliwie. Co na to powiesz?

- Powiem nie.

- Rozumiem. Czy poszukasz mnie, jeśli zmienisz zdanie? - patrzył na nią w zamyśleniu.

- Nie zmienię zdania, Gunther. Późnym wieczorem pojechała do Londynu.

Tracy była zauroczona Londynem. Obiady jadała w „Le Gavroche”, „Bill Bentley’s” albo w „Coin du Feu”, po teatrze chodziła do „Drones” na prawdziwe amerykańskie hamburgery z ostrym chili. Odwiedzała National Theatre i Royal Opera House, uczestniczyła w aukcjach, urządzanych przez salony „Christie’s” i „Sotheby’s”. Zakupy robiła w domach towarowych „Harrods” i „Fortnum and Mason’s”, przeglądała książki w sklepach „Hatchards and Foyles” albo „W.H. Smith”.

Wynajawszy samochód i kierowcę, podróżowała po Anglii. Spędziła niezapomniany weekend w „Chewton Glenn” w Hampshire, na skraju New Forest, hotelu położonym w pięknej okolicy i cieszącym się doskonałą renomą.

Ale wszystkie te rozrywki kosztowały. „Nieważne, ile masz pieniędzy, pewnego dnia wydasz je wszystkie”. Gunther Hartog miał rację. Jej zasoby pieniężne malały w szybkim tempie i wkrótce z niepokojem zaczęła rozmyślać o przyszłości.

Była coraz częściej zapraszana na weekend do wiejskiej posiadłości Gunthera, a każda wizyta dostarczała nowych wspaniałych wrażeń i radości.

Pewnego niedzielnego wieczoru przy obiedzie zaproszony członek Parlamentu zwrócił się do Tracy z pytaniem:

- Jeszcze nigdy nie spotkałem prawdziwych Teksaszczyków. Jacy oni są, panno Whitney?

Tracy nadała swej twarzy grymas typowej nowobogackiej teksaskiej wdowy - milionerki, wywołując ogólny wybuch śmiechu.

Później, gdy została sama z Guntherem, ten zapytał:

- Co byś powiedziała na zdobycie małej fortunki przy pomocy takiego przedstawienia?

- Nie jestem aktorką, Gunther.

- Nie doceniasz się. Jest w Londynie firma jubilerska „Parker and Parker”, której właściciele znajdują osobliwą przyjemność w - jak to nazywacie wy, Amerykanie - obdzieraniu swoich klientów. Dziś podpowiedziałaś mi, jak można by ich ukarać za nieuczciwość. - Gunther przedstawił Tracy swój pomysł.

- Nie - odpowiedziała z miejsca. Jednakże już po chwili nie była tak pewna swojej decyzji. Stały jej przed oczami różne obrazy z przeszłości: przechytrzenie policji na Long Island, Borys Mielnikow i Piotr Negulesco, Jeff Stevens... To były wręcz niesłychane przeżycia. Stanowiły część jej życiowych doświadczeń, część jej przeszłości.

- Nie, Gunther - powtórzyła. Ale tym razem z mniejszą stanowczością w głosie.

W Londynie panowała piękna pogoda, niezwykła jak na październik. Turyści i mieszkańcy cieszyli się słońcem. W południe powstały korki uliczne przy Trafalgar Square, Charing Cross i Piccadilly Circus. Biały daimler wyjechał z Oxford Street, skręcając w New Bond Street i powoli przeciskał się wśród samochodów, mijając Roland Cartier, Geigers i Boyal Bank of Scotland. Zatrzymał się o kilka domów dalej,

przed sklepem jubilerskim. Dyskretny, wypolerowany szyld umieszczony przy drzwiach oznajmiał: PARKER AND PARKER. Szofer w uniformie wysiadł z limuzyny i obiegnął ją, aby otworzyć tylne drzwi. Z samochodu wyskoczyła młoda kobieta o tlenionych blond włosach, ubrana w dobrze dopasowaną sukienkę w stylu włoskim i futro z soboli, zupełnie nieodpowiednie przy takiej pogodzie. Jej twarz pokrywała gruba warstwa makijażu.

- Gdzie jest ta melina, koleś? - zapytała donośnym głosem ze skrzeczącym teksaskim akcentem.

- Tutaj, proszę pani. - Szofer wskazał wejście.

- Dobra, koleś. Odpocznij sobie. To nie potrwa długo.

- Obawiam się, proszę pani, że będę zmuszony okrążyć budynek. W tym miejscu nie wolno parkować.

- Zrób co ci pasuje, chłoptysiu - odpowiedziała i poklepała go po ramieniu.

„Chłoptysiu!” Szofer wzdrygnął się. Płacił frycowe za to, że wybrał sobie zawód szofera do wynajęcia. Nie cierpiał żadnych Amerykanów, a szczególnie tych z Teksasu. To dzikusy; ale dzikusy z pieniędzmi. Zdziwiłby się niezmiernie, gdyby ktoś teraz mu powiedział, że jego pasażerka nigdy nie oglądała na własne oczy Stanu Samotnej Gwiazdy.

Tracy przejrzała się we wstecznym lusterku, wykrzywiła usta w doskonałej imitacji szerokiego uśmiechu i dostojnie przeszła kilka kroków w kierunku drzwi, które natychmiast otworzył odźwierny w uniformie.

- Dobry wieczór, madame.

- Nie najgorszy, kolego. Czy macie w tej budzie coś oprócz kostiumowej biżuterii? - Roześmiała się z własnego dowcipu.

Odźwierny zbladł. Tracy wkroczyła do sklepu, rozsiewając wokół siebie odurzający zapach Chloe.

Arthur Chilton, sprzedawca ubrany w tużurek, podszedł do niej:

- Czy mogę czymś służyć, madame?

- Może tak, a może nie. Stary P.J. kazał mi kupić drobny prezencik na urodziny, więc przyszedłam. Co tu macie?

- Co szczególnie panią interesuje?

- Ha, pardon, wy, Anglicy, jesteście szybkie Bille, no nie? Od razu do rzeczy. - Zaśmiała się chrapliwie i poklepała go po ramieniu. Sprzedawca zmusił się do

zachowania spokoju. - Może coś z tych, no... szmaragdów? Stary P.J. lubi mnie w szmaragdach.

- Gdyby była pani łaskawa podejść do tej gablotki... Chilton zaprowadził ją do oszklonej szafki, gdzie wystawiono kilka gablotek ze szmaragdami.

- To są szczeniaki. - Tleniona blondynka obrzuciła je pogardliwym spojrzeniem. - A gdzie mamusie i tatusiowie?

- Ceny tych kamieni dochodzą do trzydziestu tysięcy dolarów - odparł sztywno Chilton.

- Tyle właśnie odpalam mojemu fryzjerowi - zaśmiała się rubasznie. - Stary P.J. wyrzuci mnie z domu, jeśli wrócę z jedną z tych pestek.

Chilton wyobraził sobie starego P.J. Tłusty, pucołowaty, wrzaskliwy i obleśny jak ta kobieta. Musieli do siebie pasować. „Dlaczego pieniądze zawsze lgną do takich, którzy na to nie zasługują?” dziwił się.

- Jakiego rzędu ceny interesują panią?

- Dlaczego nie zaczniemy od czegoś w okolicach stu paczek?

- Stu paczek? - zbladł.

- Do diabła, myślałam, że wy tutaj znacie królewską angielszczyznę. Sto paczek. Sto patyków.

- Och - sprzedawca przełknął ślinę - w takim razie chyba będzie najlepiej, jeśli porozmawia pani z naszym dyrektorem naczelnym.

Dyrektor, Gregory Halston, miał zwyczaj załatwiać wszystkie większe transakcje samodzielnie, a pracownicy „Parker and Parker”, którzy nie otrzymywali prowizji od sprzedaży, nie mieli nic przeciwko temu. Chilton z wielką ulgą przerzucił obowiązek pertraktowania z tak nieuprzejmą klientką na barki swego szefa. Nacisnął guziczek ukryty pod ladą i w chwilę później błady, żwawy człowieczek ukazał się w drzwiach przyległego pokoju. Rzucił okiem na komicznie wyglądającą blondynkę, modląc się w duchu, by żaden z jego stałych klientów nie odwiedził go do chwili wyjścia tej kobiety.

- Panie Halston - powiedział Chilton - to jest pani... mhm... - odwrócił się do kobiety.

- Benecke, skarbie. Mary Lou Benecke. Żona starego P.J. Benecke. Założę się, że wszyscy słyszeli o P.J. Benecke.

- Oczywiście. - Gregory Halston obdarzył ją zdawkowym uśmiechem.

- Pani Benecke pragnie nabyć szmaragd, panie Halston.

- Mamy tu kilka pięknych szmaragdów, które... - Gregory Halston wskazał gablotki ze szmaragdami.

- Panią interesowałoby coś w cenie około stu tysięcy dolarów. Tym razem uśmiech, który ukazał się na twarzy Gregory

Halstona, nie był udany. „Dzień zaczyna się obiecująco”.

- Widzisz, skarbie, mam niedługo urodziny i stary P.J. chce, żebym kupiła sobie coś ładnego.

- Oczywiście - rzekł Halston - proszę pójść za mną.

- Ty zboreźniku, co ty sobie wyobrażasz? - zachichotała blondynka.

Halston i Chilton wymienili pełne bólu spojrzenia. „Przekłęci Amerykanie!”

Halston zaprowadził ją do drzwi i otworzył je kluczem. Wkroczyli do małego, jasno oświetlonego pokoiku, a Halston starannie zamknął za sobą drzwi, przekręcając klucz w zamku.

- Tutaj właśnie przechowujemy nasze klejnoty przeznaczone dla bardziej wymagających klientów - oznajmił.

Pośrodku pokoju stała gablotka wypełniona olśniewającą ekspozycją diamentów, rubinów i szmaragdów, połyskujących jaskrawo.

- Tak, to już jakoś wygląda. Stary P.J. posikałby się z radości.

- Czy jest tu coś, co pani odpowiada, madame?

- Zaraz, niech się rozejrzę. Co my tu widzimy... - Podeszła do przegródki ze szmaragdami. - Pokaż mi, kolego... tę kupkę.

Halston wyjął z kieszeni inny mały kluczyczek, otworzył szafkę, wysunął gablotę ze szmaragdami i położył je na stole. Na aksamitnym obiciu spoczywało dziesięć szmaragdów. Halston przyglądał się jak kobieta podniosła największy z nich - wspaniały kamień w platynowej oprawie.

- Jak powiedziałby stary PJ. - ten tutaj kamyczek ma moje imię wypisane na sobie.

- Madame wie czego szukać. To dziesięciokaratowy, jasnozielony szmaragd z Kolumbii. Jest bez skazy i...

- Nie ma szmaragdów bez skazy. - Halston na moment osłupiał.

- Oczywiście, madame ma całkowitą rację. Chciałem powiedzieć, że... - Dopiero teraz spostrzegł, że oczy kobiety miały ten sam kolor, co kamień, który trzymała w dłoniach i oglądała pod różnymi kątami.

- Mamy tutaj bogatszą kolekcję, jeżeli...

- Nie, kochasiu. Wezmę sobie ten.

- Doskonale - powiedział Halston. Potem zauważył delikatnie: - Cena w przeliczeniu na dolary wynosi sto tysięcy. W jaki sposób madame życzy sobie zapłacić te sumę?

- Nie przejmuj się, Ralston, stary przyjacielu, mam tutaj konto dolarowe w banku. Zaraz ci wypiszę śliczny, mały imienny czek. A potem stary P.J. zwróci mi forszę.

- Wspaniale. Każę wyczyścić dla pani ten kamień i dostarczyć go do hotelu.

Kamień nie wymagał czyszczenia, ale Halston nie miał zamiaru wypuścić go z rąk, póki nie sprawdzi wypłacalności klientki: zbyt wielu jubilerów padało ofiarą sprytnych oszustów. Halston był bardzo dumny z faktu, że jeszcze nigdy nie dał się oszukać, choćby na jednego funta.

- Pod jaki adres mamy dostarczyć szmaragd?

- Wzięliśmy sobie tutaj apartament Olivera Messela w Dorchu. - Halston domyślił się: hotel „Dorchester”. - Nazywam to mesa - zaśmiała się. - Masa ludzi nie lubi tego hotelu, bo łązi tam zawsze pełno Arabów, ale stary P.J. prowadzi z nimi interesy. „Ropa to jeden kraj” - tak zawsze powtarza. - P.J. Benecke to równy gość.

- Bez wątpienia ma pani rację - odparł Halston z przekonaniem.

Przyglądał się jej, gdy wydarła formularz czekowy i zaczęła pisać. Zauważył, że czek został wystawiony przez Barclays Bank. To dobrze. Miał tam przyjaciela, który może sprawdzić konto rodziny Benecke.

- Jutro rano otrzyma pani szmaragd. - Wziął czek.

- Stary P.J. będzie piał z zachwytu - oznajmiła uszczęśliwiona.

- Niewątpliwie - odpowiedział Halston uprzejmie. Odprowadził ją do drzwi wejściowych.

- Ralston! - Przekręcała jego nazwisko i już chciał ją poprawić, ale w ostatniej chwili rozmyślił się. Przecież nigdy więcej jej nie zobaczy, dzięki Bogu!

- Tak, madame?

- Możesz przyjść do nas na herbatę po południu. Spodoba ci się stary P.J.

- Nie wątpię, madame. Ale niestety, pracuję w każde popołudnie.

- To przykre.

Patrzył za nią, gdy podchodziła do krawężnika. Za chwilę podjechał tam biały daimler. Wyskoczył z niego szofer i otworzył drzwi. W momencie, gdy samochód ruszył, blondynka uniosła w górę kciuk: OK!

Natychmiast po powrocie do swego biura Halston podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer swego znajomego w Barclays.

- Peter, przyjacielu, mam tu czek na sto tysięcy dolarów wypisany przez Mary Lou Benecke. Czy ma pokrycie?

- Poczekaj chwilę, stary.

Halston czekał. Miał nadzieję, że czek okaże się dobry, bo ostatnio interesy szły mu nie najlepiej. Bracia Parker, te sknery, których własnością był sklep, ciągle narzekali, jakby to on był odpowiedzialny za przejściowy kryzys. Oczywiście, sytuacja nie była całkiem beznadziejna, ponieważ firma „Parker and Parker” miała wydział specjalizujący się w czyszczeniu biżuterii i co pewien czas klejnoty oddawane klientom traciły w nim nieco na wartości. Wnoszono skargi, ale niczego nie udowodniono.

Peter wrócił do telefonu.

- Możesz być spokojny, Gregory. Na tym koncie jest o wiele więcej pieniędzy, niż potrzeba do pokrycia czeku.

- Dziękuję ci, Peter. - Halston poczuł ulgę.

- Nie ma za co.

- Za tydzień lunch - u mnie.

Halston zrealizował czek nazajutrz rano i natychmiast wysłał do hotelu „Dorchester” zaufanego posłańca ze szmaragdem.

Tego samego dnia, po południu, na krótko przed zamknięciem sklepu, sekretarka Gregory Halstona zapukała do jego biura.

- Jakaś pani Benecke chce się z panem widzieć.

Zmartwił się. Prawdopodobnie przyszła, by zwrócić szmaragd, a on nie może odmówić. „Niech szlag trafi wszystkie kobiety, wszystkich Amerykanów i wszystkich Teksaszczyków!” Halston uśmiechnął się promiennie i wyszedł powitać klientkę.

- Dzień dobry, pani Benecke. Jak sadzę, mężowi nie spodobał się szmaragd?

- Kiepsko sądzisz, Ralston. Stary PJ. po prostu dostał świra na jego punkcie.

- Naprawdę? - Serce Halstona wezbrało radością.

- Spodobał mu się tak bardzo, że chce koniecznie dokupić drugi do pary. Mają z tego wyjść kolczyki. Więc znajdź mi jeszcze jeden do tego, który mam.

Na czole Halstona pojawiła się zmarszczka.

- Obawiam się, że mogą być z tym kłopoty, pani Benecke.

- Jakie kłopoty, skarbie?

- Pani kamień to unikat. Nie istnieje drugi identyczny. Ale mam tu piękny komplet w trochę innym stylu, który mógłbym...

- Nie chcę w innym stylu. Chcę mieć dokładnie taki jak ten, który tu kupiłam.

- Mówiąc całkiem szczerze, pani Benecke, nie ma na świecie wielu takich dziesięciokaratowych kolumbijskich kamieni bez skazy... - zauważył wyraz jej twarzy - prawie bez skazy.

- Nie żartuj, koleś. Musi jakiś być - tu albo gdzieś tam.

- Przyznam szczerze, że niewiele dotąd spotkałem kamieni tej wielkości, i znalezienie podobnego, o tym samym kształcie i odcieniu, jest prawie niemożliwe.

- U nas w Teksasie mówi się, że rzecz niemożliwa to taka, którą jest trochę trudniej zrobić niż możliwą. W sobotę są moje urodziny, P.J. chce, żebym miała te kolczyki, a P.J. zawsze dostaje to, czego chce.

- Nie sądzę, że udałoby się...

- Ile ja dałam za tę pestkę - sto paczek? Stary P.J. spokojnie pójdzie jeszcze kawałek w górę - do dwustu albo trzystu tysięcy za następny.

Gregory Halston zamyślił się głęboko. Przecież musi gdzieś istnieć podobny kamień, a jeśli P.J. chce dopłacić ekstra dwieście tysięcy, to można mieć z tego przyzwoity profit. „Właściwie - pomyślał Halston - można zawsze tak pokierować sprawą, by przyniosła przyzwoity profit”.

- Spróbuję się dowiedzieć, pani Benecke - rzekł głośno. - Z pewnością żaden inny jubiler w Londynie nie ma identycznego szmaragdu, ale są jeszcze rozmaite aukcje, licytacje majątków. Trzeba będzie zamieścić ogłoszenia w gazetach i zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Do końca tygodnia masz kupę czasu - zauważyła blondynka. - A tak między nami kolegami, może stary P.J. pójdzie jeszcze w górę, do... powiedzmy: trzystu pięćdziesięciu tysięcy.

W chwilę potem pani Benecke wyszła ze sklepu powiewając sobolowym płaszczem.

Gregory Halston siedział w swoim biurze pogrążony w marzeniach. Ślepy los postawił na jego drodze człowieka tak zwariowanego na punkcie swojej żony, że gotowego zapłacić trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów za szmaragd wart sto tysięcy. Dałoby to netto dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów zysku. Gregory Halston nie

uznał za konieczne niepokoić swych pracodawców szczegółami tej transakcji. Wystarczy po prostu zaksięgować sprzedaż drugiego szmaragdu za sto tysięcy dolarów, a resztę zatrzymać sobie. Dodatkowe dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów zapewni mu na długie lata dostatnie i przyjemne życie.

Teraz należało za wszelką cenę znaleźć szmaragd możliwie najbardziej podobny do tego, który sprzedał pani Benecke.

Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczał. Żaden jubiler, do których telefonował, nie posiadał niczego, choćby z grubsza przypominającego to, czego szukał. Zamieszczał ogłoszenia w londyńskim „Timesie” i „Financial Timesie”, zasięgał informacji w domach aukcyjnych „Christie’s” i „Sotheby’s”, skontaktował się z tuzinem agentów i pośredników. W ciągu następnych kilku dni biuro Halstona przeżyło istny zalew małych, niewielkiej wartości szmaragdów, oraz kamieni większych i piękniejszych, ale żaden z nich nawet w przybliżeniu nie odpowiadał wymaganiom pani Benecke.

W środę zadzwoniła pani Benecke.

- Stary P.J. traci cierpliwość - ostrzegła. - Czy już go macie?

- Jeszcze nie, pani Benecke - odparł Halston - ale proszę się nie martwić, będziemy go mieli.

W piątek znowu zadzwoniła.

- Jutro są moje urodziny - przypomniała.

- Wiem, proszę pani. Gdyby zechciała pani poczekać jeszcze kilka dni, jestem pewny, że mógłbym...

- Trudno, stary. Nie szarp się. Jeśli nie znajdziesz tego szmaragdu do jutra, oddam ci ten, który kupiłam. Stary P.J. - niech go Bóg błogosławi - mówi, że kupi mi w zamian jakiś kawałek ziemi. Słyszałeś o miejscu, które nazywa się Sussex?

- Pani Benecke - Halston jęczał rozpaczliwie i pocił się z wrażenia - nie spodoba się pani w Sussex. Znienawidzi pani życie na wsi. Większość domów w tej okolicy jest w opłakanym stanie. Nie ma tam ani centralnego ogrzewania, ani...

- Między nami kolegami - przerwała - ja też wolę te kolczyki. Stary P.J. nawet bąknął coś o czterystu tysiącach dolarów za bliźniaczy kamień. Nie masz pojęcia, jak się na niego napalił.

„Czterysta tysięcy!” Halston czuł jak pieniądze prześlizgują mu się między palcami.

- Proszę mi wierzyć, zrobię wszystko co będę mógł - prawie lkał. - Potrzebuję tylko trochę więcej czasu.

- Ja tu nie mam nic do gadania - powiedziała - tylko P.J. - Odłożyła słuchawkę.

Halston siedział i kłął. „Skąd, do cholery, wytrzasnąć identyczny dziesięciokaratowy szmaragd?” Był tak bardzo zaprzątnięty swoimi myślami, że nie usłyszał brzęczenia dzwonka interkomu. Dopiero gdy brzęczyk odezwał się po raz trzeci, wcisnął guzik i zapytał:

- O co chodzi?

- Dzwoni jakaś contessa Marissa, panie Halston. Mówi coś o naszym ogłoszeniu i o szmaragdzie.

Jeszcze jedna! Tego ranka odebrał co najmniej dziesięć telefonów, z których nie wynikało nic, poza stratą czasu. Podniósł słuchawkę i niechętnie spytał:

- Tak?

- *Buon giorno, signore*. Pana podobno interesuje zakupienie szmaragdu, *si*? - odpowiedział śpiewny kobiecy głos o włoskim akcencie.

- Tak, zgadza się, ale dosyć szczególnego szmaragdu. - Nie potrafił opanować niecierpliwości.

- Ja mam szmaragd, który był w posiadaniu mojej rodziny przez wiele lat. Tylko *peccato* - szkoda mi go sprzedawać. Ale jestem w sytuacji, która nie pozostawia mi wyboru.

Wiele razy słyszał już tę historię. „Trzeba będzie spróbować znowu „Christie’s” - pomyślał Halston - albo „Sotheby’s”. Może w ostatniej chwili dostali coś nowego albo...”

- *Signore!* Pan szuka dziesięciokaratowego szmaragdu, *si*?

- Tak.

- Mam dziesięciokaratowy, *verde* - zielony - z Kolumbii.

- Czy... czy może pani powtórzyć to jeszcze raz? - Gdy Halston wreszcie odezwał się, jego głos brzmiał chrapliwie.

- *Si*. Mam dziesięciokaratowy, jasnozielony szmaragd z Kolumbii. Czy pana to interesuje?

- Owszem - odparł ostrożnie. - Gdyby mogła pani przyjść do mnie i pokazać go...

- Nie, *scusi*, to niemożliwe, jestem bardzo zajęta. Przygotowujemy bankiet w ambasadzie na cześć mego męża. Może w przyszłym tygodniu...

Nie! W przyszłym tygodniu będzie za późno.

- Może w takim razie ja panią odwiedzę? - Ze wszystkich sił starał się mówić obojętnym tonem. - Mógłbym przyjechać do pani choćby zaraz...

- *Ma, no. Sono occupata stamani.* Właśnie wybierałam się na zakupy...

- Gdzie pani mieszka, contesso?

- W „Savoyu”.

- Mogę tam być za piętnaście minut. Za dziesięć. - Zająknął się z podniecenia.

- *Molto bene.* A pan się nazywa...

- Halston. Gregory Halston.

- Pokój *ventisei* - dwadzieścia sześć.

Jazda taksówką dłużyła się w nieskończoność. Nastrój Halstona oscylował od skrajnej rozpacz do skrajnego optymizmu i z powrotem. Jeśli szmaragd okaże się rzeczywiście podobny do pierwszego, to będzie bardzo bogaty. „Czteryście tysięcy dolarów zapłaci ten Teksasńczyk!” Trzysta tysięcy dolarów czystego zysku! Kupi dom na Riwierze. Może mały stateczek spacerowy. Z własną willą i statkiem poderwie tylu atrakcyjnych młodych chłopców, ilu będzie chciał...

Gregory Halston był niewierzący, ale idąc korytarzem hotelu „Savoy” w kierunku drzwi do apartamentu numer dwadzieścia sześć, mimowolnie zaczął się modlić: „Wielki Boże, spraw aby szmaragd okazał się wystarczająco podobny i usatysfakcjonował starego P.J. Benecke...”

Stał przed drzwiami pokoju contessy, oddychając głęboko i starając się opanować zdenerwowanie. Zapukał do drzwi, ale nikt mu nie odpowiedział.

„Och, mój Boże! - pomyślał Halston - poszła sobie, nie czekając na mnie. Wyszła zrobić zakupy, a ja...”

Drzwi otworzyły się i przed Halstonem stanęła elegancka dama pod pięćdziesiątkę, o ciemnych oczach, twarzy poranej zmarszczkami i ciemnych włosach przetykanych siwizną.

- *Si?* - przemówiła śpiewnym, miękkim głosem, z silnym włoskim akcentem.

- Nazywam się G-Gregory Halston. Pani d-do mnie dzwoniła - jąkał się ze zdenerwowania.

- Och, *si.* Jestem contessa Marissa. Proszę wejść, *signore, per favore.*

- Dziękuję.

Wszedł do pokoju, ściskając kolana, aby nie zdradzić ich drżenia.

- Gdzie jest ten szmaragd? - prawie krzyknął, choć wiedział, że musi wziąć się w garść. Nie może pokazać po sobie, jak bardzo jest podniecony. Jeśli kamień okaże się odpowiedni, zacznie się targować. Ostatecznie był doświadczonym handlowcem, a ona tylko nędzną amatorką.

- Proszę się... usiąść - rozpoczęła rozmowę contessa. Usiadł na krześle. - *Scusi. Non parlo molto bene inglese.* Nie mówię zbyt dobrze po angielsku.

- Ależ skąd. Mówi pani czarującą angielszczyzną.

- *Grazie.* Może poczęstuje się pan kawą? Herbatą?

- Nie, nie, dziękuję, contesso.

Jego żołądek był kłębkim rozdygotanych nerwów. Może jeszcze zaczekać z rozmową o szmaragdzie? Lecz nie potrafił się opanować.

- Ten szmaragd...

- Ach, *si* - odparła. - Ten szmaragd to prezent od mojej babki. Chciałam podarować go córce na dwudzieste piąte urodziny, ale mąż zaczyna prowadzić nowe interesy w Mediolanie i ja...

Halston myślni był gdzie indziej. Nie interesowała go nudna historia życia tej obcej siedzącej naprzeciwko kobiety. Po prostu płonął z niecierpliwości, żeby zobaczyć szmaragd. Nie mógł już dłużej czekać.

- *Credo che sia importante,* aby umożliwić swemu mężowi dobry start. - Uśmiechnął się smutno. - Może popełniam błąd...

- Nie, na pewno nie - odparł gwałtownie Halston. - W żadnym wypadku, contesso. Obowiązkiem żony jest pomaganie mężowi. Czy mogę zobaczyć ten szmaragd?

- Mam go tutaj - odpowiedziała contessa.

Sięgnęła do kieszeni, wyjmując stamtąd klejnot zawinięty w bibułę i podała go Halstonowi. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby jego twarz rozpogodziła się. Był to bez wątpienia najpiękniejszy dziesięciokaratowy, jasnozielony szmaragd kolumbijski, jaki kiedykolwiek oglądał. Wyglądem, rozmiarem i kolorem tak bardzo przypominał ten, który sprzedał pani Benecke, że różnica była prawie niezauważalna. „Nie jest całkiem identyczny - pomyślał Halston - ale tylko ekspert potrafiłby wykryć różnicę”. Ręce mu drżały. Resztkami sił zdołał się opanować.

Obracał kamień w palcach, przyglądając się refleksom światła na jego niezliczonych płaszczyznach, a potem zauważył obojętnie:

- To dość ładny kamyk.

- *Splendente, si.* Bardzo się do niego przywiązałam przez te wszystkie lata. Trudno mi będzie się z nim rozstać.

- Postępuje pani bardzo chwalebnie - zapewnił ją Halston. - Kiedy pani mąż odniesie sukces, kupi pani tyle takich szmaragdów, ile dusza zapragnie.

- Mnie też się tak wydaje. Pan jest *molto simpatico*.

- Robię to dla mojego przyjaciela, contesso. Mamy w naszym sklepie znacznie cenniejsze szmaragdy, ale przyjaciel chciałby znaleźć kamień najbardziej, w miarę możliwości, podobny do tego, który kupiła jego żona. Sądzę, że zgodzi się na zapłacenie nawet sześćdziesięciu tysięcy dolarów.

- Moja babka powstanie z grobu i będzie mnie straszyć, jeśli sprzedam ten klejnot za sześćdziesiąt tysięcy dolarów - westchnęła contessa. Halston wyduł wargi. Stać go było na podniesienie stawki. Uśmiechnął się.

- Dobrze więc... Spróbuję przekonać mojego przyjaciela do zapłacenia stu tysięcy dolarów. To ogromna suma, ale jemu bardzo zależy na tym kamieniu.

- To brzmi fair - stwierdziła contessa. Gregory Halston poczuł rozkoszną błogość.

- *Bene!* Mam tu ze sobą książeczkę czekową, więc zaraz wypiszę czek.

- *Ma, no.* Obawiam się, że to nie rozwiąże mojego problemu. - Twarz contessy zachmurzyła się. Halston przyjrzał się jej.

- Pani problemu?

- *Si.* Jak powiedziałam, mój mąż rozpoczyna bardzo kosztowne przedsięwzięcie i potrzebuje trzystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Mam sto tysięcy dolarów, które mu dam, ale potrzebuję jeszcze dwustu. Miałam nadzieję sprzedać szmaragd właśnie za tyle.

- Droga contesso - pokręcił głową - żaden szmaragd na świecie nie jest wart takiej sumy. Proszę mi wierzyć, sto tysięcy dolarów to bardzo korzystna oferta.

- Z pewnością ma pan rację, panie Halston - powiedziała contessa - ale to nie pomoże mojemu mężowi. - Wstała z krzesła. - Przechowam go dla mojej córki. - Wyciągnęła szczupłą, delikatną dłoń. - *Grazie, signore.* Dziękuję za odwiedzinę.

- Chwileczkę - Halston przeraził się. Chciwość walczyła w nim o lepsze ze zdrowym rozsądkiem, ale wiedział, że w żadnym wypadku nie może utracić tego szmaragdu. - Proszę, niech pani usiądzie, contesso. Na pewno osiągniemy jakiś sensowny kompromis. A jeśli zdołam przekonać mojego klienta do zapłacenia stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów?

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Powiedzmy: dwieście tysięcy.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Nie było na nią sposobu. Halston podjął decyzję. Lepiej zarobić sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów niż nic. Oznacza to trochę mniejszą wilgę i statek, ale przecież to i tak jest fortuna. Odplaci tym skąpcom Parkerom za to, w jaki sposób go traktują. Odczeka jeszcze dzień albo dwa, a potem wypowie im pracę. Za tydzień powinien już być na Côte d'Azur.

- Zgadzam się - powiedział.

- *Maraviglioso! Sono contenta!*

„Pewnie, że jesteś kontenta, dziwko!” - pomyślał Halston. Ale w gruncie rzeczy i on nie miał powodu do narzekania. Ta suma na długo mu wystarczy. Jeszcze raz obejrzał szmaragd i wsunął go do kieszeni.

- Wystawię pani czek płatny z konta sklepu.

- *Bene, signore.*

Halston wypisał czek i wręczył go jej. Wkrótce pani Benecke wypisze mu podobny czek na czterysta tysięcy dolarów. Peter podejmie pieniądze, a on zamieni czek i zainkasuje różnicę. Uzgodni z Peterem, aby wydatek dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów nie figurował w comiesięcznym sprawozdaniu firmy.

Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Już prawie czuł ciepłe słońce Francji na swej twarzy.

Powrót taksówką do sklepu nie trwał, jak mu się wydawało, dłużej niż kilka sekund. Halston myślał o zadowoleniu pani Benecke na wieść o znalezieniu kamienia. Nie tylko znalazł, ale także uwolnił ją od życia w nędznym, prymitywnym, wiejskim domu.

Gdy wpadł do sklepu, zatrzymał go Chilton.

- Sir, mamy tu klienta, który chciałby...

- Później - przerwał mu Halston, radośnie machając ręką. Nie miał czasu dla klientów. Nie teraz, a może już nigdy więcej.

Odtąd ludzie będą na niego czekali. Zakupy będzie robił w sklepach „Hermes”, „Lanvin” i „Gucci”.

Halston popędził do swojego biura, zamknął drzwi, położył szmaragd przed sobą na biurku i wykręcił numer.

Odpowiedział mu telefonista z centrali:

- Hotel „Dorchester”.

- Proszę mnie połączyć z apartamentem Olivera Messela.

- Z kim chciałby pan rozmawiać?

- Z żoną pana P.J. Benecke.

- Proszę chwileczkę poczekać. - Halston pogwizdywał sobie pod nosem. Po chwili telefonista odezwał się znowu: - Przykro mi, ale pani Benecke wyprowadziła się.

- Więc proszę połączyć mnie z apartamentem, do którego się wprowadziła.

- Pani Benecke wyprowadziła się z hotelu.

- To niemożliwe. Ona...

- Połączę pana z recepcją.

W chwilę później usłyszał męski głos:

- Recepcja. Czym mogę służyć?

- W którym apartamencie mieszka pani Benecke?

- Pani Benecke wyprowadziła się z hotelu dziś rano. Musiało się coś stać. Jakieś nagłe wydarzenie.

- Proszę mi podać jej obecny adres. Chodzi o...

- Przykro mi. Nie podała żadnego adresu.

- Ależ musiała zostawić jakąś informację.

- Pożegnałem panią Benecke osobiście. Nie zostawiła żadnej informacji.

Było to tak jakby ktoś wylał mu na głowę kubel zimnej wody.

Powoli odłożył słuchawkę i siedział nieruchomo w odrętwieniu. Musi przecież skontaktować się z nią, powiedzieć, że w końcu odnalazł szmaragd. Tymczasem trzeba natychmiast wstrzymać wypłatę tego czeku na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, który otrzymała contessa Marissa.

Pospieszenie wykręcił numer hotelu „Savoy”.

- Poproszę z pokojem dwadzieścia sześć.

- Z kim pan chce rozmawiać, jeśli można?

- Z contessa Marissa.

- Chwileczkę.

Lecz zanim jeszcze telefonistka wróciła do aparatu, jakieś fatalne przeczucie przepowiedziało Halstonowi tragiczną wiadomość, którą miał za chwilę usłyszeć.

- Niestety, contessa Marissa wyprowadziła się.

Rozłączył rozmowę. Palce mu drżały i nie potrafił wykręcić numeru banku. Wreszcie mu się udało!

- Proszę z naczelnym kasjerem... szybko! Chciałbym wstrzymać wypłatę czeku.

Ale, oczywiście, spóźnił się. Sprzedał szmaragd za sto tysięcy dolarów i kupił ten sam szmaragd za dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Gregory Halston długo siedział w swoim fotelu zastanawiając się, jak wytłumaczy to braciom Parker.

Dla Tracy rozpoczęło się nowe życie. Kupiła piękny, stylowy dom z epoki króla Jerzego V przy Eaton Square 45, pełen światła, radosny, doskonały do wypoczynku. Teren wokół domu zajmowały dwa ogrody: frontowy - Queen Anne, jak potocznie nazywają takie ogrody Brytyjczycy, i położony z tyłu domu - Mary Anne. W ogrodach rosły piękne kwiaty. Gunther pomógł Tracy urządzić dom i jeszcze zanim skończyli - stał się on jedną z najpiękniejszych rezydencji Londynu.

Gunther przedstawił Tracy okolicznym mieszkańcom jako zamożną, młodą wdowę, której mąż zbił fortunę na handlu z zagranicą. Wszyscy od razu poczuli do niej sympatię, podziwiali jej urodę, inteligencję, wdzięk... Posypały się zaproszenia.

Od czasu do czasu Tracy wyruszała na krótkie wycieczki do Francji, Szwajcarii, Belgii lub Włoch, z których każda była wielkim sukcesem finansowym jej i Gunthera.

Za poradą Gunthera Tracy studiowała „Almanach Gotajski” i „Księgę Debretta Parów i Baronetów”, najkompetentniejsze źródła wiedzy o europejskiej arystokracji, rodach królewskich i książęcych. Dzięki wrodzonym zdolnościom jak kameleon opanowała umiejętność naśladowania różnych osób wymową, ubiorem, makijażem. Posługiwała się sześcioma paszportami. W wielu krajach grała rolę angielskiej księżny, stewardessy francuskich linii lotniczych lub południowoafrykańskiej milionerki. W ciągu roku zgromadziła majątek wystarczająco duży, by zapewnić jej na długie lata przyjemne życie. Utworzyła anonimowy fundusz pomocy finansowej dla organizacji, zajmujących się resocjalizacją byłych więźniarek, wspinałomyślnie zapewniła Otto Schmidtowi comiesięczną rentę. Nie myślała już o porzuceniu swego zajęcia. Ogromnie podobało się jej pokonywanie sprytem i inteligencją wszystkich tych bogatych, pewnych siebie i nieuczciwych ludzi. Dreszczyk emocji, towarzyszący każdej eskapadzie, działał jak narkotyk. Tracy po prostu wyżywała się obmyślając coraz to nowe i bardziej zawiłe podstępny, wykorzystując swój spryt i inteligencję. Jednej zasadzie pozostała wierna: nigdy nie krzywdziła niewinnych. Jej ofiary zawsze odznaczały się chciwością i nieuczciwością. „Nikt nie popełni samobójstwa z powodu tego, co mu zrobiłam” - obiecała sobie.

W gazetach wkrótce pojawiły się wzmianki o niezwykłych aferach, których ofiarą padali milionerzy z całej Europy, a ponieważ Tracy za każdym razem ukazywała się w innym przebraniu, policja nabrała przekonania, że wszystkie te „operacje” przeprowadza potężny, międzynarodowy gang kobiet. Zwróciło to uwagę Interpolu.

W manhattańskiej siedzibie Międzynarodowego Towarzystwa Ubezpieczeniowego LIPA J.J. Reynolds mówił do Daniela Coopera: - Mamy poważne kłopoty. Wielu naszych europejskich klientów prawdopodobnie pada ofiarą przestępczej organizacji kobiecej. Wszyscy domagają się zemsty. Chcą położyć kres tym gangsterskim sztuczkom. Interpol postanowił z nami współpracować. Zajmiesz się tą sprawą, Dań. Jutro rano polecisz do Paryża.

Tracy jadła obiad z Guntherem w restauracji „Scott” na Mount Street.

- Czy obilo ci się o uszy nazwisko Pierpont? Maksymilian Pierpont?

Wydawało się znajome. Gdzie mogła je usłyszeć? Nagle przypomniała sobie. Jeff Stevens, na pokładzie „Queen Elizabeth II” mówił: „Przybyliśmy tutaj w tym samym celu. Maksymilian Pierpont...”

- Jest bardzo bogaty, prawda?

- I zupełnie pozbawiony skrupułów. Specjalizuje się w wykupowaniu spółek i ograbianiu ich.

„Kiedy Joe Romano przejął interes, wyrzucił wszystkich starych pracowników i zastąpił ich swoimi ludźmi. Potem zniszczył firmę... Zabrali wszystko: warsztaty, ten dom, nawet jej samochód...”

- Czy dobrze się czujesz, Tracy? - Gunther patrzył na nią ze zdziwieniem.

- Tak, świetnie. - „Czasami życie płata figle - pomyślała - a naszym zadaniem jest wyrównywanie rachunków”. - Opowiedz mi coś więcej o tym Maksymilianie Pierponcie”.

- Opuściła go właśnie trzecia żona i teraz jest sam. Powinnaś poznać tego dżentelmena. Zamówił sobie na piątek bilet na Orient Express, z Londynu do Stambułu.

- Nigdy nie jechałam Orient Expressem. To musi być fascynujące. - Tracy uśmiechnęła się. Gunther odwzajemnił jej uśmiech.

- Doskonale. Maksymilian Pierpont ma jedyną, poza leningradzkim Ermitażem, liczącą się w świecie kolekcję jajek z Fabergé. Dość dawno szacowano jej wartość na dwadzieścia milionów dolarów.

- Gdybym kilka z nich zdobyła dla ciebie, Gunther - zapytała Tracy - to co byś z nimi zrobił? Są chyba zbyt znane, by można było je sprzedać?

- Prywatni kolekcjonerzy, droga Tracy. Przyniesiesz mi kilka tych jajeczek, a ja znajdę dla nich gniazdko, nie obawiaj się.

- Zobaczę, co się da zrobić.

- Maksymilian Pierpont jest dość nieuchwytny, często zmienia plany. Więc na wszelki wypadek: dwa inne ptaszki wyjeżdżają Orient Expressem w piątek na festiwal filmowy do Wenecji. Myślę, że zasługują na oskubanie. Czy słyszałaś o Silvanie Luadi?

- Tej wielkiej aktorce? Oczywiście.

- Jej mężem jest Alberto Fornati, producent tych okropnych epopei filmowych. Fornati zyskał sobie złą sławę dzięki podpisywaniu kontraktów z aktorami i reżyserami za śmiesznie małe wynagrodzenie. Obiecuje im duży procent od zysków, a potem wszystko zgarnia dla siebie. Stać go na kupowanie żonie ogromnie kosztownych klejnotów. Im częściej ją zdradza, tym więcej ich kupuje. Silvana mogłaby już z pewnością otworzyć własny sklep jubilerski. Niewątpliwie uznasz ich za bardzo interesującą parę.

„Venice Simplon Orient Express” odjeżdża z Victoria Station w Londynie w każdy piątek o 11.44. Jego docelową stacją jest Sztambuł, a po drodze zatrzymuje się w Boulogne, Paryżu, Mediolanie i Wenecji. Na pół godziny przed odjazdem pociągu przy wejściu na peron ustawiany jest stolik, służący do odprawy pasażerów, a dwaj potężnie zbudowani panowie w uniformach rozwijają przed nim czerwony dywanik, odpychając wścibskich gapiów.

Nowi właściciele Orient Expressu starali się w miarę możliwości odtworzyć atmosferę złotych lat kolei z końca dziewiętnastego wieku: nowy pociąg wiernie naśladował oryginał. Miał w swoim składzie wagon pullmanowski, restaurację, salon barowy i wagony sypialne.

Urzędnik w niebieskim uniformie z lat dwudziestych ze złotym galowym sznurem odebrał od Tracy dwie walizki i jej podręczną torebkę, i zaniósł je do niezbyt dużego przedziału. Był tam jeden tylko fotelik, obity mohairową tkaniną w kwiaty. Dywanik, podobnie jak obicie drabiny, służącej do wchodzenia na górne łóżko, był z zielonego pluszu. Przypominało to trochę wnętrze bombonierki.

Tracy przeczytała karteczkę, dołączoną do małej butelki szampana:

OLIVER AUBERT
kierownik pociągu

„Uczę nim mój sukces - postanowiła Tracy. - Maksymilian Pierpont. Jeffowi Stevensowi nie udało się. Byłoby wspaniale, gdybym przewyższyła sprytem pana Stevensa”. Tracy uśmiechnęła się na tę myśl.

Rozpakowała się w swoim malutkim przedziale i powiesiła na wieszakach ubrania. Bardziej odpowiadałaby jej podróż odrzutowcem Pan American, ale jazda pociągiem zapowiadała się, jak na razie, interesująco.

Dokładnie o wyznaczonym czasie Orient Express wyruszył ze stacji. Tracy siedziała w swoim fotelu, przyglądając się mijanym przedmieściom Londynu.

O 13.15 pociąg dotarł do portu Folkestone, gdzie pasażerowie przesiedli się na prom „Sealink” mający przewieźć ich przez kanał do Boulogne, gdzie z kolei przesiądą się na inny Orient Express, zdążający na południe.

Tracy podeszła do jednego z pracowników obsługi.

- Słyszałam, że Maksymilian Pierpont podróżuje tym pociągiem. Czy mógłby mi pan go wskazać? - Urzędnik pokręcił głową.

- Chciałbym móc to zrobić, proszę pani. Wykupił bilet, ale się nie pokazał. Ten dżentelmen bardzo lubi sprawiać niespodzianki, jak mi mówiono.

W tej sytuacji pozostawała Silvana Luadi ze swoim mężem, producentem filmowych epopei.

W Boulogne pasażerów przetransportowano na stację, gdzie przesiedli się na kontynentalny Orient Express. Tracy miała pecha: jej przedział w drugim pociągu był dokładną kopią poprzedniego, a pofalowany teren jeszcze bardziej pogarszał komfort podróży. Cały dzień spędziła w przedziale, układając swoje plany, a o 20.00 wieczorem zaczęła się ubierać.

Reguły towarzyskie Orient Expressu zalecały strój wieczorowy, więc Tracy wybrała szarą, szyfonową suknię, szare pończochy i satynowe pantofelki tego samego koloru. Z biżuterii wiozła tylko pojedynczy sznur starannie dobranych pereł. Przed wyjściem z przedziału długo przeglądała się w lustrze. Jej zielone oczy spoglądały niewinnie, z twarzy promieniowała szczerłość i uczciwość. „To lustro kłamie - pomyślała Tracy - już nie jestem taka. Zmieniam się z dnia na dzień. Ale przynajmniej nie nudzę się”.

Gdy opuszczała kabinę, torebka wypadła jej z ręki, a gdy schyliła się, żeby ją podnieść, szybko przyjrzała się zewnętrznym zamkom w drzwiach. Były dwóch typów:

Yale i Universal. „Nie będzie problemu”. Tracy wyprostowała się i poszła do wagonu restauracyjnego.

W pociągu były trzy takie, podobne do siebie wagony. We wszystkich siedzenia pokrywał plusz, ściany obite były materiałem, a łagodne światło płynęło z mosiężnych kinkietów, nakrytych kloszami z kolorowych szkiełek. Wszedłszy do pierwszej sali, Tracy spostrzegła kilka wolnych stolików.

- Stolik dla pani, mademoiselle? - powitał ją główny kelner. Tracy rozejrzała się po sali.

- Przysiadę się do przyjaciół, dziękuję.

Poszła do następnego wagonu restauracyjnego. Siedziało tam więcej osób, lecz mimo to kilka stolików było wolnych.

- Dobry wieczór - powiedział kelner. - Czy będzie pani jadła sama?

- Nie, szukam przyjaciół. Dziękuję.

W trzeciej sali wszystkie stoliki były zajęte. Kelner zatrzymał ją przy wejściu.

- Obawiam się, proszę pani, że trzeba będzie poczekać. Ale w innych wagonach są wolne stoliki.

Tracy rozejrzała się po sali i w najdalszym jej kącie dostrzegła to, czego szukała.

- W porządku - odpowiedziała kelnerka - widzę przyjaciół. - Minęła go i podeszła do upatrzonego stolika.

- Przepraszam - usprawiedliwiła się - chyba wszystkie stoliki są zajęte. Czy bardzo przeszkadzałoby państwu, gdybym się przysiadła?

Mężczyzna zerwał się z krzesła, obejrzał Tracy od stóp do głów i krzyknął:

- *Prego! Con piacere!* Nazywam się Alberto Fornati, a to moja żona, Silvana Luadi.

- Tracy Whitney. - Nie miała fałszywego paszportu.

- Ach! *E Americana!* Ja świetnie mówię po angielsku. Alberto Fornati był niski, łysy i otyły. Pytanie, dlaczego Silvana

Luadi wyszła za niego, nie dawało spokoju wielu dziennikarzom w ciągu tych dwunastu lat, które spędzili razem. Silvana była klasyczną piękną o wspaniałej figurze i przekonujących, naturalnych zdolnościach aktorskich. Od wielu lat była jedną z najpopularniejszych aktorek, zdobyła też Oscara i Srebrną Palmę. Teraz siedziała, ubrana w wieczorową suknię z kolekcji Valentino za pięć tysięcy dolarów, a jej biżuteria warta była około miliona. Tracy przypomniały się słowa Gunthera

Hartoga: „Im częściej ją zdradza, tym więcej kupuje jej klejnotów. Silvana mogłaby już z powodzeniem otworzyć własny sklep jubilerski”.

- To pani pierwsza podróż Orient Expressem, signorina? - rozpoczął rozmowę Fornati, gdy tylko Tracy usiadła przy stoliku.

- Tak, rzeczywiście.

- Ach, to bardzo romantyczny pociąg, owiany legendą. - Jego oczy zwilgotniały.
- Opowiada się o nim tyle *interessante* historii.

Na przykład: Sir Basil Zacharow - potentat zbrojeniowy - zwykł podróżować Orient Expressem, zawsze w siódmym przedziale. Pewnej nocy obudził go krzyk i hałas na korytarzu. Ktoś zapukał do drzwi. *Bellissima* młoda hiszpańska księżniczka rzuca mu się na szyję. - Fornali przerwał, posmarował bułkę masłem i nadgryzł ją. - Okazało się, że mąż próbował ją zabić. Małżeństwo skojarzyli jej rodzice, a biedna dziewczyna dopiero po ślubie zauważyła, że mąż był niepoczytalny. Zacharow poskromił męża i uspokoił roztrzęsioną dziewczynę. Tak został nawiązany romans, który przetrwał czterdzieści lat.

- Cóż za niezwykła historia - powiedziała Tracy. Jej oczy rozbłysły z ciekawości.

- *Si*. Odtąd co roku spotykają się w Orient Expresie, on w przedziale numer siedem, ona w ósemce. Po śmierci męża poślubiła Zacharowa, a on w dowód miłości kupił jej jako prezent ślubny kasyno gry w Monte Carlo.

- To przepiękna historia, panie Fornali.

Silvana Luadi siedziała bez ruchu, nie mówiąc ani słowa.

- *Mangia* - ponaglił Tracy Fornali. - Proszę jeść.

Obiad składał się z sześciu dań, a Alberto Fornali zjadł je wszystkie, nie wyłączając tego, co jego żona pozostawiła na talerzu. Jedząc nie przestawał mówić.

- Pani jest aktorką, prawda? - zapytał Tracy.

- Och, nie - zaśmiała się. - Jestem zwykłą turystką.

- *Bellissima*. Pani jest wystarczająco piękna, żeby być aktorką. - Uśmiechnął się do niej.

- Ale ona nie jest aktorką - powiedziała szorstko Silvana. Alberto Fornali zignorował ją.

- Jestem producentem filmowym - poinformował Tracy. - Na pewno pani słyszała: „Dzikie bestie”, „Tytani kontra Superkobieta”...

- Rzadko chodzę do kina - usprawiedliwiła się Tracy. Poczula dotyk jego tłustej nogi na swojej.

- Chętnie pokażę pani kilka swoich filmów. Silvana pobladła z gniewu.

- Czy wybierasz się do Rzymu, moja droga? - Przesuwał nogą po jej łydce, w górę i w dół.

- Właściwie planuję pobyt w Rzymie po zwiedzeniu Wenecji.

- Wspaniale! *Benissimo!* Spotkamy się wszyscy razem na obiedzie. Prawda, *cara?* - Rzucił szybkie spojrzenie na Silvane i ciągnął dalej: - Mamy piękną willę przy Via Appia. Dziesięć akrów... - - Wykonał ręką szeroki gęsi, przewracając sosjerkę wprosi na suknię swojej żony. Tracy nie mogła się domyślić, czy zrobił to niechcący, czy rozmyślnie.

Silvana Luadi zerwała się, patrząc na szybko rosnącą plamę na swojej sukience.

- *Sei un mascalzone!* - krzyknęła. - *Tieni le tue puttane lontano da me.*

Pospiesznie opuściła salę restauracyjną, odprowadzana spojrzeniami pasażerów.

- Co za wstyd! - zauważyła Tracy półgłosem - taka piękna suknia. - Miała ochotę uderzyć tego mężczyznę za upokorzenie własnej żony. „Ona zasługuje na każdy karat tej biżuterii - pomyślała Tracy - i znacznie więcej”.

- Fornali kupi jej inną sukienkę - westchnął. - Nie zwracaj uwagi na jej zachowanie. Ona jest bardzo zazdrosna o Fornali.

- Na pewno nie bez powodu - Tracy pokryła swą ironię lekkim uśmiechem.

- Masz rację. - Spojrzał na nią. - Wszystkie kobiety uwielbiają Fornali.

Tracy ze wszystkich sił panowała nad sobą, by nie roześmiać się w twarz temu pompatycznemu, małemu człowieczkowi. - To całkiem zrozumiałe.

- Fornali cię lubi - powiedział cicho. Sięgnął przez stół i ujął jej rękę. - Podobasz mu się bardzo. A w jaki sposób ty zarabiasz pieniądze?

- Jestem sekretarką w sądzie. Bardzo długo oszczędzałam na tę podróż. Mam nadzieję, że znajdę w Europie interesującą pracę.

Jego wylupiaste oczy lustrowały każdy fragment jej ciała.

- Na pewno ją znajdziesz, Fornali ci to przyrzeka. On lubi pomagać ludziom, którzy są dla niego mili.

- To bardzo przyjemna cecha - nieśmiało zauważyła Tracy.

- Może porozmawiamy o tym po obiedzie w twoim przedziale? - zniżył głos.

- Lepiej nie.

- *Perche?* Dlaczego?

- Jesteś zbyt sławny. Przypuszczam, że nie ma w tym pociągu osoby, która by cię nie poznała.

- Oczywiście.

- Jeśli zauważą, że wchodzisz do mojego przedziału, wtedy... niektórzy mogliby to niewłaściwie zrozumieć. Oczywiście, jeśli nasze przedziały są blisko siebie... Jaki jest numer twojego?

- *E settanta*, siedemdziesiąt - spoglądał na nią z nadzieją.

- Mój jest w zupełnie innym wagonie - westchnęła Tracy. - Może jednak spotkamy się w Wenecji.

- *Bene*. - Ucieszył się. - Wyobraź sobie, że moja żona większość czasu spędza w swoim pokoju. Nie chce opalić sobie twarzy. Czy byłaś kiedyś w Wenecji?

- Nie.

- Ach! Popłyniemy razem na Torcello - to taka piękna, mała wysepka z bardzo elegancką restauracją. Nad restauracją jest mały hotel, nazywa się „*Locanda Cipriani*” - jego oczy rozbłysły - *molto privato*.

- To brzmi jak bajka. - Tracy uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Spuściła oczy, zbyt podniecona żeby mówić.

Fornali nachylił się ku niej, chwycił jej rękę i szepnął namiętnie:

- Nie znasz jeszcze takich bajek, *cara*.

W pół godziny później Tracy była już z powrotem w swoim przedziale.

Orient Express pędził przez ciemność nocy, wioząc swych uśpionych podróżnych przez Paryż, Dijon i Vallarbe. Poprzedniego dnia wszyscy pasażerowie oddali paszporty konduktorom, którzy mieli za nich załatwiać formalności.

O 3.30 rano Tracy bezszelestnie wyszła z przedziału. Czas odgrywał w tej operacji bardzo ważną rolę. Za kilka godzin pociąg minie granicę szwajcarską, w Lozannie będzie o 5.21, a już o 9.15 przybędzie do Mediolanu we Włoszech.

Ubrana w piżamę i szlafrok, niosąc małą walizeczkę z narzędziami, Tracy skradała się korytarzem, czujna, z mocno bijącym sercem. W przedziałach nie było toalet, najbliższe znajdowały się przy końcu każdego wagonu. Jeśli przypadkiem któryś z konduktorów zapytałby ją o przyczynę tego spaceru, powie, że szuka toalety. Ale konduktorzy i bagażowi spali głęboko, pewni bezpieczeństwa swych pasażerów.

Tracy bez kłopotów dotarła do przedziału E70. Ostrożnie nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Tracy otworzyła walizeczkę, wyjęła z niej niewielki metalowy przedmiot oraz małą buteleczkę ze strzykawką i zabrała się do pracy.

Dziesięć minut później była już z powrotem w przedziale, a po półgodzinie zapadła w sen. Lekki uśmieszek zastygł na jej wargach, nadając całej twarzy pogodny, anielski wyraz.

O 7.00, na dwie godziny przed planowym przybyciem Orient Expressu do Mediolanu, w jednym z wagonów rozległy się przeraźliwe krzyki. Wydobywały się one z przedziału E70 i rozbudziły pasażerów w całym wagonie. Niektórzy wysunęli głowy z przedziałów, ciekawi, co takiego się wydarzyło. W chwilę później ujrzeli konduktora, który przebiegł wzdłuż wagonu i otworzył drzwi przedziału E70.

Silvana Luadi miotła się w ataku hysterii.

- *Aiuto!* Pomocy! - krzyczała. - Przepadła cała moja biżuteria! W tym strasznym pociągu roi się od *ladri* - złodziei!

- Proszę się uspokoić, madame - błagał konduktor.

- Uspokoić się! - krzyczała głosem wyższym teraz o całą oktawę. - Jak mogę się uspokoić, *stupido maiale!*?! Ktoś ukradł mi biżuterię wartą ponad milion dolarów!

- Jak to się mogło stać? - zapytał Alberto Fornati. - Drzwi były zamknięte, a Fornati nie sypia mocno. Gdyby ktoś wszedł, obudziłbym się natychmiast.

Konduktor westchnął. Bardzo dobrze wiedział, jak to się stało, bo podobny wypadek już kiedyś miał miejsce. W nocy ktoś podszedł korytarzem do drzwi i przez dziurkę od klucza rozpylił strzykawką trochę eteru w przedziale. Otwarcie zamków dla złodzieja dobrze obeznanego ze swoim fachem jest drobnostką. Wszedł, zamknął za sobą drzwi, splądrował kabinę i zabrawszy wszystko, czego potrzebował, cicho wrócił do siebie. Jego ofiary przez cały czas spokojnie spały. Ale obecny wypadek różnił się od poprzednich pewnym szczegółem. Dawniej kradzieże odkrywano dopiero, gdy pociąg dotarł do stacji przeznaczenia, co dawało złodziejom możliwość ucieczki. W tym przypadku stało się inaczej. Nikt nie wysiadł z Orient Expressu od chwili rabunku, co oznaczało, że skradziona biżuteria w dalszym ciągu znajdowała się wewnątrz pociągu.

- Proszę się nie obawiać - zapewnił konduktor zdenerwowaną aktorkę - klejnoty znajdą się. Złodziej nie opuścił pociągu.

Popędził do radiotelefonu, aby zawiadomić mediolańską policję.

Na dworcu w Mediolanie dwudziestu policjantów w mundurach i wielu detektywów w cywilnych ubraniach ustawilo się rzędem na peronie, nie pozwalając nikomu z pasażerów opuścić pociągu, ani przekazać komukolwiek na zewnątrz jakiegokolwiek przedmiotu.

Luigi Ricci, inspektor nadzorujący tę operację, udał się wprost do przedziału Fornatich.

Silvane Luadi ogarniało coraz większe przerażenie.

- Całą biżuterię, wszystkie klejnoty trzymałam w tej walizce -krzyczała - i żaden z nich nie był ubezpieczony!

Inspektor obejrzał uważnie pustą walizkę. - Czy jest pani pewna, że włożyła klejnoty do tej walizki, signora?

- *Oczywiście*, że jestem pewna! Każdego wieczora przed snem kładę je tutaj. - W jej czarujących oczach, którymi zachwycaly się miliony jej wielbicieli, pojawiły się łzy. Gdyby w tej chwili inspektor Ricci miał złodzieja w zasięgu swej ręki, zamordowałby go bez wahania.

Podszedł do drzwi przedziału, schylił się i powąchał dziurkę od klucza. Wyczuł słabutki zapach eteru. Bez wątpienia popełniono tu przestępstwo, a on wkrótce złapie bezwzględne sprawcę.

- Proszę się nie obawiać, signora - rzekł inspektor Ricci i wyprostował się. - W żaden sposób klejnoty nie wydadzą się z tego pociągu. Złapiemy złodzieja i zwrócimy pani biżuterię.

Miał wszelkie powody do optymizmu. Pułapka była szczelnie zamknięta i przestępca nie miał najmniejszej szansy ucieczki.

Pasażerów wyprowadzono pojedynczo do dworcowej poczekalni, gdzie byli poddawani rewizji osobistej. Wszyscy oni - w większości ważne osobistości - poczuli się urażeni.

- Bardzo mi przykro - wyjaśniał inspektor Ricci każdemu z osobna - ale kradzież miliona dolarów to poważne przestępstwo.

Podczas gdy pasażerów poddawano rewizji, ich przedziały zostały wyjątkowo skrupulatnie przeszukane przez innych detektywów. Sprawdzano każdy centymetr kwadratowy ścian, mebli, otwierano wszystkie walizki i przeglądano ich zawartość. Inspektor Ricci dojrzał przed sobą życiową szansę i postanowił ją wykorzystać. Po odzyskaniu skradzionych klejnotów bez wątpienia czeka go awans i podwyżka. Może

nawet Silvana Luadi z wdzięczności zaprosi go na... Wydawał rozkazy ze zdwojoną energią.

Tracy usłyszała pukanie do drzwi przedziału, a w chwilę później do środka wkroczył policjant.

- Przepraszam, signorina. Z powodu włamania niezbędne jest przeszukanie wszystkich przedziałów oraz zrewidowanie pasażerów. Gdyby była pani łaskawa pójść za mną...

- Włamanie? - Była wstrząśnięta. - W tym pociągu?

- Niestety tak, signorina.

Tracy wyszła na korytarz, po czym do przedziału weszło dwóch detektywów, którzy otworzyli jej walizki i rozpoczęli staranne metodyczne przetrząsanie ich zawartości.

Po czterech godzinach poszukiwań znaleziono kilka paczuszek marihuany, pięć uncji kokainy, nóż i nielegalnie posiadany pistolet. Nie wykryto najmniejszego śladu skradzionej biżuterii. Inspektor Ricci nie mógł w to uwierzyć.

- Czy przeszukaliście cały pociąg? - zapytał swego zastępcę.

- Panie inspektorze, przeszukaliśmy absolutnie wszystko: lokomotywę, wagony restauracyjne, bar, toalety, przedziały. Przeszukaliśmy pasażerów i wszystkie ich bagaże. Mogę przysiąc, że biżuterii nie ma w tym pociągu. Może pani Luadi ta kradzież po prostu się przyśniła.

Ale inspektor Ricci był innego zdania. Rozmawiał już z kelnerami, którzy potwierdzili, że poprzedniego wieczoru przy obiedzie Silvana Luadi miała na sobie klejnoty wielkiej wartości.

Do Mediolanu przyleciał przedstawiciel towarzystwa Orient Express.

- Pociąg musi jechać dalej - stwierdził - już teraz jesteśmy poważnie opóźnieni.

Ricci musiał skapitulować. Dalsze przetrzymywanie pociągu nie miało sensu. Inspektor nie mógł zrobić nic więcej. Sytuację można było, jego zdaniem, wytłumaczyć w ten sposób, że w nocy złodziej wyrzucił klejnoty przez okno wagonu do oczekującego gdzieś przy torach współnika. Ale czy rzeczywiście było to możliwe? Złodziej musiałby niezwykle dokładnie uzgodnić ze współnikiem miejsce wyrzucenia łupu, a przecież nie mógł zawnocześnie przewidzieć, kiedy korytarz będzie pusty. Nie mógł dokładnie wiedzieć, w której chwili pociąg minie jakiś wybrany przez niego punkt. Była to zagadka, której inspektor nie potrafił rozwiązać.

- Niech pociąg odjeżdża - rozkazał.

Stał na peronie, patrząc z bezsilną wściekłością za oddalającym się pociągiem. Razem z nim oddalał się jego awans, podwyżka i wspaniały wieczór z Silvana Luadi.

Przy śniadaniu wszyscy pasażerowie rozmawiali jedynie o rabunku klejnotów.

- To najbardziej zdumiewająca historia, jaką słyszałam w swoim życiu - przyznała bardzo uprzejma nauczycielka ze szkoły dla dziewcząt. Pokazała malutki, złoty naszyjnik z diamentami: - Mam szczęście, że nie ukradli mi tego!

- Na pewno! - zgodziła się z nią Tracy.

Gdy tylko Alberto Fornali pojawił się w wagonie restauracyjnym, natychmiast zauważył Tracy i w chwilę później był już przy niej.

- Słyszałaś, oczywiście, co się stało. Ale czy wiesz, że to właśnie żona Fornati została obrabowana?

- Nie!

- Tak! Moje życie było w wielkim niebezpieczeństwie. Banda złodziei wdarła się do mojego przedziału. Uśpili mnie chloroformem. Fornati mógł zostać zabity w czasie snu, nie podejrzewając niczego!

- To okropne!

- *E una bella fregatura!* Teraz będę musiał kupić Silvanie nową biżuterię. Wydam na to całą fortunę!

- Więc policjanci nie znaleźli klejnotów?

- Nie, ale Fornati wie, jak pozbyli się ich złodzieje.

- Naprawdę? Jak? Rozejrzał się wokół i zniżył głos.

- Ich wspólnik czekał na jednej ze stacji, przez które przejeżdżaliśmy w nocy. *Ladri* - złodzieje - wyrzucili klejnoty z pociągu i - *ecco* - w ten sposób się ich pozbyli.

- Jak sprytnie to wymyśliłeś! - z uznaniem zauważyła Tracy.

- *Si*. - Uniósł brwi, jakby coś sobie przypominając. - Nie zapomnisz o naszym spotkaniu w Wenecji?

- Jak bym mogła! - zaśmiała się Tracy.

- Pamiętaj! - Mocno ścisnął jej ramię. - Fornati będzie na ciebie czekał. Teraz muszę pocieszyć Silvanę. Znowu ma atak hysterii.

Gdy Orient Express zatrzymał się na dworcu Santa Lucia w Wenecji, Tracy znalazła się wśród pierwszych wysiadających pasażerów. Jej bagaże wprost z dworca

zawieziono na lotnisko i najbliższym samolotem odleciała do Londynu. Z biżuterią Silvany Luadi.

Gunther Hartog będzie zadowolony.

Siedmiopiętrowy budynek głównej kwatery Interpolu - międzynarodowej policji kryminalnej mieści się na Rue Armengaud 26, pośród wzgórz St. Cloud, mniej więcej dziewięć kilometrów na zachód od Paryża. Osłonięty z jednej strony wysokim, porośniętym zieloną winoroślą ogrodzeniem, a z drugiej białymi, kamiennymi ścianami, nie rzuca się zbyt w oczy. Brama wjazdowa od strony ulicy jest zawsze zamknięta, a interesanci przed wpuszczeniem do środka poddawani są dokładnej obserwacji przez kamery telewizyjne. Wewnątrz budynku klatki schodowe odgradzają od korytarzy pomalowane na biało, żelazne drzwi, zawsze zamykane na noc. Prócz tego każde piętro posiada swój własny system alarmowy i system kamer oraz monitorów telewizyjnych.

Tego rodzaju środki ostrożności są niezbędne, ponieważ w tym właśnie budynku mieści się jedna z największych na świecie i najbardziej szczegółowych kartotek, zawierająca dane na temat dwóch i pół miliona przestępców. Ten bank informacji wykorzystywany jest przez sto dwadzieścia sześć organizacji policyjnych współpracujących z Interpolem w zwalczaniu oszustów, fałszerzy, przemytników narkotyków, włamywaczy i morderców. Interpol dostarcza najbardziej aktualnych informacji za pośrednictwem swego superdokładnego biuletynu, nazywanego *okólnikiem*, a przekazywanego do wszystkich współpracujących krajów za pośrednictwem radia, telefaksu i łączności satelitarnej. W kwaterze głównej Interpolu pod Paryżem pracują byli detektywi Surete Nationale i paryskiej prefektury policji.

Pewnego majowego poranka w biurze inspektora André Trignanta, naczelnika kwatery głównej, odbywała się konferencja. Wyposażenie biura było proste, lecz komfortowe, a widok z okna wprost zapierał dech w piersiach. Daleko na wschodzie można było dostrzec zarysy Wieży Eiffla, nieco dalej wyraźnie rysowała się biała sylwetka bazyliki Sacre-Coeur na Montmartrze.

Inspektor był mężczyzną czterdziestokilkuletnim, o zgrabnej, imponującej sylwetce, inteligentnej twarzy i ostrym, przenikliwym spojrzeniu piwnych oczu, skrytych za okularami w rogowej oprawie. Poza nim w konferencji brali udział detektywi z Anglii, Belgii, Francji i Włoch.

- Panowie - zabrał głos inspektor Trignant - policje krajów, które reprezentujecie, przysłały mi ostatnio listy, domagające się informacji w sprawie nagłej plagi przestępczych aktów, która ostatnio opanowała Europę. Już w sześciu

krajach europejskich zdarzyły się przypadki niezwykle przebiegłych oszustw i włamań, które, mimo iż miały miejsce w różnych państwach, łączą pewne cechy wspólne. Ofiarami tych przestępstw padają wyłącznie osoby o dość wątpliwej reputacji, w żadnym przypadku, jak dotychczas, nie dopuszczono się użycia siły, sprawczyniami były wyłącznie kobiety. W sposób dość naturalny nasuwa się przypuszczenie, że mamy to do czynienia z międzynarodową kobiecą organizacją przestępczą lub, jeśli wolicie, z damskim gangiem. Sporządziliśmy portrety pamięciowe oparte na opisach przestępczyń, podanych przez ich ofiary lub przypadkowych świadków. Jak za chwilę panowie się przekonają, kobiety te zupełnie nie są do siebie podobne. Zdarzają się wśród nich blondynki i brunetki. Swoim ofiarom przedstawiały się jako Angielki, Francuzki, Hiszpanki, Włoszki, Amerykanki - lub mieszkanki Teksasu.

Inspektor Trignant nacisnął guzik, włączając ukryty projektor. Na ściennym obrazie ukazało się kilka obrazów.

- Tutaj widzą panowie portret pamięciowy brunetki z krótkimi włosami. - Jeszcze raz nacisnął guzik. - Tu mamy młodą blondynkę o nierówno obciętych włosach... jeszcze jedną blondynkę z trwałą ondulacją... brunetkę uczesaną „na pazia”. A to jest starsza pani o kręconych włosach... młoda, ciemnowłosa dziewczyna z pasemkami koloru blond... staruszka o fryzurze *coup sauvage*... - Wyłączył projektor. - Nie mamy pojęcia, kim jest przywódca gangu, ani gdzie mieści się jego główna kwatera. Po każdej akcji przestępczynie znikają, nie pozostawiając śladu. Prędzej czy później, na pewno którąś z nich złapiemy, a kiedy to się stanie, dotrzemy też do pozostałych. Na razie jednak, panowie, wszystko wskazuje na to, że utknęliśmy w martwym punkcie...

Gdy tylko Daniel Cooper wylądował w Paryżu, na lotnisku Charlesa de Gaulle'a przywitał go specjalnie wysłany współpracownik inspektora Trignanta. Udali się razem do hotelu „Prince de Galles”, położonego w sąsiedztwie bardziej eleganckiego „George V”.

Według planu, ma się pan spotkać z inspektorem Trignantem jutro - poinformował Daniela Coopera urzędnik. - Zawiozę pana do niego o 8.45.

Daniel Cooper nie był zbyt zachwycony tą podróżą do Europy. Z całego serca pragnął jak najszybciej zakończyć tę sprawę i powrócić do domu. Słyszał co prawda o urokach nocnego paryskiego życia, ale nie miał zamiaru z nich skorzystać.

Po wprowadzeniu się do swojego pokoju w hotelu, natychmiast wziął kąpiel. Ku jego zdziwieniu, wanna w łazience była odpowiednich rozmiarów. Musiał nawet przyznać, że była znacznie większa niż w jego domu. Odkręciwszy krany, wrócił do sypialni, aby się rozpakować. Na dnie jego walizki leżała, przykryta bielizną i wyjściowymi ubraniami, mała, zamykana na klucz szkatułka. Podniósł ją teraz i trzymał w rękach. Wydawała mu się żywą istotą. Zaniósł ją do łazienki i położył na umywalce. Włożył do zamka mały kluczyk, wiszący na kółeczku, który zawsze przechowywał w kieszeni, i przekręcił. Już tyle razy doświadczał uczucia przerażenia, gdy wieczko uchylało się, ukazując pożółkły wycinek starej gazety, krzyczący słowami artykułu sprzed wielu lat.

CHŁOPIEC ŚWIADKIEM W PROCESIE O MORDERSTWO

Dwunastoletni Daniel Cooper składał dziś zeznania w procesie niejakiego Freda Zimmera, oskarżonego o zgwałcenie i zamordowanie matki chłopca.

Według jego zeznań, powracając ze szkoły do domu, zauważył Zimmera, sąsiada z przeciwka, opuszczającego mieszkanie Cooperów z rękami i twarzą poplamionymi krwią. Po wejściu do mieszkania odkrył w wannie ciało swej matki, zamordowanej ciosami noża. Zimmer przyznał, że był kochankiem pani Cooper, ale stanowczo zaprzeczył oskarżeniu o morderstwo. Opiekę nad młodym chłopcem roztoczyła ciotka.

Drżącymi rękami Daniel Cooper włożył wycinek z powrotem do pudełka i zamknął je. Rozejrzał się niespokojnie wokół. Ściany i sufit hotelowej łazienki zbryzgane były krwią. Zobaczył nagie ciało swojej matki unoszące się w czerwonej wodzie. Zakręciło mu się w głowie, wpił się rękami w brzeg umywalki. Krzyki, rozbrzmiewające gdzieś wewnątrz niego, przeszły w krótkie, gardłowe jęki, gdy drżącymi rękoma zrywał z siebie ubranie i zanurzał się w wodzie o temperaturze krwi.

Chciałbym pana poinformować, panie Cooper - powiedział inspektor Trignant - że pańska rola w tej sprawie jest dość szczególna. Nie należy pan do żadnej organizacji policyjnej, przebywa pan tutaj nieoficjalnie. Jednakże departamenty

policji kilku państw europejskich domagały się od nas rozszerzenia współpracy. - Daniel Cooper nic nie odpowiedział. - O ile wiem, jest pan urzędnikiem śledczym Międzynarodowego Towarzystwa Ubezpieczeniowego, stanowiącego konsorcjum towarzystw ubezpieczeniowych z całego świata.

- Wielu naszych klientów straciło ostatnio ogromne sumy pieniędzy. Powiedziano mi, że do tej pory przeprowadzone poszukiwania nie dały żadnego rezultatu.

- Niestety, to prawda - westchnął inspektor Trignant. - Mamy niewątpliwie do czynienia z całym gangiem wyjątkowo sprytnych kobiet, a poza tym...

- Żadnych wskazówek od informatorów?

- Nie, absolutnie żadnych.

- Czy to nie wydaje się panu dziwne?

- Co ma pan na myśli?

Dla Coopera było to tak oczywiste, że nawet nie starał się ukryć zniecierpliwienia.

- Gdy mamy do czynienia z gangiem, zawsze znajdzie się ktoś, kto za dużo mówi, za dużo pije, za dużo wydaje... W większej grupie ludzi znacznie trudniej jest zachować tajemnicę. Czy mógłby mi pan udostępnić pełną dokumentację tej sprawy?

Inspektor miał ochotę odmówić. Daniel Cooper wydał mu się jednym z najbardziej antypatycznych ludzi, z jakimi miał kiedykolwiek do czynienia. Był z całą pewnością wyjątkowo arogancki. Francuzi nazywają takich ludzi *chierie*, ale inspektora proszono o pełną współpracę.

- Dopilnuję, aby sporządzono dla pana kopię - odparł z niechęcią. Wydał przez interkom stosowne polecenie. Aby mimo wszystko podtrzymać rozmowę, dodał jeszcze: - Właśnie otrzymałem nowy, dość interesujący raport. W Orient Expressie dokonano ostatnio kradzieży bardzo cennych klejnotów.

- Czytałem o tym. Złodziej wystrychnął na dudka całą włoską policję.

- Nikt dotąd nie rozszyfrował zagadki, w jaki sposób to zrobił.

- To oczywiste - zauważył opryskliwie Daniel Cooper. - Wystarczy odrobina logiki...

Inspektor Trignant spojrział ze zdziwieniem na swego rozmówcę. „*Mon Dieu*, przecież on zachowuje się jak prosię”.

- W tym przypadku logika nie znajduje zastosowania - odparł chłodno. - Przeszukano każdy centymetr tego pociągu, zrewidowano pasażerów, pracowników, przetrząśnięto wszystkie bagaże...

- Nie - przerwał Daniel Cooper.

„On chyba nie jest normalny” - pomyślał inspektor Trignant.

- Co pan ma na myśli?

- Nie przeszukano wszystkich bagaży.

- A ja panu mówię, że przeszukano - stwierdził inspektor Trignant z lekkim zniecierpliwieniem. - Czytałem raport policyjny.

- Ta kobieta, której klejnoty skradziono - Silvana Luadi...

- Tak?

- ...włożyła klejnoty do małej walizeczki, z której zabrali je złodzieje?

- Tak właśnie było.

- Czy policja przeszukała walizki pani Luadi?

- Tylko tę, w której trzymała klejnoty. To przecież ona padła ofiarą kradzieży. Dlaczego miano by przeszukiwać jej bagaże?

- Ponieważ było to, z punktu widzenia logiki, jedyne miejsce, w którym złodziej mógł ukryć klejnoty - na dnie jednej z jej walizek. Prawdopodobnie złodziej miał identyczną walizkę i gdy na dworcu w Wenecji wyniesiono wszystkie bagaże na peron, wystarczyło tylko zamienić walizkę i zniknąć. - Daniel Cooper wstał. - Jeśli te raporty są gotowe, to chciałbym już wyjść.

Pół godziny później inspektor Trignant połączył się telefonicznie z Wenecją, gdzie mieszkał Alberto Fornati.

- Monsieur - powiedział inspektor - czy nie zamieniliście państwo przypadkiem z kimś swoich walizek na dworcu w Wenecji?

- *Si, si* - poskarżył się Fornati - ten idiota bagażowy, zamiast walizki mojej żony wziął jakąś inną. Kiedy otworzyła ją w hotelu, okazało się, że była wypchana jakimiś gazetami. Złożyłem już skargę w biurze Orient Expressu. Czy znaleziono walizkę mojej żony? - zapytał z nadzieją.

- Nie, monsieur - odparł inspektor. Potem mruknął do siebie: - Na pana miejscu wcale bym na to nie liczył.

Po zakończeniu rozmowy zamyślił się głęboko. „Ten Daniel Cooper to naprawdę niezwykły człowiek. *Très formidable...*”

Dom Tracy przy Eaton Square był miejscem, w którym najbardziej lubiła przebywać. Znajdował się w jednym z najbardziej malowniczych zakątków w Londynie, pośród innych budowli pamiętających czasy Jerzego V i otoczonych wielkimi prywatnymi parkami. Niańki w sztywnych, krochmalonych ubraniach popychały wózki po wysypanych żwirem ścieżkach, chodniki pełne były bawiących się dzieci. Tracy coraz bardziej tęskniła za Amy.

Uwielbiała spacerować po wąskich uliczkach, pamiętających historyczne wydarzenia. Robiła zakupy w sklepie z warzywami na Elizabeth Street i podziwiała różnorodność kolorowych kwiatów sprzedawanych przed małymi sklepikami.

Gunther Hartog zadbał o to, aby zawsze otaczali ją odpowiedni ludzie, i aby jej hojne dary na cele dobroczynne były właściwie spożytkowane. Kontaktując się na co dzień z bogatymi księżętami i zubożałymi potomkami wielkich rodów, Tracy często otrzymywała propozycje małżeństwa. Była bogata, piękna i młoda, do tego, jak powszechnie sądzono, taka wrażliwa.

- Wszyscy w okolicy chcieliby się z tobą żenić - przyznawał Gunther ze śmiechem. - Naprawdę świetnie ci się powodzi, Tracy. Jesteś już urządzona na całe życie. Masz wszystko, czego tylko mogłabyś zapragnąć.

Była to prawda. Miała pieniądze zgromadzone w sejfach bankowych całej Europy, dom w Londynie i góralską chatę w St. Moritz. Wszystko, czego mogłaby kiedykolwiek zapragnąć. Oprócz kogoś, z kim można by to dzielić. Tracy powracała myślami do przeszłości, wyobrażała sobie życie, o jakim niegdyś marzyła, z mężem i dzieckiem. Czy jest to jeszcze możliwe? Nikomu na świecie nie wyzna, kim jest naprawdę, nie potrafi też żyć w ciągłym zakłamaniu, ukrywając swą przeszłość. Tak wiele ról odgrywała, że zupełnie już zapomniała, kim jest naprawdę. Jednego była pewna: już nigdy nie powróci do życia, które kiedyś prowadziła. „Nic nie szkodzi - myślała uparcie - na świecie jest mnóstwo samotnych ludzi. Gunther ma rację. Niczego mi nie brakuje”.

Następnego dnia po swoim powrocie z Wenecji postanowiła urządzić cocktail-party.

- Musisz mnie koniecznie zaprosić - powiedział Gunther. - Twoje przyjęcia są największą atrakcją Londynu. Cała arystokracja zabiega o zaproszenia.

- To zasługa moich sponsorów - odrzekła z dumą Tracy.

- Kogo zaprosisz?

- Wszystkich.

Niestety, wśród *wszystkich* pojawił się także jeden gość nieproszony. Baronowa Howarth, piękna, młoda dziedziczka wielkiej fortuny, przybyła w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Tracy podeszła, by się przywitać z baronową, i nagle uśmiech zamarł na jej wargach. Obok baronowej do sali wkraczał Jeff Stevens.

- Tracy, kochanie, chyba nie znasz jeszcze pana Stevensa. Jeff, to jest Tracy Whitney, nasza gospodyni.

- Serdecznie witam, panie Stevens - Tracy pozdrowiła go chłodno.

Jeff uścisnął jej rękę i przytrzymał ją odrobinę dłużej, niż było to przyjęte.

- Pani Tracy Whitney? - zapytał. - Ależ oczywiście! Dobrze znałem pani męża. Razem byliśmy w Indiach.

- Cóż za niezwykle spotkanie! - wykrzyknęła baronowa Howarth.

- To dziwne, on nigdy o panu nie wspominał - zauważyła z rezerwą Tracy.

- Naprawdę? Zaskoczyła mnie pani. To był bardzo zabawny staruszek. Wielka szkoda, że skończył tak tragicznie.

- Och, co się z nim stało? - zapytała baronowa Howarth. Tracy popatrzyła na Jeffa:

- Doprawdy, nic szczególnego.

- Nic szczególnego! - przedrzeźniał ją Jeff. - Jeśli dobrze pamiętam, został w Indiach powieszony.

- W Pakistanie - sprostowała Tracy. - Och, teraz przypominam sobie, że mój mąż rzeczywiście wspominał o panu. A jak się czuje pańska żona?

- Nigdy nie wspominałeś, że masz żonę. - Baronowa Howarth popatrzyła na Jeffa.

- Cecylia i ja wzięliśmy rozwód.

- Miałam na myśli Rose. - Tracy uśmiechnęła się słodko.

- Och, tę...

- Byłeś dwukrotnie żonaty? - Baronowa Howarth zdenerwowała się.

- Nie, tylko raz - odpowiedział swobodnie. - Małżeństwo z Rosą zostało unieważnione. Byliśmy wtedy tacy młodzi... - Odszedł kilka kroków.

- A czy nie mieliście dzieci? - Tracy zaatakowała znowu. -

O ile pamiętam, były to urocze bliźnięta.

- Bliźnięta? - wykrzyknęła baronowa.

- Wychowuje je matka - stwierdził Jeff. Patrzył na Tracy. - Trudno wypowiedzieć, jak przyjemnie się z panią rozmawia, pani Whitney, ale nie jest pani tylko naszą własnością. - Wziął baronową za rękę i oddalił się.

Następnego ranka Tracy spotkała Jeffa w windzie salonu „Harrods”. Sklep zatłoczony był kupującymi. Wychodząc z windy na drugim piętrze, odwróciła się do niego i zapytała głośno i wyraźnie:

- Przy okazji, panie Stevens, jak pan w końcu uwolnił się od tych oskarżeń o niemoralność?

Drzwi zamknęły się, a Jeff pozostał tam, uwięziony między obojętnymi, obcymi ludźmi.

Tej nocy Tracy, leżąc w łóżku, długo rozmyślała o Jeffie. Uśmiechała się do siebie. On naprawdę był uroczy. Łajdak, ale interesujący. Zastanawiała się, co łączyło go z baronową Howarth, ale w gruncie rzeczy dobrze wiedziała. „Jeff i ja jesteśmy z tej samej gliny - pomyślała. - Żadne z nas nigdy nie rozpocznie spokojnego, statecznego życia”. To, czym zajmowali się oboje, było zbyt interesujące, podniecające, intratne.

Pomyślała o następnym czekającym ją zadaniu. Tym razem pojedzie na południe Francji, będzie to jeden z jej najśmielszych wyczynów. Gunther wspomniał, że policja poszukiwała gangu.

Zasnęła z uśmiechem na wargach.

W swym pokoju hotelowym w Paryżu Daniel Cooper czytał raporty, które otrzymał od inspektora Trignanta. Była już czwarta rano. Cooper nie potrafił powiedzieć, ile godzin spędził na wertowaniu papierów, ale teraz zbliżał się do końca. Niektóre z tych historii były mu już znane, ale o wielu dowiadywał się po raz pierwszy. Tak jak wspominał inspektor Trignant, wszystkie ofiary przestępstw nie cieszyły się najlepszą reputacją. „Te złodziejki prawdopodobnie uważają się za następczynię Robin Hooda” - skonstatował Cooper.

Do przejrzania pozostały mu jeszcze tylko trzy raporty. Ten na wierzchu opatrzony był nagłówkiem: BRUKSELA. Cooper odwrócił okładkę i przebiegł oczyma treść dokumentów. Bizuterię wartości dwóch milionów dolarów skradziono z ukrytego w ścianie sejfu jakiejś pani van Ruysen, belgijskiej maklerki giełdowej, dość powszechnie posądzanej o podejrzone machinacje finansowe.

Dom był pusty, właściciele wyjechali na wakacje i... Nagle Cooper natknął się na informację, która spowodowała, że jego serce zabiło żywiej. Jeszcze raz przeczytał raport, analizując każde słowo. Ten przypadek różnił się od poprzednich pewnym drobnym szczegółem. Włamywaczka spowodowała włączenie alarmu, a gdy pojawili się policjanci, w drzwiach powitała ich kobieta ubrana w przezroczystą, lekką halkę. Jej włosy ukryte były pod siateczką, a twarz pokrywała gruba warstwa kosmetycznego kremu. Twierdziła, że jest gościem w domu van Ruysenów. Policja uwierzyła w tę historię, lecz gdy właściciele zapytano, czy wiedzą coś o swoim gościu, kobieta i biżuteria zniknęły bez śladu.

Cooper odłożył raport. „Logika, logika...”

Inspektor Trignant powoli tracił cierpliwość.

- Pan się myli, to niemożliwe, żeby jedna kobieta była odpowiedzialna za te wszystkie przestępstwa.

- Można to sprawdzić - powiedział Daniel Cooper.

- W jaki sposób?

- Trzeba zarejestrować w pamięci komputera daty i miejsca wszystkich kradzieży, które pasują do tej kategorii.

- To jest dosyć proste, ale...

- Następnie, chciałbym otrzymać raporty z biur imigracyjnych, o każdej turystce narodowości amerykańskiej, która przebywała w danym momencie w mieście, gdzie popełniono przestępstwo. Możliwe, że ona niekiedy używa fałszywych paszportów, ale niewątpliwie czasami korzysta też z własnego.

- Rozumiem pańskie rozumowanie, monsieur. - Przyglądał się małemu człowieczkowi ze słabą nadzieją, że tamten się mylił. Był zbyt pewny siebie. - Doskonale, puszczę więc w ruch tę maszynę, panie Cooper.

Pierwsze z rozpatrywanych włamań miało miejsce w Sztokholmie. Raport Interpol Sektionen Rikspolis Styrelsen, jak nazywa się szwedzki oddział Interpolu, zawierał listę amerykańskich turystów, którzy przebywali wówczas w Sztokholmie. Nazwiska kobiet wprowadzono do komputera. Następnym miastem, które przesłało raport, był Mediolan. Po porównaniu nazwisk amerykańskich turystek bawiących w Mediolanie, kiedy dokonano włamania, z analogiczną listą otrzymaną ze Sztokholmu, ustalono, że na obu znajduje się pięćdziesiąt pięć identycznych nazwisk. Wykaz ten porównano następnie z nazwiskami amerykańskich turystek, które podczas ostatniego oszustwa popełnionego w Irlandii znajdowały się w tym kraju. Pozwoliło to

zredukować listę podejrzanych do piętnastu nazwisk. Inspektor Trignant wręczył Danielowi Cooperowi wydruk komputerowy.

- Teraz porównamy te nazwiska z listą przyslaną z Berlina - powiedział inspektor i...

Daniel Cooper podniósł głowę znad papierów. - To nie jest konieczne.

Nazwisko otwierające listę, którą trzymał w ręku, brzmiało: *Tracy Whitney*.

Znając nazwisko podejrzanej, Interpol przystąpił do działania. Czerwone okólniki, dotyczące spraw o pierwszorzędym znaczeniu, rozesłano do wszystkich krajów członkowskich, polecając im otoczyć Tracy Whitney szczególną opieką.

- Rozsyłamy także zielone notki - powiedział Cooperowi inspektor.

- Zielone?

- Używamy kodu. Czerwony *okólnik* oznacza komunikat największej wagi, niebieski - to prośba o informację dotyczącą podejrzanego, zielony - dotyczy osób podejrzanych, które powinny być obserwowane, czarny oznacza prośbę o informację, dotyczącą niezidentyfikowanych zwłok. Nagłówkiem XD opatrzone są wyjątkowo pilne informacje, samo D oznacza po prostu „pilne”. Bez względu na to, w jakim kraju znajdzie się teraz panna Whitney, wszędzie będzie obserwowana od chwili, gdy wylegitymuje się w urzędzie celnym.

Następnego dnia zdjęcia Tracy Whitney, przekazane za pośrednictwem telefaksu wprost z więzienia w południowej Luizjanie, znalazły się w rękach Interpolu.

Daniel Cooper zadzwonił do J.J. Reynoldsa. Długo czekał, zanim podniesiono słuchawkę.

- Halo...

- Potrzebuję pewnej informacji.

- Czy to ty, Cooper? Rany Boskie, tutaj jest czwarta rano. Spałem w najlepsze...

- Proszę mi przysłać wszystko, co dotyczy Tracy Whitney. Artykuły prasowe, taśmy video - wszystko.

- A o co właściwie chodzi? Cooper odłożył słuchawkę.

„Któregoś dnia zabiję tego sukinsyna” - przyrzekł sobie Reynolds.

Dotychczas Daniel Cooper tylko mimochodem zajmował się sprawą Tracy Whitney. Teraz prowadził przeciwko niej śledztwo. Na ścianach swego małego pokoiku hotelowego w Paryżu rozkleił jej podobizny, przeczytał też wszystkie artykuły prasowe na jej temat. Wypożyczył magnetowid i odtwarzał na nim urywki

telewizyjnych programów o Tracy po jej skazaniu, a następnie uwolnieniu z więzienia. Podczas tych godzin, spędzonych w ciemnym pokoju na oglądaniu wciąż od nowa tych samych scen, jego pierwsze podejrzenie powoli przeradzało się w pewność.

- To właśnie ty jesteś kobiecym gangiem - powiedział głośno do siebie Daniel Cooper. Potem jeszcze raz przewinął kasetę w magnetowidzie.

Co roku, w pierwszą sobotę czerwca, hrabia de Matigny sprawował patronat nad dobroczynnym balem, z którego dochód przeznaczony był na potrzeby Szpitala Dziecięcego w Paryżu. Bilety na tę bardzo ekskluzywną imprezę kosztowały tysiąc dolarów, co bynajmniej nie odstraszało eleganckiego towarzystwa, które zjeżdżało na nią z całego świata.

Château de Matigny, położony na Cap d'Antibes, był jednym z najpiękniejszych zabytków Francji. Zamek, zbudowany w piętnastym wieku, otaczały piękne, starannie pielęgnowane trawniki. Wieczorem dużą i małą salę balową wypełnili wytwornie ubrani goście, wśród których bezszelestnie kursowali lokaje w eleganckich uniformach, roznoszący kieliszki z szampanem. Na ogromnych stołach stały gęsto srebrne stare tace ze szklaneczkami pełnymi orzeźwiających napojów. Tracy, olśniewająca w swej białej, długiej sukni z koronką, o włosach zaczesanych wysoko i podtrzymywanych diamentowym diademem, tańczyła z gospodarzem, hrabią de Matigny. Hrabia był ponad sześćdziesięcioletnim wdowcem, dość niskim, krępy, o bladej, delikatnej cerze. „Ten bal, wydawany przez hrabiego rzekomo na rzecz Szpitala Dziecięcego, to najnormalniejsze w świecie szachrajstwo - mówił Gunther Hartog. - Dziesięć procent zysków przekazuje się dzieciom, a dziewięćdziesiąt - trafia prosto do kieszeni hrabiego”.

- Pani jest świetną tancerką, księżno - powiedział hrabia.

- To zasługa mojego partnera. - Tracy uśmiechnęła się.

- Jak to możliwe, że widzimy się dopiero po raz pierwszy w życiu?

- Mieszkam w południowej Ameryce - wyjaśniła Tracy - w dzikiej dżungli.

- Dlaczego właśnie tam?

- Mój mąż jest właścicielem kilku kopalni w Brazylii.

- Aha. A czy mąż pani również jest na balu?

- Nie. Niestety, musiał zostać w kraju i zajmować się interesami.

- Jego pech jest moim szczęściem. - Objął ją silniej w tali. - Moglibyśmy zostać bardzo dobrymi przyjaciółmi.

- Ja też tak sędzę - szepnęła Tracy.

Spojrzała ponad ramieniem hrabiego i dostrzegła Jeffa Stevensa, zgrabnego, opalonego. Tańczył z obejmującą go czule piękną, szczupłą brunetką w karmazynowej taftowej sukni. Uśmiechnął się, gdy ją zobaczył.

„Ten łotr ma wszelkie powody do zadowolenia” - z przygnębieniem pomyślała Tracy. W ciągu poprzednich dwóch tygodni starannie zaplanowała dwa włamania. W pierwszym domu zastała pusty sejf. Jeff Stevens uprzedził ją. W drugim przypadku, skradając się po prywatnym terenie wewnątrz posesji, usłyszała nagle odgłos gwałtownie przyspieszającego samochodu i w chwilę później mignęła jej sylwetka Jeffa siedzącego za kierownicą. Jeszcze raz ją pokonał. Był coraz bardziej irytujący. „Teraz znowu jest w domu, który zamierzam okraść” - pomyślała Tracy.

Jeff ze swoją partnerką zbliżył się do niej. Uśmiechnął się i rzekł:

- Dobry wieczór, hrabio.

- Ach, Jeffrey. Dobry wieczór. Miło mi, że jednak pan przybył. - Hrabia de Matigny odwzajemnił uśmiech.

- Nie darowałbym sobie opuszczenia takiej imprezy. - Jeff wskazał na swoją piękną partnerkę. - To jest panna Wallace. Hrabia de Matigny...

- *Enchanté!* - hrabia wskazał Tracy. - Księżno, pozwól sobie przedstawić pannę Wallace i pana Jeffa Stevensa. Księżna de Larosa.

- Przepraszam, nie dosłyszałem nazwiska. - Mina Jeffa wyrażała zakłopotanie.

- De Larosa - powtórzyła dobitnie Tracy.

- De Larosa... de Larosa... - Jeff przyglądał jej się uważnie. - To nazwisko wydaje mi się znajome. Ależ oczywiście! Znam pani męża. Czy jest tutaj z panią?

- Jest w Brazylii - Tracy przygryzła wargi. Jeff uśmiechał się.

- Och, to przykre. Chodziliśmy kiedyś razem na polowania. Oczywiście, zanim wydarzył się ten przykry wypadek.

- Wypadek? - zapytał hrabia.

- Tak - odparł Jeff smutnym głosem. - Pistolet, który miał w kieszeni, wypalił raniąc go w bardzo czułe miejsce. Jeden z tych dziwnych kaprysów losu. Zwrócił się do Tracy. - Czy jest jeszcze nadzieja, że kiedykolwiek będzie normalny?

- Jestem pewna, że wkrótce będzie równie normalny jak pan, panie Stevens - odpowiedziała Tracy bezbarwnym głosem.

- Och, to wspaniale. Czy zechce mu pani przekazać moje najszczerze wyrazy współczucia, księżno?

Muzyka przestała grać. Hrabia de Matigny powiedział:

- Proszę mi wybaczyć, księżno, ale muszę pełnić obowiązki gospodarza. - Ucisnął jej rękę. - Niech pani nie zapomni, że siedzimy przy jednym stoliku.

Gdy hrabia oddalił się, Jeff zwrócił się do swej towarzyszki:

- Kochanie, zdaje się, że masz w torebce aspirynę, prawda? Czy możesz dać mi jedną tabletkę? Okropnie boli mnie głowa.

- Och, mój drogi... - Spojrzała na niego ze smutkiem. - Zaraz wrócę, koteczku.

Tracy popatrzyła za nią.

- Nie obawiasz się, że tyle słodczy może cię zemdlić?

- Prawda, że słodka? A jak się mają twoje interesy, księżno?

- Nie sądzę, żeby to była twoja sprawa. Zgodzisz się ze mną? - Tracy uśmiechała się do wszystkich wokół.

- W żadnym wypadku. Prawdę mówiąc, bardzo mi zależy na udzieleniu ci dobrej rady. Nie próbuj okradać tego zamku.

- Dlaczego? Ponieważ ty chcesz go okraść?

Jeff wziął ją pod rękę i odprowadził w kąt koło pianina, na którym jakiś ciemnooki, młody Amerykanin w natchnieniu wygrywał melodie kabaretowe ze swego rodzinnego kraju. Tylko Tracy słyszała poprzez muzykę głos Jeffa.

- W gruncie rzeczy, ja też planowałem mały skok, ale to jest zbyt niebezpieczne.

- Naprawdę? - Ta rozmowa zaczynała bawić Tracy.

Przyjemnie było po prostu być sobą, przestać odgrywać absurdalne role. „Grecy mieli na to właściwe określenie” - pomyślała. Słowo „hipokryta” po grecku oznaczało aktora.

- Posłuchaj mnie, Tracy - mówił poważnie Jeff - nie rób tego. Przede wszystkim, nigdy nie wydostaniesz się żywa poza teren posesji. Tego majątku pilnuje specjalnie tresowany pies, który potrafi zabijać.

Teraz słuchała go uważnie. Bez wątpienia, Jeff sam zamierzał obrabować zamek.

- Każde okno i drzwi wyposażone są w czujniki alarmowe, połączone bezpośrednio z posterunkiem policji. Nawet gdyby udało ci się dotrzeć do skarbcza, musisz przedostać się przez niewidzialne wiązki podczerwonych promieni.

- Wiem o tym. - Tracy była lekko zawiedziona.

- Więc na pewno wiesz także, że przecięcie wiązki promieni nie uruchamia alarmu. Włącza się on dopiero wtedy, gdy wychodzisz z jej obrębu. Reaguje na zmianę temperatury. Nie można tego ominąć.

To było dla niej nowością. „W jaki sposób Jeff zebrał takie informacje?”

- Dlaczego mi to mówisz?

Uśmiechnął się. Chyba nigdy jeszcze nie wydawał się jej tak pociągający.

- Naprawdę nie chcę, żeby cię złapali, księżno. Lubię, kiedy jesteś na wolności. Widzisz, Tracy, moglibyśmy zostać bardzo dobrymi przyjaciółmi.

- Mylisz się - zapewniła go Tracy. Spozstrzegła zbliżającą się partnerkę Jeffa. - Wraca pani Cukierek. Wesołej zabawy.

Odchodząc usłyszała jeszcze jej głos: - Przyniosłam ci trochę szampana, żebyś miał czym popić, biedaku.

Obiad był wystawny. Do każdego dania podano specjalnie dobrany gatunek wina. Służba w białych rękawczkach krążyła wśród gości, nalewając wino i zmieniając talerze. Na pierwsze danie były szparagi w białym sosie truflowym, zaraz potem podano *consomme* z delikatnymi morelami. Następnie wniesiono jagnię ze świeżymi jarzynami prosto z ogrodów hrabiego. Chrupiąca sałatka z cykorii była kolejnym daniem. Na deser pojawiły się lody, każda porcja w innym kształcie, i srebrna patera z lukrowanymi ciastkami *petits fours*. Wreszcie podano kawę i brandy. Panom oferowano cygara, a paniom - perfumy Joy we flakonach z kryształu Baccarat. Po obiedzie hrabia de Matigny rzekł do Tracy:

- Księżno, wyraziła pani chęć obejrzenia kilku moich obrazów. Czy teraz jest odpowiednia chwila?

- Oczywiście, chętnie je obejrzę - zapewniła go Tracy. Galeria obrazów była w rzeczywistości prywatnym muzeum, pełnym dzieł mistrzów włoskich, francuskich impresjonistów i Picassa. Ściany długiego holu mieniły się od wspaniałych barw i postaci, stworzonych rękami nieśmiertelnych artystów. Wisały tam płótna Moneta, Renoira, Canaletta, Guardiiego i Tintoretta. Był wspaniały Tiepolo, Guercino i Tycjan, jedną ze ścian zajmowały w całości obrazy Cézanne'a. Nawet w przybliżeniu trudno byłoby oszacować wartość tej kolekcji.

Tracy długo oglądała obrazy, podziwiając ich piękno.

- Przypuszczani, że są tu bezpieczne.

- Dotąd tylko trzech złodziei próbowało zdobyć moje skarby. - Hrabia roześmiał się. - Jednego zagryzł pies, drugi został okaleczony, a trzeci odsiaduje dożywotni wyrok w więzieniu. Château to niezdojta twierdza, księżno.

- Miło mi to słyszeć, hrabio. Za oknami rozbłysły światła.

- Zaraz rozpoczynamy pokaz sztucznych ogni - powiedział hrabia. - Myślę, że się to pani spodoba. - Wziął ją za rękę swą szorstką i suchą dłonią i wyprowadził z galerii. - Jutro rano wyjeżdżam do mojej nadmorskiej willi w Deauville. Na przyszły weekend zaprosiłem kilkoro gości. Gdyby pani nie odmówiła...

- To byłoby wspaniałe - odparła Tracy z żalem w głosie - ale niestety, mój mąż bardzo się niecierpliwi. Nalega, żebym wracała.

Pokaz sztucznych ogni trwał prawie godzinę, pochłaniając bez reszty uwagę widzów. Tracy wykorzystwała ten czas na obejrzenie domu. Jeff mówił prawdę: szansę na pomyślne włamanie były znikome. Ale właśnie dlatego postanowiła spróbować. Wiedziała, że na górze, w sypialni hrabiego, znajdowały się klejnoty wartości dwóch milionów dolarów i sześć słynnych obrazów, w tym jeden Leonardo.

„Cały Château to jeden wielki skarbiec” - powiedział jej Gunther Hartog - dlatego jest też odpowiednio strzeżony. Nie ryzykuj żadnych nieprzemyślanych posunięć - najpierw opracuj szczegółowy plan działania”.

„Mam już ten plan - pomyślała Tracy. - A czy jest dostatecznie szczegółowy, czy nie, okaże się jutro”.

Następna noc była chłodna i wietrzna. Wysokie mury otaczające Château sprawiały przygnębiające, surowe wrażenie. Tracy patrzyła na nie z dołu, ukryta w cieniu. Ubrana była w czarny płaszcz, buty na gumowej podeszwie i elastyczne, czarne rękawiczki z koziej skóry. Przez ramię przewiesiła torbę podróżną. Widok murów na chwilę przypomniał jej więzienie i dziewczyna poczuła mimowolny dreszcz, przebiegający przez jej ciało.

Wynajętą furgonetką przejechała wzdłuż kamiennego muru na tyły zamku. Z drugiej strony muru dobiegło ją niskie, gardłowe warczenie psa. W chwilę później przeszło ono w gwałtowne ujadanie, gdy olbrzymia bestia oderwała się od ziemi, próbując dosięgnąć niewidzialnego wroga. Tracy natychmiast wyobraziła sobie potężne cielsko dobermana i jego mordercze zęby.

Zwracając się w kierunku samochodu, szepnęła cicho: - Teraz!

Niski mężczyzna w średnim wieku, z plecakiem, ubrany również na czarno, wyszedł z furgonetki. Na smyczy prowadził sukę rasy doberman. Pies skomlił cicho, wyczuwając towarzysza za murem.

Po chwili ujadanie przeszło w podniecony skowyt.

Tracy pomogła mężczyźnie ulokować sukę na dachu furgonetki, który znajdował się prawie na równej wysokości z krawędzią muru.

- Raz-dwa-trzy! - szepnęła.

Na „trzy” oboje przerzucili sukę przez mur, na teren posiadłości hrabiego. Za chwilę rozległy się tam dwa ostre szczeknięcia i seria dźwięków, jakie wydają dwa obwąchujące się psy. Potem zapadła cisza.

Tracy ponagliła swojego współnika: - Chodźmy! Mężczyzna, Jean Louis, skinął głową. Poznała go w Antibes.

Był złodziejem, który większość życia przesiedział w więzieniach, niezbyt sprytnym, ale niezwykle doświadczonym w sprawach zaników i alarmów, doskonale nadającym się do tego zadania.

Tracy przeszła z dachu furgonetki na szczyt muru. Rozwinęła sznurową drabinkę i zaczepiła ją o występ kamiennej krawędzi. W chwilę później oboje znaleźli się na trawniku. Posiadłość hrabiego nie wyglądała już tak, jak poprzedniego wieczoru, gdy była jasno oświetlona i pełna roześmianych gości. Teraz wszystko spowijał tajemniczy mrok.

Jean Louis szedł za Tracy, spoglądając z przerażeniem na dobermanów.

Mury Château porośnięte były starym bluszczem, sięgającym aż po dach. Zeszłego wieczoru Tracy dokładnie zbadała ten bluszcz. Teraz, gdy zawisała na pnączach całym swoim ciężarem, nie oberwały się. Rozpoczęła wspinaczkę, od czasu do czasu spoglądając w dół. Psów nigdzie nie było widać. „Mam nadzieję, że nie pokażą się jeszcze przez długi czas” - pomyślała.

Znalazszy się na dachu, Tracy dała znak Jean Louisowi i oczekiwała na niego. Wkrótce był przy niej. W świetle latarki, którą miał ze sobą, ujrzeli w dachu niewielki świetlik, zamknięty od wewnątrz. Tracy przyglądała się jak Jean Louis, sięgnąwszy do plecaka, wyjął z niego mały przecinak szklarski. Usunięcie szyby zajęło mu niecałą minutę.

Tracy spojrzała w dół i dostrzegła tam pajęczą siatkę cienkich drucików alarmowych.

- Dasz sobie z tym radę, Jean? - zapytała szeptem.

- *Je peux faire ça.* Oczywiście. - Znowu sięgnął do swego plecaka, wyjmując trzydziestocentymetrowy kawałek drutu, z obu stron zakończony chwytakami. Powoli odszukał kabel, z którego wychodziły druciki, naciął izolację i zaczepił w tym miejscu chwytak. To samo zrobił z drugiej strony. Następnie wyjął kombinerki i przeciął nimi drut. Tracy odruchowo sprężyła się do ucieczki, ale nic się nie stało. Jean Louis spojrzał w górę i uśmiechnął się.

- *Voilà. Fini.*

„Wcale nie - pomyślała Tracy - to dopiero początek”. Zeszli na dół po drugiej drabince sznurowej, umocowanej na krawędzi okienka. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Bez żadnych przygód dostali się na strych. Ale na myśl o tym, co ich jeszcze czekało, serce Tracy zabiło niespokojnie.

Wyjęła dwie pary gogli z czerwonymi szklami i podała jedną z nich Jean Louisowi. - Włóż to.

Znalazła sposób na odwrócenie uwagi dobermana, ale wiązki podczerwonego światła były najtrudniejszym problemem. Jeff miał słuszość: w pokoju krzyżowały się niewidzialne nitki tych promieni. Tracy kilka razy głęboko wciągnęła powietrze. „Skoncentruj swą energię, swą chi. Odpręż się!” W jej umyśle panowała krystaliczna jasność. „Gdy człowiek wejdzie w obręb promieni, sensor wyczuwa różnicę temperatury, co wywołuje alarm. System został tak zaprojektowany, że włącza się, zanim włamywacz otworzy sejf, nie pozostawiając mu czasu na zrobienie czegokolwiek do chwili przybycia policji”.

W tym właśnie, jak sądziła Tracy, tkwiła jego słabość. Należało znaleźć sposób, aby alarm uruchomił się dopiero po otwarciu sejfu. O 6.30 rano znalazła rozwiązanie. Obrabowanie skarbca było możliwe. Tracy poczuła znajomy dreszczyk emocji, przebiegający jej ciało od stóp do głów.

Teraz włożyła gogle wykrywające podczerwień i natychmiast wszystko w pokoju rozbłysło tajemniczym, czerwonym światłem. Przed drzwiami strychu odkryła promień światła, który bez okularów byłby niewidoczny.

- Przejdź pod nim - ostrzegła Jean Louisa. - Ostrożnie! Przeczolęli się na drugą stronę i po chwili znaleźli się w ciemnym holu prowadzącym do sypialni hrabiego de Matigny. Tracy włączyła latarkę i ruszyła przodem. Przez czerwone szkła ujrzała jeszcze jeden mały promień, tym razem nisko, tuż przy progu drzwi łazienki. Przeskoczyła go z lękiem. Jean Louis zrobił to samo. Światło latarki Tracy omiotło ściany pełne obrazów, tajemniczych, złowrogich, groźnych.

„Przynies mi Leonarda - mówił Gunther - i oczywiście biżuterię”.

Tracy zdjęła obraz ze ściany, odwróciła go i położyła na podłodze. Ostrożnie wyjęła go z ram, zwinęła płótno i wsunęła do swojej torby. Teraz należało dotrzeć do sejfu, stojącego w małej alkwie, za zasłoną, w głębi sypialni.

Tracy odsunęła zasłonę. Cztery podczerwone promienie przecinały alkwę od podłogi do sufitu, krzyżując się ze sobą. Nie można było dostać się do sejfu nie dotykając jednego z nich.

Jean Louis przyglądał się im ze zmartwioną miną.

- *Bon Dieu de merde!* Tędy nie uda się przejść. Jedne są za nisko, żeby przeczłgać się pod nimi, inne za wysoko, żeby przeskoczyć.

- Zrób dokładnie to, co ci mówię - powiedziała Tracy. Stała za jego plecami i objęła go mocno w pasie. - Teraz chodź ze mną. Najpierw lewą nogą.

Razem zrobili jeden, potem drugi krok w kierunku promieni. Jean Louis oddychał ciężko.

- *Alors!* Wchodzimy w nie!

- Właśnie o to chodzi.

Za chwilę znaleźli się w samym centrum promieni, skąd rozchodziły się one na wszystkie strony, i Tracy przystanęła.

- Teraz słuchaj uważnie - rzekła. - Chcę, żebyś podszedł do tego sejfu.

- Ale promienie...

- Nie obawiaj się. Wszystko będzie dobrze. - Rozpaczliwie usiłowała uwierzyć w swoje słowa.

Po długiej chwili wahania Jean Louis wyszedł z zasięgu promieni. Nic się nie stało. Spoglądał na Tracy wielkimi przerażonymi oczami. Stała wciąż w centrum wiązki, ciepłem swego ciała powstrzymując czujniki od uruchomienia alarmu. Jean Louis jednym skokiem znalazł się przy sejfie. Tracy zastygła w bezruchu wiedząc, że jej najmniejsze poruszenie spowodować może włączenie sygnału.

Kątem oka obserwowała Jeana Louisa, wyjmującego ze swego plecaka narzędzia i pochylającego się nad obrotowym zamkiem sejfu. Tylko jej głęboki, miarowy oddech świadczył o tym, że żyła. Czas zatrzymał się. Jean Louis chyba na zawsze zostanie pod tym sejfem. W prawej łydce poczuła ból, który stopniowo narastał, powodując cierpienie nie do opisania. Tracy zacisnęła zęby. Nie odważyła się drgnąć.

- Jak długo jeszcze? - szepnęła.

- Dziesięć, piętnaście minut.

Tracy wydawało się, że stoi w tym miejscu od wieków. Lewa noga całkowicie zdrętwiała. Chciało jej się krzyżeć z bólu. Wreszcie usłyszała szcęk. Sejf był otwarty.

- *Magnifique! C'est la banque!* Czy mam zabrać wszystko? - zapytał Jean Louis.

- Żadnych papierów. Tylko biżuteria. Jeśli znajdziesz gotówkę, jest twoja.

- *Merci*.

Tracy usłyszała szelest przesuwanych papierów, a w kilka minut później Jean Louis podszedł do niej.

- *Formidable* - powiedział - ale jak teraz stąd wyjdziemy, bez zakłócania promieni?

- Przejdziemy przez nie. Przyglądał się jej z niedowierzaniem.

- *Co?*

- Stań przede mną.

- Rób co ci mówię.

Przeżony Jean Louis wszedł w strefę promienia. Tracy wstrzymała oddech. Nadal panowała cisza.

- Dobrze. Teraz powoli wychodzimy z pokoju.

- A potem? - Oczy Jean Louisa rozszerzyły się z przerażenia za czerwonymi goglami.

- Potem, przyjacielu, zmykamy stąd.

Centymetr po centymetrze przesuwali się wzdłuż promienia w kierunku kotary, gdzie wszystkie wiązki zbiegały się w jeden punkt. Gdy doszli tam, Tracy odetchnęła głęboko.

- W porządku. Kiedy powiem: „Teraz”, uciekamy tą samą drogą, którą przyszlismy.

Jean Louis przełknął ślinę i skinął głową. Tracy widziała, jak drży jego drobne ciało.

- *Teraz!*

Odwróciła się i pobiegła w kierunku drzwi, Jean Louis za nią. W chwili, gdy opuszczali strefę promienia, rozdzwonił się dzwonek alarmowy. Jego dźwięk był przeraźliwy, ogłuszający.

Tracy pomknęła w kierunku strychu i wbiegła po szczebelkach sznurowej drabiny na dach, Jean o krok za nią. Przebiegli dach i po gałązkach bluszczu opuścili się na ziemię, a potem popędzili w kierunku muru, do drugiej drabiny. W chwilę później byli już na dachu furgonetki, skąd zeskoczyli na ziemię. Tracy usiadła za kierownicą, a Jean Louis obok niej.

Gdy oddalali się od zamku, pędząc z maksymalną szybkością po wąskiej drodze, Tracy ujrzała ciemną limuzynę zaparkowaną obok niewielkiego zagajnika. Za

kierownicą siedział Jeff Stevens, obok niego - wielki pies, doberman. Tracy roześmiała się głośno, posyłając Jeffowi pocałunek. Po chwili była już daleko.

Z oddali dobiegały ich dźwięki syren nadjeżdżających radiowozów.

Biarritz, miasteczko leżące na południu Francji, straciło obecnie wiele ze swego dawnego uroku, który podziwiano jeszcze na przełomie stuleci. Słynne ongiś Casino Bellevue jest teraz zamknięte z powodu robót konserwatorskich, natomiast w dawnym - a znajdującym się obecnie w opłakanym stanie - Casino Municipal, na Rue Mazagran, mieszczą się małe sklepiki i szkoła tańca. Stare wille, położone na wzgórzach, nadal wyglądają dostojnie, lecz są to tylko pozory.

Mimo to, w okresie letniego sezonu, trwającego od lipca do września, bogaci i utytułowani goście z całej Europy wciąż jeszcze przyjeżdżają do Biarritz, zwabieni emocjami hazardu i ciepłym słońcem lub po prostu wierni przyzwyczajeniom. Ci, którzy nie posiadają własnych rezydencji, zatrzymują się w luksusowym „Hôtel du Palais” przy Avenue Imperatrice 1. Hotel, niegdyś letnia rezydencja Napoleona III, stoi na przylądku, omywanym przez fale Oceanu Atlantyckiego w wyjątkowo malowniczym, stworzonym przez naturę zakątku. Po jednej stronie ma latarnię morską, osłoniętą z boku olbrzymimi, postrzępionymi skałami, wyzierającymi z szarego oceanu jak prehistoryczne stwory, a po drugiej - spacerową promenadę.

Pewnego popołudnia, pod koniec sierpnia, w holu „Hôtel du Palais” pojawiła się francuska baronowa Marguerite de Chantilly. Była to elegancka młoda kobieta, o lekko popielatych włosach. Ubrana była w zielono-białą jedwabną suknię Givenchy, podkreślającą doskonale jej figurę, na widok której kobiety odwracały się z zazdrością, a mężczyźni doznawali olśnienia.

Baronowa podeszła do recepcjonisty.

- *Ma clé, s'il vous plaît* - powiedziała z doskonałym francuskim akcentem.

- Oczywiście, baronowo - recepcjonista podał Tracy jej klucz i korespondencję.

Gdy szła w kierunku windy, jakiś człowiek w okularach i pogniecionym ubraniu oderwał się nagle od witryny sklepowej, reklamującej szale firmy Hermes i wpadł na nią, wytrącając jej z ręki torebkę.

- Och - powiedział - przepraszam bardzo. - Podniósł torebkę i podał jej. - Proszę mi wybaczyć. - Sądząc po akcencie, pochodził ze środkowej Europy.

Baronowa Marguerite de Chantilly obdarzyła go wyniosłym spojrzeniem i odeszła.

Pomocnik recepcjonisty otworzył przed nią drzwi windy, z której wyszła na trzecim piętrze. Tracy zamówiła apartament 312, wiedząc, że często wybór

apartamentu miał znaczenie nie mniejsze, niż hotelu, do którego się wprowadzała. Na Capri był to Bungalow 522, w „Quisisanie”. Na Majorce luksusowy Apartament Królewski w hotelu „Son Vida”, z którego rozpościerał się widok na góry i odległą zatokę. W Nowym Jorku wybrała apartament Tower 4717, w „Helmsley Palace”, a w Amsterdamie - pokój 325 hotelu „Amstel”, gdzie łagodny plusk wody w kanale kołysał ją do snu.

Z okien apartamentu 312 rozciągała się wspaniała panorama morza i miasta. Tracy spoglądała na fale rozbijające się o odwieczne skały, wystające z morza i podobne do postaci topielców. Dokładnie pod jej oknem znajdował się duży, podłużny basen kąpielowy, którego jasnoniebieska woda wspaniale kontrastowała z szarością oceanu. W pobliżu basenu był obszerny taras z parasolami chroniącymi przed palącymi promieniami słońca. Ściany pokoi obite były biało-niebieskim jedwabnym adamaszkiem, marmurowy cokół obiegał wokół pomieszczenia, a dywany i zasłony w oknach były blad różowe. Drewniane drzwi i okiennice wyglądały na bardzo stare.

Zamknawszy za sobą drzwi na klucz, Tracy zdjęła uciskającą ją perukę i rozmasowała skórę na głowie. Chyba najmniej trudu kosztowało ją wcielanie się w rolę baronowej. W „Księżce Debretta Parów i Baronetów” oraz „Almanachu Gotajskim” nie brakowało tytułów i nazwisk, które mogła przybierać. Roilo się tam od hrabiów, księżniczek, baronowych z dwudziestu czterech krajów. Księgi te oddawały jej nieocenione usługi. Uczyła się z nich historycznych nazwisk członków sławnych rodów, poznawała imiona ojców i matek współczesnych arystokratów oraz ich krewnych, nazwy szkół i domów, adresy rodzinnych rezydencji. Nietrudno było wybrać sobie któryś z tych wielkich rodów i przybrać imię dalekiej kuzynki - zwłaszcza dosyć bogatej. Tytuły i pieniądze wywierają na ludziach tak wielkie wrażenie...

Tracy uśmiechnęła się na wspomnienie nieznanego mężczyzny, który wpadł na nią w holu. Gra rozpoczęła się.

O ósmej wieczór baronowa Marguerite de Chantilly siedziała właśnie w hotelowym barze, gdy nagle obok stolika pojawił się mężczyzna, który niedawno wytrącił jej torebkę.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się nieśmiało - ale chciałbym jeszcze raz przeprosić panią za ten przykry incydent.

Tracy obdarzyła go pobłażliwym uśmiechem.

- Nie gniewam się. To był przypadek.

- Pani jest bardzo miła - zawahał się. - Jednak uspokoję się zupełnie dopiero wówczas, gdy zgodzi się pani wypić ze mną drinka.

- *Oui*. Jeśli pan sobie tego życzy...

- Pozwoli pani, że się przedstawię. Profesor Adolf Zuckerman. - Usiadł na krześle naprzeciw niej.

- Marguerite de Chantilly. - Zuckerman skinął na kelnera.

- Co pani sobie życzy? - zapytał Tracy.

- Szampana. Ale może... - Zrobił uspokajający gest.

- Oczywiście. Stać mnie na to. A może niedługo stać mnie będzie na znacznie więcej.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się lekko. - Musi pan być bardzo szczęśliwy.

- Tak. - Zuckerman zamówił butelkę Bollingera, potem rzekł do Tracy: - Przydarzyło mi się coś nadzwyczajnego. Właściwie nie powinienem rozmawiać o tym z nieznanymi, ale historia jest tak niezwykła, że nie potrafię utrzymać jej w tajemnicy - pochylił się ku niej i zniżył głos. - Mówiąc szczerze, jestem zwykłym szkolnym nauczycielem, a właściwie byłem nim do tej pory. Uczę historii. Daje to dużo zadowolenia, ale nie jest zbyt pasjonujące.

Słuchała go z wyrazem uprzejmego zainteresowania na twarzy.

- Właściwie nie było to zbyt pasjonujące jeszcze kilka miesięcy temu.

- Czy mogę zapytać, co wydarzyło się kilka miesięcy temu, profesorze Zuckerman?

- Prowadziłem badania nad losami hiszpańskiej armady, szukając jakichś szczegółów, które mogłyby zainteresować moich uczniów i w archiwach tutejszego muzeum natrafiłem na stary dokument, który jakimś dziwnym trafem zaplątał się pomiędzy inne papiery. Zawierał on szczegółowy opis tajnej ekspedycji, którą książę Filip wysłał w roku 1588. Jeden ze statków, wypełniony ładunkiem złota, rzekomo zatonął podczas burzy, nie pozostawiając po sobie śladu.

- *Rzekomo* zatonął? - Tracy popatrzyła na niego w zamyśleniu.

- Właśnie tak. Ale zgodnie z treścią dokumentu, kapitan razem z załogą rozmyślnie zatopił statek w pustej, płytkiej zatoce, planując wrócić później i odzyskać skarb. Niestety, zanim powrócili, zostali zaatakowani przez piratów i zabici. Dokument przetrwał do dziś tylko dlatego, że żaden z piratów, w których ręce wpadł, nie potrafił pisać i czytać. Nie znali wartości tego, co mieli w swych rękach. - Jego głos

drżał z podniecenia. - Teraz - powiedział ciszej, rozglądając się dookoła, aby upewnić się, czy nikt nie podsłuchuje - dokument jest w *moich* rękach. Zawiera on szczegółową instrukcję i plan miejsca, gdzie ukryto skarb.

- To bardzo szczęśliwe odkrycie dla pana, profesorze. - W głosie Tracy brzmiał podziw.

- To złoto w sztabkach warte jest dziś prawdopodobnie pięćdziesiąt milionów dolarów - ciągnął dalej Zuckerman. - Wystarczy tylko wydobyć statek.

- I co pana powstrzymuje?

- Pieniądze - chrząknął z zakłopotaniem. - Aby wydobyć skarb na powierzchnię, musiałbym mieć statek i załogę.

- Rozumiem. Jaki byłby koszt tego przedsięwzięcia?

- Sto tysięcy dolarów. Muszę przyznać, że popełniłem wielkie głupstwo. Podjąłem z banku dwadzieścia tysięcy dolarów, oszczędności całego życia, i poszedłem do kasyna w Biarritz, aby spróbować szczęścia w grze. Miałem nadzieję zdobyć wystarczającą sumę, aby... - przerwał.

- I przegrał pan?

Ponownie skinął głową. Tracy zauważyła łzę w kąciku jego oka, za szklami okularów.

Podszedł do nich kelner z butelką szampana, odkorkował ją z hukiem i napełnił kieliszki złocistym płynem.

- *Bonne chance* - wzniosła toast Tracy.

- Dziękuję.

Pili szampana w milczeniu.

- Proszę mi wybaczyć, że zanudzam panią takimi historiami - odezwał się Zuckerman. - Nie powinienem zwierzać się tak pięknej kobiecie ze swoich kłopotów.

- Ależ pańska historia jest fascynująca - zapewniła go. I ma pan zupełną pewność, że złoto tam jest, *oui*?

- Nie ma cienia wątpliwości. Mam oryginalny protokół załadunku i mapę, narysowaną przez kapitana własnoręcznie, podającą dokładne położenie skarbu.

- Potrzebuje pan stu tysięcy dolarów? - Przyglądała mu się z wyrazem głębokiego zamyślenia na twarzy.

- Tak. - Zuckerman uśmiechnął się smutno. - Aby wydobyć skarb wart pięćdziesiąt milionów. - Podniósł kieliszek do ust.

- *C'est possible...* szepnęła cicho.

- Słucham?

- Czy brał pan pod uwagę możliwość przyjęcia wspólnika?

- Wspólnika? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Nie. Planowałem zrobić to sam. Ale niestety, straciłem wszystkie pieniądze... - urwał znowu.

- Profesorze Zuckerman, założmy, że dałabym panu sto tysięcy dolarów...

- W żadnym wypadku, baronowo. - Pokręcił głową. - Nie pozwoliłbym na to. Mogłaby pani stracić swoje pieniądze.

- Ale przecież pan twierdzi, że skarb tam jest...?

- Och, tego jestem zupełnie pewny. Zawsze jednak coś może się nie udać. Nie ma żadnej pewności.

- W życiu jest niewiele rzeczy pewnych. Pańska sprawa wygląda *très intéressant*. Może, gdybym pomogła panu, byłoby to korzystne dla nas obojga.

- Nie, nigdy nie wybaczyłbym sobie, żeby przez jakiś złośliwy przypadek... straciła pani pieniądze.

- Stać mnie na to - zapewniła go. - A wydobyć skarb pomnożyłoby także i mój majątek, *n'est-ce pas?*

- Oczywiście, istnieje i ta strona zagadnienia - przyznał Zuckerman. Siedział bez ruchu, głęboko zamyślony. W końcu rzekł: - Jeśli takie jest pani życzenie, możemy umówić się, że podzielimy zysk po połowie.

- *D'accord*. - Uśmiechnęła się, zadowolona. - Zgadza się.

- Po odliczeniu kosztów, ma się rozumieć - dodał jeszcze profesor.

- *Naturellement*. Kiedy możemy zacząć?

- Natychmiast. - Profesor od razu nabrał energii. - Już dawno wybrałem odpowiedni statek. Wyposażony jest w cały niezbędny sprzęt, ma czteroosobową załogę. Oczywiście będziemy musieli przeznaczyć dla nich jakiś niewielki procent tego, co zdobędziemy.

- *Bien sur*.

- Powinniśmy zacząć jak najszybciej albo stracimy statek.

- Za pięć dni mogę dostarczyć panu pieniądze.

- Wspaniale! - wykrzyknął Zuckerman. - Mam więc czas na przygotowania. Ach, i pomyśleć tylko, że to było przypadkowe spotkanie... prawda?

- *Oui. Sans doute*.

- Za naszą przygodę! - Profesor uniósł kieliszek. Tracy zrobiła to samo, wznosząc toast:

- Za pomyślność naszego niezwykłego przedsięwzięcia. Brzęknęły kieliszki. Tracy spojrzała w drugą stronę sali i zamarła. Przy stoliku, w dalekim kącie lokalu dostrzegła Jeffa Stevensa. Obserwował ją z wyrazem rozbawienia na twarzy. Obok niego siedziała atrakcyjna, młoda kobieta, obwieszona klejnotami.

Jeff skłonił głowę, a Tracy odpowiedziała skinięciem, jednocześnie przypominając sobie chwilę, kiedy ostatnio go widziała w pobliżu posiadłości de Matigny, i głupią minę psa, który siedział w samochodzie. „Jeden zero dla mnie” – pomyślała rozbawiona.

- Wybacz pani - mówił Zuckerman - mam teraz tyle spraw do załatwienia. Pozostaniemy w kontakcie. - Tracy uprzejmie podała mu rękę, którą ucałował i odszedł.

Cóż, twój przyjaciel poszedł sobie. Nie mam pojęcia, dlaczego. Wyglądasz wręcz szokująco jako blondynka.

Tracy uniosła głowę. Jeff stał obok niej. Potem usiadł na krześle, opuszczonym przez Adolfa Zuckermana kilka minut wcześniej.

- Gratuluję - powiedział. - Twój skok na skarbiec de Matigny był genialny. Bardzo sprytnie obmyślony.

- W twoich ustach jest to naprawdę wielką pochwałą, Jeff.

- Mam przez ciebie spore straty, Tracy.

- Przyzwyczaisz się do nich.

- Czego życzył sobie profesor Zuckerman? - Bawił się stojącą przed nim szklanką.

- Och, znasz go?

- Słyszałem o nim.

- Hm... po prostu postawił mi szampana.

- I opowiedział o swoim zatopionym skarbie?

- Skąd o tym wiesz? - Tracy zrobiła się nagle ostrożna.

- Chyba mi nie powiesz, że dałaś się nabrać? - Jeff patrzył na nią zdziwiony. To chyba najstarsza sztuczka na świecie.

- Nie w tym przypadku.

- To znaczy, że uwierzyłaś mu?

- Nie powinnam o tym mówić, ale ten profesor wydaje mi się interesujący - odparła Tracy sztywno.

- Tracy, on cię nabiera. - Jeff potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Ile zainwestujesz w ten zatopiony skarb?

- Nie ma o czym mówić - uprzejmie odpowiedziała Tracy. - To moja sprawa i moje pieniądze.

- Dobrze. - Jeff chrząknął. - Ale pamiętaj, że stary Jeff cię ostrzegął.

- Może ty sam chciałbyś się dobrać do tego złota, co?

- Skąd w tobie tyle podejrzliwości, Tracy? - Rozłożył ręce w udanej rozpacz.

- To proste - odpowiedziała - nie mam do ciebie zaufania. Co to za kobieta, z którą siedziałeś? - Natychmiast pożałowała tego pytania.

- Suzanne? Moja przyjaciółka.

- Oczywiście bogata.

- Istotnie, sądzę, że posiada spory majątek. - Jeff uśmiechnął się od niechcienia.

- Może byś chciała zjeść razem z nami jutro lunch? Szef kuchni na jej siedemdziesięcio-pięciometrowym jachcie, który teraz stoi w porcie, właśnie przygotowuje...

- Dziękuję. Nie będę ci przeszkadzać w konsumpcji. A co ty jej masz do zaoferowania?

- To moja tajemnica.

- Oczywiście, wierzę ci. - Wypadło to trochę surowiej niż zamierzała.

Tracy obserwowała go zza szklanki. Naprawdę wyglądał pociągająco. Miał jasne, regularne rysy, piękne, ciemne oczy i długie rzęsy. Ale w sercu węża. Bardzo inteligentnego węża.

- Czy myślałeś kiedyś o prowadzeniu legalnych interesów? - zapytała go. - Prawdopodobnie zarobiłbyś mnóstwo pieniędzy.

- Co? Mam z tego zrezygnować? Chyba żartujesz! - Jeff oburzył się.

- Czy zawsze trudniłeś się okradaniem ludzi?

- Okradaniem? Jestem *entrepreneur*! - sprostował urażony.

- Jak właściwie zostałeś tym... *entrepreneur*?

- Uciekłem z domu mając czternaście lat i pracowałem w wędrownym cyrku.

- Czternaście lat? - Tracy po raz pierwszy dostrzegła w nim coś poza czarującą uprzejmością, jakąś cząstkę jego prawdziwej natury.

- To mi dobrze zrobiło, nauczyłem się swojego przyszłego fachu. Kiedy wydarzyła się ta cudowna wojna w Wietnamie, zaciągnąłem się do Zielonych Beretów i tam przeszedłem wyższą szkołę. Zrozumiałem, czym była ta wojna - największym

oszustwem na świecie. W porównaniu z tym, my jesteśmy amatorami. - Gwałtownie zmienił temat: - Czy lubisz *pelotę*?

- Jeśli ty to sprzedajesz, to może innym razem.

- To taka gra sportowa, odmiana *jai alai*. Mam dwa bilety na dzisiejszy wieczór, a Suzanne nie chce iść. Może się skusisz?

Tracy bez zastanowienia powiedziała: tak.

Jedli obiad w małej restauracji, na rynku miejskim. Zamówili wino rodzimej produkcji i *confit de canard à l'ail* - kaczkę pieczoną we własnym sosie z ziemniakami i czosnkiem. Była doskonała.

- To specjalność zakładu - poinformował Tracy Jeff. Rozmawiali na temat polityki, książek, podróży i, jak zauważyła

Tracy, we wszystkich tych sprawach Jeff był doskonale zorientowany.

- Kiedy mając czternaście lat zaczynasz żyć samodzielnie - mówił jej Jeff - to szybko się orientujesz. Najpierw uświadamiasz sobie, o co ci chodzi, a potem zaczynasz rozumieć, o co chodzi innym ludziom. Nabieranie jest podobne *do jiu-jitsu*: wykorzystujesz siłę przeciwnika, aby wygrać. Nabierając kogoś - wykorzystujesz jego chciwość. Wystarczy, że zrobisz pierwszy krok, a resztę pozostawiasz jemu.

Tracy śmiejąc się myślała, czy Jeff zdawał sobie sprawę z tego, jak wiele mieli ze sobą wspólnego. Przyjemnie było rozmawiać z nim, ale nie miała wątpliwości, że przy pierwszej okazji ten sympatyczny przyjaciel wystawi ją do wiatru. Był to człowiek, na którego trzeba nieustannie uważać, i to właśnie sobie postanowiła.

Plac, na którym rozgrywano *pelotę*, był dużą, odkrytą areną, o rozmiarach boiska sportowego, położoną wysoko wśród wzgórz otaczających Biarritz. Po obu jego końcach stały wielkie, betonowe tablice, pomalowane na zielono, wzdłuż dłuższych boków znajdowały się cztery kondygnacje kamiennych ławek, przeznaczonych dla widzów. Z zapadnięciem zmroku włączono reflektory. Gdy Tracy i Jeff przybyli na stadion, był on wypełniony ludźmi. W chwilę potem rozpoczął się mecz.

Zawodnicy obu drużyn na zmianę rzucali piłką o betonową ścianę, a po odbiciu łapali ją w *cesty* - długie wąskie kosze przywiązane do ich ramion. *Pelota* była dynamiczną, niebezpieczną grą.

Gdy jednemu z zawodników nie udało się złapać piłki, tłum zawył.

- Oni naprawdę traktują to bardzo poważnie - zauważyła Tracy.

- Zakładają się o wielkie sumy. Baskowie to naród hazardzistów.

Widzowie zaczęli wstawać i podchodzić bliżej do placu gry, w ławkach zrobiło się jeszcze ciasniej. Tłum przyciskał ich do siebie. Jeśli nawet Jeff czuł, jak ciało Tracy napiera na niego, nie dał tego po sobie poznać.

W miarę upływu czasu tempo gry i zapalczliwość graczy wydawały się rosnać. Okrzyki kibiców odbijały się echem w ciemności.

- Czy ta gra jest naprawdę tak niebezpieczna, jak się wydaje?

- Baronowo, piłka leci w powietrzu z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jeśli uderzy cię w głowę - umierasz. Ale ci gracze rzadko pudłują. - Poklepał ją po ramieniu, zafascynowany grą.

Gracze byli doświadczonymi zawodnikami, poruszali się zwinnie i panowali nad sytuacją. Ale w pewnej chwili jeden z nich zupełnie nieoczekiwanie rzucił piłkę pod niewłaściwym kątem i rozpędzony pocisk pomknął wprost ku ławce, na której siedzieli Tracy i Jeff. Widzowie gorączkowo szukali zasłony. Jeff chwycił Tracy, pociągnął ją na ziemię i zasłonił własnym ciałem. Usłyszeli świst piłki, przelatującej tuż nad ich głowami i uderzającej w boczną ścianę. Tracy leżała na ziemi, czując twardość ciała Jeffa. Ich twarze prawie się dotykały.

Jeff trzymał ją jeszcze przez moment, potem podniósł się i pomógł Tracy wstać. Długo nic nie mówili, zmieszani.

- Chyba... chyba już wystarczy emocji na ten wieczór - odezwała się wreszcie dziewczyna. - Chciałabym wrócić do hotelu.

W holu hotelowym powiedzieli sobie dobranoc.

- To był naprawdę fascynujący wieczór - rzekła na pożegnanie Tracy. Była teraz zupełnie szczerą.

- Tracy, chyba nie myślisz poważnie o tym zwariowanym planie Zuckermana, prawda?

- Zupełnie poważnie. - Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

- I nadal podejrzewasz, że zamierzam ubiec cię w tym przedsięwzięciu?

- A nie zamierzasz? - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Powodzenia. - Spoważniał nagle.

- Dobranoc, Jeff.

Tracy odprowadzała go wzrokiem, gdy odwrócił się i wyszedł z hotelu. Była pewna, że szedł prosto do Suzanne. „Biedna dziewczyna”.

- Dobry wieczór, pani baronowo. Mam dla pani list. - Przywitał ją recepcjonista.

List był od profesora Zuckermana.

Adolf Zuckerman miał kłopoty. Bardzo poważne kłopoty. Siedział w biurze Armanda Grangiera, przerażony do tego stopnia, że aż miał mokro w spodniach. Grangier był właścicielem nielegalnego kasyna gry ulokowanego w eleganckiej prywatnej willi przy Rue de Friars 123. Grangierowi było wszystko jedno, czy Casino Municipal było otwarte, czy zamknięte, ponieważ klub przy Rue de Friars zawsze był pełen bogatych gości. W odróżnieniu od domów gry nadzorowanych przez rząd, tutaj sumy, o jakie się zakładano, były nieograniczone, dlatego tu właśnie wielcy tego świata najchętniej zabawiali się grą w ruletkę, chemin de fer albo w kości. Do klientów Grangiera należeli arabscy książęta, angielska arystokracja, biznesmeni z Dalekiego Wschodu, afrykańscy szefowie państw. Skąpo ubrane młode damy krążyły po sali, przyjmując zamówienia na darmowego szampana, ponieważ Armand Grangier już dawno zauważył, że bogaci ludzie bardziej niż inni lubią prezenty. Grangiera stać było na fundowanie drinków. W jego ruletce i grach karcianych o wygranej nie decydował przypadek.

W klubie nigdy nie brakowało pięknych, młodych kobiet, przychodzących tu zazwyczaj w towarzystwie starszych i bogatych dżentelmenów. Uwiedzenie każdej z nich nie sprawiłoby Grangierowi większych trudności. Był małym człowiekiem, prawie karłem, o ujmującej powierzchowności, błyszczących piwnych oczach i łagodnych, zmysłowych ustach. Miał sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, co w połączeniu z jego zawsze eleganckim wyglądem i delikatną budową działało na kobiety jak magnes. Grangier traktował je zawsze z dobrze udaną galanterią, lecz gdy go odwiedzały, odprawiał je mówiąc: Jesteś cudowna, *chérie*, ale nieszczęśliwie dla nas obojga zakochałem się na śmierć i życie w kimś innym.

Najczęściej była to prawda. Oczywiście *ktoś inny* zmieniał się co tydzień, gdyż w Biarritz nigdy nie brakowało pięknych młodzieńców, a Armand Grangier gotów był zapewnić każdemu z nich krótkie, ale interesujące wakacje.

Powiązania Grangiera z policją i światem przestępczym były wystarczająco silne, by mógł sprawować kontrolę nad kasynem. Zaczynał karierę jako sprzedawca biletów na publiczne przedstawienia, potem zainteresował się narkotykami, w końcu

zdobył sobie to małe królestwo w Biarritz. Jego konkurenci dowiadywali się niestety zbyt późno, jak niebezpiecznie było wchodzić mu w drogę.

Teraz Armand Grangier przesłuchiwał Adolfa Zuckermana.

- Opowiedz mi coś więcej o tej baronowej, która dała się nabrać na bajkę o zatopionym skarbie.

Jego gniewny, podniecony ton świadczył, że coś mu w tej całej historii nie pasowało, nawet bardzo nie pasowało. Zuckerman przełknął ślinę i zaczął:

- Jest wdową, mąż zostawił jej ogromny majątek. Mówiła, że bez problemu zdobędzie sto tysięcy dolarów. - Jego własny głos dodawał mu pewności siebie. - Kiedy zdobędziemy pieniądze, oczywiście powiemy jej, że statek miał awarię i potrzebujemy jeszcze pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Potem wyciśniemy z niej następne sto tysięcy i dalej tak jak zwykle. - Spostrzegł pogardliwy grymas na twarzy Armanda Grangiera. - Co... o co chodzi, szefie?

- O to - powiedział spiszowym tonem Grangier - że właśnie zadzwonił do mnie z Paryża jeden z moich chłopców. On podrabiał paszport dla twojej baronowej. Ona nazywa się Tracy Whitney i jest Amerykanką.

Zuckermanowi zaschło w gardle. Obliznął wargi.

- Ona... naprawdę wyglądała na zainteresowaną tym, szefie. *Belle! Conneaut!* To zawodowa oszustka. Chciałeś oszukać oszustkę.

- Więc dlaczego się zgodziła? Dlaczego nie odrzuciła oferty?

- Nie wiem, profesorze, ale dowiem się. - Głos Armanda Grangiera a był lodowaty. - A kiedy już będę wiedział, załatwię tej damie kąpiel w zatoce. Nikt nie zrobi w konia Armanda Grangiera. Teraz podnieś słuchawkę. Powiedz jej, że twój przyjaciel obiecał wyłożyć połowę pieniędzy, a ja złożę jej wizytę. Czy możesz mi to załatwić?

- Jasne, szefie. Nie ma powodu do obaw – odpowiedział z zapalem Zuckerman.

- Jest powód - wycedził powoli Grangier. - Obawiam się o ciebie, profesorze.

Armand Grangier lubił jasne sytuacje. Sztuczka z zatopionym statkiem znana była od wieków, ale jej ofiary musiały być naiwne. Niemożliwe, żeby zawodowa oszustka dała się na nią nabrać. Ten właśnie fakt tak zaniepokoił Grangiera, że postanowił sam wyjaśnić całą sprawę. Dopiero gdy znajdzie odpowiedź, wyda kobietę w ręce Bruna Vicente. Vicente lubił zabawiać się ze swoimi ofiarami, zanim je wykończył.

Armand Grangier wysiadł z limuzyny przed „Hôtel du Palais”, wszedł do hotelu i zbliżył się do Julesa Bergeraca, białowłosego Baska, pracującego w tym hotelu od trzynastego roku życia.

- Jaki jest numer apartamentu baronowej Marguerite de Chantilly?

W hotelu obowiązywała ścisła reguła, zabraniająca recepcjonistom udzielać informacji dotyczących numerów apartamentów gości, ale zasady te nie dotyczyły Armanda Grangiera.

- Apartament 3-12, monsieur Grangier. - *Merci*.

- ...i pokój 3-11.

Grangier, który podchodził już do windy, zatrzymał się nagle.

- Co?

- Baronowa wynajęła także pokój przylegający do apartamentu.

- Och! A kto tam mieszka?

- Nikt.

- Nikt? Na pewno?

- *Oui, monsieur*. Jest zawsze zamknięty. Pokojówki dostały polecenie, żeby tam nie wchodzić.

Wyraz zdumienia pojawił się na twarzy Grangiera.

- Masz zapasowy klucz?

- Oczywiście. - Recepcjonista, nie wahając się ani chwili, sięgnął do biurka, znalazł klucz i podał go Armandowi Grangierowi. Z tym człowiekiem należało raczej unikać dyskusji.

Gdy Armand Grangier znalazł się przed drzwiami apartamentu baronowej, zauważył, że wewnątrz paliło się światło. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzył je i wszedł do środka. Living-room był pusty.

- Halo! Jest tu kto? Odpowiedział mu kobiecy głos z łazienki:

- Kąpię się. Zaraz wyjdę. Proszę wziąć sobie drinka. Grangier rozejrzał się po pokojach, dobrze sobie znanych, ponieważ w ciągu ostatnich dziesięciu lat mieszkało tu wielu jego znajomych. Wszedł do sypialni. Na toaletce leżały, beztrosko rozrzucone kosztowne klejnoty.

- Wyjdę za kilka minut! - dobiegł go głos z łazienki.

- Nie ma pośpiechu, baronowo.

„*Baronesse mon cull* - pomyślał gniewnie - cokolwiek knujesz, *chérie*, czeka cię przykra niespodzianka”. Podeszedł do drzwi prowadzących do przyległego pokoju. Były zamknięte. Grangier wyjął zapasowy klucz i otworzył je. W pokoju, do którego wszedł unosił się zapach stęchlizny, jakby od wielu lat nikt w nim nie mieszkał. Dlaczego go wynajęła? Coś dziwnego przykuło uwagę Grangiera. Gruby, czarny kabel elektryczny podłączony do gniazdka w ścianie wił się wzdłuż całej podłogi, znikając w drzwiczkach kredensu. Drzwiczki były uchylone tylko na tyle, żeby kabel mógł przez nie przejść. Zainteresowany Grangier podeszedł do kredensu i otworzył go.

Na drucie przeciągniętym wzdłuż kredensu wisiały mokre banknoty studolarowe, przymocowane spinaczami do bielizny. Na bocznej półce leżał jakiś przedmiot nakryty udrapowanym materiałem. Grangier podniósł materiał. Znalazł pod nim małą prasę drukarską z mokrym jeszcze, studolarowym banknotem w środku. Obok prasy leżały arkusze czystego papieru o rozmiarach banknotów dolarowych i przycinarka. Kilka studolarowych banknotów, nierówno przyciętych, leżało w nieładzie na podłodze.

Nagle z tyłu, za Grangierem, odezwał się gniewny głos:

- Co pan tu robi?

Grangier odwrócił się. Tracy Whitney, z włosami wilgotnymi po kąpieli i zawiniętymi w ręcznik, weszła do pokoju.

- Falszerstwo? - Armand Grangier syknął ze złością: - Pani miała zamiar zapłacić za gościnę fałszywymi pieniędzmi?

Obserwował zmieniający się gwałtownie wyraz jej twarzy: przestraszona, gniew i wyzywająca pewność siebie.

- Niech i tak będzie - przyznała Tracy. - Ale to nie ma znaczenia, czy są fałszywe czy prawdziwe. Nikt ich nie odróżni.

„Oszustka!” Jest teraz w jego rękach i zrobi z nią, co mu się spodoba.

- Te banknoty są równie dobre, jak złoto.

- Naprawdę? - W głosie Grangiera zabrzmiała pogarda. Odczepił jeden z mokrych banknotów z drutu i przyjrzał mu się. Oglądał jedną stronę, potem drugą, wreszcie przybliżył je do oczu. Były idealne. - Kto wykonał te matryce?

- Co za różnica? Do piątku bez trudu wydrukuję sto tysięcy dolarów.

Grangier patrzył na nią zdumiony. A potem, kiedy domyślił się, o co jej chodziło, roześmiał się głośno.

- Jezus! - zakrzyknął. - Pani jest naprawdę głupia. Nie ma żadnego skarbu.

- Co to znaczy, nie ma skarbu? - Tracy zrobiła zdziwioną minę. - Profesor Zuckerman powiedział mi...

- A pani mu uwierzyła? Wstyd, baronowo. - Jeszcze raz przyjrzał się banknotowi. - Wezmę go sobie.

- Proszę wziąć, ile pan chce. To tylko papier. - Tracy wzruszyła ramionami.

Grangier zgarniał mokre studolarowe banknoty.

- Skąd pani wie, że nie wejdzie tu któraś z pokojówek?

- Dobrze im zapłaciłam, żeby trzymały się z daleka od tego pokoju. A kiedy wychodzę, zamykam kredens na klucz.

„Ona ma mocne nerwy - pomyślał Grangier - ale to jej nie uchroni przed śmiercią”.

- Proszę nie wychodzić z hotelu - rozkazał. - Mam tu znajomego, który chętnie się z panią spotka.

Armand Grangier najchętniej od razu wydałby tę kobietę w ręce Bruna Vicente, ale powstrzymało go od tego jakieś niejasne przeczucie.

Raz jeszcze przyjrzał się jednemu z banknotów. Miał już w rękach mnóstwo fałszywych pieniędzy, ale nigdy tak doskonałych jak te. Ktokolwiek wykonał matryce, był geniuszem. Papier wyglądał jak autentyczny, a linie na nim były czyste i wyraźne. Kolory ostre i nie rozmazujące się, mimo że banknot był mokry. Portret Benjamina Franklina był bez najmniejszej skazy. Ta suka mówiła prawdę. Rzeczywiście trudno było odróżnić to, co trzymał w ręku, od prawdziwego banknotu. Grangierowi przyszło do głowy, że mógłby użyć tych pieniędzy w jakiejś transakcji. To mógł być niezły pomysł.

Postanowił na razie nie niepokoić Bruna Vicente.

Następnego ranka Armand Grangier wezwał do siebie Zuckermana. Wręczył mu jeden ze studolarowych banknotów.

- Idź do banku i zamień to na franki.

- Jasne, szefie.

Grangier obserwował go, gdy szybko wychodził z biura. Niech to będzie karą dla Zuckermana za jego głupotę. Kiedy go aresztują, nie będzie mógł zdradzić pochodzenia sfalszowanego banknotu, oczywiście jeśli chce żyć. Ale gdyby udało mu się zamienić banknot... „Zobaczymy” - pomyślał Grangier.

Po kwadransie Zuckerman pojawił się w biurze z powrotem. Odliczył sumę franków odpowiadającą stu dolarom i podał pieniądze szefowi.

- Czy coś jeszcze?

- Nie było żadnych kłopotów? - Grangier popatrzył na franki.

- Kłopotów? Nie. Dlaczego? - Chcę żebyś wrócił do tego banku - rozkazał Grangier. -

Zrobisz tak...

Adolf Zuckerman wszedł do Banque de France i zbliżył się do stolika, przy którym zasiadał kierownik banku. Tym razem świadomy był zagrażającego niebezpieczeństwa, ale wołał już to od gniewu Grangiera.

- Czym mogę służyć? - zapytał kierownik.

- Hm... - próbował ukryć zdenerwowanie - widzi pan, zeszłego wieczora grałem w pokera z kilkoma Amerykanami, których spotkałem w barze. - Przerwał na chwilę. Kierownik banku skinął głową ze zrozumieniem.

- I przegrał pan pieniądze, a teraz potrzebna jest pożyczka?

- Nie - odparł Zuckerman. - Przeciwnie, wygrałem. Problem polega na tym, że ci ludzie nie wyglądali na uczciwych. - Wyjął dwa studolarowe banknoty. - Zapłacili mi tymi pieniędzmi, a ja obawiam się, że mogą być fałszywe.

Zuckerman wstrzymał oddech, gdy kierownik banku wziął banknoty w swoje pulchne ręce. Zbadał je dokładnie z obu stron, a potem podniósł i spojrzał pod światło. Zerknął na Zuckermana i uśmiechnął się:

- Ma pan szczęście, monsieur. Te banknoty nie są fałszywe. Zuckerman odetchnął z ulgą. „Dzięki Bogu! Szef będzie zadowolony”.

Wszystko w porządku, szefie. Kierownik banku powiedział, że są dobre.

Było to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Armand Grangier siedział, głęboko zamyślony, układając w głowie plan.

- Idź do baronowej.

Tracy siedziała przy empirowym biurku w biurze Armanda Grangiera, spoglądając na swego gospodarza.

- Zostaniemy wspólnikami - oznajmił jej Grangier. Tracy powoli wstała.

- Ja nie potrzebuję wspólnika i...

- Proszę usiąść.

Spojrzała w oczy Grangiera i usiadła.

- Biarritz należy do mnie. Jeśli spróbuje pani wydać tu choć jeden z tych banknotów, znajdzie się pani w więzieniu szybciej, niż to się pani wydaje. *Comprenez-vous?* W naszych więzieniach ładnym kobietom przytrafiają się przykre historie. Nie zrobi pani beze mnie ani kroku.

- Więc płacę panu za ochronę? - Przyglądała mu się.

- Myli się pani. Płaci mi pani za życie. Tracy uwierzyła mu.

- Teraz proszę powiedzieć, skąd ma pani tę drukarkę? Tracy zawahała się, a Grangier delektował się jej niepewnością.

Stopniowo mu ulegała.

- Kupiłam ją od pewnego Amerykanina mieszkającego w Szwajcarii - odparła z niechęcią. - Ten człowiek przez dwadzieścia pięć lat pracował w amerykańskiej mennicy jako grawer, a kiedy opuszczał pracę, wynikły jakieś kłopoty z jego emeryturą, której w rezultacie nigdy mu nie przyznano. Poczul się oszukany i postanowił wyrównać rachunki, więc ukradł kilka przeznaczonych do likwidacji matryc do studolarówek. Dzięki swoim kontaktom zdobył papier, na którym Departament Skarbu drukuje pieniądze.

„Teraz rozumiem - pomyślał z triumfem Grangier - dlatego te banknoty są tak idealne”. Jego podniecenie wzrosło.

- Ile pieniędzy dziennie można wydrukować przy pomocy tej prasy?

- Tylko jeden banknot na godzinę. Obie strony papieru muszą być poddane obróbce chemicznej i...

- Czy nie istnieje większa prasa? - przerwał jej.

- Tak, on sam ma taką, która drukuje pięćdziesiąt banknotów w ciągu ośmiu godzin - pięć tysięcy dolarów dziennie - ale chce za nią pół miliona dolarów.

- Niech więc pani ją kupi - powiedział Grangier.

- Nie mam pięciuset tysięcy dolarów.

- Ale ja mam. Ile czasu potrwa sprowadzenie tej prasy tutaj?

- Właściwie... przypuszczam, ale nie wiem czy... - mówiła dalej z wyraźną niechęcią.

Grangier podniósł słuchawkę telefonu i powiedział:

- Louis, potrzebuję pół miliona dolarów we frankach francuskich. Weź to, co jest w sejfie i podejmij resztę z banku. Przynieś je do mojego biura. *Vite!*

Tracy wstała, zdenerwowana.

- Pójdę teraz i...
- Nigdzie pani nie pójdzie.
- Naprawdę powinnam.
- Proszę usiąść i nic nie mówić. Muszę pomyśleć.

Miał wspólników, którzy powinni być uwzględnieni przy tej transakcji, ale nie zamierzał ich informować. „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal” - powiedział sobie w duchu. Sam kupił dużą prasę i szybko wydrukował sumę, którą pobrał z konta kasyna. Potem powie Brunowi Vicente, żeby zajął się tą kobietą. Ona nie lubi wspólników.

Podobnie jak Armand Grangier.

W dwie godziny później pieniądze zostały przyniesione w dużym worku. Grangier rozkazał Tracy:

- Teraz wyprowadzi się pani z „Palais”. Mam prywatny dom na wzgórzach, w ustronnym miejscu. Zamieszka tam pani, dopóki nie ustalimy wszystkich szczegółów tej transakcji. - Pchnął telefon w jej stronę. - Teraz proszę zadzwonić do swojego wspólnika w Szwajcarii i powiedzieć mu, że kupuje pani prasę.

- Zostawiłam jego numer w hotelu. Zadzwonię stamtąd. Niech pan poda mi swój adres, a ja powiem mu, żeby wysłał tam prasę i...

- *Non!* - krzyknął Grangier. - Nie chcę zostawiać śladów. Odbiorę ją na lotnisku. Pomówimy o tym dziś przy kolacji... Spotkamy się o 20.00.

Odprawiał ją. Tracy wstała.

- Proszę na nie uważać. - Grangier wskazał worek z pieniędzmi. Nie chciałbym, żeby coś złego przytrafiło się pani albo pieniądzom.

- Nic się im nie przytrafi - zapewniła go Tracy.

- Wiem. - Uśmiechnął się lekko. - Teraz profesor Zuckerman odwiedzi panią do hotelu.

Jechali limuzyną w milczeniu, przedzieleni workiem pieniędzy, zatopieni we własnych myślach. Zuckerman nie bardzo wiedział, co się właściwie działo, ale przecucie podpowiadało mu, że sprawy przybierały korzystny dla niego obrót. Klucz do zagadki miała ta kobieta. Grangier polecił mu mieć ją na oku i Zuckerman postanowił dobrze wywiązać się z tego zadania.

Armand Grangier był tego wieczoru w wyśmienitym humorze. Do tej pory transakcja jest już pewnie zawarta. Ta Whitney powiedziała, że prasa może drukować 5000 dolarów dziennie, ale Grangier miał lepszy plan. Postanowił, że prasa będzie pracować bez przerwy, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przyniesie mu to piętnaście tysięcy dolarów dziennie, ponad sto tysięcy tygodniowo; w ciągu każdego dziesięciu tygodni zarobi milion dolarów. A przecież to dopiero początek. Dziś wieczorem pozna nazwisko grawera i zawrze z nim umowę na następne maszyny. Będzie miał tyle pieniędzy, ile tylko zapragnie.

Dokładnie o 20.00 limuzyna Grangiera zatrzymała się przed „Hotel du Palais”. Wchodząc do holu, Grangier z satysfakcją zauważył Zuckermana siedzącego nieopodal drzwi i nie spuszczonego z nich oczu.

Grangier podszedł do stolika recepcjonisty.

- Jules, powiedz baronowej de Chantilly, że już jestem. Niech zejdzie na dół.

- Ale baronowa wyprowadziła się, monsieur Grangier. - Recepcjonista spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Bzdury! Zawołaj ją.

Jules Bergerac przeraził się. Armandowi Grangier nie należało się sprzeciwiać.

- Ja sam ją wypisałem.

- *Impossible*. Kiedy?

- Zaraz po powrocie do hotelu. Poprosiła mnie, żebym przyniósł jej rachunek do apartamentu. Powiedziała, że zapłaci gotówką.

- Gotówką? - Armand Grangier myślał gorączkowo. - Francuskimi frankami?

- Tak, monsieur.

- Czy zabrała coś ze swego apartamentu? - zapytał z niepokojem. - Jakieś skrzynki, walizki?

- Nie. Powiedziała, że przyśle kogoś po nie później.

Czyli prawdopodobnie ukradła pieniądze i wyjechała do Szwajcarii, żeby kupić prasę dla siebie.

- Zaprowadź mnie do jej apartamentu. Szybko!

- *Oui, monsieur Grangier*.

Jules Bergerac, chwyciwszy w przelocie klucz do apartamentu, popędził za Grangierem w stronę windy. Gdy przechodzili obok Zuckermana, Grangier syknął gniewnie:

- Po co tu siedzisz, idioto? Ona stąd wyszła. - Zuckerman spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Nie mogła wyjść. Nie przechodziła tędy. Obserwowałem hol bez przerwy.

- *Obserwowałeś!* - przedrzeźniał go Grangier. - Zwracałeś uwagę na pielęgniarkę, siwowłosą staruszkę, pokojówkę wychodzącą drzwiami dla służby?

- Po co miałbym zwracać na nie uwagę? - Zuckerman był zaskoczony.

- Wracaj do kasyna - warknął Grangier. - Później porozmawiamy.

Apartament nie zmienił wyglądu od czasu jego ostatniej wizyty. Drzwi do przyległego pokoju były otwarte. Grangier wpadł tam i natychmiast otworzył kredens. Prasa drukarska stała na swoim miejscu, dzięki Bogu! Ta Whitney widocznie za bardzo się spieszyła i zapomniała o niej. Popęłniła błąd. „Nie tylko ten jeden błąd!” pomyślał Grangier. Ukradła mu pięćset tysięcy dolarów, ale on odpłaci jej za to. Policja pomoże mu odszukać złodziejkę, a potem zamknąć w więzieniu, gdzie jego ludzie bez trudu ją osiągną. Przekonają ją, żeby podała nazwisko grawera, a kiedy to zrobi, uciszą raz na zawsze.

Armand Grangier wykręcił numer posterunku policji i poprosił do telefonu inspektora Dumonta. Przez trzy minuty mówił do słuchawki podniesionym głosem, a następnie rzekł: - Będę czekał w hotelu.

Kwadrans później do pokoju wkroczył inspektor w towarzystwie człowieka o trudnej do ustalenia płci i chyba najbrzydszej twarzy, jaką Grangier kiedykolwiek oglądał. Jego czoło wysunięte było do przodu a piwne oczy fanatyka, ledwo widoczne za grubymi szklami okularów, spoglądały przenikliwie.

- To jest monsieur Daniel Cooper - przedstawił go inspektor Dumont. - Pan Cooper prowadzi śledztwo przeciw kobiecie, o której pan mówił.

- Powiedział pan inspektorowi Dumontowi, że jest ona zamieszana w fałszerstwo - odezwał się Cooper.

- *Vraiment*. Właśnie ucieka do Szwajcarii. Bez trudu złapiecie ją na granicy. W tym pokoju znajdziecie panowie wszystkie dowody jej winy.

Mówiąc to wskazał na kredens. Daniel Cooper z inspektorem Dumontem zajrzeli do środka.

- To jest właśnie drukarka, na której fałszowała banknoty. Daniel Cooper podszedł do maszyny i przyjrzał się jej z uwagą.

- Na tej drukarce fałszowała pieniądze?

- Przecież mówię wyraźnie - odparł Grangier ze zniecierpliwieniem. Wyjął z kieszeni studolarówkę. - Proszę spojrzeć. Tu ma pan jeden ze sfalszowanych banknotów.

Cooper podszedł do okna i obejrzał banknot pod światło.

- On nie jest sfalszowany.

- Tak się panu tylko wydaje. Wygląda na dobry, bo do drukowania użyła matryc kupionych od byłego pracownika mennicy w Filadelfii. Na tej maszynie fałszowała banknoty.

- Pan jest głupi - krótko odpowiedział Cooper. - To normalna drukarka. Służy do drukowania adresów na kopertach.

- Adresów? - Pokój zaczynał wirować przed oczyma Grangiera.

- Uwierzył pan w bajkę o maszynie, która zamienia papier w prawdziwe studolarówki?

- Ależ mówię panu, że widziałem na własne oczy... - urwał nagle. Co właściwie widział? Kilka mokrych banknotów suszących się na drucie, trochę czystego papieru i przycinarkę. Zaskoczenie odebrało mu mowę. Dopiero teraz pojął swoją pomyłkę. *Nie było* żadnego fałszerstwa, żadnego grawera mieszkającego w Szwajcarii. Tracy Whitney nigdy nie uwierzyła w opowieść o zatopionym statku. Ta dziwka użyła jego własnej metody, żeby nabrać go na pół miliona dolarów. Jeśli ktokolwiek o tym się dowie...

Obaj mężczyźni patrzyli na niego.

- Czy wniesie pan skargę, Armand? - zapytał inspektor Dumont.

Jaką skargę? Co mógłby powiedzieć? Że oszukano go, gdy próbował sfinansować fałszerstwo? A jak zareagują jego wspólnicy, na wiadomość, że ukradł im pół miliona dolarów i stracił je? Ogarnęło go przerażenie.

- Nie. Nie chcę wnosić skargi. - W jego głosie brzmiała panika.

„Afryka - pomyślał Armand Grangier. - Nigdy mnie nie znajdą w Afryce”.

Daniel Cooper myślał: „Następnym razem. Następnym razem na pewno ją złapię”.

To Tracy zaproponowała Guntherowi Hartogowi spotkanie na Majorce. Bardzo lubiła tę wyspę, jedno z najbardziej malowniczych miejsc na świecie. - Poza tym - przekonywała go - była kiedyś kryjówką piratów. Tylko tam będziemy czuć się jak w domu.

- Byłoby lepiej, gdyby nikt nie zobaczył nas razem - zauważył Hartog.
- Nie ma obawy - zapewniła go Tracy.

Zaczęło się od telefonu Gunthera z Londynu.

- Tym razem propozycja jest wyjątkowa, Tracy. To wielkie wyzwanie dla twojego talentu.

Następnego ranka poleciała do Palmy, stolicy Majorki. Ponieważ wciąż rozsyłano za nią czerwone *okólniki*, miejscowe władze natychmiast zostały powiadomione o jej wyjeździe z Biarritz i przybyciu na Majorkę. Gdy tylko wprowadziła się do Królewskiego Apartamentu w hotelu „Son Vida”, wysłano tam ekipę policjantów z zadaniem obserwowania jej przez całą dobę.

Komendant policji w Palmie, Ernesto Marze rozmawiał przez telefon z inspektorem Trignantem z paryskiego Interpolu.

- Jestem przekonany - powiedział Trignant - że wszystkie ostatnie oszustwa popełniła Tracy Whitney.

- Tym gorzej dla niej. Jeśli spróbuje czegoś na Majorce, przekona się, że tutaj sprawiedliwość działa szybko.

Na zakończenie inspektor Trignant dodał:

- Muszę pana poinformować o jeszcze jednej rzeczy.
- Si?
- Odwiedzi pana gość z Ameryki. Niejaki Daniel Cooper.

Detektywi śledzący Tracy odnosili wrażenie, że interesowało ją wyłącznie zwiedzanie. Towarzyszyli jej w wędrówkach po wyspie, gdy odwiedzała klasztor San Francisco i mieniący się kolorami zamek Bellver, spacerowała po plaży w Illetas, oglądała walkę byków w Palmie. Na obiad jadła *sobrasadas* i *camaiot* na Plaža de la Reine, zawsze samotnie.

Robiła wycieczki do Formentor i Valldemosa, i La Granja, zwiedzała fabryki pereł w Manacor.

- *Nada* - raportowali detektywi Ernesto Marze. - To zwykła turystka, szefie. Sekretarka komendanta weszła do biura.

- Przybył do pana jakiś Amerykanin. Señor Daniel Cooper. Komendant Marze przyjaźnił się z wieloma Amerykanami.

Lubił ich i wydawało mu się, że polubi też Daniela Coopera, bez względu na to, co opowiadał o nim inspektor Trignant. Wkrótce zrozumiał, jak bardzo się pomylił.

- Jesteście idioci. Wszyscy, co do jednego - burczał Daniel Cooper. - To jasne, że nie jest zwykłą turystką. Szykuje się do następnego skoku.

Komendant Marze z trudem powściągał gniew.

- Señor, sam pan stwierdził, że przestępstwa panny Whitney są zawsze bardzo spektakularne, że cieszy ją robienie rzeczy niemożliwych. Sprawdziłem to dokładnie, señor Cooper. Na Majorce nie istnieje nic co mogłoby zainteresować tak utalentowaną osobę jak señorita Whitney.

- Czy spotykała się z kimś na wyspie? Rozmawiała z kimś? „Cóż za bezczelnym tonem mówi ten *ojete!*”

- Nie. Absolutnie z nikim.

- Więc wkrótce się spotka - bezbarwnym głosem podsumował Cooper.

„Teraz już wiem - mruknął do siebie komendant Marze - co oznacza powiedzenie „wściekły Amerykanin”.

Spośród dwustu znanych jaskiń na Majorce, największą popularnością cieszą się tak zwane Cuevas del Drach - Jaskinie Smoka, położone w pobliżu Porto Cristo, o godzinę drogi z Palmy. Stare korytarze schodzą tu głęboko pod ziemię, ukazując niezwykle komnaty o łukowych najeżonych stalaktytami i stalagmitami sklepieniach. Panuje tam martwa cisza i tylko czasami można usłyszeć szmer krętego, podziemnego strumienia. Wody strumieni przybierają różne odcienie: zielonkawy, niebieski albo biały, zależnie od głębokości, na jakich płyną.

Jaskinie są bajkową krainą, zbudowaną z bladej kości słoniowej, z labiryntem korytarzy, słabo oświetlonych przez niewielkie lampki, rozmieszczone w węzłowych punktach trasy.

Do środka nie wpuszcza się nikogo bez przewodnika, lecz mimo to, od chwili otwarcia jaskiń dla zwiedzających wypełnia je tłum turystów.

Tracy zwiedziła je w sobotę, celowo wybierając dzień, w którym ich korytarze są najbardziej zatłoczone przez gości z całego świata. Kupiła bilet w małym okienku kasy i natychmiast zniknęła w tłumie. Daniel Cooper z dwoma detektywami komendanta Marze podążył za nią. Przewodnik prowadził zwiedzających po wąskich, kamiennych ścieżkach, śliskich od wody spływającej ze stalaktytów, zwieszających się nad ich głowami i przypominających fragmenty ludzkich szkieletów.

Były tam wnęki, w których zwiedzający, zbaczając z głównego szlaku, mogli podziwiać cudaczne formy wapiennych nacieków, przypominające to ogromne ptaki, to znowu prehistoryczne zwierzęta lub drzewa. Na słabo oświetlonych szlakach zdarzały się miejsca kompletnie ciemne i właśnie w jednym z takich miejsc detektywi zgubili ślad Tracy.

Daniel Cooper natychmiast popędził do przodu, rozglądając się na wszystkie strony, ale nigdzie jej nie zauważył. Napór dziesiątków ludzi, schodzących powoli po skalnych stopniach, uniemożliwił mu jakiegokolwiek poszukiwania. Nie miał pojęcia, czy powinien szukać Tracy przed sobą czy też za sobą. „Ona coś tutaj knuje, chce zrobić jakiś skok - mówił do siebie Cooper. - Ale jaki? Gdzie? W jaki sposób?”

W naturalnie ukształtowanej sali o rozmiarach cyrkowej areny, w najniższym punkcie ciągu jaskiń znajduje się Teatr Rzymski. Zbudowano tu kilka kondygnacji kamiennych ław, przeznaczonych dla widzów, którzy co godzina schodzą się, aby obejrzeć spektakl. Publiczność zajmuje miejsca w ciemnościach, oczekując na początek przedstawienia.

Tracy, zstępując w dół, odliczyła dziesięć wysokich stopni a później, przesuwając się wzdłuż rzędu, minęła dwadzieścia miejsc siedzących. Mężczyzna siedzący na dwudziestym pierwszym odezwał się:

- Wszystko w porządku?

- Tak, Gunther. - Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Mówił coś, więc przysunęła się bliżej, aby dosłyszeć go przez zgiełk rozmów dobiegających ze wszystkich stron.

- Wolalbym, żeby nikt nie widział nas razem, możesz być śledzona.

Tracy rozejrzała się po wielkiej grocie wypełnionej ludźmi.

- Tu jesteśmy bezpieczni. - Spojrzała na niego, zaciekawiona. - To musi być coś ważnego.

- Tak. - Nachylił się ku niej. - Bardzo bogatemu człowiekowi ogromnie zależy na zdobyciu pewnego obrazu. Chodzi o Goyę, obraz nazywa się „Puerto”. Ten człowiek gotów jest zapłacić pół miliona dolarów gotówką każdemu, kto zdobędzie to płótno. Oczywiście, moje wynagrodzenie nie wchodzi w tę sumę.

- Czy są jacyś konkurenci? - Tracy zamyśliła się.

- Mówiąc szczerze, tak. Moim zdaniem szansę sukcesu są znikome.

- Gdzie ten obraz?

- W Muzeum Sztuki Prado w Madrycie.

- *Prado!* - Przez głowę Tracy przemknęła jak błyskawica myśl: „To niemożliwe”.

Nachylił się do jej ucha, nie zważając na gwar rosnący w sali w miarę jak miejsca wypełniały się publicznością.

- To zadanie dla prawdziwego geniusza. Dlatego właśnie pomyślałem o tobie, moja droga Tracy.

- Czuję się zaszczycona - odrzekła. - Za pół miliona dolarów?

- Wolnych od podatku.

Gdy rozpoczął się spektakl, natychmiast zapadła cisza. Powoli rozjarzyły się ukryte żarówki; gdzieś, z odległego krańca pieczary popłynęła muzyka. W miarę jak rozpraszał się mrok, oczom widzów ukazywało się wielkie jezioro. Po chwili zza stalagmitu wypłynęła gondola, oświetlona ukrytymi reflektorami. W łódce siedział muzyk, wygrywający melodyjną serenadę, która zwielokrotniona przez echo, niosła się po wodzie. Łódź powoli oddalała się w świetle kolorowych reflektorów, muzyka stopniowo cichła, aż wreszcie i gondola, i muzyk znikli w ciemności, a muzyka całkiem umilkła.

- Fantastyczne - powiedział Gunther. - Warto było tu przyjechać, choćby tylko po to, by obejrzeć to przedstawienie.

- Uwielbiam podróże - odrzekła Tracy. - Wiesz, Gunther, jakie miasto zawsze chciałam zobaczyć? Madryt.

Stojąc u wejścia do jaskini, Daniel Cooper zauważył wychodzącą Tracy Whitney. Była sama.

Hotel „Ritz” na Plaza de la Lealtad w Madrycie ma opinię najbardziej luksusowego w Hiszpanii, z tego też powodu przez ponad stulecie udzielał gościny monarchom z całej Europy. Gościli tam prezydenci, dyktatorzy i miliarderzy. Tracy słyszała o tym hotelu tyle wspaniałych historii, że gdy go po raz pierwszy zobaczyła – przeżyła rozczarowanie. Ściany holu były spłowiałe i wyglądały na zaniedbane...

Asystent kierownika zaprowadził ją do apartamentu, który wynajęła, 411-412, w południowym skrzydle budynku, od strony Calle Felipe V.

- Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona, panno Whitney.

Tracy podeszła do okna i spojrzała w dół. Poniżej, po drugiej stronie ulicy znajdowało się muzeum Prado. Zjadła lekki obiad w pokoju i dosyć wcześnie położyła się spać. Leżąc w zabytkowym łóżu, zauważyła, że spanie tutaj mogłoby być nowoczesną formą jakiejś średniowiecznej tortury.

O północy policjant czuwający w korytarzu został zluzowany przez swego kolegę.

- Nie opuszczała pokoju. Myślę, że do rana nigdzie nie wyjdzie.

Directi3n General de Seguridad, czyli kwatera g3wna hiszpańskiej policji, mieści się w Madrycie, przy Puerta del Sol i zajmuje całą przestrzeń między dwiema przecznicami. Jest to szary budynek, zwieńczony wysoką wieżą, na której szczycie widnieje zegar. Nad g3wnym wejściem powiewa czerwono-żółta hiszpańska flaga, a przy drzwiach wejściowych zawsze stoi policjant w beżowym mundurze i ciemnobrązowym berecie, uzbrojony w karabin automatyczny, potężną pałkę, pistolet i kajdanki. Właśnie za pośrednictwem kwatery g3wnej hiszpańska policja utrzymuje regularne kontakty z Interpolem.

Poprzedniego dnia telegram, opatrzony nag3ówkiem „XD-pilny” i zaadresowany do komendanta policji miejskiej, Santiago Ramiro, doręczono adresatowi. Telegram zawiadamiał o spodziewanym przybyciu do miasta niebezpiecznej przestępczyni - Tracy Whitney. Komendant dwukrotnie przeczytał ostatnie zdanie, po czym niezwłocznie zadzwonił do inspektora Andre Trignanta z Kwatery G3wnej Interpolu w Paryżu.

- Nie zrozumiałem ostatniej informacji - powiedział Ramiro. - Prosi pan o pełną współpracę mojego departamentu z Amerykaninem, który nawet nie jest policjantem? Niby dlaczego?

- Komendancie, sądzę, że pan Cooper może bardzo się panu przydać. On rozumie pannę Whitney.

- Co tu jest do rozumienia? - dziwił się komendant. - To zwykła kryminalistka. Może niezwykle sprytna, ale w hiszpańskich więzieniach nie brak sprytnych przestępców. Ta również nie wymknie się z naszej sieci.

- *Bon.* Ale będzie pan współpracował z panem Cooperem?

- Jeśli pan twierdzi, że może mi się przydać, to nie mam obiekcji - odparł z niechęcią komendant.

- *Merci, monsieur.*

- *De nada, señor.*

Komendant Ramiro, podobnie jak jego koledzy w Paryżu, nie darzył Amerykanów zbyt dużą sympatią. Uważał ich za nieokrzesanych, przyziemnych i naiwnych. „Ale ten - pomyślał - z pewnością będzie inny. Może go nawet polubię”.

Znienawidził Daniela Coopera od pierwszego spojrzenia.

- Ta kobieta przechytrzyła połowę europejskiej policji - oznajmił Cooper, gdy tylko wszedł do biura komendanta. - I panu prawdopodobnie przydarzy się to samo.

Komisarz ze wszystkich sił starał się nie stracić panowania nad sobą.

- Señor, nie potrzebujemy tu niczyich pouczeń. Señorita Whitney jest pod obserwacją od chwili, gdy wylądowała na lotnisku Barajas. Zapewniam pana, że gdy tylko podniesie szpilkę, upuszczoną przez kogoś na ulicy, nawet nie zdąży się obejrzeć, jak znajdzie się w więzieniu. Nie miała jeszcze do czynienia z hiszpańską policją.

- Nie przybyła tu po to, żeby zbierać szpilki z ulicy.

- A czy domyśla się pan, po co przybyła?

- Nie jestem pewny. Ale mogę pana zapewnić, że to będzie naprawdę duży skok.

- Im większy, tym lepszy - mruknął komendant Ramiro w zamyśleniu. - Będziemy obserwować każdy jej krok.

Następnego ranka Tracy z ulgą opuściła łożo zaprojektowane przez Tomasa de Torquemadę, obolała po całonocnych torturach, zadanych jej przez tego średniowiecznego inkwizytora, po czym zamówiła lekkie śniadanie z gorącą, czarną

kawą i podeszła do okna z widokiem na Prado. Muzeum było imponującą fortecą, zbudowaną z kamienia i czerwonych cegieł, otoczoną drzewami i zielenią. Fronton zdobiły dwie doryckie kolumny, do głównego wejścia prowadziły po obu stronach ciągi schodów. Tuż przed dziesiątą uczniowie i turyści ustawiali się przed wejściem w długiej kolejce czekając na otwarcie muzeum. Punktualnie o dziesiątej strażnicy otwierali oba skrzydła potężnych drzwi i zwiedzający wchodzili do środka przez nie oraz przez dwa boczne wejścia.

Gwałtowny dzwonek telefonu przeraził Tracy. Nikt oprócz Gunthera Hartoga nie wiedział o jej podróży do Madrytu. Podniosła słuchawkę.

- Halo?

- *Buenos dias, señorita.* - Głos wydał się jej znajomy. - Dzwonię ze Stołecznej Izby Handlowej w Madrycie. Polecono mi zrobić wszystko co w mojej mocy, aby zapewnić pani jak najprzyjemniejszy pobyt w naszym mieście.

- Skąd wiedziałeś, że jestem w Madrycie, Jeff?

- Señorita, Izba Handlowa wie wszystko. Czy jesteś tu po raz pierwszy?

- Tak.

- *Bueno!* W takim razie pokażę ci kilka miejsc wartych obejrzenia. Jak długo tu pozostaniesz, Tracy? - To było najważniejsze pytanie.

- Nie wiem jeszcze - odpowiedziała niedbale. - Mam zamiar trochę zwiedzać, porobić zakupy. A ciebie co tutaj sprowadza?

- To samo. - Jego głos brzmiał nie mniej swobodnie. - Zakupy i zwiedzanie.

Tracy nie uwierzyła w zbieg okoliczności. Jeff przybył tu w tym samym celu, co ona: aby ukraść „Puerto”.

- Czy dasz się namówić na wspólny obiad? - zapytał.

- Tak. - To było wyzwanie.

- Dobrze. Zarezerwuję stolik w „Jockeyu”.

Tracy nie miała złudzeń co do zamiarów Jeffa, ale gdy wychodząc z windy, zobaczyła go przy drzwiach wejściowych, nie potrafiła ukryć zadowolenia.

Jeff ujął ją za rękę. - *Fantastico, querida!* Wyglądasz cudownie.

Ubrana była bardzo elegancko. Miała na sobie jasnoniebieski kostium od Valentina z rosyjską sobolową etolą owiniętą wokół szyi i pumpy od Maud Frizon. W rękę trzymała marynarską torebkę ozdobioną błyszczącym inicjałem firmy Hermes: H.

Daniel Cooper, siedzący w kącie holu nad szklaneczką Perriera, obserwował to powitanie i czuł się w tej chwili niezwykle potężny. „Sprawiedliwość jest w moich rękach, rzekł Pan, a ja jestem mieczem sprawiedliwości, narzędziem Jego zemsty. Moje życie to nieustanna pokuta, ale ty pomożesz mi ją spełnić. Ukarzę cię więc”.

Cooper wiedział, że żadna policja na świecie nie jest w stanie pojmać Tracy Whitney. „Tylko ja mogę to zrobić - pomyślał. - Ona należy do mnie”.

Dla Daniela Coopera aresztowanie Tracy Whitney było czymś więcej niż obowiązkiem. Tracy stała się jego obsesją. Dokądkolwiek się udawał - zabierał ze sobą jej fotografie i akta jej sprawy, a w nocy, zanim zasnął - czytał je do poduszki. W Biarritz zjawił się niestety za późno, żeby ją złapać, uciekła mu także na Majorce, ale teraz, kiedy Interpol znowu wpadł na jej trop, postanowił nie zmarnować szansy.

Tracy nawiedzała go w snach. Stała zamknięta w ogromnej klatce, naga, błagając, by ją wypuścił. „Kocham cię - powiedział jej - ale nigdy cię nie wypuszczę”.

„Jockey” był małą, elegancką restauracją na Amador de los Rios.

- Jedzenie jest tu doskonale - zapewniał Jeff.

„Jacy my jesteśmy podobni do siebie” - myślała Tracy. Jeffa ożywiało to samo podniecenie, wewnętrzny niepokój, który i ją popychał do działania. Rozumieli to oboje: przecież rywalizowali ze sobą, grając o najwyższe stawki. „Ale Jeff musi przegrać - powtarzała Tracy. - Kiedy już obmyślę sposób, nikt nie odbierze mi tego obrazu”.

- Powoli stajemy się sławni - mówił Jeff. To ją zainteresowało.

- Sławni?

- Ściga nas policja całego świata. Czy słyszałaś kiedykolwiek o człowieku, który nazywa się Daniel Cooper? To urzędnik śledczy towarzystwa ubezpieczeniowego, bardzo bystry.

- Nie. A powinnam?

- Może. Uważaj na niego. Jest niebezpieczny. Nie chciałbym, żeby przytrafiło ci się coś złego.

- Nie martw się.

- Nie tak łatwo jest przestać, Tracy.

- Martwisz się o mnie? - Zaśmiała się - Dlaczego? Nakrył dłonią jej dłoń, mówiąc półgłosem:

- Nie jesteś dla mnie kimś obcym, Tracy. Byłoby bardzo nudno, gdybyś nie istniała.

„On mówi to tak przekonująco - pomyślała. - Gdybym nie znała go lepiej, może bym uwierzyła”.

- Zamówimy coś - powiedziała głośno. - Umieram z głodu. W ciągu następnych dni Jeff i Tracy zwiedzali Madryt. Ale nigdzie nie byli sami. Wszędzie towarzyszyło im dwóch ludzi komendanta Ramiro oraz dziwny Amerykanin. Ramiro pozwolił Cooperowi brać udział w śledzeniu Tracy po prostu dlatego, aby nie mieć go obok siebie. Amerykanin najwyraźniej był szalony - *loco* na punkcie swej koncepcji, że Tracy Whitney ma zamiar w nadprzyrodzony sposób ukraść coś wartościowego sprzed nosa policji. „*Qué ridiculo!*”

Tracy i Jeff jadali obiady w najślynniejszych restauracjach Madrytu: „Horcher”, „Principe de Viana” i „Casa Botin”. Jeff znał także inne miejsca nie odkryte jeszcze przez turystów, jak „Casa Paco”, „La Chuletta” i „El Lacón”, gdzie razem z Tracy zamawiał znakomite miejscowe potrawy: *cocido Madrileño i olla podrida*. Potem odwiedzali mały bar, gdzie delektowali się doskonałym *tapas*.

Daniel Cooper snuł się za nimi jak cień. Obserwując ich z bezpiecznej odległości, często zastanawiał się, jaką rolę w tym dramacie gra Jeff Stevens. Kim był? Kolejną ofiarą Tracy? A może jej współnikiem w przyszłym skoku...

Cooper rozmawiał z komendantem Ramiro.

- Jakie informacje ma pan o Jeffie Stevensie? - zapytał.

- *Nada*. Nie figuruje w żadnej kartotece przestępców, a tutaj przebywa jako turysta. Wydaje mi się, że po prostu go poderwała.

Przeczucie podpowiadało Cooperowi coś innego. Ale to nie Jeffa Stevensa ścigał. „Tracy - powtarzał - ciebie tylko chcę, Tracy”.

Pewnego wieczoru, gdy powrócili po długim, męczącym dniu do „Ritza”, Jeff odprowadził Tracy pod drzwi jej apartamentu.

- Może poczęstujesz mnie drinkiem na pożegnanie - zaproponował.

Niewiele brakowało, by Tracy się zgodziła. Lecz nachyliła się tylko i pocałowała go lekko w policzek. - Uważaj mnie za swoją siostrę, Jeff.

- Co sądzisz o kazirodztwie?

Niestety, zamknęła drzwi. W kilka minut później zadzwonił do niej ze swego pokoju.

- Może wybierzesz się jutro ze mną do Segovii? To piękne stare miasto, tylko kilka godzin jazdy samochodem od Madrytu.

- Oczywiście, że się wybiorę. I dziękuję za piękny wieczór - odpowiedziała Tracy. - Dobranoc, Jeff.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Opanowały ją ponure myśli. Czy miała jeszcze prawo do tego, o czym marzyła? Do normalnego życia? Ileż to czasu upłynęło, od chwili kiedy ostatni raz czuła się związana uczuciowo z jakimś mężczyzną? Związek z Charlesem pozostawił uraz na całe życie. Jeff Stevens był cudownym kompanem, ale czy może stać się czymś więcej? Jakie to łatwe - po prostu zakochać się. I jakie głupie...

Wszystko się wali.

Zabawna historia.

I jak tu zasnąć?

Wycieczka do Segovii przeszła jej najsmielsze oczekiwania. Jeff wynajął mały samochód, którym wyjechali z miasta w głąb pięknej krainy wina - Hiszpanii. W pewnej odległości za nimi jechał seat - niczym nie wyróżniający się samochód, który towarzyszył im przez całą drogę. Nie był to jednak zupełnie zwykły samochód.

Seat to jedyny samochód produkowany w Hiszpanii i z tego powodu jest on też urzędowym pojazdem hiszpańskiej policji. Model standardowy wyposażony jest w silnik o mocy zaledwie 100 KM, ale egzemplarze sprzedawane Policji Nacional i Guardia Civil mają silniki o mocy 150 KM. Daniel Cooper z policjantami nie obawiali się więc, że „turyści” im uciekną.

Tracy i Jeff przyjechali do Segovii w porze lunchu. Zjedli go w uroczej restauracyjce przy głównym placu miasta, w pobliżu ruin liczącego sobie dwa tysiące lat akweduktu, zbudowanego jeszcze przez Rzymian. Potem wędrowali po mieście, zwiedzając starą katedrę Santa Maria i renesansowy budynek Rady Miejskiej, wreszcie pojechali do Alcazar - starożytnej rzymskiej fortecy, położonej na szczycie skalistego wzgórza, wysoko ponad miastem. Roztaczał się stamtąd wspaniały widok.

- Gdybyśmy zostali tu dłużej, moglibyśmy zobaczyć w dole, na równinie, Don Kiszota i Sanczo Panse.

- Lubisz atakować wiatraki, prawda? - Wpatrywała się w niego.

- To zależy od kształtu tych wiatraków. Tracy odsunęła się od brzegu skały.

- Opowiedz mi coś więcej o tej Segovii. I tak się zaczęło.

Jeff był doskonałym przewodnikiem i świetnym znawcą historii archeologii i architektury. Słuchając go, trudno było uwierzyć, że był także oszustem. Tracy nie pamiętała piękniejszego dnia w swym życiu, przynajmniej w ciągu kilku ostatnich lat.

Jeden z hiszpańskich policjantów śledzących Tracy, José Pereira, mruknął do Coopera:

- Oni naprawdę kradną nam coś bezcennego: czas. To po prostu dwoje zakochanych, nie rozumie pan tego? Czy jest pan pewny, że ona planuje jakąś kradzież?

- Jestem pewny - warknął Cooper. Denerwowały go nawet własne reakcje. Wszystkie jego pragnienia i dążenia podporządkowane były jednemu celowi: przyłapać Tracy Whitney na popełnianiu przestępstwa i ukarać ją. Jego świętym obowiązkiem było pojmanie tej kryminalistki. Dławiący gniew ogarniał go za każdym razem, gdy widział ich bezpiecznych, trzymających się za ręce.

Gdy Tracy z Jeffem powrócili do Madrytu, Jeff powiedział:

- Jeśli nie jesteś jeszcze zmęczona, znam miejsce, gdzie można zjeść doskonały obiad.

- Cudownie! - Dla niej ten dzień mógłby trwać wiecznie. „Daruję go sobie, dziś będę zwyczajną kobietą” - postanowiła.

Madrileños - mieszkańcy Madrytu późno jadają posiłki: tylko nieliczne restauracje wydają obiady przed 21.00. Jeff wybrał „Zalacaín” - luksusowy lokal, gdzie potrawy były wyśmienite, a obsługa wzorowa. Wybrali się tam o 22.00. Tracy w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie tak wspaniałego obiadu. Mimo że nie zamawiała deseru, kelner podał niezwykle kruche ciasto, chyba najsmaczniejsze, jakie kiedykolwiek jadła. Po obiedzie długo nie wstawała od stolika, syta i zadowolona.

- To był doskonały obiad. Dziękuję.

- Cieszę się, że ci smakował. Zapamiętaj to miejsce. Można przyprowadzić tu kogoś, na kim człowiekowi naprawdę zależy.

- A tobie na mnie zależy, Jeff? - Tracy wpatrywała się w niego.

- Możesz być pewna. - Roześmiał się. - Poczekaj, to jeszcze nie koniec.

Później była niezbyt zachęcająca *bodega* - zadymiona kawiarnia, pełna ubranych w skórzane kurtki hiszpańskich robotników, pijących alkohol przy barze i przy tuzinie stolików obok baru. Na końcu sali było małe podwyższenie, rodzaj sceny -

tablado, gdzie dwóch mężczyzn grało na gitarach. Tracy i Jeff usiedli przy małym stoliku obok sceny.

- Co wiesz o *flamenco*? - zapytał Jeff głośno przekrzykując hałas.

- Tylko tyle, że jest to hiszpański taniec.

- Pierwotnie cygański. W eleganckich nocnych klubach Madrytu możesz zobaczyć jego namiastkę, ale tu zobaczysz prawdziwe *flamenco*.

Jeff mówił to z wielkim, trochę komicznym entuzjazmem. Tracy roześmiała się.

Za chwilę zobaczysz klasyczne *cuadro flamenco*, grupę śpiewaków, tancerzy i gitarzystów. Zaczynają razem, a potem występują oddzielnie.

Siedząc w kącie sali, przy kuchni, Daniel Cooper zastanawiał się, o czym rozmawiali z takim zapalem.

- Taniec jest bardzo skomplikowany i wymaga wielkiej harmonii. Muszą przy nim współdziałać wszystkie elementy: ruchy tancerzy, muzyka, kostiumy, rytm...

- Skąd wiesz to wszystko?

- Znałem kiedyś pewną tancerkę flamenco. Nic dziwnego” - pomyślała Tracy.

Zaraz potem światła przygasły nieco, a małą scenę oświetliły reflektory. To był początek. Najpierw kilkoro muzyków i tancerzy niby przypadkiem weszło na podwyższenie. Kobiety w kolorowych spódnicach i bluzkach, z włosami zaczesanymi wysoko, po andaluzyjsku, ozdobionymi kwiatami. Mężczyźni w tradycyjnych obcisłych spodniach i bluzach mieli na nogach błyszczące kordobańskie buty ze skóry. Jeden z nich zagrał jakąś melodię, potem przyłączyli się pozostali. Ze sceny popłynęła smutna, tęskna muzyka, w takt której jedna z siedzących kobiet zaśpiewała po hiszpańsku:

Yo queria dejar

A mi amante,

Pero antes de que pudiera,

Hacerlo elle me abandonó

Y destrozó mi corazón.

- Czy rozumiesz, o czym ona śpiewa? - spytała Tracy szeptem.

- Tak. „Chciałam porzucić mego kochanka, ale zanim to zrobiłam, on porzucił mnie i złamał moje serce”.

Tancerka pojawiła się na środku sceny. Zaczęła od prostego *zapateado*, czegoś w rodzaju uwertury, tańczonej z przytupywaniem, stopniowo, jakby od niechcienia, przyspieszając tempo. Muzyka gitar, to szybka, to powolniejsza, wypełniała jej ciało pulsującym rytmem, na początku powolnym, potem coraz gwałtowniejszym, bardziej zmysłowym. Coraz szybszy, jednostajny rytm nadawał widowisku wprost nieprawdopodobną ekspresję. Muzyka dyktowała kolejne kroki tańca: *allegria*, *fondanguillo*, *zambra*, *seguiriya*, a publiczność podsycala zapał tancerzy okrzykami.

Krzyki: „*Olé tu madre!*”, „*Olé tus santos!*” i „*Anda! Anda!*”, tradycyjne *jaleos* i *piropos*, sowa potęgująca jeszcze zmysłowość tańca, wprawiały ciała tancerzy w narkotyczny trans.

Nagle muzyka i taniec urwały się w jednej sekundzie i w sali zapanowała cisza. Potem rozległy się okrzyki aplauzu. - Cudowne! - wykrzyknęła Tracy.

- To dopiero początek - odpowiedział jej Jeff. Inna tancerka, o typowo kastylijskiej urodzie, pojawiła się na środku sceny. Wydawała się pogrążona we własnych myślach, nieobecna. Gitarzyści rozpoczęli grę - ciche, płaczące *bolero*, *canto* rodem ze wschodu. Do kobiety zbliżył się tancerz i jednocześnie odezwały się szczęśliwe uderzenia kastanietów.

Siedzący tancerze rozpoczęli *jaleo* i ich rytmiczne klaskanie, nieodłączny element flamenco, uzupełniło muzykę i taniec podkreślając rytm, od którego teraz cała sala zdawała się drzeć, pulsować echem *zapateado*, hipnotycznego taktu, wybijanego czubkiem buta piętą i podeszwą.

Ciała tancerzy zbliżały się i oddalały od siebie w szalonym transie, aż wreszcie jak gdyby zapłonęły w ekstazie bezwstydną, zwierzęcą namiętności, która ogarniała po chwili rozpaloną widownię. Gdy reflektory na moment zgasły, a potem zapaliły się znowu, ludzie tupali i szaleli. Krzyczała również Tracy. Czowała seksualne podniecenie i bała się spojrzeć w oczy Jeffowi. Atmosfera wokół nich pulsowała. Tracy spoglądała na stół, na silne, opalone ręce Jeffa i wydawało się jej, że ręce te przesuwają się wzdłuż jej ciała, powoli, coraz szybciej, gwałtowniej, aż w końcu ukryła dłonie, aby nie dostrzegł ich drżenia.

W drodze powrotnej prawie ze sobą nie rozmawiali. Dopiero przy drzwiach swojego pokoju Tracy spojrzała na Jeffa i powiedziała:

- To było naprawdę...

Ich usta zetknęły się. Ramiona Jeffa obejmowały ją, a ona sama, bezwolnie, tuliła się do niego kurczowo.

- Tracy...?

Otworzyła oczy, aby powiedzieć *tak*. Opanowała się z największym trudem.

- Tyle wrażeń jednego dnia, Jeff... Trzeba iść spać.

- Och...

- Jutro nie namówisz mnie na żadne wycieczki. Zostanę w pokoju i prześlę cały dzień.

Jego głos był chłodny i opanowany.

- Niezły pomysł. Ja chyba zrobię to samo. Żadne z nich nie uwierzyło drugiemu.

Następnego dnia o dziesiątej długa kolejka jak co dzień ustawiła się przed drzwiami muzeum Prado. Gdy wreszcie się otwarły, Tracy ujrzała wewnątrz drugie drzwi, obrotowe, przez które zwiedzający przechodzili pojedynczo pod czujnym okiem strażnika. Kupiła bilet i wmieszała się w tłum, powoli zbliżający się do dużej okrągłej sali. Daniel Cooper z policjantem Pereirą obserwowali ją z dużej odległości. Cooper był podniecony; domyślał się, że Tracy nie przyszła tu jako zwykła turystka. Jeśli naprawdę miała jakieś plany, to właśnie teraz wprowadzała je w czyn.

Tracy powoli spacerowała po salach obwieszonych mistrzowskimi dziełami Rubensa, Tycjana, Tintoretta, Boscha i Domenikosa Theotokopoulosa, który sławę zyskał jako El Greco. Płótna Goi eksponowano na parterze, w osobnej galerii.

Wchodząc do każdej z sal, mijała umundurowanego strażnika, a obok niego, na wysokości łokcia wystający ze ściany czerwony guzik alarmu. Kiedy sygnał zostaje włączony, wszystkie wejścia i wyjścia z muzeum zamykają się automatycznie, uniemożliwiając rabusiowi ucieczkę.

Usiadła na małej ławeczce pośrodku sali Muz, wśród arcydzieł mistrzów flamandzkich z XVIII wieku. Spojrzała na podłogę. Po obu stronach drzwi dostrzegła niewielkie okrągłe klapki. Stąd prawdopodobnie wychodzą wiązki podczerwonych promieni, które teraz są wyłączone. W innych muzeach, które zwiedzała, strażnicy byli znudzeni i senni, nie zwracali uwagi na potok hałaśliwych turystów, wolno spacerujących po salach. Tu wszystko było inaczej. Na całym świecie giną bezpowrotnie setki dzieł sztuki, wykradane przez fanatyków lub niszczone przez wandalów, ale Prado nie dawało im szans.

W dwunastu innych salach artyści porozstawiali sztalugi i pracownicy kopiowali dzieła mistrzów. Władze muzeum pozwalały na to, ale Tracy zauważyła, że strażnicy bacznie obserwowali nawet ich.

Obejrzawszy górne piętro, zeszła na parter, gdzie wystawiono obrazy Goi.

- Widzi pan? - Detektyw Pereira pochylił się do Coopera. - Ona po prostu ogląda obrazy. Przecież...

- Pan się myli. - Cooper zbiegł ze schodów na parter. Parter wydał się strzeżony jeszcze troskliwiej niż piętro. Było to zrozumiałe. Obrazy, które tu wystawiono, nie miały ceny. Tracy wędrowała od płótna do płótna, oszołomiona geniuszem ich twórcy. „Autoportret” Goi, upodabniający go do podstarzałego greckiego bożka Pana...

Niezwykle barwny portret „Rodzina Karola IV”... „Maja ubrana” i jeszcze sławniejsza „Maja naga”.

Trochę dalej, obok „Sabatu czarownic”, wisiało „Puerto”. Tracy przystanąła z bijącym sercem, wpatrując się w obraz. Na pierwszym planie dwanaścioro pięknie ubranych mężczyzn i kobiet stało przed kamiennym murem, w oddali przez lekką, przezroczystą mgłę roztaczał się widok na port i kilka rybackich łódek, na tle odległej latarni morskiej. W lewym dolnym rogu widniała sygnatura Goi.

To był jej cel. „Wart pół miliona dolarów”.

Tracy rozejrzała się. Przy wejściu do sali stał strażnik. Za nim w długim korytarzu, prowadzącym do innych sal, stali następni. Przyszło jej do głowy, że za dużo czasu spędziła przy „Puerto i mogło to zwrócić czyjąś uwagę. Oddalając się spostrzegła grupę turystów, schodzących z górnego piętra. Był wśród nich Jeff Stevens. Tracy odwróciła się szybko i zanim zdążył ją zauważyć, zniknęła w bocznych drzwiach.

„To będzie wielki wyścig, panie Stevens, ale ja go wygram”.

- Ona zamierza ukraść jeden z obrazów w Prado. Komendant Ramiro spojrział na Daniela Coopera z niedowierzaniem.

- *Cagajón!* Nikt nie zdoła ukraść obrazu z Prado.

- Spędziła tam cały ranek. - Cooper nie dawał się przekonać.

- W Prado nie było jeszcze kradzieży. I nie będzie. Wie pan dlaczego? Bo jest to po prostu niemożliwe.

- Ona nie zrobi tego w zwykły sposób, zapewniam pana. Należy natychmiast zabezpieczyć otwory wentylacyjne na wypadek gazowego ataku. Jeśli strażnicy piją kawę w czasie pracy, należy dowiedzieć się, skąd ją przynoszą i czy można dodać do niej środek nasenny. Trzeba także sprawdzić wodę pitą...

Tego już było dla komendanta Ramiro za wiele. Dotąd znosił jakoś obecność opryskliwego Amerykanina, który przez cały tydzień zmusza jego ludzi do śledzenia jakiejś turystki. Teraz jednak siedząc naprzeciw tego *pito*, pouczającego go jak ma rządzić *swoim* własnym departamentem policji, postanowił z tym skończyć.

- Moim zdaniem ta dama spędza w Madrycie wakacje. Dlatego postanowiłem przerwać jej inwigilację.

- Nie! Pan nie może tego zrobić. - Cooper był wstrząśnięty - Tracy Whitney to...

- Komendant Ramiro powoli wstał.

- Proszę łaskawie powstrzymać się od pouczania mnie, co powinienem zrobić, señor. A teraz jeśli pan pozwoli, czekają na mnie obowiązki.

Cooper nawet nie drgnął. Był załamany i zniechęcony.

- W takim razie sam poprowadzę tę akcję.

- I uratuje pan Prado przed strasznym niebezpieczeństwem. - Komendant roześmiał się. - Oczywiście, señor Cooper, nareszcie mogę spać spokojnie.

„Szanse powodzenia są znikome - mówił Gunther Hartog. - To robota dla geniusza”.

„Są dużo mniejsze niż znikome” - myślała Tracy.

Stojąc w oknie swego pokoju, wpatrywała się w małe, oszklone okienka na dachu muzeum. Rano jeszcze przypomniała sobie wszystkie fakty: muzeum otwierano o 10.00, a zamykano o 18.00, w czasie zwiedzania czujniki były wyłączone, za to strażnicy czuwali w każdej sali i przy każdym wejściu.

„Nawet, gdyby udało mi się zdjąć obraz ze ściany - rozważała Tracy - to wyniesienie go na zewnątrz jest niemożliwe”. Strażnicy kontrolują przy wyjściu wszystkie większe bagaże.

Przyglądając się dachowi muzeum, rozważała możliwość nocnego ataku od tej strony. Było to ryzykowne, przede wszystkim z powodu zbyt dobrej widoczności. Wiedziała, że w nocy dach oświetlony był reflektorami i widoczny z dużej odległości. A gdyby nawet udało się jej niepostrzeżenie wejść do środka, w salach były jeszcze detektory podczerwieni i nocni strażnicy.

Prado wydawało się niepokonane.

A co planował Jeff? Tracy mogłaby przysiąc, że przyjechał tu w tym samym celu, co ona: aby ukraść „Puerto”. „Dobrze byłoby wiedzieć, co też on wymyślił”. Jednego była pewna: nie da się uprzedzić. Musi znaleźć sposób, zanim Jeff zrealizuje swój plan.

Następnego dnia znowu była w Prado. Nic się tam nie zmieniło, oprócz twarzy mijających ją ludzi. Tracy przyglądała im się, szukając Jeffa, ale tym razem nie pojawił się.

„On już na pewno wie, w jaki sposób można to zrobić. Stary łajdak; wszystkie jego zabiegi i nadszkakiwanie miały tylko odwrócić moją uwagę. Za wszelką cenę chce mnie uprzedzić”.

Stłumiła gniew i spróbowała myśleć logicznie.

Jeszcze raz podeszła do „Puerto”. Popatrzyła na sąsiednie obrazy, strażników, artystów siedzących na stołkach przed sztalugami, ludzi spacerujących po salach. W pewnej chwili jej serce zabiło mocniej.

„Już wiem, jak należy się do tego zabrać”.

Weszła do budki telefonicznej na Gran Via. Daniel Cooper, obserwujący ją z okna pobliskiego sklepu, z radością oddałby swoją roczną pensję, żeby tylko dowiedzieć się do kogo dzwoniła. Była to na pewno rozmowa międzynarodowa, na koszt jej rozmówcy, co uniemożliwiało podsłuch. Zauważył jej nową jasnozieloną lnianą sukienkę i gołe nogi. „Specjalnie, żeby mężczyźni mogli się im przyglądać - myślał. - Dziwka!”

Owładnął nim gniew.

Tracy kończyła rozmowę.

- Tylko musi się bardzo spieszyć, Gunther. Wszystko to nie powinno zająć mu więcej niż dwie minuty. Jeśli nie zdąży, to przegramy.

Akta nr Y - 72 - 830 - 412

POUFNE

DO: J.J. Reynoldsa

OD: Daniela Coopera

DOTYCZY: Tracy Whitney

Podjezana przebywa obecnie w Madrycie, gdzie przygotowuje swoje największe kryminalne przedsięwzięcie. Przypuszczalnym miejscem akcji będzie Muzeum Prado. Hiszpańska policja odmawia współpracy, jednakże pilnują jej osobiście, pozostając w pełnej gotowości do aresztowania w chwili popełniania przestępstwa.

W dwa dni później, o dziewiątej rano, Tracy siedziała, karmiąc gołębie, na ławce w ogrodach Retiro, pięknego parku w centrum Madrytu. Retiro, ze swym malowniczym jeziorem, starymi drzewami i starannie utrzymaną zielenią, zawsze przyciągał mieszkańców stolicy. Dodatkową atrakcją były małe teatrzyki dla dzieci, w których bez przerwy odbywały się przedstawienia.

Cesar Porretta, siwowłosy, lekko garbaty mężczyzna w podeszłym wieku, zbliżył się do jej ławki. Usiadł obok Tracy, otworzył papierową torbę i rzucił ptakom kilka okruchów chleba.

- *Buenos dias, señorita.*

- *Buenos dias. Czy były jakieś kłopoty?*

- Nie, señorita. Proszę mi tylko powiedzieć gdzie i kiedy.
- Jeszcze nie wiem - odparła. - Ale już niedługo.

Podczas gdy Tracy rozmawiała z Cesarem Porrettą, Daniel Cooper przeprowadzał rewizję w jej apartamencie. Gdy wychodziła z hotelu, obserwował ją siedząc w holu. Skoro nie prosiła o posprzątanie w swoim apartamencie, nie oddała niczego do prania, to - wnioskował Cooper - prawdopodobnie wybierała się na śniadanie. Przeszukanie nie zajmie mu więcej niż pół godziny. Otworzenie zamka w drzwiach to dziecinna operacja - trzeba się tylko rozejrzeć uważnie, aby nie zostać przyłapanym przez pokojówkę, i użyć prostego wytrycha. Wiedział, czego szuka: kopii obrazu, który zamierzała ukraść. Nie domyślał się, w jaki sposób Tracy chciała zamienić obrazy, ale samo istnienie kopii uważał za pewnik.

Przeszukiwał jej apartament z energią i fachowością doświadczonego policjanta, nie robiąc niepotrzebnego hałasu i o niczym nie zapominając. Na ostatek zostawił sobie sypialnię. Zaczął od szafy z ubraniami: przejrzał suknie Tracy, ale nie znalazł wśród nich nic podejrzanego. Potem przetrząsnął toaletkę. Pootwierał wszystkie szuflady. Była w nich bielizna, biustonosze, rajstopy... Gdy zauważył parę różowych majteczek, zbliżył je do nosa i powąchał. Jej naga postać stanęła mu przed oczami. Czuł zapach Tracy, którym przesiąknięty był każdy zakamarek pomieszczenia. Schował majteczki na swoje miejsce i szybko zapoznał się z zawartością pozostałych szuflad. Nie znalazł obrazu.

Potem przeszedł do łazienki. W wannie pozostała resztką wody z ostatniej kąpieli. Jej ciało unosiło się w tej wodzie, nagie i ciepłe. Cooper wyobraził sobie wodę, obmywającą jej piersi i biodra... Poczul erekcję. Zerwał z wieszaka wilgotny jeszcze flanelowy ręcznik i przyłożył go do ust. Oszałamiający zapach jej ciała wypełniał mu nozdrza, gdy spiesząc się, otwierał zamek błyskawiczny rozporka. Suchym kawałkiem mydła potarł flanelę i onanizował się, przyglądając się w lustrze własnemu, zarumienionemu obliczu.

W chwilę później wyszedł z apartamentu. Udał się prosto do pobliskiego kościoła.

Następnego dnia śledził ją, gdy wychodziła z hotelu. Czuł, że wytworzyła się między nimi jakaś niedostrzegalna więź. Znał już jej zapach, oglądał jej nagie ciało pogrążone w ciepłej, przezroczystej wodzie. Była jego wyłączną własnością, tylko on

miał prawo ją pokonać. Chodził za nią po Gran Via, gdzie przyglądała się towarom w witrynach sklepów, razem z nią wszedł do dużego supermarketu. Zamieniła kilka słów ze sprzedawcą, a potem weszła do toalety. Cooper, zrozpaczony, pozostał pod drzwiami. Tam już nie mógł jej towarzyszyć.

Gdyby jednak drzwi toalety uchyliły się, ujrzałby Tracy rozmawiającą z bardzo tęgą kobietą w średnim wieku.

- *Mariana* - powiedziała do niej, szminkując się przed lustrem. - Jutro rano o jedenastej.

Kobieta pokręciła głową.

- Nie, señorita. On się na to nie zgodzi. To nieodpowiedni dzień. Jutro przyleci do Madrytu z oficjalną wizytą księżę Luksemburga, a w gazetach podano, że odwiedzi także Prado. Będą dodatkowe straże i policjanci we wszystkich salach.

- Im więcej ich będzie, tym lepiej. Jutro. - Odwróciła się do wyjścia.

- *La cucha ec loca...* - mruknęła kobieta, gdy Tracy wychodziła z toalety.

Wizyta księcia w Prado zaplanowana była punktualnie na 11.00. Znacznie wcześniej funkcjonariusze Guardia Civil przeciągnęli sznurowe bariery wzdłuż krawężników ulic otaczających muzeum, aby postronni widzowie nie znaleźli się zbyt blisko księcia. Ponieważ ceremonia powitalna w pałacu prezydenckim przedłużyła się, księcia spodziewano się w muzeum o godzinę później niż planowano, czyli około południa. Tuż przed południem ulica rozbrzmiała dźwiękiem syren policyjnych wozów. Zaraz potem zza zakrętu wyjechało kilka motocykli eskortujących sześć czarnych limuzyn. Konwój zatrzymał się przed schodami prowadzącymi do głównego wejścia.

Przy wejściu dyrektor placówki, Christian Machada, oczekiwał trochę zdenerwowany na pojawienie się Jego Księżęcej Mości.

Kilka godzin temu dyrektor Machada przeprowadził gruntowną inspekcję, osobiście nadzorując ostatnie prace porządkowe i przestrzegając strażę, aby tego dnia ze szczególną czujnością wykonywały swoje obowiązki. Muzeum było dumą dyrektora, który postanowił olśnić nim dostojnego gościa.

„Jeszcze nikomu nie zaszkodziło posiadanie wysoko postawionych przyjaciół - myślał Machada. - *Quién sabe?* Może Jego Wysokość zechce nawet zaprosić mnie na uroczysty obiad w pałacu prezydenckim?”

Jedynym zmartwieniem Christiana Machady byli turyści. Niestety, nie mógł zabronić zwiedzania muzeum w czasie wizyty księcia. Był jednak przekonany, że jego osobista ochrona oraz straż potrafią zapewnić mu bezpieczeństwo.

Wszystko było przygotowane na powitanie Jego Księżęcej Mości.

Najpierw cały orszak wszedł po schodach na górne piętro. Dyrektor powitał księcia bardzo uroczyście i poprowadził gościa przez rotundę, do galerii szesnastowiecznego malarstwa hiszpańskiego. Wystawiono tam dzieła rodzimych twórców, jak Juan de Juanes, Pedro Machuca, Fernando Yáñez.

Księżę szedł powoli, rozkoszując się widokiem wspaniałych płócien. Był powszechnie znany jako wielki miłośnik sztuk pięknych. Uwielbiał wręcz malarzy za to, że ożywiali przeszłość i unieśmiertelniali ją. Będąc sam pozbawiony zdolności malarskich, z zazdrością spoglądał na artystów, stojących przed sztalugami.

Gdy zwiedzono już pierwsze piętro muzeum, Christian Machada oznajmił z dumą:

- A teraz, jeśli wasza Księżęca Miłość pozwoli, zejdziemy na parter, do galerii malarstwa Francisco Goi.

Dla Tracy był to wyjątkowo nerwowy poranek. O 11.00, gdy księżę wciąż nie nadjeżdżał, wpadła w panikę. Wszystko było przygotowane, akcja zaplanowana co do sekundy, ale aby się powiodła, księżę musiał koniecznie znaleźć się w Prado.

Spacerowała po salach muzeum, wśród tłumu zwiedzających, starając się nie zwrócić niczyjej uwagi. „Nie przyjedzie - pomyślała w końcu. - Trzeba wszystko odwołać”. Ale właśnie w tej chwili od strony ulicy dobiegł ją dźwięk syren wozów policyjnych.

Daniel Cooper obserwujący Tracy z dogodnego miejsca w sąsiedniej sali, również usłyszał syreny. Rozsądek mówił mu, że dokonanie w takiej chwili kradzieży było niemożliwością, ale instynkt podszeptował coś wręcz przeciwnego. Cooper wierzył swemu instynktowi. Przybliżył się do Tracy ukryty w tłumie. Zamierzał obserwować każdy jej krok.

Tracy nie weszła do sali, w której wystawiono „Puerto”. Przez otwarte drzwi obserwowała garbusa, Cesara Porrette, siedzącego przy sztalugach i kopiującego „Mają ubraną” Goi, wiszącą obok „Puerto”. Tuż przy nim stał strażnik. Z tyłu, za Tracy, malarka kopiowała „Mleczarkę z Bordeaux”, starając się wiernie odtworzyć cudowne brązowe i zielone plamy z obrazu Goi.

Przez salę przeszła grupa japońskich turystów, rozmawiających z podnieceniem w swoim języku. Brzmiało to jak szczebiotanie egzotycznych ptaków. „Teraz!” - przemknęło jej przez głowę. Właśnie na ten moment czekała. Serce waliło jej tak mocno, że obawiała się, by nie usłyszał go strażnik. Zeszła z drogi Japończykom, cofając się w kierunku malarki kopiującej „Mleczarkę z Bordeaux”. Gdy mijął ją jeden z Japończyków, Tracy upadła na wznak, jakby popchnięta, przewracając malarzkę, razem ze sztalugami, płótnem i farbami na posadzkę muzeum.

- Och, przepraszam bardzo! - wykrzyknęła. - Pomogę pani.

Podeszła do zaskoczonej artystki, stąpając po lepkiej farbie i rozmazując ją po całej podłodze. Zainteresowany Daniel Cooper wyszedł z ukrycia, nie chcąc przegapić najdrobniejszego szczegółu sceny. Teraz już wiedział: Tracy Whitney zrobiła pierwszy ruch.

Podszedł do niej strażnik wykrzykując: - *Qué pasa? Qué pasa?*

Wypadek zwrócił uwagę turystów, którzy tłoczyli się wokół leżącej kobiety, powiększając zamieszanie i rozmazując farbę z rozdeptanych tubek. Na drewnianej podłodze powstawały groteskowe wzory. Narastało wielkie zamieszanie i to na chwilę przed wkroczeniem do sali księcia. Strażnika ogarnęła panika.

- *Sergio! - Ven acá! Pronto!* - krzyknął.

Tracy patrzyła, jak strażnik z sąsiedniej sali biegł na pomoc swemu koledze. W sali, gdzie wisiało „Puerto”, został tylko Cesar Porretta.

Rozgardiasz wokół Tracy wzmagął się. Dwaj strażnicy na próżno przekonywali turystów, aby przestali wreszcie rozdeptywać farbę.

- Sprowadź dyrektora! - krzyknął Sergio. - *En seguida!* Jeszcze jeden strażnik zbiegł ze schodów.

- *Que birria!* Co za bałagan!

W dwie minuty później w sali pojawił się Christian Machada. Dyrektor obrzucił przerażonym spojrzeniem całą scenę i krzyknął.

- Natychmiast sprowadzić sprzątaczkę! Niech przyniosą ścierki i terpentynę!
Pronto!

Jego młody asystent popędził szukać sprzątaczek. Machada zwrócił się do Sergia.

- Niech pan wraca na posterunek! - warknął.

- Tak, panie dyrektorze.

Strażnik przeciskał się przez tłum do sali, w której pracował Cesar Porretta.

Cooper nie stracił Tracy z oczu nawet na sekundę. Czekał na jej następny ruch. Ale następnego ruchu nie było. Nie zbliżyła się do żadnego z obrazów, z nikim nie rozmawiała. Wszystkie jej działania ograniczyły się do przewrócenia sztalug i rozlania na podłodze farb, jednak z całą pewnością zrobiła to rozmyślnie. W jakim celu? Wreszcie instynkt podpowiedział Cooperowi, że to co zaplanowała już się stało. Rozejrzał się po sali. Nie brakowało żadnego obrazu.

Cooper wpadł do sąsiedniego pomieszczenia. Stał tam strażnik i garbaty malarz, kopiujący „Mają ubraną”. Tu również nie brakowało żadnego płótna. Ale instynkt podpowiedział Cooperowi, że coś musiało się zdarzyć.

Zatrzymał zdenerwowanego dyrektora, z którym już kiedyś rozmawiał.

- Mam powody przypuszczać - powiedział - że w ciągu kilku ostatnich minut dokonano tutaj kradzieży.

Christian Machada spojrzał na przerażonego Amerykanina.

- O czym pan mówi? Gdyby tak się stało, strażnicy uruchomiliby alarm.

- Przypuszczam, że w jakiś sposób podstawiono fałszywy obraz w miejsce oryginału.

- Pewien drobny szczegół nie pasuje do pańskiej teorii, señor. - Dyrektor uśmiechnął się pobłaźliwie. - Nasi goście nie mają o tym pojęcia, ale za obrazami umieszczone są specjalne sensory. Gdyby ktokolwiek spróbował odsunąć obraz od ściany, co musiałby zrobić, podstawiając kopię, alarm włączyłby się natychmiast.

- Czy ten alarm można wyłączyć? - Daniel Cooper wciąż nie dawał się przekonać.

- Nie. Jeśli ktoś przetnie kabel zasilający, to także wywoła alarm. Señor, nawet najsprytniejszy złodziej nie zdoła ukraść stąd obrazu. Nasz system zabezpieczeń jest absolutnie doskonały.

Cooper stał w miejscu zamyślony. Wszystko, co powiedział dyrektor, wydawało się przekonujące. Kradzież naprawdę była niemożliwa. Ale w takim razie dlaczego Tracy Whitney rozmyślnie wywołała całe to zamieszanie? Postanowił więc nie rezygnować.

- Może jestem przewrażliwiony, ale czy mógłby pan polecić swemu personelowi, by sprawdził wszystkie obrazy w muzeum? Potem mógłby pan zawiadomić mnie o wynikach tej inspekcji. Będę czekał w hotelu.

To było wszystko, co mógł zrobić Daniel Cooper. Wieczorem o 19.00 Christian Machada zatelefonował do detektywa.

- Osobiście przeprowadziłem inspekcję, señor. Wszystkie obrazy są na swoim miejscu. Niczego nie brakuje.

Teraz wszystko było jasne. Upadek Tracy musiał być przypadkowy. Zwierzyna znowu wymknęła się Cooperowi z sideł.

Jeff zaprosił Tracy na obiad do reprezentacyjnej jadalni hotelu „Ritz”.

- Wyglądasz dziś olśniewająco - oświadczył pochlebnie.

- Dziękuję. Czuję się rzeczywiście wspaniale.

- To zasługa właściwego towarzystwa. Wybierz się ze mną do Barcelony w przyszłym tygodniu. To fascynujące miasto. Spodoba ci się.

- Przykro mi, Jeff. Wyjeżdżam z Hiszpanii.

- Naprawdę? - w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie. - Kiedy?

- Za kilka dni.

- Och! Sprawiasz mi wielki zawód!

„Zawiedziesz się jeszcze bardziej - pomyślała Tracy - gdy dowiesz się, że ukradłam „Puerto”. Zastanawiała się, w jaki sposób on sam zamierzał ukraść obraz. Chociaż właściwie w tej chwili nie miało to znaczenia. Przechytrzyła sprytnego pana Stevensa. Ale jednak w głębi duszy była rozczarowana.

Christian Machada siedział w swym biurze i z zadowoleniem popijał z filiżanki mocną czarną kawę, gratulując sobie w myślach dobrego wrażenia, jakie zrobił na księciu. Wszystko odbyło się ściśle według planu, może oprócz tego nieprzyjemnego incydentu z rozlaną farbą. Na szczęście księcia i jego orszak udało się zatrzymać dłużej w innej części muzeum. Dyrektor uśmiechnął się na wspomnienie szalonego Amerykanina, który z uporem maniaka przekonywał go, że w Prado dokonano kradzieży. „Taka rzecz nigdy się nie zdarzyła i nie może zdarzyć” - pomyślał z zadowoleniem.

Do biura weszła sekretarka.

- Przepraszam, dyrektorze. Pewien dżentelmen chciałby się z panem zobaczyć. Prosił, aby to panu przekazać.

Wręczyła dyrektorowi list. Na kopercie widniało godło Kunsthaus Museum w Zurychu.

Szanowny Kolego!

Ośmielam się polecić pańskiej życzliwej opiece monsieur Henri Rendella, naszego rzeczoznawcę w dziedzinie malarstwa. Monsieur Rendell odbywa podróż po muzeach świata i ogromnie pragnie obejrzyć pańską niezwykłą kolekcję. Byłbym zobowiązany, gdyby zechciał Pan udostępnić mu swoje zbiory.

List podpisany był przez kustosza Kunsthaus Museum. „Wcześniej czy później - pomyślał zadowolony dyrektor - wszyscy do mnie trafiają”. - Proszę go wprowadzić. Henri Rendell był wysokim, poważnie wyglądającym dżentelmenem o rzednących włosach. Mówił z silnym obcym akcentem. Machada zauważył, że brakuje mu palca wskazującego przy prawej dłoni.

- Ogromnie cieszę się z tej wizyty. Jestem w Madrycie pierwszy raz i bardzo pragnę obejrzyć pańskie arcydzieła - rozpoczął rozmowę Henri Rendell.

- Nie rozczaruje się pan, monsieur Rendell - zauważył skromnie Christian Machada. - Pozwoli pan za mną. Oprowadzę pana osobiście.

Powoli obeszli wokół rotundę z płótnami flamandzkich mistrzów oraz Rubensa i jego uczniów, następnie zwiedzili centralną galerię, gdzie wystawiono dzieła malarzy hiszpańskich. Henri Rendell uważnie przyglądał się każdemu obrazowi. Obaj mężczyźni rozmawiali ze sobą językiem ekspertów, robiąc uwagi na temat stylu i światłocienia w obrazach słynnych artystów oraz ich wyczucia kolorów.

- A teraz - powiedział dyrektor - obejrzymy chlubę Hiszpanii. - Sprowadził gościa ze schodów, do galerii obrazów Goi.

- To prawdziwa rozkosz dla oczu! - wykrzyknął rozentuzjasmowany Rendell. - Trudno oderwać wzrok od tych obrazów.

Christian Machada nie przeszkadzał mu.

- Nieczęsto zdarza się oglądać malarstwo tak wspaniałe - przyznał Rendell. Powoli przechodzi od jednego obrazu do drugiego, przyglądając im się uważnie. - „Sabat czarownic”! - wykrzyknął Rendell. - Doskonały! - Zbliżyli się do następnego obrazu. - „Autoportret” Goi! Fantastyczny!

Christian Machada promieniał. Rendell przystanął przed „Puerto”.

- Bardzo udana kopia. - Ruszył w kierunku następnego obrazu. Dyrektor chwycił go za ramię.

- Co takiego? Co pan powiedział, señor?

- Powiedziałem, że to bardzo udana kopia.

- Jest pan w błędzie. - W głosie Machady zabrzmiało oburzenie.

- Nie sędzę.

- Z całą pewnością, myli się pan - stwierdził Machada z uporem. - Zapewniam pana, że jest to autentyczny obraz. Mam na to dokumenty.

Henri Rendell podszedł do obrazu i jeszcze raz przyjrzał mu się uważnie.

- W takim razie te dokumenty także są fałszywe. Tę kopię wykonał uczeń Goi, Eugenio Lucas y Padilla. Jak pan zapewne wie, skopiował on setki obrazów swego mistrza.

- Naturalnie, słyszałem o nim - odparł Machada gniewnie - ale ten obraz jest dziełem Goi.

- Chylę czoło przed pańskim sądem. - Rendell chrząknął. Odszedł kilka kroków.

- Byłem obecny przy zakupie tego obrazu. Przeszedł badania spektrograficzne, badanie pigmentu...

- Nie wątpię w to. Lucas malował w tym samym okresie co Goya i używa tych samych barwników. - Henri Rendell pochylił się, aby zbadać podpis u dołu obrazu. - Jeśli pan sobie życzy, można w bardzo prosty sposób sprawdzić jego autentyczność. Wystarczy zabrać obraz do pracowni konserwatorskiej i zbadać podpis. - Zachichotał, rozbawiony. - Ambicja Lucasa kazała mu podpisywać własne obrazy, ale względy finansowe skłaniały go do fałszowania podpisu Goi na własnym podpisie, co ogromnie zwiększało ich cenę. - Rendell spojrział na zegarek. - Proszę mi wybaczyć. Nie mogę się spóźnić na pewne spotkanie. Dziękuję bardzo za gościnność.

- Drobiazg - odparł chłodno dyrektor. „Ten człowiek jest szalony” - pomyślał.

- Gdyby chciał pan skontaktować się ze mną, to mieszkam w hotelu „Villa Magna”. Jeszcze raz dziękuję. - Henri Rendell skierował się do wyjścia.

Christian Machada odprowadzał go wzrokiem. Jak ten szwajcarski dureń śmie go przekonywać, że ten wspaniały Goya jest fałszerstwem?!

Jeszcze raz spojrział na obraz. Pochylił się nad podpisem Goi i stwierdził, że niczym nie odróżniał się od sygnatur na innych płótnach. A poza tym, czy to było *możliwe*? Lecz iskierka wątpliwości, która zatliła się w nim przed chwilą, nie chciała zgasnąć. Wszyscy wiedzą, że malarz współczesny Goi, Eugenio Lucas y Padilla, namalował setki kopii jego obrazów i karierę swą zawdzięczał fałszowaniu dzieł swego mistrza. Za „Puerto” zapłacił Machada trzy i pół miliona dolarów. Jeśli rzeczywiście go oszukano, mogło to fatalnie zaważyć na dalszej karierze. Na samą myśl o tym przeszedł go dreszcz.

Henri Rendell zasugerował mu sposób sprawdzenia autentyczności obrazu. Pod tym względem trudno się było z nim nie zgodzić: rzeczywiście było to niezwykle proste. Należy więc sprawdzić ten podpis, a potem zatelefonować do Rendella z propozycją, żeby poszukał sobie bardziej odpowiedniego zawodu.

Dyrektor wezwał asystenta i polecił mu przenieść obraz do pracowni konserwatorskiej.

Badanie dzieła sztuki jest operacją niesłychanie delikatną. Jeśli przeprowadza się ją bez stosownej ostrożności, łatwo popełnić niemożliwy do naprawienia błąd. Konserwatorzy muzeum byli ekspertami najwyższej klasy. Większość z nich stanowili artyści, którzy nie odniósłszy sukcesu na polu sztuki, chcąc utrzymać kontakt ze swym ukochanym zajęciem, pielęgnowali obrazy słynnych mistrzów. Zgłębienie wszystkich tajników tego fachu trwało długo; najpierw przez wiele lat terminowali u doświadczonych specjalistów, potem zostawali asystentami. Dopiero po odbyciu długiego stażu asystenckiego nabierali praw do prowadzenia samodzielnych prac konserwatorskich.

Juan Delgado, kierownik pracowni konserwatorskiej w Prado, umieścił „Puerto” na specjalnym drewnianym stojaku. Christian Machada przyglądał mu się uważnie.

- Proszę sprawdzić podpis - polecił. Delgado nie pokazał po sobie zdziwienia.
- *Si, señor director.*

Wziął do ręki tamponik waty, zwilżył go alkoholem izopropylowym i położył na stole obok obrazu. Drugi tamponik skropił odrobiną destylowanej nafty, jako czynnika neutralizującego.

- Jestem gotów, señor.
- Niech pan zaczyna. Ale ostrożnie!

Machada oddychał ciężko. Patrzył, jak Delgado bierze pierwszy kawałek waty i dotyka nim litery „G” w podpisie Goi, a następnie neutralizuje działanie alkoholu. Obaj uważnie obejrżeli zwilżone miejsce. Delgado zmarszczył brwi.

- Przykro mi, ale jeszcze nie potrafię rozstrzygnąć pańskich wątpliwości - powiedział. - Muszę użyć silniejszego rozpuszczalnika.
- Proszę to zrobić - rozkazał dyrektor.

Delgado otworzył inną butelkę. Zwilżył kolejny kawałek waty dimetyloketonem i dotknął nim pierwszej litery podpisu, natychmiast neutralizując obszar naftą. W

pokoju rozszedł się ostry, przenikliwy zapach chemikaliów. Christian Machada przyglądał się podpisowi nie wierząc własnym oczom. Litera „G” w nazwisku Goi znikła, a na jej miejscu ukazało się wyraźne „L”.

Delgado zbladł i popatrzył na dyrektora.

- Czy... Czy mam kontynuować?

- Tak - parsknął niecierpliwie Machada. - Proszę dalej. Powoli, litera po literze, sygnatura Goi znikła pod dotknięciem wilgotnej waty, a na jej miejscu ukazywał się podpis Padilli. Każda jego litera wywoływała skurcz w żołądku Machady. On, dyrektor jednego z największych muzeów na świecie, został oszukany. Wkrótce dowiedzą się o tym dyrektorzy innych muzeów, król Hiszpanii i cały świat. Jego kariera była skończona.

Po powrocie do swego biura zatelefonował do Henri Rendella.

Machada zaprosił Rendella do swego biura.

- Miał pan rację - powiedział ponurym głosem. - To rzeczywiście Lucas. Jeśli ta historia wydobędzie się stąd, zostanę ośmieszony.

- Lucas oszukał już niejednego eksperta - pocieszał go Rendell. - Demaskowanie jego fałszerstw jest moim hobby.

- Zapłaciłem za ten obraz trzy i pół miliona dolarów. - Rendell chrząknął.

- Czy nie może pan odzyskać pieniędzy? Dyrektor z rozpaczą pokręcił głową.

- Kupiłem go od pewnej wdowy, która twierdziła, że obraz należał do rodziny jej zmarłego męża od trzech pokoleń. Gdybym ją zaskarżył, sprawa nabrałaby rozgłosu. Rozumie pan: rozprawy, opinia publiczna...

Henri Rendell zamyślił się głęboko.

- Rzeczywiście nie ma powodu, żeby dowiedziała się o tym opinia publiczna. Może pan jednak, wyjaśnwszy wszystko swoim przełożonym, po prostu pozbyć się Lucasa. Odsprzedałby go pan salonowi „Christie’s” lub „Sotheby’s”, a oni wystawiliby go na aukcji.

- Nie. - Machada pokręcił głową. - W tym przypadku cały świat dowiedziałby się o mojej pomyłce.

- Może będę w stanie panu pomóc. - Rendell uśmiechnął się. - Znam, kogoś, kto chętnie zakupi Lucasa. Jest kolekcjonerem jego obrazów. To bardzo dyskretny człowiek.

- Chętnie się go pozbędę. Nie chcę go już więcej oglądać. Oddałbym ten obraz nawet za darmo.

- To nie jest konieczne. Mój klient najprawdopodobniej zapłaciłby za obraz około pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Czy mam do niego zatelefonować?

- Byłoby to bardzo miłe z pana strony, señor Rendell.

Na pospiesznie zorganizowanym posiedzeniu grono dyrektorów zdecydowało, że historia odkrycia fałszywego obrazu w galerii Prado powinna być utrzymana w ścisłej tajemnicy. Zgodzono się z opinią, że najlepszym wyjściem z sytuacji było pozbycie się obrazu jak najszybciej i jak najdyskretniej. Podjąwszy tę decyzję dżentelmeni w ciemnych garniturach opuścili salę w milczeniu. Nikt nie odezwał się słowem do Machady, który załamany i przygnębiony stał z dala od innych.

Tego popołudnia ustalono szczegóły transakcji. Henri Rendell udał się do siedziby Bank of Spain i wrócił stamtąd z czekiem na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. W zamian otrzymał obraz Padilli, owinięty w niepozorny kawałek płótna.

- Ta transakcja musi być utrzymana w tajemnicy - zauważył delikatnie Machada. - Zostało to ustalone na zebraniu dyrektorów. Ale zapewniłem ich, że nasz klient jest człowiekiem dyskretnym.

- O to może się pan nie martwić - zapewnił go Rendell. Opuściwszy muzeum, Henri Rendell pojechał taksówką do mieszkalnej dzielnicy w północnej części Madrytu. Z obrazem pod pachą wszedł po schodach na trzecie piętro niewysokiego budynku i zastukał do drzwi jednego z mieszkań. Otworzyła je Tracy. W pobliżu stał Cesar Porretta. Tracy pytająco spojrzała na Rendella, a on odpowiedział jej uśmiechem.

- Wprost nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie pozbędę się tego obrazu - powiedział radośnie.

- Proszę, wejdź. - Tracy uściskała go.

Porretta wziął obraz i położył go na stole.

- A teraz - oznajmił Porretta - wydarzy się cud: fałszywy Goya zamieni się w prawdziwego.

Sięgnął po buteleczkę alkoholu metylowego i odkorkował ją. Ostry zapach rozszedł się po pokoju. Na oczach Tracy i Rendella Porretta umoczył w spirytusie kawałek waty i bardzo ostrożnie przyłożył go do podpisu Lucasa. Litery zaczęły

blaknąć. Pod nimi ukazał się podpis Goi. Rendell przyglądał się temu z zapartym tchem.

- Wspaniale!

- To był pomysł panny Whitney - przyznał garbus. - Spytała mnie, czy możliwe jest namalowanie fałszywego podpisu na podpisie oryginalnym, i potem, na nim - nazwiska prawdziwego twórcy.

- A on zrealizował ten pomysł - uśmiechnęła się Tracy.

- To było śmiesznie proste - zauważył skromnie Porretta. - Zajęło mi mniej niż pięć minut. Wszystko polegało na użyciu odpowiednich farb. Najpierw pokryłem podpis Goi warstwą bardzo czystej białej polityry, żeby go osłonić. Potem, na tej warstwie namalowałem imię Padilli szybko schnącą farbą akrylową. Na tym, farbą olejną zmieszaną z rzadkim lakierem, umieściłem podpis prawdziwego autora. Kiedy w pracowni muzeum usunięto ten podpis, pod nim ukazało się imię „Lucas”. Gdyby badali głębiej, może na samym dnie odkryliby znowu podpis Goi. Na szczęście, nie zrobili tego.

Tracy podziękowała im i wręczyła każdemu grubą kopertę.

- Pamiętaj o mnie, jeśli będzie ci kiedykolwiek potrzebny ekspert od malarstwa - powiedział Rendell, mrugając ze wzruszeniem.

- A jak zamierza pani wywieźć obraz z kraju? - zapytał Porretta.

- Zabierze go stąd kurier. Niech pan na niego czeka. - Podała rękę Rendellowi, potem Porretcie i wyszła.

W drodze powrotnej do hotelu opanowało ją radosne podniecenie. „Grunt to psychologiczne podejście” - myślała. Początkowo kradzież wydawała się niemożliwa. Prado było zbyt dobrze strzeżone. Pozostawał tylko podstęp, doprowadzenie do sytuacji, w której sami właściciele obrazu zechcieliby pozbyć się go jak najszybciej. Wyobraziła sobie minę Jeffa Stevensa, kiedy dowie się, że znowu go przechytrzyła. Uśmiechnęła się do siebie.

Tracy czekała w hotelu na mającego odebrać obraz kuriera. Kiedy w końcu się pojawił, zatelefonowała do Cesara Porretty.

- Posłaniec już przybył - powiedziała. Wysyłam go do pana po obraz.

- Co? Co pani mówi!?! - krzyknął Porretta. - Przecież posłaniec odebrał obraz pół godziny temu!

Paryż

Środa, 9 lipca, popołudnie

Spotkali się w paryskim biurze Gunthera Hartoga, przy Rue Matignon. Gunther powiedział:

- Rozumiem twoje rozczarowanie, Tracy, ale Jeff Stevens był tutaj pierwszy.

- Nie - odpowiedziała z goryczą. - Ja byłam pierwsza. On był ostatni.

- Ale Jeff dostarczył obraz. „Puerto” jest już w drodze do mojego klienta.

A więc Jeff Stevens jednak ją pokonał. Po prostu spokojnie czekał, aż wykona całą tę ryzykowną pracę, a w ostatniej chwili przechwycił jej łup i triumfalnie zgłosił się po nagrodę. Jakże musiał się z niej śmiać przez cały ten czas! „Nie jesteś dla mnie kimś obcym, Tracy”. Trzęsa się ze złości, gdy przypominała się jej madrycka *bodega i taniec flamenco*. „Mój Boże, jak ławo było wtedy popełnić niewybaczalne głupstwo!”

- Nigdy nie przypuszczałam, że mogłabym kogoś zabić - powiedziała - ale teraz z rozkoszą zamordowałabym tego łajdaka.

- Moja droga, tylko nie w tym pokoju, proszę cię. On zaraz tu przyjdzie. - Gunther uśmiechnął się słodko.

- *Co?! Tracy zerwała się na równe nogi.*

- Mówiłem już, że mam dla ciebie pewną propozycję. Ale jest to zadanie dla dwojga. Moim zdaniem Jeff jest jedynym człowiekiem, który...

- Jeszcze nie oszalałam! - krzyknęła Tracy. - Jeff Stevens, ten ohydny, nędzny łaj...

- Och, czy to rzeczywiście o mnie chodzi? Stał w drzwiach radośnie uśmiechnięty. - Tracy, kochanie, wyglądasz bardziej zachwycająco niż zwykle. Gunther, przyjacielu, jak się masz?

Jeff chwycił Hartoga za rękę i uściśnął ją. Tracy stała z boku, czerwona z wściekłości. Jeff spojrzał na nią i westchnął.

- Prawdopodobnie masz do mnie żal.

- *Żal?! Ty...* - Nie znajdowała odpowiednich słów.

- Tracy, jeśli mogę wyrazić swoją opinię, to twój plan był genialny. Naprawdę genialny. Popełniłaś tylko jeden, drobny błąd. Nigdy nie ufaj Szwajcarowi z obciętym palcem.

Oddychała głęboko, próbując opanować gniew. Zwróciła się do Hartoga:

- Porozmawiamy później, Gunther.

- Tracy...

- Nie. Nie obchodzi mnie co planujecie, nie chcę brać w tym udziału. Nigdy się nie zgodzę na współpracę z Jeffem.

- Nie chcesz nawet dowiedzieć się, co to za propozycja? - Gunther chrząknął.

- To nie ma sensu. Ja...

- Za trzy dni firma De Beers wysyła ładunek diamentów wartości czterech milionów dolarów z Paryża do Amsterdamu. Polecą samolotem towarowym Air France. Mam klienta, który chciałby zdobyć te diamenty.

- Możesz przechwycić je w drodze na lotnisko. Twój przyjaciel jest ekspertem od takich akcji. - Nie mogła opanować szyderczego tonu.

„Boże, ona jest cudowna, gdy się rozgniewa” - myślał Jeff.

- Diamenty są zbyt troskliwie strzeżone - wyjaśnił Gunther. - Mamy zamiar zdobyć je w czasie lotu.

Tracy przyglądała mu się ze zdziwieniem.

- W czasie lotu? W samolocie towarowym?

- Potrzebny jest do tego ktoś wystarczająco mały, aby mógł się zmieścić w jednym z kontenerów. Podczas lotu musiałby tylko wyjść z niego, otworzyć sąsiedni kontener firmy De Beers, wyjąć kasetkę z diamentami i na jej miejsce postawić inną identyczną, po czym schować się z powrotem w swojej kryjówce.

- A ja jestem wystarczająco mała, żeby zmieścić się w tym kontenerze, prawda?

- Nie tylko o to chodzi, Tracy. - Gunther pokręcił głową. - Potrzebujemy kogoś z głową na karku i o żelaznych nerwach. - Tracy namyślała się.

- Plan jest dobry, Gunther. Ale nie odpowiada mi partner. Ten człowiek to oszust i złodziej.

- Ta opinia pasuje do nas obojga, droga przyjaciółko - roześmiał się Jeff. - Za tę akcję Gunther oferuje milion dolarów.

- Milion dolarów? Tracy zwróciła się do Gunthera.

- Pół miliona dla każdego z was - potwierdził.

- Sukces jest murowany - wyjaśnił Jeff. - Mam współnika w punkcie załadunkowym na lotnisku. Można mu zaufać.

- W przeciwieństwie do ciebie - zauważyła złośliwie Tracy. - Do widzenia Gunther.

Wyszła z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Gunther odprowadził ją wzrokiem.

- Jest na ciebie wściekła, Jeff. Nie może ci darować tej historii z obrazem. Obawiam się, że straciłem swoją najlepszą współpracowniczkę.

- Mylisz się - zaprzeczył Jeff z uśmiechem. - Znam Tracy. Nie oprze się żadnemu wyzwaniu.

- Przed załadowaniem do samolotu kontenery są pieczętowane - mówił Ramon Vauban. Młody Francuz o bardzo, jak na swój wiek, poważnej twarzy spoglądał ponuro swoimi czarnymi oczami. Był ekspedytorem w Air France Cargo i poważnym atutem w planowanej akcji.

Vauban, Tracy, Jeff i Gunther siedzieli przy stoliku na pokładzie *bateau mouche* - małego stateczku spacerowego kursującego po Sekwanie.

- Jeśli zapieczętują skrzynię - zapytała Tracy rzeczowym tonem - to jak do niej wejść?

- Dla przesyłek dostarczonych w ostatniej chwili - rozpraszał jej wątpliwości Vauban - używa się tak zwanych „miękkich opakowań”, to znaczy dużych drewnianych skrzyń, obitych z jednej strony płótnem i związanych tylko sznurkiem. Ze względu na bezpieczeństwo, cenne ładunki, takie jak diamenty, dostarczane są zawsze w ostatniej chwili. Załadowuje się je na końcu i wylądowuje natychmiast po wylądowaniu.

- To znaczy, że diamenty będą w „miękkim opakowaniu”? - pytała dalej Tracy.

- Właśnie tak, mademoiselle. Podobnie jak pani. Postaram się, aby skrzynia, w której będzie pani ukryta, została ustawiona obok tej z diamentami. Pozostanie pani tylko przeciąć sznurki, otworzyć sąsiednią skrzynię, wyjąć z niej kasetkę z diamentami, zastąpić ją inną, wejść z powrotem do swojej skrzyni i zamknąć ją.

Gunther dodał jeszcze:

- Po wylądowaniu samolotu w Amsterdamie strażnicy natychmiast odbiorą przesyłkę i zawiozą ją do szlifierni diamentów. Zanim wykryją kradzież, będziesz już za granicą, Tracy. Uwierz mi, tym razem sukces jest pewny.

Jeszcze jedna myśl przyszła jej do głowy.

- Czy nie zamrznę na śmierć w tej ładowni? Vauban zaśmiał się.

- Mademoiselle, samoloty towarowe są obecnie ogrzewane. Często przewożą zwierzęta hodowlane, psy i koty. Nie, będzie pani podróżowała wygodnie. Może być trochę ciasno, ale to jedyna przykrość, jaka pani grozi.

Tracy mimo wszystko zainteresowała się planem Hartoga. W końcu chodziło o pół miliona dolarów za kilka godzin niewygody. Przeanalizowała wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły. „To może się udać - pomyślała. - Szkoda tylko, że Jeff Stevens bierze w tym udział!” Nie mogła mu darować cynizmu i bezczelności. Przechwycił ten obraz tylko dla własnej satysfakcji. Zdradził ją, ośmieszył, nawet teraz drwił z niej za plecami.

Trzech mężczyzn siedziało w milczeniu obok Tracy, czekając na jej decyzję. Statek przepływał właśnie pod Pont Neuf, najstarszym mostem Paryża, który przekorni Francuzi nazwali Nowym Mostem. Na brzegu ścisnęła się jakaś zakochana para. Tracy dostrzegła kątem oka błogi uśmiech na twarzy dziewczyny.

„Idiotka” - pomyślała. Spojrzała prosto w oczy Jeffowi i powiedziała powoli:

- Dobrze, zgadzam się. - Wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - rzekł Vauban. Jego poważne spojrzenie spoczęło na Tracy. - Mój brat pracuje w dziale załadunków i „miękkie opakowania” ładowane są w jego magazynie. Tam wejdzie pani do skrzyni. Mam nadzieję, że mademoiselle nie cierpi na klaustrofobię.

- Proszę się o mnie nie martwić. Jak długo będzie trwała ta podróż?

- Załadowanie skrzyń na pokład zajmie kilka minut, a lot do Amsterdamu - godzinę.

- Jak duży jest ten kontener?

- Wystarczająco, żeby można było w nim usiąść. W środku znajdzie pani jeszcze inne przedmioty, które w potrzebie ułatwią pani ukrycie się.

„Musi się udać” - obiecali jej to. Ale w potrzebie...

- Zrobiłem listę rzeczy, które mogą ci się przydać - powiedział Jeff. - Wkrótce je otrzymasz. - „Ma, łobuz, powody do zadowolenia”. Więc od razu przewidział jej decyzję. - Vauban, jeszcze w Paryżu, zadba o to, żeby w twoim paszporcie znalazły się odpowiednie pieczętki wjazdowe i wyjazdowe. Nie będziesz miała kłopotów, wyjeżdżając z Holandii.

Stateczek zacumował przy brzegu.

- Jutro rano jeszcze raz omówimy wszystkie szczegóły - powiedział Ramon Vauban. - Teraz muszę już wracać do pracy.

- *Au revoir*. - Pożegnał się i poszedł.

- Może uczymy nasze przedsięwzięcie wspólnym obiadem? - zaproponował Jeff.

- Niestety - usprawiedliwił się Gunther - jestem umówiony.

- W takim razie... - Jeff spojrział na Tracy.

- Nie, dziękuję, jestem zmęczona - odparła szybko.

Nie była to tylko wymówka. Naprawdę czuła się zmęczona. Prawdopodobnie dawały o sobie znać stresy, które ostatnio przeżywała. Kręciło jej się w głowie. „Kiedy już będzie po wszystkim - obiecywała sobie - wrócę do Londynu na dłuższy odpoczynek. Czuła jak nieregularnie bije jej serce. - Muszę to zrobić”.

- Chciałbym, żebyś przyjęła drobny upominek - powiedział Jeff. Podał jej tekturowe pudełko w eleganckim opakowaniu. Była w nim wspaniała jedwabna apaszka z inicjałami T.W. wyszytymi w rogu.

- Dziękuję. - „Nic dziwnego, stać go na to - pomyślała ze złością Tracy. - Zarobił pół miliona dolarów”.

- Czy na pewno nie dasz się namówić na obiad?

- Na pewno.

W Paryżu Tracy zatrzymała się w „Plaza Athénée”, gdzie wynajęła luksusowy apartament z zabytkowymi meblami oraz widokiem na park i hotelowy ogródek restauracyjny. W hotelu znajdowała się jeszcze inna elegancka restauracja, w której dyskretnie grano na fortepianie, ale tego wieczoru Tracy była zbyt słaba, aby przebrać się w wieczorową suknię. Poszła do „Relais” - małego hotelowego snack-baru i zamówiła zupę. Po przełknięciu kilku łyżek odsunęła talerz i wróciła do pokoju.

Daniel Cooper, siedzący na drugim końcu sali, zanotował godzinę, o której wyszła.

Cooper był poważnie zmartwiony. Zaraz po powrocie do Paryża poprosił o rozmowę z inspektorem Trignantem. Tym razem szef Interpolu nie potraktował go zbyt serdecznie. Właśnie skończył rozmowę telefoniczną, w czasie której komendant Ramiro przez bitą godzinę uskarżał się na natrętnego Amerykanina.

- On jest *loca!* - wykrzykiwał gniewnie. - Zmarnowałem mnóstwo czasu, pieniędzy i wysiłków moich ludzi na śledzenie Tracy Whitney, która miała podobno obrabować Prado, a w końcu okazała się zwykłą turystką, o czym zresztą od początku wiedziałem.

Rozmowa ta nasunęła inspektorowi Trignantowi przypuszczenie, że Daniel Cooper mógł przez cały czas oskarżać Tracy zupełnie bezpodstawnie. Nie miał

przeciwko niej najmniejszego dowodu oprócz faktu, że przebywała we wszystkich miejscach, w których popełniano przestępstwo.

Gdy Daniel Cooper stanął w drzwiach jego gabinetu, odezwał się od progu: - Tracy Whitney jest w Paryżu. Proszę nie spuszczać z niej oka przez całą dobę.

- O ile nie posiada pan jakiegoś dowodu na to, że ta kobieta zamierza popełnić konkretne przestępstwo, to obawiam się, że nie będę mógł panu pomóc - odparł inspektor Trignant.

Cooper spojrział na niego swymi bystrymi oczami i powiedział:

- Pan jest głupcem. - W chwilę później bezceremonialnie wyprowadzono go z biura.

Amerikanin postanowił kontynuować swoją akcję detektywistyczną na własną rękę. Stał się nieodłącznym cieniem Tracy, nie odstępował jej w sklepach, restauracjach, podczas spacerów po paryskich ulicach, słowem - wszędzie, gdziekolwiek się udawała. Chodził za nią głodny i niewyspany. Żadna oszustka nie pokonała jeszcze Daniela Coopera. Wszystkie kończyły swój występny żywot tam, gdzie było ich miejsce - za kratami. Tracy Whitney nie będzie wyjątkiem.

Tracy przeleżała tę noc z otwartymi oczami, rozmyślając nad szczegółami jutrzejszej akcji. Miała silny ból głowy. Wzięła już aspirynę, ale pulsowanie w skroniach nie ustawało. Pociła się okropnie i przez cały czas wydawało jej się, że w pokoju jest gorąco. „Jutro będzie po wszystkim. Szwajcaria. Tam właśnie pojedę: w Alpy szwajcarskie, gdzie jest tak chłodno. Do Château”.

Nastawiła budzik na piątą rano. Kiedy rozległ się dzwonek, leżała w celi, na swojej pryczy, a w korytarzu stara Żelazne Majtki wykrzykiwała: „Pobudka! Ruszać się!” Ściany drżały od przeraźliwego brzęczenia dzwonka. Ogromny ciężar uciskał jej piersi, światło dnia raziło w oczy. Zeszła z łóżka i powlokła się do łazienki. Spojrzała w lustro. Jej twarz pokrywały czerwone plamy, oczy były przekrwione. „Nie mogę teraz zachorować - pomyślała. - Nie dzisiaj. Dziś mamy zbyt wiele do zrobienia”.

Ubierała się powoli, starając się zapomnieć o pulsującym bólu głowy. Włożyła czarny płaszcz z głębokimi kieszeniami, buty na gumowej podeszwie i baskijski beret. Serce biło jej bardzo nieregularnie i zastanawiała się, czy to z powodu emocji, czy też złego samopoczucia. Czowała się słaba. Gardło miała szorstkie i obolałe. Na stole leżała apaszka ofiarowana jej przez Jeffa. Podniosła ją i zawiązała wokół szyi.

Główne wejście do „Plaža Athénée” znajduje się od Avenue Montaigne. Za rogiem budynku, przy Rue de Boccador, jest jeszcze inne wejście przeznaczone dla pracowników hotelu, z niewielką tabliczką: ENTRÉE DE SERVICE na drzwiach. Prowadzi ono przez wąski korytarzyk zastawiony kozzami na śmieci do tylnej części hotelowego holu. Daniel Cooper, zajmujący posterunek obserwacyjny obok głównego wejścia, nie zauważył Tracy wychodzącej bocznymi drzwiami, ale w jakiś niewytłumaczalny sposób wyczuł jej nieobecność. Wybiegł na ulicę i rozejrzał się. Nie było jej nigdzie.

Szary renault, do którego wsiadła Tracy przy bocznym wyjściu z hotelu, jechał w stronę placu Étoile. O tej porze ruch na ulicy był niewielki, a kierowca - młodzieniec o twarzy znaczonej pryszczami i prawdopodobnie nie mówiący po angielsku - skręcił gwałtownie w jedną z dwunastu promieniście rozchodzących się ulic, których środek stanowił plac Étoile. „Mógłby trochę zwolnić” pomyślała Tracy. Chwytały ją mdłości.

Pół godziny później samochód zatrzymał się przed drzwiami magazynu. Tracy przeczytała szyld pod drzwiami: BRUCERE ET CIE. Przypomniała sobie, że tak właśnie nazywało się przedsiębiorstwo, w którym pracował brat Ramona Vaubana.

Jakiś chłopak otworzył drzwiczki samochodu i szepnął:

- *Vite!*

Mężczyzna w średnim wieku, o sprężystych, kocich ruchach, stanął w drzwiach magazynu.

- Proszę za mną - powiedział. - Szybko!

Tracy zataczając się poszła za nim na tyły magazynu, gdzie stało sześć kontenerów, w większości zamkniętych i zabezpieczonych, gotowych do załadunku. Jeden z nich obity był płótnem i do połowy wypełniony jakimiś meblami.

- Proszę wchodzić! Szybko! Mamy mało czasu!

Tracy poczuła się słabo. Spojrzała na skrzynię i pomyślała: „Nie wejdę tam. Prędzej umrę”.

Mężczyzna spojrział na nią ze zdziwieniem.

- *Avez vous mal?*

Teraz trzeba się wycofać, skończyć z tym.

- W porządku - wybełkotała. Wkrótce będzie po wszystkim. Za parę godzin polecą do Szwajcarii.

- *Bon.* To dla pani. - Wręczył jej nóż z obosiecznym ostrzem, zwój ciężkiej liny, latarkę i małą, niebieską kasetkę opasaną czerwoną wstążką. - Tę kasetkę podłoży pani na miejsce oryginalnej.

Tracy odetchnąwszy głęboko weszła do kontenera i usiadła w środku. Po chwili opuszczono płótno. Słyszała jak obwiązywano skrzynię linką.

Jakby z wielkiej odległości dobiegały ją słowa:

- Od tej chwili nie wolno rozmawiać, poruszać się, palić.

- Ja nie palę - chciała powiedzieć Tracy, ale nie starczyło jej sił.

- *Bonne chance.* Wywierciłem kilka otworów z boku skrzyni, aby mogła pani oddychać. Proszę nie zapomnieć o oddychaniu. - Roześmiał się ze swojego żartu. W chwilę później usłyszała jego oddalające się kroki, a potem zapadła cisza.

Była sama w ciemności.

Wewnątrz skrzyni nie było zbyt wiele miejsca, większość wolnej przestrzeni zajmował komplet krzeseł. Tracy miała wrażenie, że ogarniają ją płomienie. Jej skóra była rozpalona, oddychanie przychodziło jej z największym trudem. „To jakieś wirusowe zapalenie - pomyślała. - Ale teraz musi poczekać. Mam coś ważniejszego do zrobienia. Nie mogę myśleć o niczym innym”.

Głos Gunthera: „Nie ma powodu do niepokoju, Tracy. Kiedy wyładują kontenery w Amsterdamie, twój zostanie przewieziony do prywatnego garażu niedaleko lotniska. Tam spotkasz się z Jeffem. Oddasz mu diamenty i wrócisz na lotnisko. W okienku Swissair odbierzesz bilet na samolot do Genewy. Uciekaj z Amsterdamu jak najszybciej. Gdy tylko policja dowie się o rabunku, natychmiast zaczną kontrolować turystów opuszczających miasto. Wszystko pójdzie dobrze, ale na wszelki wypadek masz tu adres i klucz do bezpiecznego domu w Amsterdamie. Jest pusty”.

Zdrzemnęła się i obudziło ją dopiero szarpnięcie, gdy kontener uniesiono w powietrze. Tracy przytrzymała się ściany skrzyni, żeby nie upaść. Potem kontener postawiono na podłodze. Usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu, szum silnika, a w chwilę później ciężarówka ruszyła.

Jechała na lotnisko.

Dalsze szczegóły operacji zaplanowane były z dokładnością co do ułamka sekundy. Kontener z Tracy dojedzie do miejsca załadunku za kilka minut, a zaraz po nim dostarczony zostanie kontener De Beers. Kierowca ciężarówki wiozącej Tracy otrzymał ściśle instrukcje: utrzymać stałą prędkość 80 kilometrów na godzinę.

Na ulicach prowadzących na lotnisko ruch był nieco bardziej ożywiony niż zwykle, ale nie martwiło to kierowcy. Ładunek na czas dojedzie do samolotu, a on otrzyma gratyfikację w wysokości pięćdziesięciu tysięcy franków, które pozwolą mu zabrać żonę i dwoje dzieci na wspaniałe wakacje. „Ameryka - pomyślał. - Pojedziemy do Disneylandu”.

Spojrzał na zegar na desce rozdzielczej i uśmiechnął się do siebie. Żadnych kłopotów. Do lotniska pozostało zaledwie pięć kilometrów, które pokona w ciągu dziesięciu minut. Dokładnie według planu minął rozjazd przy reklamie przedsiębiorstwa Fertnord, w chwilę później - niski, szary budynek zarządu portu lotniczego Roissy-Charles de Gaulle, tam, gdzie drut kolczasty odgradza rejony załadunkowe. Zbliżał się już do ogromnego kompleksu magazynów, przeciętego dwoma przecznicami, z barakami pełnymi skrzyń, paczek i kontenerów poukładanych na wózkach transportowych, gdy nagle rozległ się głuchy trzask i kierownica wysliznęła mu się z rąk. Ciężarówka zatrzęsa się.

„*Foutre!* - pomyślał. - Złapałem gumę”.

Wnętrze ogromnego Boeinga 747 linii Air France powoli napełniało się ładunkami. Jego dziób zadarty był wysoko w górę, odsłaniając kilka rzędów prowadnic, służących do przesuwania skrzyń w głąb ładowni. Kontenery stały jeden przy drugim na znajdującej się na wysokości otworu platformie. Dwadzieścia osiem spośród nich miało być umieszczonych na głównym pokładzie, a dziesięć - w tylnych pomieszczeniach. Wzdłuż sufitu ładowni przebiegała rura ogrzewcza, podobnie jak kable zasilające i przewody doprowadzające światło. Wszystkie przedmioty w ładowni miały swoje konkretne przeznaczenie.

Załadunek dobiegał końca. Ramon Vauban jeszcze raz spojrzął na zegarek i zaklął. Ciężarówka spóźniła się. Przesyłkę De Beers umieszczono już w kontenerze, a stronę zasłoniętą płótnem obwiązano sznurkiem. Vauban oznaczył ten kontener czerwoną farbą tak, aby Tracy nie miała kłopotów z jego odnalezieniem. Patrzył teraz jak skrzynia przesuwała się po prowadnicach w głąb samolotu. Zaraz potem dotarła na swoje miejsce i zatrzymała się unieruchomiona zatrzaskami. Obok niej została jeszcze wolna przestrzeń dla podobnej skrzyni. Jeśli ciężarówka z Tracy nie dotrze w porę, trzeba będzie wstawić tam jeden z trzech kontenerów, które pozostały do załadowania. „Gdzie ona się, na litość boską, podziewa?”

Pracownik rozmieszczający ładunki wewnątrz samolotu krzyknął:

- Jedziemy, Ramon! Na co jeszcze czekasz?

- Za chwilę - odpowiedział mu Vauban. Pobiegnął do bramy wjazdowej. Ani śladu ciężarówki.

- Vauban! O co chodzi? - odwrócił się. Zbliżał się kierownik nadzoru. - Skończ załadunek i niech samolot startuje!

- W tej chwili, proszę pana. Czekałem tylko na...

Urwał nagle, gdyż ciężarówka „Brucere et Cie” wjechała właśnie na teren zakładu. Rozległ się pisk opon i wóz zatrzymał się przed Vaubanem.

- To już ostatni transport - oznajmił Vauban. - Dobrze, ładujcie go! - warknął kierownik.

Pod nadzorem Vaubana kontener wyniesiono z ciężarówki, po czym on sam umieścił go na pochylni prowadzącej w głąb samolotu.

Dał znak pracownikowi czekającemu wewnątrz ładowni.

- Puszczam ostatni!

Po chwili załadunek zakończono i dziób samolotu powrócił na swoje miejsce. Vauban spoglądał na silniki Boeinga, które zaczęły

pracować. Gigantyczny samolot zadrżał i wolno potoczył się w kierunku pasa startowego. Pomyślał: „Teraz wszystko zależy od tej kobiety”.

Była straszliwa burza. Ogromne fale biły o burty statku, przewracając go i zatapiając. „Zaraz utonę - pomyślała Tracy. - Muszę się stąd wydostać”.

Spróbowała wyprostować ramiona i uderzyła o coś twardego. Była to burta szalupy ratunkowej, która to zbliżała się do niej, to oddalała, podrzucana przez fale. Spróbowała wstać i uderzyła głową o nogę stołu. W tej chwili przypomniała sobie, gdzie właściwie się znajduje. Jej twarz i włosy ociekały potem. Miała zawroty głowy, a jej ciało płonęło. Jak długo była nieprzytomna? Lot trwał tylko godzinę. Czy samolot za chwilę wyląduje? „Nie - pomyślała. - Wszystko w porządku. To tylko zły sen. Jestem w swoim domu w Londynie, ale zaraz trzeba wstać i zadzwonić po lekarza”. Dusila się. Próbowwała sięgnąć ręką po słuchawkę, ale natychmiast opadła z powrotem. Jej ciało było jak z ołowiu. Samolot dostał się w obszar zaburzeń atmosferycznych i nagły wstrząs rzucił Tracy na ścianę kontenera. Leżała tam, oszołomiona, desperacko próbując zebrać myśli: „Ile zostało mi czasu?” Miotła się na granicy piekielnego snu i okrutnej rzeczywistości. „Diamenty”. Należało jakimś sposobem dostać się do diamentów. Ale najpierw... najpierw trzeba przeciąć linki i wyjść z kontenera.

Namaciała nóż w kieszeni płaszcza. Jego chwycenie i podniesienie wymagało wielkiego wysiłku. „Powietrza - pomyślała - muszę oddychać”. Sięgnęła do skraju płótna, po omacku poszukała jednej z przytrzymujących go linek, znalazła ją i przecięła. Trwało to całe godziny. Płótno odchyliło się od ściany skrzyni. Przecięła inną linkę. Teraz już mogła wyslizgnąć się z kontenera do wnętrza ładowni. Na zewnątrz przeniknął ją chłód. Drżała na całym ciele, a monotonne kołysanie samolotu wywoływało mdłości. „Nie mogę zemdleć ‘ - myślała. Nadludzkim wysiłkiem wzięła się w garść. „Co ja tu robię? Coś ważnego. Tak... Diamenty”.

Przed jej oczami rozpościerała się mgła, przedmioty rozpływały się w niej, dwoiły i troiły. „Nie zrobię tego”.

Nagle samolot zanurkował i Tracy przewróciła się na podłogę. Pokaleczyła palce na ostrych metalowych krawędziach skrzyń. Leżała na podłodze, a samolotem miotano na wszystkie strony. Kiedy wreszcie wstrząsy ustały, Tracy spróbowała wstać. Szum pracujących silników mieszał się z szumem w jej głowie. „Tak... Diamenty. Muszę znaleźć diamenty”.

Poszła chwiejnym krokiem wzdłuż kontenerów, przyglądając się każdemu z osobna, w poszukiwaniu oznaczonego czerwoną farbą. Dzięki Bogu! Znalazł się; był trzeci z brzegu. Przytrzymała się go kurczowo, żeby nie upaść. Rozpaczliwie pragnęła przypomnieć sobie, co dalej. Tak ciężko było jej się skoncentrować. „Zdrzemnę się tylko przez minutę, a potem pójdzie znacznie łatwiej. Potrzebuję chwili snu”. Ale czasu zostało niewiele. Lada moment samolot wylądował w Amsterdamie. Tracy próbowała przeciąć linki podtrzymujące płótno na kontenerze. „Jedno cięcie wystarczy” - przekonywali ją.

Ale sił starczało jej tylko na utrzymanie w ręku noża. „Nie mogę teraz przegrać” - pomyślała. Znowu chwyciły ją dreszcze, trzęsła się tak przeraźliwie, że upuściła nóż. „To się nie uda. Znajdą mnie i wsadzą do więzienia”.

Długo stała, bezradnie kurczowo trzymając się linek, rozpaczliwie pragnąc wczłgać się z powrotem do swojej kryjówki, gdzie mogła bezpiecznie zaczekać, aż samolot wylądował. Tak łatwo jest po prostu położyć się i zasnąć. Powoli, nieświadomie, na przekór przeraźliwemu bólowi, rozsadzającemu jej czaszkę, Tracy sięgnęła po nóż i podniosła go. Przeciągnęła kilka razy ostrzeżenie po twardej linie.

Wreszcie udało się. Tracy zadarła płócienną osłonę i zajrzała do wnętrza pojemnika. Nic nie zobaczyła. Wyjęła latarkę i w tej samej chwili odczuła w uszach gwałtowną zmianę ciśnienia.

Samolot zniżał się do lądowania.

Pomyślała: „Muszę się spieszyć”, ale jej ciało było jak z ołowiu. Stała nieruchomo. „Trzeba się ruszyć” - podpowiadał rozsądek.

Skierowała światło latarki do wnętrza skrzyni. Było tam mnóstwo pudeł, jakieś koperty, paczki. Na samym dnie zobaczyła też dwie niebieskie kasetki owinięte czerwoną wstążką, „Dwie! Przecież powinna być jedna!” - zamrugła i dwie kasetki zlały się w jedną. Wszystkie przedmioty rozplywały się w jakiejś świetlistej mgle.

Wyjąwszy pudełko ze skrzyni, sięgnęła do kieszeni po duplikat. Gdy trzymała oba pudełka w dłoniach, chwyciły ją mdłości. Zaciśnęła powieki, próbując przeczekać atak. Chciała włożyć do skrzyni pudełko, które wyjęła z kieszeni, ale zapomniała, które to było. Przyglądała się dwóm identycznym pudełkom. Czy trzymała diamenty w prawej, czy w lewej ręce?

Samolot szybko wytracał szybkość. Lada chwila wyląduje. Włożyła do kontenera jedno z pudełek, rozpaczliwie modląc się, żeby okazało się ono tym właściwym. Z kieszeni płaszcza wyjęła zwój linki. „Trzeba coś zrobić z tym sznurkiem”. Szum w głowie uniemożliwił jej myślenie. Przypominała sobie: „Po przecięciu linki schowaj ją do kieszeni, a tę, którą masz, owiń kilka razy wokół skrzyni De Beers. Wewnątrz samolotu nie zostawiaj niczego, co mogłoby naprowadzić policję na trop”.

Wtedy, w ciepłych promieniach słońca na pokładzie *bateau mouche*, wydawało się to takie proste. Teraz było niewykonalne. Siły opuściły ją zupełnie. Strażnicy znajdą poprzecinaną linkę i przeszukają kontenery, a potem ją złapią. Coś wewnątrz Tracy zakrzyczało: „Nie! Nie! Nie!”

Resztkami sił owijała linę wokół skrzyni. Zachwiała się, gdy samolot dotknął ziemi, a następny potężny wstrząs zwałił ją z nóg. Poleciała do tyłu, kiedy samolot zaczął hamować. Trzasnęła głową o podłogę i straciła przytomność.

Boeing znowu nabierał szybkości, kołując w kierunku terminalu. Tracy leżała bezwładnie na podłodze, włosy przesłaniały jej poszarzałą twarz. Cisza, która zapanowała, gdy wyłączono silniki, przywróciła jej przytomność. Samolot zatrzymał się. Podparła głowę łokciem i powoli uklękła, a potem wstała jak w hipnotycznym śnie, opierając się o ścianę skrzyni, żeby nie upaść. Przycisnęła do piersi kasetkę z diamentami i zataczając się podeszła do swojej kryjówki. Gdy już znalazła się w środku, długo siedziała, pokryta kroplami potu, ciężko dysząc. „Udało się”. Ale

musiała przecież jeszcze coś zrobić. Coś ważnego. „Co? Połączyć taśmą klejącą dwa kawałki linki, którą przecięła, wychodząc ze swej kryjówki”.

Sięgnęła do kieszeni spodni, szukając taśmy. Nie było jej tam.

Znowu poczuła duszności. Wydawało jej się, że słyszy z zewnątrz jakieś dźwięki, więc wstrzymała oddech i wsłuchiwała się. Tak. Znowu coś usłyszała. Czyjś śmiech. Za chwilę otworzą drzwi ładowni i rozpocznie się rozładunek. Zobaczą przeciętą linę, zajrzą do środka kontenera i odkryją ją. Musiała w jakiś sposób połączyć przecięte kawałki linki. Uklękła i w tej samej chwili zmacała ręką rolkę taśmy maskującej, która musiała wypaść jej z kieszeni. Uniosła płótno, po omacku szukając dwóch końców przeciętej liny. Trzymała ją w jednej ręce, drugą odwijając taśmę.

Nic nie widziała. Pot zalewał jej oczy. Zerwała apaszkę z szyi i wytarła twarz. Już lepiej. Owinęła linę taśmą i opuściła płótno z powrotem; teraz pozostawało tylko czekać. Dotknęła ręką czoła. Było bardziej rozpalone niż rano.

„Muszę poszukać cienia - pomyślała. Tropikalne upały są szkodliwe”.

Spędzała wakacje gdzieś na Karaibach. Jeff przybył tam, żeby podarować jej kilka diamentów, ale wskoczył do morza i zniknął. Wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc, ale niestety, wymknął się. Woda zalewała jej twarz. Tonęła.

Usłyszała głos robotników, wchodzących do ładowni.

- Ratunku! - krzyknęła. - Proszę, pomóżcie mi! - Ale jej krzyk był tylko szeptem, którego nikt nie usłyszał.

Ogromne kontenery wyładowywano z samolotu.

Tracy nie wiedziała, kiedy jej skrzynię załadowano na ciężarówkę „Brucere et Cie”. Na podłodze samolotu leżała porzucona apaszka - prezent od Jeffa.

Tracy obudziła się, gdy blask światła wdarł się do wnętrza ciężarówki, ktoś uniósł płócienną pokrywę kontenera. Powoli otwierała oczy. Ciężarówka stała w garażu.

Jeff patrzył na nią i uśmiechał się.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Jesteś cudowna, Tracy. Weźmiemy teraz to pudełko. - Patrzyła na niego otępiąłym wzrokiem. Pudełko leżało obok niej. Podniósł je. - Zobaczymy się w Lizbonie. - Zrobił parę kroków w kierunku wyjścia, ale nagle przystanął i spojrzał na nią jeszcze raz. - Wyglądasz okropnie, Tracy. Czy dobrze się czujesz?

- Jeff, ja... - zaledwie mogła wyszeptać.

Zniknął.

Z tego, co wydarzyło się potem, Tracy niewiele pamiętała. Przebierała się w nowe ubranie na zapleczu magazynu, a jakaś kobieta mówiła:

- Pani jest chyba chora, mademoiselle. Czy mam wezwać lekarza?

- Nie, żadnych lekarzy - szepnęła Tracy.

„W okienku Swissair odbierzesz bilet na samolot do Genewy. Uciekaj z Amsterdamu jak najszybciej. Gdy tylko policja dowie się o rabunku, natychmiast zaczną kontrolować turystów opuszczających miasto. Wszystko pójdzie dobrze, ale na wszelki wypadek masz tu adres i klucz do bezpiecznego domu w Amsterdamie, Jest pusty”.

Lotnisko. Musi dostać się na lotnisko.

- Taxi! - wymamrotała. - Taxi!

Kobieta wahała się przez chwilę, potem wzruszyła ramionami.

- Dobrze. Wezwę taksówkę. Proszę poczekać. Wznosiła się teraz wyżej i wyżej, w stronę palącego słońca.

- Przyjechała taksówka - powiedział jakiś mężczyzna.

Tak bardzo pragnęła, żeby ludzie przestali się nią interesować. Potrzebowała tylko snu.

- Dokąd chce pani jechać, mademoiselle? - zapytał kierowca. „W okienku Swissair odbierzesz bilet na samolot do Genewy”. Nie mogła w takim stanie wejść na pokład samolotu. Zatrzymają ją, wezwą lekarza. Posypią się pytania. A chciała przecież tylko przespać się kilka minut, dopóki nie wyzdrowieje. Kierowca tracił cierpliwość.

- Dokąd mam panią zawieźć?

Nie wiedziała dokąd. Podała kierowcy adres bezpiecznego domu.

Policjanci zamęczali ją pytaniami o diamenty, a kiedy odmawiała odpowiedzi, zdenerwowali się okropnie i zamknęli ją w pojedynczej celi. Potem włączyli ogrzewanie, aż ściany pokoju rozżarzyły się do czerwoności. Kiedy już nie mogła wytrzymać, obniżyli temperaturę i teraz ściany pokryły się szronem i kawałkami lodu.

Tracy wydostała się z zimna, lecąc gdzieś w górę. Otworzyła oczy. Leżała w łóżku, trzęsła się i szczykała zębami. Obok leżał koc, ale nie miała sił nakryć się nim. Jej suknia przesiąkła potem, spływającym grubymi kroplami po twarzy i szyi.

„Umrę tutaj. Ale co to znaczy - tutaj? Bezpieczny dom. Jestem w bezpiecznym domu”. Te słowa wydawały się niesłychanie śmieszne. Roześmiała się głośno, a zaraz

potem śmiech przeszedł w paroksyzm kaszlu. Zdawała sobie sprawę z tego, w jak trudnej sytuacji się znajduje. Nie wyjechała z Amsterdamu. Teraz szukają jej w całym mieście. „Mademoiselle Whitney miała zarezerwowany bilet Swissair do Genewy i nie wykorzystała go? W takim razie jest jeszcze w Amsterdamie”.

Zastanawiała się, jak długo leżała w łóżku. Podniosła rękę, żeby spojrzeć na zegarek, ale cyfry na tarczy rozmazały się. Wszystko widziała podwójnie. W małym pokoiku były dwa łóżka, dwa lustra, dwa stoliki i cztery krzesła. Dreszcze minęły, ale ciało było wciąż rozpalone. Chciała otworzyć okno, niestety - była zbyt słaba, żeby wstać. W pokoju znowu zrobiło się zimno.

Jeszcze raz znalazła się w samolocie, zamknięta w skrzyni.

„Wszystko w porządku. Jesteś cudowna, Tracy. Weźmiemy teraz to pudełko”.

Jeff zabrał diamenty i prawdopodobnie uciekł do Brazylii. Zabrał jej udział, a teraz zabawia się z którąś ze swych przyjaciółek, gwizdząc na nią. Nienawidziła go. Nie. Nie był taki okrutny. Tak. Był łajdakiem. Gardziła nim.

Majaki znikwały i powracały znowu. Twarda piłka rzucona przez gracza w *pelotę* leciała w jej stronę, ale Jeff objął ją i pociągnął na ziemię; jego wargi prawie dotykały jej twarzy, a potem poszli na obiad do „Zalacáin”. „Nie jesteś dla mnie kimś obcym, Tracy”.

„Proponuję remis” - powiedział Borys Mielnikow.

Znowu na przekór jej woli, wstrząsnęły nią dreszcze. Siedziała teraz w ekspresie jadącym przez długi, mroczny tunel. Wiedziała, że na końcu tunelu czeka na nią śmierć, wszyscy pasażerowie uciekli przed Kostuchą oprócz Alberta Fornati. Rozwścieczony, chwycił ją za ramię i trząsł, krzycząc coś w swoim języku.

- Na miłość boską! - wrzeszczał. - Otwórz oczy! Spójrz na mnie!

Był blady, a w jego głosie brzmiała rozpacz. Naturalnie, to tylko dalszy ciąg snu.

- Jak długo tutaj leżysz?

- Poleciałeś do Brazylii - wymamrotała Tracy. Niczego więcej nie pamiętała.

Gdy apaszkę z inicjałami T.W. znaną w ładowni samolotu Air France wręczono inspektorowi Trignantowi, przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Potem powiedział: - Proszę wezwać Daniela Coopera.

Chociaż malownicza wioska Alkmaar, na północno-zachodnim wybrzeżu Holandii, jest popularną miejscowością wypoczynkową, w jej wschodniej części znajduje się zakątek stosunkowo rzadko odwiedzany przez turystów. Jeff Stevens był tam kilkakrotnie na wakacjach ze stewardesą KLM, która nauczyła go języka niderlandzkiego. Dość dobrze pamiętał tę okolicę. Jej mieszkańcy zajmowali się przede wszystkim swoimi sprawami, a obcych traktowali dość obojętnie. Miejsce to doskonale nadawało się na kryjówkę.

W pierwszym odruchu Jeff chciał zawieźć Tracy do szpitala, ale uznał, że byłoby to zbyt niebezpieczne. Pobyt w Amsterdamie mógł się zakończyć aresztowaniem ich obojga, należało więc jak najszybciej wyjechać. Owinął Tracy w koce i zaniósł do samochodu. W czasie podróży do Alkmaar przez cały czas była nieprzytomna, puls bił nierówno a oddech rwał się.

W Alkmaar Jeff wprowadził się do małego hoteliku-gospody. Właściciel przyglądał się z ciekawością, gdy prznosił Tracy do jej pokoiku na górnym piętrze.

- Spędzamy tu miesiąc miodowy - wyjaśnił. - Żona złapała jakiś drobny nieżyt dróg oddechowych. Potrzebuje odpoczynku.

- Czy sprowadzić lekarza?

Jeff zawahał się.

- Jeśli okaże się to konieczne, zawiadomię pana.

Przede wszystkim należało zrobić coś, żeby spadła gorączka. Jeff ułożył Tracy na dużym dwuosobowym łóżu w pokoju i rozebrał ją. Najpierw posadził dziewczynę i ściągnął z niej przez głowę przepoconą sukienkę. Potem buty i rajstopy. Skóra Tracy parzyła mu ręce. Jeff skropił ręcznik zimną wodą i delikatnie przetrął nim jej ciało od stóp od głów. Nakrył ją kocem i usiadł na skraju łóżka, wsłuchany w nieregularny oddech Tracy.

„Poczekam do rana - postanowił. - Jeśli nic się nie zmieni, wezwę lekarza”.

Rano pościel była mokra od potu. Tracy nie odzyskała wprawdzie przytomności, ale Jeffowi wydało się, że oddycha już łżej. Postanowił nie wpuszczać pokojówki, by uniknąć zbędnych pytań. Poprosił natomiast gospodarza o zmianę pościeli, którą sam zaniósł do pokoju. Wytarł czoło Tracy wilgotnym ręcznikiem, zmienił prześcieradła w sposób podpatrzony w szpitalu u pielęgniarek i otulił ją kołdrą.

Wywiesiwszy na drzwiach tabliczkę: NIE PRZESZKADZAĆ, wyszedł na poszukiwanie apteki. Kupił aspirynę, termometr, gąbkę i spirytus salicylowy. Gdy wrócił do pokoju, Tracy wciąż leżała nieprzytomna. Jeff zmierzył jej temperaturę: czterdzieści stopni. Przetarł ciało dziewczyny gąbką zmoczoną w spirytusie i jeszcze raz zmierzył jej temperaturę. Nieco spadła.

Po godzinie temperatura podniosła się znowu. Jeff już miał zamiar wezwać lekarza, gdy uświadomił sobie, że ten natychmiast zażądałby umieszczenia Tracy w szpitalu. Nie miał pojęcia, czy policja w ogóle ich szukała, ale jeśli tak było, pobyt w szpitalu mógłby skończyć się dla nich aresztowaniem. Musiał jednak coś zrobić. Rozgniół cztery pastylki aspiryny, wsypał proszek między wargi Tracy i łyżką delikatnie wlewał jej wodę do ust. W końcu przełknęła. Jeszcze raz przetarł jej ciało. Teraz odniósł wrażenie, że skóra nie była już tak gorąca, jak poprzednio. Sprawdził puls; bił chyba trochę równiej. Przyłożył ucho do jej klatki piersiowej i nasłuchiwał, czy oddychała spokojnie. Nie miał pewności, ale wydawało mu się, że tak. Pewny był tylko jednego i powtarzał to sobie do znudzenia, jak litanie:

- Na pewno wyzdrowiejesz. - Pocałował ją delikatnie w czoło.

Jeff nie spał przez ostatnie czterdzieści osiem godzin, był wyczerpany i oczy mu się kleiły. „Wyśpię się później - pomyślał. - Teraz tylko zamknę oczy”.

Nawet nie wiedział, kiedy zasnął.

Gdy Tracy otworzyła oczy i spojrzała w sufit, nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Dopiero po kilku minutach oprzytomniała zupełnie. Jej ciało było obolałe, czuła się, tak jakby powróciła z dalekiej, męczącej podróży. Sennie rozejrzała się po nieznanym pokoju. Nagle jej serce zabiło mocniej. W fotelu przy oknie spał Jeff. To niemożliwe. Kiedy widziała go po raz ostatni, zabrał diamenty i uciekł. Co teraz robił tutaj? Nagle zrozumiała: dała mu niewłaściwe pudełko - to z fałszywymi diamentami i Jeff sądził, że go oszukała. Prawdopodobnie zabrał ją z bezpiecznego domu i przywiózł w to dziwne, nieznanne miejsce.

Gdy usiadła, Jeff przeciągnął się i otworzył oczy. Zobaczył Tracy patrzącą na niego i powoli szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Witaj w domu. - W jego głosie brzmiała ulga i radość tak wielka, że Tracy poczuła się zakłopotana.

- Przepraszam - powiedziała zachrypniętym szeptem. - Dałam ci niewłaściwe pudełko.

- Co?

- Pomyliłam pudełka.

Podszedł do niej i powiedział łagodnie:

- Nie, Tracy. Dałaś mi prawdziwe diamenty. Wysłałem je już do Gunthera.

- Więc dlaczego... dlaczego jesteś tutaj? - Spoglądała na niego w osłupieniu.

Usiadł na skraju łóżka.

- Kiedy dawałaś mi diamenty, byłeś w fatalnym stanie. Postanowiłem poczekać na ciebie na lotnisku, żeby upewnić się, że poleciałaś. Nie zjawiłaś się tam, więc pomyślałem, że masz jakieś kłopoty. Poszedłem do bezpiecznego domu i tam cię znalazłem. Nie mogłem pozwolić ci umrzeć - powiedział sucho. - Policja bez trudu wpadłaby wtedy na nasz trop.

- Powiedz mi prawdę, dlaczego po mnie wróciłeś? - Patrzyła na niego zdziwiona.

- Teraz powinnaś zmierzyć temperaturę - powiedział szybko.

- Nie najgorzej - stwierdził po kilku minutach. - Trzydzieści siedem i kilka kresek. Jesteś zupełnie znośną pacjentką.

- Jeff...

- Zaufaj mi - powiedział. - Głodna?

- Wściekle. - Tracy umierała z głodu.

- Dobrze, zaraz coś przyniosę.

Wrócił ze sklepu dźwigając wielką torbę pełną butelek soku pomarańczowego i mleka, świeżych owoców i wielkich holenderskich *broodjes*, bułek faszerowanych różnymi gatunkami sera, mięsa i ryb.

- To jest podobno holenderska odmiana rosółu - powiedział wyjmując jakąś puszkę. - Tylko nie jedz zbyt żarłocznie.

Pomógł jej usiąść i karmił ją jak niemowlę. Był troskliwy i czuły, a Tracy nic z tego nie rozumiała. „O coś mu na pewno chodzi” - powtarzała sobie.

W pewnej chwili Jeff nagle powiedział:

- Żebym nie zapomniał, właśnie dzwoniłem do Gunthera. odebrał już diamenty. Wpłacił pieniądze na twoje konto w banku szwajcarskim.

- Dlaczego nie zatrzymałeś wszystkiego dla siebie? - Nie mogła powstrzymać się od pytania.

Jeff milczał przez chwilę, a potem odpowiedział poważnym tonem:

- Bo nadszedł czas, żebyśmy skończyli z tymi głupimi sztuczkami, Tracy. Dobra?

To jakiś nowy jego trick, ale była zbyt zmęczona, żeby się zastanawiać. - Dobra.

- Jeśli podasz mi swoje wymiary - ciągnął Jeff - pójdę i kupię ci trochę ubrań. Holendrzy są dość liberalni, ale sądzę, że widząc cię w tym stroju, poczuliby się zgorszeni.

Tracy nakryła się dokładniej kocami, nagle uświadamiając sobie, że jest przecież naga. Pomyślała sobie, że Jeff musiał ją rozebrać i umyć. Ryzykował własne bezpieczeństwo, żeby jej pomóc. Dlaczego? Już prawie uwierzyła, że go rozumie. „Nie rozumiem go zupełnie - pomyślała. - Ani trochę”. Zasnęła.

Jeff wrócił z zakupów po południu, dźwigając dwie ciężkie walizy wypełnione płaszczami, szlafrokami, sukniami, butami i kosmetykami. Nie zapomniał nawet o grzebieniu, szczotkach i suszarce do włosów, paście i szczoteczkach do zębów. Sobie również kupił kilka ubrań i „International Herald Tribune”. Na pierwszej stronie gazety wydrukowano artykuł o kradzieży diamentów; policja domyśliła się, w jaki sposób popełniono przestępstwo, ale - jak twierdził autor artykułu - złodzieje nie pozostawili śladów.

Jeff nabrał animuszu. - Nic nam nie grozi. Teraz tylko szybko wyzdrowiej.

To właśnie Daniel Cooper zaproponował, żeby nie pokazywać dziennikarzom apaszki z inicjałami T.W.

- Dobrze wiemy - rzekł do inspektora Trignanta - do kogo ona należy, ale to jeszcze za mało, żeby ją oskarżyć. Jej adwokaci znaleźliby w Europie setki kobiet o tych samych inicjałach i wyszlibyście na idiotów.

Zdaniem Coopera policja w tej sprawie już dawno zrobiła z siebie idiotów. „Bóg wyda ją w moje ręce”.

Często siadał na małej, drewnianej ławeczce w kościele, modląc się w ciemności. „Och, dobry Boże, oddaj ją mi, błagam Cię, abym mógł obmyć się z moich grzechów. Zło w jej duszy niech będzie przeklęte, a jej nagie ciało wychłostane i wystawione na tortury...” W takich chwilach wyobrażał sobie nagie ciało Tracy należące tylko do niego, czuł erekcję i uciekał z kościoła w obawie, że Bóg zobaczy go i ukarze za grzeszne myśli.

Tracy obudziła się w ciemności. Usiadłszy na łóżku, zapaliła lampkę nocną, stojącą na stoliku obok niej. Była sama, jej opiekun gdzieś odszedł. W niebezpieczny sposób uzależniła się od

Jeffa i był to poważny błąd. „Dobrze mi służy jego kompania” pomyślała gorzko. „Zaufaj mi” - radził jej Jeff, a ona go posłuchała. Bez wątpienia dbał o nią tylko w trosce o swe własne bezpieczeństwo, innego powodu nie mogło przecież być. A mimo to, nie opuszczało jej natrętne wrażenie, że coś do niej czuł. *Chciała* wierzyć, że coś dla niego znaczyła. Leżała nieruchomo, z głową na poduszce i zamkniętymi oczami, myśląc: „Poszedł sobie i zostałam sama. Brakuje mi go. Dobry Boże, jednak mi go brakuje”.

Bóg wyraźnie z niej sobie zadrwił. Dlaczego wybrałam właśnie *jego*? - zastanawiała się. Zresztą, nie jest to takie ważne. Teraz musi pomyśleć o wydostaniu się jak najszybciej z tego miejsca, musi znaleźć się tam, gdzie ostatecznie wyzdrowieje, gdzie będzie bezpieczna. „Och, ty naiwna idiotko! - pomyślała. - Ty...”

W tej chwili drzwi otworzyły się i usłyszała głos Jeffa:

- Tracy! Śpisz? Przyniosłem ci kilka książek i czasopism. Pomyślałem, że może... - przerwał, zobaczywszy wyraz jej twarzy. - Hej! Co się stało?

- Nie teraz... - wyszeptala rozpaczliwie Tracy. - Nie teraz... Następnego dnia gorączka ustąpiła.

- Chciałabym stąd wyjść - powiedziała Tracy. - Czy możemy pójść na spacer, Jeff?

W hotelu już od dawna plotkowano na ich temat. Kiedy właściciele zobaczyli Tracy, nie posiadali się z radości.

- Mąż pani był taki troskliwy... Opiekował się panią, sam zmieniał pościel, przynosił posiłki. Ogromnie się denerwował. Jakie to szczęście, gdy ma się obok siebie kogoś tak kochającego.

Tracy spojrzała na Jeffa i mogłaby przysiąc, że się zarumienił. Kiedy znaleźli się na ulicy, powiedziała:

- Oni są tacy mili...

- Zbyt sentymentalni - uciał Jeff.

Właściciele hotelu wstawili do ich pokoju łóżko polowe dla Jeffa. Tej nocy, nie mogąc zasnąć, Tracy długo o nim myślała. Wspominała, jak o nią dbał, spełniał wszystkie jej życzenia, pielęgnował ją, rozbierał i wycierał pot z jej ciała.

Wciąż miała świadomość jego obecności. W jego pobliżu czuła się bezpieczna. Ale też zakłopotana i onieśmielona.

Z dnia na dzień Tracy czuła się coraz lepiej. Gdy wreszcie całkowicie odzyskała siły, rozpoczęli spacerować po małym miasteczku. Wędrowali aż do Alkmaarder Meer po krętych wybrukowanych uliczkach pamiętających jeszcze średniowiecze, godzinami przesiadywali na plantacjach tulipanów, z dala od centrum niewielkiego osiedla. Odwiedzali mały rynek, gdzie handlowano serem, i średniowieczny skład, w którym kiedyś wazono towary, zwiedzali muzeum miejskie. Ku zdziwieniu Tracy Jeff rozmawiał z mieszkańcami po niderlandzku.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - zapytała.

- Znałem kiedyś pewną Holenderkę. Natychmiast pożałowała swego pytania.

W miarę upływających dni młode ciało Tracy z wolna przewyciężało chorobę. Gdy Jeff uznał, że już wyzdrowiała, wynajął dwa rowery, na których pojechali, żeby obejrzeć okoliczne wiatraki. Każdy dzień był wspaniałym świętem, które mogłoby się nigdy nie kończyć.

Jeff zdumiewał coraz bardziej. Traktował ją z troską i czułością, wobec których topniały wszystkie dawne urazy, a jednak powstrzymywał się od jakichkolwiek zalotów. Jego zachowanie było zagadką. Myślała o pięknych kobietach, w których towarzystwie go widywała, i z których każda - co do tego nie miała wątpliwości - uwielbiała go. Dlaczego więc wolał towarzyszyć jej w tym zapomnianym zakątku świata?

Rozmawiając z nim, Tracy mimowolnie poruszała sprawy pozornie od dawna zapomniane. Opowiedziała Jeffowi o Joe Romano i Anthonym Orsatti, o Ernestynie Littlechap i Dużej Bercie, i o małej Amy Brannigan. Jeff złościł się, martwił albo cieszył. Sam opowiadał jej z kolei o swojej macosze i wujaszku Willie, o „karnawałowych” czasach i swoim małżeństwie z Louise. Był pierwszym mężczyzną, w którego towarzystwie tak doskonale się czuła.

Niespodziewanie dla nich obojga nadszedł czas wyjazdu.

Pewnego ranka Jeff powiedział:

- Policja już nas nie szuka, Tracy. Możemy stąd wyjechać. Poczula coś w rodzaju zawodu.

- Dobrze. Kiedy? - Jutro. Skinęła głową.

- Spakuję się rano.

Tej nocy Tracy długo nie mogła zasnąć. Czuła niemal namacalną obecność Jeffa w każdym kącie pokoju. Nigdy przedtem nie wydawał się jej taki niezbędny. W tym miasteczku spędziła niezapomniane chwile swego życia, które teraz miały się skończyć. Spojrzała na łóżko polowe, na którym leżał.

- Śpisz? - szepnęła.

- Nie...

- O czym myślisz?

- O jutrze. Wyjeżdżamy stąd. Trudno mi będzie zapomnieć o tym wszystkim...

- Ja ciebie nie zapomnę, Jeff. - Słowa te wyrwały się z jej ust, zanim zdążyła pomyśleć. Jeff powoli wstawał patrząc na nią.

- Nie zapomnisz mnie? - zapytał. - Nigdy.

W chwilę później był przy niej.

- Tracy...

- Ciii... Nic nie mów. Obejmij mnie.

Zaczęło się powoli: od delikatnego muśnięcia dłoni, dotykającej jej ciała, pieszczotliwej i łagodnej. Potem przerodziło się w wybuch. Stopniowo rosło i nabrzmiewało w jej wnętrzu, w zwariowanym szalonym rytmie, aż stało się orgią dzikiej rozkoszy, nieokiełznanej i nienasyconej. Jego twardy członek pogrążał się w niej, uderzał ją i wypełniał, aż krzyczała w niewysłowionej ekstazie. Szybowała wysoko w chmurach. Porwała ją fala przyływu, unosząc wciąż wyżej i wyżej. Coś w niej wybuchało, aż ciałem wstrząsało drzenie. Stopniowo burza cichła. Tracy zamknęła oczy. Czuła wargi Jeffa przesuwające się po jej ciele, w dół, w dół, do centrum jej istoty i znowu porwała ją szalona fala rozkoszy.

Przyciągnęła Jeffa do siebie i trzymała go, czując jego serce bijące przy swoim. Napięła mięśnie, chcąc złączyć się z nim, ale wciąż był za daleko. Przesunęła się na koniec łóżka i odnalazła jego ciało ustami, składając na nim łagodne, czule pocałunki, stopniowo coraz wyżej, aż poczuła w swych dłoniach jego nabrzmiałą męskość. Głaskała ją łagodnie, a potem włożyła do ust, słuchając jego błogich westchnień. Potem Jeff wydzwignął się ponad nią i wszystko zaczęło się od początku, jeszcze bardziej szalone i podniecające, jak fontanna tryskająca niewysłowioną rozkoszą. Tracy pomyślała: „Teraz już wiem. Po raz pierwszy wiem. Ale muszę pamiętać, że to tylko dzisiaj, taki wspaniały pożegnalny prezent”.

Przez całą noc kochali się, rozmawiali o wszystkim i o niczym i było to, jak gdyby jakieś od niepamiętnych czasów zamknięte bramy otworzyły się przed nimi. O świcie, gdy wschodzące słońce wypełniło kanały swoim blaskiem, Jeff powiedział:

- Pobierzemy się Tracy. - Sądziła, że źle go zrozumiała, ale powtórzył znowu: - Pobierzemy się Tracy.

Pomyślała, że byłoby to niezwykle i szalone, a nade wszystko niemożliwe, lecz jednocześnie cudowne i wspaniałe, i oczywiście możliwe.

- Tak. Och, tak! - szepnęła.

Rozplakała się, szczęśliwa i bezpieczna w jego ramionach. „Już nigdy nie będę sama - pomyślała. - Należymy do siebie. Jeff jest częścią mojej przyszłości, mojego jutra”.

Nareszcie zobaczyła jutro.

- Od kiedy to zrozumiałeś, Jeff? - zapytała go później.

- Od chwili, gdy zobaczyłem cię w tym domu i pomyślałem, że zaraz umrzesz. Byłem bliski obłądu.

- A ja myślałam, że uciekłeś z diamentami - przyznała Tracy. Objął ją.

- Tracy, tam w Madrycie, wcale nie chodziło mi o pieniądze. To była gra - wielkie wyzwanie. Właśnie dlatego to robimy, prawda? Ktoś stawia przed tobą problem nie do rozwiązania, a ty zaczynasz się zastanawiać: może jednak jest jakiś sposób?

- Wiem. - Skinęła głową - Z początku po prostu potrzebowałam pieniędzy, a potem to stało się celem samym w sobie, przecież roztrwoniałam już majątek. Uwielbiam walkę z ludźmi, którzy są tacy zadowoleni z siebie, tacy silni i bez skrupułów. Uwielbiam żyć na skraju przepaści, na granicy ryzyka. Zapadła długa cisza. Potem odezwał się Jeff.

- Tracy... co myślisz o rzuceniu tego wszystkiego?

- Rzuceniu? Dlaczego? - Spojrzała na niego zdziwiona.

- Poprzednio każde z nas było samo, ale teraz wszystko się zmieniło. Nie zniósłbym, gdyby coś ci się stało. Mamy już dosyć pieniędzy na całe piękne życie. Po co jeszcze ryzykować? Dlaczego nie mielibyśmy po prostu odejść na emeryturę?

- Co byśmy robili na tej emeryturze?

- Cokolwiek. - Roześmiał się.

- Poważnie, kochanie, jak wyobrażasz sobie nasze życie?

- Robilibyśmy wszystko, na co mielibyśmy ochotę, Podróże, spełnianie własnych marzeń. Chciałbym zorganizować wyprawę archeologiczną do Tunezji. Obiecałem to kiedyś staremu przyjacielowi. Możemy sfinansować własne wykopaliska, podróżować po całym świecie.

- To brzmi wspaniale.

- Więc co ty na to? - Patrzyła na niego przez chwilę.

- Jeśli właśnie tego chcesz...? - szepnęła powoli. Objął ją i roześmiał się.

- Może powinniśmy pójść na policję i złożyć uroczyste oświadczenie?

Roześmieli się oboje.

Te kościoły były starsze niż wszystkie inne, w których dotychczas modlił się Cooper. Niektóre powstały jeszcze w czasach pogańskich i wychodząc z nich, nie miał pewności, czy modlitwa jego służyła Bogu, czy też diabłu. Siadał ze spuszczoną głową w tysiącletnim Beguine Court Church i w St. Bavokerk, i Pieterskerk, i w Nieuwekerk w Delft, wszędzie modląc się o to samo. „Boże, pozwól jej cierpieć tak, jak ja cierpię”.

Gunther Hartog zadzwonił następnego dnia. Jeff właśnie gdzieś wyszedł.

- Jak się czujecie? - zapytał.

- Jeśli o mnie chodzi, doskonale - zapewniła go Tracy. Gunther od chwili, gdy dowiedział się o jej chorobie, dzwonił codziennie. Tracy postanowiła na razie nie wtajemniczać go w plany swoje i Jeffa, uważając, że może jeszcze z tym poczekać. Musi sama nacieszyć się Jeffem, przemyśleć wszystko.

- A jak wasze wzajemne kontakty? Czy żyjecie w zgodzie?

- W idealnej. - Roześmiała się.

- Można wam zaproponować wspólną pracę? Teraz już musiała mu powiedzieć.

- Gunther... my... rezygnujemy. - Na chwilę zapadła cisza.

- Nie rozumiem.

- Jeff i ja rozpoczynamy - jak to mówiono w starych filmach z Jamesem Cagneyem - uczciwe i przykładowe życie.

- Co? Ale... dlaczego?

- To był pomysł Jeffa, a ja się z nim zgadzam. Od dziś żadnego ryzyka.

- A gdybym ci powiedział, że praca, którą wam proponuję, warta jest dwa miliony dolarów i nie ma ryzyka?

- Uśmiełabym się, Gunther

- Mówię poważnie, moja droga. Pojechałybyś do Amsterdamu, który jest tylko o godzinę drogi stąd i...

- Znajdziesz kogoś innego, przyjacielu.

- Obawiam się, że nie ma nikogo innego - westchnął. - Czy możesz przynajmniej przedyskutować tę sprawę z Jeffem?

- Dobrze, ale to nic nie zmienia.

- Zadzwoń do was jeszcze raz, dziś wieczorem. Po powrocie Jeffa Tracy powtórzyła mu tę rozmowę.

- Nie wspominałaś mu, że wróciliśmy na drogę cnoty?

- Oczywiście, kochanie, poradziłam mu, żeby poszukał kogoś innego.

- Ale on nie chce - zgadł Jeff.

- Bardzo nalegał, żebyśmy to zrobili. Powiedział, że nie ma ryzyka i że bez trudu możemy zarobić dwa miliony dolarów.

- W takim razie to, co ma na myśli, strzeżone jest jak Fort Knox.

- Albo Prado - złośliwie zauważyła Tracy. Jeff roześmiał się.

- To była naprawdę sprytna sztuczka, kochanie. Wiesz, chyba właśnie wtedy zakochałem się w tobie.

- Ja myślę, że wtedy właśnie zaczęłam cię nienawidzić. Kiedy ukradłeś mi Goyę...

- Bądźmy dokładni - upomniał ją Jeff. - Znienawidziłaś mnie dużo wcześniej.

- Masz rację. Co odpowiemy Guntherowi?

- To, co już usłyszał od ciebie. W tej branży już nie pracujemy.

- Czy nie powinniśmy przynajmniej dowiedzieć się, o co mu chodzi?

- Tracy, uzgodniliśmy już, że...

- Przecież i tak jedziemy do Amsterdamu, prawda?

- Tak, ale...

- No więc, skoro i tak tam jedziemy, to dlaczego nie moglibyśmy posłuchać, co ma do powiedzenia Gunther?

Jeff patrzył na nią podejrzliwie.

- Ty chcesz się zgodzić, Tracy, prawda?

- Co ty wygadujesz? Oczywiście, że nie. Ale mimo wszystko posłuchajmy co nam zaproponuje...

Następnego dnia byli już w Amsterdamie, w hotelu „Amstel”. Gunther Hartog przyleciał do nich z Londynu.

Niby przypadkowi turyści spotkali się na małym wodolocie wycieczkowym, kursującym po rzece Amstel.

- Bardzo się cieszę, że zamierzacie się pobrać - powiedział Gunther. - Moje najserdeczniejsze gratulacje.

- Dziękuję ci, Gunther - Tracy wiedziała, że mówił to szczerze.

- Rozumiem wasze pragnienie odejścia na emeryturę, ale właśnie stanąłem wobec propozycji tak niezwyklej, że muszę ją wam przedstawić. Może to być dość intratne zakończenie działalności.

- Słuchamy - rzekła Tracy z lekkim zniecierpliwieniem. Gunther pochylił się i mówił szeptem przez kilka minut. Na zakończenie dodał:

- Dwa miliony dolarów, jeśli się wam to uda.

- Nic z tego - bezbarwnie podsumował Jeff. - Tracy... Ale Tracy nie słuchała go. Myślała o czekającym ją zadaniu.

Kwatera główna policji w Amsterdamie, na rogu Marnix Straat i Elandsgracht, mieści się w pięknym, starym, czteropiętrowym budynku. Korytarze zdobi jasna sztukateria, a klatka schodowa wyłożona jest marmurem. Podczas gdy Tracy wprowadzała się do hotelu „Amstel”, w sali konferencyjnej odbywało się zebranie Gemeentepolitie. Brało w nim udział sześciu funkcjonariuszy holenderskiej policji i jeden Amerykanin - Daniel Cooper.

Inspektor Joop van Duren był mężczyzną gigantycznych rozmiarów, o pucołowatej twarzy ozdobionej sumiastym wąsem. Głos miał głęboki, basowy. Rysownik, pragnący nakreślić jego karykaturę, nie miałby zbyt trudnego zadania. Zwracał się właśnie do Toona Willemsa, szczupłego, wysportowanego naczelnego komisarza - szefa miejskiej policji.

- Panie komisarzu, dziś rano do Amsterdamu przybyła Tracy Whitney. Interpol przypisuje jej niedawną kradzież diamentów firmy De Beers. Obecny tu pan Cooper twierdzi, że przybyła do Holandii z zamiarem popełnienia kolejnego przestępstwa.

Naczelny komisarz Willems zwrócił się do Coopera:

- Czy ma pan na to jakieś dowody, panie Cooper?

Daniel Cooper nie potrzebował dowodów. Znał Tracy Whitney lepiej niż siebie samego. To jasne, że przybyła tu, aby popełnić przestępstwo, jakiego ci policjanci nie są w stanie nawet sobie wyobrazić. Z trudem opanował zniecierpliwienie.

- Nie ma żadnego dowodu. Jedyna rada to przyłapać ją na gorącym uczynku.

- A jak pan to sobie wyobraża?

- Musimy ją nieustannie obserwować.

Słowo *musimy* zbulwersowało nieco naczelnego komisarza. Rozmawiał o Cooperze z inspektorem Trignantem.

„On jest wstrętny, ale naprawdę wie, co robi. Gdybyśmy słuchali jego rad, niewykluczone, że złapalibyśmy tę pannę Whitney już dawno”. Cooper twierdził dokładnie to samo.

Toon Willems podjął już decyzję. Dużo rozmyślał o tej szeroko komentowanej w prasie historii nieudanych poszukiwań sprawców kradzieży diamentów De Beers. Cóż z tego, że francuska policja nie zdołała ująć złodziei? Policja holenderska poradzi sobie znacznie lepiej.

- Dobrze więc - stwierdził naczelnny komisarz. - Jeśli ta dama tak bardzo pragnie sprawdzić skuteczność działania naszej policji, jej życzenie zostanie spełnione. - Zwrócił się do inspektora van Durena. - Panu powierzam tę sprawę, inspektorze.

Amsterdam dzieli się na sześć policyjnych okręgów i policjanci rzadko przekraczają ich granice. Na polecenie inspektora van Durena podział ten w czasie trwania akcji przeciwko Tracy Whitney przestał obowiązywać, a policjanci z różnych okręgów zobowiązani zostali do ścisłej współpracy. Wyznaczono grupy operacyjne, których zadaniem było obserwowanie podejrzanych.

- Ma być pilnowana przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nigdy i nigdzie nie wolno wam stracić jej z oczu.

Inspektor van Duren zwrócił się do Daniela Coopera.

- Sądzę, panie Cooper, że teraz jest pan usatysfakcjonowany.

- Ani trochę, dopóki Tracy pozostaje na wolności.

- Złapiemy ją - zapewnił go inspektor. - Widzi pan, panie Cooper, ten kraj szczyli się posiadaniem najlepszej organizacji policyjnej na świecie.

Amsterdam to miasto uwielbiane przez turystów, miasto setek wiatraków, zapór wodnych, domków o spadzistych dachach, pochylających się nad wodą kanałów i okolonych drzewami i zielenią. W kanałach stoją obok siebie jeszcze piękniejsze, kolorowe domki, zbudowane na wodzie, przyozdobione kwiatami geranium i rozwieszoną do suszenia bielizną, powiewającą na wietrze. Holendrzy byli chyba najbardziej towarzyskim narodem, z jakim zetknęła się Tracy podczas swoich podróży.

- Wszyscy są tutaj tacy szczęśliwi - podzieliła się z Jeffem swoimi spostrzeżeniami.

- Pamiętaj, że mieszkają tu ludzie-kwiaty. Ludzie-tulipany. Tracy roześmiała się i ścisnęła go za ramię. Przebywanie z nim sprawiało jej tyle radości. „Jest taki cudowny”. W tej samej chwili Jeff spoglądał na nią, myśląc: „Jestem chyba najszcześniejszym facetem na świecie”.

Tracy i Jeff zwiedzili wszystkie zakątki Amsterdamu, które zwykle zwiedzają turyści. Byli na Albert Cuyp Straat, wielkim jarmarku pod gołym niebem, na którym sprzedawano kwiaty, owoce i warzywa, antyki i ubrania. Potem wybrali się na spacer po placu Dam, gdzie gromadziły się grupy młodzieży, aby słuchać wędrownych śpiewaków i zespołów punkowych. Pojechali do Volendam, malowniczej rybackiej wioski na brzegu Zuider Zee, i do Madurodam, nazywanej przez turystów „Holandią w pigułce”. Gdy przejeżdżali koło kipiącego gwarem lotniska Schiphol, Jeff powiedział:

- Jeszcze niedawno teren, na którym zbudowano port lotniczy, znajdował się głęboko pod powierzchnią morza. Schiphol to po holendersku „cementarzysko statków”.

Tracy przytuliła się do niego.

- Fascynujące! Jak to miło zakochać się w takim światowym facecie.

- To jeszcze nie wszystko, co mam do powiedzenia. Dwadzieścia pięć procent całej Holandii to ziemia odebrana morzu. Cały ten kraj leży pięć metrów poniżej poziomu Morza Północnego.

- Przerazające.

- Wcale nie. Jesteśmy zupełnie bezpieczni, dopóki morze nie rozwali tam.

Przez cały czas towarzyszyli im pracownicy Gemeentepolitie i co wieczór Daniel Cooper wczytywał się w każde słowo obszernych raportów wręczanych inspektorowi van Durenowi. Nie dawał się zwieść opisom wędrówek, jakie w nich

znajdował. „Ona coś knuje - mrucał do siebie. - Coś niezwykłego. Ciekawe, czy wie, że jest śledzona? Ciekawe, czy wie, że wkrótce ją zniszczę?”

Obserwacje nie ujawniły nic podejrzanego. Postępowanie Tracy Whitney i Jeffa Stevensa w niczym nie odbiegało od zachowania setek innych turystów zwiedzających Amsterdam każdego dnia. Dziwiło to inspektora van Durena.

- Czy pan się aby nie myli? Może oni przyjechali tu na wycieczkę?

- Nie - powtarzał Cooper z uporem. - Nie myślę się. Proszę jej pilnować.

Przecucie podpowiadało mu, że czas upływa i jeżeli Tracy Whitney nie zrobi nic, co pozwoliłoby inspektorowi wyrobić sobie opinię o jej prawdziwych zamiarach, nadzór może zostać odwołany. Nie mógł do tego dopuścić. Przyłączył się do obserwujących Tracy policjantów.

Pokoje hotelowe Tracy i Jeffa przylegały do siebie.

- To ze względu na przyzwoitość - powiedział jej Jeff. - Ale i tak nie pozwolę ci zbyt daleko się oddalić.

- Naprawdę?

Każdą noc spędzali razem, kochając się do świtu. Jeff był niezrównanym kochankiem, na przemian czułym i rozważnym, szalonym i nieokiełznanym.

- Dopiero teraz - szepnęła mu kiedyś - przekonałam się, po co mam ciało. Dziękuję ci, kochanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Nieprawda, połowa jest moja.

Włóczyli się po ulicach bez celu. Na lunch chodzili do restauracji „Excelsior” w „Hôtel de l’Europe”, na obiad do „Bowedery”, kosztując po kolei każdego z dwudziestu dwóch dań, serwowanych na wyspie Bali. Spróbowali *erwtensoep* - słynnej holenderskiej zupy grochowej, *hutspot* - potrawy z ziemniaków, marchwi i cebuli, *boerenkool met worst* - dania warzywnego z kawałkiem wędzonej kielbasy. Odwiedzili *walletjes*, rozrywkową dzielnicę Amsterdamu, gdzie tęgie prostytutki ubrane w kimona nagabywały swoich klientów z wychodzących na ulicę okien, ale każdego wieczoru pisemny raport przedstawiany inspektorowi van Durenowi kończył się tym samym zdaniem: „Nic podejrzanego”.

„Cierpliwości - powtarzał sobie Daniel Cooper. - Cierpliwości”.

Na jego żądanie inspektor van Duren zwrócił się do naczelnego komisarza Willemsa z prośbą o pozwolenie na zainstalowanie elektronicznych urządzeń podsłuchowych w pokojach obojga podejrzanych. Nie otrzymał go.

- Jeśli pańskie podejrzenia poparte zostaną jakimś konkretnym dowodem - powiedział naczelnny komisarz - proszę mnie zawiadomić. Nie mogę zezwolić na tak dokładną inwigilację dwojga osób, których jedyną winą jest podróżowanie po Holandii.

Rozmowa ta odbyła się w piątek. W poniedziałek rano Tracy i Jeff poszli na Paulus Potter Straat w Coster, do największego w Amsterdamie ośrodka handlu diamentami, aby zwiedzić słynną Państwową Szlifiernię Diamentów. Daniel Cooper z policjantami podążyli ich śladem. Część zakładu udostępniona do zwiedzania pełna była turystów. Grupę, do której się przyłączyli, oprowadzał przewodnik mówiący po angielsku. Szczegółowo objaśniał cały proces szlifowania, a na zakończenie wprowadził grupę do dużej sali, w której pod ścianami stały gablotki z diamentami przeznaczonymi na sprzedaż. Był to oczywiście kulminacyjny punkt wszystkich wycieczek po zakładzie. Pośrodku sali stała duża, szklana gablota, efektownie umieszczona na wysokim, czarnym piedestale. Wewnątrz niej znajdował się największy diament, jaki Tracy widziała w życiu.

Przewodnik oświadczył z dumą:

- Panie i panowie, w tej gablocie znajduje się słynny Diament Lukullusów, o którym prawdopodobnie wszyscy słyszeliście. Kiedyś kupił go pewien aktor teatralny na prezent dla swojej żony - słynnej gwiazdy filmowej, a obecnie jego wartość szacuje się na dziesięć milionów dolarów. To diament bez skazy, jeden z najdoskonalszych w świecie.

- Musi stanowić nie lada pokusę dla złodziei - zauważył Jeff głośno.

Daniel Cooper przesunął się do przodu, żeby lepiej słyszeć. Przewodnik uśmiechnął się pobłaźliwie.

- *Nee, mijnheer.* - Wskazał na uzbrojonego strażnika, stojącego w pobliżu. - Ten kamień strzeżony jest znacznie lepiej niż brytyjskie klejnoty koronne. Nie ma obawy. Jeśli ktokolwiek dotknie tej szklanej obudowy - rozlega się alarm - *vlug!* - i natychmiast wszystkie drzwi i okna zostają automatycznie zablokowane. W nocy włączamy elektroniczne czujniki i jeśli ktoś niepożądany znajdzie się w tym pokoju, rozlega się alarm w głównej kwaterze policji.

Jeff spojrział na Tracy i powiedział z przekonaniem:

- W takim razie prawdopodobnie nikt nawet nie próbuje go ukraść.

Cooper i jeden z policjantów wymienili spojrzenia. Tego wieczoru inspektor van Duren uważniej niż zwykle studiował raport.

Następnego dnia Tracy i Jeff wybrali się do Rijksmuseum. Przy wejściu Jeff kupił plan muzeum, w chwilę później przeszli przez główną salę do Galerii Honoru z obrazami Fra Angelica, Murilla, Rubensa, van Dycka i Tiepola. Chodzili niespiesznie, przystając przed każdym dziełem. Potem znaleźli się w sali Nocnej Straży, gdzie wisiało największe arcydzieło Rembrandta. Tam zatrzymali się najdłużej. Atrakcyjna funkcjonariuszka policji, Fien Hauer, podążająca tuż za nimi, westchnęła z przejęciem.

Obraz ten nosił tytuł: „Kompania kapitana Fransa Branninga Cocqa i porucznika Willema von Ruytenburcha” i przedstawiał grupę żołnierzy szykujących się do zmiany warty pod komendą swego kapitana, ubranego w barwny mundur. Płótno ogrodzone było welwetową liną i pilnowane przez strażnika, stojącego w pobliżu.

- Trudno w to uwierzyć - rzekł Jeff do Tracy - ale Rembrandt zebrał niezłe cięgi za ten obraz.

- Dlaczego? Jest taki wspaniały!

- Jego zleceniodawcy - kapitanowi, który jest tu namalowany - nie spodobało się, że Rembrandt zbyt mocno wyeksponował inne osoby. - Jeff odwrócił się do strażnika. - Sądzę, że obraz jest dobrze strzeżony.

- *Ja, mijnheer*. Złodzieja w tym muzeum czekają same niespodzianki: elektroniczne czujniki, ukryte kamery, a w nocy - dwaj strażnicy z psami patrolowymi.

Jeff roześmiał się szczerze.

- W takim razie nikt go stąd nie ruszy do końca świata. Późnym wieczorem rozmowę tę powtórzono van Durenowi.

- „Nocna straż”! - wykrzyknął. - *Alstublieft*, to niemożliwe! Daniel Cooper zamrugał, patrząc na niego swoimi niespokojnymi, krótkowzrocznymi oczami.

Gdy w Amsterdamskim Centrum Kongresowym zorganizowano wystawę filatelistyczną, Tracy i Jeff pojawili się tam jako pierwsi. Sali strzeżono niezwykle pilnie, ponieważ wystawione eksponaty posiadały ogromną wartość. Cooper w towarzystwie holenderskiego policjanta obserwował jak goście z zainteresowaniem

pochylają się nad szklanymi gablotami. Tracy i Jeff zatrzymali się nad nieciekawie wyglądającym, sześciokątnym znaczkiem z Guberni Brytyjskiej.

- Ten mi się nie podoba - stwierdziła Tracy.

- Nie dotykaj szkła, kochanie. To jedyny egzemplarz z tej serii na świecie.

- Ile jest wart?

- Milion dolarów.

Przysłuchujący się rozmowie urzędnik skinął głową.

- Ma pan rację, sir. Większość gości nie zdaje sobie z tego sprawy i po prostu przechodzi dalej. Ale sądzę, że pan, sir, jest zapalonym kolekcjonerem znaczków, podobnie jak ja. Można z nich odczytać całą historię ludzkości.

Tracy i Jeff podeszli do następnego eksponatu. Był błędnie wydrukowany i przedstawiał lecący do góry nogami samolot.

- Ten jest interesujący - zauważyła Tracy.

- Jego wartość wynosi... - odezwał się strażnik pilnujący kasetki.

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów - wtrącił się Jeff.

- Tak, proszę pana. Dokładnie tyle.

Podeszli do niebieskiego znaczka z nadrukiem Misji Hawajskiej. Wydrukowano na nim cenę - dwa centy.

- Ten wart jest ćwierć miliona dolarów - powiedział Jeff. Cooper krążył wokół nich, ukryty w tłumie zwiedzających.

- Tutaj mamy nadzwyczaj rzadki okaz. - Jeff wskazał następny znaczek. - Wydany przez pocztę na Mauritiusie, kosztował jednego pensa. Zamiast „postpaid”, jakiś rozkojarzony grawer wydrukował „post office”. Dziś wart jest grube pieniądze.

- Wszystkie są takie małe i tak cenne - powiedziała Tracy. - Tak łatwo po prostu schować je do kieszeni i wyjść.

Strażnik stojący przy gablotce roześmiał się.

- Złodziej nie uciekłby daleko, proszę pani. Te gablotki są strzeżone przez elektroniczne czujniki, a strażnicy z karabinami patrolują Centrum Kongresowe dzień i noc.

- Można spać spokojnie - powiedział Jeff z odcieniem ulgi w głosie. - Ale w dzisiejszych czasach nic nie jest pewne, prawda?

Tego popołudnia Daniel Cooper i inspektor Joop van Duren udali się do naczelnego komisarza Willemsa na wspólną naradę. Van Duren położył na biurku komisarza plik raportów i usiadł w milczeniu. Komisarz przeglądał raporty.

- Nic z tego nie wynika - rzekł w końcu - ale przyznaję, że ci ludzie wydają się węszyć wokół bardzo cennych przedmiotów. Dobrze, inspektorze. Proszę działać. Ma pan moją oficjalną zgodę na umieszczenie urządzeń podsłuchowych w ich pokojach.

Daniel Cooper nie posiadał się z radości. Nie będzie już intymnych spraw Tracy Whitney. Wkrótce pozna jej wszystkie tajemnice, będzie wiedział, co myśli, mówi, planuje. Stał mu przed oczami obraz Tracy i Jeffa w łóżku, przypomniał mu się jej zapach, uczucie szorstkości, gdy pocierał twarz jej bielizną. Taka miękka, taka odurzająca.

Resztę popołudnia spędził w kościele.

Wieczorem, gdy Tracy i Jeff wyszli na obiad, do ich pokoi wkroczyła ekipa techników holenderskiej policji. Za obrazami, wewnątrz lamp oraz pod nocnymi stolikami umieszczono miniaturowe nadajniki radiowe.

Inspektor van Duren zajął apartament znajdujący się dokładnie ponad pokojem Tracy, a jeden z techników zainstalował tam odbiornik radiowy z anteną i podłączył magnetofon.

- Urządzenie włącza się automatycznie na dźwięk głosu - wyjaśnił technik. - Nie wymaga obsługi. Gdy ktoś zacznie mówić, magnetofon rejestruje jego głos.

Ale Daniel Cooper *chciał* tam być. *Musiał* tam być. Taka była wola Boga.

Następny ranek Daniel Cooper, inspektor Joop van Duren i jego młody asystent, konstabl śledczy Wittkamp spędzili w apartamencie na górze, słuchając rozmowy prowadzonej piętro niżej. - Więcej kawy? - głos Jeffa.

- Nie, dziękuję, kochanie. Spróbuj tego sera, który przed chwilą przyniesiono. Jest naprawdę doskonały.

Krótką chwilą ciszy.

- Mmmm. Pyszny. Jakie mamy na dzisiaj plany, Tracy? Moglibyśmy przejechać się do Rotterdamu.

- A może zostaniemy i odpoczniemy po tych spacerach? - To brzmi nieźle.

Daniel Cooper wiedział, co mieli na myśli, mówiąc o „odpoczynku”. Grymas wściekłości pojawił się na jego twarzy.

- Królowa uczestniczy dziś w ceremonii otwarcia nowego sierocińca.

- To miłe. Ci Holendrzy to chyba najbardziej gościnni i wspaniałomyślny naród na świecie. Sami indywidualiści. Nie cierpią żadnych przepisów ani kodeksów.

Śmiech.

- Oczywiście. Właśnie dlatego tak się nam podobają. Zwykła poranna rozmowa dwojga zakochanych. „Są tacy swobodni, tacy odprężeni - myślał Cooper. - Ale ona mi za to zapłaci!”

- Jeśli już mowa o wspaniałomyślnych ludziach - głos Jeffa - zgadnij, kto mieszka z nami pod jednym dachem? Nieuchwytny Maksymilian Pierpont. Umknął mi na „Queen Elizabeth II”.

- A mnie w Orient Expressie.

- Przyjechał tu prawdopodobnie, żeby wykończyć następną firmę. Teraz, kiedy go odnaleźliśmy, Tracy, naprawdę powinniśmy się nim zająć. Sądzę, że póki jest w pobliżu...

Śmiech Tracy.

- Niezły pomysł, kochanie.

- Słyszałem, że nasz przyjaciel posiada zwyczaj zabierania ze sobą cennych pamiątek. Wpadłem na pomysł, że...

Inny głos, żeński.

- *Dag, mijnheer, dag, mevrouw. Czy pozwolą państwo teraz sprzątnąć swój pokój?*

- Proszę śledzić tego Maksymiliana Pierponta - Van Duren zwrócił się do konstabla Wittkampa. - Jeśli Whitney albo Stevens w jakikolwiek sposób skontaktują się z nim, chcę o tym wiedzieć.

Inspektor van Duren raportował naczelnemu komisarzowi Toonowi Willemsowi:

- Oni mogą spróbować wielu sztuczek, komisarzu. Jak dotąd, zainteresowali się osobą bogatego Amerykanina o nazwisku Maksymilian Pierpont, odwiedzili wystawę filatelistyczną, oglądali Diament Lukullusów w Państwowej Szlifierni Diamentów, spędzili dwie godziny przed obrazem „Nocna straż”...

- *Een diefstal van de Nachtwacht? Nee!* To niemożliwe! Naczelnny komisarz siedział przy swym biurku i myślał. Zastanawiał się, czy jego podwładni nie na próżno tracili czas. Tyle domysłów i tak mało faktów...

- Więc, na razie nie zna pan ich zamiarów?

- Nie, komisarzu. Nie jestem też przekonany, czy oni sami już się zdecydowali. Ale kiedy się zdecydują, poinformują nas o tym.

- Poinformują was? - Willems zmarszczył brwi.

- Dzięki podsłuchowi - wyjaśnił van Duren. - Nie wiedzą, że słyszymy ich rozmowy.

Sytuacja zmieniła się następnego dnia o dziewiątej rano. Podejrzani kończyli śniadanie w pokoju Tracy. Piętro wyżej dyżurowali Daniel Cooper, inspektor Joop van Duren i konstabl śledczy Wittkamp. Usłyszeli chłupot nalewanej kawy.

- Dziś rano znalazłem w prasie ciekawą informację. Nasz przyjaciel miał rację. Posłuchaj: „Amro Bank wysłała pięć milionów dolarów w sztabkach złota do Zachodnich Indii Holenderskich”.

W pokoju na górnym piętrze konstabl Wittkamp westchnął.

- To niemożliwe...

- Ciii... Słuchali.

- Ciekawe, ile waży pięć milionów dolarów w sztabkach? - głos Tracy.

- Powiem ci dokładnie, kochanie. Siedemset czterdzieści siedem i cztery dziesiąte kilograma; będzie tego około sześćdziesięciu siedmiu sztabek. Złoto ma tę zaletę, że nigdy nie zdradza, swych poprzednich właścicieli: po przetopieniu może należeć do każdego. Oczywiście, byłyby trudności z wywiezieniem tych sztabek z Holandii.

- Nawet gdyby się to miało udać, najpierw trzeba byłoby je zdobyć. Jak sobie to wyobrażasz? Mamy po prostu wejść do banku i zabrać je?

- Coś w tym rodzaju.

- Żartujesz.

- Nigdy nie żartuję, gdy w grę wchodzi takie pieniądze. Jeśli chcesz, obejrzymy sobie ten Amro Bank.

- Co masz na myśli?

- Opowiem ci o tym po drodze.

Rozległ się trzask zamykanych drzwi i głosy umilkły. Inspektor van Duren z przejścia skubał wąsik.

- *Nee!* Nie uda im się nawet powąchać złota. Ja sam zaleciłem stosowne środki ostrożności.

- Jeśli tylko w bankowym systemie bezpieczeństwa jest jakaś luka, to Tracy Whitney ją znajdzie i wykorzysta - zauważył obojętnie Daniel Cooper.

Inspektor van Duren z trudem powstrzymywał irytację. Ten dziwny Amerykanin budził w nim wstręt już od pierwszego spotkania. Trudno było zaakceptować jego niczym nie uzasadnione poczucie wyższości. Ale inspektor van Duren był policjantem z krwi i kości i wiedział, że musi współpracować z tym śmiesznym małym człowieczkiem.

- Proszę zwiększyć ilość funkcjonariuszy nadzorujących Tracy - zwrócił się do Wittkampa. - Od zaraz. Niech fotografują każdą osobę, z którą się skontaktują, i niech ją wypytają, o czym rozmawiali. Jasne?

- Tak, inspektorze.

- Ale, pamiętajcie - bardzo dyskretnie. Oni nie mogą wiedzieć, że są obserwowani.

- Tak, inspektorze.

Van Duren spojrzał na Coopera.

- No tak. Czy jest pan zadowolony? Cooper nie odpowiedział.

W ciągu kilku następnych dni ludzie inspektora van Durena nie narzekali na brak zajęcia, zaś Daniel Cooper wertował z pasją ich codzienne raporty. Nocą, gdy pozostali członkowie zespołu nasłuchowego schodzili już z posterunku, Cooper zwlekał. Wyteżał słuch, w wyobraźni odtwarzając to, co działo się w pokoju. Nic nie

słyszał, ale wyobrażał sobie słowa Tracy: „Och, tak, kochanie, tak, tak... Och, Boże, nie mogę wytrzymać... to takie wspaniałe... Teraz, właśnie teraz...”

Potem krótkie, przerywane westchnienia i stopniowo zapadająca cisza. Wszystko to tylko dla niego.

„Już niedługo będziesz moja - myślał Cooper - tylko moja”.

Dniem Tracy i Jeff rozeszli się w różne strony. Śledzący ich policjanci podzielili się na dwie grupy. Jeff wstąpił do małej drukarni obok Leidseplein, gdzie wdał się w ożywioną konwersację z właścicielem. Dwóch funkcjonariuszy obserwowało go z ulicy, a gdy wyszedł, jeden z nich podążył za nim, drugi zaś, wszedłszy do biura, pokazał właścicielowi swą legitymację służbową w plastikowej okładce, z urzędową pieczęcią i fotografią oraz czerwono-biało-niebieskim pasem.

- Ten mężczyzna, który wyszedł przed chwilą. Czego sobie życzył?

- Skończyły mu się wizytówki. Zamówił u mnie nową serię. - Na jakie nazwisko? Drukarz pokazał mu odręcznie napisany wzór wizytówki.

AMSTERDAMSKA AGENCJA OCHRONY MIENIA

CORNELIUS WILSON

oficer śledczy

Następnego dnia Tracy, obserwowana przez panią konstabl Fien Hauer, weszła na chwilę do sklepu zoologicznego na Leidseplein. W piętnaście minut później wkroczyła tam Fien Hauer i pokazała swoją legitymację.

- Czego życzyła sobie pani, która właśnie wyszła?

- Kupiła kilka złotych rybek, dwie papużki, kanarka i gołębia. Dość osobliwa kombinacja.

- Gołębia, mówi pan? Zwykłego gołębia?

- Tak. Żaden sklep zoologiczny ich nie sprzedaje. Powiedziałem jej, że postaramy się znaleźć dla niej tego ptaka.

- Dokąd kazała przysłać zwierzęta?

- Do hotelu „Amstel”.

Na drugim krańcu miasta Jeff spotkał się z wiceprezesem Amro Bank. Rozmawiali ścisłymi głosami przez pół godziny, a gdy Jeff wyszedł z banku, do biura prezesa wkroczył funkcjonariusz.

- W jakiej sprawie przybył tamten pan?

- Pan Wilson? To oficer śledczy agencji ochrony mienia, której jesteśmy klientami. Oni co jakiś czas kontrolują nasz system zabezpieczeń.

- Czy wypytywał pana o aktualne procedury?

- Tak, rzeczywiście zadał kilka pytań na ten temat.

- A pan podał mu te informacje?

- Naturalnie, po uprzednim zatelefonowaniu do agencji i upewnieniu się, że jest tym, za kogo się podaje.

- Do kogo pan telefonował?

- Do zarządu agencji, numer telefonu był wydrukowany na jego wizytówce.

Tego samego popołudnia, o 15.00, przed budynkiem Amro Bank zatrzymała się opancerzona ciężarówka. Jeff zrobił jej zdjęcie z drugiego końca ulicy. W tej samej chwili z drzwi pobliskiego domu jeden z policjantów sfotografował Jeffa.

W głównej kwaterze policji na Elandsgracht inspektor van Duren porządkował na biurku naczelnego komisarza Toona Willemsa spory stos raportów dotyczących działalności złodziejskiej pary.

- Co pan o tym sądzi? - zapytał komisarz suchym, piskliwym głosem. Odpowiedział mu Daniel Cooper:

- Powiem panu, co ona planuje. Szykuje się do przechwycenia tego transportu złota.

Oczy wszystkich obecnych skierowały się na niego.

- Przypuszczam, że wie pan już, w jaki sposób zamierza tego dokonać. - Komisarz Willems przemówił pierwszy.

- Tak. - Cooper rzeczywiście wiedział coś, czego tamci nie wiedzieli. Znał myśli i uczucia Tracy Whitney. Postawił się w jej roli, nauczył się myśleć i planować tak, jak ona... Potrafił przewidzieć każdy jej krok. - To proste. Użyje ciężarówki takiej samej, jak ta która przyjedzie po złoto. Prawdopodobnie zamierza pierwsza odebrać złoto i odjechać.

- To brzmi nieprawdopodobnie, panie Cooper. Inspektor van Duren wtrącił się do rozmowy.

- Nie wiem, co oni planują, ale bez wątplenia nie są to zwykli turyści, komisarzu. Mamy na to dowody w postaci rozmów, nagranych na taśmie magnetofonowej.

Daniel Cooper przechowywał w swej pamięci także inne dźwięki: nocne szepty, krzyki i pojękiwania. To była bezczelna dziwka. Za to tam, gdzie wkrótce się znajdzie, nie spojrzy na nią żaden mężczyzna.

- Znają już bankowe procedury bezpieczeństwa - mówił dalej inspektor. - Wiedzą, o której godzinie ciężarówka przyjedzie po ładunek i...

Naczelnny komisarz oderwał wzrok od raportu.

- Papużki, gołąb, złote rybki, kanarek - czy myśli pan, że te przedmioty mają jakiś związek z planowanym rabunkiem?

- Nie - odparł natychmiast van Duren.

- Tak - jak echo odpowiedział Cooper.

Pani konstabl Fien Hauer, ubrana w dwuczęściowy kostium ze sztucznego włókna, szła za Tracy przez Prinsengracht i most Magere, ale gdy obie znalazły się po drugiej stronie kanału, rozczarowała się widząc, że Tracy wchodzi do budki telefonicznej. Rozmawiała z kimś przez pięć minut, lecz nawet gdyby pani konstabl mogła podsłuchać tę rozmowę, niewiele zdołałaby z niej zrozumieć.

A Tracy rozmawiała z Guntherem Hartogiem. Mówił:

- Sądzę, że możemy polegać na Margo, ale to potrwa dość długo, przynajmniej dwa tygodnie. - Słuchał jej przez chwilę. - Tak, rozumiem. Gdy wszystko będzie gotowe, skontaktuję się z tobą. Bądź ostrożna. I pozdrów Jeffa

Tracy odwiesiła słuchawkę i wyszła z budki. Skinęła przyjaźnie kobiecie w kostiumie, która też chciała skorzystać z telefonu.

Następnego dnia o 11.00 jeden z funkcjonariuszy zatelefonował do inspektora van Durena.

- Jestem w przedsiębiorstwie transportowym Woltersa, inspektorze. Jeff Stevens właśnie wynajął tu ciężarówkę.

- Jakiego typu?

- Wóz serwisowy, inspektorze.

- Proszę podać jej wymiary. Poczekam.

Kilka minut później funkcjonariusz powrócił do telefonu.

- Spisałem te wymiary. Jest to kryty wóz, ma... Inspektor van Duren przerwał mu:

- Sześć metrów długości, dwa metry szerokości, sto osiemdziesiąt centymetrów wysokości, napęd na obie osie.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Tak, inspektorze. Skąd pan to wiedział?

- Nieważne. Jakiego jest koloru?

- Niebieska.

- Kto pilnuje Stevensa?

- Jacobs.

- Dobrze. Proszę wracać do nas.

Joop van Duren odłożył słuchawkę. Spojrzał na Daniela Coopera.

- Miał pan rację. Tylko kolor wozu się nie zgadza. Każę ją przemalować.

Warsztat lakierniczy znajdował się w garażu na Damrak. Jeff przyglądał się jak dwaj mężczyźni pokrywali samochód warstwą ciemnoszarego lakieru o metalicznym odcieniu. Przez okienko w garażu robił im zdjęcie jeden z policjantów.

W godzinę później zdjęcia pojawiły się na biurku inspektora van Durena. Podsunął je Danielowi Cooperowi.

- Przemalowali ją właśnie tak, jak się tego spodziewaliśmy. Już teraz możemy ich zaarrestować.

- Pod jakim zarzutem? Zamówienia kilku fałszywych wizytówek i przemalowania ciężarówki? Zdobędziemy przekonujące dowody, gdy złapiemy ją na gorącym uczynku.

„Ten mały cwaniaczek wyobraża sobie, że rządzi całym wydziałem”.

- A jak pan sądzi, co on teraz zrobi?

- Ta ciężarówka nie udźwignie ciężaru złota. Będzie musiał wzmocnić podłogę.

- Cooper uważnie przyglądał się fotografii.

Był to mały, położony na uboczu garaż, znajdujący się niedaleko od Muider Straat.

- *Goede morgen, mijnheer*. Czym mogę panu służyć?

- Zamierzam użyć tej ciężarówki do przewiezienia sporej ilości złomu - wyjaśnił Jeff - ale nie jestem pewien, czy podłoga wytrzyma ciężar. Chciałbym wzmocnić ją metalowymi prętami. Czy może pan to zrobić.

Mechanik podszedł do ciężarówki i przyjrzał się jej uważnie.

- *Ja*. Nie widzę problemu.

- To świetnie.

- Mogę to zrobić na piątek - *vrijdag*.

- Aleja chciałbym odebrać ją jutro.

- *Morgen? Nee. II...*
- Zapłacę panu podwójnie.
- *Donderdag* - czwartek.
- Jutro. Zapłacę potrójnie.

Mechanik w zamyśleniu drapał się w policzek.

- O której godzinie?
- W południe.
- *Ja*. W porządku.
- *Dankje wel. - Tot uw dienst.*

Gdy tylko Jeff opuścił garaż, wszedł do niego policjant.

Tego samego ranka grupa śledzących Tracy poszła za nią nad Oude Schans Canal, gdzie podejrzana spędziła pół godziny na rozmowie z właścicielem barki. Kiedy Tracy odeszła, jeden z funkcjonariuszy wkroczył na pokład statku. Przedstawił się właścicielowi, którego zastał przy szklance *bessenjenever* - mocnego dżinu z czerwonej porzeczki.

- Czego sobie życzyła ta młoda dama?
- Zamierza popływać ze swoim mężem po kanałach. Wynajęła moją barkę na tydzień.
- Od kiedy?
- Od piątku. To piękne wakacje, *mijnheer*. Gdyby pan ze swoją żoną miał zamiar...

Policjant wyszedł.

Gołębia, którego Tracy zamówiła w sklepie zoologicznym, dostarczono do hotelu w klatce. Daniel Cooper poszedł do sklepu zoologicznego porozmawiać z właścicielem.

- Co to był za gołąb, którego pan jej wysłał?
- Och, rozumie pan, zwykły gołąb.
- Czy jest pan pewny, że nie był to gołąb pocztowy?
- Jestem pewny. - Mężczyzna zachichotał. Z tego prostego powodu, że złapałem go zeszłego wieczoru w Vondelpark.

Trzysta kilogramów złota i zwykły gołąb? „O co tu chodzi?” zachodził w głowę Daniel Cooper.

Na pięć dni przed zaplanowanym rabunkiem złota z Amro Bank na biurku inspektora van Durena piętrzył się wielki stos fotografii.

„Każde z tych zdjęć to ogniwo łańcucha, który ją kiedyś spęta” - rozmyślał Daniel Cooper. Amsterdamska policja nie odznaczała się zbyt wielką wyobraźnią, ale Cooper postanowił wynagrodzić jej długie starania. Każdy etap przygotowań do przestępstwa został sfotografowany i udokumentowany. Tracy Whitney nie uniknie swojego przeznaczenia. „Jej kara stanie się moim wyzwoleniem”.

Od lakiernika Jeff pojechał ciężarówką do małego wynajętego garażu znajdującego się w najstarszej dzielnicy Amsterdamu niedaleko Oude Zijds Kolk. W ciężarówce znajdowało się sześć pustych drewnianych skrzyń, opatrzonych pieczątką: „Sprzęt mechaniczny”. Fotografia tych skrzyń jeszcze tego samego dnia znalazła się na biurku inspektora van Durena. On sam przysłuchiwał się zarejestrowanej ostatnio rozmowie.

Głos Jeffa:

- Jadąc ciężarówką z banku nad kanał, nie przekraczaj dozwolonej szybkości. Chcę wiedzieć dokładnie, ile zabierze ci to czasu. Masz tutaj stoper.

- Czy nie pojedziesz ze mną, kochanie?

- Nie. Będę zajęty.

- A Monty?

- On przyjedzie dopiero w czwartek w nocy.

- Kim jest ten Monty? - zapytał inspektor van Duren.

- To prawdopodobnie człowiek, który będzie udawał drugiego konwojenta - odparł Cooper. - Potrzebują jeszcze mundurów.

Sklep z kostiumami teatralnymi mieścił się w centrum handlowym, przy Pieter Cornelius Hooft Straat.

- Potrzebuję dwóch mundurów na bal kostiumowy - wyjaśnił Jeff sprzedawcy - podobnych do tych, jakie macie na wystawie.

W godzinę później inspektor van Duren oglądał zdjęcie munduru konwojenta.

- Zamówił dwa takie mundury. Powiedział sprzedawcy, że odbierze je w czwartek.

Rozmiary drugiego munduru wskazywały, że był on przeznaczony dla mężczyzny znacznie cięższego od Jeffa Stevensa. Inspektor zwrócił na to uwagę.

- Nasz przyjaciel Monty ma około metra dziewięćdziesięciu wzrostu i waży mniej więcej sto kilogramów. Poprosimy Interpol, żeby przepuścili to przez komputer. - Zwrócił się do Daniela Coopera. - W ten sposób go zidentyfikujemy.

W wynajętym przez Jeffa garażu Tracy siedziała za kierownicą ciężarówki, a sam Jeff stał na jej dachu. - Jesteś gotowa? - zapytał - teraz!

Tracy nacisnęła guzik na tablicy rozdzielczej. Po obu stronach ciężarówki opadły wielkie płócienne płachty z napisem: HEINEKEN HOLLAND BEER.

- To działa! - ucieszył się Jeff.

Piwo Heineken? *Alstublieft!* - Van Duren patrzył na otaczających go policjantów. Kilkanaście fotografii i zapisanych kartek wisiało na ścianach jego biura.

Daniel Cooper siedział w głębi pokoju, nic nie mówiąc. Uważał to zebranie za stratę czasu. Od dawna znał każdy następny krok ściganych przestępców. Wpadli w zastawioną przez niego pułapkę, która powoli zamykała się. Podczas gdy funkcjonariuszy w biurze ogarniało coraz większe podniecenie, on doznawał dziwnego uczucia rozczarowania.

- Wszystkie kawałki tej łamigłówki układają się w logiczną całość - mówił inspektor van Duren. - Podejrzani znają planowaną godzinę odebrania transportu złota z banku i zamierzają przybyć tam mniej więcej pół godziny wcześniej. Gdy pojawi się właściwa ciężarówka, oni będą już daleko. -Van Duren wskazał fotografię opancerzonego wozu. - Odjeżdżając z banku, ciężarówka będzie wyglądać tak, jak oryginalna, którą widzicie na tej fotografii, ale kilka przecznic dalej, po przejechaniu jakiejś bocznej ulicy - wskazał na fotografię wozu z reklamą piwa Heineken - zmieni swój wygląd na taki.

W tyle pokoju jeden z policjantów odezwał się:

- Czy wie pan, w jaki sposób zamierzają wywieźć złoto z kraju, inspektorze?

Van Duren pokazał na fotografię Tracy wchodzącej na barkę.

- Wypłyną stąd barką. W naszym kraju jest tyle rzek i kanałów, że można zgubić się w nich jak w labiryncie. - Van Duren podszedł do ostatniej z wiszących na ścianie fotografii, przedstawiającej w powiększeniu niewielki frachtowiec. - Dwa dni temu Jeff opłacił fracht za przewóz towarów na statku „Oresta”, wypływającym z Rotterdamu w przyszłym tygodniu. Ładunek określił jako „sprzęt mechaniczny”. Portem docelowym jest Hongkong.

- Tak więc, panowie - zwrócił się teraz do pozostałych mężczyzn - zmienimy nieco ich plany. Pozwolimy im załadować złoto na ciężarówkę. - Uśmiechnął się i spojrzął na Daniela Coopera. - Zaaresztujemy ich w chwili popełniania przestępstwa. Przyłapiemy tych spryciarzy na gorącym uczynku.

Obserwowana przez policjantów Tracy wstąpiła na chwilę do urzędu pocztowego American Express, po czym wyszła stamtąd ze sporych rozmiarów paczką. Policjant poszedł za nią do hotelu.

- Nie dowiemy się, co jest w tej paczce - poinformował Coopera inspektor van Duren. - Przeszukaliśmy ich pokoje, ale nie znaleźliśmy nic nowego.

Komputerowa kartoteka Interpolu nie dysponowała żadnymi informacjami o ważącym sto kilogramów Montym.

Czwartkowy wieczór Daniel Cooper, inspektor van Duren i konstabl Wittkamp spędzili w hotelu „Amstel”, w pokoju z aparaturą podsłuchową, słuchając rozmowy prowadzonej piętro niżej.

Głos Jeffa: - W banku będziemy na pół godziny przed właściwą ciężarówką. Daje to nam mnóstwo czasu na załadowanie złota i ucieczkę. Kiedy zorientują się, że zostali okradzeni, my będziemy już na pokładzie barki, razem ze złotem.

Głos Tracy: - Kazałam mechanikowi przejrzeć i zatankować ciężarówkę. Jest gotowa.

Konstabl Wittkamp zauważył z uznaniem: - Działają z godną podziwu dokładnością. Zadbali o każdy szczegół.

- Wszyscy oni prędzej czy później kończą w więzieniu - skomentował to oschłym głosem inspektor van Duren.

Daniel Cooper w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

- Tracy, a jak po tym wszystkim zapatrujesz się na mój projekt wyprawy archeologicznej?

- Tunezja? Umieram z niecierpliwości, kochanie.

- Dobrze. Przygotuję ją. Odtąd tylko odpoczynek i żadnych zmartwień.

- To prawda - zauważył inspektor van Duren. - Mają zapewniony odpoczynek na najbliższe dwadzieścia lat. Żadnych zmartwień... - Wstał i przeciągnął się. - Tak, teraz możemy iść spać. Wszystko jest już przygotowane na jutro rano.

Daniel Cooper nie mógł zasnąć. Oczami wyobraźni widział Tracy, skutą kajdankami, eskortowaną przez policjantów, patrzącą na niego z przerażeniem swymi pięknymi zielonymi oczami. Był ogromnie podniecony.

Wszedł do łazienki i napełnił wannę gorącą wodą. Zdjął okulary, piżamę i pogrążył się w parującej kąpieli. Sprawa Tracy Whitney zostanie wkrótce ostatecznie zamknięta, a jego zemsta - dokonana. Ta dziwka zapłaci za swoje grzechy tak, jak płaciły inne dziwki. Jutro o tej porze ona będzie już za kratkami, a on - w drodze do domu. „Nie, nie do domu - do mojego mieszkania”. Dom - to przytulne, bezpieczne miejsce, gdzie mieszkała kochająca go nad życie matka - był już tylko odległym wspomnieniem, wypieranym stopniowo z pamięci przez czas.

- Jesteś moim małym mężczyzną - mówiła. - Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie.

Ojciec Daniela porzucił ją, gdy chłopiec miał cztery lata. Z początku sądził, że sam był tego przyczyną, ale później matka wyjaśniła mu, że ojciec odszedł do innej kobiety. Nienawidził tej innej kobiety, bo doprowadziła matkę do płaczu. Nigdy jej nie widział, ale wiedział że była dziwką, bo tak mówiła jego matka. Później cieszył się nawet z odejścia ojca, bo dzięki temu matka kochała już tylko jego. Zimy w Minnesocie są chłodne, a matka Daniela pozwalała mu kłaść się w łóżku obok siebie i nakrywała go ciepłymi kocami.

- Pewnego dnia ożenię się z tobą - obiecywał jej Daniel, a ona uśmiechała się i głaskała go po głowie.

Daniel był zawsze najlepszym uczniem w klasie. Starał się dobrze uczyć, gdyż sprawiało to radość jego matce

- Pani syn wyrośnie na prawdziwego geniusza.

- Wiem. Nikt nie jest tak bystry jak mój mały mężczyzna. Gdy miał osiem lat, matka często zapraszała na obiady sąsiada z przeciwka - wysokiego mężczyznę, o gęstych, kędzierzawych włosach. Wtedy właśnie zachorował. Leżał w łóżku przez cały tydzień z wysoką gorączką i wyzdrowiał dopiero wtedy, gdy sąsiad przestał pokazywać się w ich domu. Matka obiecała mu, że już go więcej nie zaprosi. „Jesteś moim jedynym skarbem, Danielu”.

Czuł, że na całym świecie nie ma szczęśliwszego od niego człowieka. Nikt nie miał piękniejszej matki niż on. Gdy wychodziła z domu, Daniel szperał w jej sypialni,

otwierając szuflady stolika. Wyjmował z nich bieliznę i pocierał miękkim materiałem swój policzek. Zapach tej bielizny był ach... taki cudowny.

Leżał w ciepłej wodzie w łazience hotelu „Amsterdam” z zamkniętymi oczami, wspominając ten straszny dzień, w którym jego matka umarła. Dzień jego dwunastych urodzin. Bolało go ucho i wcześniej zwolnił się ze szkoły. Właściwie przesadził trochę z udawaniem tego bólu, chcąc jak najszybciej wrócić do domu, gdzie matka położyła swą rękę na jego głowie i pozwoliła mu przytulić się do jej sukni. Wróciwszy do domu, udał się prosto do jej sypialni. Zobaczył ją zupełnie nagą leżącą w łóżku z jakimś mężczyzną. Po chwili rozpoznał w nim sąsiada z przeciwka. Matka zachowywała się dziwnie, całowała jego włochatą pierś i brzuch, jej pocałunki zmierzały w kierunku wielkiej, czerwonej maczugi pomiędzy nogami mężczyzny. Daniel usłyszał jej szept:

- Och, kocham cię... - i zaraz potem czerwona maczuga pogrążyła się w jej ustach.

Była to najobrzydliwsza rzecz jaką kiedykolwiek widział. Odwrócił się i pobiegł do swojej łazienki, czując mdłości. Zwymiotował na ubranie, a potem rozebrał się i umył dokładnie tak, jak kiedyś uczyła go matka. Nasłuchiwał odgłosów z sypialni.

- Idź już lepiej, mój drogi - mówiła matka. - Muszę się wykapać i ubrać; urządzamy dziś przyjęcie z okazji urodzin Daniela. Niedługo wróci ze szkoły. Zobaczymy się jutro, kochanie.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi i plusk wody płynącej z kranu w łazience jego matki. Kąpała się. Właściwie ta kobieta nie była już jego matką: była dziwką, oddającą swe ciało w łóżku z innym mężczyzną. Była zdrajczynią.

Leżała w wannie, gdy nagi wchodził do jej łazienki. Spojrzała na niego, roześmiana, jak dziwka, i powoli uśmiech gasł na jej twarzy.

- Daniel, kochanie! Co ty... - W zaciśniętej dłoni trzymał wielkie, krawieckie nożyce. - Daniel...

Jej różowe wargi złożyły się w kształcie litery O i wydały pierwszy dźwięk dopiero wówczas, gdy zadał pierwszy cios, wbijając nożyce w pierś tej obcej kobiety; wtedy dopiero krzyknęła. Krzyczał razem z nią:

- Dziwka! Dziwka! Dziwka!

Ich krzyki zlały się w jedno przeraźliwe wołanie, ale po kilku ciosach głos matki załamał się, ścichł i teraz rozbrzmiewał tylko jego głos:

- Dziwka! Dziwka!

Był cały obryzany jej krwią. Odkręcił kran i umył się dokładnie; dopiero wtedy poczuł się czysty.

Człowiek z przeciwka zabił jego matkę i ten człowiek za to zapłaci.

Później wydarzenia rozgrywały się powoli, jak na zwolnionym filmie. Daniel znalazł kawałek flaneli, wytarł nim starannie odciski swych palców na nożycach i wrzucił je do wanny. Zabrzęczały głucho, uderzając w emalię. Ubrał się i zadzwonił na policję. Przyjechały dwa radiowozy na sygnale, a potem jeszcze jeden z funkcjonariuszami z wydziału zabójstw, którzy zadawali Danielowi różne pytania. Opowiedział im, że zwolniono go wcześniej ze szkoły i że wchodząc do domu, zobaczył sąsiada z przeciwka, Freda Zimmera, wychodzącego bocznymi drzwiami. Podczas przesłuchania sąsiad przyznał się, że był kochankiem matki Daniela, ale zaprzeczył oskarżeniu o morderstwo. Dopiero zeznania Daniela przesądziły o jego losie.

- Wracając do domu, spostrzegłeś swojego sąsiada, Freda Zimmera, wybiegającego bocznymi drzwiami?

- Tak, proszę pana.

- Czy rozpoznałeś go od razu?

- Tak, proszę pana. Ręce miał zbryzgane krwią.

- Co potem zrobiłeś?

- Ja... przestraszyłem się. Wiedziałem, że z moją mamą stało się coś strasznego.

- Więc wszedłeś do domu?

- Tak, proszę pana.

- I co się później stało?

- Zawołałem: „Mamo!”, a ona nie odpowiedziała, więc wszedłem do łazienki i...

W tym momencie mały chłopiec rozplakał się histerycznie i wyprowadzono go z sali. Trzydzieści miesięcy później Fred Zimmer został stracony.

Danielem zaopiekowała się daleka krewna z Teksasu, ciotka Mattie, której przedtem nigdy nie widywał. Była to surowa kobieta, poważna, apodyktyczna baptystka, nie znosząca sprzeciwu i niezachwianie wierząca, że wszystkich grzeszników czeka ogień piekielny. W jej domu nie zaznał miłości ani radości, wzrastając w tej surowej atmosferze z ciężącym na jego sumieniu wspomnieniem morderstwa. Wyobrażał sobie, że czeka go wieczne potępienie. Wkrótce po morderstwie zaczął mieć kłopoty ze wzrokiem. Lekarze nazywali to schorzeniem psychosomatycznym.

- On blokuje coś, czego nie chce zobaczyć - mówili. Wada wzroku pogłębiała się.

W wieku siedemnastu lat Daniel uciekł od ciotki Mattie i opuścił Teksas na zawsze. Pojechał autostopem do Nowego Jorku, gdzie pracował jako goniec w Międzynarodowym Towarzystwie Ubezpieczeniowym. W trzy lata później awansował na detektywa. Osiągał najlepsze wyniki w całej agencji. Nigdy nie domagał się podwyżek ani awansów. Te sprawy go nie interesowały. Był karzącą ręką Boga. Jego batem, spadającym na karki grzeszników.

Daniel Cooper wyszedł z wanny i posłał łóżko. „Jutro - pomyślał. - Jutro ta dziwka otrzyma swoją zapłatę”.

Gdyby tylko jego matka mogła to wiedzieć...

Amsterdam

Piątek, 22 sierpnia - 8.00

Daniel Cooper z dwoma policjantami siedział na posterunku w hotelu „Amstel” podsłuchując Tracy i Jeffa, rozmawiających przy śniadaniu.

- Słodką bułeczkę, Jeff? Kawy?

- Nie, dziękuję.

„To ich ostatnie wspólne śniadanie, od tej pory będą jadać oddzielnie” - myślał Cooper.

- Wiesz, co w tej operacji najbardziej mi się podoba? Nasza podróż barką.

- W taki dzień myślisz o podróży barką? Dlaczego?

- Bo na tej barce będziemy tylko we dwoje. Sądzisz, że jestem wariatką?

- Z całą pewnością. Ale moją wariatką.

- Pocałuj. - Cmoknięcie.

„Powinna się bardziej denerwować - myślał Cooper. - Chcę, żeby umierała ze strachu”.

- Trochę żal będzie stąd wyjeżdżać, Jeff.

- Spójrz na to z innej strony, kochanie. Na pewno przez to nie zbiedniejemy.

- Masz rację. - Śmiech Tracy.

O 9.00 rano rozmowa ku zdziwieniu Coopera wciąż trwała. „Przecież powinni już zacząć się przygotowywać. Powinni rozmawiać o skoku. Co z Montym? Kiedy się z nim spotkają?”

Jeff: - Kochanie, porozmawiaj z *concierge*, zanim nas wymeldujesz. Ja muszę dopilnować wiadomych spraw.

- Dobrze. Ten *concierge* jest cudowny. Dlaczego w amerykańskich hotelach nie ma *concierge*?

- Sądzę, że to europejski wynalazek. Wiesz skąd się wzięła ta instytucja?

- Nie.

- Powstała we Francji w 1627 roku. Król Hugo zbudował więzienie w Paryżu i mianował pewnego szlachcica jego zarządcą. Nadał mu tytuł: *comte des cierges* albo *concierge*, co znaczy „Hrabia na świecach”. Jego wynagrodzenie stanowiły dwa funty i popiół z kominka w królewskim pałacu. Później wszystkich zarządców więzienia i

szefów służby pałacowej nazywano *concierge*, a w końcu nazwa ta przeszła na służbę w hotelach.

„O czym oni, do diabła, rozmawiają” - dziwił się Cooper. - Jest dziewiąta trzydzieści, powinni już wychodzić!”

Głos Tracy: - Nie mów mi lepiej, skąd to wiesz. Na pewno znalazłeś jakąś piękną konsjerżkę.

Głos jakiejś obcej kobiety: - *Goede morgen, mevrouw, mijanheer.*

Głos Jeffa: - Nie istnieją piękne konsjerżki.

Głos kobiety, zdziwiony: - *Ik begrijp het niet.*

Głos Tracy: - Założę się, że gdyby jakaś istniała, znalazłbyś ją.

- Co tam się dzieje, do cholery? - zakrzyknął Cooper. Policjanci spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

- Nie wiem - powiedział jeden z nich. - Pokojówka dzwoni do swego szefa. Przyszła tu, żeby posprzątać, ale teraz mówi, że nic nie rozumie. Słyszy głosy, ale nikogo nie widzi.

- Co?! - Cooper zerwał się jak oparzony. Pognał do wyjścia i zbiegł po schodach. Po chwili razem z policjantami wtargnął do pokoju Tracy. Wewnątrz stała tylko zakłopotana pokojówka. Na nocnym stoliku, przy tapczanie stał magnetofon.

Głos Jeffa: - Chyba w końcu przekonam się do tej kawy. Jeszcze nie wystygła?

Głos Tracy: - Mhm. Cooper z policjantami stali w osłupieniu.

- Ja... nic nie rozumiem - wyjąkał jeden z policjantów.

- Jak dzwoni się na policję? - warknął Cooper.

- Dwadzieścia dwa-dwadzieścia dwa-dwadzieścia dwa.

Cooper złapał słuchawkę i wykręcił numer.

Głos Jeffa, płynący z magnetofonu mówił: - Wiesz, kochanie, mają tu znacznie lepszą kawę niż u nas. Ciekawe, jak ją przyrządzają.

Cooper ryknął do słuchawki: - Mówi Daniel Cooper. Odszukajcie natychmiast inspektora van Durena. Powiedzcie mu, że Whitney i Stevens zniknęli. Niech sprawdzą, czy z garażu nie wyjechała ciężarówka. Ja jadę do banku! - rzucił słuchawkę.

Głos Tracy: - Czy piłeś kiedyś kawę parzoną ze skorupkami jajek? Jest naprawdę...

Cooper wybiegł z pokoju.

Inspektor van Duren był spokojny.

- Wszystko w porządku - mówił. - Ciężarówka wyjechała z garażu. Jadą tutaj.

Van Duren, Cooper i dwaj inni funkcjonariusze zajęli posterunek dowodzenia na dachu budynku stojącego naprzeciwko Amro Bank.

Inspektor powiedział: - Prawdopodobnie wyjechali, kiedy tylko zorientowali się, że ich podsłuchujemy, ale proszę się nie obawiać. Niech pan spojrzy. - Popchnął Coopera w kierunku dużego, szerokokątnego teleskopu zamontowanego na dachu. Poniżej, na ulicy, mężczyzna w uniformie dozorca starannie polerował mosiężny szyld banku... zamiatacz ulic zbierał śmiecie... na rogu ulicy stał gazeciarski... trzech robotników rozkopywało trawnik. Wszyscy posiadali miniaturowe krótkofalówki.

Van Duren przemówił do swego aparatu: - Punkt A?

Odpowiedział dozorca: - Słyszę pana, inspektorze.

- Punkt B?

- Zgłaszam się. - Tym razem odpowiedział zamiatacz ulic.

- Punkt C?

Sprzedawca gazet zadarł głowę i kiwnął nią.

- Punkt D?

Robotnicy przerwali pracę, a jeden z nich odezwał się: - Jesteśmy gotowi, sir.

Inspektor zwrócił się do Coopera: - Proszę się nie obawiać, złoto nie wyjechało jeszcze z banku. Żeby je odebrać, muszą tutaj przyjechać. W chwili, gdy pojawią się w tym miejscu, ulica zostanie zablokowana z obu stron. Nie uciekną nam. - Spojrzał na zegarek. - Ciężarówka pojawi się lada chwila.

W banku narastało zdenerwowanie. Pracownicy zostali poinformowani o przewidywanym rabunku złota, a strażnikom polecono ładować je na opancerzoną ciężarówkę. Ujęcie złodziei zaplanowano dopiero po załadowaniu.

Przebrani policjanci pracowali na zewnątrz banku, zerkając ukradkiem na ulicę w oczekiwaniu ciężarówki.

Na dachu inspektor van Duren już po raz dziesiąty włączał swą krótkofalówkę.

- Czy coś widzicie?

- *Nee*.

- Mają już trzynaście minut spóźnienia! Jeśli nadal... - Konstabl Wittkamp spoglądał na zegarek.

- Inspektorze! - zatrzeszczała krótkofalówka van Durena. - Ciężarówka właśnie nadjeżdża! Minęła Rozengracht i jedzie w kierunku banku. Zobacz ją pan za minutę.

Napięcie wzrosło.

Inspektor van Duren pochylił się nad aparatem.

- Uwaga wszystkie jednostki! Ryby zbliżają się do sieci. Pozwólcie im wpłynąć.

Szara opancerzona ciężarówka zbliżała się do banku. Zatrzymała się przed wejściem. Na oczach Coopera i van Durena dwaj mężczyźni w mundurach konwojentów wyskoczyli z kabiny i weszli do banku.

- Gdzie ona jest? Gdzie jest Tracy Whitney? - gorączkował się Daniel Cooper.

- To nieważne - odpowiedział mu inspektor van Duren. - Na pewno niezbyt daleko od złota.

„A nawet jeśli jest daleko - pomyślał Cooper - to nic. Taśmy i tak ją obciążają”.

Zdenerwowani pracownicy banku pomagali dwóm umundurowanym konwojentom załadować sztabki złota ze skarbca na wózki transportowe, które podjechały do ciężarówki. Z dachu Cooper i van Duren obserwowali maleńkie figurki ludzi po przeciwnej stronie ulicy.

Załadunek trwał osiem minut. Gdy zatrzaśnięto wreszcie tylne drzwi, a dwaj konwojenci zbliżyli się do szoferki, inspektor van Duren ryknął do krótkofalówki:

- *Vlug! Pas op!* Wszystkie jednostki do akcji! Do akcji! Rozpętało się piekło. Dozorca, gazeciarz, robotnicy w kombinezonach razem z gromadą innych policjantów w jednej chwili porzucili swoją pracę i popędzili do ciężarówki, otaczając ją ze wszystkich stron. Wyjęli rewolwery i wycelowali je w konwojentów. Ulicę wyłączono z ruchu.

Inspektor van Duren odwrócił się z uśmiechem do Coopera.

- Czy pana zdaniem, można to nazwać przyłapaniem na gorącym uczynku? Chodźmy i aresztujmy ją.

„Nareszcie” - pomyślał Daniel Cooper.

Zeszli na ulicę i zbliżyli się do ciężarówki. Dwaj mężczyźni w mundurach stali twarzami do ściany, z podniesionymi rękami, otoczeni przez grupę uzbrojonych policjantów. Daniel Cooper i inspektor van Duren przecisnęli się do przodu.

- Możecie się odwrócić. Jesteście aresztowani - powiedział Dan Duren.

Obaj mężczyźni odwrócili się pobladłymi twarzami do policjantów. Daniel Cooper z inspektorem van Durenem przyglądali się im w osłupieniu. Były to zupełnie obce twarze.

- Kim jesteście? - zapytał gniewnie inspektor.

- Jes... jesteśmy konwojentami - wyjąkał jeden z nich. - Nie strzelajcie. Proszę was, nie strzelajcie.

- Ich plan się nie powiódł. - Inspektor van Duren zwrócił się do Coopera. W jego głosie zabrzmiała histeria. - Musieli z niego zrezygnować.

W żołądku Daniela Coopera wzbierała żółć, wypełniając powoli przełyk i gardło. Kiedy w końcu odzyskał mowę, jego głos brzmiał głucho.

- Nie. Wszystko przebiega według planu. - O czym pan mówi?

- Według ich planu. Oni nigdy nie zamierzali rabować złota. Wszystkie te przygotowania to była maskarada dla odwrócenia uwagi.

- To niemożliwe. W takim razie skąd ta ciężarówka, barka, mundury... Mamy przecież fotografie.

- Nie rozumie pan? Oni o tym wiedzieli. Wiedzieli, że ich ścigamy, od samego początku.

Inspektor van Duren zbladł jak ściana.

- Och, mój Boże! *Waar zijn ze - gdzie oni są?!*

W Coster, na Paulus Potter Straat, Tracy i Jeff zbliżali się do budynku Państwowej Szlifierni Diamentów. Jeff miał brodę i wąsy, a kawałki gąbki, wypełniające policzki i nos, zmieniały jego wygląd nie do poznania. Ubrany był w sportowy kombinezon i niósł plecak. Tracy była kobietą w zaawansowanej ciąży, o czarnych włosach i grubej warstwie makijażu na twarzy, w ciemnych słonecznych okularach. W rękach trzymała torbę podróżną i okrągłą paczkę zawiniętą w brązowy papier. Podeszli do kasy, kupili bilet i natychmiast przyłączyli się do grupy turystów, którzy kilka minut wcześniej wysiedli z autokaru, a teraz z zainteresowaniem słuchali przewodnika.

- Za chwilę, panie i panowie, przyjrzyjcie się pracy naszych jubilerów i przy okazji będziecie mogli zakupić ich wspaniałe wyroby. Proszę za mną.

Grupa przeszła w ślad za przewodnikiem przez drzwi prowadzące do zakładu. Tracy poszła razem z nimi, a Jeff pozostał z tyłu. Gdy wszyscy turyści opuścili salę, Jeff odwrócił się i zbiegł błyskawicznie po schodach prowadzących do piwnicy.

Otworzywszy plecak, wyjął z niego poplamiony olejem kombinezon roboczy i niewielką walizkę z narzędziami. Włożył kombinezon, podszedł do skrzynki z bezpiecznikami i spojrzął na zegarek.

Na górze Tracy spacerowała z grupą turystów po salach, słuchając przewodnika, opisującego skomplikowany proces szlifierskiej obróbki diamentów. Od czasu do czasu spoglądała na zegarek. Wycieczka spóźniała się o pięć minut. Gdyby tylko mogła ponaglić przewodnika...

Wreszcie wkroczyli do sali wystawowej. Przewodnik wskazał odgródzone linami podwyższenie.

- W tej oszklonej gablotce - oznajmił z dumą - znajduje się Diament Lukullusów, jeden z najcenniejszych diamentów na świecie. Kiedyś kupił go pewien aktor teatralny dla swej żony - słynnej gwiazdy filmowej. Jego wartość szacuje się na dziesięć milionów dolarów. Chronią go tutaj najnowocześniejsze...

Światła zgasły. Natychmiast rozległy się dzwonki alarmowe, w oknach i drzwiach opuściły się stalowe kraty, blokując wszystkie wyjścia. Niektórzy z turystów krzyknęli.

- Proszę o spokój! - przekrzykiwał hałasy przewodnik. - Nie ma powodu do obaw. To po prostu awaria instalacji elektrycznej. Za chwilę zapasowy generator... - Światła rozbłysły znowu.

Jeden z turystów, Niemiec ubrany w *lederhosen* wskazał na kraty:

- Co to jest?

- Środki ostrożności - wyjaśnił przewodnik.

Wyjął z kieszeni klucz o dość nietypowym kształcie, wsunął go w szczelinę w ścianie i przekręcił. Stalowe kraty w drzwiach i oknach uniosły się. Na biurku zadzwonił telefon i przewodnik podniósł słuchawkę.

- Mówi Hendrik. Dziękuję, kapitanie. Nie, wszystko w porządku. To był fałszywy alarm. Prawdopodobnie zwarcie w przewodach elektrycznych. Zaraz polecę obsłudze sprawdzić instalację. Tak, szefie. - Odłożył słuchawkę i powrócił do grupy.

- Bardzo mi przykro, panie i panowie. Mając coś tak cennego jak ten kamień, nie można przesadzić w ostrożności. Teraz, jeśli ktoś z państwa chciałby zakupić nasze wspaniałe diamenty...

Światła zgasły powtórnie. Rozległ się dzwonek i stalowe kraty opadły.

- Chodźmy stąd, Harry! - zakrzyknęła cienkim głosem jakaś kobieta.

- Cicho, Dianę! - warknął jej mąż.

W piwnicy Jeff stał przed skrzynką bezpieczników, nasłuchując krzyków dobiegających z góry. Odczekał kilka chwil, a potem znowu przesunął dźwignię przełącznika. Na górze zapaliły się światła.

- Panie i panowie - wołał przewodnik, przekrzykując turystów - to tylko techniczna awaria. - jeszcze raz wyjął klucz i przekręcił go. Kraty powędrowały w górę. Znowu zadzwonił telefon. Przewodnik podbiegł i podniósł słuchawkę.

- Mówi Hendrik. Nie, kapitanie. Tak. Naprawimy to jak najszybciej. Dziękuję
Drzwi sali otworzyły się i wszedł Jeff z walizką narzędzi. Jego robotnicza czapka była zsunięta do tyłu. Skinął na przewodnika.

- O co chodzi? Jakies kłopoty z elektrycznością? Odebraliśmy zgłoszenie...

- Światła zapalają się i gasną - wyjaśnił przewodnik. - Proszę to szybko naprawić. - Uśmiechnął się z przymusem i zwrócił się do turystów. - Mamy tu piękne diamenty po przystępnych cenach. Proszę wybierać.

Grupa turystów zbliżyła się do gablotek. Jeff, korzystając z chwilowego zamieszania, błyskawicznym ruchem wyjął z kieszeni płaszcza niewielki, cylindryczny przedmiot, pociągnął zawleczkę i rzucił urządzenie za ogrodzenie otaczające gablotę z Diamentem Lukullusów. W chwilę później wydobył się stamtąd dym i pojawiły się iskry.

- Hej! Mamy kłopot - zawołał Jeff do przewodnika. - Zwarcie w kablu biegnącym pod podłogą.

- Pali się! - jedna z turystek krzyknęła przeraźliwie.

- Proszę wszystkich o spokój! - woła przewodnik. - Nie ma powodów do paniki. Proszę zachować spokój. - Zwrócił się do Jeffa i syknął błagalnie: - Niech pan to naprawi! Niech pan wreszcie coś zrobi!

- Już się robi - odparł Jeff z zapalem. Ruszył w kierunku welwetowych lin otaczających gablotę.

- *Nee!* - krzyknął strażnik. - Niech pan tu nie podchodzi!

- Dobrze, nie muszę - Jeff chrząknął. - Może pan sam to naprawi. - Odwrócił się do wyjścia.

Czarny dym wydobywał się z podłogi coraz intensywniej. Niektóre z turystek wpadły w panikę.

- Proszę poczekać! - błagał przewodnik. - Tylko minutę. - Podbiegł do telefonu i wykręcił numer. - Kapitanie! Mówi Hendrik. Mamy tu awarię techniczną i chciałbym

prosić o wyłączenie wszystkich alarmów. Tak, sir. - Spojrzał na Jeffa. - Ile czasu pan potrzebuje?

- Pięć minut.

- Na pięć minut - powtórzył przewodnik do telefonu. -

Dankje wel. - Odłożył słuchawkę. - Alarm zostanie wyłączony za dziesięć sekund. Na miłość boską, niech się pan spieszy! *Nigdy* nie wyłączamy alarmów!

- Mam tylko dwie ręce, przyjacielu. - Jeff odczekał dziesięć sekund, po czym wszedł za liny i przykucnął na podłodze obok gabloty, Hendrik skinął na strażnika, który utkwiał w nim baczne spojrzenie.

Jeff spokojnie pracował. Zdenerwowany przewodnik znowu zwrócił się do grupy.

- A więc, panie i panowie, tak jak mówiłem, mamy tu wybór bardzo pięknych diamentów po przystępnych cenach. Przyjmujemy karty kredytowe, czekci - zachichotał cicho - a nawet gotówkę.

Tracy stała przed ladą.

- Czy pan skupuje diamenty? - zapytała głośno i wyraźnie. Przewodnik spojrzał na nią.

- Co?

- Mój mąż jest mineralogiem i zajmuje się poszukiwaniem szlachetnych kamieni. Wrócił właśnie z Afryki Południowej i dał mi do sprzedania te diamenty.

Mówiąc to, otwierała walizeczkę, którą trzymała w ręku, ale ponieważ trzymała ją do góry nogami, potok błyszczących kamieni posypał się na podłogę.

- Moje diamenty! - krzyknęła Tracy. - Niech pan mi pomoże!

Na chwilę zapadła cisza, a potem rozpoczęło się piekło. Kulturalni wycieczkowicze zamienili się w dziką tłuszcę. Padali na kolana, chwyтали diamenty i w podnieceniu wydzielali je sobie z rąk.

- Mam kilka...

- Bierz całą garść, John..

- Puszczaj go pan, on jest mój...

Przewodnik ze strażnikiem nie panowali nad sytuacją. Tłum ludzi, pełzających na czworakach, w podnieceniu napełniających swe torby i kieszenie diamentami, zepchnął ich na bok.

- Proszę przestać! - krzyczał strażnik. - Proszę przestać. - Po chwili przewrócono go na podłogę.

Inna wycieczka - byli to Włosi - pojawiła się na sali. Turyści zatrzymali się na chwilę w osłupieniu, ale gdy zrozumieli, co się stało, przyłączyli się jeden po drugim do pełzającej gromady.

Na próżno strażnik przeciskał się przez kłębowisko ciał, próbując uruchomić alarm. Deptano po nim. W jednej chwili zbiorowe szaleństwo opętało wycieczkowiczów.

Wreszcie oszołomiony strażnik zdołał się podnieść. Z trudem przedarł się przez rozszalały tłum w kierunku podwyższenia. Przed gablotą stanął jak wryty, nie wierząc własnym oczom.

Diament Lukullusów zniknął.

Zniknął również elektryk i kobieta w ciąży.

Tracy pozbyła się swego stroju w publicznej toalecie w Osterpark, daleko od Szlifierni Diamentów. Potem ruszyła przed siebie aleją, trzymając w ręku paczkę od Gunthera, zawiniętą w brązowy papier. Na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem. Na wspomnienie tłumy wydzierającego sobie z rąk bezwartościowe cyrkonie, roześmiała się głośno. Zobaczyła Jeffa, nadchodzącego z przeciwnej strony; był w ciemnej marynarce, a jego broda i wąsy zniknęły. Zbliżył się do niej z uśmiechem.

- Kocham cię - powiedział. Wyjął Diament Lukullusów z kieszeni marynarki i podał go Tracy. - Przekaż to naszemu przyjacielowi, kochanie. Zobaczymy się później.

Tracy odprowadzała go wzrokiem. Jej oczy błyszczały radością, niebezpieczeństwo minęło i teraz z podnieceniem myślała o przyszłości. Na razie oddzielnie polecą do Brazylii, ale potem pozostaną razem do końca życia.

Tracy rozejrzała się wokół, upewniając się, że nikt jej nie obserwuje, usiadła na ławce i odwinęła paczkę z papieru. W jej środku była mała klatka, w której siedział spokojnie gołąb o ciemnoszarym upierzeniu. Trzy dni temu odebrała klatkę na poczcie American Express, zaniósła ją szybko do hotelu, po czym wypuściła przez okno gołębia, którego dotąd trzymała w klatce. Teraz wyjęła ze swej torebki mały irchowy woreczek i włożyła do niego diament, Uwolniła gołębia z klatki i trzymała go, ostrożnie przywiązując worek do nogi ptaka.

- Margo, ptaszku! Zanieś to do domu. Obok niej pojawił się policjant w mundurze.

- Co pani wyprawia?!

Serce Tracy zabiło niespokojnie.

- O... o co chodzi, panie oficerze?

- Dobrze pani wie, o co chodzi. - Utkwił gniewny wzrok w klatce. - Co innego karmić gołębie, a co innego łapać je i więzić w klatkach. To wykroczenie przeciw prawu. Proszę go natychmiast wypuścić, albo zaaresztuję panią.

Tracy przełknęła ślinę i zrobiła głęboki wdech.

- Skoro pan tak mówi, panie władzo... - Uniosła wysoko rękę z gołębiem. Anielski uśmiech rozjaśnił jej twarz, gdy patrzyła na wzbijającego się w górę ptaka - coraz wyżej i wyżej... Zrobił krąg nad jej głową, a potem pomknął na zachód, w kierunku Londynu. „Gołąb pocztowy rozwija średnią szybkość sześćdziesięciu czterech kilometrów na godzinę, mówił Gunther, więc ten doleci tam za sześć godzin. Trzysta siedemdziesiąt kilometrów...”

- Proszę nie robić tego nigdy więcej - ostrzegł Tracy policjant. - Nie będę - przyrzekła solennie - nigdy więcej.

Późnym popołudniem była już na lotnisku Schiphol i zbliżała się do punktu odpraw. Za chwil odleci do Brazylii. Daniel Cooper stał nie opodal, spoglądając na nią z wściekłością. Tracy Whitney ukradła diament Lukullusów: Cooper wiedział o tym już w chwili, gdy przeczytał raport. To było w jej stylu; śmiałe posunięcie, niemożliwe do przewidzenia. Inspektor van Duren rozmawiał z przewodnikiem wycieczki i strażnikiem, pokazywał im fotografie Jeffa i Tracy.

- *Nee*. Nigdy nie widziałem żadnego z nich. Złodziej miał brodę i wąsy, a jego policzki i nos były znacznie wydatniejsze. Kobieta z diamentami miała ciemne włosy i była w ciąży.

Nie odzyskano diamentu, mimo dokładnej rewizji podejrzanych i ich bagaży.

- Diament jest jeszcze w Amsterdamie - twierdził uparcie van Duren. - Odnajdziemy go.

„Nie, nie odnajdziecie - z wściekłością pomyślał Cooper. - Ona zamieniła gołębie. Gołąb pocztowy dostarczy diament tam, gdzie sobie życzyła”.

Cooper przyglądał się bezradnie Tracy, idącej przez halę dworcową. Była pierwszą osobą, która go pokonała. Teraz już nie otrzyma rozgrzeszenia. Pójdzie prosto do piekła.

Tuż przy stanowisku odpraw Tracy zatrzymała się na chwilę a potem odwróciła się i spojrzała Cooperowi prosto w oczy. Znała tego człowieka; jak Nemezis ścigał ją po całej Europie. Było w nim coś dziwnego, patetycznego i przerażającego zarazem.

Było jej go żal. Pomachała mu ręką na pożegnanie, potem odwróciła się. i weszła na pokład samolotu.

Daniel Cooper dotknął niewielkiej koperty w swojej kieszeni List zaadresowany był do J.J. Reynoldsa i zawierał prośbę o zwolnienie z pracy.

Był to Boeing 747 linii Pan American. Tracy siedziała w fotelu B, w pierwszej klasie. Była podniecona; za kilka godzin spotka się z Jeffem. Ślub wezmą w Brazylii. „Odtąd żadnych więcej skoków - pomyślała - ale nie będę ich żałować”. Na pewno nie. Jej życie, jako żony pana Stevensa, z pewnością będzie niezwykle podniecające.

- Przepraszam.

Tracy uniosła głowę. Obok niej stał puciołowaty mężczyzna w średnim wieku, sprawiający wrażenie starego rozpustnika. Wskazał rękoma fotel przy oknie.

- To moje miejsce, panienko.

Tracy odsunęła się, by go przepuścić. Jej spódnica zadarła się do góry, a mężczyzna pożądliwie przyjrzał się jej nogom.

- Dobry dzień na podróż, prawda? - zapytał lekko pod nieconym głosem.

Tracy odwróciła się. Nie miała ochoty na rozmowę. Musiała przemyśleć tyle spraw. „Rozpoczynam nowe życie”. Zamieszkają w Brazylii, zostaną uczciwymi obywatelami. Szanowni państwo Stevens.

Mężczyzna szturchnął ją.

- Będziemy podczas lotu sąsiadami, więc może się poznamy? Nazywam się Maksymilian Pierpont.